

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

64597

owski

OSSOLINEUM

dwa lata

grudzień 1942 - październik 1944



STANISŁAW MIKULAJCZYK

Dwa lata

Dwa lata

1939—1945

Poległym za Ojczyznę
1939—1945

STANISŁAW STRZELICHOWSKI



Dwa lata

grudzień 1942 – październik 1944

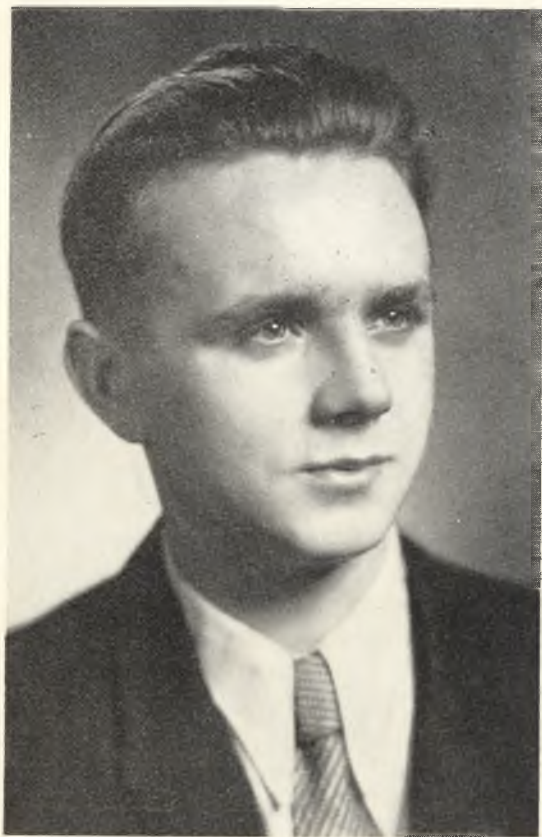
WROCŁAW • WARSZAWA • KRAKÓW • GDAŃSK
ZAKŁAD NARODOWY IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WYDAWNICTWO
1972

STANISŁAW STREJCZAKOWSKI

K. 3312/72



64597



1. Stanisław Strzelichowski (zdjęcie z 1947 r.)



Przedmowa

Autor wspomnień, Stanisław Strzelichowski, urodzony w Krakowie w roku 1926, przeżył zaledwie 23 lata. Był szczerze przywiązany do swego rodzinnego miasta. W roku 1939 zdał tu egzamin wstępny do Gimnazjum im. B. Nowodworskiego. Po zajęciu Krakowa Niemcy zamknęli wszystkie szkoły średnie i wyższe, pozostawiając tylko podstawowe i zawodowe. Do jednej ze szkół zawodowych, tzw. handlówki, uczęszczał początkowo S. Strzelichowski. Nadszedł jednak rok 1942, rok dla Autora pamiętnika przełomowy — jak go sam określił. Opuścił szkołę, wstąpił do organizacji podziemnej: Związek Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej. Nie miał jeszcze ukończonych 16 lat, kiedy po złożeniu przysięgi wojskowej został żołnierzem Polski Walczącej. Pragnął walczyć z wrogiem z bronią w ręku.

Jego marzenie nie spełniło się jednak. Dowództwo skierowało Go do pracy w Wydziale N. Była ona bodaj niebezpieczniejsza i bardziej wyczerpująca niż walka zbrojna. Polegała na szerzeniu dywersji wśród wojsk okupacyjnych i niemieckiej ludności cywilnej poprzez rozprowadzanie wśród nich odezw, ulotek i pism w języku niemieckim, wydawanych w tym celu przez dowództwo AK. Ten materiał propagandowy szerzył du-

że zamieszanie wśród Niemców, którzy z całą zaciekłością poszukiwali sprawców podrzucania do ich własnych samochodów, drzwi mieszkań i skrzynek na listy tych ulotek i pism. Do Wydziału N należało także naklejanie — w najbardziej uczęszczanych miejscach — afiszów informujących ludność polską o prawdziwej sytuacji wojennej. Wydawano również czasopisma w języku niemieckim, np. „Deutschland erwache!” („Niemcy obudźcie się!”), „Die Ostwache” („Straż na Wschodzie”), które zewnętrznie zupełnie nie różniły się od urzędowej prasy kolportowanej przez propagandę Goebbelsa.

Czy odznaczał się odwagą? Nie. Sam mówił, że się bał, ale przelamywał strach, bo był żołnierzem, a ten musi wypełniać rozkazy. Był ideowcem i swojej idei, którą była walka z wrogiem aż do zwycięstwa, poświęcił bez reszty wszystko. Przerwał naukę, nie skorzystał z oferty bezpłatnych tajnych kompletów, nie podjął żadnej pracy zarobkowej, poświęcił własne zdrowie, działał często 24 godziny na dobę. Mówiono o Nim, że jest „naładowany” ideowością. A On, wciągnięty w walkę, sam jak gdyby pchał się w coraz większe niebezpieczeństwa.

Usposobienie miał wesołe, a jego poczucie humoru wyładowywało się również w opowiadaniu „kawałów”, których większości sam był autorem. Współpracował z prasą podziemną, a zwłaszcza — co najbardziej odpowiadało Jego usposobieniu — z humorystycznym piśmem „Na ucho”, gdzie zamieszczał swoje dowcipy.

Warunki życia — jak prawie wszyscy Polacy podczas okupacji — miał ciężkie, co w połączeniu z wyczerpującą fizycznie i nerwowo pracą stało się początkiem choroby.

Po wojnie zdał maturę i przez kilka semestrów studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Następnie przeniósł się z Krakowa do Łodzi do Wyższej Szkoły Filmowej. Tam też zmarł w roku 1950.

Eugenia Strzelichowska-Dubalska

Od Autora

Wspomnienia powyższe spisałem pomiędzy lipcem 1945 a marcem 1946 roku. Samą jednak myśl zebrania ich, a nawet dosyć dokładny plan szeregu rozdziałów, powziąłem wcześniej, jeszcze przy końcu okupacji niemieckiej, gdy korzystając z przymusowej bezczynności rozmyślałem w ciągu wielu długich dni i nocy i przeżywałem niejako raz jeszcze zdarzenia z ubiegłych lat, w których dane mi było uczestniczyć.

Nie pretenduję do miana literata; napisałem tylko coś w rodzaju pamiętnika, częściowo utrzymanego w trzeciej osobie — na wzór jednej z awanturniczych powieści. Jest to dogodniejsze w wyrażaniu szeregu nurtujących przeżyć wewnętrznych i scen, o których nawet dziś — mimo oddalenia z górą dwóch lat — trudno jakoś pisać w pierwszej osobie.

Niektóre pojęcia, jakimi operuję, dziś wydawać się mogą już nieco dziwne, utrzymuję je jednak celowo, starając się przede wszystkim o jak najwierniejsze przedstawienie nastrojów z lat 1942—1944.

Niemal wszystkie refleksje i „filozofowania” oraz rozmowy są zgodne z ich rzeczywistym brzmieniem. Zaledwie w nielicznych miejscach ze względów wyłącznie technicznych uprościłem je lub poskracałem, np. dwa spotkania w tej samej sprawie połączyłem w jedno itp., co było podyktowane chęcią uniknięcia za wielkich rozwlekłości.

Cytowane tu i ówdzie rozkazy, wyjątki z prasy podziemnej, z książek itp. przytaczam z pamięci. Oczywiście, że nie zawsze są one dosłowne i możliwe są pewne nieścisłości w sprawach drugorzędnych, tj. nie wnoszących niczego istotnego do zasadniczej treści. Rozmowy natomiast zostały wszystkie wypowiedziane w taki sposób, w jaki je przytaczam. Tym więc tłumaczy się duża ilość gwarowych i ordynarnych słów, ale o okupantach ludzie, nieraz bardzo kulturalni, wyrażali się w taki właśnie sposób.

Osoby występujące w moich wspomnieniach to postacie autentyczne. Załedwie o dwóch z nich wiem na pewno, że żyją. Z pozostałych wielu prawdopodobnie zginęło. Niewykluczone jest jednak, że niektórzy, o ile nie zostali rozstrzelani w egzekucjach ulicznych, mogli doczekać końca wojny w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Zaznaczam także, że Roman Zawada, tj. autor niniejszego pamiętnika, nie brał udziału w dwóch ważniejszych przedstawionych tu akcjach. Opis ich podaję według dokładnych relacji uczestników, dla zakończenia pewnych poruszanych zagadnień, nad realizacją których pracowałem, a wykonywał je kto inny.

Osią wspomnień są przeżycia głównie własne, w mniejszym stopniu najbliższych kolegów. Jest to podyktowane niechęcią do wkładania w ich usta słów czy poglądów, których w rzeczywistości nigdy by nie wypowiadali. Piszę o nich tylko to, co wiem bezsprzecznie. Ze względu na zachowanie nawet wobec najlepszych przyjaciół koniecznej ostrożności, często sylwetki ich wypadają dość blado, są załedwie naszkicowane, mimo że byli to dzielni ludzie, o bogatym życiu wewnętrznym. Często nie próbuję też opisywać dokładniej

zewnętrznego wyglądu różnych osób, nieraz pamiętam tylko ich pseudonimy, gdyż usilnie starałem się wówczas nie myśleć o ich rysopisach.

Przedstawiona tu praca konspiracyjna w mieście, widziana oczyma zwykłego szeregowca, była przeważnie indywidualna, z dorywczym zaledwie łączeniem się w grupy. Na co dzień zaś każdy (z wyjątkiem „zawodowo” pracujących w AK¹) miał własne cywilne życie i środowisko. Opis przygód w oddziale partyzanckim, pojawiający się coraz częściej w książkach, odbiega zupełnie od typu moich wspomnień, gdyż oddział był podobniejszy do zwykłego wojska przez charakter swego życia zbiorowego, w przeciwieństwie do nas, którzy rzadko znaleźliśmy nawet swe pseudonimy, nie mówiąc oczywiście o imionach i nazwiskach.

Nie jest to powieść z logicznie przemyślaną do końca akcją, lecz wycinek z życia na przestrzeni dwu lat. Nie kończy się on ani klęską okupanta, ani triumfalnym wkroczeniem zwycięskiej armii sojuszniczej; są to wspomnienia, a nie było mi dane doczekać się przegranej wroga w zwartej jednostce z kontaktem z dowództwem.

Koncepcja Londynu: zbrojnego powstania Armii Krajowej bez uzgodnienia go z jedyną siłą, mogącą dać nam wówczas realną pomoc — Armią Radziecką, była w skutkach swych tragiczna i została zniweczona przez

¹ Do grupy tej należeli z reguły wszyscy funkcjonariusze Armii Krajowej (AK) zajmujący kierownicze stanowiska lub pracujący w wywiadzie, dywersji, służbie łączności i propagandzie. Ze względu na charakter swojej działalności i wynikającą stąd konieczność pozostawania w każdej chwili do dyspozycji Organizacji nie mogli oni zajmować się pracą zarobkową i otrzymywali niewielkie regularne uposażenie.

wroga. Mimo że walki partyzanckie oddziałów leśnych trwały po upadku Warszawy jeszcze do stycznia 1945 roku, to jednak miały one wtedy raczej charakter obronny, a główny cel konspiracji — powstanie² — już nie istniał.

We wspomnieniach niniejszych przedstawiam mało znany szerszemu ogółowi odcinek konspiracji o niewdzięcznym i nieefektywnym rodzaju pracy. Poza niego wychodzę tylko o tyle, o ile moi koledzy lub sam uczestniczyłem w innych akcjach, co zresztą oficjalnie było nam wzbronione przez przełożonych, a w praktyce często tolerowane wobec naszych chęci działania.

Niech ci, którzy kiedyś przeczytają te wspomnienia, potraktują je jako próbę opisaną przez przeciętnego szeregowca swych przeżyć i darują mi rozwlekłości, konieczne jednak czasem dla lepszego zrozumienia nastrojów i dalszych wypadków, niech potraktują je jako hołd oddany Towarzyszom Broni z Podziemia, poległym za Ojczyznę w tej nierównej walce.

² W myśl opracowywanych już od końca 1940 roku planów, w momencie wyraźnej katastrofy niemieckiej na frontach (po 22 czerwca 1941 roku na froncie wschodnim), lub też wewnętrznego kryzysu w Niemczech, Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), a potem AK przystąpić miały do powstania powszechnego w oparciu o własne zmobilizowane oddziały oraz przerzucone z Zachodu jednostki polskie i alianckie. W roku 1943, w obliczu stopniowego wycofywania się armii hitlerowskiej na froncie wschodnim, ale bez oznak widocznego załamania się, plany te zarzucono, przyjmując z kolei tzw. plan „Burza”, czyli plan wzmożonej akcji dywersyjnej na tyłach wycofującej się armii hitlerowskiej. Najważniejszym wystąpieniem AK w ramach akcji „Burza” było Powstanie Warszawskie.

Rozdział I

Grudzień 1942

Mimo niepowodzeń w Zachodniej Afryce¹ i wzmagających się alianckich nalotów bombowych Trzecia Rzesza stoi wciąż jeszcze u szczytu swej potęgi, przyniatającej od wielu miesięcy Europę. Wiara w zwycięstwo oręża hitlerowskiego jest jeszcze wśród Niemców dość silna, rosyjskie sukcesy pod Stalingradem są na razie bagatelizowane, mimo że z taktycznych szybko przekształcają się w operacyjne, zagrażające nie tylko otoczonej VI armii, ale wolno, lecz nieustannie — całemu południowemu odcinkowi frontu wschodniego.

Narody okupowane są doskonale poinformowane o sytuacji wojennej, mimo że posiadane przez nich wiadomości często graniczą z plotkami. Codzienne komunikaty Sprzymierzonych, słuchane przez poukrywane radioodbiorniki — za co grozi kara śmierci — a rozpowszechniane dalej przez podziemną prasę i ustnie, na ogół wystarczająco informują o tym, że kończy się długa seria zwycięstw niemieckich. Zbliży się decydujący moment wojny, od którego przegrana okupanta będzie już li tylko kwestią dłuższego czy krótszego czasu, ale będzie rzeczą całkowicie pewną. Z każdym rokiem wojny zaostrza się fala terroru niemieckiego

¹ Autor ma tu na myśli anglo-amerykański desant z 8 listopada 1942 roku w Algierii i Maroku.

w krajach okupowanych. Mimo to — niezależnie od wyjaśniającej się sytuacji na frontach — rosną w siłę istniejące i powstają nowe organizacje podziemne, przygotowujące się od początku okupacji do walki z najeźdźcą.

W Polsce — bez istotnych zmian w porównaniu z trzema pierwszymi latami wojny — codzienna rzeczywistość okupacyjna: głód, praca ponad siły, rabunki bydła i żywności, masowe łapanki, obławki i aresztowania, z których w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto nie wraca się, stosowane są z coraz większym nasileniem. Zbiorowe masakry za wypadki i katastrofy, gdy przyczyn ich nie można ustalić, stały się już dla „niemieckich” mieszkańców „Schlesien”, „Pommern”, „Warthegau” i „General Gouvernement”² niemal chlebem powszednim i czymś równie nieodłącznym jak zmiany pogody.

² Ścisłe rzecz biorąc, ironiczne sformułowanie autora: „niemieckich mieszkańców”, odnosić się może jedynie do trzech pierwszych wymienionych przez niego obszarów, tzn. „Schlesien”, czyli województwa katowickiego, „Pommern”, a właściwie „Danzig-Westpreussen”, czyli polskiego Pomorza łącznie z byłym Wolnym Miastem Gdańskim, oraz „Warthegau”, czyli Wielkopolski z częścią województwa łódzkiego wraz z Łodzią, które dekretem Hitlera z 8 października 1939 roku zostały włączone do Rzeszy. Po przeprowadzeniu na przełomie 1939 i 1940 roku masowych wysiedleń Polaków, przede wszystkim z Wielkopolski, oraz po wprowadzeniu w 1941 roku wpisów na tzw. niemiecką listę narodową Niemcy traktowali ogół polskich mieszkańców tych obszarów jako ludność „niemiecką” i zawzięcie tępił wszelkie przejawy jej polskości. Natomiast mieszkańców tzw. „General Gouvernement”, czyli Generalnego Gubernatorstwa (GG), utworzonego z czterech województw centralnych, Niemcy traktowali jako ludność polską, a nie niemiecką. Generalny Gubernator Hans Frank skrytykował nawet dziennikarzy, że nazywali GG krajem niemieckim. Miała się ona stać nim dopiero po zwycięskiej wojnie.

Nielicznym tylko jednostkom, żerującym na powszechnym zubożeniu lub pozostającym w najlepszej zgodzie z okupantem kradnącym wraz z najpodlejszymi elementami administracji GG polski majątek narodowy, powodzi się równie doskonale, jak ich współnikom. Dla ogółu okupacja oznacza nędzną vegetację, którą podtrzymuje nadzieja na szybki koniec wojny. Tych końców wojny przepowiadano już jednak tyle, że ludzie zupełnie przestali się przejmować coraz to nowymi jego terminami. Przeciętny Polak wegetuje zepchnięty przez tzw. Herrenvolk³ do roli bydła roboczego, bez żadnych praw we własnym kraju, zaciska zęby i czeka upragnionego dnia zapłaty.

Terror niemiecki, będący jednym z głównych środków do germanizowania i tępienia ludności Polski, pozostawił już swoje ślady na psychice społeczeństwa. Poza ludźmi związanymi z rosnącymi w siłę, lecz jeszcze niezupełnie rozwiniętymi organizacjami niepodległościowymi ogół żyje w panicznym lęku przed nieograniczoną władzą okupanta, a celowo podsycane przez propagandę Goebbelsa różne nieprawdopodobne plotki znajdują zawsze mniej czy więcej licznych słuchaczy. Te nastroje ulegają już jednak stopniowej likwidacji dzięki działaniu dwóch czynników: pogarszaniu się sytuacji wojennej Niemiec i wzmagającej się działalności ruchu oporu.

Od kilku miesięcy zdarzają się pojedyncze na razie akty dywersyjno-sabotażowe, z końcem zaś trzeciego roku wojny Komenda Główna Sił Zbrojnych w Kraju

³ Dosłownie „naród panów”. Hitlerowcy uważali, że tzw. rasa nordycka, do której w pierwszym rządzie zaliczali naród niemiecki, przeznaczona jest do panowania nad narodami „niższymi rasowo”, m.in. narodami słowiańskimi.

otrzymała od Naczelnego Wodza Armii Polskiej, gen. Władysława Sikorskiego, rozkaz wzmocnienia działalności dywersyjnej na tyłach wroga⁴ i werbunku do organizowanej od 1939 roku podziemnej organizacji wojskowej, z dopuszczalną dolną granicą wieku 17 lat dla szeregowych.

Roman Zawada, z musu uczeń szkoły handlowej, jest jednym z wielu kilkunastoletnich Polaków mieszkających w okupowanym przez Niemców Krakowie. Z początkiem lata 1939 roku skończył szkołę powszechną. W zrealizowaniu dawno powziętego zamiaru wstąpienia do kadetów przeszkodził mu nadciągający Wrzesień. Raptowne pogorszenie dobrych warunków życiowych, głód w pierwszym roku wojny, dwukrotna przymusowa zmiana mieszkania (z miasta na parokilometrową od niego odległość), długi pobyt matki w więzieniu, szereg łapanek, z których jednak udało się wymknąć,

⁴ W końcu 1941 roku, w zmienionych warunkach spowodowanych napaścią hitlerowską na ZSRR, rozpoczęto realizację tzw. Wachlarza, czyli szeroko zakrojonej dywersji kolejowej na wschód od dawnej granicy polsko-radzieckiej, na tyłach frontu wschodniego. Równocześnie w Kraju w obliczu narastającego terroru okupanta (wysiedlenia na Zamojszczyźnie) nastąpiło wzmoczenie „walki bieżącej”. Już w połowie tego roku powołano do życia „Osę” (Organizację Specjalnych Akcji Bojowych), której zadaniem był odwet — akcje terrorystyczno-likwidacyjne oraz sabotaż i dywersja, zwłaszcza na kolejach. Wkrótce utworzony został „Kedyw” (Kierownictwo Dywersji), który przejął całokształt walki zbrojnej z okupantem. Podlegały mu m. in. harcerskie „Grupy Szturmowe” (młodzież od 18 roku życia). Najgłośniejsze akcje AK z tego okresu to tzw. „Wieniec I” — zniszczenie torów na 6 liniach kolejowych warszawskiego węzła (z 7/8 października), oraz „Wieniec II” — zniszczenie torów i urządzeń kilku stacji kolejowych i kilku mostów na Zamojszczyźnie (z 31 grudnia 1942 na 1 stycznia 1943).



2. Eugenia Strzelichowska-Dubalska,
matka autora

...Blisku Boga - wspaniałego i najświętszej Marii Panny Królowej i Królowy **Exx**
...wielkiej, kląć rękę na ten Święty Arzys znak meki i zbawienia i przysięgam
...wiernym Ojczyźnie swej Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięciem na **Exx**
...strazy Jej Honoru, a o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił
...do ofiary i do zycia.
...prezenta wi Rzeczypospolitej, rozkazem bezwzględny i delegowanym prze
...niech dcy Armii Krajowej być posłusznym powierzonoj mi tajemniczym
...obowiązków, o jakkolwiek by mnie spotkać miało. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna
...tego dnia.

Formuła przysięgi.

...walczyć w szeregi Armii Krajowej walczącej z wrogiem
...Zwycięstwo będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie twoją na
...wroga zdrajcę będzie karana śmiercią.

3. Tekst przysięgi żołnierzy AK



czarna kawa z sacharyną i szkoła handlowa chroniąca na razie przed wywiezieniem do Niemiec — oto zwykle koleje życia dorastającego chłopca polskiego w GG.

Były jednakże i inne zdarzenia w życiu Zawady, rzadko na ogół spotykane u jego rówieśników: od października 1939 do stycznia 1941 codzienna lektura konspiracyjnych pism: „Polska żyje”⁵ i „Dziennika Polskiego”⁶, dostarczanych przez wujka lub dawnego przyjaciela ojca, potem wsypa, „wizyta” gestapo w drugim roku wojny, zakończona pobytem matki w więzieniu, po długich miesiącach jej powrót (co było jeszcze możliwe w 1941 r.), w końcu wiadomość o śmierci wujka i drugiego zanego człowieka — dawnego instruktora harcerskiego, oraz dalsze długie dni trzeciego roku okupacji. Te właśnie zdarzenia wywarły swój dodatni w warunkach okupacji wpływ: szesnastoletni chłopiec, już przed wojną rozwinięty umysłowo i fizycznie ponad swój wiek, jest dziś o wiele ostrożniejszy w całym swym zachowaniu i w każdym słowie. Do kolegów szkolnych odnosi się z dużą rezerwą, rozmawiając z nimi tylko o szkole, nie czyniąc nigdy najmniejszych aluzji do Niemców ani sytuacji wojennej.

Zaufaniem Romana cieszy się zaledwie dwóch kolegów, wypróbowanych od początku wojny, i o cztery lata starszy od niego przyjaciel. Od kilkunastu lat wspólne niemal wychowywanie się obydwóch chłopców powoduje, że w niektórych dziedzinach zatarła się

⁵ „Polska Żyje” — pismo organizacji Komenda Obrońców Polski (KOP), wydawane już od października 1939 aż do lipca 1944 roku.

⁶ „Dziennik Polski” — pismo wydawane w latach 1940—1945 w Krakowie początkowo przez Stronnictwo Demokratyczne, później przez jego lewicowy odłam — Stronnictwo Polskiej Demokracji. Patrz rozdz. XIX, przyp. 2.



u nich do pewnego stopnia różnica wieku, co jest nie-
często spotykane w tym okresie rozwoju fizycznego.

Przyjaciel, dwudziestoletni Jerzy Bienkowski, pod
niektórymi względami przypomina samego Romana, jest
też dla niego od dawna wzorem postępowania. Przed-
wojenny maturzysta, „celujący” w Przysposobieniu
Wojskowym, w 1939 roku jako siedemnastoletni ochot-
nik 20 Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej dostał się
do niewoli dopiero pod koniec Września, skąd uciekł
po dwóch dniach, jest odważny, a przy tym rozważny —
oto zalety Jerzego podziwiane przez młodszego Romana.
Obaj mają do siebie duże zaufanie i już z końcem 1939
roku razem rozczytywali się w pierwszych nielegalnych
gazetkach.

Od wiosny 1942 roku chłopcy widują się rzadziej
niż dotąd. Powoduje to odległość domu Zawady od
miasta, a poza tym przyjaciela trudniej teraz zastać
w domu. Roman kilkakrotnie wieczorem po skończonej
pracy widział go w towarzystwie różnych ludzi, i to nie
tylko młodych. Te zmiany w trybie życia Jerzego nie
uchodzą uwagi Romana, który parokrotnie zastanawia
się nad nimi. Rozwiązanie zagadki nastąpiło nieoczeki-
wanie przez samego przyjaciela; Roman zaproszony
przez Jerzego na spacer w dniu 16 grudnia 1942 roku
usłyszał od niego to, o czym nieraz marzył jak o naj-
większym zaszczycie.

*

Z wolna zapadał wczesny zmrok grudniowy. Po-
chmurna noc okryła domy i ulice Krakowa, z rzadka
tylko rozjaśnione skąpym blaskiem niewielu przyciem-
nionych latarni. Mimo niedzielnego popołudnia ruch pa-
nował mały; nieliczni przechodnie rzucali ukradkowe

niechętnie spojrzenia na znienawidzone i od trzech lat rażące nasze oczy mundury okupantów.

Ciężkie kroki patrolu Sicherheitspolizei⁷ zmierzającego w stronę komisariatu niemieckiego przez ul. Krakowską niebawem ucichły za węglem. Dwaj rośli Niemcy w jasnozielonkawych płaszczach i hełmach, rzuciwszy przelotne spojrzenie na kilku młodych przechodniów, poszli obojętnie dalej. Kończąca się służba i zmęczenie nie zachęcały do zwykłego kontrolowania Polaków. Gdyby jednak „obrońcy nowego ładu Europy” usłyszeli i zrozumieli ich rozmowę, niewątpliwie zapomnieliby o zmęczeniu.

Czterej młodzieńcy skrzyli w Planty Dietlowskie⁸, prowadząc dalej rozmowę. Nie była to jednakże swobodna koleżeńska pogawędka. Z wyjątkiem dwóch z nich ludzie ci nie znali nawet swoich imion, a mimo to poruszali sprawy, o których nie mówiło się nawet z dobrymi znajomymi. Błyszczące tłumionym podnieceniem oczy dwóch siedemnastolatków kontrastowały z opanowanymi twarzami najstarszego i najmłodszego, dla których podobne rzeczy od dawna nie były nieznanne.

⁷ Chodziło zapewne o Schutzpolizei (Schupo), tzn. policję ochronną, która pełniła w miastach GG służbę patrolową. Sicherheitspolizei, czyli policja bezpieczeństwa, składająca się z tajnej policji państwowej znanej powszechnie pod nazwą Gestapo (Geheime Staatspolizei) oraz policji kryminalnej — Kripo (Kriminalpolizei), była policją niemundurową. Jej funkcjonariusze mogli oczywiście występować w mundurach SS (Schutzstaffeln), ponieważ w całości wchodzili w skład tej formacji, nie odbywali jednak służby patrolowej.

⁸ Józef Dietl (1804—1878), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent Krakowa i poseł na sejm galicyjski, twórca plant krakowskich.

Roman, idący po prawej stronie Bienkowskiego, uważnie słuchał jego objaśnień, przypominając sobie równocześnie wczorajszą rozmowę z przyjacielem:

— Czy masz jakiegoś kolegę, o którym wiedziałbyś na pewno, że nie jest volksdeutschem⁹ ani innym podejrzany typem?

— Owszem, Studzińskiego. Przecież go znasz. Pamiętasz, jak jeszcze w czterdziestym roku dawaliśmy mu „Dziennik Polski”?

— W porządku. Powiedz, Roman, czy chciałbyś zostać polskim żołnierzem?

Dachy getta w Podgórzu na dawnym miejscu..., brama Gazowni też... Proste słowa, po których czuję lekki dreszcz, połączony z wrażeniem dumy i radości. Po sekundzie wrażenie mija.

— Jakim żołnierzem???

— Polskim, mój stary.

— Co, dajemy nogę do armii Sikorskiego?

— Skąd, będziemy w Polsce, w Krakowie. Istnieje tu ZWZ — Związek Walki Zbrojnej, niedawno przekształcony przez nasz rząd z Londynu na normalne Wojsko Polskie¹⁰ — objaśnia Jerzy.

⁹ Jeśli idzie o GG, jest to osoba, która z własnej inicjatywy i najczęściej z niskich koniunkturalnych pobudek przyznawała się do narodowości niemieckiej. Volksdeutsche określani byli pogardliwym mianem „foksów”. Wielu z nich wysługiwało się gorliwie władzom okupacyjnym. Na terenach włączonych, zwłaszcza na Pomorzu i Górnym Śląsku, Niemcy stosowali na szeroką skalę przymusowy wpis na tzw. niemiecką listę narodową.

¹⁰ W roku 1942 dotychczasowy Związek Walki Zbrojnej, powołany jeszcze w listopadzie 1939 roku, przemianowany został w Armię Krajową. Pozostawało to w związku z tzw. akcją scaleniową, podjętą na polecenie gen. Sikorskiego, której ce-

W skroniach przyspieszonym rytmem tętni krew. Trwa to tylko parę sekund.

— Czy to możliwe? Przecież podobno nie wolno przyjmować do Organizacji poniżej dwudziestu jeden lat.

— Od niedawna już wolno. Pamiętasz, stary, jakśmy wtedy w czterdziestym roku czytali gazetki i myśleli, kiedy Szwaby stąd nawalą? Dziś będziemy im w tym pomagać, i to jako polscy żołnierze.

— Czy mnie przyjmą? Nie mam jeszcze pełnych siedemnastu lat.

— Przyjmą. Znam cię z czasów, kiedy mając swoje czternaście lat wiedziałeś i robiłeś z gazetkami więcej od niejednego dorosłego chłopca. Nasza Organizacja, jak wiesz, istnieje od trzydziestego dziewiątego roku. Naczelnym Wodzem jest gen. Sikorski i jego zastępca tu w Kraju. Przygotowujemy powstanie, jak tylko Szwaby zaczną brać w skórę na froncie...

Wspomnienie aresztowania matki..., lecz po cóż ten cień wahania? „Ślubuję w dobie wojny walczyć niezłomnie...” — to przecież obowiązuje każdego Polaka! Marzenie spełnia się! Dziękuję ci, stary przyjacielu, i postaram się, abyś się na mnie nie zawiódł w służbie wojskowej!

Konsekwencją wczorajszej rozmowy z Jerzym był

lem było skupienie w szeregach Armii Krajowej wszystkich działających organizacji wojskowych, czyli „wszystkich żołnierzy w czynnej służbie wojskowej w Kraju”. W ten sposób Armia Krajowa stać się miała, obok oddziałów polskich w ZSRR (gen. W. Anders) i oddziałów w Wielkiej Brytanii łącznie z Marynarką Wojenną i lotnictwem, częścią normalnego Wojska Polskiego podporządkowanego rządowi emigracyjnemu.

dzisiejszy spacer, poprzedzony dłuższym oczekiwaniem w umówionym miejscu. Jerzy zjawił się punktualnie, ale Robert Studziński, mimo zainteresowania i niekłamane zachwyty okazanego z powodu propozycji, nie przyszedł na spotkanie.

— Dowiedz się jutro, czy nie miał spotkania z jakąś dziewczynką...

Szli we czwórkę ul. Miodową. Bieńkowski odszedł w pewnej chwili w jedną z bocznych uliczek i wkrótce wrócił, mówiąc, że muszą nadal rozmawiać pod gołym niebem z powodu zajęcia lokalu, w którym miało się odbyć zebranie Organizacji. Mówił długo o celu i zadaniach podziemnej armii, o konieczności wyszkolenia wojskowego przed planowanym powstaniem, o broni ukrytej przed okiem okupanta po Wrześniu i o tym, że są nawet tajne fabryki amunicji.

W miarę słów Jerzego słuchaczom jawiła się niewidzialna dotąd potężna siła, tym bardziej fascynująca, że nie można widzieć ani jej początku, ani jej końca. Siła, której część wnet będą stanowili oni sami.

Minęli drugą podobną grupkę młodzieńców, z których najstarszy kiwnął głową w stronę Jerzego. Spojrzawszy na przyjaciela, Roman domyślił się w tamtych przyszyłych „towarzyszy broni”.

— Zatem to są ci ludzie, których tak się boją Niemcy i volksdeutsche — myślał chłopiec — choć na pozór nie wyglądają groźnie. Zwykli młodzi ludzie. Codziennie każdego z nich mijają dziesiątki, jeżeli nie setki policjantów i żaden z nich, nawet przez mgnienie oka, nie domyśli się, jak zaciętych przeciwników ma obok siebie.

Zapadał coraz gęstszy mrok. Śnieg lśnił niebieskawym blaskiem. Czterej młodzieńcy przystanęli przed

zamkniętym wejściem zajętej przez wojsko niemieckie szkoły przy ul. Miodowej 36.

— Panowie — spytał Jerzy — jakie pseudona wybra-
liście sobie?

— Ja „Maxim” — odpowiedział jeden.

— Ja „Krebs”, żeby w rozmowie każdy myślał, że
to jakiś Niemiec i nie powziął podejrzeń — odpowied-
dział drugi z młodzieńców.

— Dobrze. No, a ty?

— Ja „Wiktor” — odpowiedział Zawada. — A ty,
stary, jakie masz pseudo? — spytał z kolei Jerzego.

— „Bronek”.

Po ustaleniu pseudonimów Jerzy wyciągnął z kie-
szeni krzyż.

— Panowie, odkrycie głowy!

— Chwileczkę — odezwał się Zawada — czy ko-
niecznie musimy odkrywać głowy? Żołnierze w czasie
przysięgi w wojsku stoją w hełmach. My ich jeszcze nie
mamy, ale niech nasze „cylindry” będą ich symbolem.

— Masz rację — odrzekł po krótkim namyśle Bień-
kowski. — Proszę, „Maxim”, połóżcie dwa palce na
krzyż i powtarzajcie za mną. Wy dwaj jesteście świad-
kami.

Słowa krótkiej przysięgi wojskowej zabrzmiały
przyciszonym z ostrożności głosem. Nikt z nielicznych
przechodniów nie domyślał się, że widzi, jak trzech nowi
żołnierze zobowiązują się do służby i walki z wrogiem.

— Teraz „Wiktor”.

Roman położył palce na krzyżu.

— „W obliczu Boga Wszchemogącego i Najświętszej
Panny Marii, Królowej Korony Polskiej, kładę rękę
na ten Święty Krzyż, znak męki i zbawienia, i przysię-
gam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru

Polski, a o wyzwolenie Jej z niewoli walczył będę ze wszystkich sił moich, aż do ofiary z mego życia...”

W umyśle migają obrazy tortur w gestapo, Oświęcim, Dachau, o których tyle czytał w gazetkach i wiedział z opowiadań człowieka, który wyrwał się z tego piekła... Lecz głos chłopca nie drży, gdy równo i spokojnie powtarza dalej i kończy:

— „Rozkazom będę posłuszny, a tajemnicy będę strzegł niezłomnie, bez względu na to, co by mnie za to spotkać mogło, tak mi dopomóż Panie Boże i Najświętsza Mario Panno, Królowo Korony Polskiej”.

— Dziękuję — „Broniek” uściskał twardo dłonie trzech młodzieńców i dodał: — „Przyjmuję was w szeregi podziemnych Żołnierzy Wolności, walka z wrogiem jest naszym zadaniem, nagrodą będzie zwycięstwo, zdrada karana jest śmiercią”. Żołnierze, cześć!

Minęło w milczeniu kilka sekund. Ten moment wywiera zawsze duże wrażenie na każdym żołnierzu, a zwłaszcza gdy nie towarzyszą mu białe-czerwone sztandary i gdy lada chwila może ukazać się patrol wroga. „Więc od tej chwili jestem już w wojsku!”

Ciszę przerwał Jerzy.

— Teraz pomówimy jeszcze o łączności ze sobą. Zatem do „Krebsa” jest dostęp przez „Maxima”, a przez „Wiktora” do tego grubego, który dziś nie przyszedł. W tygodniu umówimy się jeszcze na następną niedzielę. Na razie czołem, wiara!

— Czołem, cześć!

W dwudziestą czwartą rocznicę powstania wielkopolskiego, w dniu 27 grudnia 1942 roku, „Wiktor” został żołnierzem podziemnej Armii Polskiej.

Chwilami mam wrażenie, że to cudowny sen, z którego obudzę się lada moment. To chyba śni mi się tylko, że jestem już jednym z żołnierzy, pragnących walczyć za Polskę z niemieckimi bandytami. Od tej pory powinienem postępować według jednej wytycznej: „Wszystko dla Sprawy, ja sam się nie liczę”. Stałem już w jednym szeregu z ludźmi przeważnie starszymi od siebie, czyli uznano mnie za równie odpowiedzialnego, jak i tamci. Zresztą rozumiem dobrze to wszystko. Po co te górnolotne słowa? Wyrazy: Polska, Ojczyzna, Wolność itp., trudno przechodzą mi przez usta i prawie nigdy nie używam ich w rozmowie. Ale noszę je głęboko w sercu i będę się zawsze starał, tak jak dotąd, postępować według nich.

Wczoraj wróciłem do domu pod wrażeniem przysięgi. Dzień 27 grudnia 1942 uważam po prostu za początek nowego okresu w moim życiu. Zawsze go będę pamiętał. W domu opanowałem się bez trudu, aby matka nie podejrzewała czegoś po moim wspaniałym humorze i wielkim zadowoleniu. Najtrudniej ukryć coś przed kobietą, którą zna się bliżej, obojętnie, czy jest nią matka, czy też kto inny...

Byłoby może dobrze uzyskać jej aprobatę na to, co już właściwie stało się faktem dokonany, ale wolę tego nie robić, obowiązuje tajemnica wojskowa. Zresztą, choćby nawet było wolno, na razie matce nie powiedziałbym ani słowa o Organizacji. Po pierwsze, na pewno przeżyłaby to mocno, a po drugie, nalegałaby, abym się do tego nie mieszał (półroczne więzienie może odstraszyć na dłuższy czas od różnych rzeczy), bo może być wyspa. A wycofywać się, oczywiście, nie miałem zamiaru. Byłyby zatem ciągłe wymówki, no i obawa

o mnie. Powiem chyba dopiero wtedy, jak będzie miało zacząć się powstanie, o ile będzie wolno się przyznać. Poruszyliśmy z Jerzym tę ewentualność, ale na razie rozkaz: Nie mówić!

Przed wojną czytałem parę książek o chłopcach, którzy szli walczyć w powstaniach 1831 i 1863 roku. Przypominam sobie, że mieli oni wtedy skrupuły, czy mówić coś swoim rodzicom, czy nie. Nie przypuszczałem wówczas, że kiedyś sam mogę myśleć o podobnych sprawach.

31 grudnia 1942

Rok 1942 kończy się. Mimo woli nasuwają się różne spostrzeżenia i przypuszczenia, nad którymi należy się zastanowić. Rok ten, jak na warunki w GG, minął dla mnie nawet niezłe; było jeszcze co jeść i w co się ubrać. Ponadto po przezimowaniu u krewnych na wiosnę znalazłem się z matką we własnym mieszkaniu. Znajduje się ono parę kilometrów od miasta, na Prądniku Białym, zaletą jego jest brak wilgoci, a wadą — oddalenie. Mam jednak dużą swobodę (matka cały dzień w pracy), co niewątpliwie przyda się dla Organizacji, bo nie muszę nikomu opowiadać się, dokąd idę ani z kim się spotykam. Do domu wracam od wiosny przeważnie dopiero na godzinę policyjną, a obiad też jem w mieście. Nic mi nie przeszkadza na przykład pójść na dziewczynki, do czego jednak specjalnie się nie palę, mając dostęp prawie zawsze do pewnej znajomej... Mniejsza zresztą o to.

Z braku lepszego zajęcia dziś, tak jak często po wyjściu z budy, spacerowałem po ulicach, gapiąc się

na ruch. Szwabów jak zwykle cała masa, aż się nie-
dobrze robi. Pod pocztą wymknąłem się z obławy. Te
prawie co dzień odbywają się w mieście. W „handlów-
ce”, do której chodzę z braku gimnazjum ogólnokształ-
cącego, kilkanaście osób dostało jesienią wezwania na
roboty do Niemiec, dobrze, że jakoś udało im się z tego
wykręcić ¹¹.

Położenie wojenne poprawiło się w porównaniu do
zeszłego roku. Zachodnia Afryka została zajęta przez
Amerykanów, trwają coraz większe naloty na III Rze-
szę i — co najważniejsze — choć do inwazji na Zachodzie
w tym roku nie doszło, Niemcy zaczynają już brąc
lanie. W czasie letniej ofensywy zajęli oni wprawdzie
Krym, całą Ukrainę, a także posunęli się naprzód na
środkowym odcinku frontu, ale już we wrześniu stanęli
i od tej pory nie ruszają naprzód. Ba, raczej Rosjanie
zaczęli się ruszać: od sierpnia trwają zacięte walki pod
Stalingradem nad Wołgą (widziałem to w tygodniku
filmowym, będąc dzięki znajomemu bileterowi na gapę
w kinie). Wprawdzie od 1939 roku uznaję zasadę: „świ-
nie w kinie, Polacy w Oświęcimie”, ale ja nie płaciłem
na armię niemiecką, a film był polski.

Dwa lata temu wiedziałbym dokładnie, jak sytuacja
wygląda, ale od tego czasu nie widziałem gazetki. Wy-
starczy jednak mądrze czytać szmatławca lub — jak

¹¹ Początkowo okupant pragnął ograniczyć szkolnictwo
w GG jedynie do stopnia podstawowego, z czasem jednak, ze
względu na potrzeby własnej gospodarki wojennej, zmuszony
był zgodzić się na powołanie zawodowych szkół — rzemieślni-
czych lub handlowych. Do początku 1943 roku w zasadzie chro-
niły one młodzież polską przed wywiezieniem do Niemiec na
roboty przymusowe, później już nie.

kto woli — gadzinówkę, tj. „Podogoniec Krakowski”¹², aby dużo tam znaleźć między wierszami.

Na Dalekim Wschodzie Japończycy zajęli w tym roku wielką liczbę wysp na Pacyfiku oraz Singapur (zaraz po opanowaniu, 5 lutego 1942, przemianowali go na Szonan — zupełnie jak Niemcy np. Łódź na Litzmannstadt), ale od lata jakoś ucichło i o ich sukcesach. Włochom wojowało się dobrze w Afryce Północnej i w lecie o mały włos nie zajęli Aleksandrii, ale i im się nie udało¹³. W sumie do połowy roku 1942 państwa Osi miały przewagę nad Sprzymierzonymi, ale skończyło się to w lecie. Teraz prawdopodobnie Alianci przejdą do kontrofensywy i za jakiś rok może wojna się skończy. Może potrwa to trochę dłużej, ale nie więcej jak półtora roku. Tyle jeszcze wytrzymamy. A gdy Niemcy będą wiać z Polski, wtedy — hurra! jedziemy na całego.

W roku 1942 stałem się jakby mocniejszy niż przedtem. Czuję, że w mojej nienawiści do okupanta nie jestem odosobniony. To bardzo przyjemne, gdy się wie, że istnieje wielu ludzi myślących tak samo, jak i ja, z którymi może już wnet ruszę do boju...

2 stycznia 1943

Jeżeli porównam siebie z początku roku 1942 i obecnie, widzę dużą różnicę — na korzyść, nie tylko w wyglądzie zewnętrznym. W ten nowy rok 1943 wcho-

¹² „Goniec Krakowski” — gazeta niemiecka wydawana w Krakowie w języku polskim, pogardliwie zwana „Podogoncem Krakowskim”.

¹³ Wojska włoskie poniosły klęskę już w grudniu 1940 roku. Od zupełnego pogromu uratowało je dopiero przybycie

dzę już z pewną ideą, której odtąd podporządkuję wszystko inne. I przez to czuję się jakby wyższy od przeciętnego zjadacza chleba, który myśli tylko o swoich interesach, a którym sam jeszcze byłem dwa tygodnie temu.

Od najmłodszych lat myślałem uparcie o chwili, w której znajdę się w wojsku. Nieoczekiwanie myśl ta spełniła się, choć nie w dosłowny sposób. Ale w ten nowy rok wchodzę mocniejszy wewnątrz: jest nareszcie po co żyć i działać!

Czekam z niecierpliwością jutrzejszej niedzieli. Mam zebranie z Jerzym, tj. z „Bronkiem”, na którym omówimy dalsze szczegóły pracy w Organizacji i szkolenia wojskowego.

Dziś byłem u Roberta. Okazało się, że wtedy znalazł się jak ostatnia ofierma, bo istotnie czekał na nas 27 grudnia, ale pomyliło mu się miejsce spotkania. Nie przypuszczałem, że może zawalić. Obiecywał, że na pewno się to nie powtórzy.

Przedtem jeszcze wstąpiłem do mieszkania Jerzego i znalazłem przeznaczoną dla mnie kartkę: „Bądźcie w niedzielę o czwartej, tam gdzie poprzednio. Spal”. Zapamiętawszy godzinę, uczyniłem, co należało. Mam trochę wprawy w tych rzeczach jeszcze z 1940 roku, tak że kartkę spaliłbym, nawet gdyby Jerzy tego nie napisał. Tak samo nigdy nie zapisuję żadnego adresu ani telefonu, bo gdyby coś takiego znaleźli, np. podczas obławy, od razu gestapo zabrałoby wszystkich z mieszkania, podejrzewając, że chodzi tu o Organizację. Słyszałem o wielu takich wypadkach od wuja,

w marcu następnego roku tzw. Korpusu Afrykańskiego gen. Rommla. To właśnie Niemcy w lecie 1942 roku „o mały włos nie zajęli Aleksandrii”.

który zawsze nakazywał mi jak największą ostrożność, tak jak z gazetkami. Niestety, on już nie żyje. Został rozstrzelany w Oświęcimiu 3 lipca 1941.

Spacerując z Robertem po mieście (dziś był za budą mając jakiś interes do załatwienia), wstąpiliśmy do znajomych, gdzie pewna pani nadmieniła, że w tych dniach ma się udać do obozu w Oświęcimiu jakaś misja, która będzie mogła doręczyć naszym więźniom różne nauszniki, rękawiczki itp. Jeżeli ktoś może ofiarować podobne przedmioty, przyjmuje je jedna z instytucji. Robert wysłuchawszy tego spokojnie zauważył, że jeżeli to jest aż tak powszechnie wiadome, to najprawdopodobniej całą historię aranżują Niemcy, którzy potem cały zebrany zapas pošlą swoim żołnierzom na front wschodni. W zeszłym roku było już podobno kilka takich wypadków. Nawet posprzeczali się o to z tą panią. Moim zdaniem Studziński ma słuszość. Jak na nieoficjalną misję, trochę za dużo o tym się mówi.

Rozdział II

W mroźne popołudnie jednej z pierwszych niedziel styczniowych 1943 roku Roman spacerował po niewielkim odcinku chodnika ul. Dietla, w pobliżu Krakowskiej. Ze zmarzniętymi rękami w kieszeniach starego płaszcza i w niedbale fasonowanym kapeluszu na głowie przedstawiał typ zgoła odmienny od wojennych elegantów, którym mimo ciężkich warunków bytowania ogółu dobrze się powodzi i którzy ubrani z reguły w buty z cholewami i nieskazitelnie zaprasowane bryczesy lekką ręką puszczają po knajpach „górale”.

— Takie kołtuny — myślał z usprawiedliwioną złością Zawada — dobrze się czują z pełnymi kieszeniami w szynku czy z kurwami, ale iluż z nich ma jakiś bardziej szlachetny cel niż codzienne kanty, i to nie tylko na szkodę Niemców. Czy takie dranie w ogóle pragną zmiany, mogąc kraść i chlać do woli? Wydaje mi się to więcej niż wątpliwe. Psiakrew, „Bronka” jakoś nie widać, choć jest już czwarta.

Rozmyślaniom tym położyli kres dwaj koledzy szkolni, wychodzący zza rogu bocznej ul. Bożego Ciała. Spotkanie z nimi było mu w tej chwili nie na rękę ze względu na możliwe zainteresowanie się przez nich osobą Jerzego, który mógł lada chwila nadejść. Wysłuchawszy kilku dowcipów, zdołał wreszcie ich spławić. Niemal w tej samej chwili nadszedł „Bronek”.

— Wyciągajmy dobrze kopyta, stary — rzucił na pewnej chwili. — Wstąpmy na moment do tej bramy.

Roman początkowo myślał, że w tym domu mieści się lokal, w którym odbędzie się zebranie Organizacji. Ale Jerzy nie poszedł dalej w głąb sieni.

— Poczekajmy chwilę — szepnął Zawadzie.

Minęło parę minut. Wreszcie obaj przyjaciele wyszli na ulicę i idą dalej w kierunku Wawelu. Tylko „Bronek” od czasu do czasu rzuca dookoła ukradkowe spojrzzenia.

„Wiktor”, z początku nie rozumiejący z tego wszystkiego wiele, przypomniał sobie nagle zdanie z książki opisującej walki rewolucyjne w Warszawie w 1905 roku: „O, ten chuderlawy, w cyklistówce, od dwóch dni włóczy się za nami i teraz też nas śledzi — mówił Wacław — ostrożnie oglądając się w tył. Dla mnie jednak całe to abecadło konspiracyjne było jeszcze niezrozumiałe”.

Zawada pomyślał, że owo abecadło nie jest już dla niego całkiem niezrozumiałe. Chcąc się upewnić, spytał „Bronka” wprost:

— Czy to może ten przechodzień w ciemnym palcie, granatowym kapeluszu i w cholewach?

— Tak! Skąd wiesz? — zdziwił się Jerzy — Może to nie jest żaden kapuś..., ale zdaje mi się, że widziałem go niedawno w towarzystwie jakiegoś gestapowca i lepiej żeby nie widział, dokąd za chwilę wejdziemy.

Zatrzymali się przed szkołą melioracyjną przy ul. Dietla 17. Tu Bieńkowski kilkakrotnie obejrzał się wokoło, po czym cicho uchylił bramę i weszli do środka. Na pytające spojrzenie Romana wyjaśnił szeptem:

— Wiesz, tu na razie mamy w niedzielę nasz lokal. Szkoła jest dla nas dobrą pokrywką, bo poprzednio



4. Fotokopie znaczków pocztowych wydanych w Wielkiej Brytanii przez polski rząd emigracyjny



5. Fragment koperty ze znaczkiem wydanym nielegalnie w Krakowie w 1943 r. wraz ze stemplem używanym w korespondencji międzyoddziałowej AK



6. Strona tytułowa konspiracyjnego „Dziennika Polskiego (obok)

Wiadomości wojenne.

Front zachodni. Raf. i polskie dywizyjony bombowcow zdobyły ciężkiego nalotu na Zagłębie Ruhry, wyradzając wielkie szkody i pożary, stakowano również part w Cherbourg. W dzień najdłuższe, bo 9 i pół godzin trwające naloty, objęły półn. Francję gdzie zbombardowano szeregi fabryk oraz elektrownie w Płan w Normandii. Z wypraw nie wróciło 11 bombowców i 4 myśliwców, zestrzelono 3 niemiecczyzny. Nad Anglią nie było nalotów. W labie Londów zakomunikowano urzędowo, że w czasie ostatniego nalotu na Lubek zburzono 3.000 domów a połowe centrum miasta zrównano z ziemią.

Front wschodni. Na froncie Leningradu stracili Niemcy w ciągu 10 dni 9.600 zabitych. Posłanie ich było ilany sprzet w samolotach czolgach i działach. Trwają równocześnie ataki na pozycje fińskie w rejonie jezior Ladoga i Onega, na północ od Smoleńska wojska gen. Żikowa wygrały 10 cio dniową bitwę, przełamano pierwsze linie niemieckie, dotarli do druzich Rosjanie zdobyli szereg miejscowości, na Ukrainie przeważnie zostały w dwu punktach linie niem., między Charkowem i Bielgoradem wojska ros. dotarły do linii kolejowej Charków-Kijów, na Kerczu atakują ros. formacje pancerne, wytorowały w czolgi angielskie, na morzu Barenta zatopiono niem. transportowiec, pod Murmańskiem zestrzelono w 10 dni 28 niem. samolotów. W ub. tygodniu zniszczono na całym froncie 320 niem. samolotów, straty ros. wynoszą 68 maszyn. W ciągu 4-ech tygodni straty niem. lotnictwa wynoszą 1203 aparaty, straty ros. 314 maszyn.

Front afrykański. Barze piżkowe uniemożliwiają działalność bojową i ograniczają tak widzialność że wzrosła działalność osi zbombardowały, właśnie kulami wojsk Raf zbombardowała Derna i Martuba, nad Maltą zestrzelono 8 samolotów osi. Od początku wojny zaistotono nad Maltą 500 aparatów osi, w tym połowe bombowców.

Front dalekiego wschodu. Samoloty sog. zniszczyły kolo wysp Andamańskich 13 jep. wodnopłotowców. W zatoce Bengalckiej wzrosła działalność lotnictwa alianców. W Brnie bez większych zmian, walki na całym froncie, nacisk jep. w kierunku północzodniem przybiera na sile. Wojska jep. dotarły na 50 mil od półn. safiowych. Ciężko zbombardowano jep. bazy w Kupang, Lech i Rabaul. Między twierdzą Corregidor a wyspą Cebu nawiązano komunikację, ataki jep. na Corregidor nie słabną, Ameryk. bombowce zbombardowały wojska jep. na wyspach Luzon i Mindasso oraz zatopili 7 transportowców kolo Filipin.

Wiadomości ze świata.

Polaka. Gen. Sikorski odbył narady z szefem sztabu USA gen. Marshallim, konferował również z wysłannikiem Roosevelta - Harvianem w sprawie dostaw dla armii polskiej. Z Kujbyszewa donoszą, że 10.000 wojsk polskich znajduje się w drodze do

Taherem, do Paryża przybyć ma 60.000-na armia polska. W wtorek odbyło się posiedzenie Rady Mi pod przewodnictwem gen. Sikorskiego przy udziale Prezydenta i p. szefu Rady Narodowej. Gen. Sikorski złożył sprawozdanie o podróży i narad w Stanach Zjednoczonych. Pada Minartów przyjął sprawozdanie, wyrażając podziękowanie gen. Sikorskiemu za realizację zadań polityki polskiej.

Anglia. W Londynie kontynuowane są obrady sztabów, które według opiniojeji racia amerykańskiego, mają decydujące znaczenie w nakrytyczności z historią i swobodę chwili, krytycznej dlatego iż wiodło: kontenia się rolę Niemiec i państw sprzymierzonych. Przez dwa lata inicjatywę miały Niemcy, w czasie następną przeszają w ręce Rosjan. Gen. Marshall jest zwolennikiem ofensywy przeciw Niemcom, odbyła na naradzie z Churchillim, ministrami zapatrzenia dowódcami wszystkich gatunków b. osi i szefami rządów przebywających w Londynie. Zapowiedziane są narady z dowódcą korpusu wojsk alianców, któremu podlegać mają wszystkie wojska alianców, od przyładka Półn. po Gibraltar. Niemcy. Na czołowiec i z niem. dowódców na froncie wach dniem marsz. Ruostedt wyjechał do głównej kwatery we Francji, został bowiem mianowany głównym dowódcą wojsk niem. we Francji bezczepych 25 dywizji. Nominacja ta jest nader zmienną dowódcą, bowiem, iż Hitler liczy się z możliwością powstania frontu na Zachodzie, wbrew swej obecnej deklaracji głoszącej iż wojna na Zachodzie jest nieodwołalnie zakńczona.

Francja. Nazisk Hitlera na marsz. Petain'a, które ma swoje czono proponował wyostrzenie bez względu na stanowisko narodu Francuskiego, d. i. dzień relacje wywiel. ośrobinie zmian w rządzie i proces w Paryżu. Ob. jak do osca z Vichy. Laval został mianowany szefem rządu, odpowiedzialnym tylko przed Petainem, który pozostaje szefem państwa. Rządowi sztabu przewodniczyć będzie Laval a nie Petain. Adm. Darlan nie wchodzi w skład rządu, został mianowany niezależnym dowódcą sił lądowych, morskich i powietrznych. Zmiany te, przeprowadzone na tydzień Hitlera przekształciły Francję w państwo, w którym totalitaryzm i zalszym zupełnym od Niemiec. Wnio. do rządu jest nadal Vichy. P. Petain wczorajowiec przeszedł proces w Paryżu i wyznanie winy, obrzy dla Hitlera. W wywiadzie zredagowanym United Press, Laval oświadczył iż będzie chciał utrzymać przyjazne stosunki z Niemcami. Stwierdził jep., wyraził nadzieję, że może uda mu się zawrzeć pokój z Niemcami, a rządzenie Alzacji i Lotaryngi zaliczyć może tylko przyjeździe francuskie. Rząd i press USA zajęły zdecydowane i wrogie stanowisko wobec tych zmian, Stener Welle zakomunikował o otrzymaniu raportu od ambasadora USA Luby z Vichy i zapowiedział wstrzymanie wszelkich transportów do Francji i półn. Afryki a do wyklarzenia sprawy. Dzienniki zadają, by w odc. wyjeździe udzielić oficjalnego poparcia ruchowi wojsk Francuzów.

W PIĄTKI NIKT NIĘ CZYTA PRASY GADZINOWEJ.



BIULETYN

*informacyjny
małopolski*

Rok II.

20 czerwca 1943 r.

Nr 22 (67)

KOMUNIKAT.

W jednej z miejscowości na terenie Małopolski oddział Sił Zbrojnych udzieleniem na więzienie uwolnił 8 więźniów.

W walce trwającej ponad godzinę nieprzyjaciół poniósł znaczne straty. Własne straty nikłe.

OKR. KIEROWNICTWO WALKI KONSPIRACYJNEJ.

7. Fragment strony tytułowej „Biuletynu Informacyjnego Małopolskiego” (Bim), drukowanego w Krakowie



8. Fragment strony tytułowej „Małopolskiego Biuletynu Informacyjnego”

ZORZA WOLNOŚCI SIĘ PALI NAD POLSKĄ IDĄCYCH LAT,
MOC NASZA PRZEMOC POWALI NOWY DZIŚ RODZI SIĘ ŚWIAT

 MAŁOPOLSKI
BIULETYN INFORMACYJNY

Rok II.

14 listopada 1943 r.

Nr 43 (87)

OGŁOSZENIE.

1. K. W. P. komunikuje, że rozsyłane ostatnio do różnych osób narodowości polskiej pisma pod formą rozmaitych organizacji niepodległościowych jak »Polska Organizacja Walki Zbrojnej«, »T. Z. O. P.«, »Ligi Związków Obrony Polski«, Z.W.C. 3- »Kierownik Walki Podziemnej«, »Komenda Konspiracyjna«, Komendant Placówek Czardasz Btm«, i tp. zawiadamiające adresatów o wyrokach, wzywające do składania ofiar pieniężnych, nakładające kontrybucję, ostrzegające przed przechowywaniem u kryjących się przed władzami niem., i tp. są akcją samowolną i bezprawną.

2. K. W. P. stwierdza, że ono tylko jest uprawnione do kierowania polską akcją obronną przeciw terrorowi niemieckiemu, do wydawania zarządzeń odnośnych. W związku z tym przestrzega się przed podejmowaniem akcji samowolnych.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ

DER SOLDAT

abgang III. Nr. 117

November 1941

5 Minuten vor Zwölf

Schon von Anfang Juli an ist die Lage an der Ostfront immer schlimmer und schlimmer geworden. Zuerst gelangte das O.K.W. sich auf der Linie Mariupol, Makiw, Kyrsk, Orel festzusetzen. Trotz hitziger Gegenwehr der deutschen Truppen liess sich, wie wir wissen, diese Linie nicht halten. Aber jeder von uns ist überzeugt, dass wir wenigstens die zweite Verteidigungslinie, die Dnjepr-Linie, bis weiteres halten könnten. Der Fall von Kremenchuk und Dniopropetrowsk erweckt die ersten Besorgnisse in dieser Welt. Die Eroberung des Perekop hatte wiederum die Einschliessung unserer Verbände auf der Krim zur Folge. Aber es klar geworden ist, dass die Krim-Armee ebenso wie seinerzeit die Stalinrad-Armee von Hitler bereits abgesetzt und geopfert worden ist. Die grösste Niederlage aber bedeutet der Verlust von Kiew, womit die endgültige Entscheidung über die Dnjepr-Linie gefallen ist. Trotz grösster Anstrengungen können wir es nicht vermeiden, dass wir Kilometer um Kilometer an Boden verlieren, trotzdem wir genau wissen, dass wir in unserem Rücken keine so ausgezeichnete Verteidigungslinie wie den Dnjepr mehr besitzen.

Mit Entsetzen denken wir daran, welchem Ende die gegenwärtige Lage immer schneller zustrebt. Denn wenn wir uns zurückziehen, so tun wir es nicht deshalb, weil der deutsche Soldat nicht kämpfen will oder könnte, sondern, weil eben die weissen eine ungeheure Überlegenheit an Menschen, wie auch an Material, besonders an Panzern und Flugzeugen aus Feld stellen. Wir werden zurückgedrängt, weil in Ostfront geschwächt worden ist dadurch, dass man Truppen nach dem Süden beorderte hat.

Verräterischer Eigennutz der Parteihäuptlinge.

Dafür, dass die Parteiwörterträger alles das im Arsch haben was nicht in ihrem eigenen Interesse liegt, gibt es so viele Beweise dass es sich gar nicht verlohnt würde, darüber zu berichten. In jedoch, was jetzt passiert ist, ist ungeheuerlich, wirft ein so grell Schlaglicht auf den tierischen Egoismus dieser Meute, dass es nicht verschwiegen werden kann und das Bekanntlich ist die Lage im Süden schnitt der Ostfront so kritisch, dass der Armee Manstein die vollständig Abschneidung droht. Die einzige Rettung besteht in der Zurückziehung der im Dniepbogen eingesetzten Divisionen. Da aber Manstein trotz vieler Hilferufe eine genügende Anzahl Transporthilfsgeräte zu Zwecke der Zurückführung seiner Armee aus dem bedrohten Abschnitt

9. Strona tytułowa dywersyjnego pisma „Der Soldat” kolportowanego wśród żołnierzy niemieckich w ramach akcji „enowej”



w niedzielę rano i po południu schodzili się tu koledzy syna dyrektora i grali w karty, uczyli się itd. Myśmy z tego skorzystali, bo tercjan przyzwyczał się już do ruchu w niedzielę, ale chodźmy lepiej cicho. Schody skrzypią jak jasna cholera, a lepiej się dziadowi na oczy nie pokazywać.

Weszli na drugie piętro. „Bronek” zapukał kilkakrotnie w umówiony sposób w odrapane brązowe drzwi. Otworzył niski muskularny jegomość, liczący około trzydziestu lat.

— Czołem! — rzucił na powitanie, po czym spojrział przenikliwie na Romana. — Zaprzysiężony?

— Tak jest.

— Pozwólcie tutaj — i jegomość wskazał drzwi na prawo.

Znaleźli się w ciemnym korytarzu, z którego wychodziło kilkoro drzwi do klas szkolnych. Można było wyczuć charakterystyczną atmosferę spisku. Mimo względnej ciszy okazało się, że w klasie jest obecnych co najmniej kilkunastu ludzi, rozmawiających przytłumionymi głosami.

— Poczekaj, zaraz przyjdę — rzucił „Bronek”, wprowadzając Zawadę do wskazanej klasy, po czym zniknął za sąsiednimi drzwiami.

Roman usiadł na ławce. Wyraźniej niż na korytarzu słyhać było urywki rozmów prowadzonych za ścianą. Jakiś przyciszony głos powtarzał za drugim, ledwo dosłyszalnym: „...że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o wyzwolenie Jej z niewoli walczył będę...”

— Aha, zaprzysiężenie — pomyślał Roman. Zza drugiej ściany dobiegło jeszcze wyraźniej: „rozpoczynamy akcję kompletowania batalionów szturmowych...”

Po chwili w drzwiach stanął średniego wzrostu, szczupły, młody mężczyzna w okularach i zdjąwszy płaszcz podszedł do Zawady z wyciągniętą ręką:

— Jestem „Jastrząb”.

— „Wiktor” — przedstawił się Zawada swoim „nom de guerre”¹. — Przypominam sobie, że widziałem was 27 grudnia, jak mijaliśmy się na Miodowej.

— Zgadza się. Z polecenia „Bronka” będziecie należeli do mojej sekcji.

Roman silnie uściśnął dłoń zwierzchnika. W trakcie rozmowy nadeszło trzech młodych ludzi i rozpoczął się pierwszy wykład, prowadzony przez „Jastrzębia”, o karabinie wojskowym mauser² wz. 98. Słuchacze pilnie chłonęli każde słowo wykładającego. Roman zauważył wielkie skupienie na twarzach i przejęcie, z jakim powtarzali półgłosem słyszane często pierwszy raz takie terminy techniczne, jak samoczynny bezpiecznik, iglica, opory ryglowe i inne.

Słowa te dla „Wiktora” nie były żadną nowością. Ojciec, oficer rezerwy Wojska Polskiego, miał w domu dwa rewolwery i karabin, pozostałe jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Dla młodego chłopca broń jest zawsze wielką atrakcją. Ojciec mając dobry humor i wolny czas wyciągał broń z zamknięcia pod kluczem i pokazywał ją dokładnie siedmioletniemu Romanowi, który z upodobaniem rozbierał zamek, ucząc się mimo woli nazw części, a także sposobu celowania. Skutkiem tego zarówno karabin, jak i pistolet mauser 7,65 mm były od dawna chłopcu znane.

Gdy miał siedem lat, ojciec zabierał go czasem na

¹ Dosłownie: wojenne nazwisko, tj. pseudonim.

² Od nazwiska niemieckiego konstruktora broni Wilhelma Mausera (1834—1882).

strzelnicę sportową, gdzie szybko nauczył się strzelać z małokalibrowego karabinka. Mimo że niektóre modele flobertu przy strzale musiał trzymać trochę nieprzepisowo (miał jeszcze za krótkie palce, aby dosięgnąć spustu), już w jesieni 1933 roku trafił z odległości 25 metrów swoją pierwszą „dziesiątkę”. Często zaś strzelał „siódemki” i „ósemki”.

Śmierć ojca przerwała te przyjemności. Pozostały po nim książki z cyklu *Szkoła junaka*, które Roman często czytywał, oraz wiele zeszytów „Bellony”³, gdzie znów roilo się od słów w rodzaju „manewr taktyczny”, „działania artylerii polowej w bitwie nad Marną”⁴, „zużycie amunicji w wojnie światowej” i innych. Karabin i „siódemkę” mausera zabrał wtedy wuj chłopca, zamordowany przed dwoma laty w Oświęcimiu. Drugi rewolwer, francuski bębenkowiec, został schowany w 1939 roku.

Z objaśnień ojca o broni palnej chłopiec zapamiętał doskonale niemal wszystko, a głównie dwie podstawowe zasady: „Gdy kiedyś będziesz polskim żołnierzem, szanuj swoją broń i czyść ją jak najczęściej, a nigdy cię nie zawiedzie”, oraz drugą: „Choćbyś miał tyle lat co ja, zerznę ci skórę, gdybym się dowiedział, że kiedyś celowałeś z nie nabitej broni do kogoś dla zabawy”.

Roman przypominał sobie te słowa, słuchając wykładu „Jastrzębia”. W pewnym momencie poprawił nawet wykładającego, sprostowawszy nieścisłość, drobną zresztą, w jego wyjaśnieniach. „Jastrzęb” kiwnął pota-

³ Tytuł wydawanego w Polsce w latach 1919—1939 czasopisma wojskowego.

⁴ Zwycięska dla Francuzów bitwa nad rzeką Marną w okresie I wojny światowej (6—9 IX 1914), w której powstrzymali natarcie wojsk niemieckich na Paryż.

kującą głową. Po chwili wykład został zakończony. Jak się okazało, trzech pozostali chłopcy byli zaprzysiężeni wcześniej niż „Wiktor”, uczestniczyli jednak dopiero w dwóch wykładach. Nie znać było zresztą, aby Zawada miał jakieś zaległości.

Za chwilę wszedł „Broniek”. Po wyjściu trzech pozostałych rozmawiał z „Jastrzębiem”, po czym zwrócił się do „Wiktora”:

— Wpadnij do mnie jeszcze w tym tygodniu. Na razie czołem, stary!

— Czołem, cześć!

„Wiktor” wyszedł z „Jastrzębiem”, ostrożnie schodząc schodami w dół.

— Nikogo, walmy śmiało!

Wyszedszy z bramy szkoły poszli w ul. Krakowską, kierując się w stronę pl. Nowego i ul. Starowiśniej. Po drodze rozmawiali i „Wiktor” odpowiedział na kilka pytań „Jastrzębia”, dotyczących jego orientacji w sprawach wojskowych. Dalsza rozmowa przekształciła się niebawem w konkretną naradę. Minęli dwa patrole policyjne. Ustaliwszy termin spotkania w tygodniu, niezależnie od przyszłej niedzieli, pożegnali się mocnym uściskiem dłoni.

*

Wstawał późny styczniowy świt. Pierwszy brzask dnia przedarł się przez ołowianoszare chmury. Niebawem można już było wyraźnie rozróżnić drobne litery druku na małym afiszu, który czyjeś tajemnicze ręce nalepiły poprzedniego dnia przed samą godziną policyjną. Szybko zebrała się spora grupa przechodniów czytających ogłoszenie podziemnych władz polskich. Lecz po pewnym czasie rozbiegli się na wszystkie strony,

do kiosku podszedł bowiem dwuosobowy patrol Schupo⁵ i zdarł prawie cały tekst. Mimo to na kiosku przy ul. Brzozowej długo jeszcze można było odróżnić słowa: „...w okresie rozpadającego się trupa niemieckiego wzywamy wszystkich zainteresowanych do bojkotowania akcji okupanta w werbowaniu stammdeutsche⁶...”

26 stycznia 1943

Robert zaczyna mnie denerwować. Już trzeci raz w tym tygodniu jestem u niego i nie mogę go zastać w domu. Wygląda na to, że żałuje swej zbyt pochopnej zgody na wstąpienie do Organizacji, patrząc, jak by się z tego wykipić.

Jak na takiego chłopca z wiary — to nie do wiary...

Wczoraj znów byłem na „sobótkach” (zebrania Organizacji). Znajduję się w kompletowanej właśnie sekcji, której dowódcą jest „Jastrząb”. Szkoda, że nie „Broniek”, tak jak zanosilo się poprzednio. Mniejsza z tym, walić Szwabów i tak na pewno będziemy razem. A chodzi przecież głównie o to, a nie o to, w jakiej się jest sekcji.

Na „sobótkach” dostałem polecenie zwerbowania dwóch nowych ludzi. Jednym będzie Studziński (może jednak uda się go wciągnąć), drugim kolega szkolny — Targowski, którego znam od początku wojny i który

⁵ Skrót od Schutzpolizei — policja ochronna, która wchodziła w skład umundurowanej policji porządkowej — Ordnungspolizei (Orpo).

⁶ W pierwszej połowie 1942 roku rozpoczęli Niemcy akcję wyszukiwania i rejestrowania tzw. Deutschstämmige lub Stammdeutsche, czyli osób, w których rodzinie co najmniej jeden z dziadków był pochodzenia niemieckiego.

nieraz powtarzał mi różne wiadomości z radia. Ojciec jego zginął na wojnie w 1939 roku, więc syn chyba nie jest na usługach gestapo.

Dziś byłem u niego i wreszcie znalazłem tam Studzińskiego. Obaj przyjaciele siedzieli przy migocącym ogarku świecy (nafty akurat zabrakło w pasku ⁷) i jechali na ulubionym koniku Targowskiego: literaturze polskiej epoki romantyzmu. Początkowo zamierzałem od razu przystąpić do rzeczy, ale wstrzymałem się. Ciche westchnienie dało mi znać, że w pokoju jest jeszcze ktoś trzeci, kogo z powodu ciemności nie mogłem dostrzec. Był to kolega mało nam znany. Nie przywitał się ze mną, gdyż nie interesując się literaturą usnął w najlepsze.

Nie chciałem mówić o Organizacji przy Studzińskim i poczekałem, aż wyszedł. Jutro wyjaśnię z nim osobno, dlaczego nie mogłem go znaleźć przez dwa tygodnie. Targowski zaś chętnie zgodził się na wstąpienie do ZWZ, dodał przy tym, że nie chce być gorszy od swego ojca, który w czasie pierwszej wojny był w Warszawie w POW ⁸. Brawo!

W tych dniach literat Eugeniusz Kolanko, pisujący dowcipne wiersze w „Ilustrowanym Kurierze”, tzw. polskim ⁹, urządził niezły kawał; w najnowszym numerze IKP na ostatniej stronie znajduje się jego wiersz, z którego pamiętam tylko jedną zwrotkę.

⁷ Tj. na „czarnym rynku”.

⁸ Konspiracyjna organizacja utworzona w 1914 roku przez Józefa Piłsudskiego na terenie zaboru rosyjskiego. Później działała również w Galicji i w Poznańskim.

⁹ „Ilustrowany Kurier Polski” — niemiecki tygodnik wydawany w języku polskim w Krakowie.

Poeci familijni, moja twórcza młodość
Obciąża was, że macie w łbach nawet pstro dość.
Lamus łatwiutkich rymów, mój powali go cios,
A nuże, nie pomoże nam wpływowych sto cioć.
Cacy, cacy... Z poezjami
Yacht płynie. Hej, wywyższa go los...

Cały wic polegał na tym, że pierwsze litery wiersza czytane z góry na dół dały słowa: „Polacy, Sikorski działa!”

Kawał w tym stylu urządził ktoś jeszcze w maju 1940 roku. W „Podogońcu” ukazało się ogłoszenie: „Specjalista Władysław Sikorski garbuje skóry dzikich zwierząt. Specjalność: iberalesy¹⁰, Krakau, Veit Stoss Str. 34”. Było wtedy, tak jak dziś, dużo śmiechu z głupoty cenzury niemieckiej, która przepuściła takie rzeczy. Podobno za dzisiejszy numer IKP płacono w pasku już po sto złotych.

Eugeniusz Kolaniko po napisaniu tego wiersza — jak mówią — zaraz zwiął, bo natychmiast przyszło po niego gestapo. Prawdopodobnie wcale nie za ten wiersz, on napisał go widać „na pożegnanie”. Chciałbym kiedyś po wojnie, o ile się tego doczekam, poznać tego literata i osobiście wyrazić mu swe uznanie. Prawdopodobnie jest to mój kolega „po fachu”, który wie coś niecoś o Organizacji. Wydaje mi się to niemal pewne...

31 stycznia 1943

Rosjanie na froncie wschodnim posuwają się naprzód. Wygrali długotrwałą bitwę materiałową w łuku

¹⁰ Pogardliwa nazwa Niemców wywodząca się od początkowych słów hymnu „Deutschland, Deutschland über Alles” (Niemcy, Niemcy ponad wszystko).

Dońca, zajmując szereg miejscowości w Zagłębiu Donieckim (uczyłem się w „handlówce” na geografii, że są tam wielkie kopalnie węgla i fabryki metalurgiczne wybudowane już za rządów bolszewickich), i dochodzą do Donu, na północ od tego Zagłębia. Jednocześnie cała VI armia niemiecka znajduje się jeszcze pod Stalingradem i jest już prawie całkiem odcięta¹¹. Zimowa ofensywa rosyjska zaczęła się jeszcze w listopadzie i jak dotąd stale posuwa się naprzód. Nareszcie Szwaby zaczynają porządnie brać w skórę.

Nieobecność Roberta i niestawienie się na ostatnie spotkanie w niedzielę wyjaśniły się: poznał dwu volksdeutscheów, od których miał okazję kupić spluwę. Przydałaby się na lanie Niemców, bo od przybytku głowa nie boli. Wrócił do domu o pierwszej w nocy (ci „przyjaciele interesu”, tj. die Geschäftsfreuden, odwieźli go autem), a rodziców zbujał, że niemieccy żołnierze złapali go w południe i musiał służyć za tłumacza. Interes jednak nie doszedł do skutku. Spluwę już ktoś podkupił, i to tanio, bo za tysiąc zł, gdy przeważnie kosztuje najmniej dwa. Szkoda.

Idąc dziś na „sobótki” zastanawiałem się nad największym niebezpieczeństwem, jakie przedstawiają dla Organizacji różni konfidenti gestapo. Taki łotr, szpicel albo inaczej prowokator, przeważnie nie ogranicza się do śledzenia miejsc podejrzanych przez Niemców, ale często, jeżeli ma znajomych, którzy nic o nim nie wiedzą, stara się dostać do Organizacji, udając najlepszego Polaka. Często nawet przyniesie spluwę i w ogóle za-

¹¹ VI armia niemiecka pod Stalingradem otoczona została całkowicie już 23 listopada, w dniu zaś, w którym autor sporządził tę notatkę, znajdowała się w przededniu kapitulacji (2 II 1943).

chowuje się w sposób nie wzbudzający podejrzeń. Dopiero kiedy dowie się nazwisk, następuje fala aresztowań i rewizji, po których, nawet jeżeli Niemcy niczego nie znajdują, rozpoczynają się tortury i wysyłanie podejrzanych do obozów koncentracyjnych. Kapuś zaś wędruje dalej.

Nie przypuszczam, żeby tym volksdeutschom zależało na wsypaniu Roberta, który chciał kupić od nich rewolwer; tego rodzaju transakcje z żołnierzami są na porządku dziennym, a zresztą oni sami też narażają się na surowe kary wymierzane w takich wypadkach przez niemiecki sąd wojskowy, więc nie chwalą się tym handlem. Należy jednak zawsze zachowywać jak największą ostrożność.

3 lutego 1943

Robert zajmuje się wyszukiwaniem nowych kandydatów, choć sam nie jest jeszcze zaprzysiężony. Powstrzymuję go nawet, przypominając mu stale, że nie jesteśmy knajpą, gdzie każdy ma wstęp, tylko instytucją, która musi unikać światła dziennego i nad którą nie od dziś łamie sobie głowy komplet 10 rodzajów niemieckiej policji z gestapo na czele. Choć porządnie wysilają się, na ogół niewielkie są wyniki ich trudów. Mimo dość częstych aresztowań od lat nie mogą wytepić naszych ludzi.

Postanowiłem razem z Robertem przeprowadzać werbunek w ten sposób: nie działać na ślepo, tylko zastanowić się dokładnie nad każdym kandydatem, o ile znamy go obaj, i obserwować go co najmniej przez miesiąc, dwa. Jeżeli przez ten czas nie zauważymy żadnych podejrzanych słów ani postępowania, dopiero wte-

dy można zaproponować wstąpienie do Organizacji. Na razie Studziński ma zająć się dwoma upatrzonymi, których będzie pilnował przez miesiąc, mniej więcej do połowy marca. Są nimi dwaj dawni nasi koledzy szkolni: Barański i Wallner. Trzeba będzie dokładnie uważać na nich. Sam nie mówiłem z nimi już ze dwa lata, ale Robert zna ich lepiej.

Rozdział III

Chmury wisiały nisko nad ziemią, zda się dotykając swymi opasłymi brzuchami dachów kamienic. Raz po raz od zachodu zrywał się zimny lutowy wicher, strącając nielicznym przechodniom nakrycia z głów. Lodowaty deszcz smagał ziemię pokrytą kałużami i topniejącymi z każdą chwilą resztkami śniegu.

Mimo zbliżającego się właśnie południa panowała niemal wieczorna ciemność, choć chwilami wiatr odpędzał chmury, ukazując na moment skrawek nieba. Potem znów wszystko zasnuwało się ołowianoszarą mgłą. Przejmujące, wilgotne zimno, przenikające najcieplejsze ubrania, odstraszało od spacerów nawet zagorzałych zwolenników świeżego powietrza, a wicher właczał po prostu od gardła wypowiedane słowa.

Mimo to dwóch młodych ludzi, brnących po błocie zalegającym wał wiślany pod Wawelem, zdawało się nie zwracać najmniejszej uwagi na pogodę. To Studziński i Zawada szli w milczeniu obok siebie, zastanawiając się nad dzisiejszą odprawą z udziałem oficera inspekcyjnego.

— Hm! dziś jesteśmy w wyjątkowej sytuacji — myślał Roman nad otrzymanym na odprawie rozkazem — bo właśnie konieczna będzie do jego wykonania jak największa ciekawość, która zazwyczaj jest całkiem zbędna.

— Jak ci się podoba ta „robota”? — spytał w pewnej chwili Studzińskiego.

— Elegancka. Chyba damy sobie radę — odpowiedział kolega, przekrzykując szum wichru.

Były to niemal jedyne słowa, które zamienili w czasie długiego marszu od chwili wyjścia z „lokalu”. Przeszedłszy most Dębnicki przystanęli na chwilę na rogu ul. Madalińskiego i Roman chciał już ruszyć przed siebie, gdy nagle Studziński lekko trącił go w ramię.

— Lepiej idź wałem...

W odległości może 100 metrów, w ul. Konopnickiej, dostrzegli jakieś poruszenie. Mundury, cywile, auta...

— Psiakrew, że też dranie nawet przy takiej pogodzie i w niedzielę nie dają ludziom spokoju. Obława!

Zawada pożegnawszy się z kolegą wszedł po chwili na wał przez wąską ul. Zamkową. Zapiął szczelnie płaszcz i zaraz po wyjściu na otwartą przestrzeń omal nie upadł uderzony potężnym podmuchem wiatru od Wisły. Kroczył jednak twardo, nie bacząc na przejmujące zimno ani błoto, oblepiające grubą warstwą buty. Czuł jakby lekki dreszcz strachu i rozkoszy zarazem. Ot, coś podobnego do uczucia zaznanego po raz pierwszy zeszłej wiosny, gdy po całej serii pocałunków i innych przyjemności dosłyszał wreszcie od chylącej mu się w objęcia kobiety magiczne słowa: „chodź...”

Błoto miękko rozstępowało się pod butami, a Roman odtwarzał w myśli dzisiejszą inspekcję przeprowadzoną na cotygodniowym zebraniu... Zaprzysiężenie „Grześka” (Studzińskiego), „Bolida” (Marczyka) i „Skobla” (Korczyńskiego)... Po nim wszedł „Jastrząb” w towarzystwie trzech młodzieńców.

— „Berg”¹, to właśnie ci trzej...

¹ Drugi pseudonim Jerzego Bieńkowskiego, „Bronka”.

— Jak się nazywacie?

— „Kanner” — przedstawił się niski, krępy blondyn w okularach, patrząc uważnie na Zawadę.

— „Wulkan” — rzekł drugi, młody szczupły brunet o inteligentnej twarzy, wyciągając drżącą z powstrzymanego wzruszenia dłoń do pozostałych.

— „Słowik” — oznajmił i podał rękę trzeci z przybyłych, brunet o czarnych oczach i równych białych zębach.

— Roman — zwrócił się „Berg” do Zawady rozmawiającego z „Kannerem”, w którym tenże poznał znajomego z widzenia — a ty jakie właściwie masz pseudo?

— „Wiktor”.

„Jastrząb” włączył do swej sekcji „Bolida” i „Grześka”, po czym wyszli. Roman z zadowoleniem przekonał się, że pozostanie jednak razem z „Bergiem”.

— Ile macie lat, panowie?

— Siedemnaście, dziewiętnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, siedemnaście — podali kolejno wiek „Wulkan”, „Słowik”, „Kanner”, „Skobel” i „Wiktor”.

— Panowie, organizujemy sekcję...

Nastąpiło dalsze omawianie składu organizacyjnego jednostek. W pewnej chwili w drzwiach stanął starszy mężczyzna, bacznie rozejrzał się po zgromadzonych...

— Kapitan — mruknął cicho „Berg”.

Przybyły począł rozmawiać z chłopcami, zadając im rozmaite pytania z zakresu nabytych uprzednio od „Berga” i „Jastrzębia” wiadomości.

— Różnica między zwykłą armią a naszą Organizacją, która niedawno temu została z rozkazu Sikorskiego przemianowana na normalne Wojsko Polskie, polega na tym, że tam trzy plutony tworzą kompanię,

a u nas pododcinek. Ale potem, wyżej, w wojsku trzy kompanie tworzą batalion, a u nas na jednym odcinku może być i kilkanaście pododcinków. Zależy to od terenu, panowie.

*

Roman obejrzał się. Zdawało mu się, że ktoś za nim idzie. Nie, to złudzenie. Minął już widoczną z daleka obławę na rogu Barskiej i Konopnickiej i brnął dalej w stronę Podgórza, wspominając następne słowa oficera:

— Prowadzimy stałe rozpoznanie różnych obiektów wojskowych w mieście. Jest już ustalona liczba ludzi potrzebnych do zdobycia każdego z nich. I wy też wkrótce razem z innymi sekcjami dostaniecie swój cel, który będziecie zdobywać w powstaniu. Niebawem będą nam potrzebni ludzie do rozmaitych odpowiedzialnych zadań, bo na razie tylko szkolimy się.

Korzystając z przerwy „Wiktor” i „Skobel”, a za nimi reszta, poprosili o jakąś pracę dla Organizacji.

— Zaraz, panowie, tylko jeszcze trochę pogadamy. Wyglądacie na „chłopów z jajami”, choć strasznie młodo.

— A czy kiedyś można by o Organizacji powiedzieć rodzicom? Zyskałoby się przez to większą swobodę.

— Hm, jeżeli macie morowych rodziców, to tak. Ale matce lepiej nie mówić, bo kobieta łatwiej ulega obawie o bliskich niż mężczyzna. Ja należę od trzech lat — ciągnął oficer — a moja żona do dziś nic nie wie. Oczywiście, jestem jej najzupełniej pewny, ale niech no powiem na przykład, że wrócę o szóstej, a przyjdę dwie minuty po godzinie policyjnej, to zaraz będzie: „Jezus

Maria, zabrali go, zabili!". Panowie, bądźcie ostrożni z tym, co mówicie wobec dziewcząt. W takim właśnie wieku, w jakim jesteście, człowiek dojrzewa seksualnie i może nieraz popełnić coś, czego potem żałuje.

Roman zszedł z wału i pośliznąwszy się na nasypie, zamykającym dawne ujście Wilgi, wyszedł na ul. Barską, kończącą się na betonowym moście, nad będącym w budowie kanałem spławnym. Wicher dał dalej z niewyczerpaną siłą i co chwilę rytmicznie podnosił blachę na dachach domów. Roman był już blisko celu, do którego dążył. Wspominał dalej zakończenie odprawy i polecenia kapitana, które z własnej woli podjęli się wykonać.

— Weźmy taki przykład. — Sześciu młodzieńców chłonęło każde słowo dowódcy. — Jest młody chłopiec w Organizacji i poznaje ładną pannę, dajmy na to Halę, na której mu zależy. Chce jej zaimponować. Przez pewien czas może nawet i walczy z sobą, ale w końcu zwierza się jej: „Wiesz co, Halu, ja należę do tajnej organizacji”. No i w wielu wypadkach można tym kogoś zainteresować. Dobrze jeszcze, jeżeli Hala nie będzie konfidentką (tu oficer wymienił dwie kobiety na usługach gestapo, niedawno wykryte przez Organizację). Idziemy jednak dalej: Hala znudziła mu się i na jakiejś zabawie nie chce z nią tańczyć, lecz przystawia się do innej. Wtedy ta pierwsza myśli: „Aha, jeżeli on mnie puszcza w trąbę, to ja się zemszczę na nim”. Kobiety, proszę panów, są nieraz nieobliczalne, gdy chodzi o mężczyznę.

Panowie, niech was Bóg broni, żeby cokolwiek mówić o Organizacji. Jakby się coś doniosło do gestapo — no to wiecie, że za zdradę jest kara śmierci, a my mamy długie ręce... A jeżeliby ktoś z was wpadł, to pa-

miętajcie, choćby nie wiem jak bili...; Niemcy nie wiedzą o nas prawie nic i często „sypią piasek w oczy”. Wypierać się, choćby was ktoś wsypał. Niedawno nakryli dwóch od nas (z donosu jednego skurwysyna) i ci tak długo się wszystkiego wypierali, że — choć to na ogół rzadki wypadek — wyszli. No, dwa tygodnie nie mogli usiąść.

Panowie, znalazłoby się specjalne zadanie. Trzeba by zrobić mały wywiad w różnych obiektach wojskowych: liczba żołnierzy, uzbrojenie, tabory, tryb życia załogi, no, rozumiecie? Takie wywiady są bardzo ważne dla przyszłych akcji. Tu mam spis obiektów, niech każdy sam sobie wybierze. Czy możecie się tego podjąć i dać wyniki „Bergowi” najpóźniej do jutra?

— Tak — brzmiała jednogłośnie odpowiedź. Po czym koledzy poczęli ostrożnie wychodzić z „lokalu”, aby wykonać swe pierwsze zadanie.

Roman od dłuższej już chwili kręcił się w pobliżu koszar przy ul. Czackiego w Podgórzu, pilnie obserwując niewielki budynek. Starał się uważać na wartownika, bacząc jednocześnie, by nie zwrócić na siebie jego przenikliwego spojrzenia; młodzieniec kręcący się przy ohydnej pogodzie w pobliżu koszar wojska w okupowanym kraju już samą swą obecnością wzbudzał w Niemcach podejrzenia.

Z wolna szedł wzdłuż drewnianego ogrodzenia.

— Cholera — mrucał — pusto dookoła i, zdaje się, wewnątrz jak na Saharze. Żeby choć stanąć w którejś z bram... Ale nie, bo to są małe domy i już to samo zwróciłoby czyjaś uwagę.

Zatarł zmarznięte ręce i spojrzał w okna koszar. Od czasu do czasu przesuwały się tam postacie, które „Wiktor” skrupulatnie liczył. A nie było to łatwe! Złe

oświetlenie i seryjne mundury czyniły wszystkich żołnierzy niemal jednakowymi.

Z koszar wyszli dwaj żołnierze i minęli chłopca, patrząc przez chwilę na niego. Roman poczuł niezbyt przyjemne ściśnięcie w dołku, lecz zagryzł wargi i dalej prowadził obserwację obiektu. Mimo pozornej łatwości zadanie okazało się wcale skomplikowane.

— Cholera, jak to trudno najgłupszą rzecz wyniucać, a człowiekowi zdaje się, że cały świat do niego należy.

Chmury rozsunały się nieco, ukazując na moment skrawek jaśniejszego nieba. Wiatr jakby trochę przycichł. Zawada oderwał na sekundę wzrok od koszar, z których znów wyszło trzech Niemców, i spojrzał w stronę ul. Krasickiego, wpatrując się w jakąś nadchodzącą pannę. Była jeszcze oddalona od niego może o pięćdziesiąt kroków, ale mimo dzielącej ich odległości i grubego zimowego płaszcza zauważył zgrabną sylwetkę i ładną twarz nadchodzącej. Znów spojrzał na koszary.

— Hallo, du, was machst du hier? ² — zagrzmiało niemal nad uchem pytanie, rzucone przez jednego z tych trzech żołnierzy, którzy wyszli przed chwilą z bramy. Zanim zdążył odpowiedzieć, drugi z żołnierzy powiedział:

— Fritz, weist du was, dieser — tu wskazał na Romana — muss ein Spion sein! ³

Chłopiec zgrzytnął zębami. Przez ułamek sekundy miał zamiar wiać, lecz szybko powstrzymał się. W kolanach dziwnie niepewnie... Kule latają prędzej ode mnie... Czy ten drań nie uśmiecha się pod wąsem? Je-

² Halo, ty, co ty tu robisz?

³ Fritz, wiesz ty co, ten — to musi być szpiegiem.

żeli mnie ranią, to potem dostanę baty, bo to ich tylko utwierdzi w podejrzeniu.

— Welcher Spion? ⁴ — jak obco brzmi własny głos.

— Warum wartest du seit längerer Zeit hier? ⁵

Nagle spojrzenie chłopca padło na nadchodzącą niewiastę. Co za szczęście! I błyskawicznie powstaje plan.

— Ein schönes Fräulein ⁶ — tłumaczy Niemcom, po czym opowiada historię o poznaniu jej w kinie i o tym, że chce niby przypadkiem spotkać ją, bo wie, że będzie tędy dziś szła.

Dziewczyna mija rozmawiających, gdy żołnierze pozwalają Romanowi odejść. Sami zawracają do miasta, lecz chłopiec czuje, że uważnie go obserwują. Dziwne, że tak łatwo uwierzyli... Nie ma co, trzeba dalej grać komedię. A jeśli się naprawdę do niej dowalę, to warto by ją odprowadzić, a tu obserwacja czeka...

Ostrożnie zrównał się z dziewczyną, skręcającą ścieżką w stronę Kalwaryjskiej, i do czasu zniknięcia Niemców w ul. Krasickiego szedł tuż przy niej. Dziewczyna od czasu do czasu rzucała nań ukradkowe spojrzenia pięknych czarnych oczu, podkreślonych równymi łukami brwi. Spoza pełnych, ładnie wykrojonych warg, błyskały białe zęby. Szła szybko, odsłaniając zgrabne nogi w gumowych butach.

Niemcy wreszcie zniknęli za rogiem. Chłopiec z pewną przykrością odłączył się od przypadkowo spotkanej i kątem oka dostrzegł na jej twarzy jak gdyby lekki zawód. Trudno! Dziś nie mógł! — Ale kiedyś cię znajde! — pomyślał i zawrócił.

⁴ Jakim szpiegiem?

⁵ Dlaczego czekasz tu od dłuższego czasu?

⁶ Piękna panna...

Podniecenie po rozmowie z Niemcami, rozproszone epizodem z ładną dziewczyną, wróciło z podwójną siłą. Już sam powrót na dawne miejsce wymagał wysiłku woli. (Te sukinsyny chyba zobaczyły mnie z okna!) Gorzej, że znów dwaj inni żołnierze przyglądają się badawczo. Zdaje się, że trzeba będzie stąd się wynieść... A obserwacja?...

Przed godziną chciał zaaranżować następujący figiel: tak manewrować, by wiatr „przypadkiem” przerzucił mu kapelusz za parkan koszar. Byłby pretekst do poproszenia wartownika o niego i stania chwilę przy bramie, lecz obecnie jest to już niemożliwe.

— Eee, odejdę już... I tak dość widziałem... — Jak to? — rzekł chłopcu twardy głos wewnętrzny. — Cholera z tym wszystkim! — mruknął do siebie Zawada. Jak by postąpił tu Sherlock Holmes, gdyby istniał w rzeczywistości?

Raptem coś sobie przypomniał. Ależ tak, stamtąd na pewno coś widać! No i szanowny Jasio jest znanym domatorem, a także lubi siedzieć przy oknie.

Chwilę potem wchodził już do jednego z pobliskich domów. Po przywitaniu się z dawno nie widzianym kolegą ostrożnie skierował rozmowę na interesujący go temat, patrząc równocześnie przez okno na koszary. Musiał przy tym uważać, aby jego rozmówca nie poznał, o co mu chodzi.

Kolega wyszedł na chwilę do gości zgromadzonych w sąsiednim pokoju z okazji imienin siostry, a Roman począł analizować uwagi Janka. — Hm, Sherlocku Holmesie, mógłbym być twoim uczniem — pomyślał nie bez satysfakcji, ponieważ obserwacje jego w zupełności niemal pokrywały się z wyciągniętymi od Janka wiadomościami. Uzupełniwszy meldunek spostrzeżeniami

poczynionymi w ostatniej chwili, pożegnał się z młodym gospodarzem i wyszedł.

Wiatr przycichł nieco, jedynie błoto i lodowaty deszcz dawały się nadal we znaki. Mimo zmęczenia fizycznego i psychicznego Roman szedł szybkim krokiem. Czuł wielkie zadowolenie połączone z odprężeniem i satysfakcją zwycięzcy, uczucie o wiele przyjemniejsze od różnych doznanych dotychczas wrażeń. Czuł się dziwnie mocny. Przysługa oddana Organizacji była bardzo przyjemnym przeżyciem.

W pewnym momencie Zawada przypomniał sobie kwiecień 1942 roku i poczuł chęć zobaczenia kogoś, kogo zawsze dobrze wspominał. — Powinna teraz być sama — pomyślał. — Zdaje się, że pan i władca o tej porze w niedzielę nie bardzo pilnuje swego domowego ogniska. Z cynicznym uśmiechem skierował się ku wschodniej stronie miasta.

8 lutego 1943

Wczoraj wyjaśniło się, dlaczego Poldek nie chciał wstąpić do Organizacji. Marczyk, rozmawiając z nim obszernie na ten temat, dowiedział się, że Robert — przepraszam — „Grzesiek” przedstawił mu całą sprawę w dość bałamutny i mętny sposób. Dopiero „Bolid” wyjaśnił wszystko Poldkowi.

W myśl wskazań „Berga” prowadzę nadal zaciągi. Robimy to w ten sposób: „Grzesiek”, „Bolid” albo ja stawiamy kandydaturę któregoś z kolegów czy znajomych, a pozostali dwaj wypowiadają o nim swe opinie. Przytaczamy różne znane nam fakty z jego życia i po dokładnej analizie proponujemy mu wstąpienie. Wiadomo, czym by pachniało wciągnięcie konfidenta,

zatem — dodam bez skromności — na moją propozycję przyjęliśmy ten system.

Mamy teraz na oku dwóch nowych. Jeden z nich ma już dwadzieścia jeden lat, a drugi dziewiętnaście. Obydwaj są rośli i tężdy, a ten jegomość powiedział w niedzielę, że trzeba nam takich, że jakby który z nich huknął Niemca w mordę, to ten powinien nakryć się nogami.

Sam, oczywiście, też nie chcę zostać w tyle za innymi i ćwiczę co dzień 25-kilogramowym ciężarkiem, który podnoszę po sto razy w ciągu dnia.

12 lutego 1943

W niedzielę zeszliśmy się jak zwykle w szkole melioracyjnej. „Berg” miał dłuższy wykład, a po jego zakończeniu śmialiśmy się przez dobrą chwilę jak najęci. Okazało się, że proponowany przez „Grześka” ów 21-letni kandydat przyszedł rano — ni mniej, ni więcej — tylko w towarzystwie ojca, który również jest w Organizacji, tylko gdzie indziej, na innym odcinku. Wstyd, żeby taki stary chłop coś gadał w domu, choćby nawet ojciec był inicjatorem całej „roboty”. Czuły tata przyszedł wraz z synkiem, gdyż bał się prowokacji, ale pogadawszy z „Jastrzębiem”, pozbył się podejrzeń.

Dziś minęły dwa lata od aresztowania matki i kilku znajomych, którzy dawniej dostarczali nam gazetek. Matce co prawda udało się wykreśćić z całej historii, ale pozostali, w liczbie sześciu, zostali wywiezieni do Dachau i Mauthausen-Gusen. Czy żyją jeszcze? Jeden z nich, Maurycy Maszyński, najporządniejszy i najuczciwszy spośród różnych znajomych, od przeszło roku nie daje z Dachau znaku życia. Wytrzymał wiele na

Pomorskiej i Montelupich⁷, nie wyspawszy nikogo, nie załamał się ani razu. Stary przedwojenny harcerz, który zawsze nieugięcie trwał przy swych ideałach. Chciałbym choć w części być podobny do niego.

Moje wstąpienie do Organizacji może kiedyś skończyć się podobnie. Nie mam dziesięciu lat. Wiem od dawna, co to jest strach o własną skórę i — gorszy jeszcze — strach o najbliższych, gdyż w razie nakrycia przez gestapo odpowiada cała rodzina. Mimo to niebezpieczna i potępiona przez tzw. ludzi trzeźwych działalność wabi i nęci. Chcę pracować przeciw Niemcom i mogę podjąć się wszystkiego, ale nie chciałbym mieć zbyt dużo do czynienia z gazetkami, bo wiem z dawnych „hec”, że to nieuchronnie pociąga za sobą aresztowanie. Gdyby jednak kazali? Dla żołnierza rozkaz jest rozkazem i nie może być odrzucony.

⁷ Nazwa znanego więzienia krakowskiego. Na ulicy Pomorskiej mieściła się w Krakowie siedziba gestapo.

Rozdział IV

Roman ostrożnie prześliznął się koło mieszkania tercjana i wszedł na wydeptane drewniane schody. Skrzywienie ich mogłoby zbudzić umarłego, toteż odetchnął z ulgą, gdy wreszcie znalazł się w sali szkolnej. Na odgłos kroków Zawady siedzący na ławkach „Berg”, „Wulkan” i „Kanner” spojrzeli na wchodzącego:

— A, to ty — powitał go przyjaźnie „Berg”, po czym zajęli się rozmową, nasłuchując jednakże pilnie ponownego skrzywienia schodów. Za chwilę zjawili się trzej pozostali. „Berg” odchrząknął i odezwał się do zgromadzonych:

— Panowie, na razie powtórzmy sobie w ogólnych zarysach o wojsku. Stan żołnierski jest powołany do obrony granic państwa i jego bezpieczeństwa wewnętrznego. Cnotami cechującymi żołnierza winny być: miłość Ojczyzny, odwaga i waleczność, karność i posłuszeństwo, inicjatywa w wykonywaniu rozkazów, prawdomówność, powściągliwość i moralność.

„Berg” w dalszym ciągu komentował obowiązki żołnierskie, po czym polecił kolejno powtarzać usłyszane przed chwilą wiadomości.

Korzystając z chwilowej przerwy, „Wulkan” z „Wiktorem” zapytali o ocenę przeprowadzonych kiedyś wywiadów. Okazało się, że „góra” jest zadowolona z wyników obserwacji:

— Było to dla nas coś w rodzaju sprawdzianu — dodał po chwili Jerzy — czy umiemy dać sobie radę z jakąś akcją. Dowiedziałem się wczoraj od jednego je-
gomościa, że naszą sekcję przydzielono do tzw. pocztu przy dowództwie odcinka (odpowiednik dowództwa batalionu). Jak tylko coś będzie miało się zacząć, dowiemy się o tym pierwsi, dostaniemy karabiny i — panowie — po jajach skurwysynów!

Audytorium zareagowało śmiechem na wesołe zakończenie wykładu, poruszającego bądź co bądź rzeczy poważne. Kolegom spodobało się to jednak; trzeba to wszystko brać trochę na wesoło, bo szkoda się martwić na zapas. A zdobywanie np. koszar karabinami i granatami (armat chyba nasi pochowanych nie mają?) nie będzie na pewno zbyt wesołą zabawą; nie mówiąc już o tym, że mogą nas nakryć przed powstaniem. Z ulicy doszedł miarowy odgłos kroków patrolu policyjnego. Ale byłaby „heca”, gdyby te dranie okazały się jasnowidzami i wpadły do szkoły.

— Teraz powiemy sobie trochę o broni — ciągnął dalej młody wykładowca. — Jak zapewne wiecie, w Wojsku Polskim jest używany karabin mauser wz. 98, kaliber 7,9 mm, pięcioprzężałowy, tak samo zresztą, jak i w armii niemieckiej.

Teraz nastąpił dłuższy wykład o karabinie, ilustrowany kreślonymi na tablicy rysunkami. Koledzy siedzieli zasłuchani i zapatrzeni w mówiącego. „Słowik” mruknął w pewnej chwili, że te ławki i klasa po raz pierwszy chyba widzą tak uważnych i pilnych uczniów. Roman słuchał słów „Berga” z mniejszą może uwagą niż pozostali. Wykład nie był dla niego żadną nowością. Przypominał sobie czasy, kiedy raz po raz wtrącał w wykład Jerzego swoje trzy grosze.

— Posłuchajcie dalej, panowie. Prócz karabinu z bagnetem bronią żołnierza są granaty ręczne, które dzielą się na: zaczepne, obronne i do celów specjalnych, np. przeciwpancerne i inne.

Po dłuższym wykładzie o granatach, popartym jak poprzedni rysunkami, „Berg” wyjął z kieszeni świeży numer „Dziennika Polskiego” i głośno odczytał ostatni komunikat wojenny z Londynu.

Cała piątka słuchała w milczeniu, niejednego ogarnęło owo szczególne uczucie towarzyszące zazwyczaj czytaniu zakazanej lektury. Tą zakazaną, nie tylko przez „władze” GG, lecz także (w większości) przez starszych, lekturą była tym razem gazetka wydawana konspiracyjnie przez ludzi, którzy przygotowywali się do akcji zbrojnej przeciw okupantowi. Większość członków sekcji „Berga” ujrzała nareszcie na własne oczy to, co znali dotychczas tylko ze słyszenia. Zawada poczuł lekkie niezadowolenie na widok zadrukowanej bibuły. — Po cholereę on to przyniósł? — pomyślał. — Nie lepiej by było, gdyby zapamiętał sobie parę najważniejszych rzeczy i powtórzył je nam? A niech chłopą gdzieś „hinty” przytrzymają, to przez głupi kawałek papieru może wpaść, a razem z nim i my.

Naraz słuchacze drgnąwszy zacisnęli pięści, w otwartych raptownie drzwiach w tyrolskim kapeluszu, gumowym płaszczu i butach z cholewami stanął wysoki młodzieniec. Jerzy błyskawicznym ruchem schował „Dziennik” pod ławkę, po czym przyjrzawszy się bliżej przybyłemu kiwnął nań ręką:

— Serwus, „Chętny”! — roześmiał się — aleś nas nakrył.

— Aaa, to pan! — Zawada poznał w przybyłym owego jegomościa, z którym miał już do czynienia

w styczniu. Reszta kolegów przysłuchiwała się rozmowie.

— Słuchaj, „Berg” — spytał „Chętny” — czy nie widziałeś tu „Jastrzębia” albo kogoś z mojej sekcji? Dziś o jedenastej mamy zebranie, a nikogo ani słychu, ani dychu. Zaczekam jeszcze z kwadrans w tamtej klasie.

Po wyjściu owego młodzieńca o wyglądzie gestapowca koledzy słuchali dalej komunikatu z „Dziennika”. Mówił on o sukcesach wojsk rosyjskich pod Stalingradem, gdzie od dwóch miesięcy blisko trzystutysięczna armia niemiecka gen. von Paulusa z ofensywy przeszła do defensywy. Na południu Rosji wojska sowieckie szybko posuwały się naprzód, otaczając coraz bardziej kocioł stalingradzki.

— Tak, panowie, jeżeli bolszewicy wygrają bitwę pod Stalingradem, to posuną się znów kawał naprzód i wtedy naprawdę może być początek końca ¹.

Po przeczytaniu rubryki „Nakazy chwili” koledzy poczęli powtarzać wiadomości o karabinie. Szło im to dość sprawnie, gdyż jest różnica między nauką, do której ma się zainteresowanie, a nauką, do której jest się zmuszanym.

W pewnej chwili posłyszano cichy ruch na korytarzu. „Skobel” myślał, że to tercjan w całym swym majestacie. Ostrożnie wyjrzał za drzwi. Okazało się jednak, że właśnie schodzą się uczestnicy zebrania sekcji „Jastrzębia”.

¹ Jak wynika z treści wspomnień, rozmowa toczyła się w połowie lutego 1943 roku. Wiadomo już było wówczas o całkowitej klęsce niemieckiej pod Stalingradem, o czym poinformowali sami Niemcy, ogłaszając 4 lutego ogólnonarodową żałobę.

Porozmawiali jeszcze trochę o wysoce niepolitycznych sprawach; jeden z kolegów opowiadał pikantne szczegóły o swej znajomości z piękną mężatką. Po chwili pojedynczo wychodzili z klasy. Zawada został tu jeszcze jakiś czas po odejściu kolegów. Wziął kredę i począł rysować na tablicy z pamięci różne modele broni wojskowej. Wsłuchiwał się w dochodzącą zza ściany rozmowę, prowadzoną przyciszonym głosem. W końcu zbliżywszy się do otworu pozostałego po rurze do pieca, obserwował zebranie w sąsiedniej sali, gdzie pięciu młodzieńców słuchało uważnie „Jastrzębia”, który ciągnął dobitnie:

— Widzicie zatem, panowie, czym jest nasza Organizacja i jakie ma cele i widoki na przyszłość. Powiedziałem wam prócz tego szczerze o związanych z przynależnością niebezpieczeństwach, więc zanim złożycie przysięgę, możecie się jeszcze wycofać. Przy tych słowach spojrzął na dwóch z uczestników, których Roman nie mógł dojrzeć.

— Już się zdecydowałem — zabrzmiał dziwnie znajomy Zawadzie głos. Jednocześnie nieomal powstali z ławek dwaj niewidoczni dotychczas chłopcy.

Zdzisiek Barański! Aha, to właśnie dziś go Robert przyprowadził! — Roman w wysokim, postawnym brunecie o czarnych oczach poznał swego kolegę ze szkoły powszechnej, którego do Organizacji postanowił wciągnąć Studziński. — Do licha, tego drugiego też skądś znam. Zaraz, zaraz... — przypominał sobie — Maniek Wolański? Tak, to on! — zidentyfikował z kolei drugiego ze stojących przed „Jastrzębiem”. — Że i jego też Rob zaprosił?

Promień słońca oświetlił Barańskiego. Stał z poważną i uroczystą miną, ubrany w odświętne granatowe

ubranie, bacznie spoglądając na Roberta i „Jastrzębia”. Z niezbyt ładnej twarzy przebijała inteligencja i spryt, a wielka powaga starannie ukrywała podniecenie. Zawada przypomniał sobie rozmaite zdarzenia z dawnej znajomości z nim i doszedł do wniosku, że Zdzisiek ze swymi zaletami: opanowaniem, odwagą i sumiennoscia, jest dobrym materiałem na członka Organizacji.

Wolańskiego znał zbyt mało, aby móc o nim powiedzieć coś konkretnego. Teraz dostrzegł u niego jedynie z trudem ukrywane podniecenie, które opanowało go w większym stopniu niż Zdziśka.

„Jastrząb”, podszedłszy do ściany, zdjął wiszący na niej zakurzony krzyż. Za chwilę Wolański złożył przysięgę i uściskał dłonie swych kolegów.

— Teraz pan!

Równym mocnym głosem powtarzał Barański za dowódcą sekcji: „...o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć będę ...aż do ofiary z mego życia, a tajemnicy będę strzegł niezłomnie, bez względu na to, co by mnie za to spotkać mogło...”

Zawada z przyjemnością wpatrywał się w składającego przysięgę. — Takich nam więcej, a pójdziemy choćby do Berlina. Ten nie zawali z pewnością — myślał, patrząc na Zdziśka.

W chwilę po ceremonii przysięgi „Jastrząb” przystąpił do wykładu o broni. Przez minutę rozmawiał o czymś z „Chętym”, po czym na katedrze zaślniła lufa parabellum², wyjętego z kieszeni „Chętnego”.

— Pierwszorzędna spluwa — padły słowa uznania.

Nastąpił wykład o broni krótkiej, niezbędnej w działalności konspiracyjnej, a trzask cofanego zamka oraz

² Niemiecki ośmiostrzałowy pistolet automatyczny.

rozbieranego i składanego pistoletu długo rozlegał się w klasie. Po skończeniu wykładu Roman pierwszy wyszedł na ulicę. Przechodzący patrol Ordnungspolizei³ obrzucił go nieufnym spojrzeniem, lecz poszedł dalej. Gdyby tak zaglądneli do szkoły...

Roman często później wspominał zaprzysiężenie Zdziśka i wykład o pistolecie parabellum.

26 lutego 1943

Pomału zaczynam zżywać się z „zakazanymi owocami” i nawet powiedziałbym z dumą, że pozuję na staroego spiskowca. Przedtem stale myślałem tylko o Organizacji i gestapo, teraz traktuję to już jako rzecz zwyczajną. Lecz często myślę o nowym okresie życia, który zaczął się wtedy w grudniu, gdyż od tego czasu mentalność moja zdaje się ulegać pewnej zmianie. Przed dwoma miesiącami byłem sobie zwyczajnym młodym chłopcem, jakich wielu, a od wsypy matki w lutym 1941 roku nie wierzyłem w ogóle w możliwość pracy przeciw Niemcom.

Myślałem, że po wielkich ówczesnych wsypach na Śląsku i w Krakowie zostało pomiędzy starszą generacją chyba bardzo niewielu takich, którzy mieliby ochotę narażać się na tortury i śmierć dla bądź co bądź odległych jeszcze celów. Widzę jednak, że w miejsce straconych weszli ludzie nowi i że sam dostąpiłem tego zaszczytu, że jestem jednym z nich. Tak, dopiero teraz czuję, że coś zaczynam robić, bo moja dawniejsza współpraca z Organizacją była raczej dorywcza i przypadkowa — ochotniczo pomagałem panu Maszyńskiemu

³ Patrz rozdz. II, przyp. 5.

i wujowi — dziś uznano mnie, pomimo siedemnastu lat, za pełnoprawnego członka. Znalazłem cel w życiu.

Rok 1942 był dla mnie dość przykry, raczej moralnie niż materialnie. Za życia babki ciągle pilnowanie i dopytywanie się o rozmaite sprawy stwarzało pokusę do różnych hec, po jej śmierci zaś musiałem wykonywać wszelkie domowe roboty. Skutkiem tego szwankowała moja nauka w „handlówce”, co niezbyt mi się podoba, gdyż jeżeli raz wezmę się do czegoś, lubię to doprowadzić do końca. Również bardzo ciężka była ta zabijająca szarzyzna każdego dnia, beznadziejne dni powszednie i beznadziejne niedziele, wyczekiwanie na koniec wojny, wciąż nowe jego terminy...

Kształcić się zaś na kompletach, jak np. Marczyk i jak sam pragnąłbym tego, nie mogę, ponieważ kosztuje to dość słono, a prócz tego muszę trzymać się budy, a raczej legitymacji z niej. W GG najważniejsze są dokumenty. Bardzo często nie udaje się uniknąć obław, a wtedy ktoś bez zaświadczenia z pracy lub ze szkoły od razu leży.

Mieszkam w północno-zachodniej stronie miasta, parę kilometrów od tramwaju i życie jest nielekkie przez to bezustanne gonienie. Od dwu lat wytwarza się przez to u mnie odrębna psychika człowieka nie mającego nigdy czasu i z nikim nie żyjącego bliżej.

Ale w ostatnich miesiącach nie zwracam już na to uwagi. Czuję się jakby odrodzony. Co prawda, mogę kiedyś stanąć w trudnej sytuacji wobec matki, gdy trzeba będzie iść tłuc Szwabów. Wyobrażam sobie, jakie to dla niej będzie ciężkie, ale żołnierz przede wszystkim musi słuchać rozkazów. Trzeba będzie wiać z domu.

Klęska Niemców pod Stalingradem jest kwestią najbliższych dni. Odcięte resztki załogi niemieckiej bronią się jeszcze, lecz w ciągu 3—4 dni powinny jednak skapitulować⁴. Marszałek von Paulus dostał od Hitlera nominację na feldmarszałka i rozkaz bronięcia Stalingradu tak, jak gdyby to był Berlin. Po cholere ci Niemcy robią takie błazeństwa? Dziś lub jutro nowo upieczony dygnitarz dostanie się do niewoli.

Kilka dni temu chciałem wciągnąć do Organizacji jednego z dawnych kolegów. Jest to trochę starszy ode mnie jegomość, dobry bokser i zamiłowany sportowiec. Rozmowa z nim odbyła się w biurze, w którym pracuje — o ironio! — o dwa metry od komisarza Niemca. Ha! ha! ha! Żeby drań wiedział, o czym rozmawialiśmy! Mój zbożny zamiar spalił, niestety, na panewce, gdyż Szczepan już od miesiąca należy. Robota Studzińskiego. Przybrał pseudo „Chrom”.

Trzeba będzie zmienić naszą melinę, jak nazywamy „lokal” w szkole melioracyjnej. Tercjan wyniuchał, że rzekomych uczniów nie widać tam nigdy w dzień powszedni. Również, przyszedłszy po rozum do głowy, stwierdził, że wielu ze schodzących się w niedzielę i święta studentów jest na to za starych. Może uda się urządzać zebrania u „Wulkanu” lub „Kannera”.

Poza normalnymi wykładami w niedzielę uczę się na własną rękę rozmaitych rzeczy. Dostałem od „Berga” zezwolenie zdekonspirowania się przed matką, na razie jednak tego nie zrobię. Właściwie cały dzień nie ma mnie w domu, wracam dopiero przed samą godziną

⁴ Oczywiście pomyłka autora. Patrz wyżej, przypis 1.

policyjną, a obiady jem w restauracji. Przy takim trybie życia mam dużo swobody i gdybym chciał hulać, nic nie stałoby na przeszkodzie. Ale wolę tego nie robić. Warto by natomiast znaleźć sobie jakąś dziewczynkę...

W zeszłym tygodniu zapoznałem panienkę, której rysy wydały mi się znajome. Przypomniałem sobie, że to do niej właśnie udawałem dostawianie się, aby uspić podejrzenie Niemców w czasie obserwacji koszar w Podgórzu. Poznałem ją onegdaj idącą w towarzystwie jednego z kolegów. Udałem, że idę w tę samą co oni stronę i odprowadziłem oboje kawał drogi. W czasie całego spaceru sypałem dowcipami jak z rękawa i zdałem się, że udało mi się wywołać u niej lekkie zainteresowanie moją szanowną osobą. Dziś będę się z nimi znów widział i zaryzykuję: spróbuję umówić się z nią, ale już na własną rękę. Kupić nie kupić, potargować można!

1 marca 1943

Przewidywana od dawna klęska hitlerowców pod Stalingradem odbiła się głośnym echem wśród miejscowego społeczeństwa oraz wciąż jeszcze butnych Niemców. Po niemal dwóch latach gigantycznej ekspansji na Wschód nareszcie karta poczyna się odwracać. Ciekawe, za jak długo wojna się skończy?

Dzisiejsza „Kraakauer Zeitung” zawiera krótką wzmiankę o kapitulacji. Choć niedługa ona i utrzymana w optymistycznym tonie, nie potrafi już nikomu zamydlić oczu; każdy, nawet zdany wyłącznie na niemiecką prasę mieszkaniac GG, umie dobrze czytać między wierszami. Nie mówię już o radiach, ukrywanych

przez wielu ludzi od początku wojny, ani o naszych gazetkach.

Mimo buty szwabskiej większości tutejszych „tymczasowych” mocno zrzęda mina. Stalingrad urasta do rozmiarów dużej klęski nie tylko wojskowej, lecz również i prestiżowej. Przypuszczam, że Rosjanie pognają teraz Niemców. Jeszcze ze trzy cztery takie historie, jak z miastem nadwożańskim, i najpóźniej do roku możemy ich oglądać nad Wisłą. Wówczas powinniśmy zakasać rękawy, a Niemcy oberwawszy, zwieją z Polski.

Dzisiaj przeżyłem niezbyt przyjemną emocję. Wróciwszy wieczorem do domu, wyjąłem klucz i zamierzałem otworzyć bramę, gdy nagle zauważyłem przez szybę jakiegoś draba w sieni, który na mój widok począł gorączkowo otwierać drzwi, bełkocząc jednocześnie po niemiecku. Oczywiście, nie czekałem aż otworzy i także podnieść ręce do góry. Paroma skokami dałem nura między sąsiednie domy i z daleka obserwowałem bramę. Jednocześnie myślałem intensywnie: Skąd mogło się tu wziąć gestapo? Widocznie „Berg” lub Robert wpadł. A może przyszli po gospodarza? Wszystko jedno, w takich razach łapią każdego, kto się nawinie.

W tym momencie nadeszła matka i ostrożnie podeszliśmy pod dom. Serce biło mi jak młot. Po chwili odechnęliśmy; okazało się, że to nowy parobek gospodarza, będący przedtem na robotach gdzieś w Lipsku czy Monachium, myślał, że tu większość Niemców.

To przykre przeżycie nie zatarło bynajmniej przyjemnych wrażeń z wczorajszego dnia. Choć nie należy być zbyt dufnym w swe siły, sprawy jednak potoczyły się tak, jak przypuszczałem: Kryśka, niedawno poznana panna, przystała chętnie na moją propozycję

i spędziliśmy wspólnie wczorajsze popołudnie. Miałem „frajerkarty”⁵ do kina i zaprosiłem nową znajomą na film *Za winy nie popełnione*. W czasie przedstawienia spostrzegłem w niej pewne podobieństwo do jednej z aktorek i powiedziałem to dziewczynie, oczywiście w ten sposób, aby nie wzięła mnie za hochsztaplera. Sprawilem jej tym pewną przyjemność. Do licha, słusznie — jak widzę — twierdzi Weininger⁶, że rzadko która kobieta może oprzeć się pochlebstwu. Pod koniec filmu niby nieumyślnie ścisnąłem jej dłoń, której Krysia nie cofnęła. Wręcz przeciwnie, nawet lekko odwzajemniła mój uścisk. Znam ją jeszcze zbyt mało, aby coś z góry twierdzić; mimo to przypuszczam, że nie zrobiłem na pannie złego wrażenia. Jeżeli poznamy się bliżej, zaproponuję przejście na ty; w myślach nazywam ją już po imieniu.

8 marca 1943

W werbowaniu nowych ludzi Studziński stanowi poważną konkurencję. Znowu sprzątnął mi sprzed nosa dawno już upatrzonego kandydata do Armii Polskiej. Wczoraj widziałem „Wilhelma” (Barańskiego) idącego razem ze „Stemplem” (Wolańskim) i „Chętnym” w stronę Podgórze. Początkowo miałem ochotę podejść i porozmawiać z nimi („Chętny” kiwał nawet na mnie rękami, dając istne wojskowe znaki; niechby tak ktoś zwrócił uwagę!), ale odstąpiłem od tego zamiaru. Ze Zdzińskim i Wolańskim powinienem mieć jak najrza-

⁵ Karty wolnego wstępu.

⁶ Otto Weininger, filozof niemiecki żyjący w drugiej połowie XIX wieku (zm. w r. 1903, autor m. in. pracy pt. *Płeć i charakter* (1903).

dziej do czynienia, gdyż od czasu naszego ostatniego widzenia się moja twarz niewiele się zmieniła i łatwo może któryś z nich przypomnieć sobie moje nazwisko. A im mniej osób zna czyjeś nazwisko, tym lepiej.

W tych dniach popełniłem dwa małe niedopatrzenia, które jednak nie powinny pociągnąć za sobą specjalnych skutków: „Bolid”, idący wraz ze mną z budy, zobaczył z daleka „Kannera” i od niechcienia zapytał, co to za idiota. Odpowiedziałem, że to nie żaden idiota, a całkiem morowy chłop, no i Marczyk domyślił się, że to musi być ktoś z „roboty”. Błąd mój polega na tym, że mimo woli ujawniłem kogoś z Organizacji. Nie wolno tego robić nawet wobec członków, jeżeli nie zachodzi konieczność. Oczywiście, nie stało się przez to nic złego; „Bolid” nie jest kapusiem, a przy tym nie zna nazwiska „Kannera”. Trzeba jednak uważać.

Drugi mój błąd polegał na tym, że niosąc pod pachą książki: *Szkoła junaka*, *Walka* i *Podręcznik PW*, wstąpiłem na chwilę do jednego z moich nielicznych przyjaciół, Ludwika Świerczyńskiego. Oczywiście, kolega od razu popatrzył na tytuły (ma bestia duże zamiłowanie do literatury i zdobywa wiedzę na kompletach) i nieco się nimi zdziwił. Uważnie przejrzał treść. „Zalałem” go, ile wlezie, mówiąc, że obie książki zostały mi po ojcu. Mina Ludwika jednakże nie wyrażała wielkiej wiary w moje słowa i założył się, że coś podejrzuje. Nic strasznego chyba z tego nie wyniknie, zresztą już od dawna noszę się z myślą wciągnięcia go. Poczekać tylko, aż będzie starszy. Dopiero za dwa miesiące skończy 16 lat; jest młodszy ode mnie, ale to nic.

W ciągu ostatniego tygodnia kilkakrotnie widziałem się z Krysią. Spotykamy się zazwyczaj koło czwartej, piątej po południu i spacerujemy niemal do samej go-

dziny policyjnej. Wracam zwykle do domu kilkanaście minut po ósmej, ale w polach na ogół policja nie pilnuje. Szkoda, że nie mieszkam gdzieś bliżej...

Wczoraj byłem po raz pierwszy u niej w domu. Oczywiście, podczas pierwszej wizyty nie zasiedziałem się zbyt długo, zresztą matka wkrótce wyszła (ojciec przebywa przeważnie na rozjazdach poza Krakowem), a nie chciałem zbyt ostentacyjnie zostawać z dziewczyną sam na sam. Choć chwilami wydaje mi się, że znam ją o wiele dłużej niż dwa tygodnie, trzeba patrzeć na sytuację okiem kogoś postronnego.

Krysia podoba mi się coraz bardziej. Od pierwszej chwili zrobiła na mnie dobre wrażenie, które przechodzi obecnie w sympatię. Mam nadzieję, że i ona nie patrzy na mnie obojętnie. Jutro zaproponuję jej przejście na ty.

Rozdział V

Dochodziła już dziesiąta rano, gdy „Berg” z „Wikto-rem” minęli zakręt podmiejskiej uliczki, za którym droga opadała łagodnie z Krzemionek, wyrównując swój poziom opodal grupy parterowych domków.

— To tam — mruknął Jerzy, wskazując oczyma pierwszy z brzegu nie tynkowany budynek.

Zawada uważnie spojrział we wskazanym kierunku. W jasnym świetle niedzielnego ranka przed stojącymi na wzgórzu rozpościerał się rozległy widok na część niziny nadwiślańskiej, z widocznym na horyzoncie ciemnym pasem Puszczy Niepołomickiej. Bliżej nad stacją w Płaszowie wisiały dymy i wolno pełzał długi wąż pociągu towarowego. W pobliżu rysowała się cienka kreska drogi wiodącej do Wieliczki.

— Patrz, idą „Kanner” ze „Słowikiem”!

W odległości może stu metrów ukazali się dwaj koledzy. Po chwili cała czwórka wchodziła ostrożnie do domu „Wulkan”.

— Serwus, Jerzy, czołem panowie! — powitał wchodzących młody gospodarz. — Proszę do pokoju.

Usiedli dookoła stołu.

— Wiecie co? — zaproponował po chwili Bieńkowski — może porzucilibyśmy to „panowie”?

— Dobra jest!

— Do licha! Szkoda, że przynajmniej połowa z nas

nie jest płci odmiennej! — zazartował Zawada, przypominawszy sobie onegdajszą rozmowę z Krystyną.

Roześmiali się głośno. Niebawem nadszedł spóźniony jak zwykle „Skobel”. „Berg” przystąpił do wykładu. Na stole rozłożono mapę sztabową, po czym pięć umysłów jęło przyswajać sobie rozmaite wojskowe mądrości.

— Na drugi raz przerobicie sobie z *Walki* łączność i służbę gońca — napomknął Jerzy, przechodząc do wykładu o mapie taktycznej i sztabowej. Zawada słuchał uważnie słów sekcyjnego, mimochodem obserwując kolegów. Gruby Zdzisiek, gapiący się na okolicę Miechowa na mapie, z lekko przekrzywioną głową, nie zwraca zupełnie uwagi na bzykającą mu koło nosa muchę. Drobny, podobny nieco do Żyda, „Słowik” kiwa potakująco głową. „Kanner” z miną starego wiarusa (zaprzysiężony, bestia, przed rokiem, och, to już stary wyjadacz — pomyślał z uznaniem Roman) udaje, że mu to niepierwszym. Świeża chłopięca twarz „Wulkana” z wyrazem zaciekawienia i jak gdyby szacunku skierowana jest w stronę „Berga”.

Z pobliskiej szosy dobiega co chwilę szum przejeżdżających samochodów. Nadchodzi z daleka, rośnie, potężnieje (zasada Dopplera¹ — myśli chłopiec — ech, lepiej uważać na wykład) i wreszcie cichnie w oddali. Przez małe okno wdziera się promień słońca. Ze stacji w Płaszowie dobiega gwizd lokomotywy. Roman rozpięra się wygodniej na krześle. Do licha, jak to dobrze w towarzystwie kolegów o wspólnym celu i zainteresowaniach... Można by myśleć, że to w ogóle nie tajny kurs wojskowo-dywerysyjny...

¹ Zasada lub zjawisko Dopplera — prawo fizyczne z dziedziny akustyki. Oznacza zmianę częstotliwości fal dźwiękowych w miarę zbliżania się do źródła dźwięku.

Z daleka znów dolatuje szum odjeżdżających, nie, nadjeżdżających aut. Warkot nie cichnie stopniowo, lecz urywa się nagle z charakterystycznym odgłosem hamowania.

— Teraz z kolei o ubezpieczeniu oddziału na postoj. Co wiecie o czujce?

Za oknem przeszły jakieś ciężkie kroki i po chwili ucichły.

— Straż na czujce pełni zwykle dwu żołnierzy i obserwują odcinek terenu na przemian.

Minęło parę chwil. Ale jakoś poprzedni błogostan nie wraca. Popatrzywszy uważnie na „Wulkana”, Zawada wyczuwa, że i on jest czymś zafrapowany.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich matka Wieska. Przez spokojną, opanowaną zwykle twarz przebiegało nerwowe drżenie.

— Wiesiek...

— Co? — zerwał się „Wulkan”.

— Panie Jerzy, nie możecie tu ani chwili dłużej pozostać — zwróciła się kobieta do „Berga”, który otwierał właśnie usta, by coś powiedzieć do „Skobla”.

— Coś się stało obok. Przyjechali po jednego z sąsiadów i zdaje się, że będą chodzić po domach. Uciekajcie, póki czas — to powiedziawszy, popchnęła lekko „Słowika” w stronę drzwi.

Przez sekundę zebrani osłupieli. Spojrzeli na „Berga”. Instynkt, podsycony przez niedawną rozmowę o dyscyplinie, szybko wziął górę nad chwilową konsternacją.

— „Kanner”, „Skobel” i ty, Wiesiek, najpierw! — zakomenderował Bieńkowski. — Nie całą grandą, żebyście nie zwrócili uwagi.

Trzej wezwani szybko wyszli. Minęło znów kilka

sekund. Zawada zacisnął zęby, spojrzawszy na pobladłą twarz matki „Wulkana”; no, jej położenie jest nie do pozazdroszczenia! Psiakrew, żeby to!

— Jazda, panowie!

Cicho wysunęli się tylnym wyjściem do ogrodu, bacznie patrząc wokoło. W odległości kilkuset metrów zielone mundury, na szczęście patrzą w przeciwną stronę. Przy szosie stoją dwa auta osobowe i kręcą się jacyś cywile. Jeden z Niemców spojrzął na stojących na ganku.

Na żwirze uliczki zatętniły czyjeś kroki. W ślad za nimi sakramentalne „Halt!” i trzask odbezpieczanej broni.

— Teraz, bo nie patrzy!

Paroma skokami przebiegli ogródek. „Berg” ściska kieszeń z mapą i instrukcjami. Roman zaciska pięści i zęby. Żeby choć wiedzieć, jak to się skończy... Jak nieważne wydaje się w tej chwili rendez-vous z Krysią, o której myślał całe rano.

Płot zatrzeszczał pod ciężarem wdrapujących się. Ciężko sapiący „Skobel” niezgrabnie zeskoczył na ziemię.

— Prędzej!

Szykując się do skoku, „Berg” z „Wiktorem” zauważyli jeszcze oglądających się i wchodzących do domu „Wulkana” cywilów, po czym zakryci przed ich oczyma węglem szopy, ruszyli biegiem w pola.

— Możemy sobie pogratulować...!

Odpocząwszy nieco, w dużej odległości od fatalnej uliczki, zawrócili bokami w stronę miasta.

Marcowe słońce nieźle już przygrzewało. Leniwym wzrokiem patrzą na stację kolejową. Szybko opadło z nich podniecenie. Roman rozpoczyna znów serię nie-

przyzwoitych dowcipów, pozostali zgłaszają swoje udziały. Droga mija stosunkowo prędko i po niedługim czasie idą ul. Kalwaryjską. „Skobel” peroruje zawzięcie o szóstym przykazaniu oraz o jego przekraczaniu uprawianym z prawdziwym zamiłowaniem.

— Ale łązi skurwysynów — zauważył obojętnie „Berg” na widok licznych patroli niemieckich patrzących spode łba na każdego Polaka.

— No, dobrze, że tam ich tyłu nie było.

Skręcili w ul. Legionów, kierując się na most Piłsudskiego. Roman rozpiął płaszcz, bo mimo marca zaczął się pocić.

— Serwus, panowie! — usłyszeli nagle i wśród licznych przechodniów spostrzegli braci, znajomych „Berga” i Zawady.

— Widzisz, Rysiek — darł się dalej młody człowiek w lśniących butach z cholewami i w nienagannie zaprasowanych bryczesach — to Bieńkowski, Zawada i Korczyński! Wskazał trójkę podobnie ubranemu bratu. Porozmawiali chwilę ze spotkanymi elegantami.

Rozstawszy się z nimi, Zawada brzydko zaklął; również twarze „Berga” i „Skobla” wyrażały niezadowolenie.

— Niech go krew zaleje — klął Bieńkowski — po cholere on nas nawoływał po nazwisku na całą ulicę? Diabli wiedzą, ile po tym dzisiejszym aresztowaniu kręci się po Podgórzu tajniaków.

— No i przedstawił nas sobie nawzajem — uśmiechnął się Korczyński do „Berga”.

Przy Plantach Dietlowskich pożegnali się. „Berg” postanowił na własną rękę poszukać „Wulkana” i „Słowika”, aby upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

Przed kilkoma dniami widziałem się z Jerzym, który jeszcze tego samego dnia spotkał resztę naszych kumpli. Udało się im nawiać nawet łatwiej niż nam, bo Niemcy nie obstawili jeszcze całej okolicy. Dobrze, że nie zostaliśmy dłużej; kto wie, jaki obrót przyjąłby sprawy? Wprawdzie aresztowanie było tylko w jednym domu, a z pobliskich, wbrew zwyczajowi Szwabów, nie zabrano nikogo, my zaś mieliśmy papiery w porządku, ale...

Znam jegomościa, którego 3 maja 1940 zabrano z ulicy bez najmniejszego dowodu winy czy choćby podejrzenia; w roku 1942 wrócił z Oświęcimia jako jedyny z dużego transportu zatrzymanych wtedy bez powodu na ulicach.

W lecie 1942 zdarzyła się pod Krakowem katastrofa kolejowa, której przyczyn nie zdołano ustalić; z pobliskich domów powyciągano kilkadziesiąt młodszych i starszych mężczyzn i powieszono ich (bez sądu) przy torach kolejowych w Płaszowie, Prokocimiu i Bonarce („Berg” ma zdjęcia tych szubienic z wisielcami). Ot, aby gestapo wiedziało, że policaje nie próżnują i nie wysłało ich na front.

Organizacja zaczyna mnie zajmować coraz więcej. Coraz częściej myślę o niej i pragnąłbym nic innego nie robić, tylko pracować przeciw Niemcom. Wiem, że są tacy ludzie, którzy nigdzie nie pracują, mają wszystkie papiery, a tylko cały dzień układają plany na przyszłość i organizują dalsze oddziały. Żeby kiedyś samemu stać się takim! Lecz możliwe to jest tylko dla „gości” z „góry”, z wyższym wojskowym wykształceniem.

W niedzielę osiągnąłem cel, do którego dążę od

chwili poznania Krystyny. Ścisłej — od chwili, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy przy obserwacji koszar. Byliśmy na imieninach u jednego z kolegów. Bawiliśmy się dobrze, choć często myślami wybiegałem gdzie indziej — do Organizacji. Mimo że tańczyć umiem za ledwie piąte przez dziesiąte, wystarczyło, jak na ogólny poziom. Kryśka zna się na tej sztuce nieco lepiej ode mnie, ale szybko zdołaliśmy się do siebie dostosować.

Dziewczyna podoba mi się coraz bardziej. Jest zgrabną ciemnonoką brunetką o ładnie wykrojonych ustach, zgrabnych piersiach i biodrach. Gdy coś mówię, kątem oka dostrzegam (mam zwyczaj nie patrzeć w oczy rozmówcy, choć dawniej nigdy nie kłamałem), że patrzy na mnie z zainteresowaniem, może większym niż na innych znajomych. Mogłaby nawet podobać się komuś bardzo zblazowanemu, a takim nie jestem. W parze z urodą idzie u niej coś, czego nie można nabyć przez wykształcenie, a co nazywamy wrodzoną inteligencją. Wydaje mi się, że znam ją już od dawna, podobnie jak ona. Na tych imieninach przekonałem się o słuszności moich przypuszczeń.

Kręciliśmy się w dosyć ciasnej przestrzeni w takt przestarzałego tanga *Kochaj mnie*, gdy w pewnej chwili przytuliłem dziewczynę do siebie mocniej, niż wymagała tego bliskość mijającej nas pary. Resztę przetańczyliśmy bardzo do siebie zbliżeni. Pod koniec tańca powziąłem mocne postanowienie zrealizowania niedawno powziętego zamiaru i delikatnie wycofałem Krysię spośród tańczących. Znaleźliśmy się za portierą. Pamiętam, że mówiłem coś niezbyt składnie i wreszcie zacisnąwszy rękę wokół kibici dziewczyny, poczułem jej usta na swoich. Nie opierała się zbyt.

Musieliśmy jednak wrócić do pozostałych. Zdaje się, że coś dostrzegli, ale młodzież jest na ogół bardziej tolerancyjna od starszych. Udało mi się zatem zrealizować pierwsze plany co do dziewczyny. Ale jakoś nie czuję z tego powodu specjalnego zadowolenia. Zdarza mi się to zresztą po raz pierwszy. Wiem dlaczego: myśl o dziewczynie nie zaprzęta mnie już całkowicie, jak rok temu, nad nią stoi teraz potężny czynnik, którego nie było u mnie w marcu 1942 roku: ZWZ.

30 marca 1943

W tych dniach miałem przez jakiś czas gościa, co prawda tylko na noc. Był to pierwszy tego typu „gość” od stycznia 1941, tj. od czasów przed aresztowaniem matki. Śmiać mi się chciało, gdy w niedzielę wieczorem wróciłem do domu, gdzie zastałem „Chętnego”, a matka z tajemniczą miną powiedziała mi, że to znajomy pana Maurycego, który z jakichś swoich powodów musi być u nas. Okazało się, że kilka dni temu zamknięto kogoś z sekcji „Chętnego”, którego ów aresztowany znał osobiście. Skutkiem tego „Chętny” przez dłuższy czas woli nie pokazywać się w domu. Aby matka nie przypuszczała, że mam coś do czynienia z Organizacją, o przenocowanie „Chętnego” poprosił ją „Berg”; sam udaje, że o niczym nie wiem, choć w domu rżę ze śmiechu.

W czasie pobytu u mnie „gość” opowiadał mi różne rzeczy o Organizacji (oczywiście, starając się, nie wykroczyć przeciw zasadzie konspiracji). Dowiedziałem się, że nasz naczelny dowódca w Kraju, gen. „Grot”, przebywający stale w Warszawie, był tu niedawno na promocji oficerów. Wysoki, czarny, może 50-letni, wygląda

na solidnego człowieka². „Chętny” opowiadał mi także o spisie samochodów niemieckich w Krakowie (wnet i my weźmiemy w tym udział), a nawet — do czego odniosłem się początkowo nieufnie — o likwidacji kapsułów i różnych innych skurwysynów. Nieufność niebawem prysła; zgłosiłem chęć wzięcia udziału w podobnej „robocie”, zobaczymy, może coś z tego wyniknie.

Po paru dniach okazało się, że z wielkiej chmury mały deszcz: ów człowiek został zabrany przez omyłkę, w domu nic nie znaleźli i choć zwyczajem niemieckim zaraz na wstępie dostał porządne lanie, ma zostać zwolniony.

Stałem długo na balkonie, patrząc za oddalającym się kolegą. Wyszedł dziś wczesnie rano i wkrótce malejąca postać zniknęła we mgle. Dziwne uczucie, nie wiem nawet, jak mu na imię, a jest mi bliższy, podobnie jak inni koledzy z Organizacji, niż różni oficjalni znajomi, od których oddalam się coraz bardziej.

5 kwietnia 1943

Mamy teraz nowy lokal do zebrania. Z powodu aresztowania sąsiada „Wulkana” cała ulica jest pod obserwacją szpiclów i zbieranie się u niego w domu jest na

² Generał Stefan Rowecki (1895—1944, miał więc wówczas 48 lat), legionista w okresie I wojny światowej, dowódca Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej w kampanii wrześniowej 1939 roku, szef sztabu pierwszej założonej jeszcze z rozkazu Rydza-Śmigłego organizacji Służba Zwycięstwu Polski, komendant Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Najbardziej znany pod pseudonimem „Grot”, którym podpisywał publikowane dokumenty. Używał również pseudonimów: „Kalina”, „Jan”, „Grabica”, „Tur”. 30 czerwca 1943 roku został aresztowany i tego samego dnia przewieziony do centrali ges-

razie wykluczone. Wiesiek jednak wpadł na lepszy pomysł: zaopatrzył się w klucz od sklepu, w którym pracuje, i w niedzielę rano wsuwamy się tam po jednym przez na pół odsuniętą żaluzję. Dla zamydlenia oczu, gdyby szedł ciekawy policjant, rozłożyliśmy na stole karty i pieniądze. Uważam to za dobry pomysł, bo cokolwiek się robi w niezgodzie z „prawem GG”, trzeba zawsze mieć gotowe alibi.

Na wykładzie nie usłyszeliśmy nic specjalnego. Wychodząc z domu miałem dość przykrą scenę z matką, ponieważ z braku czasu nie chciałem nosić węgla z piwnicy. Było mi głupio, nie mogłem powiedzieć ani słowa, ale może z czasem zdekonspiruję się.

Na wystawie partyjnej w Rynku Głównym znajduje się naturalnej wielkości figura spadochroniarza z przewieszonym przez piersi 32-strzałowym pistoletem maszynowym. Stanęliśmy przed wystawą i Jerzy długo objaśniał nam konstrukcję tej „zabawki”, niestety, tylko przez szybę. Dotychczas prawie nie widywałem tego, bo żołnierze nie noszą go, a policja ma tzw. bergmanny³. Warto by zrobić tam włamanie i zabrać tę „sikawkę” (wyrażenie Studzińskiego). Lecz, niestety, do tego trzeba by zawodowych „pudlarzy”⁴, a takich na razie nie znam.

tapo w Berlinie, a następnie osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Tam też został zamordowany, prawdopodobnie w sierpniu 1944 roku.

³ Niemieckie pistolety automatyczne.

⁴ Gwarowo złodziei.

Rozdział VI

Roman i Marczyk szli szybkim krokiem ul. Basztową, rozglądając się bacznie wokół, czy skądś lada chwila nie pojawią się mundury policyjne i nie zagrzmi: „Halt! Ausweis!”. Wprawdzie ich legitymacje nieraz już zdały egzamin w często przeprowadzanych łapanekach, niemniej jednak ludzie woleli unikać obław niemieckich.

— Uważasz, stary — opowiadał „Bolid” — Poldek chce wyjechać na naukę do Warszawy, gdyż ma tam rodzinę, no i lepsze warunki niż tu. Jak wiesz, dostał pracę gońca w NSDAP na pl. Szczepańskim, bo przejazd przez „dystrykt radomski” jest tylko za urzędowymi papierami.

— Rozumiem — kiwnął głową Zawada. — Trzeba by jednak jakoś zatuszować jego zniknięcie tutaj.

„Bolid” wyciągnął z kieszeni zapisaną kartkę: „17-letni Leopold Dybowski wyszedł z domu dnia... kwietnia 1943, udając się do pracy i dotąd nie powrócił...” Aha! To ogłoszenie do „Podogońca”, tylko dlaczego nie wpisałeś daty?

— Z tym może być kłopot — odparł kolega. — Trzeba mu napisać na maszynie kilka słów na zwężonej w NSDAP przepustce. Zaczekaj chwilę, zaraz wrócę — to rzekłszy skręcił w boczną ulicę. Po chwili wrócił z ul. Św. Jana.

— Źle, psiakrew! W tym zakładzie żadna maszyna nie ma takich czcionek, jak w „Nasi są daleko...”¹ A to pech, bo to może być już na jutro potrzebne.

— Czekaj, stary — wtrącił Roman — chodź ze mną, może coś wykombinujemy.

Minąwszy jeszcze parę ulic, weszli do dużej kamienicy. Tu przez oszklone drzwi biura Zawada zauważył znajomego. Magister Włodzimierz Michalski, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był barczystym, dobrze zbudowanym brunetem o smagłej inteligentnej twarzy i białych równych zębach. Człowiek nader wykształcony, uczciwy i dobroduszny. Wysoce wyrobiony życiowo i doświadczony, odnosił się do młodszego o kilkanaście lat Romana z isticie ojcowską serdecznością. Sam młody i wyrozumiały dla ekstrawagancji młodości często szedł na rękę żywiącemu doń duże zaufanie chłopcu.

— Czołem, wiara! — wyciągnął rękę do wchodzących. — Cóż szanownego pana sprowadza do mnie?

— Zdaje się, że pan ma lekarstwo na tę chorobę — to rzekłszy Zawada popchnął lekko „Bolida”.

Marczyk opowiedział o planie Poldka. Okazało się, iż jedna z maszyn istotnie posiada identyczne czcionki. Po chwili koledzy, zadowoleni z uprzejmości pana Włodzimierza, pożegnali się przed biurem.

Zawada poszedł w stronę pobliskich Plant. Usiadł wygodnie na pustej ławce, gapiąc się na przepływające po niebie obłoki. Było ładne kwietniowe popołudnie. Słońce, stojące jeszcze wysoko, rzucało jasne, ciepłe

¹ Ironiczne rozwiązanie skrótu NSDAP (National-Sozialistische Deutsche Arbeiter Partei — Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza), który czytany od lewej do prawej strony i z powrotem dawał: „Nasi są daleko, ale przyjdą, aby d... stłuc Niemcom”.

blaski, jak gdyby to był co najmniej lipiec. Chłopiec rozpiął płaszcz. Właściwie można by zabierać się do domu... Ale szkoda, warto sobie jeszcze trochę odpocząć.

Przeszli dwaj Niemcy, niechętnie patrząc na młodego Polaka siedzącego wygodnie na ławce. Romanowi przychodzi na myśl Krystyna.

— Warto by się z nią spotkać. Już tydzień jej nie widziałem. Czyżby to był początek zabuwania się? Owszem, dziewczynka niczego sobie... Dobrze umie całować...

Spojrzał na grupę młodych dziewcząt nadchodzących z przeciwnej strony Plant, a za nimi...

— Krysia!

— Roman! Co tu robisz? — wita się z nim dziewczyna, ściągając skórkową rękawiczkę. Lekko zaróżowione policzki i niesforna grzywka nad czołem dodają jej uroku.

— Chodź — chłopiec wstaje z ławki — przejdziemy się kawałek. — Wziąwszy Krysię pod rękę, idą z powrotem w kierunku miasta. Opowiada dziewczynie najnowsze wice, starając się nie wtrącać politycznych. Ona reaguje na nie śmiechem, mile wpadającym w ucho wśród gwaru miejskiego. — Mąż do przyjaciela: Wczoraj przyłapałem moją żonę na gorącym uczynku niewierności... Przyjacielu: Popatrz, popatrz i kto by pomyślał, że ona nas zdradza...

— Romku, skąd ty bierzesz tyle tych dowcipów? Z początku myślałam, że jesteś jak Pan Jowialski, ale teraz widzę, że nie... Opowiedz jeszcze coś.

Dla lubiącego opowiadać nie ma nic przyjemniejszego nad znalezienie cierpliwego słuchacza. („Kobieta często udaje, że interesuje ją przedmiot zainteresowań

mężczyzny, podobnie jak płacze i śmieje się do wtóru z kimś” — przypomina sobie chłopiec książkę *Płec i charakter* ²). Przechodzą Plantami koło poczty. W pewnym momencie Zawada zauważył nadchodzącego z przeciwka niskiego, barczystego młodzieńca.

— Do licha, ja go gdzieś już musiałem widzieć — pomyślał, patrząc na niezbyt sympatyczną twarz nadchodzącego. Tylko że on był wtedy chyba inaczej ubrany. Co widzę, kłania się Krzyśce?

Przechodzień dawnó już zniknął, gdy Roman podjął na nowo przerwana rozmowę. Postanowił przy sposobności ostrożnie zapytać dziewczynę o owego jego mościa.

Niebawem znaleźli się przed domem Krystyny i chłopiec ani się spostrzegł, jak weszli do mieszczącego się na pierwszym piętrze mieszkania w nowoczesnej kamienicy, zamieszkałej w większości przez Niemców.

— Nie ma nikogo? — spytał Roman, widząc klucz w ręce dziewczyny.

— Nie ma. Matka wyszła przed chwilą do kina — odpowiedziała Krysia, patrząc na pozostawioną na stole kartkę.

Usiedli na kanapie kontynuując przerwana rozmowę. Po chwili poczęli oglądać duży album ze zdjęciami. Ktoś idzie po schodach. Kroki zatrzymują się tuż przy drzwiach wejściowych... Nie, to Niemiec wchodzi do sąsiedniego mieszkania, oddzielonego cienką ścianą od siedzących na kanapie. Nastawił radio i za chwilę wyraźnie było słycać Straussowskie melodie.

— Do diabła z ich walcami — pomyślał Roman.

² Patrz rozdz IV, przyp. 6.

Delikatnym ruchem przyciągnął do siebie dziewczynę. Sekundę patrzyli sobie w oczy, usta ich zetknęły się. Jeszcze raz.

— Roman, powiedz, czy lubisz mnie choć trochę?

— Chyba trochę więcej... A ty?

— Ja... też.

Ten krótki dialog zakończyli ponownym pocałunkiem, dłuższym od poprzednich.

Czas upływa. Walce za ścianą skończyły się, dobiegło parę gardłowych słów, po czym popłynęły *Komm zurück*³ oraz szereg innych przebojów filmowych, niestety, niemieckich.

Krysia lekko przytula się do chłopca, który poczyna już odczuwać pewne podniecenie.

Znów całuje usta dziewczyny, która od chwili już nie stawia oporu. Zacinawszy lekko zęby (może się obrazić!), ostrożnie dotyka zgrabnego biustu. Nie cofa się, to dobrze! Minęło parę chwil. Bluzka Krystyny ma zapięcie z przodu... Przyłgnął ustami do odsłoniętej piersi. Po chwili rozpoczyna dalsze „zdobycze zwycięzki”...

Zza ściany sączyła się melodia sentymentalnego tanga z filmu *Gwiazda nad Rio*.

*

Późnym wieczorem Roman wracał polami do domu, wspominając dzisiejsze przeżycie. Był nieco rozmarzony. Starał się jednak po dawnemu patrzeć bystro dookoła. Przed oczyma wciąż stała mu dziewczyna w całej swej krasie. Księżyc z wolna wypłynął zza horyzontu, gdy Zawada doszedł do domu.

³ Wróć!

Wczoraj stanąłem, tzn. stanęliśmy, wobec nowej zagadki. Profesor Baczyński, gospodarz mojej klasy, polecił mi zatrzymać się chwilę po lekcjach i gdy kole-dzy wyszli, odezwał się do mnie:

— Słuchaj, Zawada, czy ty masz jakiś wpływ na kolegów?

— Nie jestem tego pewien — odrzekłem, nie prze-czuwając jeszcze, o co mu chodzi.

— Jeżeli masz, to proszę cię powiedz im, aby nie mieszali się do żadnych tajnych organizacji. Chłopcy, w ten sposób nic nie zrobicie, tylko sami się zmarnu-jecie, a narażacie także szkołę. Wczoraj został aresztowa-ny kierownik „handlówki” w Tarnowie. Sądzę, że niektórzy z twoich kolegów też mogliby mieć coś z tym wspólnego; czy sam nie zauważyłeś tego? Jeżeli tak, to przemów im do rozumu.

W pierwszej chwili poczułem duże zaskoczenie, nie-bawem jednak pewnym siebie głosem zaprzeczyłem kategorycznie tym zarzutom, łgając jak z nut, że ani razu nie spotkałem się z czymś podobnym. Wystą-piłem w ogóle przeciw idei pracy na szkodę oku-panta nawet przez dorosłych i zdaje się, że profesor uwierzył.

Gdy wychodziłem ze szkoły, było mi przykro. W pierwszym odruchu chciałem mu powiedzieć, że nie ma racji, ale trudno: „... a tajemnicy strzegł będę niezłomnie...” Nie wolno mi ulegać odruchowi uczciwości nawet w stosunku do ludzi, którym ufam i którzy ma-ją do mnie zaufanie.

Profesora Baczyńskiego znam dobrze od trzech lat, w czasie nieobecności matki okazał mi dużo życzliwości. Prócz tego obiecuje ułatwić mi zdobycie średniego wy-

kształcenia po wojnie, wiedząc, że na razie nie mam możliwości uczenia się na kompletach. Szkoda, że i takich ludzi trzeba bujać.

Dziś rozglądam się za nowymi i zwróciłem uwagę na dwóch, właśnie spośród tych, których obiecałem Baczyńskiemu przestrzegać przed należeniem do Organizacji. Tak. Jestem żołnierzem i otrzymałem rozkaz (w tym wypadku sprowadzenia nowych) i, do diabła, muszę ten rozkaz wykonać!

Matka nieraz twierdzi, że Organizacja nie jest potrzebna, bo mamy swój Rząd i legalną Armię, uznaną przez wszystkie państwa. Ile razy tak mówi, z trudem powstrzymuję śmiech. Owszem, armia jest, i to nie tylko w Anglii i w Afryce, lecz także tu, w każdym mieście i wsi. „Polska żyje na każdej ulicy, Naród trwa i będzie trwał!” — przypominam sobie wiersz z gazetki warszawskiej „Polska Żyje”, którą przed trzema laty przynosiłem wujowi od pana Maurycego.

Czasem myślę, że Organizacja, będąca de facto regularnym wojskiem, powinna nazywać się inaczej (po połączeniu ZWZ z innymi, podobnymi instytucjami), np. „Polskie Siły Zbrojne” lub „Tajna Armia Krajowa”. Lecz mniejsza o samą nazwę.

Po rozmowie z profesorem Baczyńskim opowiedziałem całą historię magistrowi Michalskiemu i złożyłem raport „Bergowi”. Pan Włodzimierz przypuszcza, że Baczyński musiał się czegoś dowiedzieć, prawdopodobnie o którymś z kolegów. Z pewnością nie o mnie. „Grzesiek” ani Marczyk nie mówili, a „Wulkana” — oni wszyscy notabene nie znają mego nazwiska — w ogóle nigdy nie widział na oczy. „Berg” w pierwszej chwili chciał kropnąć do Baczyńskiego list z ostrzeżeniem od Organizacji, ale wnet porzuciliśmy ten pomysł; list

taki byłby potwierdzeniem ewentualnych podejrzeń belfra. Musimy rozwiązać jak najprędzej tę zagadkę.

Od czasu tamtego popołudnia nie widziałem się jeszcze z Krysią. Obecnie jestem zaabsorbowany instrukcjami o mauserze, a od wczoraj tą hecą w budzie. Pochłania mnie to w większym stopniu niż kochana kobieta. Ech, Krysiu, gdybyś wiedziała, z kim ci się „to” zdarzyło! Ciekawe, czy patrząc na mnie, choć przez sekundę przypuścisz, że mam coś wspólnego z gazetkami lub Organizacją? Wyobrażam sobie, jakie zrobiłabyś oczy, gdybym stracił piątą klepkę i coś ci o tym powiedział. Do licha, dobrze mówił wtedy ten oficer na odprawie! Najlepiej, aby dziewczyna nie wiedziała w ogóle nic. I tak mam od ciebie to, czego pragnę, więc po co jeszcze czymś imponować?

Broń zwłaszcza krótka, wprawia mnie zawsze w dziwny stan. Jak gdyby dreszcz, ale nie strachu; wręcz przeciwnie, jakby oczekiwanie jakiejś rozkoszy, wobec której błedną nawet najintymniejsze pieśszoty z ładną dziewczyną. Na sam zaś szybki ruch ręki i charakterystyczny trzask zamka i wprowadzonego w lufę naboju czuję, jakby mi rosły skrzydła. W tym momencie zdaje się, że nie ma na świecie rzeczy nieosiągalnych. Przed wojną strzelałem kilkakrotnie ze zgrabnego bębenkowca 7,65 mm (ojciec miał trzy rewolwery, z których dwa po jego śmierci wuj zabrał do wojska; bębenkowiec dano mi na dwunastą rocznicę urodzin i ćwiczyłem nim pod kierunkiem wuja), ale podobny nastrój czuję dopiero od czasu wstąpienia do Organizacji.

Za Organizację — Oświęcim lub Dachau, za broń — kara śmierci... Kiedyś zapłacimy za to skurwysynom.

Rozdział VII

W niedzielny ranek 18 kwietnia 1943 roku powracający z nocnej służby granatowy policjant obojętnie prześliznął się wzrokiem po dwóch młodych ludziach, przechodzących przed „sławnym” budynkiem komendy policji niemieckiej przy ul. Franciszkańskiej 1. Kilka kroków od komendy widniał na murze duży żółty afisz w dwóch językach. Gdyby policjant przechodził chwilę wcześniej, spostrzegłby, że tego afisza jeszcze nie było i że został on nalepiony przez dwu mijanych poprzednio ludzi. Przeszedł, nie patrząc nawet na duże, wyraźne litery druku. Nie wiedział jeszcze, że tego ranka liczba ogłoszeń Propaganda-Abteilung¹ uległa nieoczekiwanemu dla jego autorów powiększeniu.

Z budynku gestapo, mieszczącego się w dawnym domu Polskiego Związku Zachodniego przy ul. Pomorskiej 2/4, wyszedł jakiś oficer i przystanąwszy przed mokrym jeszcze afiszem, widniejącym na pobliskim budynku, od niechcienia przebiegł oczyma tekst:

BEKANNTMACHUNG²

W najbliższym czasie z inicjatywy czynników urzędowych zostaną zorganizowane wycieczki do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, by tam przekonać się na miejscu o nowoczes-

¹ Wydział Propagandy, a właściwie Wydział Główny Propagandy — jeden z dwunastu wydziałów głównych rządu GG. Od roku 1940 kierował nim Wilhelm Ohlenbusch.

² Obwieszczenie.

nych i ulepszonych metodach masowej likwidacji ludności polskiej w sposób godny wielkiego narodu niemieckiego.

Uczestnicy zobaczą tam krematoria, komory gazowe, płyty elektryczne itd., dość wspomnieć, że wydajność samego tylko krematorium w Oświęcimiu wynosi 3000 ciał na dobę.

W miesiącach letnich przewiduje się podobne wycieczki do obozów w Mauthausen-Gusen, Dachau, Oranienburg, Ravensbrück i innych pociągami popularnymi. Wszystkie urzędy i placówki służbowe winny służyć pomocą chcącym wziąć udział w tych wycieczkach. Zgłoszenia przyjmuje Mitteleuropäisches Reisebüro³, Krakau, Adolf Hitlerplatz 46 i Hauptabteilung der Propaganda⁴, Krakau, Klöpfermarkt 4.

(—) Ohlenbusch
Chef der Hauptabteilung
der Propaganda des Rgs G. G.⁵

— Was ist das???⁶ — wybuchnął gestapowiec, zwracając się do drugiego, który również przystanął przed afiszem i zaczął czytać.

— Was wünschen Sie?⁷ — zdziwił się, niczego jeszcze nie rozumiejąc.

— Lesen Sie doch weiter!⁸ — ryknął niemal oficer.

Teraz twarz drugiego przybrała z kolei barani wyraz. Wreszcie uprzytomnili sobie, że ten afisz, choć łądząco podobny do oryginalnych, nie był wcale zecerstką pomyłką, bo nie został wydrukowany w NKW

³ Środkowoeuropejskie Biuro Podróży.

⁴ Wydział Główny Propagandy.

⁵ Szef Wydziału Głównego Propagandy Rządu Generalnego Gubernatorstwa. Tego rodzaju obwieszczenia, wiernie przypominające niemieckie „Bekanntmachungen”, rozwieszono w całej GG w ramach akcji „Obwieszczenie Ohlenbuscha” zorganizowanej przez Wydział N Komendy Głównej AK — patrz rozdz. XI, przyp. 4.

⁶ Co to jest?

⁷ O co panu chodzi?

⁸ Niechże Pan czyta dalej!

Druck-Krakau-Warschau⁹. Zdarłszy go z muru, szybko weszli do budynku gestapo, klnąc z wściekłością po drodze.

Choć podobne sceny w godzinach porannych tego dnia prędzej czy później powtórzyły się w całym mieście, większość Polaków, a także wielu Niemców cywilnych i wojskowych, zdążyła przeczytać te afisze.

Po odbiciu więźniów w Warszawie pod Arsenalem w dniu 26 lutego 1943¹⁰ i po innych wzmagających się stale akcjach był to nowy znak działalności Polski Podziemnej.

20 kwietnia 1943

W tych dniach dowiedziałem się o możliwości otrzymania pracy, i to w najbliższej przyszłości, nie czekając nawet na ukończenie „handlówki”. Byłaby to praca w zupełnie innej „branży”, w Ernährung und Landwirtschaft¹¹, nie najlepiej wprawdzie (jak wszystkie „rządowe” prace) płatna, ale za to zabezpieczająca przed wywiezieniem do Niemiec, a nawet przed Baudienstem¹², do którego wkrótce pójdzie mój rocznik 1926.

Będę, zdaje się, musiał pożegnać się — co prawda bez zmartwienia — z budą przed końcem roku, bo wa-

⁹ Zakłady Drukarskie Kraków—Warszawa.

¹⁰ Głośna akcja odbicia więźniów pod Arsenalem w Warszawie (uwolnienie Janka Bytnara — „Rudego”) została przeprowadzona miesiąc później, 26 marca 1943 roku.

¹¹ Chodziło zapewne o któreś z biur Wydziału Głównego Wyżywienia i Rolnictwa rządu GG.

¹² Służba Budowlana — organizacja powołana do egzekwowania metodami koszarowymi wprowadzonego od początku okupacji obowiązku pracy, obejmującego wszystkich, którzy ukończyli 18, a później nawet 14 rok życia.

runkiem dostania się do Ernährungu jest posiadanie przynajmniej elementarnych wiadomości z zakresu rolnictwa. Można je nabyć na organizowanym przez Ernährung kursie, który trwa blisko dwa miesiące, a rozpoczyna się już za kilka dni, i teraz chodzi tylko o to, abym się nań dostał.

Dziś byłem u znajomego lekarza (świadcstwo lekarskie musiałem mieć z trochę wcześniejszą datą urodzenia, ponieważ ze względu na mój rocznik, który ma iść do Baudienstu, nie zostałem tam przyjęty do pracy, bo — jak się dowiedziałem — w Ernährungu nie chcą mieć kłopotu z reklamowaniem) i w najbliższych dniach dowiem się, co dalej.

W niedzielę po południu odwiedziłem Krysę. Znowu byliśmy sami... Po przedpołudniowym wykładzie o współdziałaniu w natarciu i po przeegzaminowaniu, jak zwykle, z poprzednich wykładów, spotkanie było dla mnie przyjemnym odpoczynkiem. Obawiam się tylko, żebym się do niej zbyt nie przywiązał, bo wtedy łatwo mógłbym się z czymś przypadkowo wygadać.

Będąc dziś u znajomego, dowiedziałem się, że w warszawskim getcie wybuchło zbrojne powstanie Żydów przeciw Niemcom. Nie do uwierzenia, ale to prawda.

Zacząło się podobno od tego, że kilkudziesięciu Żydów w kolumnie pracy wytlukło pilnujących ich Ukraińców z SS¹³, a za nimi ruszyła się reszta. Jak się okazało, mieli dużo ukrytej broni i walka rozgorzała na dobre. Do dziś Niemcom nie udało się jeszcze stłumić powstania, mimo że mają czołgi i artylerię¹⁴.

¹³ Faszyci ukraińscy ze specjalnej powołanej przez Himmlera formacji SS — Division Galizien.

¹⁴ Powstanie wybuchło rankiem 19 kwietnia 1943 roku w momencie wkroczenia na teren getta oddziałów policji i SS.

Dlaczego Żydzi już zaczęli powstanie? Nie trzeba być na to sztabowym oficerem, żeby widzieć, że Rosjanie, mimo zdobycia dużych terytoriów od czasów Stalingradu, atakują dopiero linię Dniepru i są jeszcze bardzo daleko. Jak długo utrzyma się wobec tego powstanie żydowskie? Nasze nie zacznie się chyba wcześniej, aż front zbliży się do Polski. Czym się oni powodowali? ¹⁵

W związku z Wielkanocą mamy kilka dni wolnych od budy. W niedzielę „Broniek” zapowiedział, że w nadchodzący czwartek zrobimy dłuższe ćwiczenia za miastem; będzie to dla nas coś w rodzaju egzaminu, gdyż opanowaliśmy już najważniejsze rzeczy z naszego programu wyszkolenia.

*

Roman szedł ul. Parkową w górę, raz po raz ocierając pot z czoła. Dzień, choć pochmurny, był o wiele

Przygotowaniami, które trwały od połowy 1942 roku, kierował politycznie Blok Antyfaszystowski. Prowadziły je dwie organizacje: Żydowski Związek Wojskowy oraz Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB), kierowana przez późniejszego przywódcę powstania Mordecheja Anielewicza. Mimo kolosalnej niemieckiej przewagi zorganizowane walki trwały do 8 maja, kiedy to padł bunkier przy ul. Miłej, w którym znajdował się sztab ŻOB-u. Polski ruch oporu zarówno AK, jak i GL, współpracował z powstańcami dostarczając im broni oraz pomagając w przerzutach poza teren getta. Od 1942 roku przy Delegaturze Rządu Emigracyjnego na Kraj działała Rada Pomocy Żydom — „Żegota”.

¹⁵ Okupant skazał na śmierć cały naród żydowski. Tzw. „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” oznaczało bezpośrednią eksterminację, którą realizowano już od końca 1941 roku. Powstańcy nie mieli więc nic do stracenia i rozpoczynając walkę nie kierowali się żadnymi względami strategicznymi. Pięknie wyraził to jeden z przywódców ŻOB-u: „My nie chce-

cieplejszy niż bywa w połowie kwietnia, a gumowy płaszcz tamował oddychanie skóry. Skręcił obok nowo zbudowanego domu przedwojennego szpiega niemieckiego, dziś gestapowca i zarazem sadystycznego dyrektora fabryki żyletek toledo, Kurta Beckmanna, i po przebyciu kilkudziesięciu metrów zauważył siedzących na trawie kolegów. Z drugiej strony nadszedł gruby Stuziński.

— Czołem, wiara! — zawołali nadchodzący.

— Czołem! — odpowiedzieli czekający „Wulkan” i „Broniek”, po czym ten ostatni dodał: — No, panowie, zanim nadejdzie reszta, powtórzymy coś niecoś. Wiesiek, z czego składa się karabin?

Lekcja rozpoczęła się na dobre. Chłopcy patrzyli równocześnie na miasto i park zasnuwane na krańcach lekką mgłą. W ciągu ostatnich kilku dni drzewa zazieleśniły się niemal w oczach, a ziemia podeschła już po wiosennych deszczach.

— Za parę dni maj...

Przed dziewiątą nadszedł „Kanner”, a zaraz po nim z daleka ukazał się „Chętny”. Porozmawiawszy chwilę z „Bronkiem”, odszedł w stronę pl. Lasoty.

Sekcja: „Broniek”, „Kanner”, „Skobel”, „Słowik”, „Wiktor” i „Wulkan”, otrzymała polecenie udania się przez Krzemionki na teren Skał Twardowskiego, leżących w obrębie oznaczonym biało-czarnymi tablicami z napisem: „Grenze des Truppen-Übungsplatzes Zakrzówek”¹⁶.

W drodze koledzy rozmawiali z ożywieniem, korzystając z zupełnej pustki terenu Krzemionek. Przez cały my ratować swojego życia. Z nas żaden żywy nie wyjdzie. My chcemy ratować ludzką godność.

¹⁶ Granica wojskowego placu ćwiczeń Zakrzówek.

czas spotkali jedynie dwóch mężczyzn, gdy przechodzili obok resztek parkanu dawnego boiska sportowego.

— Ten niższy nie podoba mi się — mruknął Bieńkowski do Zawady — gdzie ja go już widziałem?

— Czekał i ja go gdzieś widziałem. Aha, potem ci powiem.

Przechodząc obok linii starych austriackich okopów, powtórzyli „wybór stanowiska strzeleckiego”, po czym zeszli w dół z Krzemionek. Przeszedłszy ul. Kalwaryjską i część będącej w budowie autostrady na ul. Konopnickiej, podążali w stronę widniejących na horyzoncie Skał Twardowskiego. Przez całą drogę roztrzaskali różne zagadnienia wojskowe, od czasu do czasu urozmaicając je sobie również wojskowymi, a raczej kasarnianymi dowcipami. W pobliżu bloków dębnickiego osiedla robotniczego na ul. Czarodziejskiej dostrzegli z daleka drugą podobną grupkę, również idącą w tym samym co i oni kierunku.

— To nasi.

Niebawem znaleźli się na łączce nad Grotą Twardowskiego, naprzeciw potężnych bunkrów ze śladami działania miotaczy ognia. Z pobliskich krzaków ukazał się „Jastrząb” wraz ze starszym mężczyzną. Oho, to ktoś z „góry” na inspekcję.

— Cześć. Ilu was jest? — spytał „Broniek”, porozmawiawszy z jegomościem.

— Są wszyscy, tak jak u was. Chodźcie lepiej na razie do krzaków, bo tu choć pusto jak w mojej kieszeni przed pierwszym, ale zawsze odkryty teren.

W krzakach znajdowało się czterech pozostałych i „Chętny”; na widok nadchodzących podnieśli się. Byli między nimi „Wilhelm” i „Stempel”. Wyciągnawszy rękę na powitanie do Barańskiego, Zawada kątem oka

obserwował twarz dawnego kolegi. W porządku, nie widać nic świadczącego o poznaniu Romana. — Hm, zmieniłem się przez dwa i pół roku, nie poznają mnie — pomyślał. — Zresztą cóż by szkodziło, gdyby poznali? Wątpię, czy któryś z nich mógłby być konfidentem.

Po krótkiej naradzie przystąpiono do wykonania opracowanego już poprzednio planu ćwiczeń: sekcja „Bronka” miała wykonać natarcie i zdobyć dwa bunkry bronione przez sekcję „Jastrzębia”. Jeszcze tylko przypomnienie przez jegomościa z „góry” o punktach karnych i rozpoczęto ćwiczenia.

— Zaraz, zaraz — zatrzymał tenże rozchodzących się już na stanowiska — o czym jeszcze musimy pamiętać w tej chwili?

Po kilku sekundach padła odpowiedź: o ubezpieczeniu. Wprawdzie dookoła pusto, ale лихо nie śpi, a mogą także żołnierze niemieccy nadejść na ćwiczenia.

„Stempel” zniknął w krzakach, udając się na punkt obserwacyjny, z którego dobrze było widać całą okolicę; po pół godzinie miał zostać zmieniony. Drugi punkt zajął „Kanner”.

— Gotowe — zaraportował jegomościowi „Jastrzęb”, gdy ukończono zbieranie małych kamyków.

Sekcja „Bronka” odeszła do krzaków, gdzie zajęto stanowiska wypadowe, pozostali zaś weszli do bunkrów. Jegomość z „góry” ręką dał znak zaczęcia działań.

— Naprzód! — zakomenderował „Bronek” i machnął kilkakrotnie od siebie ramionami. (W tyralierę!)

Paroma skokami dopadli upatrzonych zawczasu stanowisk strzeleckich, padając od razu na ziemię. „Wróg” strzelał gęsto z karabinu maszynowego. „Wulkan” strzelił, to znaczy cisnął kamykiem, do wejścia bliższego bunkra.

— Szeregowy „Wulkan”! Oszczędzać amunicji na starcie wręcz — upomniał Jerzy, uchylając się w bok; seria z kaemu przeleciała tuż koło niego.

— Ale wał „Szwaby” — mruknął Roman — mogą sobie pozwolić, bo mają dużo amunicji, a my tylko po 30 nabojów każdy. („Panowie, dostaniemy najwyżej po 30 sztuk amunicji, tak że po wystrzeleniu 10 już trzeba o tym meldować” — przypomnieli się słowa Jerzego w dniu zaprzysiężenia.)

— Szeregowy „Skobel”! — rozległ się rozkaz. — Przygotować sobie stanowiska ogniowe! Wy, „Wulkan” i „Wiktor”, osłaniać ogniem mnie i „Słowika”, bo teraz my posuniemy się naprzód.

Grubas z wytężoną uwagą rozglądnął się po przedpolu. Psiakrew, już zaraz odkryte pole. A wróg kropi i kropi...

„Wulkan” z „Wiktorem” wystrzelili dwukrotnie w stronę bunkrów; w tym czasie dowódcy ze „Słowikiem” posunęli się naprzód.

— Teraz ja! — zawołał „Skobel” i pobiegł za poprzednikami.

— „Wiktor”, naprzód z „Wulkanem” na nowe stanowiska ogniowe! — zawołał Bienkowski oglądając się w tył. — Jest kto ranny?

— Na razie nie!

Upłynęło kilka minut. Sekcja posunęła się znowu bez strat nieco przed siebie. Z odległości kilkudziesięciu kroków ziały ogniem dwa bunkry.

— Cholera, to już czyste pole — zaklął głośno „Słowik”.

Znów zajęto nowe stanowiska w natarciu. Nagle „Skobel” wykrzywił się i rozłożywszy ręce, dobrze udanym gestem, osunął się na ziemię.

Roman uważnie obserwował położenie. Choć całość przypominała grę sportową w drużynie zuchów, niemniej jednak była czymś o wiele wyższym. Była to generalna próba i zarazem egzamin konieczny ze względu na umiejętność współdziałania ze sobą ludzi w natarciu w najmniejszym zespole, jakim jest sekcja. Oczywiście, w powstaniu będziemy nacierać więcej niż w szczęściu. No, i zamiast markowanych nabojuw i granatów będą prawdziwe. „Nie należy biernie oczekiwać nieprzyjaciela na bronionej pozycji, lecz wypadać grupkami i niszczyć tyralierę” — przypomniał sobie zdanie z *Walki*, gdy czterej obrońcy bunkrów wyskoczyli na nacierających, wspierani cekaemem „Jastrzębia”.

— Ognia! — zakomenderował spokojnie „Bronek”.

Przywitani salwą nacierających, obrońcy bunkrów cofnęli się. Jeden z nich machnął ręką w umówiony poprzednio sposób, a Zawada poczuł rosnące zadowolenie.

— Trafiłem go.

Nacierający posunęli się znowu kilka metrów naprzód.

— Przygotować granaty! — padł rozkaz.

Palce nacierających ujęły znalezione na Skałach Twardowskiego wypalone pałki z zaczepnych granatów niemieckich.

— Wystrzeliłem 10 nabojuw — zameldował „Wulkan”.

Grad kul ponownie zaświstał koło uszu. Odległe już tylko o 10 metrów bunkry rozsypywały istny grad pocisków.

— Cholera, trafili mnie! — zaklął „Słowik”, osuwając się na ziemię, podobnie jak poprzednio „Skobel”. — „Bronek”, ale w nogę! Czy można dalej strzelać?

— Można! — odrzekł zapytany, strzelając do wychylającego się znów z bunkra „Chętnego”.

— Uwaga, wiara! — Granaty rzuć! — wydał nową komendę.

— Padnij! — ryknął nagle dowódca sekcji. Z bunkrów wyleciały trzy granaty ręczne i spadły między atakujących. Nie liczyło się to, bo rozkaz „padnij” został wydany przed wyrzuceniem ich z bunkrów.

Przeczekawszy chwilę „Bronek”, „Wulkan” i „Wiktor” rzucili swoje granaty, starając się trafić w wejścia bunkrów.

— Gównu z tego! Ale dlaczego „Słowik” nie rzucił?

Roman obejrzał się na rannego. Leżący na ziemi brał właśnie rozmach prawą ręką. W twarzy widniało skupienie. Ku leżącemu zwrócił się karabin maszynowy i „Słowik” trafiony kilkoma kamykami zginął. Lecz niemal jednocześnie zamilkł karabin maszynowy i zabrzmiało głośne „hurra” trzech pozostałych przy życiu żołnierzy sekcji „Bronka”.

Granat rzucony przez rannego wpadł do środka bunkra. Rozerwani wybuchem „Chętny” wraz z drugim kolegą wyszli zeń i usiedli obok dwóch zabitych poprzednio.

— „Wiktor”, obsadzić bunkier! — dobiegł Zawadę głos dowódcy. — Wykurzimy tamtych...

„Wiktor” przebiegł pod gradem kul i stanawszy w bunkrze wycelował w wychylającego się z drugiego bunkra „Jastrzębia”. Karabin maszynowy dalej pluł ogniem. „Bronek” z „Wulkanem” podsunęli się pod ścianą bunkra „Jastrzębia” i nagle „Wulkan” osunął się na trawę: dostał trzy kule.

„Bronek” zamachnął się granatem i po chwili rozerwani „Jastrzab” z drugim kolegą wyszli z bunkra.

— Wygraliśmy, panowie — roześmiał się „Bronek” do zabitych. — Zdobyliśmy dwa bunkry i wielkie zapasy amunicji wroga. Chodźcie, już koniec.

— Byle tylko w powstaniu tak poszło, to będzie w sam raz.

Wrócili „Stempel” i „Kanner”. Minęło już pół godziny od rozpoczęcia ćwiczeń.

— Nikogo w pobliżu — zaraportował „Stempel” — tylko jakaś zakochana parka.

Po chwili odpoczynku rozpoczęło się powtórne zdobywanie bunkrów. Tym razem niedawni obrońcy atakowali, a atakujący bronili. Zawada opuścił pole bitwy, wyznaczony do czuwania nad bezpieczeństwem ćwiczeń. Przedarł się przez krzaki w stronę opisanego przez „Stempla” punktu obserwacyjnego przy niewysokim drzewie. Szybko wdrapał się na miejsce i rozglądnął dookoła po lekko falującej przestrzeni pełnej zarośli, gdzieś tam ciemnozielonych od krzewów szpilkowych, przeważnie jednak niemal zupełnie szarych. Tylko w niektórych miejscach widać już było świeżą zielen. W dali lekko zamglone miasto. Na drodze do Krakowa nie widać prawie żadnego ruchu. Tylko jakiś samotny rowerzysta, ale to głupstwo.

Strasznie wlecze się czas. Roman z nudów przenosi wzrok na siedzącą o kilkadziesiąt metrów parę, która nie może dostrzec obserwatora. Właśnie mężczyzna obejmuje ramieniem swą towarzyszkę, która broni się, i przysuwa usta do jej twarzy.

Zawada znów patrzy na drogę, po chwili ponownie na siedzących.

— Zaraz, zaraz — monologuje. — Mam! To ten skurwysyn, co się nie podobał „Bronkowi”, jak wtedy,

w styczniu, szedł za nami! Cholera, to ten sam, co wtedy kłaniał się Kryśce! I dzisiaj znów go widzimy!

Twarzy dziewczyny nie można było dotychczas dostrzec, gdyż obydwójce siedzieli odwróceny tyłem. W pewnej chwili podmuch wiatru przekrzywia kapelusz na głowie panny, która chcąc go poprawić odwraca głowę w bok, i Roman wyraźnie odróżnia rysy twarzy. Ścisnął ramieniem pień drzewa:

— Krysia!!! Tutaj i w takiej sytuacji?

Pień drzewa jakby drgnął. Chłopiec przypomniał sobie nagle zdarzenia z ostatnich dni... Uf, nieprzyjemnie!

— Ale może to nie ona?

Niestety, ona. Płaszcz inny, ale twarz ta sama. I ten skurwysyn obok. Prawdopodobnie konfident gestapo! Tfu!

— Odchodzą?

Siedzący na kamieniach z wolna powstali i oglądając się za siebie odeszli dróżką między zaroślami. Wiatr przycichł na moment. Przez parę sekund najwyraźniej widać było twarz dziewczyny. Wzburzenie Zawady wzrasta.

I nagle we względnej ciszę wdziera się jakiś obcy głos. Z początku przypomina on brzęczenie komara, przechodzące prędko w warczenie. Auto, a raczej auta. Zza dalekiego zakrętu od strony miasta ukazują się samochody ciężarowe. Mimo odległości widać wyraźnie kolor „feldgrau” na platformach.

— Wehrmacht! Kto wie, czy nie tu na ćwiczenia!

Zapomniawszy o widzianej przed chwilą scenie, Roman biegnie w stronę bunkrów, gdzie kilkoma słowami powoduje „zawieszenie broni”. „Bitwa” pozostaje nie rozegrana. Ze względu na podejrzanego typa idącego drogą do miasta wraz z Krystyną, sekcja opuszcza plac

ćwiczeń inną drogą i na polecenie jegomościa z „góry” będzie kontynuowała ćwiczenia na innym terenie.

Warkot motorów przybliży się z każdą chwilą. Po odejściu kilkuset kroków zauważyli żołnierzy kręcących się koło bunkrów. Zawada idzie wraz z „Bronkiem” i „Wulkanem”. Na pozór beztrzesko rozmawia z kolegami, kipiąc wewnętrznym wzburzeniem.

Wiatr znów przybiera na sile. Chłopcy oddalili się już spory kawałek od Skał Twardowskiego; zarośla na horyzoncie są już tylko szarą plamą na tle widniejącego za Dębnikami wzgórza.

24 kwietnia 1943

A zatem ukończyliśmy elementarne przeszkolenie szeregowych. Po ćwiczeniach, które trwały do południa, jegomość „z góry” razem z „Bronkiem” i „Jastrzębiem” urządzili dla nas dalszy egzamin, na którym odpowiadaliśmy na różne pytania. Trzeba było także szczegółowo opisywać części granatu, karabinu itp., a nawet rysowaliśmy je w notesie. Koledzy dobrze odpowiadali na pytania, mnie też poszło to bardzo łatwo, bo w tych sprawach orientuję się od dawna. Po zakończeniu jegomość podał każdemu rękę, gratulując dodatniego wyniku i życząc nam powodzenia w powstaniu rozstał się z nami.

Wróciłem do domu równie zadowolony, jak po zaprzysiężeniu. Wobec tej świadomości szybko pierzchnęło nieprzyjemne wrażenie po tym, co zauważyłem. Jeszcze w czasie „odwrotu” ze Skał Twardowskiego powiedziałem o całej sprawie „Bronkowi” i „Chętnemu”.

Na razie jeszcze na pewno nie wiadomo, czy ten typ, który był z Krysią, jest konfidentem gestapo, ale są silne podejrzenia i „Chętny” mówił, że to wnet się wyjaśni. Ciekawe, czy gdybym jeszcze kiedyś odwiedził Krystynę, ona dałaby mi do zrozumienia, że znalazła już innego amanta. Możliwe, że nie, ale na to pytanie wcale nie chcę odpowiedzi. Zrozumiałe, że więcej z nią nie będę gadał. Oprócz ambicji w grę wchodzi tu i to, że z kimś mającym takiego znajomego, jak ten typ, lepiej się nie zadawać. Choć ona może nie wiedzieć o tym, że to taki ananas. Lepiej poszukam sobie jakiejś innej „okazji”, ale teraz od razu zamelduję o tym przełożonemu, bo na mojej głowie spoczywa część odpowiedzialności za kolegów, a żadnej panny nie można być pewnym, czy nie ma takich jak i Krysią znajomych. Psiakrew, żeby ten typ był którymś z naszych, prędzej oswoiłbym się z tą historią.

Praca dla Organizacji jest najlepszą odtrutką na kobiety. Czuję, że z wolna uczę się patrzeć na wszystko pod kątem wojska, a inne sprawy, nawet kobiety, są w coraz większym stopniu dla mnie rzeczą drugorzędną.

28 kwietnia 1943

W czasie świąt nie zaszło nic nowego. Podczas wizyty u znajomych potwierdziło się tylko moje przypuszczenie, że coraz mniej rozumiem ludzi, z którymi nie mam wspólnego języka.

Postanowienie podjęcia pracy w Ernährungen zapadło już nieodwołalnie. Zamiast budy będę miał teraz o wiele lepszą ochronę przed łapankami no i przed Ar-

beitsamtem¹⁷, który codziennie wysyła wielu ludzi na roboty, prosto pod bomby. Jeżeli ktoś choć parę dni pozostaje bez pracy, od razu dostaje czerwoną kartkę z ul. Lubelskiej na wyjazd do Niemiec. Taką kartkę dostał w lutym „Chętny” i od tego czasu nie śpi w domu.

W ostatnich czasach wysyłanie na roboty zmalało. „Bronek” opowiadał jeszcze w styczniu, że w Krakowie istnieje również organizacja komunistyczna i że w dniu 15 marca nastąpił wybuch w Arbeitsamcie, który zniszczył dużą część akt. Było to zrobione właśnie przez tę organizację¹⁸. Brawo!

Przed wojną komuniści byli zamykani w więzieniach, ale pamiętam dokładnie, jak w dniach 1 i 2 września 1939 roku pisali w ostatnich gazetach polskich, że „dziś wszyscy jednakowo bronią Ojczyzny przed odwiecznym wrogiem”.

Kurs Ernährungu zaczyna się już jutro. Po jego ukończeniu otrzymam natychmiast pracę, no a przede wszystkim mocne dokumenty. Z dostaniem się na ten kurs było trochę kłopotu, ale przez ludzi do ludzi... Trzeba mieć ukończone 18 lat, a ja mam dopiero niecałe 17. Wobec tego w życiorysie pierwotnie podałem rok urodzenia 1924 i była mała heca. Dostałem bowiem nakaz przedłożenia zwolnienia z Baudienstu, bo na zarządzenie jakiegoś Szwaba nie wolno przyjmować rocznika 1924 bez tego zwolnienia. Rada w radę, spr-

¹⁷ Urząd pracy — instytucja zajmująca się na terenach okupowanych przymusowym werbunkiem do robót w obozach pracy, w szeregach Służby Budowlanej (Baudienst) i w Rzeszy. Znienawidzona ze względu na szczególnie brutalne traktowanie Polaków.

¹⁸ Podobnie jak w innych ośrodkach okupowanego kraju, tak i w Krakowie działała pepeerowska Gwardia Ludowa (GL).

wę zatuszowano, a ja „postarzałem” się jeszcze o rok. Prawdopodobnie nie będą na kursie sprawdzali kennkart¹⁹, a więc może się uda.

Zatem w tych dniach nastąpi u mnie pierwszy krok do zmiany dotychczasowych warunków życiowych. Zaczynam je zresztą niezbyt chwalebnie, bo naciąganiem. Na pewno bym tego nie popełnił, gdyby były tu nasze polskie władze. Ba, ale wówczas w ogóle byłoby to niepotrzebne, bo po prostu chodziłbym normalnie do gimnazjum, no, ale nie byłbym wówczas strzelcem „Wikto-rem”.

W ciągu tych paru dni z łatwością przeszedłem także do porządku dziennego nad sprawą z Krysią. Zdaje mi się, że to było już dawno temu i niezależnie od końca tej znajomości pozostanie mi po niej zwykle, nawet dość miłe wspomnienie.

Myślę teraz nad inną ważniejszą niż Ernährung rzeczą: wczoraj widziałem się z „Bronkiem”, od którego usłyszałem, że wkrótce (ponieważ ukończyliśmy już szkolenie dla szeregowych) dostaniemy poważniejszą „robotę” w Organizacji, tak jak nam wtedy zapowiadał oficer. Wspaniale! Nie wiemy jeszcze obaj, co to będzie, ale na pewno da nam możliwość szkodzenia wrogowi.

*

W ciągu trwania kursu Ernährungu szybko płynęły dni, z których jeden podobny był do drugiego. Roman przyzwyczajał się do nowego rodzaju nauki i pilnie się do niej przykładał. Inni kursисти kpili nawet trochę z jego zapału, ale sami również nie próżnowali; byli poważnie starsi od niego wiekiem, dawno przestali już

¹⁹ Okupacyjny dowód tożsamości.

chodzić do szkoły. Skutkiem tego nauka przychodziła im nawet trudniej.

Zawada rozumiał jeszcze przed kursem, że lewy wiek to jeszcze nie wszystko. Stale uważał, aby nie mówić za dużo i nie wyrwać się z jakimiś słowami, które mogłyby wykazać, że jest młodszy, niż podawał. Wprawdzie ręczono mu przed kursem, że nikt nie będzie tam dokładnie kontrolował dokumentów, ale chłopiec przypuszczał, że na kursie mogą się również znajdować konfidenci gestapo. Nie mając nikogo ze znajomych, odnosił się jednakowo nieufnie do wszystkich.

Ludzie będący w zbiorowisku i mający niekiedy chwile wolnego czasu często lubią dyskutować na różne naukowe i pseudonaukowe tematy. Zawada podał w formularzu, że skończył trzy klasy gimnazjum i raz o mało nie wyspał się, zapytany przez kogoś o jedno z twierdzeń matematycznych, o którym słyszał piąte przez dziesiąte w „handlówce”. Z każdym dniem coraz wyraźniej widział, że stałe uważanie na swe słowa oraz ukrywanie czegoś przed otoczeniem jest trudniejsze niż w sensacyjnych powieściach.

14 maja 1943

Dni mijają na ogół szybko, bo pracy jest bardzo dużo. Są to na pozór rzeczy proste, na których każdy chłop zna się od dzieciństwa, ale dla kogoś, kto, tak jak ja, zna się na rolnictwie tyle, co kura na astronomii, nie jest to łatwe...

Pochłonięty nauką (uczę się nawet w niedzielę, żeby nie zryć przy egzaminie), nie mam czasu na interesowanie się tym, co się dzieje w świecie. Podobno w Af-

ryce nasi posunęli się naprzód, gnając przed sobą wojska Afrika-Korps (dowodzone poprzednio przez „sławnego lwa pustyni” generała Rommla), i to tak skutecznie, że w dzisiejszym „Podogońcu” przeczytałem najwyraźniej: opór wojsk Osi w Tunisie po bohaterskiej walce ustał. Brawo, Alianci! ²⁰ Na wschodzie Niemcy zostali wyparci aż pod Orzeł i Charków. Ciekawe, czy inwazja nastąpi wreszcie w tym roku? Byłby już na to najwyższy czas, a wtedy — naprzód, wiara!

18 maja 1943

Podczas przerw w wykładach na kursie (a przerwy są często po trzy kwadransy lub nawet godzinę, bo wykłady trwają od rana do wieczora) goście dyskutują zawzięcie lub opowiadają wice, w czym zresztą i ja celuję. Dziś słyszałem taki kawał, jest on podobno autentyczny, a opowiedział go pewien jegomość z Pińczowa:

— Wiecie, panowie, w Pińczowie jest głupkowaty woziwoda, który nawet nie pamięta swego nazwiska, tylko wie, że wszyscy w miasteczku nazywają go Jędrusiem. Pewnego wieczoru jeden z granatowych policjantów ²¹ upił się i zostawił karabin przed domem.

²⁰ W dniu 13 maja 1943 roku nastąpiła kapitulacja wojsk niemiecko-włoskich na półwyspie Bon, w północnym Tunisie. M. in. wzięty został wówczas do niewoli następca odwołanego wcześniej gen. Rommla, gen. Arnim. Zakończyło to trwającą blisko trzy lata kampanię w Afryce.

²¹ Zachowana przez okupanta policja polska, od koloru mundurów zwana powszechnie granatową, wchodziła w skład policyjnych formacji pomocniczych, biorąc w ten sposób nieraz z konieczności udział nie tylko w walce z przestępczością, ale i w akcjach wyraźnie antynarodowych. W szeregu wypadków szczególnie jej funkcjonariusze współpracowali z ruchem oporu.

Jędrus przechodził właśnie tamtędy, zobaczył karabin, zabrał go i odniósł na posterunek. Przyszedł tam przed samą godziną policyjną, prawie po ciemku, bo to było jeszcze w zimie. Policjant przez uchylone drzwi zapytał, kto idzie, na co tamten chciał podać mu karabin i odpowiedział, że Jędrus. Jak policjant zobaczył chłopca z karabinem, który mówił, że jest Jędrusiem, z miejsca zatrzaskał drzwi i był podobno bardzo błądy. Jędrus postawił karabin przed posterunkiem i poszedł sobie, a policjanci całą noc nie zmrużyli oka, obawiając się napadu...

(„Jędrusiami” nazywają na wsi partyzantów²². — Ha, ha, ha!

Słyszałem kiedyś, że w 1940 roku były w Górach Świętokrzyskich oddziały wojskowe, rozbite we wrześniu 1939, które jeszcze przez długi czas prowadziły wojnę podjazdową z Niemcami²³. Potem jakoś o tym ucichło. O partyzantach zaś słyszał dużo Studziński, kiedy w zimie tego roku był na wsi po żywność, kilkanaście kilometrów na południe od Myślenic. Ba, nawet widział ich z daleka. Czasem słyszy się o „leśnych”. O, żeby kiedyś samemu móc już walczyć z bronią w rękę!

²² Od działającej na terenach powiatów tarnobrzesckiego i sandomierskiego organizacji, wiosną 1942 roku przekształconej w oddział partyzancki, „Odwet”, powszechnie jednak znanej pod nazwą „Jędrusie”, od pseudonimu założyciela organizacji, tarnobrzesckiego nauczyciela Władysława Jasińskiego, „Jędrusia”.

²³ Chodzi prawdopodobnie o tzw. Oddział Wydzielony Kawalerii Wojska Polskiego, którego dowódca, mjr Henryk Dobrzański, „Hubal”, postanowił nie przerywać walki rozpoczętej kampanią wrześniową. Jednakże w kwietniu 1940 roku oddział jego został rozбит, a on sam zginął podczas próby przebijania się przez niemiecką oblawę pod wsią Anielin, w lasach suchedniowskich.

Między kursistami musi być co najmniej paru, którzy też należą do Organizacji. Często wpadają mi w ucho różne uwagi, które wypowiadałbym sam, gdybym starannie nie uważał na każde swoje słowo. Kiedyś zaczęliśmy mówić o klęsce Francji w 1940 roku. Pomyślałem wtedy, że nie doszli tam wówczas, niestety, do głosu patrioci, którzy by, jak w roku 1792, uratowali naród przed haniebną kapitulacją i okupacją, choćby za cenę wystrzelania zdrajców z rządu. Ale nie powiedziałem tego głośno. Nie chcę zwracać na siebie uwagi zainteresowaniem polityką. Wolę udawać zupełnie obojętnego, a o tych sprawach mówić najwyżej na „sobótkach”.

20 maja 1943

Kurs zbliża się do końca. Za kilka dni odbędzie się egzamin, który — choć zapowiada się groźnie — może zdam. Trudniejszą natomiast rzeczą będzie później sama praca, gdzie trzeba będzie mieć nieraz doświadczenie dorosłego człowieka. Dorosłymi są przeważnie prawie wszyscy kursисти. Jak się okazało, będziemy mieli także służbowe wyjazdy w teren, a o ile dobrze słyszałem, w krakowskim Ernährungu istnieje zapotrzebowanie na urzędników do spraw hodowli bydła. Cieszę się, że nie przy kontyngentach, bo to — moim zdaniem — byłyby już zwykła współpraca z okupantem, czego, oczywiście, nie chciałbym robić. W „Małopolskim Biuletynie Informacyjnym”²⁴, który czytamy z „Bron-

²⁴ Tygodnik wydawany przez Armię Krajową w Krakowie w okresie od marca 1942 do października 1944 roku. Do jesieni 1943 roku tytuł brzmiał: „Biuletyn Informacyjny Małopolski” (Bim).

kiem”, raz po raz są wzmianki o takich gorliwych sługusach i o karach, jakie nasza „góra” im wymierza. Kiedyś np. złodziejski targownik (pomagający przy zabieraniu chłopom krów) w Mogilanach został przez „leśnych” zakolczykowany świńskimi kolczykami, które ku uciesze miejscowej ludności musiał nosić przez 5 dni pod karą śmierci.

Boję się, czy na takie służbowe wyjazdy w teren nie jestem za młody. Do licha, żebym był z pięć lat starszy! Trudno, trzeba będzie na gwałt nabierać doświadczenia starszego od siebie chłopca i może mi się to uda. Poza tym praca ta powinna dać mi wyrobienie, które będzie potrzebne do działalności na szkodę wroga, do której przygotowuję się dokładnie od pół roku, a właściwie od blisko czterech lat.

21 maja 1943

Koledzy urządzili mi dziś idiotyczny kawał, po którym, prawdę mówiąc, choć śmiałem się razem z nimi, odczułem przez chwilę nie najprzyjemniejsze wrażenie. Dobrze, że się z tym nie zdradziłem, bo wtedy mogliby mnie rzeczywiście o coś podejrzewać, a tego wolę uniknąć.

Jeden z nich wszedł w pewnym momencie i powiedział, że jestem proszony do wyjścia. Na moje zapytanie, kto chce ze mną mówić, odpowiedział, że policja. Poszedłem, obawiając się, czy to któryś z kolegów nie wpadł i nie wyspał mojego nazwiska, zastanawiałem się też, którędy i dokąd wiać.

Bądźmy jednak sprawiedliwi: podobny kawał sam zrobiłem w jesieni Jerzemu, nie wiedząc jeszcze nic o Organizacji. Rano, przed pójściem do budy, posze-

dłem do niego odebrać pożyczoną książkę i zapukawszy silnie do drzwi, na jego: „kto tam?” — odpowiedziałem: „Deutsche Polizei”²⁵. Gdy otworzył, był trochę zielony i skłął mnie jak szewc. Teraz tak samo zakpiono i ze mnie.

Podobne żarty urządzano i innym kursistom. Dobrze, że się nie zdradziłem, bo niewykluczone, że między tymi, co zrobili taki kawał, jest jakiś kapuś, który po prostu chce w ten sposób natknąć się na podejrzanych. Możliwe i to.

Za trzy dni egzamin, a od połowy czerwca albo od 1 lipca będę już pracował. Trochę mnie to cieszy, że najdalej za półtora miesiąca będę bardziej samodzielnym człowiekiem niż teraz. Ba, co więcej, pomijając już mocne dokumenty, w czasie wyjazdów w teren będzie można przywieźć do Krakowa niejedną smaczny kęs. Najważniejszy jednak z tego wszystkiego jest tryb życia, który, o ile się orientuję, powinien dać duże możliwości pracy dla Organizacji. Zatem przygotowuję się jak najstaranniej do egzaminu.

*

Kursiści spacerowali po sali, w której w ciągu miesiąca odbywały się wykłady, i przepytывali się nawzajem z nabytych wiadomości. Za drzwiami rozpoczął się właśnie egzamin ustny. (Pisemny skończył się już przed południem.) Roman dowiadywał się od wychodzących, o co ich pytano. Jak zorientował się, egzaminatorom chodziło nawet o to, aby nie „przyskrzyniać” kursistów. Było to zupełnie zrozumiałe wobec stałego zapotrzebowania na harujących za nędzne pensje pracowników; Ernährung pragnąc mieć ich jak najwięcej, nie patrząc

²⁵ Policja niemiecka.

zbytńio na kwalifikacje. Przed wojną kurs tego rodzaju trwał trzy miesiące, a obecnie — miesiąc.

W końcu Roman znalazł się przed egzaminatorami. Tym nie zależało specjalnie na głębokim opanowaniu materiału. Zresztą byli to wszystko Polacy, którzy oczywiście orientowali się, że prawdopodobnie nikt z egzaminowanych nie zostanie przy tej pracy po wojnie. Po dłuższej chwili trwania egzaminu, a raczej towarzyskiej pogawędki, Roman został uznany za zdolnego do pracy „in Abteilung Ernährung und Landwirtschaft in Krakau”²⁶.

²⁶ Patrz wyżej, przyp. 11.

Rozdział VIII

Słońce grzało mocno z bezchmurnego czerwcowego nieba, częstując obficie życiodajnymi promieniami ludzi, którzy mimo powszedniego dnia zalegli gęsto brzeg Wisły pod Wawelem i używali dozwolonych Polakom w tym miejscu letnich przyjemności.

Bulwarem w górę rzeki szli Bieńkowski z Zawadą, zajęci ożywioną rozmową. „Berg” często spoglądał za siebie, Roman zaś obserwował przepływający pod mostem Piłsudskiego statek „Krakau”.

— Skurwysyny — zaklął — nawet statkowi nie darowali. Słucham — dodał głośno zwracając się do Jerzego, który obrócił ku niemu twarz i chciał coś powiedzieć.

Romku, jest dość ważna sprawa. Powiedz, czy miałbyś ochotę wstąpić do formującego się plutonu egzekucyjno-dyweryyjnego?

Zawadę aż zatkało. Przypomniały mu się wczorajsze półsłówka „Bolida” i „Grzeška” oraz jakieś nieuchwytnie przeczucie czegoś, czego nie umiał dotąd dokładnie zdefiniować, a co od chwili powrotu z kursu przyczaiło się głęboko w jego podświadomości.

— A co tam będzie do roboty? — spytał z głupia frant, choć sama nazwa nawet głupiemu od razu powiedziała, o co chodzi.

Ogarnęło go dziwne uczucie, podobne do towarzyszą-

cego przy propozycji wstąpienia do Organizacji. Chęć przygód, niebezpieczeństw i niecodziennych wrażeń pomieszana ze zdrowym instynktem samozachowawczym i liczeniem się z potęgą gestapo — uczucie jak przy oglądaniu po raz pierwszy z bliska pożaru — i jak zwykle, pomimo lekkiego drżenia w kolanach (co u licha! przecież się nie boję!), chęć zaznania niebezpieczeństwa z wolna bierze górę. Teraz Jerzy coś mówi. Aha!

— ...Wyroki śmierci na konfidentach i zdrajcach narodu — rąbie „Berg” sylabę za sylabą — oraz perspektywa, że się, bracie, prędzej półtora metra ziemi możesz doczekać niż końca wojny. Więc?

Zapytany jeszcze nie odpowiada. Przed oczyma staje mu matka. Powstanie. Praca. Lecz z drugiej strony — „...przyjmuję cię w szeregi Żołnierzy Wolności, walka będzie twoim zadaniem, nagrodą zwycięstwo...” A śmierć? Teraz czy w powstaniu... słońce świeci i rozkwita lato... ech, nie warto o niej myśleć... i „Berg”, kochany stary Jerzy, on już się przecież także zdecydował. Nie będę gorszy od niego. No, jazda, szeregowy „Wiktorze”!

— Dobra, stary — odpowiada Roman niedbale — choćby dziś.

— Świetnie, gratuluje. Zaraz pogadamy o tym. A więc, stary zbój — uśmiechnął się Jerzy — po prostu kropi się do gości z maszyny.

— Ze spluwy? — zdziwił się „Wiktor” — chyba nie w mieście i nie w dzień? „Rewolwer — jak mówi Karol May — to diabelnie głupia broń, bo robi dużo hałasu”.

— Nie szkodzi — ciągnie dalej Bieńkowski — kropisz do typa, a potem w nogi. Gdzieś za rogiem prędko oddajesz komuś maszynę, a sam idziesz spokojnie da-

lej i znikasz. Jakby cię gonili, to są od tego specjaliści goście z tzw. ubezpieczenia i ich o to boli głowa. A ci najmłodsi, tacy jak ty i ja, robią po całym mieście największe zamieszanie. Wiesz, niedawno temu była „robota” — opowiada słuchającemu uważnie Zawadzie — jak kropili niejakiego Fiebicha.

— Czekaaj — wtrącił Roman — skądś znam to nazwisko. Aha... komendant posterunku policji!

— Tak. Otóż na Prądnik Czerwony poszło trzech jegomości ze spluwami, no i pierwszy kropnął do Fiebicha może z odległości pół metra. Tymczasem po huk skurwysyn rzucił się na nich z pięściami. Drugi kropnął do niego też z bardzo bliska, trafił drania w rękę, ale maszyna mu się zacięła, a trzeciemu w ogóle pistolet nie wypalił. Miał sakramenckie szczęście... No, a goście spacerkiem doszli do miasta — zakończył „Berg” historię nieudanego zamachu.

*

— Wiesz — mówi Roman do „Berga” — to było w 1939 roku. Sterta ziemi wzrastała w miarę zwiększania się kopanego dołu, do którego z ciężkim westchnieniem włożyłem zgrabny niklowany rewolwer kalibru 7,65 mm owinięty byle jak w natłuszczone szmaty. Bo chyba pamiętasz, że „kto nie uważni o n y nosi broń, zostanie jako partyzant rozstrzel o n y...” — głosiło wydane wtedy Anordnung¹ o oddawaniu broni. Starannie udeptałem ziemię i przyrzuciłem kamieniami. Warto by go odgrzebać, jeżeli doszczętnie nie zardzewiał. Choć chyba macie swoje spluwy?

— Oczywiście, stary. Pogadaj jeszcze ze „Skoblem”, no, a na razie — siup!

¹ Zarządzenie.

Poleciwszy ubrania jakiejś korpulentnej pani, śledzącej z brzegu kąpiące się dzieci, wśliznęli się w brudnoszare fale Wisły. Zimna bieżąca woda bywa dobrą ochłodą na rozpalone głowy i wyobraźnię młodych zapaleńców. Pływali już dłuższą chwilę, gdy „Berg”, przesłoniwszy oczy ręką, spojrział na brzeg.

— Korczyński!

— O wilku mowa, a wilk tu — zaśmiał się Roman, dążąc do brzegu.

Z rzeki, mieniającej się w słońcu, dobiegały wesołe okrzyki kąpiących się, w pobliżu kilka dziewcząt grało w piłkę, a parę metrów od rozbawionego towarzystwa trzech chłopcy prowadzili rozmowę na poważne tematy.

— Pluton egzekucyjny..., wykonywanie wyroków — tłumaczył Jerzy „Skoblowi”, który słuchał w skupieniu.

Chwilami jednakże myśli ich przybierały bardziej frywolny odcień. W rogu zaimprovizowanego boiska stała zgrabna blondynka, odbijając piłkę. Ubrana była w nadzwyczaj obszerny kostium kąpielowy i to zwróciło uwagę Jerzego.

— W tych dniach kropimy jednego skurwysyna... Panowie, patrzcie, jakie ta dziewczynka ma zgrabne nogi. A widać je w stu procentach, nie, co mówię, najmniej w stu pięćdziesięciu... Trzymajcie mnie, bo się zgorszę...

— A tak, tak! — przytaknęli pozostali, Zawada zaś dodał:

— Popatrz, mało ze sto pięćdziesiąt procent, ale nawet cały Wawel ma między nóżkami.

— Cóż za zachwycający widok!

— E, to dobre dla smyków, ja wolę rzeczy konkretniejsze od patrzenia... Nie oblizuj się tak, łobuzie!

Po dłuższej rozmowie ustalono szereg rozmaitych szczegółów dalszej „roboty”, po czym „Berg” pożegnał się.

— Czołem, panowie, za kilka dni, o ile mnie szlag nie trafi, spotkamy się znowu i jedziemy na całego. Na razie biorę tylko was dwóch, bo „Kanner” i reszta — za wielkie flegmatyki. Aha, jeszcze jedno: jak przepiszesz te instrukcje, trzymaj na razie u siebie, a potem daj „Chętnemu”. Serwus!

Odszedł, a koledzy pozostali jeszcze chwilę na plaży i Roman postanowił jeszcze raz przepłynąć Wisłę. Posuwał się stosunkowo szybko, z rozkoszą poddając ciało działaniu chłodnego żywiołu. Raz po raz dawał nurka i otwierał oczy w bursztynowej toni. Do brzegu pozostało jeszcze kilkanaście metrów, gdy naraz poczuł zmęczenie, narastające z wielką szybkością. Przez chwilę zlekceważył ten objaw, lecz wnet poczuł nieprzyjemne uczucie znane dobrze każdemu, kto choć raz był w podobnej sytuacji. Ładne kwiatki! Z kąpiących się nikogo w pobliżu, do brzegu kawał..., zmęczenie wzrasta...

Raz i drugi dał mimowolnego nurka, nie dotykając jeszcze dna, udało mu się jednak w porę zamknąć usta. Lecz siły wyczerpały się niemal zupełnie, a brzeg jakby się oddalał... Tak, to prąd go znosi! Czyżby koniec? Cholera, teraz, kiedy tyle nowych zadań do wykonania? Żeby choć raz być w „robocie”... Przed oczyma przesunęło się szybko parę zdarzeń z ostatnich czasów... Żeby choć zginąć w walce, ale tak marnie...

Naraz chłopca podrywa nowa siła. Brzeg jest tuż, tuż. Ciężko dysząc, gramoli się z wody i wyczerpany odpoczywa. Wraca łódką do czekającego „Skobla” i uśmiecha się:

— Wiesz, stary, mogę robić nie wiem jakie grandy i założę się, że nic mi nie będzie. Stare przysłowie mówi, że co ma wisieć, nie utonie.

Dzieląc się nadal rozmaitymi uwagami, obserwując znów luźny kostium kąpielowy nie wiedzącej o niczym panienki.

8 czerwca 1943

Zaczyna się! Naprawdę coś się zaczyna! Za parę dni lub już niedługo nareszcie będzie można robić coś konkretnego, co powinno doprowadzić do jakichś rezultatów. Tylko... czy będą one pozytywne? Pomijając już techniczną stronę całego przedsięwzięcia (trudno strzelać na ruchliwej ulicy miasta, gdzie Niemców jest, kto wie, czy nie więcej niż Polaków; nie licząc już Schupo, żołnierzy i wreszcie polskiej, tzw. granatowej policji, i ująć potem niepostrzeżenie), nie wiadomo, czy — o ile przedtem nie wpadniemy — Niemcy nie zechcą za każdego kropniętego volksdeutscha lub tajniaka mordować po kilku zakładników? Na razie tego nie ma, bo ludzie wiedzieliby coś niecoś, a „góra” nie składa się chyba z takich jegomości, którzy zbyt mocno szafowaliby życiem zakładników. Zresztą po cóż się tym martwić? Rozkazy trzeba wykonywać! I będę je wykonywał chętnie, gdyż właściwie rozpoczynamy czynną walkę z wrogiem. Na myśl o tym czuję się jak gdyby lepszy niż dotychczas. Gdzieś głęboko dreszcz mimowolnego strachu, bo do zabicia człowieka lub kogoś mającego jego obraz i podobieństwo też trzeba trochę odwagi. Zresztą podobno nikomu nie jest obce uczucie trwogi, a ten odważny, kto nie pokazuje tego po sobie, np. Jerzy. Ma lepsze nerwy ode mnie.

Zanim pójdę na „robotę”, mogę na razie zająć się przyjemniejszymi rzeczami. Niebawem po odejściu Jerzego spakował manatki „Skobel” i zostałem sam. Z nudów nadal przyglądałem się grającym niez mordowanie w imitację siatkówki pannom; jedna z nich zwróciła moją uwagę. Smukła, średniego wzrostu szatynka, o dużych ciemnych oczach, ubrana była w granatowy kostium kąpielowy. Przylegał do niej ściślej niż u koleżanki. Przypominała trochę Krysie, ale miała ładniejsze oczy. Byłoby może skończyło się na patrzeniu, lecz w pewnej chwili piłka wpadła wprost na mnie i wypadła ją odbić.

Przypomniałem sobie książkę Lindseya *Bunt młodzieży*; „wygłupiamy się i chichoczymy, a wszystko po to, aby zwrócić uwagę jakiegoś chłopca, który zdaje się nas ignorować”.

Po pierwszym odbiciu przysła kolej na następne. Od słowa do słowa... zacząłem sypać różnymi anegdotkami, a śmiech też może zbliżyć. Trochę trudno poszło przełamanie pierwszych lodów, ale niebawem porzuciłem — sztuczny zresztą — anglosaski fason, który przybieram, zobaczywszy z bliska przedstawicielkę płci pięknej. Odprowadziłem dwie panny spory kawałek drogi, przy sposobności dowiedziałem się, że brunetka ma na imię Irena i różnych innych szczegółów o niej. Wkrótce rozmawialiśmy jak starzy znajomi, o sobie, starałem się mówić jak najmniej, lecz interesująco. Bardzo ciekawiały rzeczy, których trzeba się domyślać. Nie ryzykowałem umawiania się, zapamiętałem tylko, że Irena będzie jutro nad Wisłą, tak jak dziś. Warto by poznać się z nią bliżej. Zobaczymy... Wobec rozbudowy Organizacji i poznania dość interesującej panny przeżycia z Krystyną z wolna usuwają się w cień.

Siedzę przy maszynie do pisania u jednego z moich dobrych znajomych i papier zapełnia się rzędami czcionek, układających się w wyrazy: przedpole..., szperacz..., szpica..., nieprzyjaciel... Znajomy mój jest trochę młodszy ode mnie, byłoby więc niepożądane, aby zobaczył, co piszę. Myślałem już kiedyś o wciągnięciu go, ale Lolek jest jeszcze za młody.

Dla zamydlenia oczu położyłem koło siebie przepisane przed chwilą „pasze dla bydła” (jeden z wykładów na kursie); przydało mi się to, gdyż do pokoju wszedł ojciec Lolka i spytał, co piszę. Pokazałem wykład z kursu i uwierzył. Jeżeli nie będzie za bardzo ciekawy, wszystko pójdzie jak po maśle.

Zastanawiam się nad tym, czy gdyby coś zauważyli, miałbym prawo powiedzieć, o co chodzi? W przysiędze jest mowa o tajemnicy, ale wobec tak oczywistych dowodów...

Piszę ze zdwojoną energią. Wreszcie regulamin piechoty jest gotów. Dodałem jeszcze rubrykę: Uwagi dowódcy i 1943, po czym zebrałem zapisane arkusze do teczki. Chcąc odwrócić uwagę Burkowskiego od teczki, zacząłem pisać nieprzyzwoity wierszyk, tak aby w wypadku ciekawości ojca, Karol sam starał się o ukrycie całej historii. Pożegnawszy się ze znajomym, zabrałem regulaminy do domu. Z pewnych względów nie daję ich „Chętnemu” razem z odkopanym onegdaj rewolwerem, będzie to możliwe dopiero za kilka dni.

Przyszedł mi na myśl Świerczyński, na którego wciągnięcie Jerzy wyraził niedawno zgodę. Prócz Ludwika jest jeszcze jeden kandydat, Józef Dąbski. W Zielone Świąta przejdę się z nimi za miasto i tam sobie pogadamy.

Wczoraj widziałem się ponownie z Irką i dziś po południu mogę ją znów zobaczyć. Lecz nie palę się na razie do niej; chwilowo mam większe cele na oku niż znajomość z ładną panną.

*

Parcela, na której dwie pełne ludzi karuzele wygrywały jakąś mocno fałszowaną melodię, była odgrodzona od ulicy betonową barierą. Dwieście, może trzy-sta osób, przeważnie o mało inteligentnym wyglądzie, kręciło się wokoło, głośno hałasując. „Bronek” wsparł się na barierze obok Stefka i spokojnym wzrokiem wodził po tłumie. Tuż przy nich stali dwaj żołnierze niemieccy, uzbrojeni, na szczęście, tylko w bagnety. Nieco dalej przechadza się dwóch Słowaków z dużymi spluwami u boku. Ci nie są groźni, byle tylko nie było policji.

Nagle Stefek trącił „Bronka” dyskretnie w ramię i przyciszonym głosem coś powiedział. „Bronek” spoj-rzał w tłum.

— Tak. Już wiem.

Młody brunet wsiadał właśnie na „wariacką” karuzelę, rozmawiając z drugim facetem. Dzwonek zadzwonił i karuzela ruszyła. Facet, jak gdyby chcąc nadać brunetowi rozpędu, przebiegł parę metrów, popychając go. Teraz tylko zaczekać, aż karuzela stanie.

— Spiesz się. Już po w pół!... — usłyszał szept Stefka. — Ja czekam na ulicy.

— Tak — odpowiedział i rozejrzał się.

— Psiakość!

W pobliżu przystanął Ukrainiec w czarnym mundurze². Ten może być niebezpieczny, lepiej zaczekać chwilę, może pójdzie dalej.

² Patrz rozdz. VII, przyp. 13.

Karuzela znów ruszyła. Jeszcze chwila i Ukrainiec rzeczywiście skręcił w prawo i znikł za mostem na kanale. Najwyższy czas, bo karuzela zwalnia i wreszcie staje. „Broniek” rozgląda się i naciska bezpiecznik. Lekki trzask, na który nikt nie zwraca uwagi. Zdrajca nie zsiada, pewnie chce jeszcze raz pojechać.

— Owszem, pojedzie, ale nie karuzelą...

„Broniek” zbliżył się szybko. Spokojnie wyciągnął broń z kieszeni i przyłożył ją niemal do głowy delikwenta, od tyłu. Huknął strzał. Wśród ciszy, która nagle zapanowała, słychać ciężki stuk upadającego ciała. Parę dużych susów..., tłum ustępuje z drogi...

— Łapaj, łapaj! — usłyszał za sobą. Jeszcze kilka kroków i wybiega na ulicę.

— Łapaj, łapaj! — rozlegają się krzyki i kroki biegnących za nim ludzi. Skręcił w przecznicę i znikł między szeregiem aut. Tu goniący przystanęli, nie mając odwagi narazić się na kule, ale już go ujrzeli i...

— Łapaj! — rozległo się znowu. „Broniek” rzucił odruchowe „przepraszam” potrąconej pannie i zadyszany zatrzymał się na rogu, rozglądając się, czy nie nadjeżdża zbawczy tramwaj. Niestety, w dali błyszczał tylko biały punkcik lampy tramwajowej. Prześladowcy będą prędzej, nie ma co, trzeba biec dalej. Obejrzał się. Pojedyncze postacie widać już w odległości 30 metrów.

— Łapaj, łapaj! — rozległo się tuż, tuż.

„Bronkowi” krew uderzyła do głowy. — Nie ucieknę — przemknęło mu przez myśl. Potknął się... Zawrowało mu przed oczyma... O Boże! Muszę się zatrzymać! Bodaj tylko złapać oddech! Wpadł na podwórko najbliższego domu, odgrodzone sztachetami od ulicy. W tyle podwórka betonowe schody. Przykucnął za nimi i wyciągnął rewolwer. — Teraz kto wejdzie — trup.

Ostatnia kula dla siebie. Zdjął okulary. Ulicą za sztachetami przebiegł ktoś i więcej nikt. Cisza. Tylko krew huczy w głowie, usta gwałtownie łapią oddech. Cóż to? Czyżby bali się zbliżyć? „Bronek” wyszedł z ukrycia, zbliżył się do furtki i spojrzał w lewo. W szarym półmroku widać duży tłum na chodniku głównej ulicy. Nikt się nie zbliża. Szybkim krokiem przeszedł ulicę. Na rogu obejrzał się. Nikt go nie śledził.

*

Roman schował do kieszeni odkopany dawniej rewolwer i wzięwszy teczkę z regulaminami piechoty wyszedł z domu w kierunku miasta. Dzień był pogodny i jak na drugą połowę czerwca niezbyt upalny. Droga biegnąca wśród pól gdzieniegdzie lśniła schnącymi po wczorajszym deszczu kałużami, lecz naokoło było już sucho. Doszedłszy do końca ul. Prądnickiej Zawada zdwoił czujność; z daleka zobaczył patrol niemiecki, za którym przeszło dwóch granatowych policjantów. Idąc ul. Prądnicką, wspominał wczorajsze opowiadanie „Berga” o wykonaniu wyroku na pewnym konfidentie, mającym na sumieniu szereg Polaków; domyślił się udziału Jerzego w „robocie” i czuł pewną ulgę — ów kapuś nigdy już więcej nie zobaczy sekcji na ćwiczeniach. Ciekawe, czy Krysia domyślała się, kim był ten jej... znajomy?

W pewnej chwili zwolnił kroku i spojrzał uważniej; tak, nie ulega wątpliwości — obława. Jednocześnie wielu przechodniów poczęło zawracać w stronę przeciwną od tej, gdzie widniały zielone ciężarówki oraz rzędy granatowych i zielonych mundurów. Na boku pod ścianą kapuściarni stała duża grupa aresztowanych z wycelowanymi w nich lufami karabinów.

Po chwili Zawada znalazł się także z daleka od obławy; wynikła jednakże inna niedogodność. Docho-
dziła jedenasta. O wpół do dwunastej miał oddać re-
wolwer i instrukcje „Chętnemu”. Obława zatarasowała
na dłuższy czas drogę i most, a przekroczenie torów
kolei obwodowej groziło zatrzymaniem przez niemiec-
kiego policjanta kolejowego.

— Trudno, z „Chętным” muszę się widzieć!

Poprawił spodnie (psiakrew, z tym gratem, żebym
choć miał więcej nabojów...) i przekraczając tory uważ-
nie rozejrzał się wokół, czy gdzieś nie widać munduru.
Na pozór zupełny spokój. Zawada przebył już tor
i wszedł między sterty taczek pozostawionych przez ro-
botników, gdy nagle z przeciwnej strony jakiś przecho-
dzień syknął ostrzegawczo:

— Uważaj pan! On tam jest!

Dziwne, dookoła niemal zupełnie pusto. Wtem drzwi
małej budy, służącej za skład narzędzi, rozwarły się
gwałtownie i stanął w nich wysoki Bahnschutz³.

— Halt! Komm hier! Ausweis!⁴

Roman, klnąc pechową obławę, powoli zbliżył się
i wyjął kennkartę.

— Zehn Zloty Straf!⁵ — grzmiał dalej Niemiec.

— Nie mam nawet tyle — tłumaczy chłopiec, któ-
rego kieszenie świecą pustkami.

³ Skrót od Bahnschutzpolizei — kolejowa policja ochronna.
Formacja policyjna wchodząca w skład Orpo — Ordnungspolizei.
Bahnschutze lub czarni, jak ich nazywano od koloru munda-
turów, dali się szczególnie we znaki tym, którzy przemycali
żywność do miast, co wobec głodowych przydziałów żywności-
wych na kartki, było dla wielu rodzin warunkiem przeżycia.

⁴ Stój! Chodź tu! Dowód!

⁵ Dziesięć złotych kary!

— Ich werde suchen ⁶...

O, cholera! — pomyślał Zawada — to gorzej!

W tej chwili strażnik zatrzymał jakiegoś przechodnia, który z miną mówiącą: „dziadowi dają więcej”, wyjął pieniądze i zapłacił karę, lecz na prośbę chłopca, by pożyczył mu brakujące trzy złote, wzruszył obojętnie ramionami i odszedł.

Żeby cię krew zalała, burżuju! — pomyślał Roman. — Przez twoje skąpstwo mogę wpaść.

Na dworze ciepły letni dzień, a w budzie panuje chłodny cień i chłopiec wyraźnie czuje łązące po grzbiecie mrówki, gdy Niemiec przewraca teczkę. Mija parę sekund, długich jak godziny, i ten denerwujący szelest przewracanych instrukcji — rój konceptów i planów kłębi się w głowie. No, wreszcie dał spokój. Teraz gorsze: ręce policjanta sięgają do bluzki Zawady. A potem kieszenie w spodniach... Nie, nigdy! Kropnąć go i zwiać? Na nic, bo za budą jest drugi..., a on ma odpięty futerał..., chyba wyrznię go kolbą w mordę i rozbroję..., w sensacyjnych powieściach..., żeby nie było huku, który może zwabić innych ... już!

W ostatnim momencie przychodzi doskonała myśl. Ostrożnie odsuwa się od rewidującego, wyciąga z kieszeni kilkanaście znaczków pocztowych i daje je Niemcowi. Po chwili namysłu Bahnschutz godzi się na stosunkowo korzystną transakcję.

No, nareszcie można wydostać się z powrotem na słońce. Tłumiąc resztki nerwowego podniecenia, Roman dochodzi niebawem do miejsca spotkania z „Chętym”. Jest za minutę pół do dwunastej. W pobliżu nie widać Niemców. Czekający wsuwa rękę do kieszeni — kolba

⁶ Poszukam...

bębenkowca jest niewiele chłodniejsza od rozgrzanego ciała.

Z przeciwnej strony nadchodzi jakaś panna, na którą Zawada nie zwraca uwagi; dopiero gdy podeszła bliżej, poznał znajomą twarz.

— Kryśka! — omal nie zawołał głośno, pohamował się jednak i chmurnym spojrzeniem objął dawną kochankę. Dziewczyna zatrzymała się tuż przy nim.

— Romku! Tak dawno cię nie widziałam... Powiedz, co się z tobą działo?

Odburknął coś niechętnie. Miesiąc temu byłby może zadowolony z takich słów, popartych miękkiem spojrzeniem. Gdzieś z głębi wynurzyło się ponownie wspomnienie manewrów i świeższe, nie pozbawione pewnej osobistej satysfakcji: „dostał za swoje!” Na chwilę tylko. Dziś mało szlag mnie nie trafił, wnet może trafić... Krysia czy Irka... Ech, też miałbym sobie czym głowę zaprzętać...

— Masz przecież dobrych przyjaciół — zauważył po chwili ironicznym tonem, gdy dziewczyna przypomniała przeżyte wspólnie przyjemności. — No, a ten mój następca?...

— Nie wiem, już dawno go nie widziałam... Niech sobie idzie. Wiesz, Roman, on znał się z różnymi policjantami i Niemcami. Nie chcę go więcej widzieć.

— Hm, Krysia okazuje się porządniejsza, niż przypuszczałem — pomyślał chłopiec. — Nie wie, zdaje się, o tym, że ten drań już gotów, ale dobrze mu nie życzy...

Spod pięknych rzęs pada długie spojrzenie czarnych oczu (ładniejsze niż Irki). Guzik przy białej letniej bluzce jest oderwany, a to, co jest pod tą bluzką, znam doskonale... Można by zapomnieć o tym konfidencie...

Ale teraz mam ważniejsze sprawy na głowie, nie warto sobie psuć nerwów babą.

— Do widzenia, Krysia — rzekł w końcu, wyciągnąwszy rękę do dziewczyny — trzymaj się ciepło i przepraszam, jeżeli kiedykolwiek źle o tobie myślałem.

Zza rogu ukazała się sylwetka „Chętnego”. Roman kiwnął głową dziewczynie i ruszył w stronę kolegi. Nie obejrzał się ani razu. Myśli jego zajęte już były sprawami, wobec których wszystko inne wydawało się mało ważne.

18 czerwca 1943

„Berg” zjechał mnie porządnie za umieszczenie daty na instrukcji, co wcale nie przeszkadzało „Chętnemu”. Mówił, że trzeba było podać rok 1938 lub 1939, aby regulamin wyglądał na przedwojenny⁷. Niezupełnie zgadzam się z tym poglądem. Po pierwsze, gęstość farby była za duża i za świeża, już nie rzeczoznawca policyjny, ale laik poznałby to na pierwszy rzut oka. Po drugie, za same instrukcje też idzie się do Oświęcimia, nawet za przedwojenne.

Za parę dni wciągniemy Świerczyńskiego. Od pewnego czasu zbierałem o nim wiadomości i w poniedziałek świąteczny postanowiłem się z nim rozmówić definitywnie.

W drugi dzień Zielonych Świąt poszliśmy na wycieczkę na Bielany. Była ładna pogoda i droga mimo braku dziewcząt minęła nam dość przyjemnie. Przez cały czas opowiadałem rozmaite rzeczy o rewolucji 1905 roku i o walce PPS z caratem. Ludwik słuchał

⁷ Druki konspiracyjne były często antydatowane dla wprowadzenia w błąd władz okupacyjnych.

z żywym zainteresowaniem. Co chwilę wtrącał rozmaite uwagi, na podstawie których ostatecznie nabrałem przekonania, że jest naprawdę wartościowym kolegą. Gdy na koniec opowiedziałem o fladze polskiej, która powiewała parę dni temu z Sowińca (czytałem to w „Biuletynie”), zmiarkowałem, że czuje pismo nosem. Stojąc na szczycie kopca Piłsudskiego, przedstawiłem koledze moją propozycję. Nie był zbyt zaskoczony (tak jak przypuszczałem), podejrzewał mnie o kontakt z Organizacją od chwili zobaczenia *Walki* i *PW*. Okazał duże zadowolenie z propozycji i natychmiast wyraził zgodę. Żywi duży szacunek do Wojska Polskiego i cieszy się, że nasza Organizacja nie jest żadną partią.

Świerczyński powinien być dobry do „roboty”. Cenię go wyżej od siebie. Jest sumienny, wykazuje inicjatywę, posiada duże poczucie odpowiedzialności i — co najważniejsze — nie jest tchórzem ani nie ma długiego języka. Słowem — porządny chłop. Zaprzysiężenie zrobimy jednakże za parę dni, na razie musimy wykonać coś innego.

21 czerwca 1943

W tych dniach będzie „robotą”, w której osobiście wezmę udział w charakterze ubezpieczającego lub obserwatora. No, a dopiero za drugim razem będę rąbał sukinsynów. Trzeba sprzątnąć pewnego kapusia w Podgórzu. Pójdziemy wieczorem, ale tak, by na dziewiątą wrócić do domu.

Z początkiem przyszłego lub może z końcem tego tygodnia zacznę czynną walkę z Niemcami. Chwilami czuję lekką treść, niczym aktor przed pierwszym występem. Rzecz zupełnie zrozumiała, bo jeśli mnie diabli

wezmą, szkoda będzie matki... Ale może nie trafi, no, a nawet gdyby, to najpierw jest rozkaz, a potem rodzina. Przygotowania są obecnie w toku; pojutrze mamy zebranie, po którym razem ze współpracownikami ustalimy ostatecznie plan akcji. Później jedna chwila — i po wszystkim. Musi to być dość oryginalne wrażenie, gdy widzimy przed sobą zdrowego człowieka, a potem kupę drgającego mięsa, i wiemy, że to przez nas, a nie czynimy sobie żadnych wyrzutów... Człowieka? Nie! Niemcy i ci, co wydają Polaków w ich ręce, nie są ludźmi. To iście krwiożercze i niebezpieczne zwierzęta, które każdy ma obowiązek tępić. Już dawniej, czytając opisy Oświęcimia w „Dzienniku Polskim”, a przedtem powstań górnośląskich i słuchając opowiadań tych, którzy na własnej skórze mieli wypisaną historię gestapo, czułem, że tę bandę własnoręcznie bym zabijał. Teraz nadarza się ku temu dobra sposobność. Poza tym jestem spokojny wobec własnego sumienia, no i „wyższych moralności”. Jeżeli tam, w zaświatach, coś rzeczywiście istnieje, niebawem mogę mieć okazję sam sprawdzić.

Codziennie niemal widuję się z Ireną. Spędzamy razem dużo czasu i byłbym na dobrej drodze do zakochania się w przystojnej panience, gdyby...

Rozdział IX

Kończyło się już zebranie grupy egzekucyjnej, urządzone tym razem na wale nad Wisłą, i liczni uczestnicy omawiali właśnie następne spotkanie, gdy od strony Podgórza nadszedł „Chętny”.

— Serwus, panowie, nie rozchodźcie się jeszcze. Nie ma tu „Jastrzębia”?

— Co tam znowu? — spytał „Łubiński”, wysoki młodzieniec o kędzierzawej czuprynie i ciemnoniebieskich oczach przysłoniętych okularami.

Pozostali chłopcy, pełni jeszcze entuzjazmu wywołanego pochwałami przybyłego na inspekcję podchorążego, z zaciekawieniem patrzyli na tłumaczącego mu coś „Chętnego”.

— Panowie — zabrał głos ten ostatni, skończywszy rozmowę z podchorążym. Trzeba natychmiast sprzątnąć tego w brązowych spodniach i żółtej koszuli, który właśnie poszedł na karuzelę.

Zebranych przeszedł zimny dreszcz. Co innego jest słuchać entuzjastycznych opowiadań o udanym wyroku, co innego brać w nim udział z odpowiednim psychicznym nastawieniem, a jeszcze co innego nagle znaleźć się wobec perspektywy dużego bądź co bądź ryzyka.

Po chwili niemal jednocześnie występują „Wilhelm” ze „Stemplem”, zdopingowani rozkazem „Chętnego”,

chcącego się popisać swoimi ludźmi wobec „gościa z góry”.

— Doskonale. „Łubiński” i ty — skinął „Chętny” w stronę dwóch pozostałych — pójdziecie jako ubezpieczenie. — To rzekłszy wręczył „szóstkę” mausera nadrabiającemu miną ciemnookiemu młodzieńcowi. — „Wilhelm”, leć prędko do „Jastrzębia” do domu po maszyny! Pan — zwrócił się do podchorążego — niech patrzy, jak się wykonuje wyrok. — Uważajcie! — dodaje jeszcze „Chętny”. Przy karuzelach jest duży tłum. Jak go kropnicie, nawalajcie przez Długosza i na Kalwaryjskiej postarajcie się wskoczyć do tramwaju. My — powiedział pozostałym — zaczekamy na przystanku, na Konopnickiej, i tam odniesiecie mi maszyny. No, chodźmy!

Obydwie grupki rozeszły się w swoje strony. Po chwili „Wilhelm” ze „Stemplem” wrócili z bronią i kiwnąwszy kolegom, ruszyli szybkim krokiem naprzód.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Od strony lśniącej od jego promieni Wisły powiał zimniejszy wiatr. „Wilhelm”, będący przedmiotem mimowolnego podziwu kolegów, idzie twardo stawiając kroki. W czarnych oczach widnieje zaciętość. Obok nerwowymi krokami drepce „Stempel”. Z daleka dostrzegli konfidenta, który, nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, od paru minut jest już na ogrodzonej betonowym płotem parceli, gdzie znajdują się: strzelnica sportowa, huśtawki oraz dwie karuzele.

— Miej go na oku — słyszy „Stempel” szept przeznieszego kolegi. — Ja rozejrzę się trochę po placu. Minuty wloką się w nieskończoność. Osobnik w brązowych spodniach podchodzi do gry w hokeja.

— Żeby już było po tym — myślą zapewne koledzy

ściskając kolby pistoletów. Jak przez mgłę dochodzi zgiełk tłumu. Chłopcy patrzą na siebie.

— Zaczynajmy!

Szybkim ruchem podeszli ku pustemu środkowi placu, od początku ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia kilku gapiących się mężczyzn. W tej chwili zdrajca, zwrócony dotąd tyłem do nadchodzących, odwrócił głowę w ich stronę. Na widok rewolwerów grymas strachu wykrzywił mu twarz. Usiłuje uchylić się...

Ostry trzask wystrzału głuszy raptownie rozmowy. Zdrajca zachwiał się. Bluzgając krwią z ranionej szyi, padł...

— Zabity — woła „Stempel”, po czym wybiegają na chodnik. Po sekundzie ciszy spowodowanej strzałem, gwar wybucha ze wzmożoną siłą.

— Bandyci! Mordercy! — ryczy jakaś kobieta. — Łapaj! Łapać! Tam uciekają!

„Wilhelm” i „Stempel” rzeczywiście biegną co sił w nogach. Ale już po kilkunastu metrach zwalniają.

— Schowajże maszynę — napomina jeden drugiego. Dobrze, udało się!

Nagle z tłumu wysuwają się pojedyncze wrogie postacie.

— Łapać! Trzymać! — krzyczą.

Koledzy przechodzą koło „Chętnego”, który nagle traci równowagę.

— Uciekajcie, do jasnej cholery — krzyczy, niepomny na niebezpieczeństwo, że ma coś wspólnego z „bandytami”. Prędej, patrzcie, co się tam dzieje!

Koledzy oglądają się. Wprawdzie żołnierze niemieccy zdają się nie zwracać uwagi, jednakże już ludzie na placu Serkowskiego pokazują ich palcami. Przyspieszają kroku. I nagle... Między falangą goniących zakrwawiony

zdrajca, który w chwilę po wystrzale o własnych siłach powstał z ziemi.

— Rany Boskie! — krzyknął „Stempel” — On żyje! „Wilhelm” podnosi ponownie parabellum i bierze na cel niedoszłego nieboszczyka. Pada strzał. Niestety, jest to dopiero trzeci strzał, który „Wilhelm” oddaje w swym życiu, przy czym drżąca ręka nie wpływa dodatnio na celność. Jednakże goniący zatrzymali się na chwilę, a raniony konfident gdzieś zniknął. Mimo to strach poczyna pomału brać górę nawet nad opanowanym dotąd chłopcem.

Przebiegli pustawy plac Serkowskiego i kierują się na most Piłsudskiego. W odległości jakichś pięćdziesięciu kroków wyjąca masa goniących.

— Trrrrach!

Wbiegając na most znów dali ognia. Posiadana łączna liczba dziewięciu naboí zmałała do pięciu. Za chwilę most dudni pod stopami pogoni. Już można wśród tłumu dostrzec policjanta.

— Łapać, łapać!

Jak piekielna muzyka brzmia w uszach ściganych te nawoływania. Dyszą ze zmęczenia... Plac Wolnica... ul. Bożego Ciała... Zza zrębów kamienic wygląda zachodzące słońce i czerwono odbija się w szybach. Ciężkim krokiem bieżną przez pl. Nowy w stronę ul. Miodowej. Za nimi ów bezustanny złowrogi szum.

— Naprzód, naprzód! — ponaglają się nawzajem, przechodząc przez nowe miejsce „tandety”. Może uda się uciec? Niestety dziś, zresztą nie tylko dziś, lecz codziennie o pół do dziewiątej wieczorem, „tandeta” świeci pustkami.

Czoło pościgu mija jatkę, szukając wyczerpanych uciekinierów.

— Tam poszli — informuje policję ktoś usłużny. Tłum rusza więc w ul. Estery i Warszawera.

Koledzy ostatkiem sił zabarykadowali się w pobliskim stosie rupieci, leżących masami w najniechlujniejszej dzielnicy Krakowa — Kaźmierzu. Niemal równie zmęczona pogoń, której tymczasem przybyło w dwójnasób, rozgląda się na wszystkie strony. Nagle przy chodniku ze zgrzytem hamulców zatrzymuje się samochód ze złowrogą tabliczką: POL.

— Was ist los? ¹

Zobaczywszy zielone mundury, większość goniących odsuwa się nieznacznie. Do policjantów podchodzi tylko jakiś osobnik.

— Tam się schowali bandyci — objaśnia wskazując ręką zaimprovizowaną kryjówkę.

Skutkiem tego kilku niemieckich policjantów w towarzystwie granatowych rusza we wskazanym przez usłużnego fagasa kierunku.

Naraz zza betonowej płyty huknęły dwa strzały.

— Verflucht! — wrzasnął jeden z Niemców chwytając się za przestrzeloną rękę. Inni cofnęli się nieco.

— Feuer! — rozlega się komenda i kilka kul uderza w płytę i mur przyległej kamienicy.

Dwa, niestety, ostatnie strzały są odpowiedzią „Wilhelma” i „Stempla”.

Z zachowaniem wielkich ostrożności Niemcy rozpoczynają ostrzeliwanie prymitywnego schronu. Kiedy przez dłuższą chwilę nie słyhać strzałów ze strony Polaków, jakiś śmielszy granatowy podchodzi do płyty.

— Ty skurwysynie! — krzyknął głośno „Wilhelm”. Ciesz się, że nie mam więcej nabojów, bo bym ci łeb rozwalił. Zdecydowanym ruchem skierował lufę do sie-

¹ Co się dzieje?

bie. Ostatnie spojrzenie na ludzi — huknął strzał. Niestety, lufa osunęła się po guziku i kula przeszła obok serca.

Zmartwiały „Stempel” ujrzał, jak ranny kolega osunął się na brudne kamienie.

Po chwili obu popędzono kopniakami i ciosami kolb w stronę stojącego opodal samochodu.

W trzy godziny później gestapo dokonało aresztowań i rewizji w kilku domach w Krakowie. Paru więźniów odniosło zmasakrowanego „Stempla” i położyło na twardej pryczy więzienia na Montelupich. W sąsiedniej celi równie zбитy „Wilhelm” co chwilę tracił przytomność i wzmagala się gorączka z nie opatrzonej rany.

*

W słoneczny niedzielny ranek „Berg” z „Wiktorem” oczekiwali reszty kolegów z sekcji. Zebranie miało odbyć się w ogrodzie u jednego ze znajomych Zawady. Drzewa okryte dużymi już liśćmi rzucały na siedzących miły cień; myśli ich jednak były dalekie od beztróskiego podziwiania rozkwitającej natury.

— Do licha! a to wpadki — klął z żalem Roman, wspominając zdarzenie sprzed czterech dni. Kogo jeszcze aresztowano?

— „Jastrzębia” i dwu innych — ponuro odparł Jerzy.

— Psiakrew, jeszcze i jego?

— Niestety, u „Wilhelma” i „Jastrzębia” znaleziono w domu spluwy... Zdaje się, że będę musiał na jakiś czas zwiać!

Rozmowa urwała się; zamienili parę słów z wychodzącym na wycieczkę młodym gospodarzem (oczywiście nic nie wiedzącym o treści rozmowy). Za chwilę zjawili

się Świerczyński i Dąbski, a wkrótce pozostali koledzy.

Zasiedli dookoła zardzewiałego stolika. Nastąpił zwykły wykład i zaprzysiężenie dwu nowych, tym nieco różniące się od poprzednich, że Bieńkowski dłużej niż zwykle mówił o towarzyszącym pracy w Organizacji ryzyku. Po czym wspomniął o nieudanym wykonaniu wyroku, ale to oczywiście nie odstraszyło nowych.

Zawada z przyjemnością obserwował Ludwika; sądząc po jego całym dotychczasowym zachowaniu, był on dobrym materiałem na żołnierza.

Po zebraniu „Berg” z „Wiktorem” poszli do „Grześka”. Po drodze rozmawiali nadal o pogarszającej się sytuacji. Bieńkowski oczekiwał w każdej chwili „odwiedziny” gestapo, skutkiem czego nie spał w domu i gotował się do wyjazdu z Krakowa.

— Nie zostaniecie na lodzie — pocieszał Romana — za jakiś czas wpadnij do sklepu „Wulkana”, on zna nazwiska i adresy reszty naszych i do niego przyjdzie pewien jegomość, z którym będziecie dalej pracować.

— Idziesz „do lasu”?

— Nie wiem jeszcze. Przedtem mieliśmy tam iść całą sekcją, ale komendant miasta nie zgodził się na to. Mówił, że ludzie będą tu potrzebni. Teraz „do lasu” mogą iść tylko spaleni tutaj.

Szli dalej w północną stronę Krakowa. Po porannej pogodzie zerwał się wiatr i niebo poczęło się zaciągać chmurami, zapowiadając burzę.

— Wiesz, Roman, piszę pamiętnik. Jak chcesz, dam ci go przeczytać, tylko musisz zapomnieć o tym, co tam napisałem. Tam jest wyjaśnione w s z y s t k o!

— Do licha, Jerzy — odrzekł Zawada. Chętnie go przeczytam, ale...

Roman odznaczał się ciekawością.

— Co, ale...?

Teraz mógłbym poznać bardzo interesujące historie, tym ciekawsze, że prawdziwe, w których sam brałem udział. Poza tym temat pasjonujący stanowi Organizacja. Warto by to przeczytać, lecz obowiązek zmusza do odmowy.

— Dziękuję ci, stary, za twoje zaufanie — zwraca się w końcu do „Berga” — lecz widzisz, nie wiem, czy zapomniałbym to tak prędko. A skąd mogę mieć pewność, że wytrzymałbym tortury w gestapo i nic nie wyspał?

Jerzy przyznał mu rację. Rozmawiając doszli do mieszkania „Grzeška”. Zadzwonili. Był w domu. Robert odetchnął z ulgą widząc kolegów, a nie policję. Rozmawiają o wyspie i o dalszym postępowaniu. Bienkowski gani pozostawanie Studzińskiego w domu.

— Jeżeli dotąd cię nie capli, to nie kuś licha, tylko przeczekaj gdzieś cały kram. Masz gdzie?

— Chodź do mnie — proponuje Roman, który znał skutki lekceważenia aresztowań ludzi znających nazwiska swych współpracowników.

W końcu Robert godzi się na jego propozycję, po czym opuszczają dom, kierując się w stronę przystanku tramwajowego.

— No, stary przyjacielu — mówi cicho „Berg”, by nie zwrócić uwagi stojących w pobliżu — może do końca wojny już się nie zobaczymy. Pamiętaj, bracie, trzymajcie się razem. Ja od czasu do czasu dam wam jakąś wiadomość.

Z daleka nadjeżdża tramwaj. Wśród czekających powstaje poruszenie.

— Czołem, stary, wszystkiego najlepszego — ścisną sobie ręce.

— Trzymaj się ciepło — dodaje z tłumionym wzruszeniem „Wiktor”. Do zobaczenia.

Tramwaj z odjeżdżającym „Bergiem” znika za zakrętem.

29 czerwca 1943

Zdecydowałem się wreszcie jasno postawić całą sprawę wobec matki. Okazało się to jednak trudniejsze, niż przypuszczałem. Wczoraj upatrzyłem sposobną chwilę i po kolacji dałem matce do przeczytania „Małopolski Biuletyn Informacyjny”. Zamiar rozpoczęcia dyskusji przy pomocy gazetki spalił na panewce. Napomknąłem zatem o kolegach i niby przypadkiem zrobiłem parę dosyć przejrzystych aluzji. To poskutkowało. Wzbudziłem zaciekawienie matki i w chwilę potem przyznałem się, że należę do tajnej organizacji wojskowej.

— Wycofaj się stamtąd, póki jeszcze czas! — usłyszałem w odpowiedzi.

— Nie chcę i nie mogę!

— A więc jesteś już zaprzysiężony? Roman, to już nawet nie chodzi o mnie, że mam ciebie tylko jednego na świecie..., ale ty nie jesteś zdrowy...

— Gdybym był zdrowy, strach w razie czego byłby większy.

— Nie mów tak... — rozpląkała się matka. Rzadko okazywała, jak mnie kocha. Wzruszyło mnie to.

Rozdział X

Upłynęło kilka dni. Roman początkowo oszołomiony zupełną odmiennością obecnego położenia od dotychczasowych warunków nauki — najpierw w „handlówce”, a potem na kursie — powoli zaczął przyzwyczajać się do swego nowego sposobu życia. Nie przyszło mu to nawet specjalnie trudno, gdyż praca polegała głównie na zapisywaniu rozmaitych danych na niezliczonych formularzach, a poza tym od samego początku został na dłuższy czas przydzielony drugiemu starszemu urzędnikowi, który na razie powierzał mu tylko najmniej skomplikowane sprawy.

Z każdym dniem przekonywał się naocznie, że słyszane tylokrotnie przedtem kpiny i zrozumiiałe wymyślenia na kolosalnie rozrośniętą biurokrację Generalnego Gubernatorstwa nawet w przybliżeniu nie dawały obrazu bałaganu i braków okupacyjnej administracji.

Początkowo próbował ułożyć pewien plan pracy, aby zapewnić sobie jak najwięcej wolnego czasu, ale wkrótce wraz ze starszym kolegą machnęli na to ręką. Dowolne zarządzenia i kaprysy niemieckich dygnitarzy dekujących się przed frontem często przekreślały możliwość jakiegokolwiek przewidywania w pracy.

Pierwszy służbowy wyjazd za miasto, w parę dni po objęciu pracy, przekonał chłopca, że istotnie może na razie specjalnie nie obawiać się obław ani łapanek.

Przejeżdżając wraz z kolegą przez bramę w zasiekach z drutu kolczastego na szosie, którymi od miesiąca otoczone było całe miasto, zostali zatrzymani przez policję niemiecką kontrolującą dokumenty i rewidującą wozy i przechodniów. Zobaczywszy legitymacje Ernährungu z „gackiem”¹, Niemcy zapytali tylko o cel podróży nie rewidując obu urzędników.

Przyjechawszy do wsi, wypełnili odpowiedni formularz, po czym wstąpili do znajomego gospodarza. Roman usiadł wygodnie na ławie i przysłuchiwał się rozmowie starszego kolegi z chłopem, gdy nagle drgnął rzuciwszy okiem na leżący obok, świeżo przywieziony z miasta, dzisiejszy szmatławiec. Nagłówek „Podogońca” brzmiał: „Tragiczny zgon generała Sikorskiego”.

10 lipca 1943

Pochłonięci codziennymi sprawami na ogół mało myślimy o naszych wodzach czy też o innych sławnych osobistościach obecnych czasów. Dopiero po jakimś ważniejszym wydarzeniu mówi się o nich. Najwięcej zaś — często dopiero po śmierci...

O naszym Naczelnym Wodzu, który zginął 4 lipca²,

¹ „Gacek” albo „wrona”, szydercze określenia wizerunku niemieckiego orła na dokumentach.

² Wypadek miał miejsce 4 lipca 1943 roku w pobliżu brytyjskiej bazy w Gibraltarze. Z nie wyjaśnionych do końca przyczyn (oficjalnie jako bezpośredni powód katastrofy podano awarię urządzeń sterowniczych) wielki, czteromotorowy Liberator, którym generał wracał do Londynu po wizycie w jednostkach polskich na Bliskim Wschodzie w kilkanaście sekund po starcie runął do morza. Uratował się jedynie pilot czeski, kpt. Prchal. Ciało generała po wydobyciu z wody przewiezione zostało na pokładzie polskiego kontrtorpedowca do Londynu, gdzie odbył się uroczysty pogrzeb.

skutkiem wypadku lub zamachu ciemnych sił, głośno dookoła.

Wczoraj byłem znów na wsi. Spostrzegłem, że gospodarze więcej rozumieją się na polityce, niż to sądziłem dotychczas. Dużo mówią o wypadku w Gibraltarze i wyrażają swe przypuszczenia co do powodów katastrofy. Przeważnie są zdania, że nie był to wypadek...

Czyja to robota — na pewno nieprędko się dowiemy. Mogli tu działać szpiedzy rozmaitych państw z osławioną nazistowską „piątą kolumną” na czele, równie dobrze jak szpiedzy państw nawet walczących przeciw Osi. Niewykluczone na przykład, że działała tu niewidzialna ręka „Intelligence Service”, którym Generał mógł w pewnym momencie być po prostu niewygodny³...

Na pewno wiadomo jedno: że dotknęła nas niepowetowana strata. O generale Sikorskim nawet Niemcy dwukrotnie poprzednio pisali z pewnym respektem, a kto będzie godnym Jego następcą? Dotychczas o innych członkach rządu emigracyjnego jakoś mało było słychać.

Władysław Sikorski był nie tylko zdolnym generałem. Był on także osobistością dobrze znaną i cieszącą się poważaniem u naszych sprzymierzeńców. Nie mówiąc już o bardzo wielu zwolennikach w Kraju. Kto będzie godny i na siłach zastąpić Go? Praca i pozycja rządu na emigracji jest na pewno o wiele, wiele trudniejsza niż w normalnych warunkach.

³ Sprawa ta pasjonuje historyków, a także i szerszą opinię publiczną do dziś. Przykładem niech będzie opublikowana przed kilku laty książka historyka brytyjskiego D. Irvinga zatytułowana *The Accident?* oraz głośna sztuka niemieckiego pisarza R. Hochutha *Żołnierze*, w której autor ten obciąża odpowiedzialnością za wypadek bezpośrednio Churchilla.

Roman pożegnał się ze starszym kolegą i powoli zjechał na boczną, mało uczęszczaną dróżkę. Z daleka na szosie widniały zasieki, obok których kręcili się zieloni⁴ i granatowi policjanci. Mimo mocnych dokumentów wolał uniknąć spotkania z nimi. W plecaku znajdowały się bowiem rozmaite produkty żywnościowe, ulegające zwykle konfiskacie do kieszeni policjantów.

Z powodu zasieków na wszystkich podmiejskich drogach wygląd Krakowa w lipcu i sierpniu 1943 roku przypominał oblężone miasto. Zawada czuł swoistą dumę, patrząc na to: wszystkie te kontrole, chybiające zresztą swego celu, miały sparaliżować działalność Organizacji, a wywołane były czerwcowymi akcjami podziemia w całym niemal kraju.

Jadąc jak zwykle szybko ul. Starowiślną, z trudem uniknął zderzenia z cyklistą, w którym rozpoznał „Wulkaną”.

— Serwus, „Wiktor”! — zawołał „Wulkan”, po czym przystanęli przy chodniku. W trakcie rozmowy wzrok kolegi zatrzymał się na pięknym wiecznym piórze, które Roman od dłuższego czasu stale nosił przy sobie.

— Pokaż no je — powiedział, sięgając jednocześnie ręką do kieszeni marynarki Zawady, który cofnął się, ale było już za późno. „Wulkan” wziął pióro i: — „Roman Zawada, Kraków, ul...” — przesyłabizował głośno napis na piórze, po czym oddał go speszonemu właścicielowi.

— Słowo daję, że nie wiedziałem nawet, jak ci na imię, nie mówiąc już o tym, gdzie mieszkasz — uśmiechnął się Wiesiek.

⁴ Orpo, z wyjątkiem formacji specjalnych, takich jak Bahnschutzpolizei, nosiła zielone mundury.

— A to mnie pióro wsypało — mruknął z niezadowolaniem Roman.

Jadą dalej w stronę Rynku Głównego. Roman rzuca od czasu do czasu spojrzenia na mały przedmiot, dzięki któremu „Wulkan” dowiedział się dokładnie jego nazwiska i adresu. Dobrze zapamiętał ten drobny incydent...

26 lipca 1943

Wiadomość o wybuchu rewolucji we Włoszech i upadku rządu Mussoliniego, podawaną wczoraj wieczorem przez radio angielskie, potwierdził dziś „Podogonec”. *Przewrót we Włoszech. Duce porwany przez zdrajców* — głosiły wielkie litery tytułów⁵.

Będąc dziś za miastem, rozmawiałem o tym z różnymi ludźmi. Przez cały czas uważałem, aby wyrażać się jak najbardziej neutralnie, choć myślałem to samo, co moi rozmówcy. Na ogół przypuszczają oni, że wojna powinna bardzo prędko się skończyć. Chętnie porozmawiałbym szczerze z tymi ludźmi nie zorganizowanymi teraz, gdy wrażenie kapitulacji Włoch jest najnowszą wiadomością. Lecz właśnie dziś nie mogę. Co innego, gdybym był gdzieś dalej na wsi. Z chłopami można szczerze rozmawiać o polityce i nawet nie bardzo krę-

⁵ W nocy z 24 na 25 lipca 1943 roku na posiedzeniu nie zwoływanej od grudnia 1939 roku Wielkiej Rady Faszystowskiej doszło do gwałtownych ataków na Mussoliniego. Nazajutrz Duce otrzymał dymisję i natychmiast po tym został aresztowany. Władzę objął marszałek Badoglio, który powołał niefaszystowski rząd. Partia została rozwiązana, a faszyci usunięci ze stanowisk. Po wylądowaniu 8 września 1943 roku wojsk Sprzymierzonych na Półwyspie Apenińskim ogłoszono wiadomość o podpisanej już kilka dni wcześniej kapitulacji Włoch.

pować się, gdyż przeważnie sami zaczynają rozmowę od narzekania na kontyngenty i rekwizycje bydła, a od tego bardzo szybko przechodzą do wymyślań na zło-dziejstwa niemieckie. Kilka dni temu dowiedziałem się nawet od pewnej gospodyni, że jej mąż i syn są „w le-sie”, a drugiego syna Niemcy zastrzelili, gdy uciekał przed łapanką na wsi. Ucieszyłem się tym dowodem zaufania. Choć przychodzę jako pracownik okupacyj-nego Ernährungu i legitymację mam pisaną tylko po niemiecku, gospodarze rozumieją jednak bez moich tłu-maczeń, że wcale nie życzą dobrze okupantom.

Tu jednak, gdzie dziś byłem, wolę nie mówić o po-lityce. Nie jest to bowiem wieś, ale jedno z dalszych przedmieść Krakowa, słynne jeszcze sprzed wojny z du-żej liczby różnych cwaniaków, między którymi obecnie trafiają się kapusie.

Zastanawiam się nad znaczeniem rewolucji we Wło-szech dla dalszego przebiegu wojny. Choć nie należy jej przeceniać, gdyż Włochy od początku wojny były państwem drugorzędnym, niemniej jednak jest to po-ważny krok naprzód. Wojska alianckie mogą w ten spo-sób od razu znaleźć się nad granicą Austrii. Jeżeli zaś jednocześnie nastąpiłyby działania na innych frontach, koniec wojny ulegnie znacznemu przyspieszeniu.

29 lipca 1943

Niemcy hulają coraz bardziej. Nie wystarczają już obławę urządzone codziennie w mieście. Od dłuższego czasu mają miejsce tzw. pacyfikacje, czyli ekspedycje karne połączone z rozstrzeliwaniem i wywożeniem. Dziś od rana trwa pacyfikacja w granicach Krakowa, na te-renach przyłączonych do miasta w 1941 roku. Bielany,

Liszki, Kaszów, Kryspinów i Wola Justowska zostały we wczesnych godzinach rannych otoczone przez oddziały SS i policji, które powypędzały z domów wszystkich mieszkańców i pod groźbą zastrzelenia rozkazały położyć się im na ziemi, a same przeprowadzają dokładnie rewizje we wszystkich domach. Jeżeli ktoś próbował powstać z ziemi, powodowało to od razu strzał w jego kierunku, w najlepszym wypadku — razy kolbami.

Po południu przechodziłem al. 3 Maja. Z daleka wyraźnie słychać było pojedyncze strzały i raz po raz serie z karabinów maszynowych. Od spotkanego przypadkiem znajomego dowiedziałem się, że zostało zamordowanych już blisko sto osób, w czym wielu za podobieństwo do Żydów. Niemcy nawet nie sprawdzają dokumentów, tylko od razu strzelają.

Nie wiadomo jeszcze, czym była spowodowana ta pacyfikacja, ale jutro może być to samo w północnej części miasta, gdzie mieszkam. Niewykluczone, że Niemcy mogli na Woli Justowskiej czy na Bielanych znaleźć jakąś zakopaną broń lub nawet radiostację nadawczą. Możliwe jednak, że jest to jedna ze zwykłych „prac” policji niemieckiej, żeby nie siedzieć beczynnym, a w konsekwencji nie iść na front.

3 sierpnia 1943

Roboty mamy teraz bardzo dużo, bo znów jakiemuś kacykowi z Regierungu ⁶ strzeliło do głowy, żeby przygotować preliminarze pasz dla bydła na okres zimowy. Nie trzeba być fachowcem, aby od razu widzieć, że jest to zwykła papierkowa robota, nie mająca żadnego

⁶ Z rządu.

wpływu na poprawę warunków żywienia zwierząt domowych, ponieważ Niemcy rabują wszystko, co im tylko w rękę wpadnie. Oczywiście, na papierze cała gospodarka w GG funkcjonuje wprost cudownie.

Praca, którą wykonuję obecnie, jest złem koniecznym, ma tylko jedną dobrą stronę: spokój od Arbeitsamtu (pensji nie liczę, bo wynosi ona aż... 280 złotych), ma natomiast cechy ujemne: po pierwsze — jest jej za dużo i jest bardzo męcząca. Trzeba nieraz dobrze nagłowić się nad zapisaniem jakiegoś wyniku, tak aby był „i wilk syty, i owca cała”. Raczej korzystniej jest pisać wyniki lepsze niż gorsze (odwrotnie niż przy kontyngentach), bo na przykład w wypadku, gdy krowa jest uznana za hodowlaną, chroni ją to od zabrania na kontyngent. Po drugie — często trzeba wyjeżdżać za miasto. Nie są to zbyt duże odległości (najwyżej godzinę — dwie jazdy rowerem), ale wraca się wtedy przeważnie późno (może nawet dostanę przepustkę nocną), a czasem trzeba przenocować u sołtysa. W sumie jest to dość męczące. Mówi się — trudno. „Wariat ten, co się spieszy, jak robi dla Trzeciej Rzeszy” — słyszałem kiedyś od jednego z gospodarzy. Racja. Trzeba się starać robić jak najmniej, byle tylko samemu przy tym nie wpaść.

Ponadto zaczyna mnie denerwować przymusowa bezczynność w Organizacji. Ciekawe, dokąd to tak będzie w „zawieszeniu”? Dowiedziałem się, że Studziński wrócił już do domu, poza tym spotkałem kiedyś „Chętnego” i mówił, że dalszych aresztowań już nie było. A u nas dalej wszystko stoi. Dziś, zgodnie z ostatnim rozkazem „Bronka”, zameldowałem się w PKU ⁷, czyli u magistra

⁷ Przedwojenna Powiatowa Komenda Uzupelnień.

Michalskiego w biurze. Miałem ochotę kłąć jak stary kapral gwardii napoleońskiej, gdy magister na moje zapytanie odpowiedział, że co do naszej sekcji na razie jeszcze nie ma żadnych rozkazów. Pocieszał mnie jednak, że prawdopodobnie najdalej do miesiąca znajdzie się dla nas jakaś „robotą”. Czekam zatem z niecierpliwością na wrzesień. Magister wygląda na chłopca z wiary i fajnie by się z nim pracowało... Na razie pozostaje czekanie. Raz po raz słyszy się o różnych wyczynach Organizacji, a my zostaliśmy całkiem jak odcięci. Niech to kule biją!

Jedynym urozmaiceniem są dla mnie, rzadkie zresztą, randki z dziewczynkami. Od czasu objęcia przeze mnie pracy zauważyłem, że jakbym trochę urósł w ich oczach. Ba, zawsze co gryziپیórek, to nie uczeń. Poza tym własna forsa — choć cała moja pensja starczy najwyżej na kilo masła — też coś znaczy. W gruncie rzeczy wszystkie dziewczynki są do siebie bardzo podobne. Jeżeli tylko mieć trochę werwy i... forsy, od razu stają się o wiele dostępnejsze.

14 sierpnia 1943

Przedwczoraj miałem porządną przeprawę z moim bezpośrednim zwierzchnikiem (dobrze, że Polakiem). Dotyczyło to nie tylko niezbyt dokładnego zapisywania wyników w książkach, ale także dowiedziałem się przy tej okazji, że jestem gburem nie mającym pojęcia o grzeczności. Obiecałem poprawę, czym go w końcu udobruchałem. Postanowiłem na przyszłość uważniej wpisywać wyniki, aby nie można było poznać, że coś tam jest naciągane.

Potem dokładnie zastanowiłem się nad tym, gdzie mogłem tyle nabroić? Nie przypominam sobie, abym

zachowywał się arogancko w stosunku do starszych od siebie gospodarzy, którym przeważnie idę na rękę i piszę to, co oni mi podają i co im jest wygodne. Po krótkim namyśle doszedłem sedna: nie chodziło tu o sprawy z chłopami, ale o — dwory. Aha, to panowie obszarnicy są tak czuli na swój honor JWPanów. Taak, przecież kierownik mówił nawet kiedyś, że ma wśród nich różnych znajomych!

Teraz przypominam sobie dokładnie: raz np. przedstawiając się pewnemu właścicielowi ziemskiemu powiedziałem niewyraźnie swoje nazwisko (było to odruchove po wsypie „Wilhelma”). Okazało się, że był to powód jego niezadowolenia. Innym znów razem, i to nawet niedawno temu, grzecznie zwróciłem uwagę, aby nie kpił ze mnie przy układaniu preliminarza pasz, bo nie znam się na tym tak, jak agronom. Zwykle głupstwa, na które nikt w mieście nie zwróciłby uwagi, lecz dla JWPanów z prowincji każdy drobiazg dużo znaczy, brakuje im bowiem miejskiego urozmaicenia. Lada nocna wizyta chłopa u dziewczyny jest długo tematem rozmów w całej okolicy. Mniejsza zresztą o te drobiazgi. Myśląc o tych sprawach przypominam sobie coraz więcej faktów stawiających zarozumiałych panów dzieciów w o wiele mniej korzystnym świetle niż ja wobec kierownika z moimi ewentualnymi wadami.

Ech, panowie obszarnicy, jeżeli tu przyjdą Rosjanie, nie chciałbym być na waszym miejscu! A jeśliby nie przyszli, to i tak warto by wam hurtem solidnie wygarbować skórę (a znam wielu takich, i to nawet nie komunistów, którzy wraz ze mną z przyjemnością zajęliby się tym) za te świństwa wyprawiane w najlepszej zgodzie z Niemcami, a działające na szkodę ogółu Polaków! Nie brak między wami i takich donosicieli, jak

Ż. z Grodkowic, który naprowadził policję niemiecką na paskowe transakcje w składzie maszyn rolniczych w Krakowie (część maszyn zabrali Niemcy, co zresztą niewiele zaszkodziło paskarzom), za co szanowny dostawca dostał traktor. Kto, jak nie wy, straszy sołtysów Niemcami, żądając do robót w swoich majątkach ludzi po „maksymalnej”, tj. groszowej cenie? Jest to najgorsze draństwo, bo posługiwanie się okupantem dla własnych korzyści...

Nie ma prawie MBI⁸, żeby nie było tam nagany pod adresem jakiegoś obszarnika za te i podobne wyczyny. Jesteście po prostu wstrętni z waszą wyższością i lekceważeniem ludzi „nie z waszej sfery”. Wy, którzy siedzieliście w kraju w długach po uszy, a pieniądze wywozili za granicę, i co zagraniczne — było dla was lepsze niż polskie... Dobrze was opisał jeszcze Bolesław Prus... Jesteście właściwie już przeżytkiem, a jeszcze macie tyle do gadania w XX wieku...

Trzeba trzeźwo patrzeć także i na chłopów, bo i między nimi różni się trafiają. Draniów i paskarzy kłaniających się uniżenie okupantom i bogacących się na wojnie też nie brak. Procentowo jednak jest ich mniej niż dziedziców.

Po rozmowie z kierownikiem muszę uważać na swoje postępowanie. Przede wszystkim trzeba będzie umawiać się z gospodarzami, aby w razie, gdy ich zapyta, zawsze zaświadczyli, że pisałem wszystko zgodnie z rzeczywistym stanem. Nie mam ochoty narazić się znowu na „opr” od przełożonego. Wolę jednak zadowolić naszych „klientów” niż jego. Lepiej być z ogółem przeciwn Ernährungowi niż odwrotnie...

⁸ Skrót od „Małopolski Biuletyn Informacyjny”. Także „Bim”. Patrz rozdz. VII, przyp. 24.

Niemcy w Krakowie boją się coraz więcej. Czują przez to mimowolną dumę: ponieważ fronty znajdują się jeszcze daleko stąd, jest to spowodowane działalnością podziemia. Dziś byłem w sprawie służbowej w Kreishauptmannschaft Krakau-Land⁹ przy Aussenring, tj. al. Słowackiego, 72. Uderzyło mnie to, że teczka, którą miałem ze sobą, została bardzo starannie zrewidowana przez trzech sonderdienstów¹⁰ z wartowni przy bramie. Poprzednim razem, gdy byłem tu przed dwoma tygodniami, takiej rewizji jeszcze nie przeprowadzano.

Idąc schodami do góry (winda „nur für Deutsche”¹¹), zauważyłem nowo nalepiony dwujęzyczny plakat, można by powiedzieć, że między innymi i o nas.

„I wszelka próba sabotowania niemieckiego dzieła odbudowy GG będzie surowo karana, do kary śmierci włącznie.

Der Höhere SS u. Polizeiführer
des Distrikts Krakau”¹²

Oczywiście, zrozumiały jest powód rewizji interesantów. Tylko dziwne, dlaczego dopiero teraz? W bu-

⁹ Starostwo wiejskie Kraków — powiat. Okupant podzielił dystrykty w GG na powiaty wiejskie (Kreishauptmannschaften) i miejskie (Stadthauptmannschaften). Na ich czele stali naczelnicy (Kreis i Stadthauptmann).

¹⁰ Dosłownie: „służba specjalna”. Specjalna formacja policyjna utworzona przez generalnego gubernatora dla ochrony administracji niemieckiej.

¹¹ Tylko dla Niemców.

¹² Wyższy dowódca SS i policji dystryktu Kraków. Prawdopodobnie pomyłka autora, ponieważ stanowisko wyższego dowódcy SS i policji obejmowało całą GG. Natomiast policją na szczeblu dystryktu kierował Der SS u. Polizeiführer, czyli Dowódca SS i Policji.

dynku przy al. Słowackiego 72 (tfu, nawet numery przekręcili, przed wojną ten dom miał numer 20) urzędują: wielokrotny morderca stabsleiter¹³ NSDAP Ulrich, znany donosiciel gestapo bezirkslandwirth¹⁴ Jarosch i inne mniejsze drapichrusty.

Rewizja ta porządnie mnie ubawiła, nie zrewidowano mi bowiem kieszeni. A spluwa zupełnie dobrze tam się mieści i nawet częściej się ją nosi na „robotę” za pasem czy w kieszeni niż w teczce.

Spotkałem wczoraj na ulicy magistra Michalskiego. Wyglądał na zadowolonego ze spotkania i zaproponował mi coś, z czego z kolei ja się ucieszyłem: chodzi o przechowanie u siebie przez dłuższy czas (może nawet przez rok) maszyny do pisania. Chętnie zgodziłem się na to. Domyślam się powodu, choć nie pytam o niego. Najprawdopodobniej jakaś wsypa z kolei u magistra i chodzi o to, żeby w razie czego nie poznano czcionek. Sam na razie nic nie ryzykuje, bo magister nie zna nawet mojego imienia.

22 sierpnia 1943

Maszynę mam już w domu. Odbierając ją, porozmawiałem przez dłuższą chwilę z magistrem. Prawdopodobnie coś się ruszy koło 1 września i całą naszą sekcję przydzielą do jakiejś roboty, z czego z góry jestem zadowolony. Michalski powiedział, że „Wulkan” tak samo zareagował na to, jak ja; był u niego wczoraj. W dalszym ciągu rozmowy otrzymałem od niego szereg pożytecznych wskazówek dotyczących się „kręcenia” przy

¹³ Kierownik kancelarii.

¹⁴ Tzw. rolnik okręgowy — funkcja urzędnicza w aparacie administracji rolnej GG.

pracy, tak aby samemu jak najmniej się narażać. Mogłem mu powiedzieć, że pracuję w branży rolniczej bez obawy o to, że domyśli się, w jakiej jestem instytucji. Różnych bowiem biur, a zwłaszcza związanych z nami, namnożyło się tyle, że trzeba samemu w tym pracować, aby móc się zorientować w całej „sprężystej” administracji GG.

Dowiedziawszy się, że często wyjeżdżam na wieś i mam do czynienia z chłopami, ostrzegł mnie, abym starał się jak najmniej pokazywać, że coś „naciągam” przy raportach, gdyż im mniej osób wie o tym — tym lepiej. Przez to odpada ewentualność, że ktoś mógłby powiedzieć o tym mojemu kierownikowi.

27 sierpnia 1943

Na razie mam kilka dni wolnego, nie mogę jednak ruszyć się z domu, gdyż naciągnąłem sobie ścięgno, źle zeskoczywszy z roweru. Korzystając z wolnego czasu, ćwiczę się w pisaniu na maszynie. W zeszłym roku w „handlówce” mieliśmy ćwiczenia z maszynopisania i choć kląłem na to, jednak uznawałem ich celowość. Istotnie, znacznie wygodniej jest pisać ośmioma palcami niż jednym, robi się o wiele mniej błędów i pisze się szybciej, no i bez większego zmęczenia. Warto się trochę wprawić w tym pożytecznym zawodzie.

Bezczynność w Organizacji doskwiera nieznośnie. Żeby choć było jakieś szkolenie, tak jak przed plutonem egzekucyjnym. A tu nic i nic. Może wreszcie we wrześniu... Prócz tego praca w Ernährungu zaczyna ukazywać się w mniej różowych barwach. Jak zwykle, gdy bierzemy się do czegoś, wszystko wydaje się lepsze i dopiero po pewnym czasie orientujemy się dokład-

nie, jaki jest ogólny wynik: praca lekka czy ciężka, przyjemna czy nie. Co do mnie, to zaczynam już niechętnie patrzeć na to. Dobrze, że jeszcze jest lato i wyjazdy na razie są raczej przyjemne, ale jesień za pasem. Psiakrew, że to nie jest taka praca, jak zwykle w biurze, tylko trzeba też czasem wyjeżdżać.

W pewnej chwili zadzwięczał dzwonek. Od pierwszej „wizyty” Niemców w moim mieszkaniu 8 września 1939 roku, poprzez drugą i trzecią „wizytę” gestapo w 1941 roku każdy dzwonek wywołuje mimowolne drganie wewnętrzne. Tym razem jednak otworzywszy drzwi (zszedłem z trudem z łóżka) byłem bardzo zadowolony. W drzwiach stał „Bronek”. Wrócił na stałe do Krakowa.

28 sierpnia 1943

Jak się okazało, Jerzy nie był w oddziale „w lesie”. Przez kilka tygodni melinował się u znajomego gospodarza pod Kalwarią, aż przekonał się, że może wrócić bezpiecznie do domu. W pracy załatwił to w ten sposób, że dostał świadectwo lekarskie i wrócił.

Dowiedziałem się, że „Wilhelm” i „Stempel” już nie żyją. Zostali rozstrzelani 14 lipca na Montelupich. „Jastrząb” zaś niedawno temu został wywieziony do Oświęcimia. Może wytrzyma do końca wojny. Szkoda obu kolegów. Zginęli jak na froncie. Gorzej, że tamten konfident został tylko ranny i dalej chodzi po świecie. Ale ma się teraz bardziej na baczności niż w czerwcu.

Po powrocie Jerzego spodziewam się, że już wkrótce zabierzemy się na nowo do roboty. Potwierdzają to jego słowa z naszej dawniejszej rozmowy.

Z początku przypuszczałem, że zostanę łącznikiem

między miastem a terenem (miałbym warunki do tego, posiadając mocne dokumenty), ale okazało się, że prawdopodobnie będziemy przydzieleni do innej „roboty”, i to na miejscu. Brawo!

10 września 1943

Wiadomość o kapitulacji Badoglia i przystąpieniu Italii do wojny przeciw swym niedawnym sojusznikom, wyglądająca na plotkę, potwierdziła się wieczorem. Gdy wróciłem do domu, tego samego dowiedziałem się od gospodarza; jak się okazuje, też chodzi „na radio”.

Od 25 lipca wszystko właściwie zmierzało już do tego. Aresztowanie Mussoliniego i utworzenie rządu, na którego czele stanął Badoglio było pierwszym poważniejszym krokiem w tym kierunku. Teraz nastąpiły dalsze.

Na drugi dzień rano kapitulacja „wybuchnęła” w niemieckich gazetach. Po południu można było widzieć, nie spotykane dotąd ilości pijanych z tej okazji, zataczających się po ulicach ludzi.

Niemcy łązą z niewyraźnymi minami, choć „Krakauer”¹⁵ stara się oczywiście zbagatelizować rozmiary klęski, wypisując niestworzone historie o zbędności Włoch w dalszym prowadzeniu wojny oraz planowanej ewakuacji majątku niemieckiego z Italii. Poza tym bredzą o bohaterskich walkach niemieckiej załogi Rzymu ze zbuntowanymi zdrajcami Osi. Sam Duce od 25 lipca siedzi w pace, ale „nie ma to żadnego wpływu na zwycięstwo Wielkich Niemiec” itp.

¹⁵ „Krakauer Zeitung” — dziennik niemiecki w Krakowie.

W 1943 roku widać już zbyt wyraźnie przegraną niemiecką, aby ktokolwiek wierzył jeszcze w te bzdury. Rok 1943 od samego początku jest rokiem przewagi naszych na wszystkich frontach. Stalingrad, Woroneż, Krasnodar, na wiosnę Północna Afryka, potem likwidacje „kotłów” pod Orłem i Kurskiem, równocześnie niemal likwidacja reżimu Mussoliniego, postępy Amerykanów na Pacyfiku, stałe naloty na Niemcy, a ostatnio kapitulacja rządu Badoglio i lądowanie Aliantów na Sycylii¹⁶ — to dużo, jak na niespełna 9 miesięcy, mimo że wbrew oczekiwaniom ludności krajów okupowanych do inwazji na Zachodzie nie doszło i chyba już nie dojdzie przed zimą. Były co prawda jakieś próby w Norwegii i Holandii, ale miały one charakter raczej ćwiczebny. Może na wiosnę dojdzie do inwazji.

W gazetkach dużo się czyta o tym, że jesteśmy narodem bardzo lekkomyślnym. Teraz można się o tym naocznie przekonać. Zadowolenie z powodu kapitulacji Włoch pociągnęło już za sobą w paru wypadkach smutne następstwa: np. w rzeźni miejskiej na Grzegórkach jeden z pracowników skutkiem niezłe zakrapianej libacji poczuł nagły przyptyw fantazji i wobec kilku Niemców ściągnąwszy ze ściany „Dolusia”¹⁷ rozwalił go w kawałki. Wiadomo, co potem nastąpiło. Może uda mu się jakoś wykpić z tego, gdyż policja niemiecka bywa czasem względna dla pijaków, zresztą wcale nie bezinteresownie.

¹⁶ Kolejność odwrotna: lądowanie na Sycylii nastąpiło 10 lipca (całkowite opanowanie wyspy 16 sierpnia), kapitulacja Włoch zaś 3 września (ogłoszona oficjalnie 8 września) 1943 roku.

¹⁷ Chodzi oczywiście o Hitlera.

Mimo odpadnięcia Włoch¹⁸ osobiście nie przypuszczam, aby wojna skończyła się za dwa miesiące, jak to już przepowiadają niektórzy prorocy. Co innego, gdyby jednocześnie nastąpiła inwazja Aliantów na Zachodzie i generalna ofensywa na froncie wschodnim. Zobaczymy, co z tego wyniknie, o ile nas w najbliższych dniach w „robocie” szlag nie trafi.

¹⁸ Natychmiast po ogłoszeniu kapitulacji Niemcy przeprowadzili okupację terytorium Włoch armią włoską zaś — niedawnego sojusznika — internowali.

Rozdział XI

Aksamitna czerń jesiennego wieczoru, poprzerwana gdzieś światłem przyciemnionych latarni, wydawała się niemal czymś dotykającym. W ciemnych ulicach wyraźnie słychać było odgłosy kroków, śmiechy i rozmowy spacerujących. Na głównych arteriach miasta panował żywszy ruch. Przeładowane ludźmi tramwaje, rozsyłające niebieskawe światło — skutkiem zamalowanych szyb — głośnym turkotem kół wdzierały się w panującą względną ciszę. Żołnierze wracający na wieczorny apel do koszar ostro stukali butami po bruku, w charakterystyczny pruski sposób. Z ciemności wybłyskiwały raz po raz światła przejeżdżających cicho samochodów ukazując stosunkowo licznych przechodniów.

Dwie ciemne postacie idące ul. Starowiślną w stronę Podgórze rozmawiały podnieconym szeptem.

— No, stary — mruknął „Wiktor” do „Jima” — gdzie walimy najpierw?

— Na Bonarkę — odparł kolega — łąziłem tam wczoraj; stamtąd pójdziemy w stronę miasta.

— Well¹, stary chłopie.

Droga mija dziwnie prędko. Jak zwykle, gdy trzeba wykonać rozkaz przedstawiający ryzyko dostania się

¹ Dobrze (ang.).

w ręce gestapo. Jakaś zuchwała ochota ciągnie do akcji, a jednocześnie pewne skrupuły wstrzymują.

— Skrupuły na bok — myśli chłopiec. Ciekawe, czy dziś będziemy spali w domu, czy...

„Jim” trąca kolegę, wskazuje na zegarek. Dochodzi trzy na ósmą, a najdalej za godzinę akcja musi być skończona. Wskakują na stopnie przeładowanej „trójki”, jadącej do Borku Fałęckiego.

— Uważaj na wypchane kieszenie — napomina „Wiktor” „Jima” — no i na „łodziarzy”², bo tu często ściągają.

— E, w porządku, przy Długosza pusto.

Po paru minutach wyskakują z tramwaju.

— To tu!

Cichy odgłos kroków jest chyba mniej głośniejszy niż bijące w skroniach tętno... Gwiazdy świecą na czystym niebie i koledzy mimo woli podnoszą głowy w górę. Z nadrzecznych zarośli dochodzi szmer liści poruszanych nieznacznym podmuchiem ciepłego wiatru. W dali cichnie szum odjeżdżającego tramwaju. Z tamtej strony zbliżają się teraz kroki.

„... Um Heimat lieben...”³ — dobiega śpiew.

„Jim” z „Wiktorem” mijają obserwującego ich bacznie wartownika.

— Ale się gapi — mruczy „Wiktor”. — Dobrze, że stąd nie widzi tamtej strony. Popatrz, czy żołnierze daleko? Ja oglądnę budę.

Buda, czyli Szkoła Rzemiosł przy alei Skrzyneckiego w Łagiewnikach, zajęta obecnie przez Wehrmacht jest pięknym nowoczesnym budynkiem, który z tyłu posia-

² Patrz objaśnienie na s. 303.

³ „Aby kochać Ojczyznę”.

da ogród z ażurowym żelaznym parkanem. Chłopcy stanęli przy nim i widzą, że trzy okna wychodzące na ogród są otwarte.

Sekundy wloką się jak godziny. Napięcie wzrasta. Jeżeli spostrzegą i kropną? Ech, to nieznośne uczucie w gardle. Jak wtedy, w czerwcu...

— Psiakrew, co tak się na nas gapią? Rozepnij no rozporek, żeby myśleli, że...

Żołnierze przeszli. Raz, dwa, trzy!

Dwie paczki ulotek antyhitlerowskich, po niemiecku, wycelowane w okna wylatują z rąk chłopców i z głuchym świstem dążą do celu⁴. Cały strach znika, by po sekundzie powrócić ze zdwojoną siłą. Wartownik robi w tył zwrot i...

Szybko posuwają się wzdłuż parkanu. Zza rogu za nimi wyjrzał jakiś żołnierz. Przebiegli spory kawał w stronę Ludwinowa, po czym stanęli. Pogoni nie widać, dziwne...

— Głowę daję, że nie widzieli.

— Zdaje się, że nie byli pewni, czy to my. Teraz dokąd?

⁴ Opisywana akcja należała do dziedziny szczególnie ważnej w działalności AK, mianowicie tzw. propagandy „enowej”. Była to propaganda dywersyjna prowadzona w języku niemieckim i adresowana do Niemców: wojska, administracji, a także volksdeutscheów (dla tych ostatnich wydawano specjalne czasopismo pod znamienym dwujęzycznym tytułem „Die Zukunft — Przyszłość”), która miała wywoływać wrażenie, że prowadzi ją rzekomo niemiecki antyhitlerowski ruch oporu. W rzeczywistości prowadził ją powołany wiosną 1941 roku przy Komendzie Głównej AK specjalny Referat N, rozwinięty w październiku tego roku w samodzielny Wydział N, posiadający swoje odpowiedniki w terenie. Całością kierował Tadeusz Żencykowski „Kowalik”. W ramach akcji „enowych” rozplakatowano też tzw. Obwieszczenie Ohlenbuscha o którym pisze autor na s. 87—88.

— Tu w pobliżu koło kanału są koszary. Kroki przyjaciół dudnią po nowych kostkach ul. Konopnickiej. Przejechały dwa samochody z przyćmionymi światłami i od strony Kalwaryjskiej chłopcy zobaczyli patrol policyjny.

— Chodźmy prędzej, bo cię z twoją mordą i czapką zamkną za wygląd — żartuje Świerczyński.

Wygląd zewnętrzny Romana często bywa tematem żartów Ludwika. Z powodu braku środków na kupno po wysokiej cenie, w pasku, materiału (na Bezugschein⁵ urzędowy nie ma co liczyć), chodzi w starym ubraniu, na którym od dawna znać niszczący ząb czasu. W połączeniu z nadszarpniętym kaszkietem i dawno nie golonym zarostem, chłopiec według opinii Ludwika przypomina herszta zbójców z *Powrotu taty*. Do licha, trzeba się nieco powyglupiać, bo nie wiadomo, co będzie za chwilę.

Kręcą się już koło parkanu przy ul. Konopnickiej, od strony równoległej do ul. Czackiego. Przez chwilę obserwują budynek. Nie, nie pusty: na pierwszym piętrze słychać ruch i niemieckie rozmowy. Błyskają w ciemności czerwone ogniki papierosów.

— Zobaczmy, gdzie stoją wartownicy i czy nie idzie patrol.

Schodzą się znów na poprzednim miejscu.

— Jeden — pokazuje na palcach Roman. Patrolu nie ma?

— Jest, ale daleko od nas. Celuj w schody, ja ciśkam w okno. Uwaga, siup!

— A teraz chodu!

⁵ Talon na towary.

Rzuciwszy paczki, wzięją co sił w nogach. Słyszą ruch na podwórku koszar, a po nich jakieś krzyki.

— Gazu, gazu! — ponaglają się wzajemnie.

Nagle usiane gwiazdami niebo znalazło się pod nogami Zawady. Nim uprzytomnił sobie niezwykłość tego zjawiska, zjechał po piaszczystej pochyłości aż na brzeg kanału.

— Ażeby cię... — zaklął, otrzepując ubranie. Słyszy w ciemności śmiech Ludwika.

— Cicho, co to?

Na moście nad kanałem spostrzegli kręcących się Niemców. Dobiega trzask repetowanej broni, a światła latarki spacerują na wszystkie strony.

— Odkryj nas czy nie? — przelatuje niespokojne pytanie. — Ostrożnie, tędy...

Przytuleni niemal do chropowatego muru, wolno posuwają się w stronę Wisły. Światło latarki pada z mostu w dół. Jeszcze chwila...

— Uf! — odetchnęli głęboko, gdy ul. Czackich została daleko w tyle. Znaleźli się na pl. Serkowskiego. Roman opowiada Ludwikowi o aresztowaniu „Wilhelma” i „Stempla” oraz o nieudanym zamachu, pokazując jednocześnie odpowiednie miejsca.

Gdzieś z głębi wychynęło wspomnienie poznania Krystyny, dziś już całkiem obojętne.

— Hm — powiedział Ludwik — a teraz znów nas mogli diabli wziąć. Przydałaby się jakaś spluwa.

— Niestety, wtedy wpadło parę maszyn. No, ale jak co do czego — może dostaniemy z „góry”⁶.

— Miejmy nadzieję. Popatrz, jakie ładne auto —

⁶ Tzn. ze zrzutów lotniczych organizowanych dla ZWZ od lutego 1941 roku przez rząd emigracyjny.

zauważył po chwili Świerczyński, wskazując stojący przy rogu ul. Warneńczyka odkryty samochód wojskowy.

— Ty, warto by „zrobić prezent” jego kierowcy.

Rozejrzawszy się, podchodzą do auta. W porządku, ta część placu w przeciwieństwie do ul. Warneńczyka pogrążona jest w ciemnościach. Mija ich jakiś przechodzień.

— Uwaga, znów ktoś nadchodzi...

Tym razem to lotnik niemiecki. Ale i ten nie interesuje się dwoma chłopcami, którzy gapią się w przeciwną stronę placu. Już! Niemal bezszelestnie układają ulotki na siedzeniach auta. Potem szybko odchodzą w bok, skręcają w prawo i idą na most Piłsudskiego. Ukradkiem patrzą w stronę auta. Szofer w mundurze wychodzi z bramy.

— W samą porę odeszliśmy, stary!

Auto rusza. Jeżeli przyjedzie tu... Nie, właśnie skręca w Kalwaryjską. Z mostu Piłsudskiego wychodzi w tej chwili dwóch przechodniów. W świetle lampy elektrycznej widzą znajomą postać.

— „Berg”!

— Aa, serwus, panowie. Co tu robicie? — pyta Jerzy, będący w towarzystwie wysokiego szczupłego jegomościa, bo my właśnie idziemy „na robotę”.

— I my akurat jesteśmy w trakcie wykonywania — odpowiada z dumą „Wiktor”.

— Wspaniale. Gdzie rzucaliście?

„Jim” szybko wylicza miejsca.

— Dziękuję i gratuluje. Napiszcie to w meldunku. Serwus!

— Fajne spotkanie — trąca Świerczyński kolegę.

— Czy są tu gdzieś jeszcze jakie koszary?

— Owszem — odpowiada zagadnięty, znający dobrze Podgórze. — Na Kalwaryjskiej, ale mają trudny dostęp, zresztą tam poszli już ci dwaj. Poza tym, o, tam właśnie możemy iść.

Po kilku minutach obserwują nowy teren.

— Stary, tu będzie chyba trudniej...

— Damy sobie jakoś radę.

Rzeczywiście, oświetlona ul. Na Zjeździe nie wygląda bezpiecznie. Mimo późnej godziny (godziną policyjną jest dziewiąta wieczorem) ruch niewiele mniejszy niż w dzień. Koledzy stoją naprzeciw ul. Nadwiślańskiej, przed bramą koszar piechoty.

I znów napięcie nerwów wzrasta. Przeciwną stroną ulicy nadchodzi patrol policyjny. Dwóch bykowatych Niemców bacznie rozgląda się na wszystkie strony. Minuty mijają bardzo wolno. Wreszcie policaję znikają w ciemności na pl. Zgody. Chłopcy przechodzą szybko jezdnię.

— Tutaj, koło tego namiotu...

— Chwileczkę, tylko ten tramwaj przejedzie. Wiesz co, zaczekajmy, aż będzie jechała „trójka” albo „szóstka” do miasta, to od razu możemy nią nawalić. O, znowu idą Szwaby.

Od pl. Zgody widać kilku żołnierzy, którzy niebawem wchodzą do koszar. Na zakręcie w dole ukazują się jadący do miasta tramwaj. Koledzy wyciągają paczki. Mniejsza już o samotnego Niemca, rzucającego obojętne spojrzenia na biorących rozmach chłopców. Tramwaj jest już o kilka metrów. Dwa białe punkty doskonale widoczne w świetle lamp opisują łuk nad parkanem i opadają na plac, a zdziwione spojrzenie Niemca

goni wskakujących do tramwaju „Jima” i „Wiktora”. Ponieważ pasażerowie też patrzą na nich z zaciekawieniem, więc po przejechaniu III Mostu wyskakują w biegu.

— Udało się — patrzą na siebie z triumfem.

— Cholera, już za dziesięć dziewiąta. Wiesz, co Ludwik, daj no dwie ostatnie sztuki, splamię je sam gdzieś po drodze — powiedział Zawada, gdy wchodzili do mieszkania Świerczyńskiego. Wsiadł na pozostawiony tu rower i pożegnawszy się z kolegą popędził w północną część miasta. Po drodze wypatrzył stojący samochód osobowy citroen SS-361627.

Zsiadłszy z roweru, uważnie rozejrzał się na wszystkie strony. Przechodniów wprawdzie mało, ale miejsce postoju auta — niemiecka dzielnica — potęgujące się zmęczenie nerwowe nie dają spokoju. Wyobraźnia raz po raz podsuwa nieprzyjemne perspektywy. — Jeżeli jakiś Szwab zobaczy? Złapią, zmasakrują... Ktoś może naraz wyjść z bramy... Albo zwykły policjant zapyta o przepustkę nocną, której i tak nie posiadam. Ale z drugiej strony wzmaga się inne uczucie. Ty miałbyś stchórzyć? „Wilhelm”, „Stempel”... Zacisnąwszy zęby podszedł do auta. Sekunda i — już chwytła kierownicę swego roweru. Z bramy wychodzi dwóch Niemców i jeden z nich bacznie spogląda na Zawadę, lecz ten po chwili jest już daleko.

13 września 1943

Zatem zaczęło się znów na całego. Wnet przyjdą dalsze „roboty” i mam nadzieję — odpowiedzialniejsze, na które już od dawna wraz z „Jimem” ostrzymy sobie zęby. Ciekawe, jak długo to potrwa? Czy wszyscy

doczekamy się końca wojny? Ryzyko dosyć duże, a możliwość obrony w razie wpadki — chyba w nogach. A kule latają szybko... „Jim” imponuje mi. Pomimo że młodszy, jest bardziej spokojny i zrównoważony ode mnie. Chciałbym być tak opanowany, jak on. No i jego bystrość. Może sam też zdołam wyrobić w sobie te zalety.

Myślę ostatnio dużo o Jadzi (to panna poznana z końcem sierpnia). Ona jest nawet nieco ładniejsza od Irki, z którą jakoś od dawna się nie widziałem. Nieco niższa ode mnie, o brązowych oczach i kasztanowych włosach, zęby równe i białe, usta regularne, no i figura ponętna, choć ani pulchna, ani chuda. W ciągu krótkiego czasu spędzonego w tamtej okolicy zdążyła mi się naprawdę spodobać. Warto dodać, że szybko znaleźliśmy wspólne zainteresowania. Jadzia jest córką wyższego oficera WP i — co muszę przyznać — bardziej ode mnie wykształcona. Mimo że nie mam ukończonej szkoły średniej, potrafię mówić o różnych rzeczach, na których nie rozumie się większość młodzieży. Często z humorem przypominam sobie rozmaite bluffy na owym sławetnym kursie hodowlanym... (w rzeczywistości nie mam ani dwóch klas gimnazjalnych, a udawałem, że posiadam małą maturę). Nie bardzo się tym jednak przejmuję, spodziewam się szybko nadrobić to po wojnie.

W niedzielę byłem w Krakowie i spacerowałem po mieście w towarzystwie Chłodnickiego i Krętacza. Przechodząc ul. Parkową koło domu nr 10, usłyszałem od Krętacza historię zamachu na jednego z konfidentów (kiedyś opowiadał mi o tym „Berg”). Historia, jakich wiele: niejaki Z. M. dostał wezwanie na roboty do Niemiec. Aby wykręcić się od wyjazdu, wstąpił na

służbę do gestapo i, świnia, zaczął „pracę” od kolegów szkolnych. Proponował np. wstąpienie do Organizacji, a nawet dawał broń. Jeżeli ktoś przyjmował jego propozycje, to już w nocy przychodziła po niego policja i oczywiście znajdowała broń, a to równało się Oświecimiowi, tak samo jak zamiar wstąpienia do Organizacji.

Łajdak wsypał coś około 20 kolegów, aż w końcu dostał wyrok śmierci. Wysyłanie pisemnych wyroków jest, moim zdaniem, nonsensem. Adresat ma przez to czas na ucieczkę. Lepiej już byłoby ogłaszać wyrok śmierci po jego wykonaniu. Ostrzeżony w ten sposób konfident miał się na baczności i gdy przed kilkoma dniami podeszło do niego (opodał kościoła w Podgórzu) dwóch mężczyzn z zapytaniem: czy jest Z. M., natychmiast wziął nogi za pas. Po drodze ostrzeliwał się kropiącym do niego „gościom”. Dostał co prawda raz w szczękę, ale niestety niegroźnie.

Potakiwałem opowiadającemu koledze, że tę historię słyszę po raz pierwszy. Psiakrew, szkoda, że drania nie zatłukli. Znałem go od zeszłego roku z „handlówki” i dobrze, że od dłuższego czasu nie widzieliśmy się, bo kto wie, czy dziś nie siedziałbym w pace.

*

Zawada szedł lesistą okolicą, od niechcienia patrząc na ładne widoki. Z niecierpliwością oczekiwał chwili, w której zobaczy się z Jadzią. Przed paroma dniami napisał do niej i zastanawiał się wielokrotnie, czy nie dotknął jej zbyt może obcesowym stylem listu.

— Ee — myślał — chyba nie powinna się obrazić. Nie wygląda na zbyt dumną „hrabinę”.

Rozmawiając z Jadzią, z przyjemnością przekonał

się, że istotnie, nie żywi ona doń urazy o rozmaite zabawne zwroty.

— Widzi pan... widzisz — mówiła dziewczyna — nie lubię gniewać się o słowa czy żarty, jeżeli nie są powiedziane w złej intencji. Zresztą — uśmiechnęła się zalotnie — czuję, że na ciebie nie mogłabym chyba zbyt długo się gniewać.

Roman ucieszył się, choć nie okazał tego po sobie.

— Początek zachęcający, zobaczymy co będzie dalej — pomyślał.

Potem rozmawiali o różnych rzeczach: o przyjaźni i miłości, o kolegach szkolnych. Zawada opowiadał o swym życiu, które od śmierci rządzącej jego domem babki uległo pewnej zmianie. Zyskał więcej swobody niż dawniej, lecz zarazem więcej pokus. Jadzia słuchała z zaciekawieniem, od czasu do czasu pytając o różne szczegóły. Skutkiem tego Zawada musiał uważać, by nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

Roman, umówiwszy się na dłuższą przechadzkę z dziewczyną wieczorem, odszedł do pracy. Tego popołudnia robota paliła mu się w rękach i tylko po jej ukończeniu czas zaczął się niezmiernie dłużyć. Próbował czytać znalezionej książkę i wreszcie... Jeszcze godzina..., ale wolno wlecze się czas..., jeszcze trzy kwadransy... Wstaje od stołu i szybkim krokiem przechadza się po pokoju.

— A może Jadzia wcale nie przyjdzie? Może niepotrzebnie tyle sobie obiecuję? No tak, słusznie mówi Weininger, że kobiety nie można mierzyć logiczną miarą. Zresztą, na co taka filozofia, jeżeli jeden nieopatrzny szczegół może popsuć wszystko... Nareszcie, można iść.

Dziewiąta wieczorem. Mało uczęszczana ścieżka, biegnąca w pobliżu dużych skupisk drzew, rozrzuconych

po pagórkowatym terenie, jest doskonale widoczna pomimo zmroku. Tu spaceruje Roman w pobliżu umówionego miejsca.

— Hm, już pięć po dziewiątej — mruczy, patrząc na fosforyzujące cyfry swego zegarka. — Wnet powinna być, bo panny wtedy są punktualne, gdy przychodzą przynajmniej z piętnastominutowym opóźnieniem. Dziesięć po dziewiątej..., piętnaście..., jeżeliby do wpół nie nadeszła... Od strony dworku dochodzi gwałtowne ujadanie psów. Niebawem milknie i rozplywa się w ciszy pogodnego jesiennego wieczoru. Roman słyszy lekkie kroki na ścieżce i zza drzew ukazuje się nadchodząca Jadzia.

— Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale musiałam uważać, aby nikt mnie nie spostrzegł. Rozumiesz...

Ach, to małe spóźnienie to zupełnie nieważny drobiazg. Ważniejsze jest, że Jadzia przyszła i uśmiecha się, błyskając w ciemności drobnymi, białymi zębami.

— Chodź — proponuje Roman — pójdziemy w tamtą stronę.

Trzymając się za ręce, idą powoli w gęstniejącą z każdą minutą ciemność. Drzewa szumią resztą zielonych jeszcze liści. Ciepły jesienny wieczór na łonie natury o ileż więcej ma uroku niż spędzony w najpiękniejszym pokoju! Pod nogami trzaskają suche gałązki i szeleszczą opadłe liście. Szum drzew to wzmaga się, to cichnie, a wówczas chłopiec słyszy wyraźnie szybki oddech Jadzi. Niebawem wchodzi na małą polankę, w środku której niewielkie jezioro połyskuje odbijającymi się w wodzie gwiazdami. Chłodny powiew idący od wody wywołuje lekki przyjemny dreszcz. Liczą oczyma odbicia gwiazd na lekko falującej powierzchni. Od dłuższej chwili nie zamienili ani słowa. Wobec

piękna natury każde zdanie wydaje się banalne. Roman delikatnie przyciąga do siebie drżącą dziewczynę. Nie broni się, jedynie przez cienką, letnią sukienkę wyczuwa przyspieszone tętno.

— Powiedz — pyta, mimo woli zniżając głos do szeptu — o czym myślisz w tej chwili?

— Nie wiem..., zgadnij.

— O mnie — ryzykuje — o nas? — poprawia się szybko Zawada.

Wyczuwalny raczej niż widoczny twierdzący ruch głową jest mu odpowiedzią. Usta ich łączą długi, zapierający oddech pocałunek.

Była już głęboka noc, gdy Roman ukradkiem wśliznął się przez okno do zajmowanego na czas podróży służbowej pokoju.

Rozdział XII

„Jim” spacerował niecierpliwie w pobliżu końcowego przystanku „piątki”, obserwując w smudze elektrycznego światła przechodniów. „Jeszcze czas — myślał, patrząc na swoją omegę. — Dopiero zaczyna się ściemniać. Ale Roman mógłby już być”.

Ze zgrzytem hamulców zatrzymał się tramwaj. Wysiadający z niego pasażerowie szybko rozeszli się w różne strony. „Jim” usiadł na pobliskiej ławce, lecz wkrótce wstał, gdyż nadjechał następny tramwaj. Ściskając w kieszeni paczkę kredy, bacznie wypatrywał wśród wysiadających wysokiej sylwetki Zawady. Nagle odskoczył przestraszony, gdyż dzwonek rowerowy zabrzmiał mu tuż nad uchem.

— Serwus, stary! — rozległ się głos Romana, który zatrzymał rower tuż koło Świerczyńskiego.

— A niechże cię! Cześć! Chyba zaczekamy jeszcze trochę?

— Naturalnie, aż się ściemni.

— Coś taki zmięty? — spytał Ludwik, patrząc na spodnie Romana. — Czy przejechała po nich co najmniej zmotoryzowana dywizja?

— Głupstwo, kraksa, jakich wiele, no i śmiechu też było trochę. Przed chwilą najechał na mnie jakiś rowerzysta, a ja, wylatując z siodełka, przypomniałem sobie, że w chwili strachu człowiek odzywa się swym ojczy-

stym językiem. No więc wyrznąwszy czterema literami o ziemię, ryknąłem: „Verflucht, der Teufel soll dich holen!”¹

— Ha, ha, ha! Niech cię szlag trafi! A cóż na to sprawca katastrofy?

— Pomógł mi wstać i zwiął, aż się za nim kurzyło! Czekaj, pomówimy o rzeczach mniej wesołych.

Przed trzema godzinami Zawada, przyjechawszy ze wsi, spotkał się z „Bergiem” (ilekroć zjawiał się w mieście, zawsze uważał za swój obowiązek odszukać bezpośredniego dowódcę), od którego usłyszał, że będzie „robota”. Niestety, jeszcze nie zbrojna.

— Wyobraź sobie, stary — mówił „Berg” — że jesteś Niemcem i nagle widzisz wszędzie napisy: O K T O B E R². Wracasz do domu, a tu na drzwiach pieczętka z trupią czaszką i napisem: B A L D O K T O B E R!³ Dostajesz anonimowy list, a tam jest napisane: „Willst du leben, muss du an Oktober denken!”⁴ A ponieważ Niemcy coś niecoś wiedzą, a i na własnej skórze już poczuli polską organizację wojskową — no, więc w tym wypadku, czy sam będąc Niemcem nie przypuszczałbyś, że w październiku 1943 zacznie się powstanie? No i czy sam nie napisałbyś testamentu?

— Rzeczywiście. A gdy nadejdzie ów październik...

— To im trochę podziała na nerwy. Przygotują się moralnie, no i będzie wielkie rozczarowanie. Potem zrobimy znów parę „hec” i na koniec, w odpowiedniej chwili, stary, po łbie draniów.

Omówili resztę szczegółów technicznych „roboty”, po

¹ Przeklęty, bodaj cię diabli wzięli.

² Październik. Była to jedna z akcji „enowych”.

³ Wkrótce październik!

⁴ Chcesz żyć, musisz pomyśleć o październiku!

czym Roman udał się do „Jima” i wręczywszy mu paczkę kredy polecił czekać na ostatnim przystanku „piątki”; mieli „zreferować” Osiedle Oficerskie.

„Jim” ostrożnie wychyla głowę zza rogu niewielkiej kamienicy.

— Uwaga, Niemcy — ostrzega szeptem Zawadę, przyczajonego w cieniu, rzucanym przez obłany światłem księżycowym budynek.

Roman, klnąc pod nosem tę iluminację, kręci się przy chropowatym murze kamienicy. Spoconą mimo chłodnego wieczoru dłonią szybko wyciąga kredę.

— Znowu!

Chowa kredę do kieszeni. Trzech hałaśliwych Niemców przechodzi w pobliżu. Ulice Osiedla Oficerskiego pełne są jeszcze spacerujących. Rzadko słyszy się polski język. Niemcy przeszli. Za nimi znów jakiś facet pod rękę z panną, patrzącą w niego rozanielonym wzrokiem.

— A niech was... — mruczy Zawada — idźcież prędzej, to przynajmniej przez chwilę nikogo nie będzie w pobliżu.

Nagle zauważyli grubego Szwaba, gapiącego się z okna po drugiej stronie.

— Psiakrew, to już chyba nic nie będzie z tego w tym miejscu — myśli na poły zrezygnowany chłopiec. Już zamierza skinąć na Ludwika, gdy Niemiec zamyka okno. Odważyć się? A jeżeli będzie dalej patrzył? W pobliżu stoi kilka samochodów mających przy numerze „obiecujący” znak SS. W nowoczesnych willach Osiedla, z którego powyrzucano większość Polaków, mieszka szereg dygnitarzy i zwykłych SS-owców.

Szwab w oknie nie ukazuje się. Teraz!

Skrzypi kreda. Po chropowatym murze sypią się drobne odpryski. O K T O — widnieje już na ścianie.

Co to? Aha, to rusza jedno z SS-owskich aut. Nie, nie jedzie tu... B E... pojawiają się następne wołowe litery... Do licha, to auto skręca tu, no, przejeżdża... O cholera, kończy się kreda, prędko nową..., a Ludwik gwizdże... R... No, wreszcie!

Zza rogu wychodzi cywil Niemiec i rzuca ostre spojrzenie na Zawadę. Za chwilę chłopcy idą do następnego „punktu”.

— Jak pan chodzi, do nagłej cholery?! — daje wyraz swemu oburzeniu jakiś przechodzień, trącony bezceremonialnie przez spieszącego się Romana.

Ten ma już gotową odpowiedź na końcu języka, lecz nagła refleksja: „Wywołasz awanturę, powstanie zbiegowisko, ktoś może nas poznać...” Mruknął pod nosem coś w rodzaju przepaszam, a co w rzeczywistości brzmiało niezbyt przyzwoicie, i usunął się z drogi.

— Ruch jak u dziada za kołnierzem — uśmiecha się Ludwik, patrząc na tłumy spacerujących.

— Nic, stary, ruszamy dalej. Widzisz tę budkę?

Podeszli do niej wolno. Ruch tu nieco mniejszy, za to księżyc beczelnie uśmiecha się na wprost wymarzonej ściany.

Rozważywszy różne ewentualności, przystępują do dzieła. Roman zasłania piszącego „Jima”. Zza parkanu słyhać wesoły dziewczęcy śmiech. Jacyś chłopcy przechodzący ulicą zwracają głowy w tamtą stronę. „Opowiem ja wam o jednej, co znam, zabrała mi serce moje...” — dobiega skądś melodia modnej od paru miesięcy piosenki. Dwóch młodzieńców, rozmawiając wesoło z uśmiechniętymi pannami, przechodzi, ocierając się niemal o „Jima” i „Wiktora”.

„Fifi! Fifi!” — woła wychylona z okna starsza pani w stronę goniących po ulicy psów. Zwykły pogodny,

choć niezbyt ciepły sobotni wieczór, gdy zmęczeni ludzie zapominają na chwilę o codziennych kłopotach, odprężając napięte nerwy.

Dwaj chłopcy, przygryzając wargi i wymieniając ponure spojrzenia, dalecy są w tej chwili od podziwiania ładnego widoku, jaki przedstawia wieczorem jedna z nowych dzielnic Krakowa. Zmienacka podeszło do nich trzech policjantów niemieckich. Obaj stoją na pozór spokojnie, choć przeżywają bardzo nieprzyjemne emocje. Takie dziwne wrażenie: sucho w gardle i niepewnie w kolanach. Tym razem jednak — ulga.

— Wo ist Leibnizstrasse? ⁵ — pada chrapliwe pytanie.

— Dort ⁶ — pokazuje Roman niezbyt pewną ręką w przeciwną stronę.

Niemcy odchodzą.

— A niechże to! — odsapnął Ludwik — myślałem, że oni coś zauważyli.

— Ja też. Przeczekajmy chwilę i zaraz będzie można „jechać”. Psiakrew, znowu żołnierze...

Ludwik szybko pisze po murze. Już!

Zbliża się godzina policyjna. Tłum Niemców, spacerujących po ulicach, przeredza się wprawdzie (boją się chodzić po dziewiątej), ale wciąż jeszcze jest ich dużo. A czas nagli.

Po chwili szybkiego marszu stają w al. Beliny-Prażmowskiego przed tablicą, na której przyklepione bywają ogłoszenia Zarządu Miejskiego. Wiatr porusza rosnącym w pobliżu wybujałym zielskiem. Z daleka dobiega rytmiczny odgłos kroków. Z przeciwnej strony jakiś starszy jegomość od niechcienia patrzy na chłopców.

⁵ Gdzie jest ulica Leibniza?

⁶ Tam.

— Ty, jak się właściwie pisze: O K T O B E R czy też O C T O B E R?

— O K T O B E R! Zresztą wal, jak chcesz.

Ludwik ze śmiechem przypomina rozwiązywanie zadań na tablicy w szkole. Usunąwszy się z oczu przechodnia, skonstatowali, że jest już za dwadzieścia dziewiąta.

— Może chcesz „Małopolski Biuletyn Informacyjny”?

— Dawaj!

— Jak przeczytasz, daj „Okoniowi”, a potem odnieś go „Bergowi”. Cześć!

Zawada odjechał w przeciwną stronę. Za chwilę zatrzymał rower na rogu ul. Kasprowicza i Grunwaldzkiej. Ruch jest już mniejszy niż przedtem, za to wzrasta zmęczenie nerwowe. Ryki i śmiechy kręcących się żołnierzy dochodzą aż tu.

Chłopiec zbliżył się do ściany kwadratowego betonowego kiosku i szybko napisał O K T O B E R. I znów pędzi dalej. Frontowa ściana dużego bloku przy ul. Bohdana Zaleskiego pogrążona jest wprawdzie w ciemności, lecz z niektórych okien patrzą Niemcy. Jak by tu pozostać nie spostrzeżonym?

Zawada hamuje tuż przy murze. Trzeba odczekać chwilę, aby przestali zwracać uwagę. Zbliża się godzina dziewiąta. Znów żołnierze po drugiej stronie ulicy... Teraz!

Właściwie już można by skończyć robotę. Coś jednak pcha go dalej. Roman zajechał na wprost domu, w którym mieszkają znajomi. „Ciekawe, czy kiedyś będę im mógł się przedstawić jako autor napisu przed oknami?” Po zrobieniu napisu jedzie w stronę miasta. Po drodze ozdobił jeszcze tylną ścianę platformy woj-

skowego auta. Nic to, że jutro napis zostanie starty. Ale żołnierze zobaczą go, a o to chodzi!

Zawada mknie do domu. Głęboko oddycha czystym, wieczornym powietrzem. Skręca w głęboką noc, która skryje go przed oczyma zbyt ciekawych patroli. Ogarnia go przyjemne uczucie zadowolenia ze spełnionego obowiązku. I mocne, z niczym nie dające się porównać uczucie dumy.

*

Gdy „Jim” z „Wiktorem” pisali po ścianach domów Osiedla Oficerskiego, kpiąc sobie w duchu z niespostrzegawczości Niemców, „Berg” w towarzystwie nowo poznanego współpracownika, „operujący” w Podgórzu, doznał nieprzyjemnego uczucia usłyszawszy zniecka okrzyk: „Stój! Ręce do góry!”, wydany przez granatowego policjanta. Błyskawicznie rzucili się do ucieczki. Ponieważ wybrakowany karabin zaciął się już po pierwszym strzale, gorliwy stróż bezpieczeństwa wyciągnął rewolwer. Cicha przed chwilą ul. Józefińska rozbrzmiewała głośnym hukem strzałów.

6 października 1943

Znów jestem w pracy za miastem. To ciągle jeżdżenie wieczorami do Krakowa i wyczekiwanie na „robotę” zaczyna być już zbyt jednostajne. Człowieka ciągnie z całej siły do akcji, a tu trzeba odwalać pracę, która nie budzi we mnie ostatnio żadnego zainteresowania. Ciągle przypomina się Organizacja, a prawdziwy szacunek mam dla takich ludzi, którzy nigdzie nie pracują i tylko spacerują ze spotkania na spotkanie. Jest to w najwyższym stopniu interesujące. Dla różnych nie-

świadomych znajomych taki człowiek na pozór niczym nie różni się od innych, a w rzeczywistości uchyla się od niemieckiego przymusu pracy i zarobiony w ten sposób czas wypełnia mu działalność i praca przeciw Szwabom. Ech, gdyby to każdy mógł urządzać swoje życie według własnego gustu! A ja tu muszę robić rozmaite rzeczy, na które nie mam ochoty. Cóż, jeść trzeba. Klnę cały nudny świat i pcham wszystko dzień po dniu naprzód. Realizując nauki magistra Michalskiego, staram się być zawsze w porządku, choć często jest to nieznośne i nie przychodzi mi z łatwością. „Mądre sabotowanie pracy w GG jest obowiązkiem każdego Polaka” — sam mimo pewnej niedbałości lubię wszystko przeprowadzać dokładnie i czuję zadowolenie wewnętrzne, gdy sprawa, której się podjąłem, jest gotowa od A do Z. A tu trzeba często zdrowo kręcić!

Jedynie Organizacja i myśl o niej czyni życie znośniejszym, ba, nadaje mu pewien posmak egzotycznego uroku. Za tak na pozór błahą rzecz, jak pisanie po murach, można zainkasować kulę w łeb lub — co gorsza — żywcem wpaść w ręce Niemców, z których każdy, obojętne, czy cywil, czy mundurowy, jest nastawiony na ściganie tego rodzaju rzeczy. Tortury w gestapo są wszystkim znane...

Ostatnio znów zaostrzył się kurs. O ile dawniej kara śmierci groziła za radio lub broń (do dziś zresztą żyją w obozach koncentracyjnych ludzie złapani „na radiu”, co prawda wątpliwe jest, aby wobec potwornych warunków i częstych „czystek” wielu doczekało końca wojny), a praktycznie za wiele więcej „przestępstw”, np. za hodowlę nie kolczykowanego prosiaka, o tyle teraz Niemcy ze zdwojoną energią wzięli się do wykrycia Organizacji. Wczoraj czytałem w mieście ogłosze-

nie szefa SS i policji dystryktu krakowskiego z dnia 2 X 1943, według którego każda nielegalna działalność podlega karze śmierci. Nawet przenocowanie kogoś nie meldowanego, nie mówiąc już o osobie poszukiwanej przez policję — wystarczy⁷. Nie mówię, naturalnie, o gazetkach, o plutonie egzekucyjno-dywerysyjnym, no i o dywersji między „obrońcami nowej Europy przed bolszewizmem”.

Czytałem ten afisz z ukrytą przyjemnością. Przypuszczam, że w tłumie czytających nie byłem sam; afisz ten był skierowany m. in. i do mnie.

Głęboko wbijam sobie w pamięć słowa ogłoszenia, udając oczywiście, że mnie to nic nie obchodzi. Wewnątrz jednak czułem dwa nurtujące mnie prądy. Jeden — że za kawałek kredy czy papieru szkoda narażać życie własne i kolegów znanych z nazwiska. Lepiej ograniczyć się do akcji zbrojnych. Chciałem nawet powiedzieć to „Bergowi”. Drugi prąd — że złożyłem przysięgę wojskową, która każe mi słuchać dowódcy, i w końcu — nie zaspokojoła dotąd (i myślę, że jeszcze długo!) chęć ryzyka, dająca w konsekwencji niezapomniane wrażenia na resztę życia.

Pod wpływem nielegalnej działalności pomału uczyć się i przyzwyczajam zwracać uwagę na różne szczegóły u ludzi, z którymi mam do czynienia. Szczegóły takie pomijałem dawniej, nie wyciągając z nich żadnych wniosków.

Kilka dni temu pewien uprzejmy zarządca małego

⁷ Wydaje się, że autor mógł tu mieć na myśli wydane tego właśnie dnia rozporządzenie generalnego gubernatora „O zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnym Gubernatorstwie”. Wskazuje na to treść przytoczonego fragmentu ogłoszenia.

folwarku, położonego już w obrębie Wielkiego Krakowa, obiecał sam sporządzić potrzebny mi plan żywienia zwierząt w zimie. Po plan ten miałem zgłosić się w jego prywatnym mieszkaniu w mieście. Kiedy chciałem zapisać sobie adres (czego, nauczony w roku 1940 nigdy bym nie zrobił, gdyby chodziło o jakąś sprawę z Organizacji), powstrzymał mnie od tego. Schowałem ołówki i pomyślałem, że tak powinni nasi ludzie przestrzegać ostrożności. Oczywiście udałem, że nie zwracam uwagi na ten gest i nie prosiłem go o wyjaśnienia. Ciekawe, dlaczego tak postąpił? Czyżby przeczuwał, że mogę wpaść? Nie mam przecież na czole wypisanych liter ZWZ, a raczej obecnie AK. Nie pamiętam, abym w czasie rozmowy z nim powiedział choć słowo, po którym mógłby coś przypuszczać.

Wczoraj rozmawiałem ze znajomym urzędnikiem o znanym w całym powiecie krakowskim (Kreis Krakau, cholera!) stabsleiterze Ulrychu aus Kreishauptmannschaft Krakau-Land, tj. ze Starostwa Powiatowego. Byłby on bardziej na miejscu w bandzie morderców, a raczej w gestapo. Łotr ten ma zwyczaj w czasie podróży służbowych po wsiach strzelać dla zabawy do gospodarzy, którzy w czymkolwiek mu się nie podobają. Oczywiście, jako jeden z pierwszych w Krakowie (razem z dr. Losackerem i stadthauptmannem⁸ Krämerem) dostał wyrok, ale dotychczas chodzi po świecie i kpi sobie z naszej Organizacji. Ulrych umie doskonale po polsku, bo przed wojną był pastorem w Poznańskim.

Byłem zdania, że chyba chodzi on zwykle w towarzystwie uzbrojonych po zęby tajniaków (czytałem o tym w „Biuletynie”). Mój znajomy zaś głośno snuł marzenia o sprzątnięciu tego drania. Wyobrażał sobie

⁸ Patrz rozdz. X, przyp. 9.

np., jakby tak zajechać razem z Ulrychem w dorożce przed starostwo w al. Słowackiego 72 i tam dopiero trrach! „Ale wtedy — ciągnął dalej — ten dorożkarz też musiałby być zaprzysiężony”. Drugi raz już nie powtórzył tego ostatniego wyrazu, powiedział tylko: „spiskowcy”. W duchu śmiałem się. Takie słowa, jak „zaprzysiężenie” i „odcinek”, należy używać tylko przy „fachowych” rozmowach. Ilekroć przypominam sobie dawniejsze i nowsze „roboty”, doznaję dużego zadowolenia, że jednak zalaliśmy Szwabom coś niecoś sadła za skórę, i równocześnie myślę: co będzie z naszą skórą?

Właściwie w Krakowie niewiele słyhać o szerszej działalności Organizacji. Od czasu do czasu kropnięcie jakiegoś mniejszego kapusia, ostatnio O K T O B E R i — spokój, cisza, bo o dywersji na terenie Wehrmachtu czy o wywiadzie większość członków Organizacji w ogóle nie może wiedzieć.

Za to w Warszawie hulają nasi „goście”! W ciągu jednego tylko tygodnia było 36 napadów i wyroków! Tam dopiero jest życie! Nawet jak na tak duże miasto to niemało! Pewien Szwab (z Distriktstelle⁹ albo z jakiejś innej instytucji) zapytany przez kogoś o wrażenia z podróży do Warszawy odrzekł tylko: „Warschau? Das ist ein wahres Mexico!”¹⁰ i opowiedział, jak to był świadkiem zastrzelenia tam dwóch gestapowców. W ogóle w Warszawie od początku działały się istne cuda. W roku 1940 na Kercelaku i przed Dworcem Głównym spluwa kosztowała podobno kilkadziesiąt złotych, a można było nawet dostać karabin maszynowy!

Żeby tak było u nas! Ciekawe tylko, co będzie, jeżeli Niemcy zmiarkują, że dywersja luźnych gruppek

⁹ Placówka okręgowa.

¹⁰ Warszawa? To jest prawdziwy Meksyk!

nie jest planowym działaniem na większą skalę! Jakich represji należy wtedy oczekiwać?

Z terenu dochodzą raz po raz wiadomości o wyczynach „Jędrusiów”, jak niektórzy nieświadomi nazywają oddziały partyzanckie Armii Krajowej. A w odwet następują zbiorowe mordy i pacyfikacje wsi, których ofiarą padają niewinni ludzie. Jak dotychczas w miastach spokój, lecz co będzie dalej? O moich wątpliwościach nie mówię „Bergowi” ani innym kolegom. Po co siać zwątpienie? Z pewnym trudem zachowuję konieczny przy pójściu „na robotę” spokój i opanowanie, które są nam, w pogarszających się warunkach, bardziej niezbędne niż kiedykolwiek dawniej.

— Uf, nareszcie — westchnął Roman, gdy drzwi przyległego pokoju zamknęły się za wychodzącą siostrą Świerczyńskiego. Obecność dziewczyny, przed którą musieli ukrywać całą pracę, zamykała im usta i dopiero teraz rozpoczęli swobodną rozmowę.

— Dobrześ trafił, stary — zaczął od razu Ludwik — właśnie dostałem cały transport od „Berga” i możemy go zaraz rozrzucić!

— Właśnie — ucieszył się Roman — z tą nadzieją przyjechałem. Dryndę zostawię u ciebie, bo tym razem zawadzałaby.

— Aha, stary, mamy mniej czasu niż zwykle, bo godzina policyjna jest teraz od ósmej. Możeś nie wiedział o tym na wsi, bo to dopiero od kilku dni.

— No, to jazda żwawo!

Ludwik wyciągnął spod szafy otrzymane od „Berga” ulotki w języku niemieckim, po czym z kieszeni wytrząsnął garść kamyków.

— Ho, ho! Już się w to zaopatrzył...

Po chwili szereg „bomb”, jak żartobliwie określił to

Zawada, czekał już gotowy do załadowania na „bombowce Królewskich Sił Powietrznych”, „304 Polski Dywizjon Bombowy”.

— Co chcesz, stary, wyruszamy jak RAF¹¹ nad Berlin, a właściwie nad kraje okupowane. Gdzie pójdziemy dzisiaj?

— Pokręcimy się trochę po „Kuźmarku”¹², a potem możemy zaglądnąć na stare miejsca.

Wychodzą na ciemną ulicę. Zaraz na wstępie uwagę Romana zwraca jakaś na pozór niedostrzegalna różnica w wyglądzie miasta podczas ostatniej „roboty” i dzisiaj. Czyżby to było złudzenie, że o wiele mniej ludzi spaceruje po ulicach? Pogoda mimo połowy października jest lepsza, a także jest cieplej niż we wrześniu. Zwraca pytający wzrok na „Jima”, mrużąc coś o swych spostrzeżeniach.

— Masz rację — brzmi odpowiedź. — Wiesz sam, co się ostatnio dzieje. Parę dni temu rozstrzelano kilku gości za Organizację, a w ostatnich dniach były wielkie aresztowania. No i niemal codziennie są obławy. Masz dokumenty w porządku?

— Owszem, ale co by ci to pomogło, gdyby znaleziono przy nas te sympatyczne pisemka?

— Wtedy nie dałbym złamanego grosza za naszą skórę... Uważajmy na boki, bo mamy wypchane kieszenie.

W milczeniu kroczą dalej. Z każdą chwilą gęstnieje mrok. Na Starowiślniej świecą się w dużych odstępach latarnie uliczne, ale okolica Wiaduktu Grzegórzeckiego i Planty Dietla pogrążone są w ciemnościach. Chłopcy doszli do ul. Starowiślniej i skierowali się w stronę III

¹¹ Royal Air Force — Królewskie Siły Powietrzne.

¹² Kaźmierz — dzielnica Krakowa.

Mostu. Nieliczni przechodnie mijają ich bez zwykłego gwaru. Można niemal wyczuć jakieś nieuchwytnie przycięgnięcie w całym otoczeniu.

— Chodź, zobaczymy, co słychać na Miodowej.

Skreśli koło szkoły barakowej na rogu i dokładnie rozejrzeli się dookoła.

— Są!

Przed szkołą powszechną pod nr 36 zauważyli w półmroku kontury ciężarówki z przyczepionym do niej działkiem przeciwpancernym. Z jednej strony oświetla je niebieska lampa nad wejściem do koszar Wehrmachtu (w szkole), za to z drugiej strony panuje względna ciemność.

— Tędy.

Stanęli w cieniu rzucanym przez resztki muru obronnego miasta Kaźmierza, który przytyka do dużej nowoczesnej kamienicy. „Jim” penetruje ulicę od Starowiślniej, a Roman obserwuje wartownika. „Jeżeli dochodzi on dotąd — rozumuje — to może widzieć, a światło sięga do...?”

Czas zacząć. Podeszli do auta. Wtem odgłos ciężkich kroków zaostrza uwagę. W stronę ul. Podbrzezia idzie wysoki zielony policjant. Z przyzwyczajenia rozgląda się na boki. „Zaczepi nas czy nie zaczepi?” — myślą obaj.

Przeszedł. Romana ogarnia dobrze znany dreszcz. Przypomina się zdanie z powieści *Na Zachodzie bez zmian*¹³: „czujemy jakby w krwi naszej włączono kontakt. Nie jest to uczucie strachu, tylko świadomość frontu wytwarza ów nieuchwytny prąd”.

— Ba — myśli — nie chcę być patetyczny, ale prze-

¹³ Ericha Marii Remarque'a, antyfaszystowskiego pisarza niemieckiego.

cież w tej chwili jesteśmy, mówiąc stylem gazetki, na froncie walki podziemnej.

— Jazda — szepnął do „Jima”.

Gdy wartownik jest najbardziej oddalony od auta, szybko wsuwają dłonie pod brezent kabiny ciężarówki. Jeszcze do budy. Lekki stuk i chłopcy odskakują w bok. Przechodzący lotnik niemiecki, nie wiadomo skąd, zjawił się w pobliżu, spojrzął badawczo na te manewry, przystanął na chwilę i w końcu odszedł. Koledzy odetchnawszy, szybko poszli w Miodową. Ucieczka w razie zauważenia nie byłaby zbyt trudna w tym miejscu, ponieważ niemal na wprost ciężarówki odgałęzia się czarny tunel ul. Szerokiej.

Gwoli rozerwania się po przebytych incydencie Zawada opowiada Ludwikowi różne historie o poznanej niedawno mężatce, która zresztą nie jest w jego typie.

Przechodzą obok domów w pobliżu dawnej bóżnicy. Zza uchylonych okien dobiegają ochryple głosy prostytutek. O, nawet przed małym szynkiem kręcą się trzy „ćmy nocne”.

— Jakby kto miał ochotę...

— Dalej, stary! Walimy do Podgórze.

W pobliżu drugiego szynku, na rogu Miodowej i Podbrzezia, stoi osobowy samochód wojskowy. Chłopcy podeszli do niego, ale Ludwik odciąga Romana:

— Patrz!

Z jasno oświetlonego komisariatu niemieckiego, mieszczącego się przy ul. Podbrzezie 8/10, wychodzą jeden za drugim patrol policyjne.

— Ciekawe — mruczy Zawada, wskazując koledze widoczne u Niemców pistolety maszynowe bergmanna. Dotychczas prawie ich nie nosili... Znikajmy.

Znalazłszy się na jasno oświetlonej ul. Krakowskiej, zauważyli odkrytego mercedesa.

— Tylko ostrożnie, bo tu jasno jak w dzień... Uważaj no na komisariat, a w razie czego wyrwyj przez Bóże go Ciała na ul. Józefa.

Na szczęście nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Ulotki znalazły się w aucie, a chłopcy mijają komisariat granatowej policji, mieszczący się w dawnym ratuszu Kaźmierza na pl. Wolnicy.

— Czołem, panowie „gliny” — mruga Zawada w stronę zaciemnionych okien. — Wiesz, nie wszyscy w policji są skończonymi świniami. „Berg” mówi, że niektórzy z nich są też w „robocie”.

— Taka gra musi być trudna.

— Zapewne. No, ale Organizacji oddaje to duże usługi, bo np. informacje o kapusiach... Czeka, popatrz no tam!

Patrol niemiecki, idący może w odległości 150 metrów za chłopcami, przez chwilę kręci się koło mercedesa.

— Zobaczą, czy nie?

— Figę, stary, już idą. Walmy teraz do żołnierzy na Zamojskiego.

Od strony rzeki zrywa się lekki wiatr. Zamiotło kurzem z nie zwilżonej od dawna deszczem ziemi. Jesień w tym roku jest bardzo pogodna. Mimo połowy października ciepło jak w sierpniu. Chłopcy przeszli most Piłsudskiego i już zamierzali rzucić paczki z góry na zajętą przez Wehrmacht szkołę im. Kościuszki (w tym miejscu wjazd na most wznosi się dobre 7 metrów nad ul. Legionów), ale obecność dwóch granatowych udaremniła ten zamiar.

Z koszar przy ul. Zamojskiego udali się pod koszary

Na Zjeździe, omijając likwidowane od lata 1942 roku getto. Żydów już dawno wywieziono, na odrutowanych ulicach widnieją jedynie stosy gratów i z rzadka przesuwa się milcząca sylwetka złotego żydowskiego policjanta. „Dzielni rycerze” z gestapo kryli się tu w czasie nalotów, spodziewając się słusznie, że Rosjanie nie będą bombardować getta.

Koledzy stanęli naprzeciw koszar, w tym samym co i kiedyś miejscu. Przechodniów jest nieco mniej, ale żołnierze kręcą się po dawnemu.

— Dziś może mostem iść patrol z Podbrzezia.

— No, to nawalamy na nogach, a nie „szóstką”.

— Wiesz co, poczekajmy chwilę, ciśniemy wtedy, jak będzie jechał tramwaj do miasta, to nas zasłoni... Uwaga Szwabów mimo woli zwróci się wtedy na tramwaj, a nie na nas — kombinuje Zawada.

Przeciwległym chodnikiem z III Mostu nadchodzi grupka żołnierzy. W tej samej chwili z dołu wynurza się „szóstka”. Chłopcy ostrożnie wyciągają z kieszeni paczki. Tramwaj huczy głośno, jadąc pod górę. Dwa szybkie ruchy i już.

Zbawcza osłona przejechała, a zdziwione spojrzenia żołnierzy śledzą jakby dwa małe gołębie wolno opadające na ziemię. Pokazują palcami. Na „Jima” i „Wiktorra” biją siódme poty, albowiem w locie wypadły z paczek kamyki i papiery spadają bezwstydnie powoli. Nareszcie ułożyły się przed wejściem do namiotu stojącego na podwórzu koszar.

Koledzy wracają do mieszkania Ludwika. Dopiero w pobliżu domu opada nerwowe podniecenie, trzymające ich w napięciu przeszło godzinę. Co chwilę wybuchają śmiechem, przypominając sobie zdziwione miny żołnierzy.

Szyfr Kasparyna

1	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Wypisanie
2	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	1) Zapamiętanie pierwsza litera K=12							
3	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	2) Karty dołożona do alfabetu
4	Q	H	I	J	K	L	M	N	O	P	R	S	T	U	V	W	3) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100
5	N	O	P	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	4) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100
6	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	5) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100
7	K	L	M	N	O	P	Q	R	S	T	U	V	W	X	Y	Z	6) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100
8	S	T	U	V	W	X	Y	Z	A	B	C	D	E	F	G	H	7) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100
9	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L	M	N	O	P	8) Karty w porządku: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100

- 4) Karty jest 8 borecznych i 10 pomarańczowych
 - 5) Karty 4 borecznych podpisana pod 4 pomarańczowymi
 - 6) Karty układane w rzędach pierwsza cyfra umieszczona cyfra pierwsza karty, a jako druga cyfra boreczna
 - 7) system zapamiętania i po wyjęciu z rąk umieszczony
- jest warte

10. Fotokopia szyfru konspiracyjnego

1. W pracy konspiracyjnej nie wolno...
2. Każdy musi...
3. Od chwili...
4. Każdy musi...
5. Przynależność...
6. Nie wolno...
7. W wyjątkowych...
8. Do pracy...
9. Każdy musi...
10. Każdy...
11. Wobec...
12. Konspirator...
13. Każdy...
14. Jeżeli...
15. Konspirator...
16. Każdy...
17. W wypadku...
18. Od góry...
19. Wszelkie...
20. W czasie...
21. Wszelkie...
22. Przy...
23. Na...
24. Wszelkie...
25. Wszelkie...

11. Instrukcja dla uczestników pracy konspiracyjnej



- 1) W pracy konspiracyjnej biorą udział tylko ludzie silni i zdecydowani na każdą ewentualność. Należy unikać ludzi słabych, alkoholiczków i mało dyskretnych.
- 2) Każdy winien się odznaczać charakterem, zdecydowaniem, rozumną odwagą, sprytem, zimną obserwacyjnym i opanowaniem.
- 3) Od chwili wstąpienia w szeregi, złożenia przysięgi jest żołnierzem Armii Polskiej i jako taki nie może się wycofać z szeregów, chyba na specjalną prośbę otrzymuje urlop lub zwolnienie.
- 4) Każdy musi pamiętać, że bierze udział w walce o Polskę na równi z tymi, co walczą poza granicami naszej Ojczyzny; dzięki temu niech każdy sobie uświadomi doniosłość swej pracy.
- 5) Przynależność do tej armii jest bezwzględnie tajemniczą i żaden z członków rodziny o tym nie może poza dowódcą i najbliższym współpracownikiem.
- 6) Nie wolno stwierdzać i być ciekawym kto jeszcze należy do wspólnego oddziału lub kto tam jest. Kto dowie się przypadkowo, postępuje tak, jak gdyby o tym nie wiedział.
- 7) Ze względu na dobro sprawy i bezpieczeństwo każdy posiada pseudonim, który używa się w pracy konspiracyjnej.
- 8) Do pracy używa się ludzi znających teren i możliwości oraz warunki pracy, a nie są skomputrowani.
- 9) Każdy musi unikać, kłótek, nieporozumień osobistych z ludźmi, by zdrażnić temat szkodliwie sprawie. Każdy jednoczy i wiąże ze sobą ludzi, a nie zraża.
- 10) Każdemu Polakowi w granicach możliwości iść z pomocą i radą, a nie jak zdarzają się wypadki, oddaje się Polaka podejrzanego w ręce policji. Poślubny czyn jest karygodny i musi być ukarany.
- 11) Unikać zatargów z policją polską.
- 12) Konspirator nie pisze i nie nosi żadnych dokumentów przy sobie ani też nie zatrzymuje w swoim mieszkaniu. Wszystko chowa w miejscu pewnym i nieznanym.
- 13) Każdy pracujący stara się unikać pokazywania publicznie z ludźmi, z którymi współpracuje.
- 14) Jeżeli praca wymaga częstego chodzenia po różnych punktach lub jazdy w teren i zaopatruje w dozwolone artykuły sprzedaje jako handlarz lub domokrążca.
- 15) Konspirator przy dawaniu zleceń czy rozkazów zwraca uwagę nie tyle na termin, ile na jak sumiennosc i sposób przeprowadzania sprawy. Zasada: powoli, ale grantownie i dobrze.
- 16) Każdy musi mieć powierzone zadanie do wykonania i nikt nie może być bezczynny.
- 17) Na wypadek aresztowania musi być przygotowanym, jak postępować i co mówić przy zeznaniach. Zasada jest spokój, pewność siebie i zgodność w zeznaniach.
- 18) Od góry w dół muszą być ustalone kontakty celem wspólnego porozumienia, przekazywania rozkazów, raportów lub wniosków.
- 19) Kontakty muszą się odbywać w miejscach nie budzących żadnych podejrzeń: parki, ulice ruiny, w polu, przy pracy, przed kościołem itp.
- 20) W czasie rozmowy nigdy nie używać nazwisk lub miejscowości, gdyż stale ktoś podsłuchuje.
- 21) Na umówione spotkanie konspirator przychodzi punktualnie. Zachowuje się naturalnie, unikając widocznej tajemniczości i niepokoju. Wręczając jakiegokolwiek listy czyini to ostrożnie w sposób naturalny, nie budząc podejrzeń.
- 22) Przy spotkaniach w lokalach lub mieszkaniach należy zabezpieczyć się przed wpuszczeniem środka osób niepowołanych.
- 23) Na punkt kontaktowy przyjmuje się tylko osobę, która podaje prawidłowe hasło. W razie błędnego hasła lub stwierdzenia, że dany lokal jest obserwowany, w żadnym wypadku przyjmować nie wolno, a lokal musi być natychmiast odwolany i zmieniony.
- 24) Wszystkie pisma czy ulotki należy podawać natychmiast do przeczytania. Nie wolno przetrząsnąć, lecz drogą nakazaną doręczyć. Pisma niszczyć jedynie w razie niebezpieczeństwa.
- 25) Osobom niepowołanym /gadulom/ żadnych pism nie wolno wręczać, jedynie ustnie podawać treść wojenną. Służbowych tajemnic w żadnym wypadku podawać nikomu ani wolno.
- 26) Jeżeli posiadasz broń, to pamiętaj, by nikt nie znalazł magazynu i nikomu nie chwalić się z jej posiadaniem. Broń należy zakonserwować w suchym miejscu pod dachem.
- 27) Każdy musi pamiętać, by na każdym kroku pracować na szkodę wroga i rozmów po niemiecku prowadzić.
- 28) Wszyscy, którzy postanowili stanąć do walki z wrogiem, muszą już obecnie stać się celami wywiadu i propagandy.
 - dokładna rejestracja wojskowych, władz samorządowych, administracyjnych, politycznych??, Niemców, volksdeutschy oraz wykrywanie zdrajców i konfidentów niemieckich
 - śledzenie zarządzeń niemieckich, osób podejrzanych oraz rejestracja osób aresztowanych.



12. Pieczętki wykonane przez „Wiktora”



Ha! ha! ha! Oni myśleli pewno, że to z samolotu!
— Grunt, że się nie kapnęli!

17 października 1943

Zaczyna się dzieć coś niedobrego, coś, czego obawiałem się jeszcze podczas organizowania plutonu egzekucyjnego. Po wczorajszej wyprawie (wróciłem parę minut po ósmej i matka bała się, abym nie znalazł się u „Libana” — ja natomiast obawiałem się wylądowania nie tyle u „Libana”, co na Pomorskiej¹⁴) spałem dość długo. Przybyły do nas z wizytą znajomy opowiadał, że dziś w południe po komunikacie podawanym przez głośniki radiowe („kubły”) w mieście (mieliśmy nawet dostać zadanie zniszczenia ich, ale sprawa jakoś ucichła) usłyszano coś w rodzaju hejnału, po którym przeczytano długą listę skazanych na śmierć przez szefa SS i policji „za nielegalną działalność i nielegalne posiadanie broni”.

Znajomy, Zdzisław Milewski, jest dorosłym, dosyć spokojnym i zrównoważonym, a równocześnie uprzejmym i uczynnym człowiekiem. Nie przypuszczam, aby miał coś do czynienia z Organizacją, choć, zdaje się, dawniej — przed aresztowaniem moich krewnych — miewał gazetki. Wyrażał on różne przypuszczenia na temat napisów O K T O B E R, ja zaś śmiałem się w duchu na myśl o minie, jaką zrobiłby dowiedziawszy się, że napis przed jego domem jest mojej roboty. Przypuszcza jednak, że ci, którzy zostali rozstrzelani (więk-

¹⁴ „Liban” to karny obóz służby budowlanej w Krakowie istniejący w latach 1942—1944 na terenie tamtejszych kamieniołomów.

szość z nich była z 1924 i 1925 roku, a kilku nawet z 1926), należeli do jakiejś tajnej organizacji.

Komunikat wywarł szczególnie duże wrażenie na ludziach nie należących do Organizacji. Jeżeli tak dalej pójdzie, to nie wiadomo, jaki może być końcowy efekt tej presji moralnej na tzw. spokojną część społeczeństwa, czyli — mówiąc szczerze — większość. Może nawet całą robotę trzeba będzie pozornie wstrzymać na jakiś czas, aż się Niemcy uciszą.

Kilkakrotnie już obławy i aresztowania, które trwają stale, osiągały wielkie nasilenia, jak np. w styczniu i maju 1940, w styczniu, lutym i kwietniu 1941, na wiosnę i jesienią 1942 oraz w lecie roku 1943 — wkrótce jednak wrażenie w społeczeństwie przemijało, a ściśle wówczas ukryta „robota” szła dawnym trybem. Jak będzie teraz? Od wiosny sytuacja jest nieco inna, gdyż w ubiegłym roku nie było jeszcze w takim zakresie „leśnych” ani pacyfikacji. Zresztą, może są to przesadne obawy wywołane bestialstwem niemieckim. Cokolwiek się stanie, nasze nastawienie psychiczne się nie zmieni, tylko będzie coraz trudniej, a w miarę zwiększania i ulepszania uzbrojenia policji niemieckiej będzie — mam nadzieję nie być złym prorokiem — wpadać coraz więcej naszych ludzi.

Ani słów, ani myśli, które często kłębią mi się w głowie, nie wymieniam z kolegami. Po Świerczyńskim jednak sądzę, że i on ma pewne wątpliwości. Znamy się zbyt dawno, abym tego u niego nie zauważył. Na odwrót, aby coś przed nim ukryć, muszę dobrze uważać, nie tylko na swój język. Jak się okazało, o należenie do Organizacji podejrzewał mnie od chwili zauważenia *Szkoły junaka* i *Podręcznika PW*.

„Jim” jest w zupełności udanym typem. Można by

go stawiać innym za wzór, gdyby nie to, że są na ogół do niego podobni. Reszta kolegów, tj. „Wulkan”, „Słowik”, „Kanner” i „Skobel”, nie utrzymuje z nami dwoma chwilowo bliższych kontaktów. Z „Bergiem” spotykają się kiedy indziej niż „Jim” i tylko czasem dochodzą do nas wiadomości, że i oni nie zasypiają gruszek w popiele. „Berg” i jeszcze jeden zostali kiedyś ostrzeżeni przez granatowego w Podgórzu (podczas pisania OKTOBER), „Wulkana” jakiś Niemiec niedawno o mały włos nie chwycił in flagranti za kołnierz, „Kannera” policjant gonił przez pół kilometra, a „Słowik” przez tydzień chodził z plastrem na twarzy, ponieważ do piszącego OKTOBER przy moście kolejowym wartownik strzelił z karabinu i drasnął go w nos. My dwaj, tj. „Jim” i ja, dotychczas mieliśmy szczęście.

Goście z „roboty” trzymają się doskonale. Po co się zwątpienie? Ale trudno jest czasem ukryć coś przed przyjacielem, a jeszcze trudniej — przed intuicją kobiety, która może zdenerwować nawet najbardziej opanowanego mężczyznę.

21 października 1943

W ostatnim „Biuletynie” są już wiadomości o zbiorowych egzekucjach i o potężniejszym terrorze niemieckim w Warszawie. W tych ponurych wieściach czasem tylko znajduje się jaśniejsza notatka: „... Sąd Specjalny w Kraju ... za wydanie w ręce niemieckie Polaka ... wyrok wykonano dnia ...” Wiadomości przynoszone przez „Biuletyn” przypominają krwawą historię Liszek, Piekara i Kaszowa z lipca, tylko jest ich, niestety, coraz więcej. Jak się to wszystko skończy? Jedno jest pewne: że będzie jeszcze dużo ofiar, nim Niemcy zostaną

pokonani. Każdy z nas może zostać do tego czasu wykończony, więc warto też trochę pomyśleć o sobie.

Od pewnego czasu czuję, że coś nie jest w porządku. Czy dobrze postąpiłem wtedy z Jadzią? Ona jest bardzo miłą i ładną dziewczyną, ja zaś, zdaje się, niedaleki od zakochania się w niej. A wtedy łatwo o dekonspirację. Prócz historii z Krystyną i nie-śp. kapusiem pamiętam jak dziś słowa przestrogi owego porucznika, od którego dostaliśmy nasze pierwsze zadanie. Po drugie, „w robocie”, w zaostrzającej się z dnia na dzień sytuacji, potrzeba będzie dużo spokoju i zimnej krwi. O to ostatnie trudniej, gdy się wciąż myśli o dziewczynie, a i zapał do pracy wtedy maleje.

Jadzia mieszka właściwie stale w Krakowie. Prosiła, abym ją odwiedzał, gdy wróci ze wsi. To mogłoby ograniczać mój czas i przyprawiać mnie o zdenerwowanie. Waham się jeszcze na razie — tu nie ma miejsca na żadne półśrodki ani kompromisy. Tego rodzaju sprawy trzeba rozstrzygać radykalnie. Nie chcę się chwalić, ale zdaje się, że i ja jej wpadłem w oko, i to niezgorzej (nb. sam miałem dowód tego). A stąd do związania się na dłuższy czas już tylko jeden krok. Jestem w służbie Organizacji, dziś lub jutro mogę wpaść, nieostatnim argumentem jest też i to, że po prostu nie chcę dziewczynie zawracać głowy. Pojutrze się z nią zobaczę.

*

Pośród wysokich słoneczników z daleka zamajaczyła jasna suknia. Roman westchnął i zacisnął zęby; zbliżała się chwila rozmowy. Dosyć sztywno przywitał się z zadyszaną od szybkiego marszu dziewczyną.

— Jesteś — mówiła z uśmiechem — myślałam, że będziesz dopiero jutro. Chodź, przejdziemy się...

Zawada milcząco bierze dziewczynę pod rękę. Czarne zarośla z wolna wyłaniają się z ciemności. Jak niewiele zmieniło się tu pomimo jesieni! Koniec października, a jeszcze na drzewach dużo liści. Południa i wieczory niemal równie ciepłe jak we wrześniu i tylko częste mgły poranne znamionują zmianę pory roku. Idą dalej w głąb lasu. Zupełnie jak wtedy. Ale dziś zachmurzone niebo nie pozwala gwiazdom przegłądać się w wodzie na pół wyschniętego z braku deszczów jeziora. Przez całą drogę Roman milczy lub odpowiada półsłówkami. Och, ciężko! Trzeba będzie powiedzieć coś ostatecznego.

Drzewa szumią może nieco ciszej niż przed czterema tygodniami. Jadzia coś mówi. Zaraz, trzeba porzucić na chwilę niewesołe rozmyślenia.

— Powiedz, Romku, czy stało się coś złego? — pyta troskliwie.

— Nie, dlaczego?

— Cały czas jesteś dziś jakiś ponury...

— Ech, drobiazg.

Stają nad wilgotnym brzegiem wody. Dziewczyna delikatnie przytula się do Romana. Zawada, oderwawszy się od swych myśli, zaczyna coś mówić. Mija chwila. Roman rozgrzewa się własnymi słowami, których Jadzia słucha w milczeniu.

— Widzę, że zmieniłeś zdanie — mówi, gdy prze-rwał na chwilę — do niedawna uważałeś, że miłość jest więcej warta niż przyjaźń, a teraz odwrotnie... A może i masz rację... Zresztą, po co tyle mówić? Powiedz — dodaje nieco ciszej — czy to miejsce nic ci nie przypomina?

Roman lekko drgnął. Nie, drugi raz nie wolno!

— Dziwne — mówi po chwili dziewczyna. — Wiesz,

inni chcą ode mnie więcej niż przyjaźni, ale nie chcą ich, a tymczasem ten jeden, którego właśnie ja chcę... Jeżeli tak, to... Romku, pocałuj mnie choć na dobranoc — szepcze, nieznacznie przysuwając się do niego.

Romana pomału opuszcza z trudem zdobyte opanowanie.

„... Oficer inspekcyjny przemawia... Młodzi chłopcy, od niedawna już zaprzysiężeni podziemni Żołnierze Wolności, chciwie chłoną każde słowo... Cały miesiąc nawet nie rozmawiałem z kobietą... „Wilhelm”, jak go kropnicie, to nawalajcie przez Długosza... i mocny uścisk dłoni „Jima” po „robocie”... Dziś rozstrzelano za nielegalną działalność... Panowie, teraz możemy postarać się o spluwy... Złożyłem przysięgę... Ale ostatni raz... Nagrodą będzie zwycięstwo...”

Roman nieco gwałtownym ruchem odsuwa się od Jadzi. Przez chwilę milczą. Pomału stygnie rozpalona wyobraźnia. Usta dziewczyny drżą lekko.

— Romku — brzmi jej nieco już opanowany głos — imponujesz mi twoją silną wolą.

— Hm, nie wypada jej chyba nic innego powiedzieć — myśli Zawada.

Znów Jadzia przysuwa się do niego.

— Do widzenia — mówi wreszcie Roman.

— Odwiedź mnie w Krakowie. Założę się, że zmienisz zdanie — próbuje się uśmiechać Jadzia. Do zobaczenia za dwa tygodnie...

— Nigdy prawdopodobnie — myśli chłopiec. Tak! Tu ładna dziewczyna, a tam idea, koledzy i Organizacja — może wnet koniec, ale dłużej nikt by się chyba już nie wahał.

Zacisnął zęby, pocałował dziewczynę w rękę i szybkim krokiem zniknął w ciemnościach.

Rozdział XIII

Roman skończył wypełnianie arkusza sprawozdawczego i położył pod spodem zamaszty podpis.

— Uf! Nareszcie robota skończona. Znow będzie można do końca października cisnąć do stu diabłów ten cały kram i pomyśleć o czymś ciekawszym. Pożegnawszy się z właścicielem gospodarstwa, zabrał swe rzeczy i wyszedł na szosę prowadzącą do Krakowa. — Psiakrew, szkoda, że drynda w naprawie. Zawsze dwadzieścia kilka kilometrów nie bardzo wychodzi butom na zdrowie — pomyślał.

Był pogodny październikowy poranek. Słońce przebiło się przez opadające mgły i mimo późnej jesieni dopiekało wcale mocno. Droga wiła się zygzakiem wśród podmiejskich wzgórz. Nagrzana w słońcu leżała dookoła nieruchoma martwa cisza. Przez cały czas marszu do domu minęły Romana zaledwie dwa auta z policją i samochód jadącego na inspekcję niemieckiego „dygnitarza” ze starostwa.

Idąc szybkim równym krokiem, chłopiec doszedł w południe do jednego z przedmieść Krakowa. Na widok wynurzającego się z oddali miasta doznał szczególnego wrażenia. Przez sekundę zdawało mu się, że z zakończeniem okresu kontrolnego zamknął się pewien odrębny etap i że wkrótce nastąpi jakaś zmiana. Ale nie uzmysłowił sobie tego dokładnie. Niebawem witał się z Jerzym:

— Serwus, stary, świetnie, że już wróciłeś — powiedział Bienkowski. — Właśnie potrzebujemy lokalu, bo razem z naszą ferajną mamy kilka spraw do obgadania. Można u ciebie?

— Z przyjemnością.

— Zawiadam „Jima”, ja zajmę się resztą. „Kanne-ra” i „Skobla” chwilowo nie ma w Krakowie, zresztą na razie nie są niezbędni. W takim razie jutro o wpół do szóstej u ciebie.

— Serwus, cześć!

Roman zjadł obiad w restauracji, odwiedził „Jima”, zawiadamiając go o zebraniu, po czym do wieczora włożył się po mieście.

*

Zawada rozsiadł się wygodnie na krześle i rozłożywszy na stole „Przegląd Polski”¹, który Jerzy przed chwilą wyjął z kieszeni, czytał: „Parcela, na której dwie pełne ludzi karuzele wygrywały jakąś mocno sfalszowaną melodię, była odgradzona od ulicy betonową barierą. Dwieście, a może trzysta osób, przeważnie o mało inteligentnym wyglądzie, kręciło się wokół, głośno hałasując. Bronek wsparł się na barierze obok Stefka i spokojnym wzrokiem wodził po tłumie. Tuż przy nich stali dwaj żołnierze niemieccy... Nieco dalej kręciło się dwóch Słowaków... Ci nie są groźni, byle tylko policji nie było w pobliżu...”

Gdy ukończył czytanie prasy, dochodziło już wpół do szóstej. Zapalił światło i zaciemniwszy okna wrócił do siedzącego przy stole autora i bohatera (w jednej

¹ Tygodnik wydawany w latach 1940—1944 w Krakowie przez Związek Harcerstwa Polskiego — Szare Szeregi, w ramach ZWZ — AK.

osobie) przeczytanego felietonu z cyklu „Z frontu Podziemnej Polski”. Gawędzili przez dłuższą chwilę o niedawnych, a tak już odległych czasach, spoglądając na wolno posuwającą się wskazówkę zegara. Wtem uwagę Jerzego zwrócił cichy szmer.

— Co jest? To było stamtąd — wskazał ręką przyległy pokój, mający osobne wyjście do przedpokoju.

— Ciekawe, znów szmer się powtórzył.

Nagle w otwartych drzwiach, łączących dwa pokoje, stanęli „Jim” i „Wulkan”.

— A niech was! — zawołali. — Jakim cudem?

— Po prostu — uśmiechnął się Ludwik — zapomnieliście zamknąć drzwi na schody... No, i niechby tak policja albo gestapo!

Za chwilę zjawił się wysoki, szczupły jegomość, wyglądem przypominający nieco Brazylijczyka.

— Pozwólcie, panowie — wskazał „Berg” przybyłego — to pan „Narciarz”, a to są „Wiktor”, „Wulkan” i „Jim”.

Przedstawieni skłonili się sobie sztywno. „Wulkan” usprawiedliwił nieobecność „Słowika”, po czym zebrani usiedli przy stole. Talia zniszczonych kart zajęła honorowe miejsce na środku stołu, a dym papierosowy z wolna rozchodził się po pokoju. Początkowo trzech chłopcy przysłuchiwali się naradzie „Berga” z „Narcia-rzem”, po jej ukończeniu zaś Jerzy zwrócił się do pozostałych:

— Panowie, dziś ułożymy szczegółowe plany pracy. Po trochę chaotycznym okresie musimy uzgodnić całą „robotę”. Nasza sekcja została włączona jako patrol do Wydziału N, podlegającego bezpośrednio Dowództwu Okręgu Armii Krajowej. Jesteśmy jednym z tzw. patroli propagandy, których głównym zadaniem do chwili

li powstania będzie dywersja wśród Niemców. Będziemy, tak jak dotychczas, rozrzucać antyhitlerowskie ulotki w języku niemieckim, nalepiać afisze, a także wykonywać różne zadania specjalne. I jak tylko coś się zacznie, wtedy zaczniemy żyć całą parą! Wtedy dostaniemy samochód, aparat filmowy („góra” już go, zdaje się, ma!), aparaty fotograficzne i będziemy zawsze tam, gdzie tylko zacznie się jakieś „grzanie”. No, a po wykurzeniu Szwabów z Krakowa — dalej za nimi, choćby do Berlina!

— To będzie morowo — wyrwało się pozostałym.

— Słuchaj, stary, będziemy w powstaniu czymś w rodzaju wojskowych sprawozdawców filmowych, co to ich czasem Niemcy pokazują w „Ilustrowanym Kurierze”, tzw. polskim?

— Mniej więcej.

— Panowie, teraz omówimy bieżące sprawy. Aby nie wchodzić sobie wzajemnie w paradę w czasie „roboty”, musimy podzielić miasto na rejony.

Myśl Zawady pobiegła w tej chwili w otaczającą ich ciemność. Pełno patroli policyjnych chodzi dzień i noc po mieście. Ulice Franciszkańska, Kapucyńska, Siemiradzkiego, Pomorska, Szlak i tyle innych gniazd tych szerszeni, które ostatnio niepomiernie się wściekają, listy straconych ogłaszane codziennie przez megafony, ciągłe obławy, aresztowania i rewizje po domach, a tu oto pięciu ludzi układa spokojnie „światoburcze” plany. Co by dał za to niejeden policjant, gdyby mógł usłyszeć choć część słów wypowiedzianych w tym pokoju! Ogarnia go lekkie podniecenie. Cała historia ma po prostu posmak sensacyjnej powieści, w której — o cudzie! — samemu bierze się udział. „Człowiek z Wydziału N” — brzmi to zupełnie jak tytuł szpiegow-

skiej powieści. Po czerwcowej wsiypie w plutonie egzekucyjnym nareszcie zaczyna się coś organizować. Ech, dopiero kiedyś po wojnie będzie co opowiadać dziewczynom! Szkoda Jadzi! Za to tu są rzeczy znacznie ciekawsze!

Po ustaleniu rejonów dla poszczególnych ludzi — „Jim” i „Wiktor” dostali Podgórze i część Kaźmierza — omówiono podział ulotek „niemieckich”. „Berg” będzie otrzymywał co tydzień 120 sztuk, czyli na każdego wypadnie dwadzieścia. Sporo.

Potem „Narciarz” opowiadał o swej ostatniej „robocie”, podczas której przykleił ulotkę na ławce w al. Słowackiego i obserwował po chwili czytających ją Niemców (byli to żołnierze).

— Mieli bardzo głupie miny i wyobraźcie sobie, panowie, po przeczytaniu nie zerwali jej, tylko poszli dalej!

Roman z Ludwikiem postanowili również używać kleju.

„Berg” opowiedział kolegom o swoich pamiętnikach, dodając, że czytał je pewien nasz człowiek, z zawodu literat.

— Ten jegomość nazywa się „Bard”. Wiecie, on nawalił, bo go szukali, i bimba sobie, ukrywając się tutaj.

— Ty, „on sobie bimba! On się doigra” — wtrącił żartobliwie „Jim”, przypominając „Wiktorowi” stałe powiedzenie dawnego profesora.

— Aha, panowie, jeszcze jedno — dodał Jerzy, wymieniwszy adresy kilku koszar. — Tam nie warto rzucać, bo siedzą „Mongoly”, nie umiejący po niemiecku.

— Panie... „Wiktorze” — zwrócił się do Romana „Narciarz” — jakby co, będę pamiętał pański adres.

— Dobra jest.

Po zakończeniu narady pojedynczo lub parami wychodzą z mieszkania. Roman wychodzi również, postanawiając wykorzystać otrzymaną kilka dni temu przepustkę.

28 października 1943

SS i policja szaleją w Krakowie. Na drugi dzień po owej „naradzie sztabu generalnego”, jak żartobliwie określam nasze niedawne zebranie, wyszedłem rano do miasta. Mniej więcej od mojego powrotu, tj. od przeszło tygodnia, czuć już prawdziwą jesień w powietrzu. Nastąpiło gwałtowne obniżenie temperatury, powodujące już widoczność oddechu. Mimo zimna będzie nam coraz goręcej.

Zauważyłem grupkę ludzi stojących przed afiszem na płocie. Podeszedłem bliżej i przypomniałem sobie szubienice przy torach kolejowych w Płaszowie, Podgórzu i Bonarce w 1942 roku. Na różowym papierze widniało z daleka, w dwóch językach: „OBWIESZCZENIE! Na zarządzenie wyższego dowódcy SS i policji w dystrykcie Krakau zostali zasądzeni na karę śmierci:

1. Piórko Zdzisław z Krakowa — za nielegalne posiadanie broni.

2. Rech Leopold — za udział w napadzie morderczym...” (Tego nie znałem nawet z pseudona, bo od nas ostatnio nikt nie wpadł) oraz dwudziestu ośmiu innych. Poniżej czytałem:

„na osobach od 1 do 5 wyrok został już wykonany. Pozostałych skazanych przedstawiono do ułaskawienia. Jeżeli w ciągu najbliższych trzech miesięcy miały miejsce jakiegokolwiek akty terroru lub sabotażu niemiec-

kiego dzieła odbudowy GG, co najmniej dziesięciu z wyżej wymienionych będzie pozbawionych prawa łaski...”

Ludzie w milczeniu czytali afisz. Ani jedno słowo nie padło z ust zgromadzonych. Po ulicach kręą się masy szpiclów i stale chodzi dużo patroli policyjnych, a nawet wojskowych uzbrojonych w nie widywane dawniej pistolety maszynowe. W ogóle z nastaniem października coś się zaczęło psuć. Od paru dni wolno chodzić tylko do siódmej wieczorem. Mam przepustkę i mimo nalegań matki włóczę się stale do dziesiątej. Z nastaniem zmroku ulice pustoszeją zupełnie. Po siódmej chodzą niemal sami mundurowi. Dużo ludzi, nawet mających przepustki, siedzi w domach. Choć nie zgrywam się na chojraka, w duchu śmieję się z nich. Co prawda, po 3 maja 1940 roku do Oświęcimia dostała się masa ludzi zabranych po prostu z ulic (prawie wszyscy mieli papiery w porządku). Niemcy aresztują wszystkich bez wyjątku przechodniów, zwłaszcza po wykonaniu wyroku przez naszych na ulicy.

Za kilka dni pójdziemy na „robotę”, przy której łatwo nas może szlag trafić, a i humor mamy lepszy, i cykorię mniejszą niż przeciętni ludzie, stojący z daleka od wszelkiego ryzyka.

*

Na „tandecie” krakowską w pobliżu dawnej żydowskiej bóżnicy zajechały auta policyjne. Przestraszeni przechodnie poczęli szybko rozchodzić się, ale widząc, że Niemcy nie zatrzymują nikogo, obserwowali ich z daleka.

Kopnięciami i uderzeniami kolb wyprowadzono

z aut trzydziestu zmasakrowanych ludzi, którym rozwiązano ręce i ustawiono twarzami do muru.

— Rany boskie! — przeszedł szmer. — Oni ich będą strzelać!

Tłum zamarł. Nagle kilku skazańców zaczęło uciekać w stronę ul. Krakowskiej. To przyspieszyło koniec; skoszni gradem kul z pistoletów maszynowych padli na mokry beton.

Nie tylko tu, bo i na ul. Wąsowicza, mur na łące przy „Modrzejówce” i tyle innych miejsc z poodłupianym kulami tynkiem...

*

W Warszawie nie lepiej. MBI („Małopolski Biuletyn Informacyjny”) przynosi wciąż wiadomości o wzrastających masowych egzekucjach: „setki ludzi nie chodzi do pracy, dezorganizacja całego życia postępuje naprzód”.

Dokąd to jeszcze potrwa? Kilka dni temu przerobiłem numer fabryczny na rowerze, który niedawno wyciągnąłem z ukrycia, gdzie leżał od zeszłego roku, kiedy to zabierano Polakom prywatne rowery. Po dłuższym namyśle poprosiłem o to znanego mi od pół roku majstra. Historia niezbyt bezpieczna, bo jeśliby się wydało — „koza” za sabotaż murowana. Numer ten musi być taki sam, jak na moim rowerze służbowym, który dostałem z Ernährungu, a lepiej przerobić go na żelazie niż na pozwoleniu, które jest odbite na lichym, wojennym papierze. Każda „robota” i każdy drobiazg muszą być starannie przemyślane. Od kilku tygodni policja granatowa, a zwłaszcza niemiecka, bardzo dokładnie kontroluje i ogląda wszelkie dokumenty. Przerobienie więc numeru 198949 z 22537 na lichym papierze byłoby łatwe do rozpoznania.

Wdałem się z tym majstrem w ostrożną rozmowę na temat publicznych egzekucji. Protestuję przeciw uleganiu terrorowi niemieckiemu, który właśnie jest obliczony na tzw. spokojną część społeczeństwa, na jej zastraszenie, aby nie udzielała swego poparcia Organizacji.

Daremny trud Niemców! Choćby nie wiem ilu najlepszych ludzi wymordowali, na pewno ani koledzy, ani ja nie cofniemy się przed żadną „robotą”, gdy będzie rozkaz! I pójdziemy nawet bez rozkazu, a dla żadnego hitlerowca ani konfidenta nie będziemy mieli litości. Prócz nas pamięta o tym reszta ludzi.

*

Biura firmy Die Komissarische Leitung der Eisenwarengrosshandlung — Salomon Rosenkranz und Co.² mieszczą się na pierwszym piętrze domu przy jednej z wąskich ulic Kaźmierza. Po drugiej stronie znajduje się ruchliwy i gwarny przez cały dzień plac, na który można się również dostać przez sień kamienicy, wychodzącą z drugiej strony na przechodnie podwórze domu, w którym mieści się „Rosenkranz”.

Było pochmurne i mgliste listopadowe przedpołudnie. Przejmujące zimno nie tamowało jednak ruchu miejskiego ani też nie przeszkadzało kręcącym się po placu handlarzom. W sieni domu, w którym mieszczą się biura, kilku szoferów i furmanów załatwiała między sobą rozmaite interesy lub „zabijało” zmarznięte ręce. Ruch był dziś mniejszy niż zwykle, choć dochodziła już jedenasta.

Dwóch chłopców stojących w połowie schodów co chwila spoglądało przez okna na wylot sieni przeciwległej kamienicy.

² Komisaryczny Zarząd Hurtu Towarów Żelaznych.

— Już powinni być — zauważył wyższy, spojrzawszy na zegarek. — Psiakrew, czy ich przypadkiem gdzie nie capli?

— Idą! — odezwał się milczący dotąd drugi.

Środkiem podwórza nadchodziło dwóch młodzieńców. Milcząc uścisnęli sobie dłonie i cała czwórka stanęła przy oknie, zdając się jeszcze kogoś wyczekiwać.

Młody brunet zaciska pięści. „Co będzie, jeżeli coś się wyda? Albo jeżeli...?” Z dołu dochodzą głosy rozmawiających w bramie. „Jeżeli ktoś z nich usłyszy?” Rzuciwszy spojrzenie na poważną twarz dowódcy, szybko uspokaja się. Podobne wątpliwości mają zapewne i koledzy.

„Co jest do jasnej cholery — huczy w niejednej głowie — zaspali czy co?”

Wreszcie są.

Po schodach wchodzi dwóch chłopców.

— Była obława na Karmelickiej — meldują cicho.

— W porządku. Zaczynać tak, jak ustalone.

Czterej młodzieńcy z rękami w kieszeniach wchodzą powoli w białe drzwi z zielonym szyldem: „Eisenwarengrosshandlung, Salomon Rosenkranz und Co, Kommissarische Verwaltung in Krakau”. Brunet zauważa na dole szyldu napis: „Laszkiewicz, Krakau”. Przeszedłszy mały przedpokój, pierwsza dwójka podchodzi do kasy, druga zaś, stojąca przy wejściu, nie spuszcza oka z dwojga drzwi wiodących do dalszych lokali biura. Przybycie ich nie wzbudza w pustawym pokoju zbyt dużego zainteresowania.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytuje uprzejmie młoda, przystojna kasjerka.

— Proszę być cicho i nie ruszać się ze swego miejsca! — odpowiada twardo przyciszonym głosem jeden



PRZEGLĄD POLSKI

Rok IV.

10 listopad

Nr 138

CZWARTA ROCZNICA.

Padają na ziemię martwe, rzótkie liście, a na bezkresnych rubi... Kosji marzanie w lodowatym deszczu niemiecki żołdak bez nadziei zwycięstwa ni powrotu. Tembardziej, że nad światem zabrzmiała radosna fanfara głosząca afrykańskie zwycięstwo aliantów.

Dla nas Polaków dzwięczy ona najgłośniej, co my dwukrotnie w miesiącu listopadzie powstali do zbrojnego czynu. Dawno to było, gdy na pokoje krwawego tyrana ks. Konstantego wdzierała się garstka szaleńców z Wysokim na czele, gdy powstał nasz hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”! To Powstanie 1831 r!

A oto inny listopad rok 1918 W Rzeszy rozkład wewnętrzny, głód i niedobory, komunisci i spartakiści, zwątpienie w zwycięstwo, dezorganizacja w wojsku. Złamana buta teutońska na warszawskim stole p uska twarda pięść podpisuje warunki pokoju. Nie wesóły doprawdy ten niemiecki listopad... Warsz. węg. dumne, nieugięte miasto chykiem opuścił gen. Beseler Żołnierze niemieccy i austriacy wszędy składają broni i amunicję w ręce nowo sformowanej siły zbrojnej polskiej, w ręce polskiej młodzieży eo na pierwsze wezwanie stanęła do szeregów.

I w wspomnieniom tych naszych zrywów do wolności poświęcał'smy te wszystkie nasze następne rocznice, jakże radosne, podniosłe! Żołnierz Polski maszerował ulicami miast i miasteczek, budził radość w naszych sercach i ufność, że w chwili niebezpieczeństwa On będzie ostoją Narodu i Państwa. Nie zawiodłeś nas zary Żołnierz! Cień w tragicznych dniach wrześniowych spadła na ciebie brzyźka za cierucha, choć

Obwieszczenie!

Następujący Polacy skazani przez Sąd doraźny za napady bandyckie i mordercze i posiadanie broni palnej na karę śmierci zostali dnia 2-go marca 1944 r. w Gillowitz powiat Saybusch publicznie na szubienicy straceni:

1. Biernat

Jan, Ogrodnik, urodz. dn. 24. 4. 1886 w Rychwałd, pow. Szybusch, zam. w Rychwałd-Obzyny nr. 186.

Udowodniono, że dał bandytowi „Jęła”, mordercy zaradca, w jego domu przytułek.

2. Gąsiorek

Wincenty, karcz, urodz. dn. 20. 1. 1899 r. w Lenkowitz, pow. Szybusch, zam. w Rychwałd-Obzyny 244.

Udowodniono i zeznał, że po zamordowaniu tych dwóch zaradców przyczynił się mordercom radą i pomocą.

3. Laszczak

Kazimierz, urodz. dnia 4. 9. 1902 r. w Krakowie, od roku 1941 bez stałego mieszkania.

Udowodniono i zeznał, że jako bandyta popełnił powtórnie ciężką kradzież i zbrodniarstwa wojenno-gospodarcze.

4. Raczek

Andrzej, pakownik, urodzony dnia 24. 9. 1892 w Rychwałd, zamieszkały w Rychwałd nr. domu 71.

Udowodniono, że znał taj przy morderstwie udział biorącą bandę i dał im w swoim domu przytułek.

5. Sikora

Jan, urodz. dnia 16. II. 1923 w Mesznej pow. Bielsko, zam. w Mesznej pow. Bielsko.

Udowodniono i zeznał, że był członkiem i werbowcem drapieżnej grupy bandyckiej. Ponadto zawiązał się za ukrywanie.

6. Drong

Alexander, urodz. dnia 5. 2. 1911 w Bielsko-Wschód zam. w Trzasku pow. Bielsko Nr. 472

Udowodniono i zeznał, że innymi zbrodniarzami popełnił napady drapieżne i włamała kradzieży przy użyciu broni palnej.

7. Gawlik

Ludwik, urodz. dnia 5. 7. 1917 w Denkendorf pow. Bielsko zam. w Denkendorf pow. Bielsko Nr. 28

Udowod. że innymi zajmował się w Beskidach jako rabczyk. Powtórnie zawiązał się za spier przeciwko mocy państwa i zamiar ucieczki.

8. Wrona

Józef, urodz. 4. 12. 1912 w Baczkowicach pow. Bielsko zam. w Baczkowicach pow. Bielsko Nr. 272

Udowodniono i zeznał, że od roku 1943 przebywał w drapieżny sposób w Beskidach.

9. Mrowiec

Michał, urodz. dnia 20. 9. 1891 w Zywcu, zam. w Zywcu, Verberthungsweg nr. 16.

Udowodniono i zeznał, że przebywał jako rabczyk w Beskidach, popełnił robie zbrodniarstwa i wyrabiał środki wybuchowe.

Wymienieni powyżsi w Beskidach i pow. Żywieckiem swę nadużył i przez ciągłe napady bandyckie na spokojną ludność niemiecką i polską, tenże i niepokoi.

Tego rodzaju gwałty pobliższych zbrodniarzy są scigane bezwzględnie i z całą wskazaną surowością.

Kto dowie się o zamiarze czynu, skierowanego przeciwko Niemcom lub organizacjach akompirowanych a nie skutecznie o tym doniesienia, musi się liczyć z temi samymi represjami, jakie grożą stracy samemu. Każdy musi jasno sobie zdać sprawę z tego, że nie donosząc o takich zbrodniach, szkodzi sobie i swej rodzinie. Kto natomiast wobec władz niemieckich lojalnie spełni swe obowiązki, może liczyć pewnie na ich ochronę.

Katowitz, dnia 2-go marca 1944 r.

Geheime Staatspolizei

Staatspolizeistelle Kattowitz



14. Obwieszczenie gestapo o wykonaniu kary śmierci na Polakach (obok)

15. Winieta „Placówki”, pisma z cyklu z „książką i szabelką”

TAK NAP



DOPOKOŁ

B O G I

PLACÓWKI

Rok I.

2. Kolonia 24

№ 5



Do pracodawców.

Wiemy dowodnie, że znaczna część przedsiębiorstw polskich prosperuje dziś bardzo dobrze. Wiele z nich poczyniło inwestycje. Właściciele pozbyli się długów i pomimo wystawnego życia zdolali skapitalizować znaczne sumy we wszelkiego rodzaju walorach.

Korzystają oni z pracy robotnika przymusowego, pozbawionego nie tylko wolności żądań, ale nawet indywidualnego porzucenia pracy i to pod groźbą wywiezienia do Niemiec. Przedsiębiorcy w ten sposób dla zysków własnych wykorzystują najbardziej bestialskie zarządzenia okupanta.

I oto ludzie ci, którzy wszystko dla siebie zdobyć umieją, nagle stają się bezradni, gdy chodzi o zabezpieczenie niegodnego życia tym, którzy te zyski tworzą. Wtedy nagle na przeszkodzie stoją przepisy o płacach i maksymalnych cenach, które obchodzi się co dzień dla siebie.

Tę sytuację położyć trzeba kres. Zwracamy się do przedsiębiorców z bezwzględnym nakazem przeprowadzenia natychmiast rewizji płac i zapewnienia pracownikom zarobków odpowiednich do kosztów utrzymania. Organy nasze zostały powołane do przeprowadzenia najściślejszych dochodzeń w tej dziedzinie i pilnowania wykonania tego nakazu z całą bezwzględnością.

Kto wyszukuje łajdackie zarządzenia okupanta dla osobistych zysków z pogwałceniem zasad sprawiedliwości elementarnej, skazując na głód i wyniszczenie polskiego robotnika, popełnia przestępstwo przeciwko Państwu i zasługuje na karę nie jutro, w przyszłości, ale dziś.

I karę tę wymierzyć będziemy z całą bezwzględnością na jakę zasługują ci, co niszczą w okresie wojennym żywe siły Narodu.

Marzec 1944 r.

**Okręgowe Kierownictwo
Walki Podziemnej.**

16. Ostrzeżenie Kierownictwa Walki Podziemnej skierowane do pracodawców



z przybyłych. Jednocześnie ukazały się lufy czterech rewolwerów.

— Aaa! — przeszedł po pokoju szmer zdumienia połączonego z przerażeniem.

— Proszę tam stanąć i nie ruszać się! — komenduje szatyn w stronę trzech zmartwiałych z przerażenia urzędników. — O tak, odwróćcie się do ściany. Nic wam nie zrobimy, jeżeli będziecie spokojni.

Sterroryzowani mężczyźni stoją cicho pod ścianą. Jeden z nich podniósł nawet z własnej gorliwości ręce do góry, co wywołało nieznaczny uśmiech komenderującego.

— Wiara, do roboty!

Paczki banknotów i nowo zaprowadzonych przez Niemców „eisenpunktów”³ z błyskawiczną szybkością znikają w teczkach. Czują uznanie dla nie ukazującej przestraszu kasjerki.

W tej chwili wchodzi do pokoju jakiś urzędnik i blednie na widok rewolwerów.

— Niech pan będzie cicho i stanie tam!

Tymczasem napełnianie teczek ma się już ku końcowi. Kasa została „zrobiona na czysto”.

— Może panowie dadzą mi jakiś kwit na to? — odzywa się nieoczekiwanie kasjerka.

Młody dowódca kiwa z uznaniem głową.

— Ależ, proszę bardzo. A na ile?

— Czterdzieści tysięcy — pada odpowiedź.

Szybkim, choć nie nerwowym pismem wypełnia kartkę.

— Proszę.

Obaj chłopcy z teczkami są już na dole. Brunet z szatynem szybko wychodzą.

³ Talony na towary za dostawę złomu żelaznego.

— Udało się, stary! — trąca brunet kolegę. Wyszli przez przechodnią bramę i szybko przemierzają plac Św. Wojciecha. Pozostali odeszli w ul. Sosnową.

— Ale tam teraz musi być bajzel — uśmiecha się szatyn.

— Jak przy podkurzaniu ula...

Wchodzą w następną ulicę, przyspieszają kroku. Bystre oczy bruneta dostrzegają w pobliżu bramy nr 12 na placu jakieś poruszenie. Widać granatowe mundury. Koledzy znikają w następnej przechodniej bramie.

Tymczasem biuro, według przewidywań szatyna, przedstawia istotnie widok podobny do wzburzonego ula. Podniecone grupy z ożywieniem dyskutują nad niedawnym napadem. Dzwonią telefony. Zawiadomiono już pobliski komisariat policji, który obstawił okolicę i legitymuje przechodniów. Oczywiście, na próżno. Tak zwani „polnische Banditen” po wykonaniu zadania wchodzą właśnie do meliny.

Na ul. Radomskiej 8 wściekły komisarz Niemiec, z rewolwerem w ręce, goni po wszystkich piętrach.

27 listopada 1943

Myślę teraz dużo nad tym, jak ułoży mi się życie w najbliższej przyszłości. Zaszły pewne zmiany, dzięki którym przypuszczam, że moje zamiary poświęcenia całego wolnego czasu Organizacji mogą nabrać realnych kształtów. W ostatnich dniach przeszedłem lekkie zapalenie płuc, które zresztą już minęło, ale w miejscu pracy przypuszczają, że jest ze mną gorzej niż w rzeczywistości. Myślę, że będę mógł uzyskać jakieś dwa miesiące urlopu. Zachowam oczywiście legitymację, która jest respektowana nawet przez policję niemiecką, a po

dwóch miesiącach zdołam chyba wystarać się o inne dokumenty.

Mając chwilowo (na „świat” wyjdę dopiero pojutrze) wolny czas, wyciągnąłem otrzymaną w lecie od Michałskiego maszynę i zacząłem ćwiczyć się w pisaniu na niej. Aby zaś nie było to bezmyślne wystukiwanie: as, as, as lub sos, sos, sos, zabrałem się do pisania dawno planowanej książeczki z nader „słonymi” dowcipami. W ten sposób łączę przyjemne z pożytecznym i od przedwczoraj rana, z zapalem godnym lepszej sprawy, piszę to „dzieło”. Konstruowanie nieprzyzwoitych anegdotek i żartów idzie mi nadspodziewanie łatwo i wymyśliłem ich w ciągu paru dni przeszło sto. Książeczkę tę zatytułowałem: *Dobry żart tynfa wart!*

Dziś odwiedził mnie „Berg”, z którym nie widziałem się od ostatniej „grandy”, tuż przed moją chorobą. Przyniósł mi coś ciekawego. Mianowicie, kilka dni temu ukazał się pierwszy numer — jak to obecnie modnie się określa — podziemnego pisma humorystycznego „Na ucho”. Podobno w Warszawie robiono coś takiego już w roku 1940, potem wszystko ucichło⁴. „Na ucho” wydawane jest na powielaczu i posiada dobre karykatury oraz wierszyki i dowcipy polityczne. Jerzy, zobaczywszy będące już na ukończeniu moje „dzieło”, zaproponował mi, abym spróbował wymyślać takie wice polityczne, to może coś z tego wydrukują w „Na ucho”, z którego redakcją ma kontakt.

Do licha, to by warto spróbować! Dowcipy niepolityczne nie sprawiały mi trudności, więc i polityczne po-

⁴ „Na ucho... Tygodnik Satyryczno-Humorystyczny”. Wydawały go w Krakowie Szare Szeregi w okresie od czerwca 1943 do stycznia 1945 roku. W Warszawie nie ukazywał się.

winni przyjść z łatwością. Jeden egzemplarz *Dobrego żartu...* dałem na pamiątkę „Bergowi”. Powiedział, że pokaże go „Bardowi”⁵, który pisuje dla „Na ucho”.

*

Leżące na stole gazety na pierwszy rzut oka nie odznaczały się niczym szczególnym. Czerwony nagłówek „Goniec Krakowski”, pod tym data, adres redakcji oraz warunki prenumeraty. Również odwrotna strona z daleka nie wyglądała ciekawie. Chłopiec bez zainteresowania popatrzył na nagłówek szmatławca niemieckiego i już miał spytać kolegę, dlaczego polecał mu dokładnie oglądać gazety, gdy przyjrzał się uważniej artykułom na pierwszej stronie i zrozumiał. Tytuły wyglądały zupełnie normalnie: *Nie ma Europy bez Wielkich Niemiec*, *Stan zdrowia kardynała Hlonda ranionego przez Anglików*, *Wysoka cyfra strat angielskiej marynarki handlowej*, dziwił jednak inny krój czcionek. Treść artykułów nie odpowiadała tytułom i obwieszczała: „Premier Churchill wygłosił przemówienie do Narodu Polskiego, w którym podnosi bohaterstwo Armii Polskiej i zapowiada, że dzień wolności już bliski...”

Chłopiec czytał ze wzrastającym zainteresowaniem.

— Do licha, wspaniały pomysł — mruzczał chwilaми — całkiem jak „Biuletyn” albo „Dziennik Polski”.

W środku gazety znajdowało się kilka zdjęć przedstawiających Wojsko Polskie „po tamtej stronie” oraz wiadomości o nim, o flocie i marynarce na emigracji, a także o oddziałach partyzanckich w kraju. Ostatnia strona „Gońca” mogła rozśmieszyć nawet najbardziej ponurego osobnika. Normalnie zajmują ją ogłoszenia,

⁵ Pseudonim Eugeniusza Kolanko, o którym autor wspomina na s. 38.

tu były one również. Rysunkami i pierwszym słowem pisanym tłustymi literami łudzaco przypominały one rzeczywiste, choć nie były bynajmniej wydrukowane na ul. Wielopole (Poststrasse) 1:

„BIŻUTERIĘ żydowską oczyszczoną z krwi sprzedaje — Amon Goeth, komendant obozu żydowskiego w Płaszowie” — brzmiało ogłoszenie na wzór reklamy hurtowni sztucznej biżuterii.

„POSZUKUJEMY wariatów, chcących znaleźć śmierć od bomb angielskich, na wyjazd do roboty do Rzeszy, Krakau, Burgstrasse 60” — widniało ogłoszenie á la instytucja werbująca ochotników na roboty do Niemiec.

„SZOFER z wykształcenia, sadysta z zamiłowania — Dr Wächter, gubernator okręgu krakowskiego”.

„NIEMOWLETA w gettcie zabijam od jednego strzału, a po pijanemu wykrywam spiskowca w każdym Polaku — Joachim Thum, Baudienstinspektor 6, Krakau-Prokocim, baraki”.

„ZEGARKI męskie i damskie, wyroby ze srebra, banknoty, jedwabie, futra i tłuszcz zabieram — Heine-meyer, SS-Obersturmführer III A, ul. Pomorska 2”.

„MEBLE niaryjskiego pochodzenia sprzedają tylko nordykom — Möbelverwaltung Krakau”

oraz „drobne ogłoszenia”:

„GWARANTUJĘ — Rzeszy nietykalność przez bom-bowce angielskie — Herman Goering”.

„AKUSZERKĘ biegłą w wykonywaniu skrobanek poszukuje Deutsche Blitzmädel, Krakau”.

„ŻYLETKI Toledo fabrykuje znany bandyta i kat Polaków Beckmann Kurt, ul. Parkowa.

⁶ Inspektor Służby Budowlanej.

„KLESZCZY ginekologicznych do porodu Wielkich Niemiec poszukuje Adolf Hitler, Berlin”.

„ZGINEŁA suczka, wabi się Viktoria, odprowadzić za wynagrodzeniem, Frau Mündner, Czarodziejska 55”.

„POWIEKSZAM trzykrotnie wymiona krów. Stadtleiter Ulrych, Starostwo Powiatowe” (skurwysyn, aby nie pójść na front, sfingował napad na siebie, za co znów niedawno poszło 10 Polaków).

Matrymonialne:

„CZTERY młode Polki, konfidentki gestapo, nawiążą znajomość z Polakami, najchętniej z członkami organizacji podziemnych: Helena Roth, Irma Planicer, Kamila Fircher, Charlotte Teller”⁷.

Czytający uśmiechał się do kolegi.

— Psiakrew, świetny pomysł z tymi kapusiami — rzekł, czytając dalsze nazwiska i adresy konfidentów. — Ma „góra” łeb na karku...

*

Lewy numer „Gońca Krakowskiego”, sprzedawany w Krakowie przez nie wyglądających na zawodowych gazeciarzy jegomościów, w południe 1 grudnia 1943 roku, wywołał poruszenie wśród społeczeństwa, podobnie jak szereg innych przejawów działalności Polski Podziemnej.

Zawada schował otrzymany od „Jima” spis bram przechodnich, opracowany niedawno z nakazu „góry”,

⁷ Teksty podane przez autora wykazują w szczególności pewne różnice w stosunku do tekstu oryginalnego. Faksymile ostatniej strony dywersyjnego numeru „Gońca Krakowskiego” zostały opublikowane w wydawnictwie *Satyra w konspiracji 1939—1944* pod red. Grzegorza Załęskiego, Warszawa 1958, wyd. II.

i pożegnawszy się ze Świerczyńskim poszedł do domu. Był mroźny, lecz pogodny grudniowy dzień. Chłopiec szedł szybko, bacznie obserwując otoczenie. Od dwóch tygodni należało szczególnie uważać, mając coś przy sobie, gdyż policja rozpoczęła masowe rewizje uliczne. W pewnej chwili Roman zawrócił; z daleka dostrzegł zielonego policjanta z pistoletem maszynowym w ręce, pilnującego rewidowanego właśnie przez innych kamratów przechodnia. Skręciwszy za róg, odetchnął. Po chwili przystanął, odczytując starą listę egzekucyjną z dnia 23 XI 1943. Przypadkiem zapamiętał sobie ostatnie nazwisko (a więc nie rozstrzelanego, gdyż zwykle mordowano tylko pierwszych 10—20). Brzmiało ono: „28. Sławomir Migąła z Krakowa — za udział w przygotowaniu zamachów”.

Rozdział XIV

Roman pisał na małej maszynie, od czasu do czasu z uśmiechem spoglądając na rosnący stos instrukcji i wykazów bram przechodnich. Czas mijał szybko i monotonnie tykający zegar wskazywał już 20 minut po godzinie policyjnej, gdy nagle piszący poderwał się z miejsca i gorączkowo jął chować papiery, ostry terkot elektrycznego dzwonka przynaglał go w pracy. Uporawszy się z kompromitującymi szpargałami, podszedł do drzwi.

— Kto tam? — zapytał niepewnie. (Od czterech lat każdy dzwonek do drzwi polskiego mieszkania mimo woli denerwował obecnych.)

— Ja, Jerzy!

— A serwus, cześć, co się stało? Czy wpadł ktoś?

— Niestety — odpowiedź Jerzego potwierdziła przypuszczenie Romana.

— Niejaki „Kozak”, bardzo morowy chłop. Dziś rano przyszli po niego do domu, a zna moje nazwisko...

— Nie wiesz, za co?

— Nie. Jestem pewny, że mnie nie wsypie, no, ale rozumiesz... Można się przespać u ciebie?

— Ależ oczywiście, stary, choćby i miesiąc.

— Słusznie — zauważyła matka Romana — z tymi sprawami nigdy dosyć ostrożności. Lepiej odczekać nawet parę tygodni.

— Tyle nie potrzeba, proszę pani, bo za jakieś trzy

dni będę się mógł dowiedzieć przez jednego jęgomościa, za co i na jaki temat go przesłuchiwali.

— All right, stary! — odparł Roman. — Chodź, bo kolacja stygnie.

Po kolacji Roman wręczył Jerzemu kilka swoich nowych dowcipów politycznych, które ten schował, obiecując dać „Bardowi”.

— Masz, przeczytaj sobie — powiedział Jerzy, wręczając Zawadzie najnowszą prasę.

Chłopiec zagłębił się w czytaniu „Watry”¹. Nowo powstały tygodnik omawiał raczej sprawy artystyczno-literackie, przeplatając je wiadomościami z radia londyńskiego. Podobnie jak i w „Przeglądzie Polskim”, była w „Watrze” rubryka pt. „Na froncie Podziemnej Polski”, zawierająca opisy różnych wyczynów Organizacji.

Pionowa zmarszczka przecięła na moment czoło Romana czytającego felieton, który zawierał opis nieudanego, z powodu zacięcia się pistoletów, zamachu na konfidenta. Następnie wziął do ręki inne gazetki.

Schowawszy prasę, obaj koledzy poszli spać. W małym pokoju raz po raz rozbrzmiewały jeszcze wybuchy wesołego śmiechu Jerzego, którego Roman na dobranoc poczęstował wyuczonym przed wojną na pamięć wierszykiem o pewnej nader namiętnej i kochliwej królownie.

10 grudnia 1943

„Berg” wrócił przedwczoraj do swojej meliny, tj. w tym wypadku do mojego mieszkania, przed ósmą.

¹ „Watra. Pismo Młodzieży Polskiej”. Związany z AK dwutygodnik społeczno-polityczny, wydawany w Krakowie w okresie od czerwca 1943 do kwietnia 1944 roku.

Byłem tym nieco zdenerwowany, ponieważ miał zobaczyć kolegów z Organizacji w paru miejscach, a nie wiadomo, czy tam nie siedziało w mieszkaniach gestapo.

Jak przypuszczałem, na razie nie dowiedział się, za co „Kozak” został aresztowany, ani też czy był już przesłuchiwany. Może dopiero jutro dowie się czegoś. Jerzy przyniósł najnowszą prasę, między innymi piąty numer „Na ucho”. Czytając, doznałem przyjemnego wrażenia, bo oto przeczytałem własne dowcipy.

Były to moje wice, które „Berg” kilka dni temu posłał do „Na ucho”. To jest ciekawe wrażenie po raz pierwszy widzieć się w druku i mieć świadomość, że to samo czyta równocześnie szereg nie znanych mi ludzi, choćby moje wyczyny piórem, przepraszam — maszyną (ale tym razem na odmianę: maszyną do pisania, a nie do strzelania!), nie były nawet zbyt udane.

Jerzy opowiadał, że „Bard” przez cały czas czytania mojego „arcydzieła” (pokazał mu także *Dobry żart...*) trzymał się za brzuch ze śmiechu. Oczywiście, wbija mnie to w pychę. Spróbuję jeszcze coś napisać do „Na ucho”.

Wczoraj zabawiłem się przypadkiem w Sherlocka Holmesa. „Berg” szedł do miasta, a ponieważ sam miałem dostarczyć instrukcję „Jimowi”, więc waliliśmy razem.

— Słuchaj, stary — zwrócił się do mnie w pewnej chwili, gdy szliśmy ul. Prądnicką — zejźmy na moment w tę uliczkę, bo nie chcę, żeby mnie ten typ zauważył.

Spełniłem jego życzenie. Przeciwną stroną szedł niski mężczyzna o znajomej mi twarzy. Mam! On jest mieszkańcem Prądnika Białego albo Olszy. Równocześnie niemal przypomniałem sobie kilka słów „Berga”,

artykuł z „Watry”, chęć Jerzego, aby nie zostać zauważonym przez tego przechodnia — i nagle doszedłem do pewnych wniosków. Tak! Myślę, że się nie mylę. Zraz sprawdę.

Powiedz no, stary — zwróciłem się wprost do przyjaciela, gdy wróciliśmy na Prądnicką — dlaczego to zacięła ci się maszyna, kiedy kropiliście Fiebicha?

Położyłem wyraźny akcent na słowo „ci” i „Berg” nie zaprzeczył.

— Człowieku, skąd wiesz, że ja byłem na tej „robocie”? — zapytał, a w jego szarych oczach dostrzegłem coś w rodzaju podziwu.

— „To mój fach, drogi Watsonie — odrzekł na to Sherlock Holmes” — jak napisałby Conan Doyle. — Roześmiałem się i przedstawiłem mu przebieg rozumowania metodą dedukcyjną.

— No, no, no — pokiwał głową w odpowiedzi.

Choć wiemy dużo o sobie, nasze wiadomości ograniczają się do rzeczy, których nie da się już przed sobą ukryć. Nie jestem wcale zbyt ciekawy i ta cała zabawa w „metodę dedukcyjną” była raczej przypadkiem. Powinno się jak najmniej o sobie wiedzieć, bo w wypadku aresztowania nie można ręczyć, czy wytrzyma się tortury i baty.

19 grudnia 1943

Zapada zimowa noc. Mrok spływa na zmarzniętą, nie pokrytą jeszcze śniegiem ziemię. Z okna widać szarą rozległą płaszczyznę z pozamarzniętymi kałużami. Patrząc przez chwilę na niknący coraz bardziej widnokrąg. Księżyc wszędzie dopiero za jakieś dwie, trzy godziny,

a na razie będzie panował nieprzenikniony mrok. Cisza panuje dokoła jak na wsi. Nie dochodzi tu gwar miasta i tylko czasem szczekanie psa przerywa słyszany wyraźnie szum krwi w skroniach. Pobliskim gościńcem przesuwają się z rzadka transporty wojskowe lub przejeżdżają chłopskie wozy.

W zupełnie innym nastroju wpatrywałem się w ten widok rok temu. Rok, bo niedługo rocznica mego wstąpienia do Organizacji. Kim i czym właściwie byłem wtedy? Zwykłym młodym chłopcem, nie znającym prawie zupełnie życia, myślącym niemal wyłącznie o szkole i czasem... o dziewczynkach. Nie miałem żadnych poważniejszych planów — a dziś?

Niedawno chciałem spytać „Berga”, czy miałbym (choć brzmi to trochę patetycznie i jest wzięte z gazetki) prawo razem z kolegami nazwać się Żołnierzem Polski Podziemnej? Mamy już wszyscy za sobą parę „hec”, za które można zdrowo beknąć, a na przyszłość mam osobiście pełno projektów dotyczących się „roboty”. Czy są to wystarczające kwalifikacje na tę zaszczytną nazwę, cenioną przez nas więcej od wszystkich innych? Lecz mniejsza z tym. Wyrazów: Polska, Ojczyzna, Podziemie, Honor, Naród, nie używają ani koledzy, ani ja niemal nigdy. Są to mocne słowa i powinno się myśleć o nich tylko w chwili strachu czy zwątpienia, wówczas odnoszą wręcz magiczny skutek.

Światło lampy elektrycznej zaledwie ogarnia biurko. Reszta małego pokoju o zaciemnionym oknie tonie w półcieniu. Za oknem wyje mroźny grudniowy wicher, tworząc rażący kontrast z zacisznym, choć niezbyt ciepłym mieszkaniem. Sucho trzaskają czcionki. Przepisują teraz *Tymczasową instrukcję na czas działań wojennych*. Są to wytyczne naszej przyszłej pracy, bo

o bieżącej można by napisać trochę więcej. „Wyposażenie patrolu jest następujące: samochód osobowy lub półciężarowy z wbudowanym radioodbiornikiem . . . patrol redaguje codzienny biuletyn dla wojska i ludności cywilnej pasa operacyjnego o sytuacji na froncie”.

— Słuchaj, stary, wydawanie biuletynu to musi być niełatwa rzecz?

— Nie martw się, będzie kurs propagandowy. „Żołnierz patrolu propagandy musi nawet w najcięższych momentach walki pamiętać o swych obowiązkach fotografa i reportera”. — Trudno będzie o tym pamiętać, gdy będziemy myśleć o młóceniu Niemców. „Wszyscy członkowie patrolu są uzbrojeni w kbk, pistolety i granaty”. — Szkoda, że nie w armaty, ale dobre i to... „Organizowanie możliwych w warunkach polowych rozrywek”. Jeszcze parę kropek i nowa partia instrukcji jest zakończona. Zegar wskazuje za kwadrans drugą. Gaszę światło i idę spać.

*

Panująca od kilku dni odwilż zaległa błotem ulice. Wszędzie unosiła się lepka przejmująca mgła. Z zaciemnionych, lecz przeblyskujących gdzieś czerwienią okien podmiejskiej restauracji buchał raz po raz pijacki śmiech. Roman wszedł do szynku.

— Hm — pomyślał — warto by wypić na rozgrzewkę, gdyby nie to, że jestem zdecydowanym antyalkoholikiem. Zapłaciwszy z góry szynkarzowi, podszedł do wiszącego w kącie telefonu. Nakręcił numer.

— Hallo! — zawołał do słuchawki („nie zgłaszać się słowem »hallo« zabrania przepis Deutsche Post

Osten”) — czy tu... Czy można prosić pana Bieńkowskiego?

— Nie było go ani wczoraj, ani dziś w biurze. Nie przysłał też usprawiedliwienia — zachrobotało w słuchawce, po czym nastąpił charakterystyczny trzask przerwane połączenia.

Zakławszy pod nosem, Zawada wyszedł z szynku i wsiadł na swój rower. — Może być ładny bigos — myślał jadąc do miasta. „Berg” napomykał coś o „robocie” dzisiaj, nie, wczoraj! A jeżeli dotychczas nie wrócił do biura? Ech, lepiej zaryzykować, niż być w niepewności. A może po prostu to sprawa z „Kozakiem”? — To trudniejsze niż „roboty” — pomyślał chłopiec, zbliżając się do ulicy, na której mieszkał Jerzy. — Jakby siedzieli u niego w domu, to może być źle!

Zwolnił tempo jazdy. Z daleka widać znajomą kamienicę. Bacznie obserwuje okolicę, ale nigdzie nie widać stojącego auta ani kręcącego się cywila. Zajechawszy przed dom, postawił rower obok schodów, gdy nagle metr od niego rozległ się ostry trzask — trrrrach!

Szybko ogłędnął się w pustej sieni. Duchy? Albo może złudzenie, czy co? To tylko głośny trzask zamkniętej przez wiatr bramy. Czego to wyobraźnia nie wymyśli!

Pokręciwszy się na schodach i dyskretnie wypytawszy sąsiadkę, zadzwonił do mieszkania. Niepokój znikł. W drzwiach stanęła matka Jerzego. „Berg” siedzi przy stole.

— Serwus, stary, myślałem już, że cię szlag trafił!

— Jak widzisz, nie. Co słychać?

Zawada zagłębił się w czytaniu najnowszego MBI

„Sąd Specjalny w Kraju skazał na karę infamii: Pawłaka Ludwika, inżyniera z Wytwórni Sygnałów Kolejowych na Dąbiu, za szykanowanie Polaków i służalczość wobec Niemców. Grendową Józefę, żonę sierżanta WP, zam. al. 29 Listopada, nr 81, za utrzymywanie stosunków z rodziną niemiecką i bezmyślne gadulstwo na szkodę Polaków ... Minister Jan Kwapiński zgłosił w »UNRRA« (komisja odszkodowań strat wojennych) zapotrzebowanie Polski na maszyny i siłę roboczą z Niemiec... Wiadomości z frontu we Włoszech... Nakazy chwili...”

— Dziękuję, stary, masz go z powrotem.

Po chwili rozmowy z „Bergiem” Zawada dowiedział się o planowanej „robocie”. W tym wypadku miało to być nalepianie małych afiszów.

— Pójdziemy we trzech z „Wulkanem”.

— Fajno, stary, wiesz, że my na to — jak na lato!

— Trzeba będzie iść raczej rano, dlatego że wieczorami jest teraz za wielki ruch. No, a rano o piątej wolno chodzić, a nie świecą się lampy.

W dalszej rozmowie uzgodnili rozmaite szczegóły techniczne współpracy w „dziele odbudowy GG” i wtedy po raz pierwszy zastanowili się nad możliwością skombinowania sobie powielacza. Był to jednak na razie odległy projekt; dzisiejszy wieczór postanowili wyzyskać w inny sposób. Zawada usiadł wygodnie na krześle i wzięwszy do ręki pióro rysował coś na papierze. Po upływie pół godziny „Berg” czytał: „Śp. Adolf Łajdak, przeżywszy lat 54, po krótkich a ciężkich cierpieniach zmarł na trafienie szlaku dnia 18 XII 1943 r., opatrzony SS-sakramenckimi. Wyprowadzenie zwłok ze zburzonego domu żałoby odbędzie się w Berlinie dnia 21 XII 1943 r. przy muzyce RAF-u, o czym za-

wiadamają niemieckie skurwysyny. Zakład pogrzebowy KWP² w Krakowie, ul. Nieznana 777”.

— Ha, ha, ha, stary draniu, ładnieś to wymalował! Warto by to zaraz nalepić na jakimś kościele.

— Możemy nawet teraz, bo mgła...

— Wyszli na ulicę.

21 grudnia 1943

Sprawa mojego Baudienstu jest jeszcze do dziś nie wyjaśniona. W czasie choroby, w połowie listopada, dostałem wezwanie, ale oczywiście nie zgłosiłem się. Posłaliśmy tam natomiast zrobione teraz po chorobie moje zdjęcie rentgenowskie i spróbuję się wymigać od tej „przyjemności”. Sprawa wałkuje się już od przeszło miesiąca, gdyż skierowano mnie na dokładne badania w Ubezpieczalni. Przypuszczam, że uda mi się wykręcić. Wezwanie do Baudienstu dostali także Studziński i „Wulkan” (są z roku 1926), a obaj zdrowi jak konie. Czasem i choroba może się na coś przydać.

W miarę powrotu do zdrowia (dostaję zastrzyki z wapna, a wolno mi nawet jeździć na rowerze) rośnie chęć coraz intensywniejszej pracy dla Organizacji. Rozumiem pod tym nie „robotę” od czasu do czasu, a potem długo nic, ale pracę stałą i codzienną. Niestety, wyroków i napadów wykonuje się teraz bardzo mało,

² Kierownictwo Walki Podziemnej. Wspólny organ powstały w lipcu 1943 roku z połączenia działającego dotychczas przy Delegaturze tzw. Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC) i podległego AK Kierownictwa Walki Konspiracyjnej. Celem KWP było koordynowanie wysiłków i kierowanie całością walki z okupantem. Na jego czele stał Komendant Główny AK, wówczas już gen. Tadeusz Komorowski „Bór”.

ponieważ nakaz zbiorowych egzekucji Polaków rozciągnięto również za likwidację konfidentów i policję granatową. Uspokojeni tym kapusie spacerują wciąż po mieście. W Warszawie zwłaszcza masakry przybrały takie rozmiary, że dalsze akcje Organizacji na wielką skalę zdyskredytowałyby ją tylko w oczach ogółu³. Matka w zasadzie nie sprzeciwia się Organizacji, ale bardzo często namawia mnie, abym się z niej wycofał. Obawia się o moje zdrowie i o to, aby to wszystko nie skończyło się w Oświęcimiu. Chwilami denerwuje mnie to, gdyż takie perswazje nie są niczym przyjemnym. Jednakże czuję, że słuszność jest po mojej stronie i nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Do diabła, matce nie przysięgałem przecież posłuszeństwa, a u nas „chwiejów” nie potrzeba!

Mamy teraz nowe plany. Robert, zdaje się, za kilka dni przestanie pracować tam, gdzie dotychczas, i zaraz po świętach przeniesie się do koszar Baudienstu, mieszczących się w barakach w Prokocimiu. Studziński pracuje w jednej z niemieckich instytucji, ma on tam do-

³ Wniosek autora nie znajduje pełnego uzasadnienia. Mimo odbywających się na ulicach Warszawy od połowy października 1943 roku masowych publicznych egzekucji, których ofiarą padło około 2 tysiące osób (według oficjalnych niemieckich obwieszczeń), już od grudnia trwały przygotowania do zamachu na gen. SS i policji Franza Kutschere, co było niewątpliwie akcją na wielką skalę. Na krótko zaś przed sporządzeniem przez autora powyższej notatki zgładzony został zaciekły hitlerowiec, kierownik warszawskiego Urzędu Kwaterunkowego i autor planu likwidacji Warszawy, Braun. Równocześnie KWP w odwet za egzekucje postanowiło zastosować kontrterror, uderzając kilkakrotnie w niemieckie pociągi pośpieszne „nur für Deutsche”. Po wykonanym 1 lutego 1944 roku zamachu na Kutschere okupant przerwał publiczne egzekucje.

stęp do nie używanego obecnie powielacza, a stróż jest jego dobrym znajomym. Przypuszczam, że zapozna on nas z nim i... zobaczymy.

Parę dni temu wysłałem pocztą, z polecenia „Berga”, ulotki drukowane na grubym zielonym papierze, gdzie co kilka wierszy, niby refren modnej piosenki, powtarzał się zwrot: „Deutsche! Ihr habt den Krieg verloren!”⁴, a pod zadrukowaną kolumną widniał podpis: „Polnische Freiheitsbewegung”⁵. Ulotki te posłałem trzem ananasom wymienionym przez lewego „Podogońca”. Na mojej maszynie zaadresowałem trzy koperty: 1. Heinz Brassel, Baudiensthauptmann⁶, Krakau, Glatzerstrasse (tj. ul. Kościuszki) 60; 2. Moritz Breinlich, Krakau, Schulstrasse (Borek Fałęcki) 391; 3. Beckmann Kurt, Krakau, Parkstrasse 14 (ul. Parkowa).

Ciekawe, czy adresaci po przeczytaniu pokażą to policji, czy też sami wrzucą do pieca? A może pomyślą, że to wyroki śmierci? Musi być chyba bardzo głupio dostać anonim...

Za kilka dni skończy się rok 1943. Podobnie jak i przed rokiem całkiem nie czuję świątecznego nastroju. Zastanawiam się raczej teraz, co przyniesie najbliższa przyszłość; już od dawna nie było nic ciekawego, a sam staram się tak pracować, jak — według niemieckiej terminologii na „listach” — jegomość „bez zawodu”.

*

W mroźne popołudnie jednego z końcowych dni grudnia Roman ze Studzińskim spacerowali w pobliżu przystanku tramwajowego przy III Moście. Obok nich

⁴ Niemcy! Przegraliście wojnę!

⁵ Polski Ruch Wolnościowy.

⁶ Wyższy funkcjonariusz „Służby Budowlanej”.

często przejeżdżały obwieszane pasażerami wagony, odwożące ludzi wracających z pracy do domów. W rozmowach przechodniów powtarzały się zwroty w rodzaju: „na Sylwestra będą dwa dni wolnego, bo Nowy Rok wypada w sobotę”, „nareszcie sobie człowiek wypocznie”.

Studziński wskazał Romanowi „Berga” wysiadającego z tramwaju.

— Fajnieś przyszedł na randkę, stary — chwalił Zawada punktualność Jerzego. — Jest właśnie za dwieście sekund piąta. „Grzesiek” ma do ciebie jakiś interes.

Poszli w trójkę w stronę ul. Miodowej. Po drodze Studziński opowiadał długą historię o dwóch podejrzanych o to, że są kapusiami. Potem rozmowa zeszła na „Stempla”, jego rozstrzelanie i śmierć „Wilhelma” na Montelupich w lipcu.

— Wiecie, panowie — odezwał się „Berg” — tak jak byłem pewny, „Kozak” nie powiedział nic, choć go powiesili za ręce i tłukli. Morowy chłop! Dzięki temu mogłem wrócić do domu. Niepostrzeżenie znaleźli się na ul. Miodowej, gdzie zauważyli bójkę dwu prostytutek. Dookoła drapiących się kobiet powstało nawet zbiegowisko.

— A to się gryzą — uśmiechnął się „Berg” — z taką nie chciałbym zacząć.

Robert opowiadał o swych próbach wykpienia się od Baudienstu za pośrednictwem jakiejś kochanki „klienta” Romana — Brassła. Niestety, sprawa spaliła na panewce, gdyż owa „dama” poczuła zbyt wielką sympatię do Studzińskiego, czego epilogiem mogła być kula rewolwerowa od zwierzchnika Baudienstu. Porozmawiawszy jeszcze chwilę z „Bergiem”, „Grzesiek” po-

żegnał się z kolegami i życząc im pomyślnego Nowego Roku odszedł, a „Berg” z „Wiktorem” szli dalej w stronę Wawelu.

— Wiesz, stary — odezwał się milcząco od chwili Jerzy — z „Wulkanem” niedobrze. Nie może spać w domu...

Gdy dwóch Niemców odeszło na dostateczną odległość, Zawada podjął rozmowę.

— Cóż takiego? Znów kto wpadł?

— Na razie nikt, ale pewien typ okazał się konfidentem. Nazywa się on Migala.

— Czekał, czy nie Sławomir?

— Skąd wiesz? — zdziwił się „Berg”.

— No, figurował na liście z 23 listopada jako dwudziesty ósmy.

— Stary, ty masz pamięć! No, no!

— Wiesz, ta sprawa przedstawia się tak — opowiadał Jerzy słuchającemu z zaciekawieniem „Wiktrowi”. — Migala jakieś dwa miesiące temu wstąpił do Organizacji i zaraz potem został aresztowany. Wsyłał swoich kolegów i coś z sześciu ukrywających się Żydów.

— No, no, no.

— Właśnie, bo w wypadku złapania Żyda gestapo arestruje także tych Polaków, którzy go ukrywają. Otóż Migala zaraz po aresztowaniu zaproponował Szwabom, że jeżeli go puszcza, pomoże im tropić Polaków. Gestapo zgodziło się na to i aby mieć go w ręce, zamknęło chwilowo jego ojca. Synalek zaś wyszedł z Montelupich i zaczął od tego, że wysłał tych Żydów. Migala znał „Wulkana” jeszcze sprzed wojny, z boiska sportowego w Podgórzu, i kiedy wyszedł z więzienia zaczął mu opowiadać, że ukrywa się bez dokumentów. Mnie od

samego początku nie podobała się ta historia, ale powiedziałem o tym „górze” i „Mateusz” (jak wiesz, mój przełożony nazywa się „George”, a nad nim z kolei jest „Mateusz”) orzekł, że możemy Migale zrobić kennkartę. W drugi dzień świąt, tj. przedwczoraj, „Wulkan” spotkał się z Migalą i skontaktował mnie z nim. Oczywiście, nie podałem mu swego adresu. Wziąłem tylko jego fotografię, a wczoraj jeden z naszych z policji zawiadomił „Mateusza”, że Migalą jest konfidentem.

— W samą porę!

— Pewnie, bo Migalą jeszcze nie wie, że znamy prawdę.

— Trzeba go będzie uprzedzić...

— Właśnie, tylko gorzej, że „Wulkanowi” ukradziono maszynę!

— Co za pech! Nie wiesz, kto?

— Nie, bo trzymał ją na budowie. Pewno murarze.

— Stary — powiedział Roman, patrząc z błyskiem w oczach na Jerzego — czy ja nie mógłbym też wziąć udziału w tym „festynie”?

— Hm, pójdziemy we trzech z „Wulkanem” i „Burem” (znasz go, to ten czarny), żeby drania nie spłoszyć, bo Migalą nas zna z widzenia. Ale oczywiście będzie także ubezpieczenie. W każdym razie to nie będzie zrobione wcześniej niż w niedzielę, a do tego czasu jeszcze pogadamy.

— Psiakrew, żeby się tylko nie wymknął...

— No, to na razie cześć! Do pojutra.

— Serwus!

31 grudnia 1943

Wskazówka stojącego na biurku zegara przekroczyła już pół do dwunastej w nocy. Za pół godziny będzie

już rok 1944. Co czeka nas w przyszłym roku? Organizację, Naród, kolegów i wreszcie mnie? Czy w tym nadchodzącym roku Niemcy wreszcie poniosą klęskę, a Sprawa nasza zatriumfuje? Czy też za rok Niemcy będą się jeszcze trzymać, a po nas zniknie wszelki ślad? Nie! Choćby wszystkich najlepszych ludzi wytępili — pozostali nie zapomną nigdy, czym była Organizacja ani też jakie zwycięstwa ma już za sobą nie znana jeszcze szerszemu ogółowi Armia Krajowa.

...Dziesięć minut po pół... Z drugiego pokoju dochodzi oddech śpiącej spokojnie matki. Ile jeszcze nocy będzie mogła przespać równie spokojnie jak tę?

W tym roku Migala na pewno już nikogo nie wysypie. Tak, bo w ciągu dwudziestu pozostałych jeszcze minut na pewno niczego ciekawego się nie dowie. Oczywiście, o ile nie jest w tej chwili na jakiejś zabawie sylwestrowej, gdzie wódka rozwiązuje języki.

Rok 1943 zbliża się do końca. Jak wyglądałem rok temu? Byłem zwykłym nieopanowanym chłopcem, nie różniącym się niczym istotnym od swych kolegów. Chyba tylko większą może smarkaterią. Potrafiłem jednak dostosować się do pracy, którą zasadniczo wykonują ludzie odpowiedzialni i pełnoletni. A pierwszą moją męską decyzją była odpowiedź „tak” dana „Bergowi”, co prawda po namyśle, na jego propozycję wstąpienia do Organizacji. Czy nadal jednak będę mógł żyć w ten sposób? Nie chciałbym nic dla siebie w roku 1944, byle tylko Niemcy zostali zgnębieni, a Sprawa nasza zwyciężyła!

Właściwie nie wiadomo, jak to z tym będzie. Choć każdy przypuszcza, że na wiosnę nastąpi długo oczekiwana ofensywa Aliantów na Zachodzie, to jednak, czy w roku 1944 przyjdą do Polski Anglicy? Blżej, zdaje

się, jest do Polski bolszewikom. Rok temu Niemcy stali nad Wołgą, dziś są nad Dnieprem. Jak blisko będą Rosjanie za rok? Mogą nawet zająć całą Polskę.

...Za dziesięć minut dwunasta. W tym nadchodzącym roku chciałbym jednak coś dla siebie: dużo pracować dla Organizacji. Na listach egzekucyjnych od czasu do czasu pomiędzy wyszczególnionymi zawodami rozstrzelanych widnieje „bez zawodu”. Ileż walki i „roboty” mieści się w tych dwu słowach! Zostać i być samemu takim człowiekiem...

Cicha, spokojna noc grudniowa rozciąga się za oknami. Znow zanoszą się na odwilż. Niebo jest zasłane ciężkimi czarnymi chmurami, spoza których nie widać księżycy ani gwiazd. Noc — sprzymierzeniec naszej pracy. Noc — sojuszniczka Polski Podziemnej i pracujących dla niej ludzi, którzy wzgardzili bezdusznym i niewolniczym życiem w GG. Być jednym z wielu tych, którzy pracują w służbie Rzeczypospolitej, choćby za cenę życia i zdrowia! Być wolnym jak ptak i wiedzieć, po co się żyje! Czuć dreszcz emocji i ryzyka, urozmaicających szare, podłe życie, satysfakcję z dobrze spełnionego obowiązku. I służyć Narodowi według zasady hetmana Jana Zamoyskiego: „Dopóki tchu w obywatelu, póty Ojczyźnie służyć powinien!”

Wskazówka zegara stoi już na dwunastej.

Rozdział XV

Szybko zapadał posepny wczesny zmierzch styczniowy. W mroku zatracaly się z wolna rysy twarzy nie licznych przechodniów, brnących chodnikami po zabłocnym i rozmiękłym śniegu. Słotne zimowe popołudnie nie zachęcało nikogo do spaceru i mimo niedzieli ruchu niemal nie było. Co chwila wzmagaly się podmuchy zimnego wilgotnego wichru, rozmiatające na wszystkie strony śnieg z deszczem. Z zaciemnionych okien gdziegdzie przebłyskiwało światło i aż na ulicę dochodził gwar zebranych z okazji przedłużania się Sylwestra gości.

Trzy postacie szły skąpo oświetloną ulicą w stronę mostu Piłsudskiego, rozmawiając o czymś z podnieceniem. W niewielkiej odległości za nimi kroczył cicho wysoki młodzieniec, bacznie rozglądając się na wszystkie strony i uważając przy tym, by nie stracić z oczu szybko idącej trójki. Gdy przypadło mu przechodzić oświetlonym kawałkiem ulicy, zawahał się na chwilę, po czym stanąwszy na skraju światła wbił bystry wzrok w oddalające się postacie.

— Żeby się tylko skurwiel nie obejrzał — pomyślał i uznawszy, że oddalili się dostatecznie, szybko przeszedł w „strefę niebezpieczeństwa”. Z łatwością odzukał śledzonych. Znów spojrzął za siebie. Oho, nie całkiem pusto, jakiś jegomość idzie w tę stronę.

— Ech, nic poważnego — uspokoił się po chwili. Przechodzień skręcił w boczną uliczkę.

Zimny wiatr, dmący od niewidocznej Wisły, omal nie strącił mu kapelusza z głowy. — Psiakrew! — to by dopiero mogła wyniknąć heca, gdybym go musiał gonić w ich stronę...

Trójka idzie w kierunku Ludwinowa. „Bur” i „Wulkan” na pozór beztrzesko rozmawiają z Migałą. Od czasu do czasu któryś z nich nieznacznie ogląda się w tył.

Powoli wloką się minuty. „Bur” wtrąca jakieś słowa, pozwalające konfidentowi domyślać się rozmaitych rzeczy, a przez to, naturalnie, zaciekawiających go w wysokim stopniu. „Wulkan” pozornie wygląda spokojnie, za to wewnątrz wrze. Pierwsza „mokra robota”. Ściska mocno zawinięty w „Die Wehrmacht” łom żelazny i przypomina sobie słowa, którymi „Berg” uspokajał go podczas szczegółowego planu „roboty”. „Na pewno pójdzie jak z płatką. Nic się nie bój, Wiesiek. Damy mu radę. Nawet jakby ktoś nadszedł, to kolega, który będzie szedł za nami, ostrzeże nas gwizdkiem...”

Po przejściu betonowego mostu na kanale schodzą w dół i po chwili idą wałem wiślanym w stronę dalekiego jeszcze mostu Dębnickiego. (Do licha, to właśnie stąd wyruszyli „Wilhelm” i „Stempel”, tylko że w odwrotnym kierunku niż teraz my.) Za chwilę tę samą drogę przebywa „ubezpieczenie”. Po paru minutach ten ostatni zauważył, że liczba idących przed nimi wzrosła nagle o jednego.

— Aha, nadszedł „Berg”... — pomyślał zwalniając kroku. Tak, to już teraz — myśli z napreżoną uwagą, rozglądając się wokoło — czuj duch!

— Psiakrew, żeby się tylko udało.

Cztery postacie schodzą wolno na niższą skarpe wa-

łu. Przystanął na chwilę. W tym momencie „Wulkan”, od chwili zejścia będący w silnym napięciu nerwów, dostrzegł, jak „Berg” z wolna obrócił się w tył... Już! Szybki jak myśl cios łomem.

Wiatr zadał ze wzmożoną siłą. Chłopiec stojący na górze ściska spotniałą dłonią metalowy gwizdek, rozgrzany od dotyku. — Śpią tam czy co, do cholery! — denerwuje się, obliczając w myśli czas potrzebny na „załatwienie interesu” z panem Migałą. Wiatr na chwilę przycicha. Nagle do uszu stojącego na górze dochodzi z dołu nieokreślony szmer, po którym następuje ledwie dosłyszalny plusk.

— Alleluja! — ma ochotę zawołać „ubezpieczenie” — już nasz konfident jest śp. Teraz powoli, powoli, stary — jak mawiał leniwy strażak — nie pali się! Tempo wlokących się żółtym krokiem minut zmalało jeszcze bardziej. Wreszcie! — Tamci pewno uciekają jak sto diabłów — rozumuje. Doszedł powoli do ostro urywającej się rozmięklej skarpy wału i patrzy w dół, usiłując coś rozróżnić na niewyraźnie odcinającym się od Wisły brzegu. Sam jest z dołu dobrze widoczny, dzięki dalekiej nie zaciemnionej latarni na Dębnikach. Mimo ciemności dostrzega nagle nad wodą dwu mężczyzn.

— Hej, panie! — woła jeden z nich z dołu — chodź, pan, tu i pomóż!

— Zaraz idę — odpowiedział i jelenimi susami sady w górę wału, przebiega kilkadziesiąt metrów, potem w dół, zakręcił jeden i drugi... Naokoło pustka. Pod butami chlupie błoto, zalegające ciemną, nie brukowaną uliczkę. Chłopiec zwalnia biegu. Przez ul. Konopnickiej idzie już normalnym krokiem. W miarę oddalania się od miejsca „roboty” ogarnia go nagle zaniepokojenie.

nie. — Trzeba będzie nadal zachowywać ostrożność — myśli — bo nie wiadomo, co to za jedni byli tamci dwaj. Powoli opada z niego podniecenie, spowodowane długim napięciem uwagi. Wolnym krokiem przechodzi most Dębnicki. Zaczyna padać śnieg, tworząc aureole dookoła świetlistych kręgów ulicznych lamp.

5 stycznia 1944

Sprawa Migąły pozostaje nadal nie wyjaśniona. Zaraz trzeciego widziałem się z „Bronkiem”, który opowiedział mi szczegóły całej „hecy”, która miała miejsce drugiego, w niedzielę po południu.

— Człowieku — zauważyłem — przecież mogę się z tobą założyć, że ten skurwysyn żyje.

— Możliwe. Szkoda, że „Wulkan” tak się zdenerwował, że cisnął łom do wody zaraz po pierwszym ciosie. Kiedy z „Burem” schwycili Migąłę za ręce i nogi, żeby go spławić do Wisły, ja dołożyłem mu dwa razy sakramenckim kamieniem w łeb. Od takich ciosów na pewno pękła mu czaszka, a jeżeli nawet nie pękła, to jak wpadł z takimi ranami do wody przy tym zimnie, na sto procent jest gotów. Lecz jeśliby go ktoś w tym momencie wyciągnął z wody? Ale może tak się nie stało? Dowiadywałem się rano przez znajomych na Pogotowiu, dziś i wczoraj nie mieli takiego wypadku.

— Hm. Może ten „miłosierny Samarytanin” odprowadził go do lekarza lub szpitala, a nie na Lubicz 19? W tej chwili przyszła mi na myśl inna ewentualność. A jeżeli ten przechodzień, widząc rannego, który po oprzytomnieniu na przykład powiedział, że napadli go bandyci i podał swój adres („Berg” zabrał Migale dokumenty, aby policja nie zidentyfikowała trupa), po pro-

stu prowizorycznie opatrzył delikwenta i odprowadził go do mieszkania? A może jestem zbyt sceptykiem, a w tej chwili policja głowi się już nad ustaleniem tożsamości znalezionej nieboszczyka?

— Dowiadywałem się u naszych z policji, ale nie było takiego wypadku. Na pewno poszedł na dno jak okręt albo popłynął do Gdańska.

— No, może. Ale oczywiście „Wulkan” nie powinien spać w domu najmniej przez trzy, cztery tygodnie, aż do wyjaśnienia.

— Istotnie, nie śpi — odpowiedział „Broniek”. Ale, niestety, lekceważy sobie tę sprawę i chce wnet wracać do domu, bo uważa, że Migala „fajtnął”.

— Chłopie, powiedz Wieškowi, że jak nie ma gdzie spać, niech wali jak w dym do mnie. Zna przecież moje nazwisko i adres...

— Owszem, przemówię mu do rozumu. Cześć, stary!

Ciekawe, jak ta historia rozwinie się dalej. Niezależnie od logicznych wniosków czuję po prostu przez skórę, że Migala żyje i że ów przechodzień wyciągnął go z wody (było zbyt ciemno, aby dokładniej zobaczyć). Wisła w tym miejscu jest dość płytka, a jeden cios łomem i dwa kamieniem nie musiały jeszcze spowodować pęknięcia czaszki. Z drugiej znów strony może i poszedł w grubym, zimowym palcie jak kamień na dno. Lecz jak to pogodzić z widokiem dwu zataczających się osobników i wzywaniem pomocy?

*

Mrok przyczajony zrazu po kątach dużego pokoju z każdą chwilą zwiększał swój zasięg. W takt przejeżdżających ulicą wozów cicho dzwoniły szkiełka zdobiące wiszącą lampę. Przez okno można było dostrzec, tra-

cały z każdą chwilą jasność, rąbek nieba. Mroźny styczniowy wieczór poczynął rozbłyskiwać światłami ulicznymi i lampami aut. Roman siedział na stercie zakurzonych książek naprzeciw wysokiego mężczyzny, od czasu do czasu poprawiając nieznacznie ruchem ułożone w swych kieszeniach paczki „Ostwache” i „Der Durchbruch”¹. Gawędził na pozór beztrudnie ze znajomym, uważając, by nie zdradzić ani jednym gestem ogarniającego go w coraz większym stopniu podniecenia. Wstał do niego, chcąc przeczekać gdzieś czas upływający między otrzymaniem ulotek od „Bronka” a umieszczeniem ich w odpowiednich miejscach.

Kolega opowiada zajmującą historię, jak to do sołtysa w jednej ze wsi „dystryktu Krakau”, który będąc wielkim służbistą powyznaczał masę młodych i zdrowych ludzi do wyjazdu na roboty do III Rzeszy, przyszło trzech „chłopców z lasu”. Roman, słuchając jednym uchem, jednocześnie układa sobie plan działania na dzisiejszy wieczór. (Kochany Antosiu, dobrze, że się nie domyślasz, iż opowiadasz tę historię sprawcy podobnych „kawałów”, który w dodatku już dzisiejszą noc może spędzić w „bezpłatnym hotelu”.)

— I uważasz — ciągnie kolega Zawady z Ernährungu — ten drań sołtys spodziewał się, że kiedyś nie omiśnie go taka „wizyta”. Gdy przyszli, wyciągnął z komody przygotowaną zawczasu wódkę. A ci nic, tylko od razu

¹ Tytuły dwóch czasopism „enowych” (patrz rozdz. XI, przyp. 4). Dwutygodnik „Die Ostwache” (Straż na Wschodzie) ukazywał się od września 1942 roku i był przeznaczony dla niemieckiej administracji cywilnej na Wschodzie. „Der Durchbruch” (Przełom) stanowił od lutego 1942 roku kontynuację wydawanego już wcześniej „Der Hammer” (Młot). Przeznaczony był dla Niemców w Rzeszy.

przystąpili do sedna sprawy. Spuściwszy panu sołtysowi spodnie, wyliczyli mu pięćdziesiąt batów. Niech ma za swoje. Od tego czasu bardzo, bardzo zmiękł!

Rozmowa ciągnie się jeszcze chwilę. Gdy zegar wskazuje już godzinę piątą, Roman pożegnawszy się z kolegą wychodzi.

Zamiar podrzucenia ulotek do kuchni lub sali niemieckiego kasyna wojskowego, mieszczącego się kilka kroków od domu Antoniego, nie dochodzi do skutku. W trakcie przygotowań do rzutu Zawada dostrzega mimo zapadającego zmroku, że kolega stoi w oknie i kiwa ręką przez szybę. Trudno, odwrót! Zawraca i idzie w stronę pobliskiego przystanku tramwajowego, po czym wsiada do przyczepki „trójki” jadącej w stronę Podgórza. Roman obserwuje uważnie ulice.

— Cholera — myśli, patrząc na rozwrzeszczane i śmiejące się grupy żołnierzy i cywilnych Niemców. Czy to Kraków, czy Berlin? Na oko Niemców tu więcej niż naszych. Tramwaj zatrzymuje się nagle na Małym Rynku, w miejscu gdzie nie ma przystanku.

— Co to znaczy? Oblawa? — niepokoją się pasażerowie.

Wyglądnięwszy z platformy, Roman doznaje nieprzyjemnego uczucia: czterech policjantów niemieckich obstawia wagon motorowy. Jeden wchodzi do „niemieckiego” przedziału.

— Cholera! Wyciągają z tramwaju? Co robić? — przelatują błyskawiczne pytania. Zawada ogląda się na przeciwną stronę placu. Gorzej, widać nadchodzący patrol. Jeżeli zaczną rewidować?

Kieszenie płaszcza wypchane są antyhitlerowskimi pismami w języku niemieckim. Wyrzucić cały „gips”? Na nic, bo mogą cały tramwaj zabrać do paki. Co da-

lej? Może nie będą rewidowali, tylko sprawdzali dokumenty? Niestety, w razie zwykłego „obmacu” też można wpaść, a i bez tego wypchane kieszenie zwracają uwagę — rozumuje Roman. Upływają sekundy i minuty. Patrol przeszedł, przy wejściu jeszcze nie widać zielonych mundurów. Może uda się wyskoczyć drugim wyjściem? Nagle tramwaj rusza, a na platformie ukazuje się konduktor. Ludzie domyślają się przyczyny nagłego postoj.

— Panie konduktorze, „oni” sprawdzali, czy ludzie nie jadą w „niemieckim” przedziale? Prawda?

— Tak.

Na ul. Starowiślniej znów nadprogramowy przystanek. Takie zdarzenia w ciągu „lotu bombowego” paraliżują i nie dodają odwagi. Ale grunt to dobry humor.

III Most (o, tu te koszary), pl. Zgody, ul. Lwowska, dawne „międzygetcie”..., ul. Limanowskiego... (pod numerem 20 mieszkał — a może jeszcze mieszka — kapuś Migała), wreszcie długa ul. Kalwaryjska i Łagiewnicka.

Roman wysiadł na przystanku przed remizą i idzie w stronę ul. Gen. Skrzyneckiego. Tą samą drogą co we wrześniu z „Jimem”. W wyglądzie otoczenia zupełna różnica, jak zwykle między jesienią a zimą. Dziś jest tu jaśniej niż wtedy, bo śnieg zalegający pola lśni niebieskawo w mroku. Z daleka widnieje zaróżowione niebo. Roman wpatruje się w ciemność. Wsłuchując się w wiatr szumiący w bezlistnych gałęziach drzew, bezwiednie poddaje się urokowi zimowego wieczoru. Oddycha z przyjemnością czystym powietrzem. Różowa luna na granatowym niebie... Gdzie widział już kiedyś coś podobnego?

Czas zaczynać „działalność”. Naraz zobaczył nadchodzącego niemieckiego policjanta. Gdy ponownie od-

wrócił głowę — policjanta nie było. Złudzenie czy zniknęła tak szybko? Wszędzie wężę wrogów... Lepsze to niż nonszalancja. Zacisnąwszy zęby, zdecydowanym krokiem rusza naprzód. Uważnie obserwuje otoczenie Szkoły Rzemiosł, gdzie z „Jimem” wrzucali ulotki do okien. Rytmiczny chód wartownika dochodził wtedy jakoś z innego miejsca... Aha, bo teraz chodzi on po większej przestrzeni niż dawniej... Tak, okrąża róg budynku.

Zuchwały pomysł zaświtał w głowie Zawady. Nie mogąc wrzucić ulotek przez okno (zamknięte oczywiście w zimie), postanowił „doręczyć” je „adresatowi” niemal „do rąk własnych”. Rzecz prosta, nie mając ochoty „skosztować ołowiu”.

— Muszę w stu procentach zapanować nad sobą. A potem co za satysfakcja będzie meldować o tym! Wyczekawszy odpowiedni moment, gdy wartownik dochodził do rogu, Roman na palcach podkradł się do budki stojącej przy kamiennych schodach. Sięgnął szybko do kieszeni... Wsunąć do budki? Nie, lepiej położyć na widoku, bo by nie zauważył... Położył dwie paczki na schodach i paroma cichymi susami skoczył za betonowy słup, obserwując odwracającego się Niemca.

„»Człowiek z Wydziału N« stał przyczajony jak do skoku i obserwował chodzącego miarowo żołnierza w obcym mundurze. Ręka mężczyzny spoczywała na kolbie dużego browninga gotowego do strzału...” — Ech, dobrze się mu tam stało, a mistrzowi Nasielskiemu — pisało... Jeden ruch z mojej strony, a będę „gotów”... Parszywy strach znów chwyta za gardło... ale to ciekawe i podniecające... Uwaga! doszedł!

Niemiecki wartownik przez kilka długich sekund wpatruje się w tajemnicze małe paczki, wreszcie schyla się, rozwija, zaczyna czytać!

nowej przed zamknięciem kłosek
 w Wielkiej, podzieleny między oddziały
 niemieckie. Następnie podjęto
 wia, a kiedy male działały wazely
 glosny linow, tywom struzono je
 w morze polonem.

W niedluzym czasie z nuzem obywateli
 w Wielkiej, podzieleny między oddziały
 niemieckie, nastąpiło, zniszczenie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Następnie oddziały niemieckie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

- 1. [illegible] [illegible] [illegible]
- 2. [illegible] [illegible] [illegible]
- 3. [illegible] [illegible] [illegible]
- 4. [illegible] [illegible] [illegible]
- 5. [illegible] [illegible] [illegible]
- 6. [illegible] [illegible] [illegible]
- 7. [illegible] [illegible] [illegible]
- 8. [illegible] [illegible] [illegible]
- 9. [illegible] [illegible] [illegible]
- 10. [illegible] [illegible] [illegible]
- 11. [illegible] [illegible] [illegible]
- 12. [illegible] [illegible] [illegible]
- 13. [illegible] [illegible] [illegible]
- 14. [illegible] [illegible] [illegible]
- 15. [illegible] [illegible] [illegible]
- 16. [illegible] [illegible] [illegible]
- 17. [illegible] [illegible] [illegible]
- 18. [illegible] [illegible] [illegible]
- 19. [illegible] [illegible] [illegible]
- 20. [illegible] [illegible] [illegible]

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

OWIĄZACZKIENIE URZEDOWE

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

O czym każdy wiedzieć powinien

Ważna wesoła w smolej szafce okres
 Jul trzeszary w posiadaniu niedawno
 (nie) Jul krzywa z tym podobny (nie) Jul

Ciekawo tylko na mowy frontu
 kł, który kł pisan wlewy w hidrow-
 ianajskolow, pisałwa. W pigramie
 wofanie unia i wozna armia emigra-
 cyjna, unia pod unia, w krow, jak
 iowatw woby warot

Stawny wyzwy daz gignijfjefne wy-
 sility aby zabral niedawno kowojkow-
 ady na niowowy okres w wojny. Za woz-
 kł wozie obaj jly wozne przyobowoz-
 wozak iowozne, dz jod ma dli tak
 przegrano, wy przedziowom obaj woz-
 wozak iowozne, dz jod ma dli tak
 przegrano, wy przedziowom obaj woz-

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Niemiecki indolizm w wojnie w Czech
 kowojkowczych drgawkach iowozne
 wozna wozna w nowo wozna, po mo-
 wozna wozna w nowo wozna, po mo-

nowych terenów, obaj w wozak ce-
 aję podtrzymać smolej niowowy Sycia
 wozne - gospodowozne.

Ze smolej krzyzacy na w kraju ne-
 zozny Wozne Cytulina. Obowiazek o-
 zoznawozne w tej wozne jest powoz-
 zoznawozne. Kiedy Polak powozne zoz-
 wozne wozne, w

Państwo Pulskie, powozne przegrano
 wojny w Wroclawiu 1918 roku.
 wozne wojny wozne i nie przazalo
 wojny. Janinje nadal, powozne wozne
 wojny, kłozne tylko obowozne okolo
 wojny wozne przaznawo wozne powoz-
 wojny wozne przaznawo wozne powoz-

Państwo Pulskie i jego wozne urza-
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

runkiem Polnomoisika [illegible]
 Państwo Pulskie powozne wozne
 wozne na emigracji, wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne

Państwo Pulskie i wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne

Kiedy Polak jest obywatelom wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne

Zadaniem wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne
 wozne wozne wozne wozne wozne

Nasze obowiązki w obecnej sytuacji wojennej.

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Imponujący rozwój Kraju

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

Wielka Silesia, w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie
 i zniszczenie, a w tym czasie, zniszczenie

GONIEC KRAKOWSKI

Rok V

Nr 262

Kraków, środa 1 grudnia 1943

Na ogłoszenia w tym piśmie...
Zamówienia reklamowe...
W cenie 1000 złotych...
W Krakowie, ul. Wesoła 10.

NIE MA BEZPIECZEŃSTWA EUROPY BEZ WIELKICH NIEMIEC.

Stan zdrowia Prymasa Hiłoda
zranionego przez Anglików.

BERLIN, 30 listopada. Agencja
Telepress* zbierała szereg informac-
jach głoszących opinię światową na temat
ostatnich wydarzeń politycznych
sytuacji frontowej. Wiadomo, że
skład przynosił serię najpoważniejszych
zmian, w związku z czym miliony
ludzi słysząc szereg interesujących
komunikatów. Prymasowski, Stalin, Hitler,
Churchill i Roosevelt, nie mówią już
o sukcesach i porażkach obu walczą-
cych stron.

Angielski publicysta W. Steed,
donosił w swoim piśmie narodowych ko-
slistów, omawiając te przemiany
wierząc, że „mowa Stalina jest
ważna ze względu na wyrażenie stras-
lenickich i przynajmniej, jak to
długo przed dwoma laty powiedział
słotomnie, nigdy jeszcze dotąd odbrę-
nie mowca, nie posiada w krótkim
czasie zdziwotną. Żadna armia nie
nie może sobie pozwolić na tego-
rodzaju straty”.

W ostatniej mowie „woda” nau-
o niemieckiego, zwraca specjalną
agę jedno zdanie, niewiele pominięte
rocz „Propaganda” przy przesy-

wanej od rządu Piłsudskiego Wielkiego
Ze świadomości nie są jego z wywołaniem,
cała jego rola sprawa która nie jedynie do-
łoch zmobilizowania.

**Wierzymy, że Opatrzność nie
porzuci go, iżniam swej misji
nie wypęfeli i nie odziedli swemu
własnemu narodowi poglą-
dowej lekcji, że dotychczasowa
linia jego postępowania prze-
wodzi jedynie do ruin, reszci
i łez.**

Premier Churchill w swoim prze-
mówieniu podkreślił, że są powody do
przypuszczenia, że na rok 1944 prze-
płynie moment przesłania (dymar)
obrotnej wojny, „abyby to zajęć jakiejś
szczęśliwej wypadki na które nie ma-
my prawa liczyć”. Jest to sinazja do
pewnych możliwości, ale wspomniany
wyjął Steed mówi: „Ile więcej w to,

by nie mieć tego rodzaju sinazji wsty-
nił jak sobie od niechcenia”.

Wskazywał omówił konferencje ni-
emieckiej i oznaczył przy tym, że nie
będzie rzecz jasną, przywrócić nor-
malne warunki krajem dotkniętym woj-
ną. Należymy do tego będzie współ-
praca wszystkich narodów. Liczki nie-
moby osiągnąć nasz daleki kraj
niezłobakierów wojenne”. Siłom nie-
pokoju przez w jakimś pomoci — ja-
nie przy tym publicznie brytyjski —
to największy i najszlachetniejszy o-
l. dzieki któremu możemy przekazać
wagę i w jej miejsce postawie ideał
pokoju, nie będącego tylko negacją
wojny, ale dynamicznie, przywrócić
dlaśniam ku najwyższemu celom cywil-
lizacji. Dlatego też sinazja na nas ob-
owiązek realizowania tej porządkują-
wizji w tworzący pokój — siary, któ-
rej swore będą kiedyś błogosławione
przez nasze dzieci.”

„Wojna weszła w końcową fazę”...

FIRMA w Katowicach, w powiatu w
zostanie wyprodukowane...
Mowa Prymasowski...
Wojna...
Z PORTU NAZZ, WIDZIA NA BLISKIM WSCHOŁU.



18. Fragment strony tytułowej 4-stronicowego „lewego” „Goń-
ca Krakowskiego”

ARMIA POLSKA I JEJ SIŁA

Wzrostowi nasz Polska posiada wielkie
potencjały, w szczególności w dziedzinie
lotnictwa. Polska posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia

lotnictwa. Polska posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia

Polski materiał lotniczy jest wieloletnie
doświadczenia, posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia

lotnictwa. Polska posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia
w dziedzinie lotnictwa, posiada wieloletnie doświadczenia



„nie kaluzymojz nas żadne przeszkody”

Zakłady Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii

SKRZYDŁA POLSKIE.

W polsku i włoskiej kompanii oraz
innych, mogła lotnictwa polskie przed-
stawiać całkiem typowym samolotów
naprzemiennie zaledwie niepełne 400
maszyn własnych, zaledwie niepełne
przeważnie wyczerpał „Luftwaffe” pod
lotnictwa polskiego, dyspozycyjne. W
lotnictwa niemieckim posiadał. Należy
przeważnie 38 mas. lotnic. w rozporze-
dzeniu 4-ty, a w tymczasem 8 mas. lotnic.

W lotnictwie niemieckim w tymczasem
wojki, lotnicy polscy zestrzelili 127 masz.
niemieckich, ogarnęło, zestrze-
żenie zestrzeżeń prawdopodobnych i w
stratach. Ogólnie przypuszczają, że
suma zestrzeżeń samolotów niemieckich
wynosiła w kompanii francuskiej około 500, a w
kompanii polskiej około 200 samolotów. przy
czym na lotnic. lotnic. zestrzeżeń się samolotów
zestrzeżeń przez lotnic. zestrzeżeń
przez marynarki (50), orylichia zestrzeżeń
ciężko, a na przez wojsko lotnicze

3 skrzydła podwodne, 15 masz. lotnic.
oddziały lotnicze, 15 masz. lotnic.
Polskie lotnictwo lotnicze, 15 masz. lotnic.
w skrzydła w skrzydła, 15 masz. lotnic.
przypuszczają 4062 maszynami, przy
do września 11-240-000 tonów lotnic.
bombardowania, 15 masz. lotnic.
845 bombardowania, 15 masz. lotnic.
dy nieprzyj. klucze 1.780-000 tonów
samol. pomocniczo, 15 masz. lotnic.
skrzydła, 15 masz. lotnic. i tego dnia
w dniu 2-go IX 1939 r., niemiecki
materiał armii przed-czasem trój-
masz. lotnic. ze go zestrzeżeń
lotnic. polskich, przez „Luftwaffe”,
ciężko polskie przed-czasem trój-



19. Fragment trzeciej strony „Gońca Krakowskiego” z 1 grudnia 1943 r.



20. Czwarta strona „Gońca Krakowskiego” z 1 grudnia 1943 r. (na stronie następnej)

...wydanych (na ostatni) w...
...względnie...
Biuro Informacyjne,
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Zrządy ginekologiczne
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Amasty Małozzi
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Kilimy Porcelany Obrazy Antyki
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Hulajnoggi
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Obwieszczenie urzędowe
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Obrazy, rzeźby, antyki, drogie tkaniny, zabytki biblioteczne, bronz starą, wyroby ze złota i srebra

...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Raporty i sprawozdania
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Wzrost
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

BIŻUTERIA
EYDOWSKA, OCZYSZCZONA
ZBRWI PRZEDZIAN
GÖTH, komendant
obozu żydowskiego
w Wolf, Dachauing.

POSZUKUJĘ
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Zginal
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

NIEWOLETA
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

ZEGARKI
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Pralnia "NUR FÜR DEUTSCHE"
BLIŻSZE WIADOMOŚCI W RADJO LONDYNSKIM

Nur für Deutsche
NIEWOLNIK
Zgłoszenia przysyłać
Biuro Prezydyjne
Stadthauptmanns Kramera
Urdeutsche Stadt Krakau

WRÓŻE
ADOLF HITLER

MEIN KAMPF

WALIZKI
KODICE WARSZAWY
REPUBLIKI WŁOZKI

KANTUJEMY
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

WŁAD EUROPY
...w Krakowie...
Kraków,
Burgstrasse Nr. 60.

Teraz następna trudność: jak wycofać się, aby nie zwrócić jego uwagi? Po chwili Zawada brnie w sypkim śniegu, idąc koło zamarzniętego jeziorka. Kroków wartownika chwilowo nie słychać.

Ulicą Łagiewnicką z miasta idą nieliczni przechodnie. Czasem przejeżdża tramwaj. W pobliżu przystanku znajduje się brama obiektu wojskowego z nieodłączną budką wartownika, pomalowaną w czarno-biało-czerwone pasy. Sam wartownik gdzieś znikł, a brama jest zamknięta. Widocznie wszedł na chwilę do murowanej wartowni za murem ogrzać się.

Roman kręci się w pobliżu bramy. Na przystanku parę osób czeka na tramwaj. Między nimi granatowy policjant. Tramwaju jakoś nie widać. Nie ma co, trzeba ryzykować bez względu na „glinę”. Dalej obserwuje bramę obiektu, ściskając w garści ulotki. Chodnik pokryty jest zlodowaciałym śniegiem. Nic trudnego! Zawada „przypadkowo” pośliznął się i przewrócił na ziemię tuż przy budce wartownika. Podnosząc się otworzył palce i ulotki znalazły się w miejscu, którego nie może nie zauważyć wartownik po powrocie na swój posterunek. Policjant od niechcienia spojrzął na otrzępującego palto.

Pokręciwszy się na przystanku, Zawada odszedł w stronę pogrążonej w ciemnościach autostrady. Niebawem dochodzi do ul. Czackiego. Skręcił w wąską uliczkę i zobaczył, że wartownik stoi po drugiej stronie budki. Roman postanowił udawać pijanego, aby nie narazić się na podejrzenie z powodu kręcenia się bez celu koło koszar. Lekko zataczając się, idzie dalej. Stąnawszy za rogiem, dokładnie ustala plan działania. Praca Wydziału N nie da się właściwie ująć (tak samo, jak praca w plutonie egzekucyjnym) w żadne szablony, i to

stanowi o jej dużej sile atrakcyjnej. Jest tu po prostu szereg zadań, z których każde posiada inny sposób rozwiązania, a często i inne środki wykonania. No i właśnie dlatego oba te rodzaje prac (nie mówiąc, rzecz jasna o wywiadzie wojskowym) wymagają inteligentnych ludzi do ich wykonania oraz planowania.

Dookoła panuje względna cisza. Z daleka dochodzi szum Wisły i gwar kilku kręcących się tu chłopców. Roman, obszedłszy grupę domów przez ul. Turecką i Orawską, powtórnie znalazł się na ul. Czackiego, tuż przy parkanie koszar. Znow naśladowuje niepewny chód pijanego. Wartownika jeszcze nie widać. Teraz! Niestety, nie udało się uniknąć lekkiego stuku. Co będzie, jeżeli strażnik zwróci uwagę? Zataczający się „pijak” mijają wartownika. Nie podnosząc nań oczu, zmierza dalej i mamrocze coś pod nosem. Odszedłszy kilka kroków w stronę ul. Spiskiej, nagle przewraca się jak długi. Niepewną ręką podnosi kapelusz, wstaje i korzystając z tego kątem oka spogląda na wartownika. Wartownik spogląda na paczki, potem na Zawadę i...

— Halt! — rozległo się na całą uliczkę.

„Pijak” wytrzeźwiał i z błyskawiczną szybkością biegnie — mało powiedzieć — leci w stronę zbawczego węgla, bo jednocześnie ze słowem „halt” palce wartownika manipulują przy zamku ściągniętego z ramienia karabinu. Ostry trzask strzału karabinowego rozlega się akurat w momencie, gdy Zawada zniknął za węglem. Nie oglądając się, mknie w stronę betonowego mostu na kanale. Na drodze rozbiega się grupka miejscowych „Antków” ludwinowskich. Psiakrew, żeby tylko jacyś żołnierze nie wracali tędy do koszar! Ech — sapie Roman, ciężko oddychając ze zmęczenia — przegoniłbym Kusego! Przy betonowym moście na kanale

zwalnia biegu. Przechodzi przez jezdnię i spogląda w stronę koszar odległych już o dobre 100 metrów. Nagle zza węgła ul. Czackiego wysuwają się trzy postacie w hełmach z bronią w ręku.

— Nie ma na co czekać! Na dół! Strzał mógł zaalarmować policję w okolicy i wojsko. Szybko zbiegł nad Wisłę i odetchnął dopiero w ciemności, idąc brzegiem rzeki. Po paru minutach wynurzył się przy moście Piłsudskiego. Po raz nie wiadomo który przypominał sobie 23 czerwca 1943 i aresztowanie „Wilhelma” i „Stempla”.

— Dziś miałem więcej szczęścia niż koledzy — pomyślał. „Der Kriegsgericht SS und Polizei”² bieleje opodal Wisły, jak groźne ostrzeżenie dla Romana. Mimo że przed chwilą nie był wcale w wesołej sytuacji, czuje powracający humor i ma ochotę pokazać język temu budynkowi. Spojrzał na zegarek. Kto by pomyślał, że tak szybko mija czas! Jest już 25 po szóstej. Cicho szelącą „Durchbruch” i „Ostwache” w kieszeni. — Ciekawe, jak udało się „Bronkowi”, który wyleciał na „lot bombowy” o trzeciej po południu, zapowiadając „bombardowanie” niemieckich mieszkań. Czy już po „robocie”, czy może... już nie żyje?

Przeciął pl. Wolnicy, ul. Bożego Ciała i znalazł się na nie oświetlonej ul. Miodowej. Sprzymierzeniec — noc — panuje tu niepodzielnie. A pod jej skrzydłami „ćmy nocne”...

W „Na ucho” było napisane że: „Planty Dietla mają być przemianowane na „Kurwüstendamm”³. To samo

² Autor miał tu zapewne na myśli Der Standgericht der Sicherheitspolizei, czyli gmach (siedzibę) sądu doraźnego policji bezpieczeństwa.

³ Gra słów: jedna z głównych ulic Berlina nosi nazwę „Kurfürstendamm”.

można powiedzieć o ul. Miodowej z przyległościami. Do rzeczy: tu jednak jest coś godnego uwagi.

Spacerując naprzeciw szkoły nr 36 i 36a, wspomina grudzień 1942 r.: „...a o wyzwolenie Jej z niewoli walczył będę...” — Do licha ze wspomnieniami, teraz ważne, że w szkole są żołnierze.

Księżyc, wyszedłszy zza chmur, zalewa całą niemal ulicę seledynowym światłem. Zawada uważnie obserwuje jego zasięg, odbicie od murów i zalegającego jezdnę śniegu. Ustalił najlepsze miejsce rzutu „ładunku bombowego”. Podziękował grzecznie zaczepiającej go prostytutce, ulokował ulotki w bramie szkoły i szybko poszedł ul. Starowiślną do III Mostu. Drobnym ten incydent nasunął mu pewien pomysł. Przypomniawszy sobie bowiem, że w tej okolicy znajduje się jeszcze jeden „obiekt wojskowy”, co prawda, bez armat... Ciężka zakratowana brama „Wehrmachtsburdell”⁴ przy ul. Przemyskiej 5 jest dziś w ciągłym ruchu... Ba, sobota wieczór...

Zawada ostrożnie uchyla drzwi „objektu wojskowego”, korzystając z tego, że żołnierze wchodzą i wychodzą. Mniej więcej w połowie schodów, w sieni, widnieje okienko z czerwonym krzyżem, a w nim dyżurny „łapiduch” w hełmie.

— Cholery — mają to naprawdę dobrze urządzone.

Błyskawicznym ruchem wsunął ostatnie numery „Ostwache” oraz „Durchbruch” i zniknął w nie oświetlonej ul. Halickiej. W ciemności zauważył jeszcze, że wychodzący z burdelu żołnierze oglądali ulotki. Otrzymali dobry pokarm duchowy.

— Uf, skończone na dzisiaj, fajerant — odsapnął

⁴ Dom publiczny dla wojska niemieckiego.

Zawada. Po kilkunastu minutach złożył szczegółowy meldunek Jerzemu i wracał do domu.

Granatowe niebo iskrzy się gwiazdami. Śnieg lśni w blasku księżyca. Cisza i spokój leżą nad całą okolicą. Nie kręcą się tutaj Niemcy. „Wiktor” twardo kroczy wyslizganą drogą. Czuje zadowolenie ze spełnionego obowiązku i z uznania dowódcy po złożeniu mu meldunku.

15 stycznia 1944

Pracy jest coraz więcej, ale jestem z tego zadowolony. Rano śpię zwykle do dziesiątej, potem idę na randkę z „Bronkiem”, „Jimem” lub „Łubińskim” (po wysypie w plutonie egzekucyjnym już dawno nastąpiła tam reorganizacja), a później piszę na maszynie w domu rozmaite instrukcje i regulaminy. Wpływa to dobrze na samopoczucie, gdy można tyle czasu poświęcać na pracę przeciw okupantowi. Na razie jestem zabezpieczony przed przymusem pracy. Mam jeszcze starą legitymację z Ernährungu (od października tylko nominalnie), gdzie figuruję: na dłuższym urlopie „chorobowym”. Będę to przeciągał, jak długo się tylko da, a potem postaram się w inny sposób o odpowiednie dokumenty.

W dalszym ciągu w wolnych chwilach piszę dowcipy do „Na ucho” i szpalty pisemka są coraz gęściej nimi przetykane. Od czasu do czasu trafia nam do rąk „Watra” i inne gazetki, w których bywają wiersze „Barda”. Chciałbym go kiedyś osobiście poznać, ale teraz ze względów konspiracyjnych jest to niemożliwe. Niedawno „Jim” domyślił się, że piszę dla „Na ucho”. Poznał mianowicie dwa dowcipy, które wymyśliłem przed pół rokiem i opowiedziałem mu, nie przypuszczając oczy-

wiście, że kiedyś będę „występował” w podziemnym piśmie humorystycznym.

Pierwszy przedstawiał rysunek pt. *Szczyt roztargnienia*: Jegomość, któremu z kieszeni wyglądają spluwy i granaty, zapytuje dwóch policjantów niemieckich: — Przepraszam, czy będzie tędy przejeżdżał Himmler?

Drugi: Pewnego Niemca znaleziono zastrzelonego na ulicy. Po dokładnych oględzinach zwłok zostało ustalone, że to „V i s maior”.

Przedwczoraj spotkałem Studzińskiego już w ubraniu Baudienstu. Dowiedziałem się od niego, że sprawa z tym powielaczem stała się obecnie aktualna. Robert, idąc 3 stycznia do Baudienstu, zabrał ze sobą „na pamiątkę” klucz od odpowiednich drzwi i powielacz w tych dniach „dostanie nogi”, i ze służby niemieckiej przejdzie w polską. Morowy chłop z Roberta! Pojutrze spotykam się z nim.

O Migale nadal żadnych wiadomości, a „Wulkan” chce już wracać do domu. Uważamy z Jerzym, że byłoby to skończonym idiotyzmem. Trzeba zaczekać jeszcze najmniej dwa tygodnie, zwłaszcza że nie było żadnych klepsydr (choć o niczym to nie świadczy, bo gestapo mogło zakazać klepsydr właśnie w celu zmylenia nas, nawet gdyby Migala już nie żył). Trzeba zachowywać stale jak największą ostrożność. Nawet pozornie drobne zdarzenia mogą mieć fatalne skutki.

Kilka razy byłem w biurze u „Bronka”, lecz nie wiedziałem, że od niedawna zaprowadzono tam przepustki, które potem oddaje się portierowi przy bramie. Kiedy portier podsunął mi przepustkę i spytał o nazwisko, byłoby niewłaściwie wiać, bo potem nigdy nie mógłbym tam przychodzić. Również nie mogłem podać innego nazwiska, bo zażądają kennkarty, trzeba będzie

wystarać się o lewą. „Broniek” dostał coś takiego jeszcze w okresie formowania plutonu egzekucyjnego (mieli je dostać wszyscy, ale już nie zdążono).

*

Roman uściśnął silnie dłoń Studzińskiego i wzięwszy w rękę niewielką, lecz ciężką walizkę, okrytą z wierzchu pokrowcem, wyszedł z ciemnej bramy. Za chwilę wyszedł również Robert, idąc w zupełnie przeciwnym kierunku.

— W porządku — mruknął Roman — nikt nie zwrócił na nas uwagi. Wyglądało to zresztą na zwykłą transakcję handlową. Żeby mnie tylko dranie gdzieś nie zaczepili po drodze. Byłoby gorzej niż „na robocie”, bo z takim bagażem trudno nawalać, a kule latają szybko.

Rozglądając się bacznie, czy w pobliżu nie widać policji, otarł się niemal o dwóch wyższych gestapowców (za wysoka szarża, jak na zwykle rewidowanie przechodniów). Zatrzymał się na przystanku tramwajowym. Przypomniał sobie scenę z końca jesieni, gdy „weszyły w modę” uliczne rewizje przechodniów. Na szczęście był wówczas tylko świadkiem. Do stojących na przystanku przechodniów podeszło dwóch zielonych, zwrócili się w stronę jakiegoś mężczyzny i jeden zniecka przyłożył mu lufę do brzucha z sakramentalnym „Hände hoch!”, po czym rozpoczęto rewidowanie wszystkich kieszeni. Nawet gdyby rewidowany miał nie jeden, ale trzy rewolwery, na nic by się mu nie przydały. Szczęśliwym trafem dokumenty miał w porządku i pozwolono mu odejść. Zawada śmiał się potem w kufak, ponieważ sam miał wówczas w kieszeni MBI. Stojący obok mogli nawet mieć spluwy, a policjanci zrewidowawszy pierwszego lepszego z brzegu poszli dalej.

— Do licha! — zaklął nagle chłopiec, zobaczywszy wychodzący zza rogu patrol Schupo. Ale równocześnie zza zakrętu wyjechał oczekiwany tramwaj. Nie zwracając uwagi na oburzenie jakiejś starszej pani, Roman pcha się z całej siły ze swą walizką. No, teraz można gwizdać na patrol. Chwila spokoju w tramwaju, ale potem trzeba się przesiadać, i to w bardzo ruchliwym punkcie Krakowa. Znowu chwila naprężenia. Jednak jakoś nic się nie dzieje. Za to wysiadając z tramwaju na końcowym przystanku, Roman niemal wpada w objęcia trzech niemieckich policjantów.

— Zatrzymają się czy nie? — przelatują z szybkością błyskawicy myśli. Cisnąć ten cały kram i wiać samemu, jakby spytali, co tam jest? Na nic! Udawać, że się przed chwilą kupiło powielacz na tandecie? Nie uwierzą... Naprzód! Z pozornie obojętną miną przechodzi i... rzeczywiście nie dzieje się nic. Patrol nie patrzy jakoś w jego stronę. Jeszcze kilka kroków, jeszcze kilka... i wreszcie odetchnął głęboko. Mimo mrozu czuje, że mu gorąco.

— Psiakrew, dwa kroki od Montelupich, a do domu jeszcze przeszło dwa kilometry piechotą. Zimny wiatr, od którego grabieją ręce, szarpie niesioną skrzynią. A taka się bestia lekka wydawała!

Po upływie trzech kwadransów Zawada dochodzi do swego domu. Dokoła rozmiękły śnieg i błoto. Cały krajobraz tchnie melancholijną szarością. Głupstwo. Grunt, że powielacz z usuniętym znakiem firmowym jest do naszej dyspozycji!

*

Roman po zjedzeniu obiadu powrócił do domu, usiadł wygodnie na krześle i pograżył się w lekturze sensacyj-

nej powieści. Przed samą godziną policyjną powróciła matka, z którą rozpoczął rozmowę na temat dalszego krycia swej nieobecności w pracy. Za pięć siódma zadzwiećczał dzwonek. Mimo że gestapo „odwiedza” Polaków przeważnie nad ranem, każdy dzwonek jest nieprzyjemny. W drzwiach stał „Bronek”. Rzuciwszy tylko okiem na twarz przyjaciela, Roman drgnął.

— Stary — głos „Bronka” brzmi poważniej niż zwykle — musimy natychmiast wiać. Migąła żyje i „Wulkan” został aresztowany.

22 stycznia 1944

Niestety, stało się tak, jak obawialiśmy się: Migąła zdołał wyczołgać się z wody, a jakiś przechodzień pomógł mu dostać się do szpitala.

Wiesiek zachował się nadzwyczaj lekkomyślnie. Mimo naszych ostrzeżeń wrócił do domu już szesnastego, skąd siedemnastego w środę, został zabrany przez gestapo razem z bratem (brat też za przynależność do Organizacji, ale nie z naszej sekcji).

Cholera, co za głupota! Żeby w taki idiotyczny sposób wpaść, mając do tego gdzie się ukryć. Miał przyjść na cały tydzień do mnie, a oprócz tego zna nazwiska Jerzego i „Słowika”, więc nie wiadomo, co z tego wyniknie. Zwłaszcza że w tym wypadku gestapo ma czarne na białym, że natknęło się na AK. Bez znaczenia jest fakt, że w domu u „Wulkana” niczego nie znaleziono.

Gdy „Bronek” zawiadomił mnie o aresztowaniu Wieśka, myślałem, że mnie krew zaleje. Była za minutę godzina policyjna, a tu trzeba się wynosić, i to nie z pustymi kieszeniami. Po szybkiej naradzie z matką usta-

liłem, że pójdę do Burkowskiego. Powstała przy tym inna trudność: maszyna i powielacz. Wpadłem więc na pomysł, aby schować to u mieszkających w pobliżu znajomych. Czas naglił. Zebrałem gazetki i inne papiery, wsunąłem do teczki wraz z bielizną i biegiem ruszyliśmy z Jerzym do miasta.

Posępna ciemność zalegała dokoła. Mimo że to styczni, deszcz zaczął lać jak z cebra. W drodze dowiedziałem się od Jerzego, że „Wulkan” nie był dotychczas jeszcze przesłuchiwany, ale że lada chwila może to nastąpić.

Było już po siódmej, gdy wsiadaliśmy do „trójki”. Pierwszy lepszy „polikier”, gdyby nas był zrewidował... Po godzinie policyjnej każdego nawet z przepustką rewidują. W naszych kieszeniach zaś pełno...

Umówiłem się z Jerzym na dzień następny, po czym wysiadłem i udałem się do Lolka. Oczywiście jego rodzicom powiedziałem szczerze, o co chodzi. Nie zdziwili się ani trochę i — naturalnie — nie zamknęli przede mną drzwi. A jest to nie lada ryzyko trzymać nawet przez jedną noc kogoś nie meldowanego (jak zwykle w GG jest za to „Todesstraf”⁵), wobec częstych obław po całych blokach domów. Dla samego zaś Lolka wykombinowałem na poczekaniu historię o „gazowaniu” mieszkania. Jeżeli jednak mój przymusowy pobyt potrwa tu nieco dłużej, będzie miał on sposobność dowiedzenia się niektórych rzeczy o mnie. Trudno!

Rano skomunikowałem się telefonicznie, umówionym wczoraj szyfrem, z matką. Noc na razie minęła spokojnie, ale oczywista, że do domu nie wrócę ani jutro, ani nawet za tydzień czy dwa.

⁵ Kara śmierci.

Ostrożność przede wszystkim. Choćby nawet na pierwszym przesłuchaniu „Wulkan” nic nie powiedział, może być drugie i trzecie, a nie jest też pewne, czy gestapo, które dostało wskazówki od Migaly, zmiarkowawszy, że chodzi o sprawę poważniejszą niż zwykłe szkolenie, odstąpi tym razem od swej zwykłej metody natychmiastowego aresztowania. Może zechcą mieć nas na oku dłuższy czas, aby wykryć tajną niemiecką organizację antyhitlerowską z centralą w... Berlinie. Tragicomedia!

Dziś po południu spotkałem się z „Bronkiem”. Niestety, nie zdołał się jeszcze niczego dowiedzieć o „Wulkanie”, mimo że „góra” zajęła się tą sprawą i za odpowiednią sumę może uda się przynajmniej uzyskać łagodniejsze traktowanie aresztowanych (został aresztowany także „Bur”). Poza tym gorzej, bo Jerzy nie ma gdzie spać. Po namyśle umieściłem go u znajomych, ludzi całkiem pewnych (w lecie zabrali im córkę na roboty do Hanoweru i do dziś nie mogą jej wykupić).

Wsiedliśmy do tramwaju, udając się na dalsze spotkanie. Po drodze Jerzy opowiadał o Migale, który chodzi z obandażowaną głową, no i z ubezpieczeniem.

Za chwilę, punktualnie, zjawił się „Łubiński”, z którym od dawna nie widziałem się (a z którego „ferajny” pochodził „Bur”). Pluton egzekucyjny zabiera się do pracy. Zupełnie zrozumiałe, że Migalę dostaniemy prędzej czy później. No, będzie to kosztowało więcej pracy niż tamtym razem, ale za to będzie na pewno zrobione dokładniej.

Od wczoraj „zmartwychwstały” kapuś jest znów pod naszą obserwacją. Otrzymałem od „Łubińskiego” rozkaz śledzenia go jutro i ustalenia jednej z jego melin (oczywiście, dał mi również garść wskazówek tech-

nicznych). Mogę się tego podjąć, gdyż kapuś mnie nie zna. Niebawem rozstaliśmy się, umówiwszy dalszy kontakt na poniedziałek.

„Robota” zaczyna się ponownie. Zyskuję teraz pewien atut wobec matki, która początkowo była niechętna „zawodowemu” poświęcaniu się pracy w Organizacji. Mianowicie do czasu wyjaśnienia sprawy „Wulkan” nie mogę nigdzie podawać swego nazwiska, bo w razie gdyby Wiesiek nie wytrzymał tortur, gestapo może mnie znaleźć przez Arbeitsamt, choćbym i pół roku nie spał w domu. Chcę poświęcić wszystkie siły walce z Niemcami. W ten sposób mogę o wiele więcej zdziałać, niż gdybym tak jak rok temu zajmował się tylko szkoleniem. Mimo represji w kraju potężnieje z dnia na dzień walka podziemna i chcę w niej brać jak największy udział. Jutro będę pilnował Migaly.

Rozdział XVI

W zimowe niedzielne przedpołudnie Zawada szedł ul. Krakowską w stronę Podgórza. Lekki przymrozek ściał błoto i zrobiło się niemal sucho. Słońce zza chmur oświetlało miasto bladoróżowymi promieniami. Młodzi mężczyźni idący wraz z innymi przechodniami w stronę kościołów rzucali zaczepne spojrzenia na kobiety, które udawały, że tego nie widzą.

Roman minął kościół Misjonarzy, czyniąc w myśli sceptyczne uwagi: A to się dziewczynki pchają, jakby tam w kościele miód dawali lizać. Można by dużo powiedzieć o panienkach pobożnych, a krótko: „Modli się pod figurą, a ma diabła za skórą”. Ba, pytanie, czy w ogóle istnieją diabły? Tak! Adres: ul. Pomorska 2—4—6 i inne adresy. Przypomniał sobie kazania szkolnego katechety w „handlówce”, będące dla wielu uczniów kopalnią dowcipów. — Jak to już dawno.

Dochodziła dziewiąta, gdy przeszedł most Piłsudskiego. Na Wiśle płynęły gęste kry. Spojrzał na cztery pamiętne miejsca: niedawnego zamachu na Migalę, zamachu „Wilhelma” i „Stempla”, ucieczki wraz z Jimem” we wrześniu przed pogonią z ul. Czackiego i swojej ostatniej ucieczki również z tej ulicy. — Dla naszej „roboty” jakaś pechowa okolica.

Skręcił w Rynek Podgórski. Powtórzył sobie w my-

śli po raz chyba dziesiąty otrzymane od „Łubińskiego” wskazówki i plan inwigilowania konfidenta:

1. Ustalić rysopisy ochrony konfidenta i jego melinę, która jest gdzieś w pobliżu Rynku Podgórskiego.

2. Postępować w sposób nie rzucający się w oczy.

3. Migała przed lub po mszy w kościele podgórskim kręci się na rogu Rynku i Zamoyskiego.

Zawada zauważył, że w wymienionym miejscu (na rogu Rynku i Zamoyskiego) nie ma nikogo. Najprawdopodobniej towarzystwo weszło już do kościoła, uczynił zatem to samo.

Stojąc przy wyjściu, udaje pobożnego, nieznacznie obserwując otoczenie. Zgromadzeni śpiewają kolędy. W „Na ucho” też były konspiracyjne kolędy:

Dzisiaj w Londynie, dzisiaj w Londynie wesoła nowina.
Tysiąc bombowców, tysiąc bombowców leci do Berlina,
Berlin się pali, Hitler w portki wali,
Bomby latają, Szwabów zabijają,
Lotnicy strzelają, bydłeta padają,
I klęskę Niemców ogłaszają!

Wreszcie tłum wychodzi z kościoła. Roman obserwuje róg ul. Zamoyskiego. Jest!

„Wiktor” gapi się na wychodzącą publiczność, spod oka przyglądając się przeciwnikom. W odległości kilkunastu metrów stoi Migała z obandażowaną głową. Nawet nie jest blady po bądź co bądź dużym upływie krwi. Zarówno twarz, jak i cała postawa konfidenta dałyby się lapidarnie określić gwarowym językiem — „glista”. Wodniste oczy na pozór bezmyślnie błądzą po tłumie, mięsiste obwisłe wargi, nieco za duże przy szczupłej twarzy, czasem poruszają się. Słowem: raz w morde, a więcej by już nie wstał. Głupkowata fizjonomia nie odznaczająca się niczym specjalnym.

Są to tylko pozory. W rzeczywistości, mimo młodego wieku (17 lat), jest to jeden z najszkodliwszych elementów na terenie Podgórze. Spryt, „węch”, a przede wszystkim zupełny brak skrupułów i zdolności szantażysty cechują Sławomira Migalę. Zawada sporządza w myśli dokładne rysopisy obu towarzyszących Migale drabów. Wyższy z nich wygląda na typowego gestapowca, niższy — zwyczajna miejscowa szumowina (może z Kripo?).

Śledzeni idą w stronę Kalwaryjskiej. Roman, wybierając gęstszy tłum, wolnym krokiem podąża za nimi. Rynek pełen jest ludzi rozchodzących się bez pośpiechu. Gdyby nie przejeżdżające Kalwaryjską wojskowe auta, miałyby się złudzenie przedwojennych czasów.

Między Romanem a szpiclami idzie kilka grup beztroskiej młodzieży. Dziewczęta śmieją się, robiąc przy tym „oczy” na wszystkie strony. Zawada w tej chwili czuje się moralnie wyższy od nich, tą wyższością, jaką daje poczucie służby. Za nic nie zamieniłby swej roli nawet na towarzystwo najpiękniejszej kobiety.

W pobliżu rogu ul. Kalwaryjskiej czyta różowy afisz: „...za mord na osobie zajętego w niemieckiej służbie Stanisława Żbika w dniu 8 I 1944 w Nawojowej Górze koło Kressendorfu [Krzeszowice] rozstrzelano, zgodnie z moim obwieszczeniem, dnia 2 X 1943 dzieściciu Polaków, których nazwiska opublikowałem.

Wyższy dowódca SS i policji w dystr. Krakau”.

Roman przyspieszył kroku. Śledzeni poszli w stronę Borku Fałęckiego, Zawada również, ale przeciwną stroną ulicy.

Na rogu ul. Stromej podszedł do szpicłów jakiś mężczyzna i zamienił z nimi kilka słów. Zwrócony do Zawady tyłem stał chwilę ze swymi rozmówcami, po

czym odszedł. Przeszedł stosunkowo blisko koło Romana i ten w klapie jego marynarki zauważył znaczek NSDAP. — Sukinsyn, pewnie odebrał od Migały mel-dunek. W końcu skierowali się ku jednej z kamienic (po nieparzystej stronie Kalwaryjskiej) i zniknęli w bramie. To wszystko obserwował Roman w szybie wystawowej.

Teraz należało jeszcze sprawdzić, czy w tej kamienicy zostaną oni dłużej. Nie można było przy tym kręcić się zbyt długo w jednym miejscu, gdyż konfidenti mogliby po prostu powziąć podejrzenia. Szybkim ruchem wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i wyskoczył na rogu Rynku i ul. Limanowskiego. Dobięł do jednej z bram i stąd bacznie obserwował Rynek. Minęła długa chwila. Wreszcie w Rynku ukazał się Migała; miał na sobie jasnoszary płaszcz zamiast poprzednio granatowego. Zatem przebrał się w melinie.

Roman wyszedł z bramy. Ruszył w dół ul. Limanowskiego i zatrzymał się za kioskiem. W porządku, idą w tę stronę. Odprowadził „zacne” towarzystwo aż pod numer 20 do mieszkania Migały. No i służba na dziś skończona. Dalsze śledzenie poprowadzi jutro mój następcą, jak zapewniał „Łubiński”.

Zawada wskoczył do przejeżdżającej „trójki”. Nie poszedł na przystanek, gdyż nie był pewny, czy sam też nie jest śledzony. Takie „magiczne” pierścienie (pan A szpieguje pana B, pan B pana C, a pan C szpieguje znowu pana A) nierzadko się trafiają. W tramwaju spotkał „nie zorganizowanego” znajomego, który po krótkiej rozmowie myślał, że Zawada spędził noc w Podgórzu z kobietą. Rzecz prosta, że Romanowi takie zamaskowanie jego bytności w dzielnicy odległej od miejsca zamieszkania było bardzo na rękę. Poza tym takim posądzeniem nie czuł się obrażony.

*

„Jim” starannie obwiązał sznurkiem otrzymaną od Zawady paczkę, którą przyjął na przechowanie. Były to instrukcje i inne „nieprawomyślne” druki, których Roman wolał nie trzymać w swej obecnej melinie.

— Stary, żeby tylko rodzina nie znalazła.

— Nie ma obawy. Zemdleliby ze strachu, z wyjątkiem będącej u nas chwilowo ciotki z Warszawy. Ona jedna morowa.

Świerczyński przeżył w sobotę 22 stycznia nieprzyjemną emocję, zabierając z prowizorycznego ukrycia na Prądniku powielacz i niosąc go przez całe miasto. Uczynił to na prośbę Romana, który tego dnia po południu miał spotkanie z „Bronkiem” i „Łubińskim”, a poza tym musiał szukać nowej meliny dla „Bronka”. „Jim” opowiadał o transporcie:

— Jak go niosłem, było mi porządnie ciepło, bo to już było po ósmej. Na ulicach ani jednego człowieka — sami Niemcy. Sukinsyny oglądali się nawet na mnie dość ciekawie. Żeby nie mój szwabski płaszcz z LHD¹, to by mnie nie raz zatrzymali. Nagle wpadłem wprost na patrol. Byłem przygotowany na najgorsze, bo w moje tłumaczenie, że zapłacono mi 100 złotych za odniesienie tej paczki, np. na róg Starowiślnej, nie uwierzyłby nawet najgłupszy policjant. Odetchnąłem dopiero w domu. Dobrze, że matka wyjechała „za handlem”, bo inaczej by mi to nie uszło na sucho. Zaraz byłaby zaciekawiona, co też tam takiego przyniosłem. Ciotka, bardzo morowa kobieta, oświadczyła mi, że zmówiła już za mnie „wieczne odpoczywanie”. W razie gdybyś

¹ Skrót od Luftschutz Hilfs Dienst (Pomocnicza Służba Przeciwlotnicza).

chciał odebrać powielacz, a mnie nie byłoby w domu, możesz mówić z nią, jak ze mną.

— Wspaniale, stary. Jestem ci za to nieskończone wdzięczny. „Bronek” był?

— Mówił, że będzie dziś o tej porze.

Rozmawiali jeszcze o rzeczach mniej ważnych, gdy zabrzmiał dzwonek. W przedpokoju „Bronek” przywitał się z kolegami.

— Panowie — zaczął prosto z mostu — w przyszłości będzie „mokra robota”. Niebawem rozpoczniemy przygotowania do niej. Oczywiście, że nie odbędzie się to jeszcze w tym tygodniu ani w przyszłym, bo tym razem musi być dokładnie opracowana.

„Jim” i „Wiktor” przytaknęli z zachwytem.

— Poza tym w najbliższych dniach nasza zwykła praca — ulotki. Oto one.

„Bronek” wyciągnął z teczki plik „Ostwache” oraz w czerwonej okładce numery 11—12 z grudnia 1943 roku humorystyczno-dywerysyjnego pisma dla Wehrmachtu „Der Klabautermann”². Koledzy przeczytali pobieżnie „Klabautermanna”, śmiejąc się z zamieszczonych w nim dowcipów: Hitler, Himmler i Goebbels krążą w lesie krzyżów, na których wiszą niemieckie hełmy wojskowe. Ziemia składa się z trupich czaszek. Pod rysunkiem napis. „Zwar sind wir Führer, doch aus diesem Labirinth — Auswege schwer für uns zu finden sind!”³. Inne rysunki przedstawiały w sposób nieraz makabryczny, niemniej jednak dowcipny, różne kawały.

² Dobroduszny duch okrętowy, kobolt (chochlik), opiekujący się okrętem. Ilustrowane, trójbarwne pismo „enowe” przeznaczone dla Wehrmachtu. Ukazywało się od lipca 1942 roku.

³ Wprawdzie jesteśmy wodzami, trudno nam jednak znaleźć wyjście z tego labiryntu.

Powtarzał się w nich motyw przewodni: antagonizm wojskowo-partyjny.

— Jeżeli już o tym mowa, to najlepszy był chyba wic z ósmego numeru „Klabautermanna” (który rozrzucałiśmy 11 września zeszłego roku) przedstawiający dwa rysunki: grobu wojskowego i burdelu, oraz napis:

Zwischen dem Held und Hund
Der Gegensatz ist Grell:
Soldaten gehen zugrunde...
Gestapo ins Bordell!⁴

— Świetna robota — chwalił Zawada szatę graficzną „Klabautermanna” — jaki staranny dobór czcionek, no i kolorowy druk.

— Tak, panowie — dodał „Broniek” — w Warszawie mają lepsze warunki pracy niż my, a w tajnych drukarniach są nawet linotypy. No, do rzeczy: Te ulotki trzeba jak najprędzej rozesać. Można bez przesady powiedzieć, że każda dobrze trafiona ulotka, to jeden strzał moralny w naszej podziemnej wojnie.

— Racja fizyka! Załatwione!

Po rozdzieleniu półtorej setki ulotek (kontyngent „Wulkana” podzielili między siebie) pożegnawszy się z „Jimem”, „Broniek” z „Wiktorem” wyszli. Po drodze rozmawiali o sprawie „Wulkana”.

— Nadal żadnych wiadomości z gestapo?

— Nic. Wiesz zresztą, że to są rzeczy bardzo płynne. Przypominasz sobie ostrzeżenie w gazetkach o grasujących oszustach, którzy pod pozorem interwencji w gestapo wyłudniają od rodzin aresztowanych duże sumy. No i nasza „góra” musi uważać, aby nie wpaść. Ale za-

⁴ Różnica pomiędzy bohaterem a psem jest oczywista: żołnierze idą do ziemi... gestapo do burdelu!

ręczono mi, że najdalej do tygodnia będę już coś bliższego wiedział.

Z dalszych słów Jerzego Zawada dowiedział się, że trzeba będzie zmienić melinę, bo pewien Ukrainiec w kamienicy zaczyna się coś interesować „Bronkiem”. Niewykluczone, że trzyma sztamę w najlepszym razie z Schupo, a najprawdopodobniej z gestapo.

— Źle. Czekaaj, stary, może dałoby się wsadzić cię do Pielińskiego? Przypominasz go sobie? Wygody miałbyś mniej, ale miejsce jest.

— Wiesz, że to dobra myśl. Po co nam wygody, byle tylko było gdzie spać, choćby w chlewie.

— Patrz no, stary, o wilku mowa, a wilk tu. Przecież to Fredek, nie mylę się!

Istotnie, w przechodniu idącym naprzeciw nich Plan-tami Dietla z daleka rozpoznali Pielińskiego. Nigdy chyba Fredek nie zjawił się bardziej w porę. Jak przewidywali, nie okazał najmniejszego sprzeciwu, raczej gotowość schronienia u siebie nawet kilku ludzi. Z pewnym zażenowaniem nadmienił o paru rozlatujących się meblach do spania i o starych workach, które muszą zastąpić kołdry.

— Drobiazg, Fredziu, aleś się zjawił jak w bajce. To się nazywa korzystny zbieg okoliczności. Na razie czołem, bo nam się spieszy. Wpadniemy do ciebie wieczorem. Cześć!

— Cześć!

Koledzy skręcili w ul. Krakowską. Nagle „Broniek” trącił lekko „Wiktora”.

— Patrz na tamtego przechodnia w szarym palcie i okularach. Psiakrew, że tu nie ma w tej chwili „Władka”! („Łubińskiego”)

— Kapuś? — domyślił się Zawada.

— Tak. Zapamiętaj jego rysopis i podaj „Władkowi”. To także jeden z przyszłych „klientów” plutonu egzekucyjnego.

Przymknąwszy oczy, Zawada dokładnie powtórzył rysopis wysokiego mężczyzny, po czym pożegnał się z „Bronkiem” i rozeszli się każdy w swoją stronę.

*

W pogodne piątkowe popołudnie 28 I 1944, gdy „Bronek”, „Wiktor” i „Jim” śmiali się z najnowszych dowcipów politycznych i planowali dalszą akcję, „Wulkan” straszliwie zmasakrowany przesłuchaniem leżał na twardej pryczy więziennej, łagodząc ból zimnymi okładami podawanymi przez współtowarzyszy. Niewiele to jednak pomagało: ponownie zemdłał. Za oknem jakiś gestapowiec gwizdał beztrosko: „Komm zurück, ich warte auf dich ⁵...”

10 lutego 1944

„Bronek” czyni starania o przydział do oddziału leśnego w terenie, gdyż w mieście znajduje się w trudnej sytuacji. Dopóki Migała chodzi po świecie (a jeszcze nie wiemy, jak długo będzie chodził), może najniespodziewaniej natknąć się na niego na ulicy. Sprzątnąć zaś Migały na razie nie można, bo nauczony doświadczeniem ma się na baczności. Obserwujemy go stale na zmianę, kilka dni temu znów miałem go na oku. Chodzi nadal z ubezpieczeniem.

Uważam, że dosięgnąć go można tylko w mieszkaniu, ale to wymaga długiego czasu na przygotowanie.

⁵ Wróć, czekam na ciebie...

Migała mieszka w oficynie. Wchodząc do bramy przechodzi się najpierw przez sień, potem przez podwórze (na środku parę anemicznych drzewek ogrodzonych płotkami). Po lewej stronie tylna ściana kamienicy, po prawej ganki, skrzydła oficyny, a na wprost sień oficyny, gdzie konfident mieszka na pierwszym piętrze. Sień ta przechodzi na drugie małe podwórko i kończy się wysokim parkanem, przez który widać pobliskie domy. Niedaleko, w sądzie na ul. Czarnieckiego, mieści się podgórska placówka gestapo. Jak z tego widać, niełatwy teren.

W tych dniach była mała awantura, po której mam utrudniony kontakt z Ludwikiem. Mogę go teraz widywać tylko, gdy jest na służbie w LHD. Do jego domu mam wstęp wzbroniony, gdyż matka znalazła instrukcję daną mu przeze mnie, no i zaczął się „pater noster”. Od razu domyśliła się, że to ode mnie lub od „Bronka” (nikt inny od dawna nie odwiedzał „Jima”). Dobrze, że nie znalazła powielacza. Ciekawe, czy spotkałby go ten sam los, co instrukcję, która natychmiast poszła do pieca.

Kobieta, bojąc się o swych bliskich, jest zdolna często do nieobliczalnych czynów. Lecz może to i lepsze, niż gdyby np. udawała, że się godzi na pracę w Organizacji, a jednocześnie starała „z honorem” wykręcać od niej. Dużo było i jest takich kombinatorów. Należy do nich część wciągniętych przez nas w styczniu 1943. Ale bez nich znakomicie damy sobie radę, no i zapamiętamy sobie ich dobrze, by kiedyś (o ile doczekamy się końca wojny) takie oferty nie udawały „wielkich bohaterów podziemia”. Słyszałem, że po tamtej wojnie było dużo takich „farbowanych lisów” — karierowiczów. Na ogół moi koledzy pracują dobrze. Jedni mniej,

inni więcej, lecz wszyscy razem przeszkadzamy „dziełu odbudowy GG”.

Moją ambicją jest robić najwięcej, ile tylko mogę. Koledzy z AK przeważnie pracują zarobkowo lub chodzą do szkół, a „Chętny”, „Łubiński”, „Broniek” no i ja siedzimy po uszy w „robocie”. W Ernährungu będę figurował do marca, potem wykombinuję inne dokumenty. W każdym razie nieciekawe jest przeciętne zjedanie chleba przez 365 dni w roku, kiedy z „robotą” ma się do czynienia raczej dorywczo.

14 lutego 1944

Stoję przy powalonym farbą powielaczu. Co chwila jęk nie naoliwionych sprężyn i lepki szelest wałka przerywa ciszę, a do stosu lśniących farbą arkuszy przybywa nowa odbitka. Rytmicznym ruchem zabieram z paczki lewą ręką arkusz papieru i kładę go na płytę powielacza. Potem przyciskam ramkę z matrycą i silnym ruchem wałka przejeżdżam po niej. Przetłoczona przez drobniutkie otworki w matrycy farba znaczy na papierze kształty układające się w słowa: Krowoderska 13 — Długa 9, pl. Szczepański 6 — Reformacka 3, Bożego Ciała 24 — Józefa 9 (na lewo przez podwórze), Kalwaryjska 30 — pl. Serkowskiego 5... Dużo jest takich przechodnich bram w Krakowie. Znajomość ich może nieraz zadecydować o czymś życiu lub powodzeniu jakiejś akcji.

Pierwsza setka „bram” gotowa. Otrzyma ją „Łubiński”. Gdyby „Wilhelm” i „Stempel” znali tę bramę przy ul. Serkowskiego 5 — Kalwaryjska 30, może dziś żyliby jeszcze.

Rozprostowuję zmęczone palce. Raz przesunąć wałek

nie jest sztuką, ale powtórzyć ten ruch 300 razy to dość męczące. Jest to całkiem mechaniczna robota. Gdyby to było za pieniądze, wątpię, czy chciałoby mi się pa-prać z tym kramem.

Fredek zagląda do pokoju. Przygląda się, jak — po raz nie wiem już który — podgrzewam (na rozpalonym na poczekaniu ognisku z papierów) tężejącą szybko farbę. W pokoju jest 5 stopni ciepła i nawet przy pracy mam na sobie płaszcz i szalik.

Pieliński okazał się morowszy, niż przypuszczałem, choć znajomi uważają go tylko za zwykłego kombinatora i bon vivanta, jednakże jest on także i bezinteresowny. Dobrze świadczy o nim fakt udzielania nam pomocy przez zezwolenie na nieograniczone korzystanie ze swego mieszkania.

Z ulicy słyhać ciężkie kroki patrolu. Jesteśmy od-dzieleni od nich zaledwie paroma pseudoogródkami i kilkoma ceglami ściany. Atmosfera w pokoju jest po prostu biegunowo przeciwna od atmosfery ulicy, gdzie brutalnie panoszy się Herrenvolk i przymusowo ustę-pują z drogi Polacy. Tutaj głośno rozmawiamy o Armii Polskiej walczącej od Tobruku po Anzio i Nettuno⁶ w Południowych Włoszech, o klęskach niemieckich nad Dnieprem i o „wałach”, jakie Japończycy obrywają w Birmie i na Pacyfiku. Nie tylko możemy rozmawiać, ale także we własnym zakresie przyczyniać się sami do tych „wałów”, jakie sypią się na Oś.

Spostrzegam przez okno przechodzącą ulicą Krysię (mieszka w pobliżu). Czy choć przez sekundę może jej

⁶ Polacy nie walczyli na przyczółku pod Anzio i Nettuno. II Korpus Polski znajdował się wówczas w rejonie Tarentu, w południowych Włoszech, przygotowując się do zajęcia pozy-cji na tzw. linii Gustawa.

przyjść na myśl, z jakich prawdziwych powodów zerwałem z nią wtedy znajomość i jakie teraz w domu, który często mija, zbiera się towarzystwo?

15 lutego 1944

„Broniek” otrzymał nareszcie wiadomość o „Wulkanie”. Został on straszliwie pobity podczas przesłuchania w piątek 28 stycznia, ale dzielny chłop nie wsypał nikogo. W czasie przesłuchania pytano go w pierwszym rzędzie o nazwiska współuczestników zamachu na Migalę oraz o innych kolegów. Mimo bicia i tortur uporczywie twierdził, że nie zna nazwiska żadnego ze swych kolegów, choć po tym przesłuchaniu stan jego zdrowia poprawił się dopiero po 2 tygodniach. Oprawcy nie wskórali nic. Żadnej „Ostwache” nie znaleźli ani Migala nie wie o Wydziale N. Na razie jednak nie wrócę jeszcze do domu, aż cała sprawa nie wyjaśni się ostatecznie, bo po jakimś czasie znów mogą dobrać się do niego. Wcale nie winiłbym go, gdyby coś zdradził, bo trudno wytrzymać tortury.

Wczoraj wieczorem Jerzy skontaktował mnie z „Narciarzem”, który obejmuje po nim kierownictwo naszej sekcji i kontakt z szefem N. Wziąwszy pod pachę paczkę świeżo odbitych broszur dla szefa Wydziału N, udaliśmy się na spotkanie z „Narciarzem” na pl. Wolnicę.

Sypał gęsty śnieg. W świetle latarni i reflektorów aut wirowały nieskończone ilości białych płatków. Zasnienieni przechodnie brnęli do domów, nie zwracając na nas większej uwagi, wskutek czego mogliśmy przez dłuższy czas kręcić się na jednym miejscu. Wreszcie zjawił się oczekiwany. Rozmawialiśmy dłuższą chwilę, omawiając dalsze plany na przyszłość.

— Będziemy teraz razem pracowali, panie „Wiktorze” — mówił „Narciarz”, ocierając twarz ze śniegu. — „Bronek” wkrótce wyjeżdża i ja będę na jego miejscu. Dam panu na wszelki wypadek kontakt ze mną, ale lepiej na razie z niego nie korzystać. Przez pana będę miał łączność z „Jimem” i „Kannerem”, ja zatrzymam dla siebie tych dwóch nowych, których mi pan (zwrócił się do „Bronka”) jutro przekaze.

Przechodził granatowy policjant. Błyskawicznie zmieniliśmy temat rozmowy. Opowiedziałem dwa „niepolityczne” dowcipy, aż przeszedł. Podałem „Narciarzowi” mój stały adres i obecny (przenoszę się w tych dniach „na melinę” do Pielińskiego), po czym umówiliśmy się na dwudziestego piątego godz. 18 pod kinem „Scala”. Gdy „Narciarz” zniknął zakryty padającym śniegiem, „Bronek” uśmiechnął się lekko i w niby uroczysty sposób odezwał się:

— Stary, jutro o wpół do czwartej spotykamy się na chodniku między mostem Piłsudskiego a komisariatem policji. „Bard” z „Na ucho” chce mieć z tobą bezpośredni kontakt po moim odejściu „do lasu”.



Od samego rana spacerowałem dziś po mieście, korygując i sprawdzając spis bram przechodnich. Przy tej okazji wykrywałem nowe. Po południu napisałem parę dowcipów do „Na ucho” i parę minut przed wpół do czwartej znajdowałem się na umówionym miejscu.

Zauważyłem wiszącą na kiosku listę skazanych na śmierć przed dwoma tygodniami. Przeczytałem jeszcze raz poszczególne nazwiska. Przy jednym z nich zatrzymałem się dłużej, przypomniawszy sobie jakieś dawne spostrzeżenia. Nie znałem nazwiska „Wulkana”, ale te-

raz poznałem je na liście. Szczegóły zgadzają się, tak to on! Przybyły na spotkanie „Broniek” potwierdził moje przypuszczenie. Na liście tej znajdował się także brat „Wulkana”, aresztowany w związku z sabotażem na stacji kolejowej w Płaszowie, gdzie uszkodzono mechanizm lokomotyw wiozących materiał wojenny na front wschodni.

— Wiesz — zwrócił się do mnie Jerzy — mimo że obaj są na tej liście między skazanymi na śmierć, jak dotąd nie zostali rozstrzelani i nie jest wykluczone, że uda się ich stamtąd wyciągnąć. W grę wchodzi tu suma stu tysięcy złotych, na które złakomił się jakiś dygnitarz w gestapo.

— Niemożliwe?!

— Zdaje się, że zostaną najpierw wywiezieni do Oświęcimia, stamtąd gdzieś na roboty, a z robót uda się ich już wyciągnąć.

— Żeby się to dało, byłoby cudownie!

— Idzie „Bard” — przerwał Jerzy.

Od strony Rynku Podgórskiego nadchodził szczupły, wysoki młodzieniec w szarym palcie, granatowym szaliku, kapeluszu i w rogowych okularach.

— Czołem!

— Czołem! Proszę, oto „Wiktor”.

— Cześć!

Uścisnąłem silnie dłoń literata. „Bard” wyraził mi uznanie za dotychczasowe „kawały” (nie przypuszczałem, że są one tam tak pochlebnie oceniane). Sprawilo mi to duże zadowolenie, choć może oni przeceniają moją pracę. Nie jestem przecież literatem ani humorystą i wątpię, czy byłbym kiedykolwiek zdolny napisać jakąś książkę. Dowiedziałem się jeszcze sposobu kontaktu z „Bardem”: stale można go spotkać o godz. piątej po

południu na rogu ul. Smolki i Kalwaryjskiej we wtorki, czwartki i soboty. Umówiwszy się na czwartek, pozegnałem literata.

19 lutego 1944

Sprawa Migąły w dalszym ciągu nie ruszyła z miejsca. Co kilka dni któryś z nas śledzi go podczas drogi do domu (od 1 lutego otrzymał stałą pracę na Pomorskiej) i wszystko pozostaje bez zmian.

Jerzy dostał od Fredka porządny młotek, który stale nosi przy sobie, aby przy korzystnej okazji rozbić (tym razem dokładnie) głowę konfidenta. Pomimo swej groteskowości plan ten miałby szanse powodzenia, gdyby nie to, że Migąła bardzo rzadko przebywa bez swoich „aniołów stróżów”. Osobiście nie popieram tego planu, uważając, że można go osiągnąć tylko w mieszkaniu (jego matka jest także na usługach gestapo), ale wymaga to dłuższego czasu.

Ustaliliśmy, że Migąła około pół do piątej wychodzi z ul. Pomorskiej, po czym tramwajem wraca do domu, przesiadając pod pocztą na „trójkę” lub „szóstkę”. Z przystanku na dawnym „międzygetciu” idzie Józefińską do domu. Po zjedzeniu obiadu w domu często wieczorem kręci się po Podgórzu i wtedy przeważnie jest z tymi drabami, rzadziej zaś sam. Mniejsza już o to, że nie wychodzi z pustą kieszenią, lecz z „siódmką” waltera. Istnieje jeszcze jedna ewentualność sprzątnięcia konfidenta: pewien jegomość może mieć okazję otrucia go. Jak? — nie wiemy bliżej.

Czas wlecze się ospale. „Broniek” przygotowuje się do wyjazdu do oddziału. Razem z nim odejdzie „Słowik”, również znany Migale, który jednakże w styczniu

okazał się rozważniejszy od „Wulkana” i uniknął aresztowania. Na ich miejsce otrzymaliśmy od „Bronka” dwóch nowo zaprzysiężonych ludzi, znanych nam na razie tylko z pseudona — i oby zostało tak dalej. Im mniej kolegów zna się z nazwiska, tym lepiej. Należy to dotąd powtarzać wszystkim z otoczenia, aż po prostu wejdzie im to w nawyk. Znow jest nas teraz pełna sekcja: „Narciarz”, „Kanner”, „Jim”, „Wiktor” oraz „Draż” i „Ziemniak” (dwaj nowi). Podobno jeszcze „nie wachali prochu”, mówiąc wojskowym językiem, ale chyba wnet się wciągną w „robotę”.

Przedwczoraj dostałem od „Barda” *Antologię poezji polskiej 1939—1943*⁷. Są to wiersze o treści patriotyczno-konspiracyjnej, pisane przez niego, „Szarzyńskiego”, „BG-go”, „Smreka” i innych z redakcji „Na ucho” i „Watry”. Jest tam nawet jeden wiersz „Bronka”, a drugi opisujący „robotę” z maja, w której brał udział on i „Chętny”. W tym drugim wierszu niepotrzebnie wymieniane są ich pseudonimy. Oprócz tego będę dostawał bezpośrednio od „Barda” „Na ucho”, „Watrę”, „Dziennik Polski” (organ Stronnictwa Polskiej Demokracji) i inne gazetki. Na razie nie dociera do nas MBI (dostaniemy go dopiero od „Narciarza” z początkiem marca) i zamiast niego przeczytam, co politycy piszą.

Dziś spotkałem się z „Bronkiem” w mieszkaniu Lolka Burkowskiego. Tak jak przypuszczałem, jeszcze podczas korzystania z gościnności rodziny Karola, nie udało się wobec niego utrzymać tajemnicy, że u mnie w domu żadnego „gazowania” nie było. Chłopiec był tym za-

⁷ *Krwawe i zielone. Antologia poezji polskiej 1939—1943*, pod red. Tadeusza Staicha, Kraków grudzień 1943. „Szarzyński” i „BG” — „Bartuś Gronikowski” to pseudonimy Jerzego Szewczyka i Tadeusza Słajcha.

chwycony, pali się po prostu do „roboty”, ale uważałem, że na razie nie można go wciągać ze względu na wiek — dopiero w lipcu skończy siedemnaście lat. Zresztą pozostawiam tę sprawę „Bronkowi”, bo ojciec Lolka nie uważa go za solidnego i odpowiedzialnego (zmiarkował, że syn zainteresował się AK) i stale prosi mnie, abym go jeszcze zostawił na boku, a wciągnął dopiero w razie otwartej walki.

Od „Bronka” dowiedziałem się, że na „górze” wyrażono zgodę na zaprzysiężenie Lolka i że nastąpi to w najbliższym czasie, ale nie w naszej sekcji. W porządku, „góra” wie, co robi.

Siedzieliśmy w trójkę przy stole, przeplatając rozmowę anegdotkami, ilekroć przez pokój przechodziła matka lub siostra Burkowskiego. Gdy już nagadaliśmy się do syta, „Bronek” wypowiedział kilka słów, których wysłuchałem ze zrozumiałym zainteresowaniem.

— W tych dniach będzie oryginalna „robota”. W celu kontynuowania „wojny nerwów” z polecenia szefa „enu” rozlepimy afisze zawiadamiające Niemców o ewakuacji ich z Krakowa wobec odwrotu wojsk Osi nad Dnieprem.

— Pierwszorędnie — roześmiałem się prosto w nos, nie rozumiejącemu jeszcze, o co chodzi, Lolkowi (tylko po co mówić o tej sprawie przy jeszcze nie zaprzysiężonym?).

Burkowski zrobił zdziwioną minę i spojrzał pytająco na Jerzego.

— No, nie rozumiesz, Lolek? Jak nalepimy takie afisze, to pomiędzy Niemcami zrobi się sakramencki popłoch. Może nawet wielu zwieje z Krakowa, jak się da na to nabrać. Chodzi nam o to, aby stale podtrzymywać między cywilbandą niemiecką stan naprężenia

psychicznego, że nieustannie zagraża im tu nieznanie niebezpieczeństwo — wyjaśniał „Broniek”.

— Aha, Jerzy, a czy ja też nie mógłbym wziąć w tym udziału?

— Jeszcze nie, do tego muszą już być wypróbowani goście. Poczekaj, wciągniesz się i ty. Zrozumiałe, że o tym nikomu ani pary z ust, żebyś przypadkiem nie chciał zaimponować tym swojej najdroższej, bo nici z przyjęcia do AK, no i inne gorsze konsekwencje.

— Za kogo mnie masz? — oburzył się Lolek.

Kiedy rozstałem się z „Bronkiem”, kręciłem się trochę po mieście, licząc minuty do spotkania z „Bardem”. Ruch duży, jak zwykle w porze popołudniowej, gdy wszyscy wracają z pracy. Tłumy wojskowych i cywilnych Niemców przewalały się chodnikiem, a ja zastanawiałem się, jakie będą mieli głupie miny, gdy zobaczą urzędowy rozkaz ewakuacji z GG. Również między Polakami powinno to wywołać odpowiednie wrażenie. Dzisiaj oczekiwałem „Barda” na al. Krasińskiego, bo według posiadanych przez niego informacji róg Kalwaryjskiej i Smolki „śmierdzi” (jest pod obserwacją gestapo). Już z daleka zauważyłem podniecenie nadchodzącego.

— Kolego „Wiktor”, czy wiecie, że „Broniek” przed kilkoma minutami cudem uniknął śmierci?

— Co takiego?

— Migąła goił go po Kalwaryjskiej.

— To chyba wyjątkowo tam przechodził o tej porze?

— Prawdopodobnie, bo jest dopiero pół do czwartej. Szedł z jakimś gestapowcem i zauważyli „Bronka” czekającego na tramwaj na rogu ul. Legionów. Podszedłszy go znienacka od tyłu, zażądali dokumentów, ale

„Broniek” nie stracił głowy i dał nura między ludzi na przystanku. Gonili go przez kawał Kalwaryjskiej (dziwne, dlaczego nie strzelali, może dlatego, że kluczył między przechodniami) i źle by z nim było, gdyby nie brama przechodnia pod trzydziestką na pl. Serkowskiego. Kolego, osobiście od siebie wam dziękuję za ten spis bram przechodnich. Może i mnie się przyda. Teraz druga rzecz, znacznie gorsza.

Stanąłem jak wryty, gdy się dowiedziałem, że wczoraj wieczorem został aresztowany „Chętny” i że w domu u niego znaleziono rewolwer.

— Psiakrew, zaczyna być coraz gorzej. „Kozak”, teraz „Chętny”, dziś o mały włos „Broniek”, przedtem „Wilhelm”, „Stempel”, „Bur” i „Wulkan”...

Schowawszy gazetki od „Barda”, wracałem na mełinę do Pielńskiego. Żał mi było „Chętnego”. Był to jeden z najmorowszych członków Organizacji, jakich znałem. Gorzej, że on też znał moje nazwisko i adres. Czemu nie zwiął zawczasu? Chyba wiedział albo przynajmniej przypuszczał, co się święci? Czy to nie dalsza robota Migaly? Według opinii „Barda” zaszkodził mu także wiersz pt. *Wyrok wykonano*, znajdujący się w *Antologii*, a opisujący wykonanie wyroku śmierci w dniu 14 V 1943 roku przy ul. Dolnych Młynów 6 na konfidencie gestapo Edmundzie Półtoraczku. Są w nim wymienione pseudonimy uczestników tej „roboty”. Nie rozumiem, jak „góra” mogła w ogóle pozwolić na wydrukowanie czegoś takiego? Teraz na śledztwie w gestapo (choćby się kategorycznie wypierał) nic nie pomoże, gdy zażądają rysopisów drugiego uczestnika wyroku oraz obstawy, nie mówiąc już o tym, że „Chętny” zna dużo nazwisk i adresów. Drugim uczestnikiem powyższej akcji był „Broniek”, a wyrok ten był jednym z pierwszych

występów plutonu w maju czterdziestego trzeciego roku.

Ubywa z szeregów ludzi. Wciąż następują coraz to nowe aresztowania. Niejednokrotnie przypadkowe zatrzymanie za drobnostki administracyjne kończą się trafieniem na Organizację. Przy każdej walce są ofiary, ale tu jest ich chyba więcej niż w normalnej jednostce na froncie. Najwięcej oczywiście ryzykują ci, którzy prowadzą czynną działalność. Chociaż dziś sama tylko przynależność do Organizacji jest kwalifikowana tak samo, jak nielegalne posiadanie broni czy strzelanie do policji i zamachy. Ilu z nas doczeka końca wojny? Po masowych aresztowaniach i egzekucjach, które przybrały największe nasilenie w październiku i listopadzie, odnoszę czasem wrażenie, że jakieś niewidzialne sieci zaciskają się coraz mocniej dookoła nas. Komu uda się z nich wyplątać? Lecz to unikanie zasadzek i wyślizgiwanie się konfidentom, mimo niebezpieczeństwa, ma też swój urok. Po ulicach spacerują, przystając często w bramach i przy większych chwilowych skupiskach ludzi, różne obskurne typy, w których od pierwszego rzutu oka można rozpoznać szumowiny na usługach gestapo. Obserwują oni ulice i domy, podsłuchują rozmowy przechodniów; oszukiwanie ich, wykręcanie się wścibskim spojrzeniom — to prawdziwa „wojna nerwów”, w której zwyciężamy! Jest przy tym ryzyko, hazard i gra.

Przy zaostrzającej się walce, równoczesnym rozbudowaniu sieci ulicznych obserwatorów coraz niebezpieczniejsze staje się pozostawanie bez stałego zajęcia, gdyż Kraków jest terytorialnie niezbyt rozległy (a gros „roboty” koncentruje się przy tym na niewielkim stosunkowo obszarze) i osoba kręcąca się o rozmaitych

porach dnia siłą rzeczy jest przedmiotem zainteresowań gestapo.

Dopóki jednak się da, będę „bez zawodu”. Przy odrobinie sprytu, no i szczęścia, można uniknąć takiej ulicznej obserwacji. O wiele groźniejsi natomiast są zamaskowani szpiegzy między naszymi. Jest ich raczej mało, ale nawet w małym procencie, są niebezpieczni. Jedyna na to rada: ostrożność posunięć do jak najwyższego stopnia, aby w razie wsypy nie wpadło wielu.

25 lutego 1944

Gdy miałem 7 lat, w roku 1933, zacząłem chodzić do kina na najrozmaitsze filmy z Tomem Mixem, Ken Maynardem, Jackiem Cooperem i kontynuowałem to pomimo niechęci tzw. czynników zwierzchnich aż do sierpnia 1939 roku. Pod wpływem tych filmów przed z górą dziesięciu laty miałem wielką ochotę na strzelanie i inne wyczyny; wówczas, rzecz prosta, nie przypuszczałem, że dziecinne marzenia zrealizują się kiedyś, i to wcale nie na Dzikim Zachodzie (jako cowboy), lecz w kraju, w jego obronie.

Kto zresztą wówczas mógł przewidzieć, co się będzie działo w cywilizowanej Europie w połowie XX wieku? Przypominam sobie przekład trafnie napisanego artykułu pt. *Czarna i krwawa ziemia* (*The Dark and Bloody Ground*) w jednym z podziemnych pism, który przeczytałem w listopadzie. Autor opisuje w nim GG, stawiając słuszną tezę, że od samego początku istnienia „nowego ładu Europy” wytworzyły się tu stosunki z czasów kolonizacji Afryki lub Dzikiego Zachodu w USA XIX wieku. Po prostu nasuwają się rozmaite analogie, są tu najeźdźcy i odwieczni gospodarze, masowe morderstwa

„tubylców”, obławy na niewolników, niewolnicza praca dla „rasy panów”, rozpijanie wódką „krajowców”, uzbrojeni „wojownicy” po lasach, półdzycy, a nawet całkiem dzicy „kacykowie” jako panowie życia i śmierci „poddanych”, handel z „tubylcami” będący rabunkiem (kontyngenty), „gorączka złota” z milionowymi fortunami, rosnącymi jak grzyby po deszczu, i Warszawa — geograficzne centrum Europy, w której co dzień rozgrywają się awantury i bitwy, nie mniejsze niż na „far West”⁸.

Przypominając sobie Toma Mixa, myślę, że w porównaniu z AK wyglądał on dość blado. Przy całej bowiem „robocie” mamy głębsze podstawy moralne niż zwykłe grandy z bandytami. Zupełnie zresztą zrozumiałe, że żaden z reżyserów filmowych nie przewidział, jakie będą warunki przyszłej wojny, i to wojny toczącej się setki kilometrów za frontem. Zjawiska w rodzaju dywersji i partyzantki nie występowały w latach 1914—1920 ani w dziesiątej części ich obecnych rozmiarów.

Był już późny wieczór, gdy pod „Scalą” spotkałem się z „Narciarzem”. Szkoda, że „Bronek” i „Słowik” są już na wylocie. Morowo się z nimi pracowało od przeszło roku. Jak to już dawno temu!

Według opinii „Bronka” (a zna on „Narciarza” lepiej ode mnie, nie od dziś) „Narciarz” jest dość wygodnym człowiekiem, który nie ma wielkiej ochoty „na robotę”. Zobaczymy.

Od nowego dowódcy sekcji dostałem sześć wielkich afiszy złożonych kilkakrotnie, które szybko włożyłem do teczki. Potem spacerowaliśmy chwilę po Karmeliczkiej, gdzie otrzymałem od „Narciarza” ogólne wytyczne na jutro.

⁸ Dalekim Zachodzie.

— Panie „Wiktorze”, z kim pan pójdzie? Według mojego planu najlepiej byłoby z „Kannerem”.

— Rozkaz. Wiem, że on ma już przygotowany klej.

— Tak jest. Będzie jutro czekał o trzy na piątą rano przed Barbakanem na przystanku „jedyнки”. Ruszycie w stronę Wawelu i będziecie nalepiać na następujących kioskach (tu wyliczył je). Postarajcie się skończyć najdalej za kwadrans szósta, a meldunek prześle mi pan przez „Bronka”.

— W porządku — odpowiedziałem.

Przerwałem na chwilę, robiąc miejsce dla dwu niemieckich policjantów. Od pl. Inwalidów nadjechał samochód, błyskając białymi ślepiami reflektorów. Przesunął się tramwaj.

— Zaraz, zaraz — mruknął raczej do siebie „Narcciarz” — rozplanowanie tej „roboty” jest następujące...

— Szefie, ciszej, bo nadchodzi granatowi!

— Ależ niech się pan nie boi, „Wiktorze”, bo jak niosę przy sobie prasę czy afisze, to zawsze mam maszynę w kieszeni.

— A to gips — pomyślałem. Jesteśmy pod kinem „nur für Deutsche”, naokoło sami Niemcy. Niezbyt to przyjemnie mieć świadomość, że naraz możemy zmienić się w marmoladę. Jedna maszyna, nawet rozpylacz, to za mało.

— Rozplanowanie „roboty” — kończył „Narcciarz” przerwany monolog — jest... Jedna dwójka — „Wiktor” i „Kanner”, druga — „Słowik” i „Jim” (przed odejściem „do lasu” jeszcze nam pomoże, „Bronek” także) trzecia — „Bronek” z „Ziemniakiem” (trzeba wciągnąć tych dwu nowych do pracy), czwarta — ja z „Drażkiem”. Oczywiście, nie liczę innych sekcji, ale to już nie nasza rzecz... No, to byłoby wszystko! Niech pan pamięta,

„Wiktorze”: jutro o trzy na piątą rano na przystanku „jedyński”, meldunek przez „Bronka”! Kontakt ze mną podam przez niego. Cześć! Trzymaj się, pan, ciepło!

— Czołem, szefie!

Potem poszedłem jeszcze do „Kannera” (po drodze wywinąwszy się niemal spod ręki legitymującemu przechodniów patrolowi Ordnungspolizei), by porozumieć się dokładnie co do jutrzejszego dnia, ale mimo że było to przed samą godziną policyjną, nie zastałem go w domu. Zdziwiłem się, gdy matka „Kannera” spytała wprost:

— Panie „Wiktorze”, o której jutro macie się spotkać w sprawie tych afiszy?

Byłem trochę zaskoczony tym pytaniem. Nie przypuszczałem, że Michał mówił o tym matce. Nie uczyniłbym tego nigdy u siebie w domu, gdyż obowiązuje nas zachowanie tajemnicy wojskowej. Poza tym w czasie „roboty” nie miałbym ani chwili spokoju, na który nieraz tak trudno się zdobyć, gdybym wiedział, że przez cały czas ktoś bliski niepokoi się o mnie. Niezależnie zresztą od tego wszystkiego sprawy Organizacji są — przynajmniej dla mnie — pewnego rodzaju sanktuarium, do którego nie wpuszczam nawet najbliższych.

Rozdział XVII

3 marca 1944

Jak było do przewidzenia, afisze o „ewakuacji” wywarły pożądany przez Kierownictwo Walki Podziemnej (KWP) skutek. Były one rozlepiane jednocześnie w Warszawie, Lublinie i w innych większych miastach Polski, powodując wśród Niemców i volksdeutschów wielki popłoch¹. Otrzymałem „Bim” (MBI) z czwartku 2 III 1944.

„Dnia 26 lutego br. w Warszawie, Krakowie i in. rozlepiła Polska Podziemna konspiracyjnie wydane afisze, rozkazujące Niemcom opuścić GG ... Do niemieckich komisariatów policyjnych wpływały setki telefonicznych zapytań, wielkie tłumy Niemców zaczęły sprzedawać wartościowe rzeczy i zaopatrywać się w walizki” — pisze „Przegląd Polski”.

Czytając to, rośniemy jak na drożdżach. Naszą dumę powiększa fakt, że (przynajmniej w Krakowie), o ile wiadomo, nikt nie wpadł przy nalepianiu afiszy.

Było bardzo zabawne i kosztowało wiele wysiłku, aby udawać greka, gdy słyszałem od różnych nie zorganizowanych znajomych opowiadania o rządowym nakazie ewakuacji Niemców z GG. Niektórzy ludzie my-

¹ Była to jedna z ostatnich „specjalnych” akcji „enowych”. Na treść afisza składało się rozporządzenie wyższego dowódcy SS i policji W. Koppego, datowane w Krakowie na dzień 24 lutego 1944 roku, regulujące kolejność ewakuacji Niemców i volksdeutschów.

śleli nawet, że to prawda i dopiero na drugi, trzeci dzień, gdy wyjaśniła się ta sprawa, z uznaniem wyrażali się o KWP. Nie wszyscy zresztą Polacy widzieli na własne oczy „Anordnungen”, bo policja od razu wiedziała, że takiego rozporządzenia nie było i już o dziewiątej rano nie zostawiono ani jednego afisza. Nic to nie przeszkodziło; od czego agencja JPP („jedna pani powiedziała”).

Po powrocie z „roboty” zastałem u Fredka ziewającego „Bronka” oraz jakiegoś jegomościa, który, gdy wszedłem do pokoju, obrócił się.

— Serwus, „Tender”!

— Czołem, stary!

Napisałem na maszynie meldunek „Bronka” i swój. (Oczywiście, w meldunku „Bronka” nie wspomnieliśmy o tym, jak po ukończeniu naklejania o 5³⁰ wyrznął na wiat słoiem od kleju w szybę NSDAP, Rynek Główny 25). Potem rozpoczęliśmy „fachową” dyskusję nad opowiadaniem „Tendera” o jego ostatniej „robocie”, której wraz z dwoma kolegami dokonali na własną rękę (nb. „Tender” był w listopadzie jednym z uczestników „wizyty” w biurze Rosenkranza).

— Wiecie — mówił „Tender” — kilka dni temu poszedłem jeszcze z dwoma z naszej sekcji na „robotę” do niemieckiego mieszkania. Wcale się tego nie wstydzę, panowie, bo oni nie mają z czego żyć, a obaj melinują się już przeszło pół roku. Wchodzimy — jak zwykle: „Hände hoch!” — no i na pozór wszystko w porządku. Stary Szwab i 14-letni gówniarz z Hitlerjugend od razu stanęli spokojnie buziami do ściany, ale jego żona zaczęła się drzeć: — „Hilfe, Hilfe! Polnische Banditen rauben!”²

² Na pomoc, na pomoc! Bandyci polscy rabują!

— Cicho, bo strzele! — ryczę i podsuwam jej lufę pod nos, a ta się tylko uśmiecha i mówi: „No, to dlaczego nie strzelasz?” — Po polsku, panowie! I dodała: „Zanim zdążysz wyjść na ulicę, to tu już będzie pełno ludzi”. — Wkurzyłem się trochę, bo wiecie, to było w tym dużym domu na pl. Szczepańskim, na trzecim piętrze. Ale miała nerwy.

— Niech krew zaleje! — wtrąciłem — Trzeba było...

— Właśnie, wpadłem na to samo co i ty. Dość, że po chwili było cicho na dłuższy czas... Tak, wolę mieć do czynienia z dziesięcioma Niemcami niż z jedną Niemką. Taki buc zobaczy maszynę i jest od razu cichy jak grób, a kobieta — nigdy nie można przewidzieć, jak się zachowa. W pewnych wypadkach trzeba użyć nawet siły.

— Masz rację — dorzucił „Broniek” — tylko, że trzeba wiedzieć, kiedy jej użyć.

— Racja, stary — dodałem, pokazując najpierw na pięść, a potem na głowę — trzeba mieć nie tylko tu, ale i tu, i opowiedziałem à propos stary dowcip o Witosie i trzech studentach.

„Broniek” i „Tender” wybuchnęli śmiechem, a „Tender” opowiedział, jak to został napadnięty przez trzech wagabundów za miastem, a miał wtedy w kieszeni maszynę. Opowiadał to w tak zabawny sposób, że z kolei obaj z „Bronkiem” ryczeliśmy ze śmiechu.

— Źle tylko — zauważyłem — że stale nosisz spluwę przy sobie, bo możesz przez to wpaść.

— E, teraz już nie noszę, od czasu „obmaców” na ulicy.

Wyszliśmy we trzech, odprowadzając „Tendera” na randkę z kimś z jego „góry”. Spotkawszy dowódcę je-

go plutonu (o wyglądzie przedwojennego lokatora Św. Michała ³⁾), pożegnaliśmy się.

— Fajny chłop — mruknąłem do „Berga” — ale za wielki wartogłów i za mało ostrożny. Jak się na niego natknąłeś w „robocie”?

— To przecież znajomy Fredka — odpowiedział Jerzy, który już od dłuższej chwili zdawał się nad czymś rozmyślać. — Nie chcę z nim mieć nic wspólnego i radzę ci, unikaj go. Ten chłop może wnet się skończyć z własnej winy.

— Wiesz, że i ja to samo myślę. Po cholereę oni robią te „grandy” na własną rękę?

— Właśnie. Nie wierzę mu, gdy mówi, że tamci dwaj nie mają z czego żyć. Zresztą tzw. lekkie pieniądze przeważnie się lekko puszcza, a nie obraca na życie. Założę się, że gdyby „góra” dowiedziała się o tej „prywatnej robocie”, mieliby sakramencką awanturę.

— Wyobrażam sobie — odpowiedziałem.

— Wiesz, stary, dam ci szczerą radę: „grandy” robione na własną rękę nieuchronnie kończą się wsypą. Oczywiście wcale nie bronię kieszeni Niemców, bo i tak to nie ich własność, lecz nasza, ale czy to jest godne żołnierza polskiego robić napady rabunkowe nawet dla własnego utrzymania? Co innego, jeżeli z rozkazu „góry” zdobywamy pieniądze na zakup broni czy inne fundusze dla Organizacji, bo wtedy to nie idzie do naszej prywatnej kieszeni.

— Masz zupełną rację, stary, i dziwię się „Tenderowi”. „Prywatnych robót” nigdy bym nie robił.

— Poza tym — ciągnął dalej „Broniek” — jeżeli „góra” coś każe, to przeważnie dokładnie przygotowują

³ Więzienie w Krakowie.

całą „grandę”, tak żeby było jak najmniejsze ryzyko. No, a prywatnie nie masz takich środków do dyspozycji.

Rozmawiając dalej, przeanalizowaliśmy kilka akcji z zeszłego roku. „Broniek” jest zdania, że gdyby „Chętny” mniej myślał o popisaniu się przed „Grzmotem”, a więcej o przygotowaniu całej „roboty” na kilka dni naprzód, sprawy najpewniej wzięłyby zupełnie inny obrót.

— Zazwyczaj dopiero po każdej akcji widzimy, ile w jej przygotowaniu było luk. Jeżeli one były niegroźne, „roboty” się udaje. Widzisz, dziś można ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że o życiu Migały zdecydował drobny szczegół. Gdybym „Wulkanowi” wyraźnie powiedział: uderz np. dwa razy Migałę w głowę, a potem zostawisz łom na ziemi i nawalisz, byłbym bez przeszkód go dokończył. A tak, zostało ustalone, że „Wulkan” łom wrzuci do wody. Zdenerwowawszy się, wrzucił go za wcześnie.

— Teraz ja bym ci palnął kazanie — odpowiedziałem. Dlaczego nie wzięliście mojego „majchra”, tak jak radziłem? Zaraz by kipnął i nie byłoby tej całej historii.

— Liczyliśmy, że łom wystarczy — mruknął „Broniek”.

Szliśmy dalej ulicą. Jerzy poddał mnie kilkakrotnemu egzaminowi ze spostrzegawczości, kładąc duży nacisk na to, żeby uważać, czy ktoś nas nie śledzi. Ponadto dał mi jeszcze szereg różnych rad na przyszłość. Ze sposobu jego mówienia domyśliłem się, że w najbliższych dniach wyjeżdża do „lasu”.

— Tak, właśnie na końcu chciałem ci to powiedzieć, mój stary. Zapamiętaj sobie jeszcze jedno: znajdziesz

nawet między niektórymi naszymi przełożonymi ludźmi wygodnych, więc bacz, by twoja chęć do „roboty” nie spowodowała, że zechcą spychać na ciebie to, co należy do nich. Musisz być krytyczny, a przy tym karny. Ja wyjeżdżam dziś lub jutro.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, po czym serdecznie pożegnaliśmy się ze sobą. Wrócę na melinę dopiero wieczorem i mogę go już nie zastać.

— No, stary, cześć! Jak będę mógł, to prześlę ci wiadomość z oddziału. Trzymajcie się ciepło.

— Serwus, stary! Wszystkiego „najgorszego”!

Silnie uściśnąłem dłoń „Bronka”. Patrzyłem chwilę za odchodzącym, aż zniknął za zakrętem. Potem udałem się na spotkanie z „Łubińskim”.

6 marca 1944

Miałem ostatnio pewne kłopoty, mianowicie dowiedziałem się, że mam być skreślony ze stanu zatrudnionych w biurze. Ponieważ wiąże się z tym konieczność oddania legitymacji, dzięki której mogłem dotychczas nie obawiać się poważniej legitymowania ani obławy, więc należało pomyśleć o lewych dokumentach. W wypadku zaś niemożności uzyskania ich nie pozostawałoby nic innego, jak starać się o pracę.

Na wszelki wypadek czyniłem już takie starania. Robiłem to z ciężkim sercem, wspominając swoją mordęgę w czasie niedługiej służby dla GG. Mimo że trwała ona zaledwie od lipca do października, dała mi się porządnie we znaki. Również ze względów moralnych nie palę się do tego. Nie ma sensu pracować zarobkowo, bo przez dziesięć godzin tkwi się kołkiem w biurze czy fabryce, potem wykończony wraca człowiek do domu, a do tego

nie jest to wcale praca zarobkowa. Otrzymuje się przeciętnie 300 zł miesięcznie, najskromniejsze zaś utrzymanie kosztuje 1000 do 1500 zł miesięcznie, tak więc trzeba przy tym szukać innego rodzaju zarobków. Jest to smutna rzeczywistość, ale rozmaite kanty od dawna stały się życiową koniecznością i obywatelskim obowiązkiem. Czy przeciętny człowiek łatwo zaprzestanie tego po wojnie?

A poza tym ta świadomość, że w czasie gdy pracuje się zawodowo, praca podziemna trwa dzień i noc. W terenie oddziały leśne (od zeszłego roku stale rosnące w siłę) raz po raz staczają bitwy z Niemcami i prowadzą na szeroką skalę różnego rodzaju dywersje. W mieście konfidenci węższą jak psy i często jak psy giną od naszych kul. Tajne drukarnie i powielacze pracują pełną parą. „Łubiński” myśli o coraz to nowych „klientach” plutonu egzekucyjnego, „Bard” pisze artykuły do prasy, ja zaś przez dziesięć godzin miałbym pracować dla GG, a tylko przez godzinę czy dwie dla Polski? Myśl o tym jest po prostu nie do zniesienia.

Ku mojemu cichemu zadowoleniu szukanie pracy dziwnie opornie postępowało naprzód. Po długim namyśle wpadłem na prosty pomysł: pracownikami Ernährungen są przecież w większości Polacy. W wydziale personalnym mieszczą się te czki z aktami, a o ile się orientuję, po zwolnieniu z pracy legitymację odkłada się ad acta do takiej te czki. Trzeba będzie ostrożnie wy badać tam teren i zająć się tą sprawą. Gdyby się to udało, nie musiałbym fabrykować lewych dokumentów, ale wtedy w razie jakiejś wyspy zagrożeni byłiby ci, którzy mi je wystawili. W wypadku aresztowania policja od razu sprawdza w instytucji, która je wystawiła, czy dokumenty są prawdziwe. Jeżeli zaś nie są „kryte”, na-

stępuje „subtelne” dochodzenie, skąd się wzięły, a nigdy nie ma całkowitej pewności, czy się owo dochodzenie wytrzyma.

11 marca 1944

Zazdroszczę „Bronkowi” i „Słowikowi”, którzy prawie od tygodnia znajdują się w oddziale partyzanckim. W tych dniach wracam do domu, gdyż — jak dowiedziałem się dziś od „Narciarza” — „Wulkan” z bratem przed kilku dniami zostali wywiezieni do Oświęcimia. Stamtąd będą przetransportowani do jakiejś fabryki, a tymczasem mają być dalej prowadzone starania o ich uwolnienie. Cieszyłbym się, gdyby je uwięczyło powodzenie.

Moja sprawa znajduje się na dobrej drodze. Prawdopodobnie uda mi się zachować legitymację w wypadku skreślenia z pracy, a może nawet uda się nie zawiadamić Arbeitsamtu i wówczas będę miał wolną rękę. Zalegalizuję więc niejako ten stan faktyczny, który wytworzył się w jesieni, i będę dalej pracował jak dotychczas. Nie uczę się nawet na kompletach (kosztuje to dość słono), tylko szwendam się z randki na randkę, a żyję między jedną a drugą „robotą”. Żyje się po prostu tylko chwilą bieżącą, bo łatwo może człowieka szlag trafić, ale nie ma sensu poddawać się rozpasaniu czy pijaństwu, jak to czynią niektórzy. Zawsze muszę mieć na względzie dobro Organizacji i kolegów i nie tracić okazji do popracowania nad sobą, bo inaczej przychodzą momenty załamania psychicznych, z których trudno się później podnieść.

Choroba w listopadzie bardzo mi się przydała, choć przez jakiś czas groziły mi komplikacje płucne, co

zresztą już przeszło. Oparłszy się na przesadzonym umyślnie zdjęciu rentgenowskim, polski lekarz z Ubezpieczalni pomógł mi przy uzyskaniu zwolnienia z Baudienstu, nie wzięwszy za to ani grosza. Zwolnienie zostało podpisane przez szefa Baudienstu Heinza Brassla, któremu kiedyś posłałem antyhitlerowskie ulotki w języku niemieckim z pogrózkami. Dobrze, że nie jest on jasnowidzem.

Chcę działać i działam na szkodę wroga. Mam pełną świadomość, na co się przy tym narażam. Ale też odczuwam za to głębokie zadowolenie, niedostępne i niezrozumiałe dla nie zorganizowanych. Widząc wciąż dookoła podobną pracę, wymagającą często prawdziwego bohaterstwa, szanuję jej kontynuatorów, a gardzę tymi, którzy siedzą za piecem, a jeszcze więcej tymi, którzy niby to wstąpili do AK, a w gruncie rzeczy podszyli są tchórzem.

Ba, być podszytym tchórzem to jeszcze nie zbrodnia. Mało znam ludzi, którzy nie odczuwaliby strachu nieodłącznego, gdy się idzie niemal bezbronnym przeciw przeważającej sile, ryzykując przy tym życie. Sam również nie uważam się za odważnego, ale ani jednego rozkazu nie zostawiłem nie wykonanego, a często jeszcze starałem się wykonać więcej, choć tylko „Broniek”, „Jim” lub inni nasi bliscy mogą wiedzieć, ile mnie to kosztowało. Podobno jednak nie ten odważny, kto żadnego strachu nie czuje, ale ten, kto nad swoim strachem umie zapanować.

Jeden z kolegów od dłuższego czasu zaczął mi się nie podobać. Kiedyś, bez chwili namysłu, wrzucił do pieca 200 sztuk „bram przechodnich”, które mu dałem na przechowanie, usłyszawszy, że trzech niemieckich policjantów kręci się na podwórzu (czepiali się jakiegoś

lokatora za nieszczelne zaciemnienie). Nie ma się zresztą czemu dziwić, że się tak pośpieszył, bo w tym wypadku postąpiłbym podobnie, ale irytuje mnie nie na żarty jego mazgajstwo i tchórzliwe wykręcanie się od każdej polecanej przez „górze” „roboty”. Nieudolne smarkaczowskie wykręty, paniczny strach przed ojcem (aby się nie dowiedział) i trzęsące portkami filozofowanie na temat całej naszej pracy mogłoby najspokojniejszego z nas doprowadzić do szewskiej pasji. Nareszcie „Narciarz” wyrzucił go z Organizacji. Wezwiemy go dopiero przed samym powstaniem, choć wtedy będzie mobilizacja i wszyscy tchórze i tak będą musieli iść.

Można by rzeczywiście dużo filozofować na temat całej „roboty”, a nawet przydatności pewnych jej rodzajów, jak np. kolportażu prasy. Jest to niewdzięczna i niebezpieczna praca, a efektywnych wyników nie daje. Warto by nie tyle ją „zwinąć” (jak nawet proponują niektórzy), ile znacznie ograniczyć, np. tylko do „Bimu”. Jedno wszakże jest pewne: gdybym nie czytał gazetek od października 1939 do stycznia 1941, nie wiadomo, czy zgodziłbym się na wstąpienie do Organizacji w 1942 roku. Moralny wpływ Polski Podziemnej nie przeminął, nawet mimo aresztowania matki w lutym 1941 pod zarzutem słuchania radia (był to tylko cień zarzutu i skończyło się szczęśliwie półrocznym więzieniem, zamiast jak zwykle Oświęcimiem).

12 stycznia 1941 roku szczęśliwym trafem sam uniknąłem aresztowania, mając odnieść gazetkę do krewnego, u którego od rana tego dnia i przez dwa następne siedziało gestapo. Nakryto pięciu ludzi, którzy przychodzili tam po gazetki i wiadomości z radia. Wujek i dwaj inni zginęli wkrótce w Oświęcimi, trzech dalsi żyją jeszcze w Dachau. Zawróciłem wówczas ze schodów, posta-

nowiwszy odłożyć wizytę do dnia następnego, i wtedy dowiedzieliśmy się o tym aresztowaniu. Piętnastoletniemu chłopcu taka nauczka, poparta aresztowaniem matki i „odwiedziny” gestapo w domu, mogła raz na zawsze wybić z głowy Organizację. Lecz książki *Walka i Szkoła junaka*, a potem roczna z górą lektura nielegalnych pism, z których chłonałem chciwie każde słowo, przeważyły szalę i na propozycję „Bronka” zgodziłem się. Ci zaś, co odpadli z Organizacji, nie mieli poprzednio takiego przygotowania.

Są także ludzie małoduszni. Czasem spotykam się przypadkowo z dawnymi kolegami szkolnymi z „handlówki”, ale już od dawna nie szukam ich towarzystwa, bo po prostu nie mam z nimi wspólnego języka. Różne przyjemności przeżywane jeszcze dwa lata temu dziś wydają mi się śmieszne, mało ważne i nic nie znaczące. Najlepiej czuję się w towarzystwie kolegów, z którymi rozumiem się doskonale. A dawni znajomi to przeważnie już dla nas obcy ludzie. Próbowałem kilku z nich wciągnąć, ale jakoś nie mieli ochoty lub odwagi (a może już są wciągnięci i słusznie nie mówią o tym?).

Śmiesznie i nienormalnie wyglądają te typy wobec ludzi, którzy czują się Polakami. Polskości tamtych „łamacz” zresztą nie kwestionuję, ale myślę o tych, którzy są Polakami nie tylko z kennkarty. Pomijam już kolegów, mam na uwadze ludzi nie zaprzysiężonych, którzy nieraz oddają wielkie usługi Armii Krajowej. Nie myślą oni wcale o zyskach materialnych, a nawet podkreślają, że to ich obowiązek pomagać w naszej walce. Mam dla nich wielki szacunek.

Gdy się już jest w „robocie”, na każde niemal ryzyko patrzy się zuchwalej. Lecz być nie zaprzysiężonym

i przez pomoc okazaną nam narażać swą rodzinę, widzieć wszystkie niebezpieczeństwa — na to trzeba mieć nie byle jaki charakter.

13 marca 1944

Kilka dni temu powróciłem do domu, gdzie od razu wziąłem się do sporządzania nowego wykazu bram przechodnych, w miejsce spalonych przez „odważnego” kolegę. W dalszym ciągu piszę dowcipy do „Na ucho”; od „Barda” zaś dostaję sporo prasy, i to nie tylko wojskowej z szablą i książką, lecz także wydawanej przez różne organizacje polityczne. Prasy tej nie cechuje jednomyślność, bo istniejące na emigracji partie mają, oczywiście, swe odpowiedniki w Kraju, a każdy z tych odpowiedników po kilka rozgałęzień o różnych nazwach, przekonaniach i dążeniach.

Nie podoba nam się ta różnorodność. Jesteśmy po prostu zgorzeleni żrącymi się partiami i partyjkami w pismach, w których na pierwszych miejscach są osobiste interesy, gęsto naszpikowane frazesami: „... obóz nasz, niezmordowanie walczący dla dobra Ojczyzny...”, „... ludzie z naszego obozu...”, „... nasi zaślepieni i mali przeciwnicy...” Czym oni walczą? Językami w gębie? Walczy AK i komuniści. Ci ostatni utworzyli Polską Partię Robotniczą i Armię Ludową — przeciw Niemcom oraz przeciw NSZ (Narodowe Siły Zbrojne)⁴ zwalczają

⁴ Narodowe Siły Zbrojne. Skrajnie prawicowa organizacja wojskowa utworzona jesienią 1942 roku z połączenia tzw. Związku Jaszczurczego oraz tej części Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW — organizacja zbrojna Stronnictwa Narodowego), która nie wyraziła zgody na połączenie z AK. Niektóre oddziały NSZ-u w istocie rzeczy współpracowały z okupantem.

jącej PPR i AL. W tych zaś gazetkach polityka do kwadratu i dzielenie skóry na niedźwiedziu zamiast tworzenia zbrojnych oddziałów do walki z okupantem. Do licha z tymi politykierami!

Przepraszam, są dwa wyjątki: istnieją przy Stronnictwie Ludowym „Roch” BCh (Bataliony Chłopskie)⁵, współpracujące z AK, przy RPPS (tj. Robotnicza Partia Polskich Socjalistów) zaś są grupy SOB (Socjalistyczna Organizacja Bojowa) współpracujące z PPR i GL⁶. Ale gdzież jest wkład bojowy reszty wojowniczych partyjek?

Typowo wrogą robotą jest działalność NSZ. Starzy endecy⁷, specjaliści od lagi i brzytwy, dziś w najlepszym wypadku trzymają się na boku w walce z Niemcami,

⁵ W sierpniu 1940 roku tzw. Centralne Kierownictwo Ruchu Ludowego, czyli konspiracyjne Stronnictwo Ludowe „Roch”, powołało do życia organizację wojskową pod nazwą „Chłostra” — Chłopska Straż, która z czasem rozwinęła się w Bataliony Chłopskie. W lecie 1943 roku kierownictwo SL wcieliło BCh do AK. Jednakże poszczególne oddziały BCh nie podporządkowały się tej decyzji, nawiązując, zwłaszcza w roku 1944, kontakty lub nawet łącząc się z Armią Ludową.

⁶ Wiosną 1943 roku działacze założonej 1 września 1941 roku Organizacji Polskich Socjalistów, skupiającej przedstawicieli lewicowego nurtu w ruchu socjalistycznym, postanowili powołać do życia Robotniczą Partię Polskich Socjalistów (RPPS), której część współdziałała później w tworzeniu KRN. Wbrew twierdzeniu autora organizację wojskową tej partii stanowiła Milicja Ludowa RPPS. Natomiast Socjalistyczna Organizacja Bojowa (SOB), którą założył Leszek Raabe, związała się z prawicą ruchu socjalistycznego (PPS — Wolność, Równość, Niepodległość) i podporządkowała AK.

⁷ O tyle nieściesz, że w tym wypadku chodziło właśnie o tzw. „młodych” endeków, bo o ONR (Obóz Narodowo-Radykalny), który znajdował się poza właściwym Stronnictwem Narodowym i z którego wywodziły się NSZ.

a „dla rozrywki” staczają też czasem bitwy z AK. Do diabła, dlaczego np. nie przeciw Szwabom? I na co ci endecy liczą? Zaczepiają wszystkie organizacje i partie naokoło, są w opozycji do wszystkich. Klótnie domorośłych polityków powodują zdrowy sprzeciw szeregu poważniejszych pism.

Czwartego marca została podpisana w Warszawie *Deklaracja Centralizacji Stronnictw*. Podpisały ją 42 stronnictwa, a jest ich jeszcze coś 5 czy 6⁸. Czy takie rozdrobnienie to nie tragikomedია?

„Indianie dzielili się na szczepy i plemiona. Polacy dzielą się na partie, partyjki i stronnictwa. Są znawcy, orientujący się w plejadzie narodów czerwonoskórych, ale nie wiadomo, czy ktoś wyznałby się we wszystkich odcieniach politycznych w kraju” — przypominam sobie przeczytany w grudniu artykuł pt. *The Dark and Bloody Ground*.

Centralizacja ustaliła szereg punktów dotyczących się regulacji naszych spraw wewnętrznych w czasie wojny i po wojnie. Z rozwiązaniem wielu skomplikowanych problemów każdy Polak może się zgodzić, bo — moim zdaniem — podobne plany mógłby powziąć każdy przeciętny człowiek trzeźwo patrzący na obecne położenie Kraju.

Poza tym są tam i inne postanowienia, dotyczące upaństwowienia wielkich fabryk, zwłaszcza o znaczeniu

⁸ Dokładnie: *Deklaracja Centralizacji Stronnictw Demokratycznych, Socjalistycznych i Syndykalistycznych*, podpisana jednak nie przez 42, jak podaje autor, lecz przez 7 stronnictw, wśród których główną rolę odgrywała ta część RPPS, która nie zdecydowała się na współpracę z PPR i KRN. Organem wykonawczym Centralizacji stał się Centralny Komitet Ludowy, usiłujący zająć centrową pozycję pomiędzy KRN a Radą Jedności Narodowej, reprezentującą partie tzw. obozu londyńskiego.

wojskowym, kontrola państwowa nad przemysłem, rozładowanie bezrobocia na wsi itp. Dobrze, że choć częściowo udało się z sobą dogadać. Każdy rozsądny człowiek zgodzi się z tym, że nie chcemy Szwabów na odzyskanych przez nas w przyszłości ziemiach, tak jak znaczną część Niemców po 1918 roku wysiedlono z Poznania i Bydgoszczy.

Nad Odrą warunki są zupełnie inne niż na wschodzie⁹, podobne raczej do Górnego Śląska, a więc: wielkie fabryki, doskonałe drogi, bogate gospodarstwa, tak jak w Poznańskim, i stare polskie miasta: Wrocław, Szczecin, Głogów, w których jeszcze sto lat temu słychać było polski język, Opole, Racibórz z silnym dziś jeszcze elementem polskim, choć od 600 lat oderwanym od Macierzy — proszę teraz temu przeciwstawić ziemie wschodnie, a łatwo uprzytomnimy sobie, gdzie leży przyszłość Polski. Wreszcie ugoda z Rosją dałaby nam dalsze korzyści. Niektóre gazetki obawiają się takiego sojuszu. Zobaczymy, jak sytuacja rozwinie się dalej. Zdaje się, że w tym roku nastąpią poważne wypadki, choć na razie zastój na frontach, a wszystko zda się jest pogrążone we śnie zimowym.

15 marca 1944

Mija 6 lat od Anschlussu Austrii¹⁰, który był fak-

⁹ Ściśle rzecz biorąc, w Deklaracji nie sformułowano wyraźnych w tej mierze postulatów. Czytamy w niej jedynie o „konieczności wielkich korektyw na północy i na zachodzie, kosztem niemieckich podpalaczy świata, w imię rewindykacji utraconych ziem polskich”.

¹⁰ W marcu 1938 roku, w wyniku kierowanego z Rzeszy zamachu stanu, zorganizowanego przez austriackich hitlerowców, nastąpiło przyłączenie się (Anschluss) Austrii do Niemiec.

tycznym początkiem wojny. Od tej pory Niemcy wy-
ciągnęli łapy do Europy i dopiero od zeszłego roku za-
czynają po tych łapach dostawać.

Jakby dla upamiętnienia tej rocznicy zdarzył się wy-
padek, na którego wspomnienie rumienię się ze wstydu.
Miałem kradzież kieszonkową w tramwaju. Ofiarą jej
padły nie, jak to zwykle bywa, pieniądze czy dokumen-
ty, ale... mała paczka, w której była prasa otrzymana
od „Barda”. Mimo nieprzyjemnego wrażenia nie mogłem
powstrzymać śmiechu na myśl o minie złodzieja, gdy
otworzył kopertę, spodziewając się znaleźć tam pienią-
dze.

W razie tej ewentualności to jeszcze pół biedy. Go-
rzej, jeżeli koperta wysunęła się w ścisku, a znalazł ją
jakiś kapuś. Wtedy sprawy mogłyby przyjąć gorszy
obrót, bo od razu miałby mnie na oku. Na szczęście
brak prasy spostrzegłem dosyć szybko. Wskoczyłem
z tramwaju w biegu, przeszedłem szybko kilka ulic, ale
było to już właściwie zbyt późno, bo przez chwilę obser-
wowałem oddalający się tramwaj i nikt z niego za mną
nie wyskoczył. A może koperta wyleciała mi z kiesze-
ni, bo był straszliwy tłok, i podniósł ją ktoś spośród
tzw. spokojnych mieszkańców GG? Ciekawe, jak wy-
glądał, gdy zobaczył jej zawartość. Gdybym sam kiedyś
znalazł coś podobnego, rzuciłbym to natychmiast z po-
wrotem, ponieważ paczka mogłaby być podrzucona i ob-
serwowana przez konfidenta, chcącego tym sposobem
złapać bodaj jednego człowieka.

Uważając bacznie, czy ktoś mnie nie śledzi, wróci-
łem do domu. Było już zupełnie ciemno, toteż nawet
nie bardzo obawiałem się obserwacji. Pomimo to dozna-
łem niezbyt miłego wzruszenia, usłyszawszy w chwilę
po powrocie do domu motor samochodu i ciężkie kroki

przed domem. Mieszkam w mało ruchliwej okolicy, więc obecność samochodu przed domem mogła nie wróżyć nic dobrego. Po chwili uspokojony położyłem się spać; okazało się, że przywieziono węgiel do sąsiada.

*

Roman zapakował do teczki świeżo odbitą na powielaczu paczkę instrukcji i wsiadłszy na rower ruszył do miasta. Był słoneczny marcowy poranek. Resztki śniegu stopniały już przedwczoraj, tworząc obfite błoto. Co chwilę rower wjeżdżał w kałuże, roznosząc na wszystkie strony bryzgi brudnej wody.

— Zdaje się, że zgubienie tej paczki nie wywoła złych skutków — myślał Zawada, kręcąc ostro pedałem. „Bard” nawet nie bardzo kpił ze mnie, choć wyszedłem na skończoną offermę, pozwalając sobie wyciągnąć paczkę z kieszeni.

Ostry klakson zabrzmiał mu niemal nad uchem i Roman błyskawicznie skręciwszy w bok, w ostatniej chwili uniknął znalezienia się pod kołami szarozielonego mercedesa, który wyjechał z za zakrętu z nieprzepiśową szybkością. Zeskoczył z roweru, w chwili gdy ten przewracał się na jezdnię.

Równocześnie ze zgrzytem hamulców wyskoczył z auta żandarm wojskowy z pistoletem maszynowym w ręce.

— Halt! — ryknął na podnoszącego rower Zawadę, który próbował „zniknąć po angielsku”.

— Chodź tu, ty — dodał po polsku, kiwając bronią.

W uszach szum... Uciekać? Na nic! Jedna seria wystarczy, aby pechowy rowerzysta wywrócił się jak długi na ziemię. A po upadku spowodowanym kilkoma „pestkami” kalibru 9 mm przeważnie nie wstaje się

o własnych siłach. W teczce setka instrukcji, w domu powielacz i maszyna... nawet jakby zakropili, to do domu trafią po kennkarcie. Szwab wygląda na rzeźnika... dlaczego on ma rozpylacz? Nie ma co, trzeba iść...

— Chodź tu! — woła Niemiec po raz drugi, gdy Roman z ociąganiem zbliża się. — Jak ty jeździsz po ulicy? — pyta surowo. Oczu nie masz? Du, dummer Kerl...

Zawada tłumaczy spokojnie swoje pośliźnięcie, wskazując na zakręt. Rozindyczony Niemiec machnął w końcu ręką, grożąc, że następnym razem zaaresztuje. Wsiadł do samochodu i odjechał. Roman po kilku sekundach otrząsnąwszy się z podniecenia odzyskuje dobry humor.

— Temu „kanarkowi” należałaby się nagana — myśli — bo ja na jego miejscu dla porządku zrewidowałbym teczkę.

*

„Narciarz” wybucha śmiechem przyjąwszy meldunek o zgubieniu prasy i o dzisiejszym zdarzeniu.

— A niech pana, panie „Wiktorze”, a to dopiero miał pan przygody! No, ale do rzeczy: wyjeżdżam na kwiecień i pan obejmie w moim zastępstwie dowództwo patrolu, tj. naszej sekcji. Ma pan kontakt z „Drażkiem” i „Ziemniakiem”?

— Tylko „płynny”, bo nie znam ich nazwisk.

— Wystarczy. Teraz dalsza rzecz: postawiłem wniosek do awansowania pana na starszego strzelca, bo słyzałem już od „Bronka”, a zresztą widzę, że pan z własnej inicjatywy robi nawet więcej, niż tego wymaga regulamin.

— Szefie, nie zasłużyłem na to.

— To już moja rzecz, „Wiktorze”.

Z rozmowy okazuje się, że sekcja przejdzie dalsze szkolenie specjalne. Ma być urządzony krótki kurs fotograficzny („góra” ma nawet aparat filmowy do zdjęć), a także szoferski, o ile czas pozwoli. Z Londynu zażądano zdjęć z naszej „roboty”, tj. z nalepiania afiszy, rozrzucania ulotek itp.

— Wspaniale. Jestem „starym” fotoamatorem.

— Tylko, panie „Wiktorze”, to jest sakramencko niebezpieczna „robota”, bo trzeba myśleć przy tym najpierw o zdjęciach, a dopiero potem o swojej skórze. Zresztą, pomówimy jeszcze, jak wrócę z końcem kwietnia. Na razie, czołem!

Skończywszy rozmowę z „Narciarzem”, Roman zobaczył się z magistrem. Ze strony tego ostatniego otrzymał solidną reprimendę za afiszowanie się ze swoim pseudonimem w „Na ucho” oraz kontakty z „Łubińskim” z plutonu egzekucyjnego. Dowiedziawszy się jednakże, że ani „Łubiński”, ani „Bard” nie znają nawet imienia Zawady, znacznie złagodniał.

— No, chłopcze, widzę, że jesteś ostrożniejszy od innych, co ci się chwali. Ale nadal bardzo uważaj w tych sprawach, a z „Watrą” lepiej w ogóle nie mieć do czynienia. Stanowczo lepiej ograniczyć się tylko do naszej prasy z szablą i książką, a „Watra” nie jest pismem wojskowym ani organem Delegatury.

Zresztą widzisz, że są tam ludzie bardzo nieostrożni. Kto to widział być takim idiotą, aby artykuły w gazetkach podpisywać swoim pseudonimem? Ty urządziłeś się mądrze, bo nikt z nich cię nie zna, ale oni wszyscy, zdaje się, znają się między sobą z nazwiska i adresu. Potem wsypa, baty i tortury i mogą wszystkich wybrać jak ryby z sieci. Wreszcie nie daj sobą za bardzo orać. Lepiej, że zrobisz mniej, a nie wpadniesz, niż



W A T R A

ZWYCIĘŻE NA TEJ ZIEMI - Z TEJ ZIEMI PAŃSTWO WSKRZEŚCIE

NISMO SWOBODZIEŹY POLSKIE

ROK II.

KRAJÓW 1 KWIEŚNIA 1944

NR 9 /21/

W O MUCIACH REWOLUCJI

-- /Linus/ W miarę załamywania się militarnej potęgi Niemiec, w miarę jak wynik wojny staje się coraz bardziej przesadzony, uwaga całych narodów i społeczeństw kieruje się ku zagadnieniom powojennej organizacji życia.

Nie ulęwa żadnej wątpliwości, że stare ustroje kapitalistyczne oparte na niczym nieskrępowanej działalności pewnych jednostek, -- gdzie żądza zysku, tkwiąca zresztą w mniejszym czy większym stopniu w każdym człowieku, była głównym motorem pracy, -- te ustroje bez żadnej wątpliwości przeżyły się i w wojnie obecnej wykazały, iż nie są w stanie na poziomie współczesnej cywilizacji zadość uczynić potrzebom ogólnoludzkim.

Czasy swobodnej gospodarki indywidualnej, czasy wolnej konkurencji finansowych potentatów i nieograniczonego wyzysku szerokich mas pracujących nie mogą wrócić i nie wrócą.

Jeszcze trwa wojna, jeszcze w imię potrzeb wysiłku wojennego masy pracujące nie są bez oporu związane z tym ciężarem, lecz jutro przedstawiają one za swój wysiłek długi rachunek, który musi zostać uregulowany.

Sumienny obserwator nie przecoczy silnego wzrostu radykalnych nastrojów w i miejskiego proletariatu, nie może zaprzeczyć, że masy chłopskie i robotnicze głośno domagają się przekazania władzy w swoje ręce.

21. Strona tytułowa dwutygodnika „Watra”

22. Jedna z ulotek „enowych” (na stronie następnej)

FRONTSOLDATENI GENOSSENEN

Das erste Kriegsjahr ist zu Ende. Es hat der Deutschen Wehrmacht glanzvolle Siege gebracht und die Unterjochung von 7 Völkern Europas, den Führern und hohen Offizieren viel Ruhm und Auszeichnungen, den Parteigenossen und SS-Hinterlandshelden dicke Bäuche und schweres Vermögen.

Aber was hat dies erste Kriegsjahr Dir gegeben, deutscher Soldat? Was Deiner Mutter, Schwester, Frau und Deinen Kindern? Was — außer Mühsal, Tränen, Verlust, unsicherer Zukunft, Trauer? Und welche Vorteile haben wir als Volk, als Staat gezogen aus diesem 12 Monate währenden Blutvergießen auf Befehl Adolf Hitlers? Im Namen welcher Idee ist auf den Schlachtfeldern Polens, Norwegens, Hollands, Belgiens und Frankreichs bereits weit über 1 Million unserer Volksgenossen, der Blüte unserer deutschen Jugend verblutet?

Genossen! Überlegt Euch!

Seit dem 10. Mai d. J. belegen die Engländer unaufhörlich mit Bomben unsere Städte, Dörfer und Siedlungen. Tag um Tag, Nacht um Nacht. Die Zeitungen und der Rundfunk melden nicht den zehnten Teil davon. Seit dem 10. Mai werden von britischen Bomben massenweise unsere Frauen und Kinder zerrissen. Seit 4 Monaten gehen unsere Häuser in Flammen auf. Viele von uns finden nach ihrer Rückkehr ihr ganzes Hab und Gut in Schutt und Asche vor. Wie mancher Soldat hat sich das Leben genommen, auf die Nachricht vom plötzlichen Verlust seiner Familie und seines Vermögens.

Nun gehen seit vielen Wochen unsere Truppen an die Ostfront; aus Frankreich und Norwegen sind unzählige Formationen nicht etwa in die Heimat, sondern nach Ostpolen abtransportiert worden. Wozu? Droht uns etwa Gefahr seitens des russischen Verbündeten? Will unser OKW selbst die Sowjetunion angreifen und uns in die grenzenlosen Steppen der Ukraine hineinziehen? Sollen wir vielleicht neue Länderereien in Richtung Rumänien, Bulgarien und Kleinasien erobern? Alles ist möglich, aber eins ist sicher: unsere Militärbehörden wollen uns Soldaten nicht beurlauben, damit wir nicht sehen, was zu Hause los ist! Der Frontsoldat soll möglichst spät erfahren, wie schrecklich seine Heimat verwüstet ist. Hitler hält über 10 Millionen Menschen unter Waffen. Diese Riesenarmee kann er weder demobilisieren, noch in Urlaub schicken, denn sie würde dem Krieg sofort ein Ende machen.

Der Soldat, der das selbständige Denken noch nicht ganz verlernt hat, fragt sich nämlich immer häufiger und immer lauter: Wo zu dies alles? Damit das SS- und Gestapo-Gesindel sich weiter vollfressen und bereichern kann, indem es die besetzten Länder ausplündert, in der Heimat aber eigene Landsleute spioniert, verfolgt und zu Tausenden in die furchterlichsten Konzentrationslager verschleppt? Damit der gemeine Soldat sich weiter abhärten, in weiteren sinnlosen Kämpfen verbluten soll, während die Herren Reichsminister und Parteibonzen ihre ausländischen Bankrechnungen vollstopfen und sich vom Führer Großgüter und Jagdgelände in den besetzten Gebieten schenken lassen? Was haben wir von all den Siegen?



gdybyś dokonał więcej i wpadł. Jak z twoim zdrowiem?

— Mniej więcej w porządku. Jestem już prawie zdrow.

— Doskonale. No, trzymaj się ciepło i uważaj tak jak dotąd lub jeszcze więcej. Cześć!

— Cześć! — zawołał Roman, wsiadając na rower.

Słońce skryło się za chmury, powiał przejmujący wiatr i niebawem począł prószyć mokry śnieg.

23 marca 1944

Magister ma zupełną słuszność. To co mi mówił o nieafiszowaniu się ze swoim pseudonimem, wiedziałem już dawniej i jeżeli zgodziłem się na podpisywanie przez redakcję „Na ucho” wierszy: „Bard” i „Wiktor” (pomysły moje, rymy dorabia „Bard”), to jedynie dzięki temu, że po pierwsze — nikt z „Na ucho” nie zna nawet mego imienia, po drugie — pseudo „Wiktor” jest bardzo często spotykane. Na przykład ciotka „Jima” mówi, że zna aż czterech „Wiktorów”. W ogóle, co do niej — to „ef-ef”. Mam dla niej wielką wdzięczność i szacunek. Pomagała nam przez kilka tygodni przechowywać powielacz, maszynę i inne rzeczy, a także ułatwiała mi częściowo spotkania z „Jimem”. Ubolewała nad tym, że w Krakowie nie ma mieszkania, gdyż wówczas moglibyśmy u niej urządzić nawet skład broni. Opowiadała nam, jak to w zeszłym roku w Warszawie przez dwa tygodnie przechowywała u siebie całą drużynę 18 ludzi z polskim erkaemem, aż skończyli kurs szkoleniowy. Nikt w mieszkaniu za ścianą oczywiście nie wiedział, jak liczne rezyduje tam towarzystwo. Dzielna kobieta!

Słyszałem, że w 1905 roku dużo kobiet brało czynny

udział w walkach podziemnych PPS w ówczesnym Królestwie Polskim. Może dlatego udawały się takie napady, które podobnie jak i dziś, wymagają wielkich przygotowań. Gdyby było więcej podobnych kobiet, cała robota szłaby łatwiej, bo nie trzeba by tylu rzeczy ukrywać przed matkami czy żonami. Prawie każda kobieta mająca kogoś w „robocie” niby zgadza się z tym, a w gruncie rzeczy patrzy, jakby go skłonić do jej zaniechania.

W konspiracji trafiają się czasem zabawne momenty. Np. kiedyś jeden z kolegów naopowiadał mi masę dowcipów z „Na ucho”, nie przypuszczając, że mówi z ich autorem. Oczywiście, nie powiedziałem mu prawdy, udając, że pierwszy raz słyszę o „Na ucho”, a jednocześnie zagryzłem wargi ze śmiechu.

Od wczoraj stoję przy powielaczu i pracuję na całego. Dostałem od „Narciarza” aż 73 matryce z poleceniem odbicia 150 sztuk z każdej. Na białych arkuszach czernieje pierwszy rozdział: *The Battle of Britain, 1940*¹¹.

Wszyscy to wiemy, wszyscy to przeżywaliśmy, a jednak trzeba to sobie jeszcze raz uprzytomnić: lato 1940 roku było straszne. Straszne dla wszystkich ludzi dobrej woli.

Sto pięćdziesiąt arkuszy karty tytułowej: Arkady Fiedler, *Dywizjon 303*, leży już na stole. Skrzypi powielacz. Lepko przesuwam się wałek po czarnej od farby siatce. Zaawansowałem na drukarza i tłoczę przepisaną na matrycach książkę, która została wydana w 1942 w Londynie. Autorem jej jest znany już przed wojną podróżnik i przyrodnik Arkady Fiedler, służący w Wojsku Polskim w Anglii.

¹¹ *Bitwa o Brytanię, 1940.*

Pamiętam doskonale, jak we wrześniu 1940 roku wyrazy „Eskadra Kościuszkowska” często powtarzały się w „Dzienniku Polskim”. Komunikaty wojenne opisywały wówczas zaciekle ataki powietrzne Luftwaffe, mające przygotować grunt pod inwazję z morza na Wyspy Brytyjskie. Czytaliśmy je wtedy z baczną uwagą, całą nadzieję pokładając w dzielnej obronie RAF-u. W czasie największego nasilenia walk 15 IX 1940 roku wujek nie odstępował ani na moment od radia, a pod wieczór wiedziałem już dokładnie, że największy atak Niemców kosztował ich 185 maszyn¹². Nieliczni wówczas w kraju orientowali się, co się działo w tych dniach, jeszcze mniej liczni uważali, że Anglia nie wytrzyma. Lecz mylili się ci ostatni; 90 procent Polaków nie dało się otumanić przereklamowanymi sukcesami hitlerowców. W dniu 15 IX 1940 roku „niemiecka armada powietrzna poniosła klęskę. Do inwazji nie doszło”.

Niemiecki rozmach po Francji został zatrzymany i odparty na długo przed pamiętnym dniem 22 VI 1941.

¹² W rzeczywistości straty niemieckie tego dnia, kiedy to lotnictwo niemieckie wykonało dwa zmasowane ataki na Londyn, choć wysokie, były jednak znacznie niższe, niż podaje autor. Niemcy stracili wówczas około 60 maszyn, z czego 23 zestrzelili Polacy.

Rozdział XVIII

Minęły trzy miesiące od nieudanego zamachu na Sławomira Migalę. Po wyleczeniu się z niezbyt ciężkiej rany konfident nadal działał w Podgórzu, trwały dalsze arestowania i szantaże Polaków oraz ukrywających się Żydów. Wyrok śmierci wydany przez Podziemie w grudniu 1943 roku pozostawał nadal w zawieszeniu, w lutym 1944 doszedł do niego drugi, gdy ustalono, że matka Migaly równie gorliwie jak syn współpracuje z gestapo. Przez 3 miesiące rodzinę Migaly pozostawiono w pozornym spokoju. Trwały jednak nieprzerwane prace obserwacyjno-przygotowawcze. W końcu marca 1944 wypadki w coraz szybszym tempie zmierzały do końcowego stadium.

Wieczorem 31 marca zegar na wieży kościoła podgórskiego wskazywał za 20 minut dziewiątą *, gdy czterej młodzieńcy weszli w ul. Limanowskiego. Zapadł już wczesny wiosenny zmierzch, gdzieniegdzie rozjaśniony wiszącymi ulicznymi lampami. W powietrzu nie drgnął najlżejszy powiew; był suchy, zimny, charakterystyczny dla pierwszych dni wiosny wieczór. Ruch panował niewielki, nieliczni spóźnieni przechodnie wracali do domów.

— Uważajcie, czy nie widać patrolu — rzucił pół-

* Godzinę policyjną przesunięto z 20⁰⁰ na 21⁰⁰.

głosem najstarszy z idących, przerywając na moment rozmowę pozostałych. Młodzieńcy uważnie oglądali się na wszystkie strony, stwierdzili, że na całej ulicy „powietrze czyste”.

Chłopiec idący z brzegu nerwowo zaciska wargi. — Dobrze, że nie sam będę to robił **. Do licha, jak pójdzie tym razem? Co innego jest normalne „kropienie”, a co innego zabawa w Thugów bengalskich ¹. Wstrętna robota, brrr!

Idą dalej chodnikiem, podniecenie wzrasta. — Opanujże się — myśli — czy ci to pierwszyczna, czy co?

Kędzierzawy blondyn nieznacznie trąca go łokciem, przeciwną stroną ulicy przechodzi granatowy policjant. Od strony Rynku Podgórskiego przejechał samochód. Chłopcy stoją już przed bramą domu nr 20.

— Panowie, wejdziecie za chwilę, bo nie wypada tak całą gromadą.

Dowódca z jednym z żołnierzy znikają w bramie. Pozostali stanęli we wnęce bramy, udając ożywioną rozmowę. Mijają ich jacyś przechodnie. Młody szatyn pełen jest uznania dla swego towarzysza. — Ten ma nerwy, no! — myśli, patrząc na jego olimpijsko spokojną twarz. Wchodzą powoli do sieni. Umieszczona pod sufitem lampa zakryta jest czarnym papierem. Przez drobne szpary przebłyskuje światło. Aha, to tu na lewo wisi spis lokatorów, a na nim nr 12 — Migała Aleksander.

Koledzy przechodzą przez podwórze. Zza którychś drzwi dobiega płacz dziecka. Na ciemnym tle nieba nie-

** W celu uniknięcia huku planowano wykonanie wyroku przez uduszenie. Wykonawcy mieli pozostać przez noc w mieszkaniu Migały i wyjść rano, aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Ubezpieczenia nie wzięto.

¹ Sekta dusicieli w Bengalu.

wyraźnie rysują się bezlistne kikuty rachitycznych drzew. Na prawo czernieje masa oficyny, a na wprost drugi budynek. Wchodzą w bramę oficyny. W mroku wyczuwają raczej, niż dostrzegają, obecność dwóch swoich poprzedników.

— Jazda, tylko cicho!

Czwórka rusza naprzód, na schody. Szatyn ścisła pięści. Zbliży się początek... Już! Stanęli przed drzwiami, zza których nie dochodzi żaden dźwięk.

— Pewnie siedzą przy kolacji — szepcze jeden z nich. — Pukać!

Ciszę przerywa energiczne dobijanie się do drzwi. Już słychać zbliżające się kroki.

— Kto tam?

— Policja! — odpowiadają przybyli.

Drzwi z trzaskiem otwierają się. Na tle światła padającego z wejścia do pokoju czernieje sylwetka mężczyzny. W milczeniu odsuwa się na bok, robiąc przejście wchodzącym. Nagle zmienił się na twarzy. Dowódca otwiera właśnie usta, gdy słyszy drżący nieco głos:

— Panowie, ja wiem dobrze, po co tu przyszliście, ale... mówię wam, że ja jestem niewinny.

— W porządku, przyłóż no mu tam „komin”, ale widzi pan, musimy pana chwilowo unieszkodliwić. Naprzód!

Pierwsza dwójka odepchnąwszy drzwi wchodzi do pokoju. Za nimi pochyłony ojciec i dwóch pozostałych.

Sławomir Migala, siedzący przy stole w towarzystwie matki i młodszego brata, pobladł i otworzywszy usta z trudem łapie powietrze. Brat nie bardzo jeszcze rozumiejący, co się stało, po sekundzie poczyna gwałtownie kręcić się na krześle. I nagle stała się rzecz nieprzewidziana. W chwili gdy pierwsza dwójka szybkimi

susami stanęła przy oknie i sięgnęła po rewolwery, kobieta zerwała się gwałtownie z krzesła.

— Na pomoc! Policjaaa! — ryczy, instynktownie przysuwając się do swego męża. (Ach, cóż za wstrętna megiera! Z wykrzywionymi rysami i zburzonymi włosami łudzaco przypominała Meduzę! ²) — Bandyci!!! Moordują!!! — wyje konfidentka skulona za plecami skamieniałego mężczyzny.

Na sekundę konsternacja ogarnia przybyłych, ale tylko na sekundę. Potem natychmiast zapada decyzja zmiany planu działania wobec raptownie zmienionych okoliczności.

— Trzeba zakropić tę cholere — pada spokojna komenda.

— Masz, kurwo!

Jeden z młodzieńców podskoczył do Aleksandra Mięgi. (Tylko nie w niego, bo on niewinny!) Szybkim ruchem palca odsunął bezpiecznik. Góruje nieco wzrostem nad stojącym, przełożył rękę nad gową i skierowawszy lufę w dół nacisnął spust. Huknął strzał, w zamkniętym pokoju podobny do gromu. Zadzwońiło w uszach. Gdzieś z boku zabrzczała wyrzucona łuska. Ryki kobiety urwały się nagle i charcząc ciężko osunęła się na ziemię.

— Trrrach!

Schyliwszy się, ponownie wystrzelił, przyłożywszy jej niemal broń do głowy. Palce leżącej konfidentki wyprężyły się kurczowo, nogi poruszyły się w przedśmiertelnych drgawkach. (Jeszcze raz ją dla pewności!)

Teraz zabierają się do wyjącego w niebogłosy Sławomira. Konfident ma wygląd rozjuszonego indyka. Żyły nabrzmiały mu na czole, świeża blizna zdaje się

² Mityczny potwór o straszliwej twarzy, którego spojrzenie zamieniało ludzi w kamienie.

tryskać krwią. Ojciec zachwiał się i ciężko upadł ranny przypadkową kulą, niezbyt groźnie. Brat Sławomira w dalszym ciągu nie rusza się z miejsca, a kobieta właśnie wydaje ostatnie tchnienie. Ryki konfidenta zdają się rozsadzać ściany mieszkania. Z satysfakcją obserwują to koledzy: „Małość ludzi wsypał? Teraz masz za swoje!”

— No, kończyć ze skurwysynem!

Huknęły dalsze strzały. Migąła leży już na podłodze. Świeża krew farbuje kołnierz koszuli.

— Ma dość. Wiać!

Drzwi dziwnie łatwo ustępują pod drżącymi z podniecenia rękami. Z bronią gotową do strzału biegną przez podwórze. Główna sień jednakże nadal pozostaje w spokoju.

— Szybciej! Ostrożnie!

Z palcami na spustach spoczywających już w kieszeniach rewolwerów wychodzą na ulicę. Szybkimi krokami oddalają się coraz bardziej od mieszkania konfidenta.

— Gazu, gazu!

Jakiś spóźniony przechodzień wchodzi wolno do bramy jednej z kamienic. Policjanta też nigdzie nie widać. Chłodna noc wiosenna chłodzi rozgrzanych „robotą” i biegiem chłopców. Po dłuższej chwili przystanęli i ponownie dokładnie zlustrowali okolicę.

Ulica była nadal pusta.

*

W dwa dni później na nowo przyklepionych klepsydach: „Sławomir Migąła, czeladnik krawiecki, przeżywszy lat 17, zmarł dnia 31 marca 1944”, pojawiły się małe nalepki z nadrukiem „kapuś”. Przechodzący ludzie

z satysfakcją lub ulgą odczytywali ten nekrolog. Tak wyglądał kres działalności jednego z najgroźniejszych konfidentów Podgórze.

6 kwietnia 1944

W pierwszej chwili sądziłem, że budzące mnie dziś o jedenastej pukanie do drzwi zapowiada przyście gestapo. Potem, gdy rozległ się cichy szmer wsuwanej kartki, sądziłem, że to „klawiszniki” (upewniwszy się za pomocą pukania, że nikogo nie ma w domu) usiłują wytrychem otworzyć drzwi. Okazało się jednak, że nie zachodzi żadna z dwu ewentualności i że nie muszę opuszczać mieszkania w szybkim tempie przez okno pierwszego piętra. Nieoczekiwanym gościem był... „Broniek”.

— Dowiedziałem się na melinie, że wróciłeś już do domu, no i dlatego się tak dobijałem, bo znam twój zwyczaj spania do jedenastej.

— Masz urlop z oddziału, stary? Pewnie w perspektywie „roboty” w mieście?

Skinął twierdząco głową.

— Wiesz, że Migala już...?

— Słyszałem, stary. Właściwie teraz moglibyśmy ze „Słowikiem” wrócić do miasta, ale nie ma sensu. Z pracy zostałem już skreślony, a on z LHD, no, a nie ma sensu starać się o nową. „Góra” zgodziła się już na nas dwu w oddziale.

Westchnąłem zazdrośnie. Z dalszej rozmowy z Jerzym dowiedziałem się o nowym kontakcie z „Bardem” (zerwał się kilka dni temu; nie przyszedł na spotkanie). Jak zwykle: wtorki, czwartki i soboty o 4³⁰, ale naprzeciw Wawelu, przy łódkach. Pojutrze go tam poszukamy.

„Tender” został aresztowany; zabrali go z domu i podobno znaleźli spluwę. Niestety, przewidywania Jerzego sprawdziły się nadszpodziewanie szybko. Miał rację, mówiąc, że samodzielna „robota” szybko kończy się wspaną.

Wziąwszy MBI „Bronek” odszedł. Powróciłem do maszyny. Nie wiem, czy będę mógł doprowadzić do końca „drukowanie” *Dywizjonu 303* z powodu uszkodzenia siatki powielacza. Remont jest niemożliwy, a bardzo trudno dostać nową. Postanowiłem zatem, mając przez parę dni trochę czasu, przepisać dla siebie *Dywizjon* na maszynie; w ciągu trzech dni napisałem już 60 stron.

7 kwietnia 1944

Dochodzi czwarta nad ranem. Stoję przy oknie, zgasiwszy na chwilę światło, i spoglądam na ciemniejące w dali drzewa. Księżyc chyli się ku zachodowi, noc dobiega końca. Niedługo wstanie jasny wiosenny świt. Po nie przespanej nocy twarz bywa gorąca, a nad ranem znużenie ogarnia z podwójną siłą, toteż raz po raz przecieram twarz mokrym ręcznikiem.

Sucho stukają czcionki maszyny. Skończyłem przepisywanie regulaminu piechoty, po raz nie wiem już który, i teraz piszę kilka dowcipów dla „Barda”. Żebym go tylko znalazł! Jeżeli nie przyjdzie pod Wawel, można by go poszukać, ale w konspiracji, jeżeli nie ma czegoś bardzo ważnego, lepiej nie bawić się w Sherlocka Holmesa, bo można przy tym dowiedzieć się różnych danych o ludziach, których lepiej nie znać. Co innego gdyby gwałtem trzeba kogoś znaleźć i np. ostrzec o wyspie. Obawiam się o „Barda”. Czy ten człowiek w końcu

nie przeciągnie struny? Pominąwszy już to, że stale podpisuje swoje wiersze „Bard”, i to, że ma moim zdaniem za dużą ilość kontaktów (jego wiersze są także drukowane w Warszawie oraz przez „Front Zachodni”³ w Katowicach), samo „Na ucho” zaczyna obecnie być redagowane w coraz bardziej familiarny sposób.

*

Łódka przewoźnika przybiła do dębnickiego brzegu. Wysoki młodzieniec w okularach, dźwigający na ramieniu dużą paczkę, wysiadł i ruszył w stronę Zawady.

— „Łubiński”! — Serwus „Władek”!

— Aa, moje uszanowanie, „Wiktorze”! Pewnie czekasz tu na Genka, tak jak ja?

— Zgadłeś! „Wysoka egzekucjo”. Ha, ha, ha!

Spacerowali przez chwilę po wale i koło słupa 78 z daleka dostrzegli wysoką sylwetkę „Barda”. Przywitali się i usiedli na trawie. Rozdzielwszy prasę, zaczęli komentować najnowsze dowcipy Zawady, które ten wręczył literatowi. Większość z nich była dość trywialna, co oczywiście nie gorszyło nikogo. Mimo to „Bard” poprosił, aby bardziej uważać na cenzuralność.

— Wiecie, „Wiktor”, że już się do nas przyczepiła wojskowa cenzura. No i teraz w ostatnim numerze znowu skonfiskowano nam rysunek przedstawiający Szwaiba w towarzystwie pięknej kobiety, z napisem: „Manewry SS w MACEDONII”.

— Ha, ha, ha! — zawtórowali śmiechem „Wiktor” i „Łubiński”. A to „Moxa” miał pecha.

— Właśnie. Hej, panowie, patrzcie, jak ci dwaj

³ Dwutygodnik wydawany w roku 1943 przez Polski Związek Zachodni, nominalnie w Chorzowie i Lwowie, w rzeczywistości w Warszawie.

Niemcy z ul. Dietla gapią się na nas. Ciekawe, czy przez lornetki widzieliby druk?

Rozmawiając dalej, poszli waleń do Podgórze. Pożegnawszy „Władka”, „Bard” i „Wiktor” szli dalej w stronę mostu Piłsudskiego. „Bardowi” specjalnie spodobał się dowcip Zawady pt. *Audycja radiowa*, skombinowany z urywków audycji Londynu, Berlina i Reichsrundfunksender Krakau⁴ (wypadły z tego komiczne efekty).

— Wiecie, kolego, ja w jednym z moich wierszy swego czasu użyłem tego samego motywu co i wy: że pomieszaly się audycje z dwóch radiostacji.

Myśli Zawady poczynają nagle biec szybkim tempem: „Bard” ukrywa się tu..., mówił kiedyś, że jego wiersze były drukowane w „gadzinowej” prasie przed dwoma laty..., ma na imię Eugeniusz..., mówi, że napisał wiersz o zepsutym radiu. Przypominają się jakieś dawno zapomniane szczegóły, odzywające naraz, i pod wpływem przypadkowego bodźca łączące się w jeden logiczny łańcuch, z którego powstaje hipoteza zbyt jednak fantastyczna, aby można było się z nią wyrwać. Trzeba najpierw sprawdzić. I Roman na pozór beztrąsko pyta literata:

— Kolego, czy ten wiersz nie brzmiał:

Ale mam zepsuty kondensator
I gdy słucham Krakowa,
Włącza się Warszawa...
Halo, tu Kraków,
Nadajemy pogadankę,
Jak wychowywać młodzież.
Halo, tu Warszawa,
Nadajemy pogadankę
Dla hodowców bydła.

⁴ Niemiecka rozgłośnia radiowa Kraków.

Warszawa: zasady chowu bydła.
Kraków: młode, ładne panny
Najlepiej trzymać w towarzystwie,
Warszawa: młodych, jurnych byków.

— A kończy się w ten sposób:

Wzburzony co niemiara,
Wyrzuciłem aparat!

— Tak! Ale na miłość boską, kolego, jak to odgadliście?

— Z paru przypadkowo zapamiętanych na przestrzeni dwóch lat szczegółów. Kolego, nie wiem i nie chcę wiedzieć, pod jakim nazwiskiem ukrywacie się teraz w Krakowie, ale wy do 24 I 1943 roku byliście Eugeniuszem Kolanko, autorem wiersza w IKP, którego pierwsze litery dają słowa: „Polacy, Sikorski działa!”

— Zgadliście, „Wiktor”. To był mój wiersz.

— Wobec tego — ciągnie z pewnym wzruszeniem Zawada — przyjmijcie moje spóźnione gratulacje, które złożyłbym wam wtedy, gdybym was znał. Nieraz myślałem, co się z wami dzieje po napisaniu tego wiersza i czy kiedyś będę mógł was widzieć z bliska.

— Dziękuję, oczywiście nie muszę was chyba prosić, abyście nie mówili, kim jestem. Do licha, to z was prawdziwy Sherlock Holmes!

— Nie ma obawy, nie będę o tym trąbił.

— „Wiktorze”, niech mnie jasna cholera, jeżeli wy kiedyś po wojnie nie zostaniecie najmniej naczelnikiem urzędu śledczego. Macie do tego zdolności. No, na razie czołem, kolego! Do następnego spotkania, jak zwykle! Zazdroszczę wam waszych zdolności i pamięci, nie musicie niczego pisać, a to atut przy pracy konspiracyjnej.

Rozmowa powyższa miała miejsce 27 kwietnia. Obaj

rozmówcy nie przewidywali ani przez chwilę, jak szybko majątek ten miał procentować.

28 kwietnia 1944

W ten sposób mimo woli zaawansowałem na mistrza sztuki policyjnej. Zdarzają się czasem nieprawdopodobne historie i ma słuszność przysłowie, że „góra z górą się nie zejdzie...” Jestem zadowolony, że poznałem osobiście autora tego wierszyka, a jeszcze bardziej z propozycji, jaką uczynił mi przed tygodniem, stałej współpracy tego rodzaju, co obecnie, po wojnie.

„Bard” i „Szarzyński” zamierzają (w porozumieniu i z polecenia jakiejś grubszej ryby z prasy wojskowej) objąć z ramienia prasy wojskowej gmach koncernu IKC, jak tylko szlag trafi GG. Fajne to będą kiedyś czasy, o ile się ich doczekamy. Będę „kropił” dalej różne wice, jak sam Bogdan Brzeziński przed wojną we „Wróblach na Dachu”⁵.

Czasem wybiegam myślami w przyszłość, ale wnet uśmiecham się na to z politowaniem. Przede wszystkim należy doczekać się końca wojny, a potem dopiero myśleć, co dalej. A doczekanie się go jest przy naszej „robocie” mało prawdopodobne, jeżeli nawet założyć, że z walki w powstaniu wyjdziemy cało. Od dawna uczę się tworzyć plany na okres nie dłuższy niż wykonanie rozkazu „góry”. Czasem jest to kilka dni, rzadko tygodni. Praktycznie biorąc, trudno określić, ile jeszcze „tego padolu” mamy przed sobą. Najgłupszy drobiazg wystarczy, aby skończyć człowieka. Od szeregu miesięcy zaledwie kilka razy szedłem ulicą zupełnie „czysty”,

⁵ Brukowe czasopismo humorystyczne wydawane w latach trzydziestych przez koncern IKC w Krakowie.

to samo inni. Niemcy codziennie urządzają na ulicach obławy połączone z „obmacem” i rewidowaniem, i — czego nie było rok temu — z dokładnym odczytywaniem najmniejszego świstka.

Obawiam się o „Barda”. Podgórze jest dość ciasne, skutkiem czego nawet po krótkim czasie jegomość stale kręcący się po kilku ulicach o różnych porach dnia — co świadczy, że nie pracuje — jest znany okolicznym mieszkańcom, stróżom itp. W dodatku Podgórze jest centralą konfidentów, rekrutujących się przeważnie z miejscowych szumowin. Czytałem kiedyś w *Przewodniku po Krakowie* prof. Estreichera, że dokładnie tak samo, jak dziś masa konfidentów i prowokatorów policji austriackiej rekrutowała się z Josefstadtu⁶ po III rozbiórce Polski i za Rzeczypospolitą Krakowską.

W takich warunkach nietrudno o wyspę. Każdy z nas popełnia co dzień szereg mimowolnych nieostrożności, które choć drobne mogą źle się skończyć. Na przykład kilka dni temu, mając gazetki w kieszeni, za mało uważałem na ruch na jezdni pod „Kryształem” i w ostatniej chwili uskokyłem w bok, gdy samochód wojskowy wpadł na ciężarówkę. Gdybym został ranny czy stracił przytomność, policja albo przechodnie zaraz poszukaliby przy mnie dokumentów, a wtedy znaleźliby gazetki. Jak z tego widać, trzeba uważać nie tylko na obławy i kapusiów, lecz także nie jeździć na stopniach tramwaju z bibułą czy maszyną, bo zwykle ściągnięcie przez „łodziarza” * może mieć tragiczny finał.

Zdarzają się też sytuacje, w których naprawdę trud-

* Ordnungspolizei, którzy mają w czasie pilnowania tramwajów białe denka czapek.

⁶ Nazwa nadana przez Austriaków miastu Podgórze, późniejszej dzielnicy Krakowa.

no jest powziąć jakąś decyzję. Parę dni temu, mając trochę czasu przed spotkaniem z „Ziemniakiem”, wstąpiłem do jednego z nie zorganizowanych znajomych mieszkających w pobliżu, nie chcąc czekać na ulicy, i dowiedziałem się, że brat jego został aresztowany. Aresztowano też kogoś naprzeciw, a po całej ulicy, notabene bardzo krótkiej, kręcą się od tej pory jakieś ciemne typy. Było mi trochę nieswojo (mieszkanie, z którego kogoś zabrano, przeważnie dłuższy czas „śmierdzi” *), bo miałem prasę dla „Ziemniaka” i „Draża”. Koledzy z sekcji domyślają się, że piszę do „Na ucho”, znając mnie jako niepoprawnego kpiarza. No, niech wreszcie myślą, co chcą, ale ode mnie nie dowiedzą się ani słowa.

30 kwietnia 1944

Od kilku dni trwają w całym kraju, zarówno w miastach, jak i wsiach, wielkie aresztowania, nie mniejsze niż w czasie „Oktobra”. Podobno zaczęły się dwudziestego piątego w Warszawie. W Krakowie na razie spokój, niewykluczone jednak, że fala może dojść i tu. Ilu jeszcze z nas nie doczeka końca wojny?

Dzisiaj urządziłem sobie pierwszy raz od zeszłego roku prywatną wycieczkę rowerem za miasto. Miałem jechać z „Jimem”, który wybierał się do swojej rodziny za Mogilany, ale na skutek zepsucia zegarka spóźniłem się o pół godziny i już go nie było na umówionym miejscu w Borku. Ponieważ bawię się doskonale we własnym towarzystwie, więc wcale nie zrezygnowałem z wycieczki; wkrótce już oddychałem wiejskim powietrzem. Po trzech godzinach jazdy znalazłem się kilka kilometrów przed Myślenicami, gdzie zjechałem z drogi

* Pozostaje pod obserwacją agentów gestapo.



23. „Enowa” ulotka o ewakuacji Niemców z Polski

24. Strona tytułowa satyrycznego pisma „Na ucho” (na stronie następnej)

na ucho...

ROK

TYGODNIK SATYRYCZNO - HUMORYSTYCZNY

NR. 5

I

KRAKÓW 12 Grudnia 1943



SONATA SACRENTALIS



i zabrawszy rower, wygodnie wyciągnąłem się w przydrożnych zaroślach. Słońce, jak na ostatni dzień kwietnia, przygrzewało wcale mocno, w powietrzu unosił się miły zapach świerkowego lasu. Czasem powiał ciepły wiosenny wiatr. Z daleka unosiły się dymy z pobliskiej wioski, zaledwie dostrzegalne na tle nieba.

Leżałem na brzuchu w krzakach, z przyzwyczajenia obserwując szosę. Odpoczywałem od codziennego widoku Niemców. Można by pomyśleć przez chwilę, że nie ma już okupacji. Przyjemnie jest mieć świadomość, że jutro nie wracam do monotonnej pracy ani do wkuwania w ogłupiającej Fachschule⁷, jak to określa „Watra”. Wprawdzie każda nabyta fachowa wiedza może się kiedyś przydać, ale nasza ferajna znacznie ciekawsza niż Fachschule.

Za kilka dni znów „robotą”, wnet wraca „Narciarz”, a co będzie za tydzień lub miesiąc, jeżeli uda się nie wpaść w ciąg następnego tygodnia? Ach, szkoda myśleć... Nie dbam o jutro. Kiedyś próbowałem uczyć się angielskiego z samouczka i może nawet dałbym sobie z tym radę, ale całodzienna „robotą” oraz związane z tym włączenie się po mieście nie sprzyjają systematycznej pracy. Jest też ona, tak jak stała droga z prasą (mimo że chodzę stale innymi ulicami, aby nie zwracać uwagi), dość nieefektywna i nudna, choć może pożyteczna. Jedynym urozmaiceniem są akcje „enu” i czasem jakaś większa „granda”.

Kiedy tak leżałem i patrzyłem przed siebie, wyteżyłem w pewnym momencie wzrok. Niestety, oko mnie nie myli. Ani na chwilę nie można pozbyć się widoku Szwabów. Pobliska wioska jest zajęta przez nich. Z tej

⁷ Szkoła zawodowa.

odległości nie widzę, jakie noszą mundury, ale dlaczego tyłu ich się tam kręci? Czyżby pacyfikacja? Przed chwilą zamierzałem przejechać się jeszcze do Myślenic i już wstawałem z ziemi, gdy nagle coś mnie wstrzymało. Takie „rozmyślenie się” nieczęsto mi się zdarza, bo lubię wprowadzać w czyn swe zamiary, ale gdy się już trafia, zwykle nie opieram się temu i przeważnie tego nie żałuję. Tak samo w 1941 roku, kiedy rozmyśliłem się i nie odniosłem „Dziennika Polskiego” do mieszkania, gdzie siedziało już gestapo. Czuję przy tym lekkie zdenerwowanie i dziś przypomniałem sobie to zdarzenie.

Położywszy się z powrotem w lasku, obserwowałem wioskę. Niemcy przestali się już kręcić i nad całą okolicą unosiła się nagrzana cisza. Coś tu jest nie w porządku. Od strony Myślenic pojawił się na asfaltowej szosie szereg ruchomych, szybko zwiększających się punktów. Gdy przybliżyły się na dostateczną odległość, rozpoznałem auta policyjne i przyjrzałem się bliżej kolumnie. Na przedzie odkryty samochód z cekaemem, za nim dwie kryte płótnem ciężarówki, potem ogromny autobus, znów parę ciężarówek, odkryty samochód z cekaemem, a na końcu duża ciemnozielona limuzyna marki mercedes. Po bokach jechało szereg motocykli z niemiecką policją. Wszystkie auta nabite były cywilnymi ludźmi. Karabiny maszynowe i eskorta na motocyklach mówiły same za siebie.

— O, do cholery, to jakaś większa chryja. Zdaje się, że to nie tylko z tej wioski. Czyżby jakaś wsypa na wielką skalę w Myślenicach? Przeczekałem dłuższą chwilę, zlustrowałem dokładnie całą widoczną część szosy i szybko ruszyłem do miasta.

Rozdział XIX

Pierwszego maja o pół do dziewiątej rano Roman na swym rowerze jechał ul. Krakowską do Podgórza, nie bardzo nawet zważając na wygląd ulicy. Ten pogodny poranek był jednym z nielicznych dni, w których Zawada miał zupełnie „czyste” kieszenie. Cel jednak, w jakim udawał się do Podgórza, nie był wcale podobny do stanu jego kieszeni.

Dojechawszy do mostu Piłsudskiego uważnie zlustrował okolicę. Od spotkanego przed chwilą znajomego otrzymał ostrzeżenie, że dziś od wczesnych godzin trwają w Podgórzu rewizje uliczne przechodniów, dłuższe i dokładniejsze niż zwykle, co jest dość zastanawiające.

Rozwiązanie tej zagadki nastąpiło bardzo szybko. W ulicy Przy Moście niespodziewanie dla siebie zobaczył „Barda” opartego o kamienną poręcz nad bulwarem. Roman zahamował tuż przy chodniku.

— Czołem, kolego! Wy tu o tak wczesnej porze? Czyżby coś się stało?

„Bard” odwrócił się i skinął twierdząco głową.

— Czołem, „Wiktor”! Żle się stało i jest wsypa jak jasna cholera. Czy możecie mi pomóc?

— Z przyjemnością, ale najwcześniej za dziesięć minut, bo mam ważne spotkanie z kimś z „góry”. Zaraz tu do was wrócę.

— Dobra, wracajcie jak najprędzej!

Roman wskoczył na rower. Jadąc przez Rynek Podgórski, przekonał się, że istotnie ostrzeżenie znajomego było prawdziwe; przeszedł dokładną rewizję osobistą przeprowadzoną przez 3-osobowy patrol Sicherheitspolizei. Ujchawszy kilkadziesiąt metrów, natknął się na drugi patrol, przy czym cała historia powtórzyła się z tymi samymi szczegółami. „Narciarz”, czekający na umówionym miejscu, uśmiechał się z daleka.

— „Wiktorze”, dobrze, że dziś cofnąłem się przed przejściem III Mostu, bo już nie mówilibyśmy ze sobą w tej chwili. Trzy razy mnie rewidowano, a tam dalej aż zielono od policji. „Bim” musiałem zostawić w pewnym miejscu, bo nie mogłem go tu przynieść. Zdaje się, że wykryli jakiś skład broni czy coś w Podgórzu i przez to takie poszukiwania.

— Może. Szefie, nic straconego, po „Bim” mogę się zgłosić wieczorem.

— Dobrze. Wie pan, panie „Wiktorze”, od dziś przeniesiono mnie do pracy w biurze. (Tu wymienił adres firmy, w której pracował magister Michalski.) Będzie pan mógł tam przychodzić. Proszę więc wpaść o szóstej. Cześć!

Roman wrócił do „Barda”, od którego usłyszał relację o całej sprawie. W nocy policja niemiecka wykryła (nie wiadomo jeszcze, czy przypadkowo, czy w wyniku dochodzenia) jedną z melin na Nadwiślańskiej, w której mieściło się archiwum prasowe, m. in. „Watry” i „Na ucho”. Szczęściem w nieszczęściu jest to, że nikogo przy tym nie aresztowano, bo ze względu na elementarną ostrożność nikt w tym mieszkaniu nie mieszkał.

— Gorzej, kolego, bo dziś jak zwykle ma tam przyjść czterech ludzi, a w melinie czeka już gestapo. Nie tylko zresztą w melinie, widzicie sami, co się dzieje

w Podgórzu. Dlatego stoję tu i pilnuję. Na III Moście też stoi nasz posterunek, a drugi na Józefińskiej. Już dwóch ludzi uratowaliśmy.

— Dobrze, że dotąd nikt nie wpadł.

— Dobrze, ale jeszcze nie wiadomo, co z tego wyniknie. Najgorzej, że nie wiem, kiedy nadejdzie „Łubiński”, bo on tam chodzi bardzo nieregularnie, a może przyjść dopiero jutro!

— Do pioruna, trzeba pilnować choćby do wieczora — mruknął Zawada. — Ale czy nie byłoby prościej pójść do niego do domu i na miejscu go ostrzec?

— Ba, kiedy nikt z nas nie zna jego nazwiska. „Wiktor”, macie czas?

— Choćby do wieczora. Chętnie pomogę.

— Świetnie. Dawajcie, kolego, rower. Pojadę do trzeciego jegomościa, którego nazwisko znam, a wy uważajcie, czy „Władek” nie idzie. Z nieba spadliście razem z rowerem.

„Bard” zjechał w dół ul. Legionów, a Roman wolnym krokiem spacerował po chodniku między komisariatem policji granatowej a mostem.

— W Moskwie dziś święto — myślał. — Psiakrew, tam nie muszą uważać, czy z za rogu nie wyjdą Niemcy. Pewno mają defiladę jak cholera... Dobrze, że tu komisariat zasłania ul. Nadwiślańską i że dotychczas przy moście spokój. Patrole kręcą się dopiero na Kalwaryjskiej. Dość nieswojo jest tu stać wciąż na jednym miejscu i obserwować przechodniów, nie wiedząc, czy się samemu nie jest pod obserwacją. Na razie jednak spokój, żadnego policjanta ani mętnego typa kręcącego się w pobliżu. Po trzech kwadransach nadjechał „Bard”.

— Dzięki wam i waszej dryndzie ostrzegłem trzecie-

go, bo przedtem nie mogłem się stąd ruszyć. Pozostaje jeszcze najtrudniejsze: „Władek!” Nie było go?

— Im Westen nichts Neues¹ — zażartował Zawada. — Kolego, czy nie dałoby się dowiedzieć nazwiska i adresu „Łubińskiego”? Może znacie kogoś, kto by znał jedno albo drugie?

— Zaraz, zaraz. Owszem, mam kogoś, kto prawdopodobnie był jego kolegą szkolnym, ale nie poszedłbym do niego, bo to nie „nasz”. Jakbym się pytał, mógłby mnie wziąć za kapusia.

— Hm... Mówiliście kilka dni temu, że przypominam Sherlocka Holmesa.

— Potrafilibyście to?

To rzekłszy „Bard” opisał dom, w którym mieszkał eks-kolega „Władka”, i Zawada ruszył „co rower wyskoczy” w stronę Borku Fałęckiego. Cała sprawa nie była wcale wesoła, mimo to obydwaj byli w doskonałych humorach, prawdopodobnie dlatego, że tym razem obeszło się bez ofiar w ludziach.

Po kilkunastu minutach dzwonił już do niewielkiego kilkumieszkaniowego domu dzwonkiem przy wizytówce: „J. Kamińska”. Cisza. Zawada zaklął głośno i zadzwonił ponownie. Nic. Nadal cicho za drzwiami. Nie ma nikogo w mieszkaniu.

— „Tonący brzytwy się chwyta” — pomyślał i zadzwonił do sąsiedniego mieszkania. Otworzyła służąca. Zapytał o panią Kamińską, po czym rzuciwszy jakiś dowcip wdał się z dziewczyną w rozmowę, w trakcie której dowiedział się, że pani Kamińska jest nauczycielką w szkole powszechnej. — Dobrze, że tyle wiem — myślał, jadąc w stronę odległej szkoły. Udało mi się

¹ *Na Zachodzie bez zmian*, tytuł powieści E. M. Remarque'a.

wzbudzić zaufanie i uniknąć podejrzeń tymi dopytywaniami o kogoś, kogo udawałem, że znam.

Dojeżdżając do szkoły, zobaczył idącą tędy poważną panią w starszym wieku, trzymającą pod pachą zeszyty. Zapewne jest nauczycielką. I nagle jakby mu ktoś szepnął do ucha, że ma przed sobą poszukiwaną osobę. Bez wielkiego zdziwienia po zadaniu pytania przekonał się, że tak jest. „Szósty zmysł” dał znać o sobie.

Niestety, pani Kamińska niewiele wiedziała, kiedy syn wróci do domu, przypuszczała jedynie, że nie wcześniej jak zwykle pod wieczór. Indagowana przez Zawadę przypomniała sobie jednak, że Marian ma dziś koło południa załatwić jakąś sprawę u znajomych w śródmieściu.

— Może pan tam go zastanie. Wie pan, gdzie jest ulica Sławkowska?

Roman podziękował za informację i zawrócił na ul. Przy Moście.

„Bard” spacerował w dalszym ciągu, „Łubiński” dołąd nie nadszedł. „Wiktor” zamienił kilka słów z literatem i ruszył do śródmieścia. Dochodziło już południe. Słońce dogrzewało jak w lipcu, mimo że był dopiero początek wiosny. Chłopiec zręcznie prześliznął się między samochodami i wozami, uważając, czy gdzieś nie pojawią się jasnozielone mundury. Wreszcie upragniona ul. Sławkowska. Zostawiwszy rower w bramie, zadzwonił do wskazanego mieszkania. Wkrótce jednak dowiedział się, że Kamiński miał tu być istotnie w południe, ale dopiero jutro.

Pozornie wydawałoby się, że tu ślad się urywa. Przez chwilę Roman miał ochotę wrócić do „Barda”, ale wanie nie trwało długo. Dochodząc już do drzwi wejściowych, rozpoczął rozmowę ze służącą. (Nie wolno

obecnie trzymać służby, więc jeżeli w tym mieszkaniu jest służąca, to na pewno rejestrowana na lewo na ul. Lubelskiej, a w meldunkach oficjalnych figuruje jako sublokatorka. Musi zatem żyć na rodzinnej stopie ze swymi chlebodawcami.)

Ten dzień obfitował w pomyślne zbiegi okoliczności: służąca słyszała: „jak ten pan Marian, co tu często do państwa zachodzi, mówił, że obiad je w restauracji na Tomasza, na kartki, proszę pana”.

— Ano, idzie jak z płatka — pomyślał z humorem, poczęstowawszy uprzejmą służącą komplementem własnej roboty. — Może w końcu uda mi się go znaleźć. Zatrzymał się przed jadalnią „Zdrowie” na ul. Św. Tomasza. — Od czego by tu zacząć? — zastanawiał się, zabezpieczając rower olbrzymią kłódką z łańcuchem iście kotwicznym. — Wielki detektyw zapewne upiłby któregoś z kelnerów i potem pociągnąłby go za język. Ja jednak ani nie piję, ani nie mam zdolności wielkiego detektywa, wobec tego postąpię nieco inaczej.

Wszedł do zadymionej sali, przystanął na moment, aby „wrócić w otoczenie” i usunąć się niejako w cień wchodzących ludzi. Gdy rozejrzał się po trzech pokojach, pomyślał, u kogo by zasięgnąć informacji. Warto chyba spytać tę kelnerkę... albo nie, bo jest dość przystojna i pewnie często zaczepiana przez różnych miłośników monopolu spirytusowego, przez to nie zwraca uwagi na mężczyzn. Lepiej już spytać zarządzającą. Wygląda na osobę dobronudną. Odcina bloczki i ma dość wolnego czasu, więc zapewne z nudów obserwuje jedzących. No, a stałych gości powinna znać z widzenia.

Podszedł do zarządzającej, ukłonił się grzecznie i zapytał o swego kolegę, który tu co dzień przychodzi na obiad. Wygląda zaś tak i tak. (Tu powtórzył rysopis Ka-

mińskiego, podany poprzednio przez „Barda”.) Mówił powoli, udając, że tworzy go na poczekaniu, by gospodyni nie wzięła go za agenta Kripo.

— Tak, proszę pana — wyjaśniła uprzejmie kobieta (grzeczność nic nie kosztuje, a wszystkich kupuje!) — ten pański kolega przychodzi stale do nas, ale dziś go jeszcze nie było. Zwykle zagląda koło trzeciej.

— Dziękuję.

— Wygraliśmy! — ma ochotę zawołać Zawada do „Barda”, który z daleka daje mu znak, aby się nie zbliżał. Chłopiec szybko pojmuje dlaczego; przeciwną stroną ulicy powoli przechodzi w stronę Rynku Podgórskiego średniego wzrostu brunet o czarnych włosach i czarnych oczach głęboko osadzonych w szerokiej twarzy. Ubrany jest w tyrolski kapelusz koloru brązowego z białym sznurkiem, siwozielonkawe ubranie i biały płaszcz letni. Za chwilę znika za rogiem.

— Sukinsyn szpicel, „Wiktorze” — mruczy „Bard”. — Zapamiętajcie sobie dobrze jego mordę. No, jak wam się udało, mr Sherlocku? — pyta żartobliwym tonem, choć oczy błyszczą mu ciekawością i niepokojem.

— Jak po maśle, kolego — uśmiecha się Roman.

— Brawo. Gdzie szukać Kamińskiego?

W trakcie relacji Romana nadchodzi wysoki barczysty jegomość o sympatycznej twarzy z blond angielskim wąsikiem. Zawada widzi go po raz pierwszy w życiu i pytająco patrzy na przybyłego, który wita się z „Bardem” i wyciąga rękę.

— „Szarzyński”. No i co dalej, Genek?

— Posłuchaj sam, co mówi „Wiktor”.

— Dobrze to wykombinowaliście — chwali „Szarzyński” — pozwólcie, że teraz skorzystam z waszych wyników, bo nie znacie Kamińskiego i mógłby wam

nie powiedzieć adresu „Władka”. Możecie mi pożyczyć rower?

— Proszę — odpowiedział Roman. W samą porę przyszlście. Głowiłem się właśnie nad tym, jak rozpoznać Kamińskiego.

— W porządku. Czekaście tu obaj, aż nie wrócę, no i dalej uważajcie, czy nie idzie „Łubiński”. Przyślę wam tu jeszcze kogoś.

Odjechał. „Bard” i „Wiktor” siedzą na żelaznej balustradzie, oddzielającej jezdnię od położonego niżej chodnika. Na tym kawałku ulicy ruch panuje nieduży, wyłącznie pieszy, gdyż wozy i auta jadą prosto ul. Legionów. Nawet nie trzeba zbytnio wyteżać uwagi, by z daleka odróżnić twarze przechodniów. Zawada zażartował, mówiąc, że szkoda, iż mały Jaś z dowcipów w „Na ucho” nie jest postacią autentyczną, bo mógłby bawić się do wieczora na środku ulicy, nie zwracając niczyjej uwagi. Rozmowa przechodzi z kolei na sytuację wojenną. Czas wlecze się straszliwie powoli. Roman zdejmuje jesionkę.

— Trochę dziś za ciepło, jak na 1 maja...

— Macie rację, za „ciepło” — uśmiecha się „Bard” i dodaje: o, właśnie nadchodzi „ktoś” przysłany przez „Szarzyńskiego”.

Przedstawia Romana przybyłej młodej brunetce.

— Proszę, oto kolega „Wiktor”, autor licznych dowcipów z naszego pisma. Zostawiam was samych i idę coś przekąsić, bo jestem bez śniadania, a już dochodzi trzecia.

Roman z dziewczyną usiedli na wystającym bloku oddzielającym chodnik od położonego o kilka metrów poniżej bulwaru.

— Dobry pomysł miał „Szarzyński” przysyłając pa-

nią, bo możemy tu siedzieć choćby do jutra i nikt się temu nie będzie dziwił. Czy zna pani z wyglądu „Łubińskiego”?

— Znam. Na pewno go nie przegapię.

Rozmawiając siedzą dalej na murku. Kilkanaście metrów od nich mieści się komisariat granatowej policji. Od czasu do czasu po siedzących prześliznie się spojrzenie przechodniów, ale zapewne nikt nie domyśla się, że pod pozorem zwykłej randki, jakich wiele na wiosnę, rozgrywa się jedna z tysięcznych codziennych scen podziemia.

— Niech pan patrzy, jaką zgorzszą minę ma tamta babcia — szepcze dziewczyna, przysuwając się naumyślnie jak najbliższej Romana.

— Można pęknąć ze śmiechu — odpowiada chłopiec i udaje, że całuje sąsiadkę w policzek. Oboje zagryzają wargi, aby nie roześmiać się na cały głos na widok miny starszej pani.

„Bard” wrócił z obiadu i usiadł obok Romana. Wyciągnął z kieszeni papier rysunkowy i szkicuje małą kamieniczkę numer 3 b. Wyglądają w tej chwili na młodych ludzi będących „za szkołą”. Teczka z książkami dziewczyny leży obok na ziemi, a właścicielka jej nadal obserwuje okolice. Zawada rozwalił się wygodnie na zaimprovizowanej ławce i kątem oka patrzy na brunetkę. — Po nagłą krew — myśli ze złością — ona tak dobrze zna całą „ferajnę” z „Na ucho”? O mnie żadna nie śmiałaby wiedzieć dziesiątej części tych szczegółów, co ona wie o nich, choć spałbym z nią od 1939 roku. O ile wiem, schodzą się często u niej w mieszkaniu na przyjacielskie pogawędki: patefon, wódzia (nierazjechało „kirą” od „Barda”, choć nigdy nie zalał się całym), dziewczynki... Ech, do ciężkiej cholery z taką

„konspiracją”! Może wreszcie zrozumieją to po dzisiejszej „lekcji”.

— Wiecie, kolego — odezwał się „Bard” — że zaczyna być niebezpiecznie. Dotychczas nie złapali nikogo mimo rewizji ulicznych i przed jakąś godziną na samo tylko Podgórze puścili aż 160 dwunożnych psów gończych. Jakoś ich dotąd tu nie widać.

— Cholera! (bardzo panią przepraszam), a to dopiero! Żeby się tylko „Szarzyńskiemu” udało, to już nas tu nie ma!

Jakby na potwierdzenie słów „Barda” w odległości kilku kroków od siedzących przystanęli dwaj mężczyźni w cholewach i tyrolskich kapeluszach. Oparli się o mur i zaczęli obserwować przeciwległy brzeg Wisły.

— Kolego — szepnął poeta — co za typowe mordy gestapowców, jak z naszych karykatur.

— Właśnie to samo pomyślałem. Co oni, do licha, tak obserwują, Wisłę czy nas?

Upłynęło kilka minut. „Bard” rozmawiał na pozór beztrosko z dziewczyną, ukrywając zaniepokojenie, a Roman nadal zastanawia się nad położeniem. — Żle będzie, jeżeli zapytają „Barda” o dokumenty. Wtedy leżymy wszyscy troje. Odejść jeszcze nie możemy, a dłużej pozostawać też nie powinniśmy. Cholera, w grę wchodzi tu życie „Łubińskiego”.

Uf, nareszcie! Z mostu skręca rowerzysta, w którym z daleka rozpoznają „Szarzyńskiego”. Udaje, że widzi ich dziś pierwszy raz.

— Jak się macie, panowie? Cóż to za flirty z moją narzeczoną? Chodźcie, przejdziemy się kawałek — mru-ga do „Barda”, spod oka obserwując podejrzanych mężczyzn.

„Bard”, dziewczyna i „Wiktor” wstają z ławki.

Przez kilka sekund stoją niemal w jednym szeregu z „Szarzyńskim”, po czym Roman odbierając z rąk „Szarzyńskiego” kierownicę roweru, obrócił się tyłem i wtedy usłyszał cichy trzask, charakterystyczny dla nacisnięcia migawki w aparacie fotograficznym. Jeden z mężczyzn mówi coś do drugiego po niemiecku i chowa skierowaną jeszcze w stronę chłopców „leicę” do porządnej skórzanej teczki. Obaj odchodzą w stronę ul. Józefińskiej.

— Psiakrew, co to ma znaczyć? Czy on fotografował Wisłę, czy nas? Nie widzieliście?

— Chyba Wisłę — mruknął „Bard” — no, czy udało ci się? — pyta „Szarzyńskiego”.

— Tak. Widziałem Kamińskiego i byłem z nim w domu „Władka”. Miał przyjść na melinę dopiero jutro. Dobrze, że się zabawiliście w detektywa, „Wiktor”, bo musielibyśmy jeszcze jutro tu siedzieć. Dziękuję wam.

— Ja też i gratuluję — uśmiecha się „Bard”. Zaczekajcie na mnie przy łódkach, kolego „Wiktor”, zaraz tam będę i dam wam prasę.

Przystanęli przed domem numer 1. Koło nich znów przeszło jakieś podejrzone indywiduum.

— Tak, to niech pan przyniesie mi ten „szlauch” od roweru jutro. Cena tak jak ustaliliśmy — improwizuje na poczekaniu „Szarzyński”. No, cześć!

Pożegnawszy się z brunetką, Roman pojechał wałem na Dębniki. W kilkanaście minut później z łódki wysiadł „Bard” i wręczył czekającemu kopertę.

— „Na ucho” jeszcze nie ma, bo dziś dopiero poniedziałek. No, jak zwykle spotykamy się w tym miejscu. Wiecie, wyjdzie specjalny numer „Na ucho”, złożony tylko z wiców nas obydwóch.

— Ho, ho! Ale do rzeczy, kolego „Bard”. Czy macie gdzie spać? Chyba nie zostaniecie w dotychczasowej melinie po dzisiejszym...

— Oczywiście, że nie. Melinę mam już nową, nawet niezbyt daleko stąd. No, czołem, do jutra!

*

Drugiego maja po południu Zawada spotkał się na umówionym miejscu z „Bardem”, który zjawił się wraz z „Łubińskim”. Chłopiec czuł się zażenowany wdzięcznością „Władka”, który dziękował mu za wczorajsze „śledztwo”. Znacznie większa była przecież zasługa literata, który bez dokumentów kręcił się po ulicy przez siedem godzin, gdyż dopiero dziś rano dostał lewą kennkartę.

— Wiecie, z polecenia „góry” zawiesiliśmy prasę na dwa tygodnie, aż się jako tako uspokoi po tej wczorajszej wścieczce.

— Bardzo roztropnie. Nadal nikt nie wpadł?

— Nie, wszystko w porządku. Wyobrażam sobie miny gestapowców, którym „ptaszki”, czyli my, umknęły sprzed nosa. Ha, ha, ha!

— Ale jeszcze nie koniec tej historii — zauważył Zawada. — Kolego „Bard”, jako „stary fachowiec” radzę wam, żebyście najmniej przez miesiąc nie przechodzili na prawy brzeg Wisły. Również „Łubiński” radził to samo, namawiając poetę, aby zamelinował się u niego, w zupełnie innej części miasta. Namowy te jednakże nie odniosły skutku.

Następne spotkanie dla zachowania kontaktu ustalono (wobec przerwy w prasie) na przyszły wtorek, dziesiątego, o tej samej porze i w tym samym miejscu, po czym „Bard” i „Łubiński” odeszli w stronę ul. Konop-

nickiej. Roman długo patrzył za nimi, aż skryli się całym za wał wiślany. Westchnąwszy nad lekceważeniem niebezpieczeństwa przez literata, zszedł w dół do łódki przewoźnika.

4 maja 1944

Cała historia poważnie mnie niepokoi. Lekceważący stosunek do niej „Barda” jest tym dziwniejszy, że jak opowiadał — był już poszukiwany przez gestapo w poprzednim miejscu zamieszkania z początkiem stycznia 1943 roku. Po „wizycie” Niemców w domu wyjechał do Krakowa, napisawszy na pożegnanie wiersz: *Polacy, Sikorski działa*. (Wiersz wydrukowano w IKP nie wiedząc, że autor jest już od tygodnia poszukiwany.)

Na ostatnim spotkaniu dowiedziałem się, że „Watra” została przejęta przez prasę wojskową i następny numer, za dwa tygodnie, będzie miał już szablę i książkę. Wspaniale, że przejmuje ją nasza „góra”. Dotychczas bowiem „Watra” wychodziła w drukarni Stronnictwa Polskiej Demokracji², lecz za zwalczanie politycznych rozgrywek obrazili się panowie politycy.

„Jim” wykrył przedwczoraj, że mam bezpośredni kontakt z „Na ucho”. Stało się to w ten sposób, że kiedy wręczyłem mu „podhalański” numer „Na ucho”, przeczytał tam mój dowcip:

„— Przyjdź do mnie znów w tych dniach.

² Ruch demokratyczny był w okresie okupacji rozbity. Stronnictwo Polskiej Demokracji powstało w lipcu 1943 roku jako secesja działającego od roku 1940 Stronnictwa Demokratycznego. SPD pozostawało w opozycji do całego „obozu londyńskiego” (w marcu 1944 roku wzięło udział w tworzeniu CKL — patrz rozdz. XVII, przyp. 8), podczas gdy SD weszło w skład Rady Jedności Narodowej (patrz tamże). Poza tym istniało jeszcze Polskie Stronnictwo Demokratyczne.

— Kiedy?

— W P A D N I J we wtorek.

— Żeby cię szlag trafił za takie życzenia!”

— Roman — zwrócił się po przeczytaniu tego dowcipu do mnie — przecież to fragment naszej rozmowy, jak byłeś u mnie we czwartek! A właśnie dziś wpadłeś do mnie we wtorek... No, no, co za szybkość w publikowaniu!

Ciekawe, czy uwierzył, gdy kiedyś mówiłem, że nie znam nikogo z „Na ucho”.

Prócz tego poznałem dziś żonę „Narciarza”, która jest zgrabną, przystojną blondynką. Wie, że mąż należy do AK i oczywiście o tym, że nie przyszedłem do niego za jakimś np. handlem. Okazało się, że zna mnie dobrze z widzenia, bo sama jest dobrą znajomą „Bronka”.

Do licha, staję się coraz popularniejszy, z czego wcale się nie cieszę, żeby podobnie rozumowała też szanowna redakcja „Na ucho”, byłbym całkiem o nich spokojny. Oby wreszcie wyjaśniła się sytuacja! Słusznie ostrzegał jeszcze w zeszłym roku MBI, że „nigdy nie można uspokajać się kilkudniowym brakiem aresztowań, trzeba natomiast zachowywać stałą ostrożność, choćby pozornie nic nie zagrażało”.

*

Padał wiosenny deszcz. Starodawne przepowiednie meteorologiczne, oparte na wieloletniej obserwacji natury przez rolników, sprawdziły się i w tym roku; dorocznym zwyczajem rano 8 maja pogoda przypominała październik.

Zawada niespokojnie obejrzał się w tył, po czym silniej nacisnął pedały roweru. Jechał główną szosą

przez Prądnik Czerwony, wioząc w wypchanym plecaku świeżo odbite egzemplarze kilku stron *Dywizjonu* 303. Mimo przyspieszenia jadący za nim osobowy mercedes policyjny po przejechaniu mostka na Białusze zrównał się z chłopcem.

— Zaczepią, czy nie zaczepią — myślał Roman, czując mimo chłodu wzrastające ciepło — z tym workiem na plecach wyglądam jak szmugler.

Przez szybę dostrzegł przyglądających się mu dwóch policjantów. Wpatrzony w auto za późno dostrzegł dużą kałużę w wyboju asfaltu. Rower zachybotał gwałtownie i rowerzysta z wielkim trudem zdołał uniknąć upadku. Tym razem jednak ten przypadek przyszedł w samą porę.

— Przynajmniej wyprzedzili mnie — mruknął chłopiec, hamując. Może nie zaczepią.

Samochód znajdował się już w odległości około 30 metrów i Zawada odetchnął, gdy nagle mercedes zatrzymał się na środku drogi. Rowerzysta również stanął, przewidując, co teraz nastąpi. Jakoż istotnie z otwartych drzwiczek auta wychylił się policjant niemiecki, patrząc w stronę Zawady. Chwilowo zresztą nikogo więcej nie było na jezdni. Kiwnął ręką na chłopca i rozległo się tradycyjne: „Du, komm hier!”³ Zanim jednak zdążył wychylić się więcej, Roman szybko skręcił w boczną wyboistą ul. Wileńską. Omal nie spadł wjechawszy „balonami” w śliskie błoto. Kilkadziesiąt metrów dalej oglądnął się i zauważył przód mercedesa wjeżdżający właśnie w uliczkę. Zwiększył szybkość. Spod kół roweru tryskają fontanny brudnej wody. Nabiera tchu i czuje wyraźnie „mrówki” łażące mu po plecach. Przelatują myśli: powielacz i matryce w domu..., tyle bibu-

³ Ty, chodź no tu!

ły w plecaku..., dobrze, że tamci nie mogą jechać szybciej, bo zakręty i zła droga..., dlaczego nie strzelają?... Pewno dlatego, że zależy im na żarciu, które mógłbym mieć w plecaku..., widać wzięli mnie za paskarza.

Wyścigi trwają zaledwie parę minut. Warunki drogowe dają na razie pewną przewagę rowerzyście, ale samochód nieuchronnie przybliża się. Roman mimo zmęczenia stara się jechać jak najszybciej. — Żeby tylko nie „liznąć”... Psiakrew, co dalej? Nie zwalniając wykonuje niebezpieczny zakręt, przebywa most i mknie wyboistą ul. Czerwonego Prądnika. Zwiększywszy jeszcze szybkość (droga idzie teraz prosto), dojeżdża do wylotu ul. Wolności, gdy samochód policyjny przejechawszy most zatrzymuje się, policjanci wysiadają i... w momencie przebywania szyn kolejowych koło uszu rozlega się jeden i drugi świst, ostre trzaski w odległości kilkudziesięciu metrów oraz krzyk: „Halt! Halt!”

Minął mostek na Białusze, zatrzymał się w ul. Orkana. Otarł pot z czoła.

Tym razem się udało...

Znów wsiadł na rower. Ale to jeszcze nie koniec, bo na kilkudziesięciu metrach nowa trudność: na rogu ul. Prandoty i Orkana dwu granatowych zatrzymuje właśnie jakiegoś przechodnia z dużą walizką. Niezależnie od tego jeden rozgląda się dokoła, dosłyszeli strzały. Roman skręca w bok, w ul. Idzikowskiego, i niebawem oddycha z ulgą, szybko przejeżdżając ul. Bolesława Chrobrego, Rakowicką do miasta.

— Czemu pan taki zgrzany, panie „Wiktorze”? — pyta żona „Narciarza”, ukazując w uśmiechu dwa rzędy równych białych zębów.

Roman opowiedział dokładnie całe zdarzenie i oddał swój pakunek.

— Zdaje się — dokończył — że oni pierwotnie chcieli się mnie tylko spytać o krótszą drogę na Lubicz, a moje nawalenie utwierdziło ich w podejrzeniu, że coś jest nie w porządku. Dziwne, że od razu nie strzelali.

— Widocznie chcieli potraktować to najpierw jako zwykłe źródło swych „dochodów w naturze”... Miał pan szczęście, panie „Wiktorze”. Aha, mąż był wczoraj wieczorem u pana w domu i nie zastał nikogo.

— Zgadza się, bo korzystając z niedzieli byłem razem z matką na imieninach znajomego.

— Na bocznym strychu za cegłami zostawił panu paczkę, w której są dwa rewolwery.

— Idziemy kropić kogo?

— Nie, tylko u nas w domu byli po sublokatora. Nie zastali go i mogą przyjść drugi raz. Niech pan to gdzieś zamelinuje u siebie.

— W porządku, zrobi się.

Pożegnawszy się z żoną dowódcy, wracał do domu. Deszcz ustał, a nawet pokazało się słońce. Oddychał z przyjemnością odświeżonym powietrzem.

Do licha, rzeczywiście miałem szczęście. Byłaby niewesoła historia, gdyby mnie byli złapali, przyszli do domu, jak mają w zwyczaju, i znaleźli te „kominy”, o których przed godziną nie miałem jeszcze zielonego pojęcia.

9 maja 1944

Rano zobaczyłem się z „Narciarzem”. Oddałem mu znów kilka następnych stron *Dywizjonu 303*. Przy tej okazji rozmawiałem też z magistrem, który jak zwykle przyjaźnie interesował się moją szanowną osobą. Potem wróciłem do domu, gdzie znów odbijałem dalsze matry-

ce. W tej pracy dzielnie sekundował mi „Jim”, którego też zaprosiłem „do zabawy”. Ma ochotę wziąć sobie parę egzemplarzy po skończonej robocie, celem rozdania zaufanym. Z jednego chce zrobić prezent pewnej panie. Chętnie zgodziłem się na znajomych, ale za chęć pokazywania *Dywizjonu* panie palnąłem mu małe kazanie w stylu „Bronka”, które nawet sam „Jim” dokończył za mnie, przyznając mi rację. Precz z flirtami w sosie konspiracyjnym!

Po zjedzeniu obiadu pojechałem na umówione przed tygodniem spotkanie z „Bardem”. Żadnej prasy dziś nie będzie, chodzi tylko o umówienie się na następny raz, aby kontakt nie uległ zerwaniu. Spacerowałem po zielonym już wale, koło słupa 78, i myślałem, co teraz może robić „Bronek” w oddziale. Obok mnie spacerował jakiś starszy pan, bacznie rozglądając się dokoła. W pierwszej chwili wziąłem go za intruza, ale wkrótce ukazał się „Łubiński”, na którego ów jegomość kiwnął z daleka ręką. Nie ma obawy, to nasz.

— Serwus, „Władek”, naszego znajomego jakoś nie widać? — spytałem i nagle uderzył mnie niezwykle ponury wyraz twarzy „Łubińskiego”.

— To pan jeszcze nie wie — wtrącił ów jegomość — że „Bard” i „Szarzyński” zostali aresztowani?

— Kiedy?

— Czwartego. „Szarzyńskiego” zabrano z domu, a „Barda” przedtem z ulicy. Musieli już za nim chodzić od dłuższego czasu, bo po prostu podeszli do niego i tyle...

Szliśmy dalej w dół rzeki. Po drodze dowiedziałem się różnych szczegółów dotyczących się aresztowania obydwóch. To bardzo smutne, że obaj wpadli, i to głównie przez swoją nieostrożność i lekceważenie całej sprawy.

„Łubiński” i ja radziliśmy „Bardowi” na ostatnim spotkaniu, aby przeniósł się do „Władka”, aż wszystko ucichnie, ale nie chciał. Gdyby nie to, może by nie wpadł.

„Władek” zwiął z domu zaraz po aresztowaniu „Barda”, ponieważ po ostatnim poszukiwaniu powiedział literatowi swoje nazwisko, a prócz tego poznał go wtedy także „Szarzyński”. „Łubiński” martwi się jeszcze drugim faktem: mianowicie w domu „Szarzyńskiego” zostawił swoją teczkę szkolną z wypisanym wyraźnie nazwiskiem i adresem. Gestapo zaś zamyka przeważnie wszystkich z adresów znalezionych u aresztowanego.

Umówiłem się z „Władkiem” na przyszłą sobotę, dwudziestego, w pobliżu mojego domu i niewykluczone, że na jakiś czas zamelinuje się u mnie. Na razie ma jeszcze gdzie spać poza domem.

17 maja 1944

Z „góry”, zdaje się, dostanę nową „robotę” i w tej sprawie mam dziś być przedstawiony samemu szefowi Wydziału N. Wybór padł na mnie, jestem zadowolony i czuję się zaszczycony, bo po wsypie w „Na ucho” (nie wiem, kiedy zostanie wznowione wydawanie, ale kontakt z resztą redakcji powinienem uzyskać w tych dniach przez „Władka”) nie piszę już wiców ani nie rozdaję kolegom z sekcji gazetek i na razie tzw. szara nuda.

Miałem okazję otrzymać pracę w instytucji, gdzie niegdyś pracował mój ojciec. Namawiany do tego stale przez matkę i magistra może bym się nawet zgodził (ostatnio dziwnie brakuje forsy, a moje stołowanie się w mieście kosztuje matkę stosunkowo dużo), ale na po-

moc przysły mi dwie okoliczności: komisarz Niemiec nie chce mnie przyjąć do pracy i „Narciarz” powiedział mi z polecenia szefa, że mogę dostać fundusze na stołówkę z „góry”, jeżeli jestem w trudnych warunkach. Nigdy dotychczas niczego nie brałem od Organizacji, ale „Narciarz” i magister uważają, że mogę wziąć z czystym sumieniem, bo przecież żołnierze na froncie też dostają jeść, a nawet pensje, i nie stoi to w żadnym stosunku do usług oddawanych Ojczyźnie.

Tryb życia trzeba będzie trochę uregulować, bo — jak dotychczas — często nie było czasu na zjedzenie obiadu. O jedenastej w południe poszedłem z „Narciarzem” na oczekiwane spotkanie z szefem. Na jednej z ulic śródmieścia znajduje się nieduża prywatna firma handlowa, własność Polaka. Po skrzypiących schodach wdrapaliśmy się na pierwsze piętro do małego lokalu biurowego. Na nasz widok zza biurka podniósł się wysoki mężczyzna o inteligentnej twarzy i wieku trudnym do określenia. Mógł mieć równie dobrze 25, jak i 30 lat. Uderzały wysportowane ruchy i cała postawa (później dowiedziałem się, że znacznie przekroczył już trzydziestkę).

— Melduję posłusznie, panie szefie, że to właśnie „Wiktor” — przedstawił mnie mój bezpośredni zwierzchnik. Odruchowo „trzasnąłem” obcasami.

— Spocznij — uśmiechnął się szef, wyciągając do mnie rękę. — Widzę, że zna pan przepisy wojskowe i inne nasze „mądrości”, o czym mi już zresztą mówił pański przełożony. Jestem zadowolony z waszej dotychczasowej „roboty” i miałbym jej więcej, jeżeli się tylko możecie tego podjąć. Chodzi o kolportaż kilka razy w tygodniu w mieście, a raz w tygodniu o łączność z terenem.

Zgodziłem się na to, po czym przystąpiliśmy do omawiania szczegółów. „Narciarz” zamierza przedstawić szefowi również „Ziemniaka”, którego zna osobiście, jako kandydata do podobnych zadań jak moje. W tych dniach dostanę potrzebne kontakty.

— Pan miał jakieś trudności finansowe? — spytał szef, gdy ukończyliśmy omawianie pracy. Jąkając się trochę, przedstawiłem moje obecne kłopoty. Odpowiedział, że mogłem śmiało zameldować o tym, jak tylko przestałem pracować w październiku, po czym przyznał mi 300 zł miesięcznego „żołdu”, co w zupełności wystarczy na obiady. Chciał dać mi więcej, ale to i tak za dużo, więc podziękowałem.

— Panie kolego — dodał w końcu — cieszę się, że poznaliśmy się bliżej. Do tej pracy proponowano mi łącznika ze Stronnictwa Demokratycznego⁴, ale lepiej, żebyśmy się nie mieszały do polityki. My mamy wojskową robotę, a partia — polityczną.

Wyszedłem z zadowoleniem, że mam oparcie w Organizacji, dzięki czemu odpadły moje kłopoty żywnościowe i namowy w domu, abym wziął się do pracy zarobkowej. Wówczas byłoby mało czasu na przeszkadzanie dziełu „odbudowy GG”.

Jutro idę na „robotę”. Po wyjściu od szefa (kontakt z nim będę miał tylko płynny, bo w tej firmie on wcale nie pracuje) dostałem od „Narciarza” kilkadziesiąt sztuk antyhitlerowskich broszurek po niemiecku, pt. *Totaler Terror*⁵, które rozdzieliłem między „Jima”, „Kannera” i siebie. Jutro będę je rozdawał „dzielnym obrońcom nowej Europy”. Jeżeli mnie przy tym szlag nie trafi, mam spotkanie w sobotę o dziewiątej rano z sze-

⁴ Patrz wyżej, przyp. 2.

⁵ *Terror totalny.*

fem pod pocztą, a w niedzielę — w lesie pod Krzeszowicami, gdzie otrzymam kontakt z terenem. Jedną broszurkę chętnie schowałbym sobie na pamiątkę, ale nie mogę tego robić, gdyż zawsze obowiązuje nas dokładny meldunek, gdzie umieściliśmy ulotki, a „górze” zawsze przedstawiam jak najdokładniejsze raporty.

Rozdział XX

Świeża zieleń majowa nęciła oko znużone ciągłym widokiem zakurzonych ulic miasta. Cieniste aleje Plant z ławkami zachęcały do spoczynku i od rana były obleżone przez emerytów i dzieci. Brakowało natomiast zakochanych parok, nieodłącznych w piękne majowe popołudnie. Dochodziła dopiero trzecia, a praca w GG kończy się dla Polaków o szóstej wieczorem.

W pobliżu koszar SS pod Wawelem siedziało na ławce trzech policjantów niemieckich, od czasu do czasu leniwie spoglądających na auto wojskowe stojące przed zajęтым obecnie domem metropolity krakowskiego.

Wysoki szatyn wszedł powoli w aleję Plant, ostrożnie rozglądając się dookoła. Prześliznąwszy spojrzeniem po trzech policjantach, zaczął spacerować w pobliżu aut wojskowych, udając, że czeka na kogoś. — Hm! Niezbyt bezpieczne miejsce — myślał — bo pominąwszy już „ciupła” w bramie koszar SS, tych trzech wygląda całkiem niezachęcająco. Trudno, nie ma wyboru.

Jeden z policjantów bacznie popatrzył na szatyna, ale wnet zajął go jakiś inny widok. Zawada szybko ocenił sytuację. Gdyby oni coś zauważyli... Tak, ale nie ma „roboty” bez ryzyka. Podniecenie wzrasta. Oparł prawą nogę na stopniu auta, udając, że poprawia sznurrowadło. Lewą ręką szybko, a zarazem ostrożnie wycią-

ga przygotowaną uprzednio ulotkę i... Jeszcze nie czas... Zieloni znów gapią się... teraz odwracają głowy w drugą stronę alei... Już! Wsunął kartkę do auta, na fotel kierowcy.

— Uciekać! — doradza przyczajony dotąd strach. Roman odwraca nieco głowę w bok. Nic, ani wartownik, ani policaje niczego nie spostrzegli. Można odejść. Aha, jeszcze zapamiętać numer auta do meldunku: WH 824 311. Jest! $\frac{1}{12}$ część „roboty” zrobiona, pozostałe jedenaście sztuk — to fraszka!

Idzie dalej. Mija jakąś parkę przytuloną do siebie pomimo jasnego dnia. — Bawcie się w „tatę i mamę” — myśli chłopiec — wiadomo, co z tego najwyżej wyniknie, podczas gdy z mojej „zabawy” nie wiadomo, co wyniknie. Stał na krawężniku chodnika ul. Straszewskiego. Nagle z tyłu ukazuje się trzech policjantów niemieckich „porzuconych” pod Wawelem. Chyba nie po mnie, bo by trzymali łapy na futerałach. Stary! Tylko bez nerwów! Przeszli. Zawada zauważył stojący przed Gimnazjum Nowodworskiego ciężarowy samochód Luftwaffe. Warto by zobaczyć go z bliska. Koło auta kręci się kilku lotników. Po chwili trzech z nich wchodzi do gimnazjum, a dwóch majstruje coś przy motorze.

— Teraz. Byle tylko nie zobaczył ktoś z okna. Chłopiec cicho podkrada się do tyłu budy ciężarówki, sięga do kieszeni... Psiakrew! Ulicą Straszewskiego przechodzi patrol policyjny i bacznie obserwuje plac. Wreszcie przeszli, za to z gimnazjum wychodzi znów jakiś lotnik i zbliża się do ciężarówki, na szczęście do motoru. Słychać dźwięk kluczy do śrub i rozmowę naprawiających motor. Wartownik z bramy gimnazjum nie patrzy. Siup! Cichy stuk wrzuconej do samochodu książeczki *Totaler*

Terror (dla zamaskowania na okładce jest narysowany Stalin i napis *Der rote Terror*¹ na wzór wydawnictw Goebbelsa) miał odgłos gromu w uszach Zawady. Pozornie niedbałym ruchem wszedł w ul. Tarłowską, zapisawszy na dłoni ołówkiem chemicznym numer: WL—23 782. Szybciej, bo jeden z lotników zaglądnął właśnie do budy.

Po kilku minutach Zawada zmierza już w stronę zaimprovizowanego parku samochodowego na Błoniach. Postanawia także i tutaj przejść nieobojętnie. Sytuacja wygląda następująco: na rogach ogromnego czworoboku utworzonego przez stojące auta kręcą się dwaj wartownicy. Prócz tego przed nowoczesnym budynkiem przy Waldstrasse 5 (al. 3 Maja nr 5) z szyldem: „SS-Totenkopfkaserne”² także stoi dwóch strażników z peemami na pasach i wałęsa się kilku esesmanów. Ponadto pod drzwiami w al. 3 Maja kilku żołnierzy. — Hm, ładne towarzystwo.

Jak na 18 maja słońce przygrzewa mocno. W dali widnieją ostro rysujące się na horyzoncie kopce: Kościuszki i Piłsudskiego, wszędzie już zielono. Zrywa się lekki podmuch ciepłego wiatru. Aleją 3 Maja przejeżdża dzwoniąca „czwórka”.

— Ryzyko duże, bo dokąd nawalać — kalkuluje Zawada. Po Błoniach dogonią autem. W parku Jordana? Nur für Deutsche, a zanim zdążyłbym zaszyć się w krzaki... Trudny problem! Ale nasi szturmujący od trzech miesięcy Monte Cassino (chyba wnet je zdobę-

¹ *Czerwony terror.*

² Koszary oddziałów SS — „trupie czaszki”. Formacja ta przeznaczona była głównie do służby wartowniczej, np. w obozach koncentracyjnych, w przeciwieństwie do Waffen SS, czyli jednostek wojskowych walczących na froncie.

dą?)³ mają trudniejszą przeprawę i nie są tchórzami. Trzeba spróbować, byle ostrożnie.

Wartownik przy autach patrzy w kierunku miasta. Roman szybko wsunął ulotkę do ciemnozielonego samochodu. Niemiec, śpiący w najlepsze w aucie, poruszył się lekko, ale się nie obudził. — Miłego przebudzenia, draniu!

Zawada idzie dalej wzdłuż szeregu pojazdów. Z niedalekiej odległości patrzy na niego drugi wartownik. — Bodajbyś oślepl! Uznawszy, że się dostatecznie oddalił od Niemca znów przystaje.

— Krażę, jak stara kurwa po nocy — pomyślał nie bez humoru.

W odległości 20 metrów drugi wartownik. Dziwne, dlaczego dotąd nie spytał cywila, czego szuka przy wojskowych autach? Za chwilę nowy *Totaler Terror* spoczął na siedzeniu kierowcy i Roman oddaliwszy się na bezpieczną odległość zapisał na dłoni: WH—402 822 i WH—1 809 526.

— Uf, jedna trzecia „roboty” gotowa.

Odpuściwszy chwilę, wszedł do dużego budynku przy al. Focha 31, projektowanego ongiś na zakład balneologiczny. Wojna przerwała pracę na budowie. Po wykończeniu domu przez Niemców są tu obecnie wojskowe mieszkania. Wszedł na schody, czuje lekki dreszcz — na pewno wskutek wejścia w chłodne miejsce z ciepłych Błón, bo na strach można sobie pozwolić dopiero po wykonaniu rozkazu. Zatknał ulotkę z Hitlerem za drzwiami. Wychodząc z bramy usłyszał trzask otwieranych drzwi mieszkania i głosy rozmawiających Niemców:

³ Tego właśnie dnia, 18 maja 1944 roku, klasztor został zdobyty. Polacy uczestniczyli jednak w bezpośrednich walkach o Monte Cassino dopiero od końca kwietnia.

— Was ist das? Zeigen Sie mir! ⁴

Przyspieszył kroku i zniknął za rogiem ul. Słonecznej. Z tyłu nikt nie nadchodzi. Dobrze. Zatrzymał się przed ogrodzoną siatką willą nr 37. — Warto zapamiętać nazwiska Niemców z numeru 37: Ellwess i Spiechs. Każdy z żołnierzy patrolu Wydziału N posiada „kolekcję” nazwisk niemieckich. W razie otrzymania ulotek dla cywilów, rozsyła się je po prostu pocztą, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo własnych ludzi. Tylko ulotki „nur für Wehrmacht” ⁵ muszą trafiać bezpośrednio do rąk „odbiorców”.

Zawada poszedł dalej ul. Słoneczną. Zamiar wrzucenia ulotki do mieszkania wojskowego w kamienicy nr 23 nie doszedł do skutku z powodu większej ilości kręcących się tam Niemców. Gwiżdżąc przez zęby, wyszedł z „trudnego” domu, po czym udał się do kamienicy naprzeciw. Zatrzymał się na drugim piętrze przed drzwiami z upragnionym napisem: „Wehrmachtswohnung” ⁶. Zza cienkich ścian słychać szmery, jakby ktoś ściągał płaszcz z wieszaka. Nic to już! *Terror* znalazł się w drzwiach. Roman schodząc „zaopatrzył” jeszcze jedne drzwi w ulotkę, po czym wyszedł na ulicę. Był już czas najwyższy, bo właśnie z bramy wychodzi dwóch oficerów i jeden trzyma w ręce *Totaler Terror* w goebbelsowskiej okładce!

— Brawo! — cieszy się Zawada. — Ha, ha, ha, pewnie mu się zdaje, że to przyszło pocztą!

Roman idzie dalej. „Kolekcjonuje” adresy Niemców mieszkających przeważnie w nowych domach na ul. Komorowskiego. Stanął na rogu ruchliwej Glatzerstrasse

⁴ Co to jest? Pokaż mi!

⁵ Tylko dla wojska.

⁶ Mieszkanie wojskowe.

(ul. Kościuszki). Co chwilę przejeżdżają tramwaje i kolumny samochodów wojskowych, wzniesając obłoki kurzu. Transportów Wehrmachtu jest jak zwykle dużo. Chłopiec wchodzi do ładnej, nowoczesnej kamienicy nr 52, potem do sąsiedniej i zostawia dalsze egzemplarze broszurki. Tym razem wszystko odbyło się bez przeszkód.

Bez przeszkód? „Nie mów hop” — twierdzi stare przysłowie, a — jak wiadomo — przysłowia są mądrością narodów. W tym wypadku przeszkodą jest Niemiec spod numeru 52. Zawada idący w kierunku mostu Dębnickiego widzi z daleka, jak Niemiec (do diabła, czy on jest jasnowidzem?) wskazuje palcem w jego kierunku i woła coś do przechodzącego Schupo. Ten obraca się w stronę Zawady, lecz przed chwilą obok chłopca przejechała w stronę śródmieścia „szóstka”, która hamuje właśnie na odległym o kilkadziesiąt kroków przystanku. Szybko! Roman odetchnął w ruszającym tramwaju. Po przejechaniu jednego przystanku postanawia wysiąść, bo policjant może po prostu zatrzymać pierwsze lepsze auto i dogonić tramwaj. Na rogu ul. Straszewskiego wysiada, zostawiwszy „przez nieuwagę” na ławce, tuż przy sznurze oddzielającym niemiecką część wagonu (pustą w tej chwili) od polskiej, reprodukcję 50-fenigowego banknotu niemieckiego z napisem na odwrotnej stronie:

Ich bin Arschwisch,
Das weiss jeder Mann,
Weil nichts um mich
Kaufen kann! ⁷

— All right! — mruczał, idąc ul. Franciszkańską i Bracką w stronę Rynku. Teraz mogą sobie do jutra gonić tę „szóstkę”. Zawsze mówiłem, że tramwaje to

⁷ Jestem papierem toaletowym, wie to każdy, ponieważ nic za mnie nie można kupić.

dobry wynalazek, choć drogi i dlatego jechałem na gapę.

Na Rynku Głównym postanowił zrealizować pomysł umieszczenia ostatniego egzemplarza *Terroru*. Wolnym krokiem wszedł do niemieckiej księgarni Alfreda Fritscha, znajdującej się na miejscu wyrzuconej polskiej Gebethnera i Wolffa. Nie ma w niej właściwie sprzedawców, pracuje tylko paru Niemców jako urzędników. Książki z wypisanymi cenami leżą na stołach. Kupujący sam bierze książkę, za którą płaci przy wyjściu. Oczywiście jest to szerokie pole do popisu dla różnych „ściągań”. Nikogo nie odstrasza dwujęzyczny napis: „Złodzieje książek będą oddawani w ręce policji”.

Roman przeglądając różne książki zastanawia się, które są kupowane najczęściej przez Niemców. Mam! Do diabła, że mi też to od razu nie przyszło do głowy! Można by co prawda włożyć *Terror* do jednego z wojskowych podręczników, których nie wolno sprzedawać Polakom („Bronek” i „Chętny” mieli ich kilka „kupionych” w tej księgarni), ale tu będzie lepiej. Tej książki także nie wolno Polakom brać do ręki. Wsunął *Terror* w *Mein Kampf*⁸, po czym wziął ze stołu *Kriegsflugzeuge*⁹ (drugi schował na pamiątkę do rękawa), zapłacił za jeden egzemplarz i ze złośliwym uśmiechem wyszedł na Rynek.

— Uf, wreszcie! Odetchnął głęboko. Jeszcze jedna „potyczka” wygrana. Z podwójnym wrogiem: z Niemcami i z ich sprzymierzeńcem — strachem. Z tym wewnętrznym wrogiem trudniej walczyć jak z zewnętrznym. Napięcie nerwowe towarzyszące od dwóch godzin

⁸ *Mein Kampf* (*Moja walka*). Książka (rodzaj credo politycznego) napisana przez Hitlera w więzieniu w Landsbergu po niedanym puczu w Monachium w roku 1923.

⁹ Samoloty bojowe.

stopniowo opada. Jest pogodnie popołudnie 18 maja 1944. I nagle pryska zadowolenie z wygranej „bitwy”. W czasie gdy chłopiec był w księgarni, na kiosku nalepiono widoczny z daleka charakterystyczny zielony afisz. Nowa lista rozstrzelanych. Gromadzący się szybko tłum zasłania chwilami przed oczyma Romana czarne litery.

— O, do cholery! Miałem wtedy rację! Maniek Kosiński z ojcem na liście: „za nielegalne przewożenie broni i amunicji”. Westchnął ciężko. Istotnie, zgadza się to z wyjazdami Mańka pod Myślenice. Zrozumiała jest także znajomość z volksdeutschami, którą zarzucał mu w kwietniu „Broniek”. Kosiński przewoził broń i amunicję do partyzantki. Znów ubył jeden dzielny człowiek.

Czytał dalej. Zastanawiał go szereg nie znanych nazwisk, z których tylko dwa słyszał już kiedyś przypadkowo i one nasunęły przypuszczenie: „Aktor teatru marionetek Jerzy Szewczyk¹⁰, robotnik Jerzy Wirth z Krakowa, Adam Kania z Krakowa, elektromonter Stanisław Szczerba z Krakowa — za wydawanie pisma podburzającego przeciw niemieckim władzom”.

20 maja 1944

Wracając wczoraj wieczorem do domu, spotkałem na łące przed domem kręcącego się „Łubińskiego”. Przyszedł dopiero teraz skorzystać z zaproponowanej mu u mnie meliny. Niestety, moje podejrzenia są słuszne: niemal cała redakcja „Na ucho” jest na liście. Uratował się tylko „M.a.z.”, który zaraz z początkiem maja nawalił „do lasu” i jest podobno w oddziale „Skok”. Reszta zaś wpadła w taki sposób, że krew zalewa, kiedy się o tym myśli. Wpadli przez własną nieostrożność; po

¹⁰ „Szarzyński” — patrz rozdz. XVI, przyp. 7.

aresztowaniu „Barda” i „Szarzyńskiego” przeważnie nawalili z domów i zamelinowali się każdy na własną rękę. Wszystko byłoby w porządku, nawet gdyby aresztowani nie wytrzymali śledztwa, lecz 8 maja zeszli się w jednej z melin (też nie znanych „Bardowi” ani „Szarzyńskiemu”), podobno na Grzegórkach. Zeszli się — mając przy sobie różne gazetki itd. — z okazji imienin „Linusa” (Szczерby) z „Watry”. Gdy wypili trochę za dużo, zaczęli śpiewać „sto lat” tak głośno, że zainteresował się tym przechodzący ulicą patrol niemiecki. Wszedłszy do mieszkania, Niemcy zrewidowali zebranych i to wystarczyło.

Zdarzają się często przypadkowe wyspy: czasem braki w zaciemnieniu wieczorem powodują niespodziewaną „wizytę” policji, czasem jazda na stopniach tramwaju z maszyną czy bibułą, ale tu — to już szczyt wszystkiego! Szkoda ludzi. Nie wpadli nawet przy „robocie”.

Dzięki mojemu zamieszkaniu z daleka od miasta będę mógł oddać jedną jeszcze przysługę Organizacji: mieszkanie dobrze nadaje się na przechowanie małej maszyny drukarskiej, która jest na jednej z melin zagrożona i trzeba poczekać jakieś 2—3 miesiące, zanim cała sprawa ucichnie. Niestety, według opinii „Korda” (szef Wydziału N) nie możemy u mnie urządzać drukarni ze względu na łatwość obserwowania domu, w którym mieszkam, przez sąsiadów. W pustej okolicy każdy obcy zaraz zwraca uwagę, a tym bardziej wnoszenie papieru, wynoszenie paczek itd. Za to na czasowe przechowanie sytuacja wprost wymarzona.

W celu obejrzenia mieszkania umówiłem się onegdaj z „Kordem” na dziewiątą dziś rano. Przyszedł punktualnie, ale — co mnie w pierwszej chwili speszyło — w towarzystwie przystojnej blondynki. Okazało się, że

jest to jego łączniczka. Byłem niezadowolony, choć nie okazałem tego po sobie. Dotychczas pracowałem z samymi mężczyznami, obecnie trafia się w „robocie” już trzecia kobieta. Drugą jest, nawiasem mówiąc dość sympatyczna, również blondynka, „Kotwica”, od której dostaję trzy razy w tygodniu transport „Bimu” i innej prasy z szablą i książką. Być może, że w pewnych warunkach kobiety mogą pracować w konspiracji, ale jeżeli chodzi o mnie, jestem temu przeciwny. Pamiętam dokładnie: „Panowie, do Organizacji wojskowej kobiet w ogóle nie przyjmujemy...” Sam zresztą uważam, że wojsko jest „nur für Männer”¹¹, kobieta zaś jest godna szacunku w swych naturalnych rolach: matki, żony, kochanki czy pielęgniarki lub gospodyni — ale po co ma się ją brać do tak niewdzięcznej i często niebezpiecznej pracy, jak konspiracja?

Taka „robotą” na dłuższą metę często wywiera wybitnie demoralizujący wpływ, bo już w swym założeniu jest burząca, a nie budująca. Przede wszystkim uczy wykrętów i kłamstwa. Wiem po sobie, ile razy musiałem okłamywać najbliższych i czasem nawet samego siebie, byle tylko „robotą” szła. Po wtóre — trzeba stale robić rzeczy będące w niezgodzie z prawem. Choć „prawo GG” jest zwykłym bezprawiem, niemniej jednak przez wielu ludzi jest respektowane. Pomijam już różne „strzelające” i temu podobne wyczyny oraz fałszowanie dokumentów, za co także przed wojną szło się za kratki. Po trzecie — jest powszechnie znane, że kobieta często robi coś ryzykownego tylko dla „Niego” (czasem nb. istniejącego w jej wyobraźni).

W Organizacji zaś jest dużo gości, którzy wykonują wyroki lub urządzając inne „kawały” w tym stylu, pod

¹¹ Tylko dla mężczyzn.

wpływem swego sposobu bycia inaczej patrzą już na świat od przeciętnego zjadacza chleba. Promieniuje od nich brawura, odwaga i pogarda śmierci. Konieczna konspiracja z niepodawaniem nikomu nawet imion, a co za tym idzie — swego rodzaju romantyczna tajemniczość, dodaje im jeszcze splendoru w oczach wielu kobiet. Wspomniane już przeze mnie: zawadiacka odwaga, granicząca często z „chojractwem”, pogarda wroga i idący nierzadko z nimi w parze brak skrupułów — oto silny magnes dla niejednej kobiety. „Za mundurem panny sznurem” — tu zaś, choć nie ma mundurów, cała historia jest znacznie ciekawsza niż zwykle wojsko.

Po obejrzeniu mieszkania i uznaniu jego przydatności do przechowania maszyny drukarskiej szef „enu” polecił mi jeszcze przechować u siebie przez kilka dni pewnego jegomościa, który jest spalony i w tych dniach ma iść „do lasu”. Szliśmy w stronę miasta. Szef pożegnał się, pozostawiając mnie z „Temidą” (łączniczką), z którą z kolei udałem się na spotkanie z owym kandydatem „do lasu”.

Na umówionym miejscu czekał już niski młodzieniec, niewiele starszy ode mnie, którego przedstawiono mi jako „Olgierda”. Zaprowadziłem go do mieszkania, pożegnałem „Temidę” i poszedłem (pierwszy raz od dawna) do kościoła Mariackiego, aby spotkać się tam z „Kotwicą”. Przyszła nadzwyczaj punktualnie. Dostałem od niej instrukcję dotyczącą wyjazdu w teren na jutro (szef ma czekać w lesie pod Krzeszowicami po drodze do Tenczynka), a także skontaktowała mnie z „Puchaczem” i „Dolarem”, którym będę dostarczał „Bim” i „Wiadomości”¹².

¹² Gazeta ukazująca się co drugi dzień, wydawana od roku 1940 do stycznia 1945 przez ZWZ — AK w Krakowie.

Pracowity ten dzień zakończyłem spotkaniem na Plantach z „Ziemniakiem”, a potem z „Kannerem”, od których w zastępstwie „Narciarza” odebrałem mel-dunki z rozprawienia *Terroru*, po czym powróci-łem do domu, aby przygotować rower do jutrzejszego wyjazdu.

22 maja 1944

Odważyłem blisko 50 km na rowerze, wcale nie czu-jąc zmęczenia. Wyjazd udał się lepiej, niż przypuszcza-łem. Za najlepszy jednak kawał w ostatnich dniach uważam moją osobistą wizytę w domu „Jima”. Od cza-su nakrycia przez jego matkę instrukcji wojskowych minęło już blisko pół roku, a oprócz tego ubieram się inaczej niż wówczas. Poszedłem do niego i z głupia frant przedstawiłem się matce jako... kolega z LHD. Musia-łem tylko uważać, aby mówić do niego per „pan” i nie siedzieć w zbyt jasnym świetle. Cały „wic” nie ma już, niestety, praktycznego znaczenia, ponieważ Ludwik przez dłuższy czas nie może brać udziału w naszej „ro-bocie”. Od kilku dni jest ciężko chory na zapalenie opłucnej z komplikacjami. Na rekonwalescencję, zda-je się, będzie musiał wyjechać latem na wieś. Dobrze, że ma tam krewnych. Tak więc ta zabawa w Arsena Lupina nie dała praktycznych rezultatów. Przyjemnie jest tak się bawić.

Chwilami jestem dość dziecinny, ale czy przez całe życie każdy, nawet starszy człowiek, jest zawsze po-ważny? Na pewno nie. A wiem doskonale, że w stosun-ku do najgłupszej kobiety najmądrzejszy mężczyzna jest często tylko smarkaczem. Na to nie ma rady i uwa-

zam, że nieraz dobrze udawać głupszego, niż się jest, bo źle się na tym na ogół nie wychodzi. Czasem trafiają się różne okazje łatwego przekroczenia szóstego przykazania, i to nawet z ładnymi „obiektami”, ale bardzo rzadko z nich korzystam. Wyżywając się w „robocie”, nie interesuję się kobietami, jak tyłu innych w moim wieku (to samo jest z „Łubińskim”, „Bronkiem” i innymi, nie traktującymi AK dorywczo). Zresztą w naszym „zawodzie” lepiej trzymać się z daleka od dziewczyn.

Kiedyś np. idąc do „Narciarza” (niosłem przy sobie dużą paczkę z resztą 303), spotkałem zdążającą w tę samą stronę znajomą pannę, od której nie mogłem się odzepić przez całą drogę. Rozmawiając z nią, rzucałem dość lakoniczne zdania, gdyż musiałem stale uważać na drogę. Mimo to nie uniknęliśmy wpadnięcia na patrol. Czuję się dość nieswojo, bo w razie rewizji ulicznej ona wpadłaby całkiem niespodziewanie. Na szczęście skończyło się na strachu.

Weźmy teraz inną ewentualność: będąc zupełnie „czysty”, idę na spacer z dziewczynką. Nagle spostrzegam, że ktoś ma mnie na oku. (Dzięki systematycznym ćwiczeniom bez większego trudu rozpoznaje się z daleka kapusia.) W takim wypadku trudno byłoby go „posiać”. Trzeba by bowiem powiedzieć wtedy coś niecoś towarzyszcze spaceru, a tego robić nie można. Zatem: trzymać się z daleka od kobiet.

Niemal wszystkie ulice są pod obserwacją współpracowników gestapo. Nieraz wychodząc w czasie „lotów bombowych” z domów zajętych przez Niemców widziałem wyraźnie skierowane na mnie ciekawe spojrzenia rozmaitych „szlifibruków”. A wielu z nich pozostaje w kontakcie z Pomorską 2. Obecnie ani „Łubiński”, ani

ja przez dłuższy czas nie możemy pokazywać się na Dębnikach i w Podgórzu, bo szereg razy byliśmy tam w towarzystwie „Barda” i innych aresztowanych. Nasze rysopisy, a może nawet pseudonimy, są już na pewno znane na ul. Pomorskiej w Wydziale III A ¹³, u pp. Brandta i Heinemeyera.

Po powrocie z „wycieczki” za miasto, gdzie szef skontaktował mnie z niejakim „Wallenrodem” (z którym będę się spotykał co niedzielę o 10 rano w lesie), zasiadłem do kolacji z „Władkiem” i „Olgierdem”. Wspominaliśmy „Na ucho” i „Barda” (nie wiadomo, co się z nim stało, dotąd nie był na żadnej liście). Potem posypały się dowcipy. Najlepsze jednak zachowałem na deser, bo nie wszystkie można opowiadać przy jedzeniu. Nastrój był wspaniały, choć stuprocentowo trzeźwy. Na propozycję „Olgierda” przeszliśmy z nim na „ty”. Jest starszy od nas o 3 lata.

— Słuchajcie, panowie, przepraszam, koledzy — powiedział po chwili „Władek” — mielibyście ochotę wziąć udział w pewnej „mokrej robocie”?

Skwapliwie wyraziliśmy chęć na to. Chodzi o Generalną Dyрекcję Monopoli, którą interesuje się „góra” „Łubińskiego”. Mają na to już nie od dzisiaj oko, bo taki wielki obiekt wymaga, mówiąc językiem sztabowym, dokładnego „rozpracowania”. Według opinii „Władka” będzie to aktualne najwcześniej za parę tygodni. „Olgierd” do tego czasu znajdzie się prawdopodobnie „w lesie”. W razie udania się całego „skoku” najmniej 2 miliony zasilą kasę Organizacji. Dla siebie nie weźmiemy ani „funia”. Cała „dola” powinna być

¹³ Chodziło prawdopodobnie o Wydział IV, czyli o właściwe gestapo, zajmujące się zwalczaniem polskiego ruchu oporu.

przeznaczona na fundusze wojskowe. Długo rozmawialiśmy na ten temat.

25 maja 1944

Z „Łubińskim” zaszły nieprzewidziane komplikacje. W poniedziałek czuł się trochę niedobrze. Dałem mu termometr, po kryjomu dla żartu włożywszy go poprzednio do ciepłej herbaty (było 38,5°). Z żartu jednak nikt z nas się nie śmiał; gdy po dziesięciu minutach „Władek” wyciągnął termometr spod pachy, wskazywał on 39°!

Sądząc, że to zwykła grypa, z polecenia matki zaaplikowałem mu „na poty” oraz bańki (przed sprowadzoną do przystawienia baniek akuszerką udawaliśmy kuzyńców), ale gdy po kilku dniach gorączka stale trzymała się na 40°, zawiadomiliśmy lekarza oraz matkę „Władka”.

Wobec lekarza dalej występowaliśmy „familijnie”, doskonale czując się z „Olgierdem” w roli aktorów. Cała sprawa jednakże nie nastęrcza powodów do śmiechu, ponieważ lekarz stwierdził tyfus brzuszny, co powoduje rozmaite komplikacje administracyjne. „Łubińskiego” nie można przecież meldować u nas, a tu w cały interes może wkroczyć Urząd Zdrowia (Gesundheitsamt) i gotowa chryja, gdyż doktorowi podaliśmy inne nazwisko.

*

We wtorek dwudziestego szóstego o piątej po południu Roman szedł ul. Lubomirskiego w stronę jednej z bram, w której umówił się poprzednio z „Dolarem”. Nagle gdzieś blisko rozległa się długa seria strzałów

z pistoletu maszynowego. Nie ulegało wątpliwości, że jest to jakaś „robota” lub ucieczka zatrzymanego przez patrol. Z rogu ul. Mogiłskiej i Lubomirskiego zauważył ciemne osobowe auto mknące w stronę Mogiły. Uplęnęło kilka minut. Nagle zza rogu ul. Lubicz wyjechał odkryty ford policyjny z karabinem maszynowym napęczniony zielonymi policjantami i ruszył w ślad za poprzednim autem. Jednocześnie niemal ukazały się liczne sylwetki policjantów, idących z gotową do strzału bronią w rękach. Roman, czując w kieszeni „stukilowy” ciężar bibuły, wszedł do bramy, gdzie czekał już „Dolar”.

— Czołem, kolego! Co tam za „szucher”?

— Przed chwilą sprzątnięto dwóch policjantów niemieckich na rogu Lubicz i Botanicznej — odpowiedział „Dolar”, chowając otrzymaną od Zawady kopertę do kieszeni.

— Aha, i nawalali autem w stronę Mogiły?

— Tak jest. Chodźmy stąd, bo idą w naszym kierunku.

Odeszli szybkim krokiem w stronę cmentarza na Rakowickiej. Oglądając się na rogu, zauważyli policjantów wychodzących z ul. Ariańskiej i obstawiających cały blok domów. Jednocześnie zaczęto zatrzymywać przechodniów.

Na drugi dzień o czwartej nad ranem (była to niedziela) na miejscu zamachu zostało rozstrzelanych 40 ludzi; przez cały dzień leżały tam kwiaty i świeciły się świece.

Zawada zahamował rower i ponad głowami tłumu czytał nową listę 40 rozstrzelanych za onegdajszy zamach na patrol policji na rogu Lubicz i Botanicznej:

„Za podstępny mord dokonany w dniu 26 maja 1944

na osobach: przynależnego do Niemieckiej Policji Bezpieczeństwa wachmistrza Schuttzego i zobowiązanego do służby policyjnej dra Hofta zostali skazani przez Sąd Doraźny Policji Bezpieczeństwa na karę śmierci...” — brzmiał stereotypowy nagłówek listy z dnia 29 maja.

A oto kilka mimo woli zapamiętanych nazwisk rozstrzelanych: lekarz Gradziński Adam z Krakowa — za przynależność do organizacji wywrotowej, weterynarz Alfred Jerzykiewicz z Myślenic — za przynależność do organizacji wywrotowej, restaurator Jan Hołuj z Myślenic — za utrzymywanie nielegalnego magazynu broni, technik Zbigniew Hołuj z Myślenic — za przynależność do organizacji wywrotowej i nielegalne posiadanie broni (aha, to z tej wyspy w Myślenicach z 30 kwietnia). Niestety, jest także i to nazwisko: 40. Literat Eugeniusz Kolanko — za sporządzanie pism podburzających...

Westchnął ciężko. Kilkakrotnie w czasie rozmów na spotkaniach z „Bardem” żartował na temat wspólnie podpisanych „dzieł” w „Na ucho”: „Bard” i „Wiktor”.

— Żebyśmy tylko razem nie byli na liście...

— Gdybym przypuszczał wtedy, kolego „Bard”, że was zobaczę na liście, nie żartowałbym w ten sposób — powiedział do siebie z żalem.

Wkrótce wchodził do mieszkania znajomych „Łubińskiego”, którym przekazał list od „Władka”. Jak miał w zwyczaju, nie przedstawił się wcale gospodyni ani młodszemu domownikom, wywołując tym lekkie zdziwienie, szybko jednak ustępujące miejsca zrozumieniu. Pani Orlińska żywo zainteresowała się losem „Łubińskiego”, obiecując przysłać znajomego doktora. Zawada zostawił swój adres dla niego w zapieczętowanej koper-

cie, nie chcąc podawać nikomu swego nazwiska. Rozmawiając dalej, napomknął o liście rozstrzelanych i okazało się, że zarówno pani domu, jak i młodsza generacja byli dobrymi znajomymi „Barda”.

2 czerwca 1944

Ruch spowodowany „sprzątnięciem” patrolu niemieckiego nie ucichł do tej pory. Na dziesięć dni przesunięto godzinę policyjną na szóstą wieczór, a patrole w sile trzech (zamiast jak dotąd dwóch Szwabów) ostrzej niż dotychczas rewidują przechodniów.

Mimo to nie próżnujemy. Trzydziestego pierwszego dostaliśmy znów z „góry” nowy transport bibuły antyhitlerowskiej i jeszcze tego samego dnia po południu poszedłem na „robotę”. Pobitem znowu własny rekord, umieszczając w drzwiach niemieckich mieszkań w ciągu godziny dwadzieścia sztuk ulotek, i to tak, że nikt mnie przy tym o nic nie podejrzewał. Ulotki te miały tym razem formę tajnego pisma pt. „Deutschland Erwache!”¹⁴, z czołowym artykułem: *Herr Frank, sind Sie krank?*¹⁵ Na tę „robotę” poszedłem, dbając nie tyle o szybkość umieszczania ulotek, ile o zachowanie superostrożności. W razie „wpadunku” ryzykowałem oprócz siebie dwóch ludzi. Mimo tego szybkość „rzutów bombowych” była stosunkowo duża. „Zbombardowałem” mieszkania przy

¹⁴ „Niemcy, przebudźcie się!” z podtytułem „Organ polskich i niemieckich socjaldemokratów”. Jednodniówka, która ukazała się kilkakrotnie w roku 1944, w ramach akcji „enowej”. Podobnie jak i inne wydawnictwa z tej serii miała wywoływać wrażenie istnienia szerokiej niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej.

¹⁵ Czy jest pan chory, panie Frank?

ul. Kazimierza Wielkiego 61, w kamienicy z napisem na bramie: „Deutsches Wohnhaus. Fremden Personen Eintritt verboten”¹⁶ — i udało się.

Ktoś pomyśli zapewne, że mogłem przecież wziąć broń? Owszem, mogłem, ale nie miałyby to sensu. Na pierwszej „robocie” z afiszami w bardzo już dawnych czasach, bo blisko półtora roku temu, myślałem w ten sposób. Ale wnet zrozumiałem, dlaczego maszyny nie nosi się razem z bibułą: bo w tym wypadku łatwo wystrzelić wtedy, kiedy można się wymknąć w inny sposób. Kiedyś miałem spluwę i bibułę przy sobie i mocno musiałem powstrzymywać chęć „kropnięcia” do dwóch policajników, którzy — jak mi się zdawało — kiwali na mnie. „Kord” opowiadał, że częste są takie wypadki, kiedy „kropi” się za wcześnie, sam zresztą mogę też wymienić kilka. Lepsze już byłoby wzięcie ubezpieczenia.

Ciekawa bywa czasem praca, nawet z tak niewdzięczną rzeczą, jak niemiecka bibuła. W „enie” pracuje się nieco inaczej niż przy wyrokach. Po „kropnięciu” zwykle nawala się, co sił w nogach i trudno nieraz powstrzymać się od strzelania do goniących (co zasadniczo należy do ubezpieczenia), tu — po rzuceniu ulotki trzeba często przez chwilę nie ruszać się z miejsca, aby nie zwrócić niczyjej uwagi, co zresztą nie zawsze, jak wiadomo, udaje się. Minuty po „rzucie” najbardziej wyczerpują nerwowo. Napięcie przechodzi dopiero po chwili, by naraz znów wzrosnąć. I tak szereg razy przez godzinę i dłużej.

Samotnie walczy żołnierz z Wydziału N wśród but-

¹⁶ Niemiecki dom mieszkalny. Osobom obcym wstęp wzbroniony.

nych Niemców. On sam jeden przeciwko nim, jak tajny agent II Oddziału¹⁷. Stosunek sił jest więc najzupełniej nierówny (w razie czego rzadko udaje się uciec), lecz za to uczucie triumfu po udanej „robocie” silne (a uważam, że w pewnym stopniu silniejsze) jak po zbrojnym wyczynie. Znow odniosło się jedno zwycięstwo nad czujnością wroga i — co ważniejsze — nad samym sobą. Znow można mieć spokój do następnej „roboty” (o ile w przerwie nie wpadnie się za „strzelające” sprawy).

Mijam oddział Wehrmachtu. Wiem, że jestem zręczniejszy od każdego z nich, bo jawnym żołnierzem potrafi być każdy, ale być dobrym żołnierzem w konspiracji jest większą sztuką. Przewala się rycząca banda NSDAP czy HJ¹⁸. — Wy, bezmyślne bydło! Czy choć przez mgnienie oka przypuszczacie, ilu takich jak ja otacza was codziennie i co was wnet czeka? Choćbym dostał złote góry, nie chciałbym być w waszej skórce!

Pomimo tych „wzniosłych” myśli czuję, że historie z ulotkami zaczynają być nudne. Dość już dawno nie byłem w żadnej morowszej „hecy”. Choć „rzucanie ulotek jest wspaniałym sportem w wojnie nerwów z okupantem” — jak napisał o naszej pracy niejaki „Abe Nil” — nie bardzo zgadzam się z tym. Istotnie, może to być źródłem mocnych emocji wewnętrznych, ale w porównaniu do spluwy jest dość nudne. Może działa u mnie rutyna, a może tzw. przez zblazowane towarzystwo „spleen”? Zdaje się, że przez jakieś dwa miesiące będę musiał poprzestać tylko na roznoszeniu bibuły.

¹⁷ II Oddział Polskiego Sztabu Generalnego zajmował się wywiadem wojskowym.

¹⁸ Skrót od Hitlerjugend (dosłownie: młodzież Hitlera); młodzieżowa organizacja hitlerowska.

Dziś rano przyjechała maszyna drukarska. Staliśmy w bramie z „Olgierdem”, robiąc co chwilę „oko” do wyglądającej z przeciwka „Meksykanki”, gdy wreszcie poprzez szum czerwcowej ulewy dobiegł nas oczekiwany odgłos auta.

— Gestapo czy szef? — trąciłem żartem „Olgierda”, który gapił się na „Meksykankę” jak Szwab na malowany „October”.

Za chwilę „Karol” wysiadł z osobowego opla, po czym we dwóch wniesiliśmy coś w rodzaju walizki (ale o wiele, wiele cięższej niż zwykła walizka) do mieszkania. Jednocześnie „Olgierd” z szoferem w pocztowym uniformie zaopiekowali się mniejszą paczką z czcionkami. Uporządkowawszy jako tako cały kram, odjechałem z szefem do miasta. Po drodze dowiedziałem się, że na mocy zezwolenia „góry” pozwolono mi zachować (przez czas trzymania maszyny drukarskiej) dotychczasowe kontakty, tj. łączność z terenem, patrolem propagandy i „Władkiem”.

— Tylko, panie kolego, samemu na razie nie chodzić na żadną „mokrą robotę”, bo przez dwa miesiące ryzyko wsypy dla pana musi być jak najmniejsze.

— Hm, pozostałe kontakty też pachną „Todesstraf” — pomyślałem. — Będzie nudno przez ten czas, panie szefie — dodałem głośno.

— Powiem wam coś, „Wiktor”. Może nie będzie się nudziło, bo niewykluczone, że mimo wszystko trzeba będzie raz albo dwa odbić jednorazowo coś na maszynie. Skontaktuję was jeszcze z kimś, kto będzie miał w opiece tego grata, i w razie czego zrobicie to z nim.

— Rozkaz! — mruknąłem. — Chciałbym, żeby to doszło do skutku. Ciekawe, jak będę wyglądał w roli pomocnika adepta sztuki Jana Gutenberga.

Od wczesnego rana mieliśmy kłopot z komplikacjami spowodowanymi tyfusem „Łubińskiego”. O ósmej rano przyjechał samochód z MSZ (tj. Miejskich Zakładów Sanitarnych) z funkcjonariuszami, którzy dokonali dezynfekcji mieszkania i chcieli zabrać „Władka” do szpitala zakaźnego. Kosztowało to trochę trudu, aby wytłumaczyć im, że ma w domu lepszą opiekę, niż ewentualnie miałby w szpitalu, co w końcu udało mi się dzięki „czystej wyborowej”. Chociaż sam nie piję, wiem dobrze o „magicznym” wpływie PMS-u na wielu mężczyzn, no i czasem na kobiety.

Zaledwie drzwi zamknęły się za wychodzącymi przedstawicielami MSZ-tu (zabawnie to brzmi, jak skrót Ministerstwa Spraw Zagranicznych), przyszedł urzędnik z miejscowego Ośrodka Zdrowia, „uzbrojony” w wielkich rozmiarów formularz epidemiowy. Przez pół godziny trwało spisywanie czegoś w rodzaju protokołu choroby. Dobrze, że nie żądał dokumentów, bo sprawy mogłyby wziąć zły obrót. Za prawdziwość przeszło połowy naszych odpowiedzi stanowczo nie mogliśmy gwarantować. Wreszcie około jedenastej w południe „przedstawienie” skończyło się. Po wyjściu urzędnika „Władek” i „Olgierd” wybuchnęli śmiechem, który spotęgował się jeszcze, gdy im przypomniałem dowcip z „Na ucho” (nie mojej roboty), w którym było zdanie: „Nieniemieckim mieszkańcom GG nie wolno umierać naturalną śmiercią bez zezwolenia właściwego Arbeitsamtu”.

Wyszedłem do miasta, rozmyślając po drodze o przygotowaniach wojennych Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, o których czytałem w jednym z majowych numerów MBI: „Od zeszłego czwartku wszelka

komunikacja została zawieszona. Ani jeden okręt czy samolot pasażerski nie może opuszczać już Anglii i wszystko wskazuje na ważne wydarzenia w najbliższej przyszłości”.

Przypomniałem sobie dokładnie ten artykuł, kiedy dziś o dwunastej w południe usłyszałem ze „szczekacza” w Rynku Głównym chrapliwe słowa południowej audycji „Reichsrundfunksender Krakau” w polskim języku: „Komunikujemy na wstępie, że dawno oczekiwana w pogotowiu przez niemieckie siły zbrojne inwazja angielsko-amerykańska na Europę rozpoczęła się dziś o 5 rano...” Wracając po południu do domu, widziałem już „skutki” tej wiadomości w mieście: jak wtedy, 9 września 1943 masa pijanych, wśród których nie brakowało nawet żołnierzy i kolejarzy niemieckich*. Himmler bardzo by się obraził, widząc na własne oczy taki upadek „wiary w narodzie”.

Po pierwszym odruchu zadowolenia i przyływie optymizmu, zastanawiam się na zimno nad dzisiejszą inwazją. Brak jeszcze jakichkolwiek bliższych wiadomości, bez wątpienia jest to od Stalingradu i Sycylii trzeci etap klęski niemieckiej. Czwarty prawdopodobnie będzie na „linii Zygryda”, a ostatni, piąty, etap — w Berlinie. Tylko ilu jeszcze ludzi u nas skończy się do tego czasu?

Spotkałem po drodze dwóch „prywatnych” znajomych, gratulujących najnowszej wiadomości. Udałem obojętnego, nie przeceniając jej. Oczywiście, dziś nie można już nawet udawać pesymisty, bo ostatni znikli w czasie Stalingradu. Z dumą myślę, że ani moje otoczenie, ani ja sam nigdy do nich nie należeliśmy, na-

* Jak się potem okazało, pili z radości, że wojna skończy się wnet, bo „Deutschland kaput”.

wet gdy w sierpniu 1940 roku w „Polska żyje” ukazały się — zresztą jedyny raz w czasie wojny — słowa w tonie niezbyt pocieszającym: „Dziś, w sierpniu 1940 roku, Wielka Brytania, jak wielokrotnie w swej historii, jest w stanie „splendid isolation”¹⁹. Ze swej wyspy spogląda ona na podbitą Europę dumna i wspaniała, oczekując na walkę, po której nastąpi promienny świt wolności lub — długotrwała noc”.

Świt zarysował się już półtora roku temu na Wschodzie. Ponowny blask zabłysnął przed ośmioma miesiącami na Sycylii, a dziś — słońce wynurza się już nad kanałem La Manche.

10 czerwca 1944

W bujaniu osób nie zorganizowanych poczyniłem już w jesieni 1939 roku całkiem niezłe postępy. Chodziło wówczas o ostrożne rozpowszechnianie wiadomości z radia i pierwszych gazetek w ten sposób, aby nikt z rozmówców nie domyślił się ich źródła. Dziś dość dobrze obełgałem „Meksykankę” i jej siostry, które przed kilku dniami widziały przyjazd szefa i wnoszenie żelaznych kawałków. Manewrowałem tak, aby podczas krótkiej sąsiedzkiej wizyty rozmowa zeszała na widziane przed kilkoma dniami auto. Gdy już sama zapytała o nie, należało znów uważać, aby zbyt dokładnym tłumaczeniem nie wzbudzić podejrzeń. Stare policyjne przysłowie mówi, że „niewinny wiele się nie usprawiedliwia”. Udało się dobrze. Odpowiedziałem, że matka kupiła okazyjnie dwie maszyny do szycia, z których jedną już udało się opylić, a drugą zatrzymamy dla siebie, bo trafiła się dość tanio.

¹⁹ Doskonałe odosobnienie.

„Władkowi” polepszyło się ostatnio, choć czasem ma skoki temperatury i nie opuszcza jeszcze łóżka. Od 21 maja przez dwa tygodnie miał stale 40 stopni, ale już mu lepiej. Gdy stan jego polepszy się, wyjedzie ode mnie i zamelinuje się dalej, prawdopodobnie u pani Orlińskiej, która uważa, że będzie to korzystniejsze zarówno dla jego zdrowia, jak i „roboty”. Po pierwsze: będzie mieć tam lepszą opiekę (u mnie przez cały dzień jest tylko „Olgierd” w domu, pani Orlińska zaś nie pracuje zawodowo) i co tu owijać w bawełnę — odżywienie, a także matka „Łubińskiego” ma bliżej do mieszkania Orlińskiej. Po drugie: zdaje się, że przez dwa miesiące „Władek” nie może wychodzić z domu ze względu na stan zdrowia.

Doktor M. przysłany przez panią Orlińską bardzo sumiennie zajął się nim, przeprowadzając nadzwyczaj dokładne badanie krwi itp. Było dla nas istotną rewelacją, gdy usłyszeliśmy, że nie był to tyfus, lecz zapalenie płuc z zagrożeniem TBC. To samo czego uniknąłem w listopadzie dzięki starannemu odżywianiu mnie przez matkę i nawaleniu z ciężkiej pracy. „Łubiński”, oczywiście, przez całe dwa miesiące nie chce leżeć do góry brzuchem (sam na jego miejscu też nie chciałbym) i projektuje przepisywanie na maszynie różnych instrukcji. U mnie zaś nie można by tego robić, bo wymaga to dodatkowych gości, którym wtedy byłby znany mój adres, a ze względu na depozyt nie mogę się na to zgodzić. U pani Orlińskiej zaś mogą odwiedzać go inni współpracownicy. Założymy tam melinę.

W związku z jutrzejszym wyjazdem do Krzeszowic spotkałem się dziś z „Kordem” i ku mojemu zadowoleniu dowiedziałem się, że prawdopodobnie trzeba będzie odbić krótką, dwustronicową ulotkę do żołnierzy

niemieckich. Za parę dni zgłosi się do mnie jeden z naszych, z zawodu zecer, z którym zabierzemy się do tego zbożnego dzieła. Dostałem od szefa szyfr rozpoznawczy z zecerem. Ma przyjść za jakiś tydzień, co zbiega się dość dobrze z wyjazdem „Władka” na nową kwaterę.

Tymczasem z „Olgierdem” dokładnie oglądaliśmy maszynę. Jest ona bardzo mała i ma tę wadę, że jest starego typu. Na oko liczy sobie co najmniej 60 lat. Drukarnia ta to tzw. bostonka, wprawiana w ruch ręcznie przykręconą z boku dźwignią, a chodzi nawet niegłośno. Zadekowaliśmy ją na bocznym stryszku, wchodzi się tam na czworakach, maskując wejście cegłami niemal nie do poznania. Chyba Sherlock Holmes wykryłby ją tam, gdyby kiedyś jej szukał. Najważniejsze zaś, że nie będzie to stałe wynoszenie bibuły, ale jedna „robota”. Jak napomknął „Karol”, szuka się nowej meliny na drukarnię, gdzieś bliżej miasta, bo na starą jednak nie można wrócić. Zaraz po wyjeździe „Władka” dostanę od szefa kasztę i papier i „cała naprzód” — jak rzekł kapitan okrętu, wypływając na szerokie wody.

Pocieszam się, że do sierpnia kapusie nie wywają, co się święci, bo nikt nie będzie codziennie, czy nawet co tydzień wynosił pak gazetek i wszystko będzie all right, byleby tylko przez ten czas ktoś z nas wiedzących o „bostonce” nie wpadł.

Rozdział XXI

Padał deszcz. Roman i „Olgierd” siedzieli w domu, z nudów wyglądając przez okno na zachmurzony krajobraz. Od czasu do czasu rozmawiali z sobą, wyrażając zniecierpliwienie długotrwałym oczekiwaniem na lewe dokumenty dla „Olgierda”. Minęły dwa dni od wyjazdu „Władka”. Zawada siedział dziś wyjątkowo w domu, mając spotkanie z „Dolarem” i „Kotwicą” dopiero po południu. Czas płynął wolno. W pewnej chwili zadzwieczał dzwonek. Gdy „Olgierd” wyszedł do sąsiedniego pokoju, „Wiktor” otworzył drzwi. W progu stał młody mężczyzna o ciemnych kędzierzawych włosach i delikatnym, niemal kobiecym owalu twarzy.

— Czy tu jest do sprzedania motocykl setka? — spytał patrząc bystro na Romana.

— Nie, ale mam rower — odpowiedział zapytany.

— Z jakimi oponami? — pytał dalej przybyły.

— Na balonach — uśmiechnął się Zawada i zamknąwszy drzwi uściśnął rękę przybyłego.

— Jestem „Wiktor”.

— „Jęczmień”, z polecenia „Korda” — przedstawił się brunet również z uśmiechem.

Pytanie o motocykl było szyfrem rozpoznawczym, ustalonym przez szefa „enu”. Wyciągnąwszy „Olgierda” z sąsiedniego pokoju, trzech chłopcy udali się na boczny stryszek i po chwili niewielki pokój Romana łudzaco

przypominał skład tandeciarza handlującego starym żelastwem.

Wyregulowawszy wprawną ręką rozklekotaną nieco podróżą „bostonkę”, zecer „Jęczmień” zademonstrował sposób składania czcionek, nie zmieniony przy ręcznym składzie od czasów Jana Gutenberga. Roman i „Olgiert” wzięwszy do rąk tzw. wierszaki próbowali składać pojedyncze wyrazy.

— Nieźle, nieźle — kiwał głową „Jęczmień”. Panowie koledzy, nie odbierajcie mi chleba — zażartował, gdy Roman zaklął głośno, zbierając rozsypane czcionki z wierszaka.

— Nic nie szkodzi, jeżeli się rozsypie linijka — pouczał dalej zecer — bo to się często zdarza, ale wyobraźcie sobie, że cała kaszta, gdzie jest kilka tysięcy czcionek, fiknęła kozła.

— W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić — mruknął „Olgiert”. — Jak długo to się zbiera?

— E, w ogóle się nie zbiera, tylko odsyła do odlewni na przetopienie, a do kaszty wsypuje się nowe pismo. W każdej drukarni jest tyle czcionek, że kierownik i tak nic nie zauważy.

Zawada złożył do końca aż całą linię tekstu i począł rozbijać ją spacjami.

— Teraz co dalej, panie „Jęczmień”?

— Przekłada się interlinią i odkłada na szufłę, ot tak — pokazywał „Jęczmień”. — Wiecie co, panowie, może byśmy porzucili to „panowanie”?

Oczywiście, chętnie zgodzili się. Każdy z nich wkrótce zaproponowałby to samo, choć nie minęło nawet pół godziny od przyścia zecera. W „robocie” bliższe stosunki dość szybko się zawiązują, bo praca tego rodzaju bardzo zbliża.

— No, skończyłem — powiedział po chwili „Jęczmień”, powstając z klęczek od maszyny. — Zaraz zabieramy się do pracy.

Stanąwszy przy kaszcie, wyjął z kieszeni arkusz papieru pokrytego pismem maszynowym. Ująwszy w rękę wierszak, ułożył wygodnie zapisany arkusz na kaszcie i wierszak z błyskawiczną szybkością zaczął wypełniać się szeregiem czcionek. Raz po raz do pierwszej linii złożonej na metalowej szufelce przybywały następne, układając się w wyrazy i całe zdania.

Chłopcy z ciekawością przyglądali się składaniu, głośno podziwiając wprawne ruchy palców „Jęczmień”. W pewnej chwili Zawada zwrócił się do „Olgierda”:

— Morgen werden wir einen Fehmmord * auf Hitler und Himmler machen, nee **?

— Jawohl — odpowiedział „Olgierd” — ale dlaczego powiedziałaś to po niemiecku?

— Jak to dlaczego? — zdziwił się Zawada — przecież w tej chwili przedstawiamy ni mniej, ni więcej tylko tajną niemiecką organizację antyhitlerowską!

— Ha! ha! ha! To ci się udało!

Dochodziło południe. Za oknami panował normalny ruch, ludzie spieszyli do swoich spraw, a w małym pokoju powstawał nielegalny druk, który wraz z „Ostwach”, „Erika”¹, „Der Durchbruch”, „Der Klabautermann”, „Deutschland Erwache” i wieloma innymi mar-

* Jutro dokonamy mordy kapturowego, tj. zamachu konspiracyjnego.

** Zamiast „nicht wahr” w potocznej mowie.

¹ Poprzednik „Der Klabautermann”. Patrz rozdz. XVI, przyp. 2.

kował niemiecką akcję podziemną prowadzoną w rzeczywistości przez Armię Krajową.

Zawada uśmiechnął się ironicznie, wskazując kolegom okno. Z jednego z sąsiednich domów, w którym mieszkał wywiadowca Kripo, wyszedł niemiecki policjant i skierował się w stronę głównej szosy.

— Ładną gratkę miałby, gdyby ściany tego domu stały się naraz przeźroczyste.

18 czerwca 1944

„Olgierd” nadal klnie, na czym świat stoi, bo po wczorajszej wizycie „Temidy” okazało się, że na kontakt „z lasem” trzeba będzie poczekać jeszcze co najmniej miesiąc. Kiedy zjawił się u mnie przed czterema tygodniami, nie wierzył moim sceptycznym przypuszczeniom, że na „las” czeka się przeważnie długo („Broniek” też czekał przeszło miesiąc). Na razie z braku dokumentów chłop w pełnym zdrowiu i sile siedzi już miesiąc jak w kozie. Oczywiście, lepiej że u mnie niż na „Monte”.

Moja praca w kolportażu „Bimu” nadal posuwa się swoim torem. „Narciarz” wciągnął do niej także „Ziemniaka”, który tak jak i ja ma kontakt z „Kotwicą”. Randki z nią często mamy razem na Plantach koło pomnika Grażyny, z widokiem na „Michasia”. Zauważyłem kiedyś, że te spotkania są z widokiem nie tyle na „Michasia”, ile na... „Monte”. „Kotwicy” i „Ziemniakowi” spodobał się ten zwrot.

„Władek” wstaje już z łóżka, ale dostało go bardzo paskudnie, bo choć źle się nie czuje, doktor M. kategorycznie zabronił mu wychodzić z domu przed połową sierpnia. Mówiąc po wojskowemu (lubię ten język), „za-

fasował” dwa miesiące „kasarniaka”. Byłem dziś u niego (tj. u pani Orlińskiej) z wizytą, mając po południu trochę wolnego czasu po przyjeździe z Krzeszowic. W trakcie mojej wizyty przyszedł do „Władka” pewien jegomość z Kripo². Chłop, że ze świecą takiego szukać! Gdyby nie on, panowie Półtoraczek, Woźniak i inni klienci plutonu egzekucyjnego, z „nieodżałowanym” Migalą na czele, chodziliby jeszcze może do dziś. Ten właśnie pan „Iks” ostrzegł „Bronka” w grudniu zeszłego roku, że Migala jest konfidentem gestapo. Podał nam także w czasie rozmowy pewien ciekawy szczegół, o którym słyszałem jeszcze od „Bronka”: po czym często można poznać konfidenta gestapo. Otóż taki kapuś, rzecz prosta, nie ma żadnej legitymacji, bo wtedy po prostu nasi mogliby mu przewrócić kieszenie, natomiast prawie zawsze nosi przy sobie wezwanie do zgłoszenia się w gestapo, które dostaje stale nowe, co tydzień lub dwa. Świstek taki różni się od autentycznych wezwań tym, że prawdziwi nieszczęśliwi adresaci mają oznaczony dokładnie dzień stawienia się na Pomorskiej. Na wezwaniu konfidenta zaś jest napisane: „Zgłosi się pan w terminie, np. od 13 do 20 czerwca”.

Poza tym każdy kapuś ma w kartotece gestapo liczbę rozpoznawczą, na którą powołuje się w razie przypadkowego aresztowania w obławie czy podczas wsypy, a wtedy Sipo czy Schupo od razu odstawiają go na Pomorską. Czasem nawet nie podaje policji swojej liczby, tylko powołuje się na gestapowców, którzy szybko uzyskują jego zwolnienie z komisariatu. Niektórzy z konfi-

² Z treści wynika, że chodziło o Polaka pracującego przed wojną w policji kryminalnej, co wskazuje, iż autor miał chyba na myśli nie Kripo, w której pracowali tylko Niemcy, lecz policję granatową.

dentów siedzieli nawet po kilkanaście razy na „Monte”, doprowadzeni tam przez policję. Także Migała został w lutym złapany przez Schupo i po jednym dniu zwolniony przez gestapo. Co do niego to „Broniek” przesadził trochę wtedy, mówiąc, że został on konfidentem pod wpływem batów. Migała był konfidentem jeszcze przed wstąpieniem do AK.

Pan „Iks” opowiedział nam oprócz tego różne swoje przygody z czasów przedwojennej pracy w Urzędzie Śledczym. Pościgi za bandytami, wykrywanie włamywaczy, paserów i całych składów kradzionych rzeczy na melinach, a nawet w podziemnych kryjówkach w lesie. Obrazy kreślone przez niego przesuwają się przed naszymi oczami jak najciekawszy film. Na pożegnanie zostawił „Władkowi” paczkę nabojów do jego waltera 7,65 mm, które trudniej dostać niż do „dziewiątki”, i pożegnał się z nami.

Podoba mi się praca policji kryminalnej. Jeżeli doczekam się końca wojny, chciałbym zetknąć się z nią bliżej.

Walter „Łubińskiego” jest wprost wymarzony do konspiracji z powodu małych wymiarów. (Walter jest skonstruowany specjalnie dla policji w dwóch odmianach: większy PP—Polizeipistole, i mniejszy, tzw. PPK—Polizeipistole-Kriminalmodell.) Ale taka zabawka niezbyt mi się podoba z powodu średniego kalibru, no i może łatwo zastrajkować.

Wolę mauser lub nagan (tylko trudno szybko go ładować), ale moim marzeniem od dawna jest „dziewiątka” nr 08, tzw. parabellum. Wspaniała broń! Bardzo wygodny kształt kolby, duży kaliber, świetnie leży w ręce, ma śliczny smukły kształt jak dziób drapieżnego ptaka przyczajonego do skoku, no i przede wszystkim

doskonała, odrębna od browningów konstrukcja, dzięki której w razie zacięcia (a zdarza się ono u niego najrzadziej ze wszystkich pistoletów) można go bardzo łatwo rozebrać, nawet gdy jest w lufie nabój.

O parabellum wystarczy tylko powiedzieć: jedna z najlepszych „dziewiątek” w Europie. Ma tylko jeden jedyny feler w naszych warunkach: gdy ma się ją przy sobie w letnim ubraniu, trzeba bardzo uważać, bo jest dość duża, gruba i odznacza się pod marynarką.

Klnę, ile wlezie, fakt, że dotąd jest u mnie maszyna drukarska i nie mogę zaznać rozkoszy wyczynów z „kominem” w ręce. Trudno, muszę jeszcze trochę poczekać. Co się odwlecze — to nie uciecze. Najchętniej już od dawna dałbym nogę „do lasu”, gdyby nie fakt, że „górra” kieruje tam tylko poszukiwanych przez gestapo. Od „Władka” usłyszałem ciekawszą rzecz: że od jakiegoś tygodnia czy dwóch nie puszczają w ogóle nikogo „do lasu”, polecając wsypanym melinować się w mieście. Czyżby coś miało się zacząć jeszcze tego lata? Chyba byłoby na to za wcześnie.

23 czerwca 1944

Ostatnio prasa prowadzi wielką kampanię przeciw pijaństwu, pisząc m. in. w „Bimie”, że „oddziały AK w terenie zniszczyły ostatnio ponad 350 bimbrowni. Świadczy to o zastraszającym wzroście pijaństwa i potajemnej, tolerowanej celowo przez okupanta, produkcji wódki nawet w najbardziej zapadłych wsiach...” Na górze numeru znajduje się dewiza, trafnie dobrana: „Wódka i pijaństwo to dywersant Rzeszy. Nas niszczy i upadła — najeżdżcę cieszy!” Te i inne polecenia usuwania alkoholu z każdego rodzaju pracy konspiracyjnej

są słuszne i dobrze, że prasa stale to podkreśla, ale przychodzą inne refleksje, na temat których często spieram się z „Władkiem”.

Czy cała prasa z wyjątkiem „Bimu” jako gazety władzy wojskowej nie jest od chwili inwazji zupełnie zbyteczna? Wojna i tak wkrótce się skończy, jej wynik już od dawna nie ulega dla nikogo wątpliwości, a do różnych „Przeglądów sytuacji na frontach”, „Nakazów chwili” itd. w zupełności wystarczyłby MBI, wychodzący co tydzień. Kolportaż bibuły jest jednym z najniewdzięczniejszych rodzajów „roboty”. Pominąwszy już bezbronność w razie złapania, stwarza on rozmaite zbyteczne kontakty i — co najgorsze — jest pracą ciągłą. Ciągłość zaś towarzysząca „robocie” prawie zawsze zwraca w końcu czyjąś uwagę. Spośród wielu znanych mi aresztowań większość spowodowały gazetki. Tylko sześciu ludzi: „Wilhelm”, „Stempel”, „Kozak”, „Jastrząb”, „Tender” i „Chętny” wpadli w związku z bronią, czyli z czymś, za co warto się narażać.

Nasza propaganda nie spisuje się dobrze. Tym bardziej złość bierze, gdy się za takie hocki-klocki musi ryzykować życie innych i swoje. Lubię ryzyko, ale przy czymś konkretnym. Czy to się opłaca przy kawałku papieru?

Psiakrew, ludzie dorośli, a często chyba myślą jak dzieci! Pomijam, oczywiście, instrukcje wojskowe lub niemieckie pisma „enu”, bo służą one bezpośrednio walce podziemnej, ale każda prawie prasa, oprócz może „Bimu”, nie przedstawia, moim zdaniem, takiej wartości, aby psuć sobie nerwy jej roznoszeniem. Na co to komu? Kto był tchórzem — ten już do końca wojny nim zostanie, a kto jest w „robocie” — łatwo może długo wytrzymać bez tej „strawy duchowej”. Ludzi, któ-

rzy już dłuższy czas robią różne „chryje”, niełatwo złamać nawet tortury.

O tych rzeczach rozmawiam tylko z „Łubińskim”, bo nie chcę siać defetyzmu między kolegami, a wobec „góry” też się z tym nie wyrywam, bo rozkaz jest rozkazem. Bawi mnie często gniew, w jaki wpada „Władek”, słysząc moje uwagi na temat bibuły. Nikt jednak nie wie, jak bardzo gniewa mnie ta cała zabawa, ale zaciskam zęby i pracuję — zrzędzeniem losu nie mogę na razie w inny sposób szkodzić Niemcom.

Niech no jednak tylko wyjedzie ode mnie maszyna, a „Władek” wyzdrowieje, odbijemy sobie ten przymusowy „post” za wszystkie czasy, bo doprawdy z tą całą bibułą to już od dawna jestem zdania, że wygłupiać się nie należy.

30 czerwca 1944

Dni płyną na razie bez żadnych zmian ku naszemu wielkiemu niezadowoleniu. Jedynym urozmaiceniem są dla mnie niedzielne wyjazdy do Krzeszowic, choć i to pomatu zaczyna nużyć swą jednostajnością. Na prowincji trudno chyba prowadzić „robotę”, bo się wszyscy znają. Zapewne dlatego aresztowano tylu ludzi w Myślenicach. Jegomość, z którym spotykam się w niedzielę w dużej odległości od stacji, mimo pustki dokoła stale zachowuje przesadną niemal ostrożność. Wcale mu się nie dziwię. Z drugiej jednak strony uważa on prowincję za łatwiejszy teren na „robotę”, ponieważ mniej więcej wiadomo, na kogo trzeba uważać. „Wallenrod” opisuje mi nieraz różne ciemne typy mające konszachty z miejscowymi gestapowcami, a które nieraz widzę na stacji.

„Kotwica” zaczyna mi się podobać. Jest to zgrabna blondynka o niebieskich oczach i małym, nieco zadartym nosie. Nie wygląda wprawdzie na klasyczną piękność, ale jest dosyć przystojna, poza tym zaś ma nie najgorszy seksapil. Kiedyś była u mnie w domu z poleceniem „Korda” i mniej więcej tak samo ocenił ją „Olgierd”. Słowem, sympatyczna, a przy tym morowa panna.

Ale nie powinienem myśleć w ten sposób. Nie mogę na nią patrzeć jak na zwykłą kobietę, bo ważniejsza od niej jest stojąca pomiędzy nami „robota”. Rzecz prosta, że nigdy nie dam „Kotwicy” do zrozumienia, że chciałbym czasem spojrzeć na nią nieco cieplej niż na zwykłą współpracowniczkę. Gdybyśmy się znali „prywatnie”, oczywiście, że dawno już wziąłbym się do dzieła. Mimo że jest ona nieco starsza ode mnie, nic by to nie przeszkadzało. Przypominam sobie słowa „Bronka” sprzed roku, które można by zastosować do tego położenia: „Panowie, prawie każda robota ma duże widoki powodzenia, jeżeli jest tylko dobrze przygotowana”. Lepiej więc będzie nie myśleć o „Kotwicy” (platonicką adorację uważam za godną... dozorczy sułtańskiego haremu), lecz zająć się innymi realniejszymi „obiektami”, gdzie często udaje się to, co się nie udało Hitlerowi: „Blitzkrieg”³.

Przed paroma dniami poznałem młodszą koleżankę „Meksykanki”, nawet przystojniejszą od niej. Poznałem ją przypadkowo, spotkawszy obie dziewczyny idące od tramwaju w kierunku Prądnika. Jak zwykle zacząłem sypać kawałami niczym z rękawa (szkoda, że wobec nie zorganizowanych nie mogę sięgnąć do zapasów pozostałych po śp. „Na ucho”!) i blisko 3-kilometrowa dro-

³ Wojna błyskawiczna.

ga minęła jak z bicza trzasł. Dowcipy przeplataliśmy rozmową, do której znowu wtrącałem różne sentencje, bo — jak już dawno zauważyłem — dobrze to działa na zainteresowanie młodych pań. Żegnając się z Ireną (koleżanka „Meksykanki”), przytrzymałem trochę dłużej, niż tego wymaga zwyczaj, jej dłoń w swojej, jednocześnie spod powiek spojrzałem jej głęboko w oczy. Są to banalne, często jednak skuteczne sposoby. Zauważyłem, że lekko się przy tym uśmiechnęła i że usta jej mają naturalny kolor, a nie są malowane kredką. Jeżeli mnie szlag nie trafi w niedzielę przy transporcie stu sztuk „Bimu” dla „Wallenreda” w Krzeszowicach, postaram się poznać ją bliżej. Jest bardzo przystojną szatynką z ciemnymi oczami i kulturalna, o ile zdążyłem zauważyć z krótkiej rozmowy i obserwacji w czasie drogi.

„Robota” stawia mnie często w zabawnym położeniu wobec różnych ludzi, którzy widzą mnie np. na spotkaniach z „Kotwicą”. Wyobrażają sobie zapewne różne rzeczy, z czego po cichu się śmieją. Kilku znajomych myśli, że „Kotwica” jest moją „flamą”, i dziwią się temu, znając moją niechęć do pokazywania się w towarzystwie płci pięknej. Udaję wobec nich, że chwilowo zmieniłem zdanie. Najkomiczniejsza jednak była mina pewnego nie zorganizowanego znajomego (starszego już jegomościa), który widział nas kiedyś w bardzo dwuznacznej sytuacji. „Kord” mianowicie przesłał „Jęczmienowi” przez „Kotwicę” i przeze mnie 300 złotych na kupno papieru drukarskiego. Spotkałem się z dziewczyną wieczorem, na Plantach, na rogu Starowiślnej. Ów starszy pan przechodził akurat obok nas w momencie, gdy wydawałem „Kotwicy” 200 zł z wręzonego mi przez nią „górala”. Jegomość, mrugnawszy szelmowsko

do mnie, pogroził mi z daleka palcem, bo istotnie w tym miejscu taka transakcja wyglądała nawet już niedwuznacznie. Wpadłem w dobry humor, przypomniałszy sobie piąty numer „Na ucho”: „Zarządzeniem stadthauptmanna Planty Dietla obok Starowiślnej mają być przemianowane na KURWÜRSTENDAMM”.

*

W północnej Francji od chwili inwazji toczą się zacięte walki. Coraz silniej działają również partyzanci, tzw. maquis, zwani przez naszą prasę również francuskim AK. Podobno we Francji za każdego kropniętego Niemca rozstrzeliwują więcej niż po dziesięciu ludzi. Brunatna bestia szaleje jeszcze po Europie, ale jej panowanie coraz wyraźniej zbliża się do końca. Nie pomagają nawet szeroko reklamowane latające bomby, zwane ostatnio V-1⁴. Jednak jak długo to jeszcze potrwa? Jakoś nie ma się wrażenia, aby wojna skończyła się przed zimą. We Francji mimo odnoszonych niemal codziennie sukcesów Alianci nie posuwają się tak szybko, jak Niemcy przed czterema laty, którzy po trzech tygodniach od 10 maja dochodzili już niemal do Paryża. Niewątpliwie Anglicy część powodzenia zawdzięczają Polakom, których — podobnie jak Napoleon legioniści Dąbrowskiego — wysyłają naprzód w największy ogień, gdzie im szkoda własnych ludzi. Owszem, uzna-

⁴ Właśnie wówczas, w czerwcu 1944 roku, po wylądowaniu Aliantów w północnej Francji, rozpoczęli Niemcy bombardowanie Londynu za pomocą małych bezpilotowych samolotów wypełnionych dużą ilością ładunku wybuchowego, które nazwano V-1. Nieco później wprowadzili do akcji broń raketową V-2, której egzemplarz wykradł im wywiad AK i dostarczył do Londynu.

nie potem jest, ale jak zapłacono Legionom Dąbrowskiego, obecując im przez dziesięć lat odbudować silną Polskę? Może tym razem nie będzie tak, choć — nie wiadomo. Śp. „Na ucho” napisało raz, że „Idiota — człowiek wierzący w zwycięstwo Niemiec lub w sprawiedliwość Aliantów”. Żart żartem, ale czy uczciwie zapłacą nam za wkład Polski w przyszłe zwycięstwo Sprzymierzonych?

Rozdział XXII

Roman i „Temida” jechali na rowerach ul. Kalwaryjską. Dochodziła dopiero szósta rano. Poprzedniego dnia Roman otrzymał od szefa „enu” polecenie pożyczania drugiego roweru dla „Temidy” i spotkania się z „Kordem” o dziewiątej rano na rynku w Myślenicach celem nawiązania drugiego kontaktu dla dostarczania „Bimu”.

Rozmawiając z „Temidą”, minęli właśnie Borek Fałęcki, gdy nagle ukazało się kilka odkrytych policyjnych samochodów jadących do miasta. Pomimo dużej szybkości między umundurowanymi gestapowcami wyraźnie można było odróżnić siedzących cywilów. Ci nawet przez mgnienie oka nie czynili wrażenia Niemców.

— O, do licha! — zwrócił się chłopiec do „Temidy”, gdy wyminęli auta — może to aresztowani z jakiej nowej wsypy w terenie?

— Jest pan pewien, że to Polacy? Może to cywilni gestapowcy?

W czasie dalszej drogi Zawada zastanawiał się nad pasażerami samochodów, zwracając jednocześnie baczniejszą uwagę na swą towarzyszkę. Nie zrezygnowała ze spotkania w Myślenicach, na którym również musiała być obecna mimo trzech ataków sercowych w dwu poprzednich dniach. Dziś mógł nadejść czwarty. Perspektywa ta jednak nie powstrzymała „Temidy” od stawienia się

na spotkanie. Był pełen uznania dla jej dzielności. Przez większą część drogi nie rozmawiali ze sobą, chcąc jak najmniej męczącym sposobem pokonać liczne wzgórzka, przez które prowadziła szosa. Po pewnym czasie droga stała się nieco równiejsza.

— Wie pan co, panie „Wiktorze” — odezwała się „Temida” — obserwuję pana od półtora miesiąca i uważam, że pan się marnuje. Czy uczy się pan może na kompletach?

— Nie. Najpierw wyrzucenie z mieszkania, następnie „robotą”, a przez cały czas brak forsy nie pozwalają na to.

— Szkoda. Nie chcę panu pochlebiać, ale pan ma dość bystry umysł i nie powinien pan pozwolić mu rdzewieć. Miałabym coś dla pana: komplet.

— Ba! Nie mam na to czasu, no i dość słono to kosztuje.

— Kosztowałyby to bardzo mało. Tylko o książki musiałby się pan postarać.

Roman pomyślał krótką chwilę nad propozycją. Z jednej strony nauka, i to prawie za darmo, a z drugiej — trzeba by ograniczyć „robotę”, która zajmuje mu niemal cały dzień, stała się prawie pracą zawodową. Byłoby więc to niejako cofnięcie się z pola bitwy. Zresztą w najgorszym razie wojna nie potrwa już chyba dłużej niż rok? No i nie wiadomo, czy doczekam końca? Wybór został już dokonany w grudniu 1942, nie, jeszcze wcześniej w 1939 roku.

— Bardzo pani dziękuje. Jestem naprawdę wzruszony tą propozycją — mówi, nie wiedząc, w jakie słowa ubrać odmowę — ale... Tu przytoczył swoje argumenty.

— Panie „Wiktorze”, jeżeli pan dalej będzie w tym stopniu zaangażowany, co obecnie, to może się pan wnet

skończyć. Przeciętny dywersant miejski, jeżeli nigdzie nie pracuje, tylko jest „bez zawodu”, rzadko kiedy żyje dłużej niż pół roku. A pan, o ile wiem, już od roku jest jak na pierwszej linii okopów.

— Byłem już o wiele więcej zaangażowany — uśmiecha się chłopiec, przypominając sobie czerwiec 1943 i wiosnę 1944 — ale, jak pani widzi, nie przejmuję się przyszłością.

— Może. Może pan rzeczywiście doczeka się w dobrym humorze końca wojny, choć osobiście boję się o pana, bo, „Wiktorze”, pan pcha się zawsze w największy ogień, ja wiem. Ale po wojnie chyba pan weźmie się do zrobienia gimnazjum?

— Oczywiście, o ile mnie przed powstaniem albo w jego czasie szlag...

Ostro skręcił w lewo. Jeszcze ułamek sekundy i leżełoby wraz z „Temidą” na szosie. Niemiecki samochód równie ostro skręcił w prawo, wymijając jadących, którym o mały włos nie poplątały się rowery.

— Dobrze, że nas nie trafił — uśmiechnęła się „Temida”, gdy samochód oddalił się.

Dojeżdżając do Myślenic, zwrócili uwagę na fakt, że mimo dziewiątej godziny rano większość sklepów w rynku jest jeszcze pozamykana.

— Niedobrze, coś tu nie w porządku. Zaczekajcie, „Wiktorku”, ja skoczę do jednego jegomościa i za pięć minut wracam.

Roman zsiadł z roweru i obserwował myślenicki rynek. Zwykły rynek powiatowego miasteczka ze sklepami dookoła, na środku kilka drzewek i parę chłopskich wozów. W dni targowe bywa tu oczywiście większy ruch, ale dziś jest poniedziałek, 3 lipca.

Chłopiec usiadł na ramie roweru, opodal zamknię-

tej restauracji Mariana Ponurskiego. Na sąsiednim domu zauważył tabliczkę: Dr A. Jerzykiewicz — weterynarz, a dalej szyld: Restauracja, Jan Hołuj. Niestety, obydwaj zostali rozstrzelani w maju. Aha, to pewnie tamtędy, w dół, ku Rabie, wrywali 30 kwietnia ci goście, z których powstał oddział. Dziwna rzecz, dlaczego dziś prawie wszystkie sklepy zamknięte? Czyżby znów coś?

Po rynku zaczynają się kręcić jacyś charakterystyczni mężczyźni. Przy pewnej wprawie na kilometr można poznać tajniaków. Nie ma wątpliwości — tu miała miejsce w nocy większa wsypa.

Do cholery, „Temidy” jakoś nie widać, choć mija już kwadrans. Szkoda byłoby jej, no i roweru... Nie, właśnie wraca. „Temida” hamuje tuż przy chłopcu.

— Miał pan rację, „Wiktorze”, kiedy mijaliśmy te auta w Borku. Jest wsypa. Dobrze, że z daleka zauważyłam policję niemiecką, jak wychodzili z tego domu, gdzie mieliśmy iść...

Kilku gestapowców pojawia się po drugiej stronie rynku. „Temida” i „Wiktor” wyjeżdżają z powrotem na asfaltową szosę, ale kierują się nie w stronę Krakowa, lecz dalej na południe.

— „Wiktor”, gorzej, bo „Kord” ma przyjechać na rowerze od Lubnia (spał tam tej nocy), a w naszej melinie czeka gestapo. Ja mu wyjadę naprzeciw, a pan niech kręci się przy drugiej drodze, bo on może jechać tamtędy.

Niewesoła perspektywa; gestapowcy „na robocie”, czyli podejrzewający wszystkich dookoła, przestarzała legitymacja Zawady, a w domu „Olgierd” i maszyna. W kwietniu łapano każdego, kto przejeżdżał przez Myślenice. — Psiakrew, źle! Z jednej strony życie dowód-

cy, a z drugiej „Olgierda” i... moje. Trudno, dowódca ważniejszy niż „Olgierd” i ja. Mam! Przecież nie muszę czekać na rynku.

— Rozkaz! — odpowiada „Temidzie” i zawraca rowerem. Rzuciwszy jednak okiem na oddalającą się „Temidę”, zawraca z powrotem i oddycha swobodnie.

Zza zakrętu wyjeżdża szef „enu”.

11 lipca 1944

Siedzę w melinie „Władka” i piszę na maszynie szybkimi ruchami ośmiu palców. Na matrycy zjawiają się rzędy bladoniebieskiego pisma: „Pistolet wz. 08 systemu parabellum jest bronią samoczynno-powtarzalną, tj. z wyzyskaniem siły odrzutu gazów prochowych i reakcji sprężyny zamkowej...”

Tę instrukcję mógłbym pisać już z pamięci, choć dopiero przed chwilą przetłumaczyliśmy ją z „Władkiem” (właściwie trzy czwarte wykonał on) z niemieckiego podręcznika wojskowego i teraz ja piszę, a on przerysowuje przekrój pistoletu, aby go potem przenieść rylcem na matrycę.

Tłumaczenie nie nastreczyło trudności, choć dosłownie przetłumaczona niemiecka terminologia wojskowa różni się od polskiej. Na przykład: „die Selbstgeladene waffe” — „broń samoładująca się” u nas przetłumaczy się jako: „samoczynno-powtarzalna”. „Die Schlangbolzen” — bolce węzowe przetłumaczyliśmy po prostu przez „bolce”, trochę trudności było z „die Ösen” — najlepiej pasuje do tego „uchwyty zamka”. Mimo że nie jesteśmy obaj lingwistami, daliśmy sobie łatwo z tym radę. Trochę pomogła odgrzebywana z pamięci

instrukcja o „08”, którą widziałem przed rokiem u „Bronka”.

Skończywszy wykład, który zajął dwie matryce, zakładam na wałek nową sztukę, po czym wraz z „Władkiem” „rozbieramy” dalej zdanie po zdaniu.

Praca przy tłumaczeniu instrukcji o peemie wz. 38 i 40 (jest też rysunek, w którym natychmiast stwierdzamy błąd: guzik zatrzasku magazynka jest narysowany w złym miejscu!) jest jeszcze łatwiejsza, gdyż mamy pod ręką gotowy, choć niedokładny przekład po polsku.

„Władek” wyciąga z szuflady warszawski „Kurier”, organ Polskiej Armii Ludowej¹ (obaj zastanawiamy się, skąd ona pochodzi? Nie jest to AL, ale PAL)², pismo na bardzo ładnym papierze, dużego formatu, z kolorowym nagłówkiem. Na zewnątrz wygląda całkiem jak legalna gazeta, a równe rzędy czysto odbitych czcionek świadczą, że składana jest na linotypie. „Jęczmień” mówił kiedyś, że nasi w Warszawie mają w tajnych drukarniach nawet linotypy. Wiadomo, stolica. W „Kurierze” jest rubryka „Szkolenie bojowca PAL”.

Za oknami zwykły ruch jednej z większych ulic Krakowa (przeciwniegiem chodnikiem przechodzi właś-

¹ Pełny tytuł: „Kurier. Pismo Codzienne Obrońców Polski”, z podtytułem: „Dziennik Informacyjny Polskiej Armii Ludowej”. Pismo ukazywało się w Warszawie, po kilka razy w tygodniu, w okresie od września 1943 do lipca 1944 roku.

² Skrót od Polskiej Armii Ludowej, organizacji wojskowej powstałej w kwietniu 1943 roku z inicjatywy RPPS w wyniku połączenia jej Milicji Ludowej z częścią oddziałów Komendy Obrońców Polski (KOP) (patrz rozdz. I, przyp. 5). PAL stanowił organizację wojskową podporządkowaną Centralnemu Komitetowi Ludowemu (CKL — patrz rozdz. XVII, przyp. 8).

nie trzech Sipo³ z bronią gotową do strzału), a my opracowujemy instrukcję dla polskiego wojska.

Minęło południe. Wróciwszy z obiadu, dokończyłem pisanie na maszynie, po czym obaj oddajemy się czytaniu prasy, której cały serwis przyniósł „Władkowi” rano jeden z jego „gości”. Czytamy „Kurier”. Ze względu na instrukcje wojskowe jest to dla nas wartościowa lektura, ale poza tym nie ma nic o wojnie, nawet komunikatów.

— Wygląda to, jakby było pisane nie przez naszą „góre”. Po cholere „góra” miesza się do polityki?

— Za wielką mądrość na takie „wysokie” szarże jak my... Czego oni się boją?

— Wiesz, stary, na rozum wzięwszy Rosja czy AL, choćby nas nie lubili, są mimo woli naszymi sprzymierzeńcami, bo też walczą przeciw Niemcom. Po co teraz wyciągać te klótnie, jak jest coraz bliżej końca wojny? Z tego najwyżej mogą skorzystać Niemcy. Lepiej byłoby mieć porozumienie z Rosją. Psiakrew, jak Sikorski żył, nie było tych kwestii, co teraz. Endecy znów są ważni.

Z „Władkiem” rozumiemy się doskonale. Jest on bardzo inteligentny i odważny. Zawsze umiemy się dogadać z wyjątkiem jednego tematu — prasy, którą on uważa za równie ważną jak rozpylacz, ja zaś za coś, co trzeba znacznie zredukować, aby narażać się tylko za to, co jest rzeczywiście tego warte.

Przeczytaliśmy jeszcze kilka innych gazetek (mniej więcej wszędzie to samo, tylko w innym sosie) i MBI, gdzie jest komunikat o zjednoczeniu AK, BCh i NSZ⁴

³ Pomyłka autora. Chodzi o Schupo. Patrz rozdz. I, przyp. 7.

⁴ Zjednoczenie AK z BCh nastąpiło już wcześniej (patrz rozdz. XVII, przyp. 5). Natomiast w kwietniu 1944 roku doszło

w jedną organizację, które odbędzie się w Warszawie 15 sierpnia. Brzmi to dość dziwnie. Jakiś tydzień temu „Władek” słyszał od pewnego jegomościa „z lasu”, że mieli starcie z oddziałem NSZ, choć eneszetowcy wiedzieli, że mają przed sobą Armię Krajową. Pomyłka była wykluczona. Ów jegomość dodał wtedy, że takich wypadków w czerwcu było coś ze trzy, i to nie tylko w „Meksyku” *. Tu zaś mamy tworzyć jedną organizację z nimi?

16 lipca 1944

Wczoraj dostałem wiadomość od „Bronka”. U „Jima” zjawił się „Błysk” (czytałem o nim w pamiętniku Jerzego w kwietniu), elegancki jegomość w butach z cholewami i sztywnym wąsikiem, który przyniósł list od „Bronka”. List jest dość długi. Jerzy opisuje w nim życie w oddziale. Był już w wielu potyczkach, a nawet w dwóch większych bitwach z Wehrmachtem i policją i — co potwierdza słowa kolegi „Władka” — „czasem strzelamy się z bandytami, którzy się nas sakramencko boją. W maju mieliśmy także starcie z jakąś uzbrojoną grupą, która nas zaczepiła. Przegoniliśmy ich na cztery wiatry. Z początku myśleliśmy, że to bandziory, ale przy zabitym znaleźliśmy »Obóz Wielkiej Polski«⁵. Dni

* „Meksykiem” w gwarze niektórych oddziałów leśnych nazywał się obszar w trójkącie między Miechowem, Kielcami a Częstochową.

do scalenia z AK Narodowych Sił Zbrojnych. Spotkało się to z powszechnym protestem postępowej opinii publicznej w kraju oraz wśród akowców. Część oddziałów NSZ nie podporządkowała się zresztą decyzji scaleniowej swojego kierownictwa.

⁵ Prawdopodobnie stara broszura organizacji założonej pod taką nazwą przez R. Dmowskiego w roku 1926. OWP, rozwią-

i noce mijają nam wesoło. Ludzie są bardzo przychylnie nastawieni do nas. Sami ostrzegają nas przed Niemcami. Nieraz idziemy w biały dzień przez wieś, rycząc *Szturmówkę*⁶ i *Rozszumiały się wierzby*⁷, co jest naszym stałym repertuarem. Szkoda, że Was tu nie ma”.

Szczęściarz z Jerzego! Kropi draniów jak zające na polowaniu (jeszcze w marcu, jak opowiadał, dorwał się do stena⁸) i jest wolny jak... w lesie w porównaniu z nami. Razem z „Jimem” (i nie tylko my!) dalibyśmy dużo, żeby być na jego miejscu.

Chwilami przypominam sobie propozycję „Temidy”, lecz nie martwię się, że ją odrzuciłem. Zawzięty los lubi płatać figle. Człowiek uczy się, składa wiadomości jak grosz do grosza, a tu bęc — w jednej chwili już go nie ma. Kto z nas doczeka się choćby powstania, nie mówiąc już o końcu wojny? Przypominam sobie „gości bez zawodu”:

...„Chętny” nie żyje... „Kozak” — zdaje się, też nie... „Tender” — nie żyje... „Bunkier” — nie żyje... „Bard” — nie żyje. Pozostaliśmy: „Kord”, „Temida”,

zany w roku 1933, był poprzednikiem Obozu Narodowo-Radykalnego. Obie organizacje cechował szowinizm narodowy, antysemityzm i tendencje faszystowskie.

⁶ Popularna w okresie okupacji piosenka pióra Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, „Goliarda”, napisana na konkurs zorganizowany przez „Biuletyn Informacyjny” AK. Muzykę skomponował Jan Ekier „Janosik”.

⁷ Najślawniejsza z pewnością piosenka partyzancka spośród śpiewanych na ziemiach polskich w okresie okupacji. Stanowi ona przeróbkę przedwojennej piosenki *Rozszumiały się brzozy płaczące* napisanej przez Romana Ślęzaka. Nie jest natomiast znany autor przeróbki.

⁸ Pistolet maszynowy produkcji angielskiej, prawdopodobnie zrzutowy. W roku 1943 w Suchedniowie rozpoczęto produkcję polskich stenów, wytwarzanych następnie w Warszawie.

„Władek”, „Gruda” (kolega „Władka”) i ja, którzy nie zajmujemy się niczym innym oprócz Organizacji.

Mogę łatwo wpaść, ale nie chcę i nie mogę usuwać się z „frontu bojowego”, i nie wyrzeknę się „roboty” takiej, jak ją pojmuję. Zająwszy się głównie nauką, a pobocznie konspiracją, stałbym się zwykłym przeciętnym kujonem, jakich tylu dookoła. Rzadko z którego z nich AK ma pożytek. Z naszych tylko „Jim” i „Ziemniak” do czegoś się nadają. Czasem widzę u nich cichą zazdrość wobec tych, którzy się wkopali w „robotę” rękami i nogami. Bezsprzecznie, że nauka też się przyda Polsce, ale na to, aby mogła się ona rozwinąć, trzeba najpierw wygrać wojnę. A do tego przyczyniają się więcej fachowi konspiratorzy niż pracujący dorywczo.

Mimo codziennego ryzyka wpadnięcia, nie ma jak Organizacja! Jest jakoś dziwnie lekko i przyjemnie wewnątrz, gdy się o niej myśli. A jedna chwila w akcji i uścisk dłoni kolegi z okazji jeszcze jednego wymknięcia się grabarzowi spod łopaty czy — jak kto woli — wytargania śmierci za wąsy więcej daje satysfakcji niż wszystkie komplety. Źle się czuję, gdy tego chwilowo nie ma! Tak samo i inni. Mianowany w czasie nieobecności „Narciarza” na dowódcę naszego patrolu, miałem zezwolenie nie iść na „lot bombowy” 18 maja, ale poszedłem.

Nie miałbym szacunku dla siebie, gdybym narażał ludzi, a sam w tym czasie siedział za piecem. Zadowolony jestem, że poszedłem. To samo podejście ma „Władek”. Nie opuścił ani jednej „roboty”, jeżeli tylko miał okazję. Nie zwykliśmy stawiać na pierwszym planie własnego bezpieczeństwa. Pójdziemy zawsze na każdą „robotę”, bo życie tylko wtedy jest coś warte i ciekawe. A o „raz kozie śmierć” — siłą rzeczy — trudno u kujo-

na, który stale pilnuje nauki i myśli często egoistycznie tylko o swojej przyszłości. Wyrazu „przyszłość” nie używamy prawie w naszych rozmowach, bo trudno przewidzieć coś nawet na najbliższe dni. „Władek” uśmiecha się wtedy i gwizdże *Marsza lotników*, który można by zastosować i w naszej sytuacji:

A jeśli ktoś z nas legnie
Wśród tych szaleńczych jazd,
To tym czerwiejszy będzie kwadrat —
Ten nasz lotniczy znak.
Znów pełen gaz,
Bo cóż, że spadła któraś z gwiazd,
Gdy cała eskadra
Pomknie znów na szlak.

Poezja poezją, a realizm realizmem. Taki tryb życia, choć bardzo atrakcyjny, kosztuje jednocześnie dużo nerwów. Ręce „Łubińskiego” mają stały tik, ja także jestem (tak jak „Bronek”) o wiele większy nerwus niż dawniej. W codziennych sprawach dość łatwo tracę równowagę, tylko w „robocie” udaje mi się opanować. Czasem też zdaje mi się, że lada chwila przyjdą po mnie, i nie zawsze można uspokoić się logicznym przemyśleniem położenia, bo właśnie wtedy widać jak na dłoni, że istnieje dla gestapo po prostu nieskończona ilość korzystnych okoliczności.

Mógłbym szukać, jak tyłu innych, uspokojenia w alkoholu, papierosach albo w modlitwie, ale palenie tytoniu uważam za osłabienie swych sił wewnętrznych, a miłośnikami kieliszka gardzę. Co zaś do religii, to już przed kilku laty zauważyłem, że psuje nerwy, a niemal wszyscy ci znajomi, których od trzydziestego dziewiątego roku szlag trafił, byli pobożnymi ludźmi. Szkoda czasu o tym myśleć. Najlepszą odtrutką na strach jest

rozważa i dokładne wypełnianie obowiązków żołnierskich.

Wieczorami przeżywam przyjemne nastroje, patrząc na piękny krajobraz rozświetlony różowawą luną nad niezupełnie zaciemnionym miastem. Przypominam sobie różne wyczyny i czuję ochotę do nowych. Nastrój podobny do obecnego przeżywałem już przed wojną, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to było. Trwało zresztą tylko chwilę.

Tak, życie w „robocie” jest piękne. Cieszę się nawet, że go nie porzuciłem dla nauki. Rozumuję prosto: jeżeli szlag mnie trafi — wtedy na nic cała nauka, a jeżeli doczekam się końca wojny — wtedy st. strzelec „Wiktor”, który już w niejednej „robocie” uczestniczył i nieraz wydostawał się z różnych opresji, bez wątpienia łatwo i w gimnazjum da sobie radę.

19 lipca 1944

Siedzę z „Kotwicą” na Plantach pod „Michasiem” i obserwujemy dwóch chłopców na przeciwległej ławce. Dziewczyna mruga do mnie: mamy przed sobą typową „randkę”. Teraz starszy wyciąga z kieszeni kopertę i daje młodszemu.

— Pewno prasa — uśmiecha się „Kotwica”. — Przedwczoraj nawet widziałam odprawę całej sekcji. Dużo takich scen wpada mi w oczy.

— Żeby tylko pani — odpowiadam — ale na tym rozumieją się również kapusie! Mniejsza już o osoby postronne, jak np. o tamtego jegomościa — wskazałem na siedzącego w pobliżu mężczyznę w średnim wieku — bo taki pan się niczym nie interesuje. Po cichu ryczę ze śmiechu. Wskazany przeze mnie jegomość jest ojcem

Fredka Pielińskiego. Czasem lubię zażartować także z „Kotwicy”. — „Ziemniak” gniewał się kiedyś — opowiadał dalej — że „Gwint”, który odbiera od niego MBI, ustalił spotkania w pobliżu jednej znajomej panny. Właśnie o piątej godzinie ona wychodzi z pracy i czasem widzi ich. Ba, i przy tym znacząco uśmiecha się na widok wręczania „Gwintowi” koperty z prasą. No, a „Ziemniaka” naturalnie, diabli o to biorą, bo nie po to jest w „robocie”, żeby pannom imponować.

„Kotwica” jest zadowolona z pracy „Ziemniaka”. Często wyraża się z uznaniem o jego sumienności. Coś niecoś o tym napomknąłem raz koledze i w zamian dowiedziałem się, że podobne rzeczy słyszał od niej o mnie i że „Kord” też dobrze się o mnie wyraża. Słyszając takie słowa od razu zapominam o wszystkich niedogodnościach związanych z tą bądź co bądź podłą „robotą” — kolportażem. Czuję się bardzo zaszczycony uznaniem szefa. A uznanie czy zaufanie łatwiej zdobyć niż utrzymać.

*

Od niedawna Rosjanie posuwają się powoli, ale stale naprzód. Sytuacja na froncie wschodnim (biegnącym obecnie od Zatoki Ryskiej wygięciem na zachód na Wileńszczyźnie i Wołyniu do Morza Czarnego mniej więcej linią Dniestru) pomалу zaczyna się zmieniać. Zmiany te jakby znajdowały odbicie u nas, o ile mogę zorientować się w najbliższym otoczeniu. „Narciarz” napomykał kilka dni temu o jakichś dwóch karabinach maszynowych, które trzeba będzie doprowadzić do porządku. Z „Władkiem” mniej więcej od dwóch tygodni

drukujemy instrukcję o broni pałnej. Zwiększa się liczba szeregowych podległych „Narciarzowi”: zamiast normalnie osiemnastu jest nas coś dwudziestu pięciu. Dostałem od niego kontakt płynny jeszcze z paroma ludźmi, bo sam nie może nadażyć z wszystkim. Niektórzy z nich zostali zapewne niedawno temu zaprzysiężeni, co wnioskuję z napiętej uwagi i ukrywanego podniecenia, z jakim odbierają ode mnie różne rozkazy „Narciarza”. Znam dobrze ten stan, przeżywałem go z końcem trzydziestego dziewiątego roku, gdy Organizację wyobrażałem sobie jako tajemniczą potęgę, zanim wkrótce nie oswoiłem się z nią. Słowem, co krok wzrastające przygotowania i niewykluczone, że gdy Rosjanie podejną bliżej, coś może zacząć się jeszcze w tym roku.

„Narciarz” wyjechał przedwczoraj z żoną na kilka dni do krewnych pod Jarosław. Szczęśliwy, że może sobie pozwolić na takie nadprogramowe wakacje. W kwietniu długotrwały urlop, teraz znów tydzień — gdyby nie to, że pracuje w czysto polskiej instytucji bez komisarza niemieckiego, nie byłoby to możliwe wobec udzielania polskim pracownikom tylko siedmiu dni urlopu na rok. Obydwie sploty odebrał ode mnie i trzyma je teraz u siebie w mieszkaniu; ryzyko wizyty gestapo już minęło.

Mój udział w kolportażu trwa po dawnemu. Martwię się, że na razie zszedłem na psy. W „drukarni” na strychu też zastój, oprócz tej jednej „szwabskiej” ulotki (podobnej do tych, jakie ongiś, tj. półtora miesiąca temu, sam umieszczałem w niemieckich autach i domach) na razie nic się nie robi. Może znowu odbijemy coś w tym rodzaju, ale nie wcześniej niż za miesiąc. Słowem, zamiast ostrej gry zwykle „gazetkarstwo” — coś,

co nadaje się raczej dla kobiet, o ile ich udział w AK z rokazu „góry” jest już tym złem koniecznym.

Kobieta bowiem nawet najbliższą rzecz wykonuje z takim przejęciem, jak gdyby to był co najmniej zamach na Hitlera. Jeżeli w coś uwierzy lub jeżeli coś się jej spodoba, wówczas trudno o większą bezkrytyczność i o bardziej owczy pęd. Oczywiście, nie znaczy to, abym miał filozofować nad rozkazem, ale przynajmniej zastanawiam się nad tym, jak go wykonać, aby był z tego pożytek, i uczę się dzielić sprawy na pilne i mniej pilne, choć oba rodzaje są ważne. Często mam ochotę wprost powiedzieć pracującej z przejęciem „Kotwicy”: — Doprawdy, zastanów się, przy czym tak sumienie i punktualnie pracujesz? Czy ta praca nie jest już dziś w dużym stopniu anachronizmem i zbytecznym narażaniem ludzi?

Jedna udana akcja, np. odbicia więźniów, rozbrojenia niemieckiego posterunku czy zniszczenia spisów kontyngentów, nie mówiąc już o sprzątaniu sługusów niemieckich, jest obecnie lepszą propagandą dla nas niż gazetki. Nie miałbym nic przeciwko tej zabawie w prasę, gdyby nie pociągało to za sobą wysyp wielu gości, których i tak nam stale ubywa. Oczywiście, nie mówię głośno o tym, bo i tak to nic by nie pomogło, a jestem żołnierzem, nie cywilbandą, która może dowoli mędrkować na wszystkie tematy, sama jak najstaranniej chroniąc własną skórę i ciągnąc zyski z okresowej „prosperity” w GG.

Czekam z niecierpliwością, kiedy zacznie się porządniejsza „robota”, bo kolportaż może zachwycać najwyżej „rekrutów”, a chyba z „Władkiem” nie jesteśmy już nowicjuszami.

Rosjanie od paru dni posuwają się coraz szybciej. Na północnym, ale głównie na środkowym odcinku frontu wschodniego, a więc już także w Polsce, zaczęła się ofensywa letnia. Podobno wczoraj doszli już pod Lublin, zajmując po drodze szereg miejscowości. Ciekawe, ile naprzód posuną się w tej ofensywie? Według mapy można przypuścić, że do linii Wisły, na której Niemcy umacniają się już od paru tygodni, spędzając mieszkańców z pobliskich wsi i Baudienstu do budowania okopów. W kwietniu Rosjanie zajęli Wilno⁹, teraz dochodzą do Lwowa i Lublina, niewykluczone, że następny etap przyniesie wypędzenie Niemców z całej Polski.

Obecnie pędzą ich ze wschodniej części kraju. Ciekawe, jak ułożą się tam stosunki wobec dotychczasowych nieporozumień „góry” AK z AL i PPR, które zapewne obejmują tam teraz władzę po ustąpieniu okupanta. Lublin w 1918 roku miał już przez pewien czas własny rząd lewicowy i niewykluczone, że teraz nastąpi to samo. Może wreszcie przez to sytuacja się wyjaśni i... „panowie, wtedy jak tu szlag trafi skurwysynów, my za nimi do Berlina!” Jak opowiadał kiedyś „Chętny”, były to słowa gen. „Grota”, wypowiedziane w Krakowie na promocji oficerów w styczniu 1943 roku.

Podobno w niektórych miejscowościach nad Wisłą Niemcy rozlepili afisze z... obietnicą bezkarności dla AK, byleby zgłosili się do Wehrkreiskommando¹⁰, że chcą iść

⁹ Wilno zdobyte zostało nie w kwietniu, jak pisze autor, lecz w lipcu 1944 roku, w wyniku wspólnej walki oddziałów AK, które rozpoczęły powstanie, oraz wkraczających oddziałów Armii Czerwonej.

¹⁰ Dowództwo okręgu wojskowego.

na front przeciw bolszewikom. Szkoda, że już nie ma „Na ucho”. Można by pęknać ze śmiechu nad komentarzami, a może nawet nad wierszykiem „Barda” o tej „łasce” Szwabów.

Jeżeli prawdziwa jest również wiadomość o zajęciu przez Rosjan Jarosławia, to „Narciarz” został po tamtej stronie frontu. Dobrze, że mam kontakt z „Kordem” przez „Kotwicę”. No, ale może wyjechał już stamtąd i wnet zjawi się w Krakowie.

Żeby nie jakiś pech, kto wie, czy nie nastąpiłyby koniec wojny. Wczoraj wieczorem rozeszły się plotki, że Hitler zginął w zamachu bombowym i że wybuchła rewolucja w Niemczech¹¹. Znow było widać wielu oblewających tę wiadomość, jak zataczali się. Wróciłem do domu dość sceptycznie usposobiony do tej nowiny, ale dziś rano okazało się, że istotnie coś było na rzeczy. „Władek” słyszał od pewnego jegomościa, który ma radio, że z Londynu nadano komunikat o zamachu na Hitlera, co ma być początkiem przewrotu w Niemczech. Niestety, zamach się nie udał (Hitler jest podobno lekko ranny), a rozruchy, które wybuchły w paru garnizonach wojskowych, zostały szybko stłumione przez gestapo.

— Szkoda, psiakrew! Ciekawe, czy w tych garnizo-

¹¹ W dniu 20 lipca 1944 roku płk Claus Schenk von Stauffenberg dokonał zamachu bombowego na Hitlera w kwatery głównej pod Kętrzynem. W kilka godzin później rozpoczęto w Berlinie akcję pod kryptonimem „Walkiria”, która polegała na opanowaniu przez spiskowców władzy przy pomocy armii rezerwowej, utworzonej dla tłumienia ewentualnych rozruchów w Rzeszy. Jednakże Hitler, jak wiadomo, nie zginął, próba pu-czu zaś została szybko i krwawo stłumiona. Stauffenberga rozstrzelano jeszcze tego samego dnia wieczorem.

nach znajdowali się jacyś czytelnicy „Durchbruchu”, „Ostwachy” i innych naszych gazetek po niemiecku?

„Olgierd” imponuje mi swym opanowaniem. Od dwóch miesięcy siedzi w moim mieszkaniu, i to tak skutecznie, że nawet mieszkający na dole gospodarz nic o nim nie wie. „Olgierd” zachowuje po prostu niezmałony spokój, mimo że zdrowemu chłopu w pełni sił taki areszt domowy i przymusowa bezczynność źle muszą działać na nerwy. Ja na jego miejscu pewnie nieraz zniecierpliwiłbym się, a on jest spokojny. Bardzo mi się to podoba.

Z Ireną poznałem się ostatnio bliżej. Jesteśmy już po imieniu. Muszę ją poznać jeszcze lepiej. Jest dość bezpośrednia i jak dotąd nie zauważyłem u niej przychylnego nastawienia do GG. Ojciec, oficer WP, od trzydziestego dziewiątego roku w oflagu, gdzieś w Niemczech, a matka nie pracuje nigdzie. Przeprowadziłem coś w rodzaju małego dochodzenia o dziewczynie (ciągnąłem ostrożnie za język „Meksykankę”, jeszcze jedną jej znajomą i samą Irkę; ani się spostrzegły, jak wyciągnąłem wszystko, co chciałem wiedzieć) i myślałem, że będę mógł zadawać się z nią spokojnie przez jakiś czas, aż się oboje sobie nie znudzimy. Trzeba będzie tylko uważać, żeby się nie zasypać, że od dawna jestem „bez zawodu”. Będę udawał, że pracuję w biurze Ernährungu, jak zresztą myślą o mnie nie zorganizowani znajomi. Udawanie pracującego przychodzi mi bez najmniejszej trudności i gram swobodnie „wielką grę”, jak co najmniej inspektor Bernard Žbik z Centrali Służby Śledczej*.

Trudno jest stale panować nad sobą i w rozmowie

* Bohater szeregu powieści sensacyjnych Adama Nasiełskiego, detektyw psychokryminolog.

z każdym uważać, by nie wyrwać się z jakimś niebacz-
nym słowem. Żaden kolega z Organizacji nie wie o tym,
że znam drugiego czy trzeciego lub że robię coś wię-
cej poza pracą z nim. „Prywatni” znajomi zaś o nic
mnie nie podejrzewają. Dużo opanowania kosztuje taka
ciągła czujność, ale jest to najlepszy sposób na zmniej-
szenie ryzyka wsypy z wewnątrz AK, no i od dawna
mam w tym trochę wprawy.

*

W południe 21 lipca wysoki mężczyzna o inteligent-
nej twarzy i bystrym wejrzeniu szedł jedną z ulic Kra-
kowa, kątem oka obserwując, czy nie ukażą się gdzieś
jasnozielone mundury, mogące przy rewizji ulicznej za-
poznać się z zawartością jego kieszeni. Zresztą mundu-
rowych łatwiej można uniknąć niż... W pewnym mo-
mencie usłyszał za plecami czyjś szept: ” — Diesen,
vor uns...”¹² Przyspieszył kroku, ale to samo uczynili
pozostający za nim dwaj rozmówcy. Nagle drogę za-
stąpił mu gestapowiec.

— Pan pozwoli z nami — padło po polsku.

Słowom tym towarzyszyło niedwuznaczne wsunięcie
prawych rąk do kieszeni przez wszystkich trzech. Możli-
wości ucieczki nie było. Skręcili w kierunku ul. Po-
morskiej.

*

Dochodzi godzina druga w nocy. Plac przed Dwor-
cem Głównym pogrążony jest w nieprzeniknionej ciem-
ności, nie rozjaśnionej nigdzie najmniejszym światłem.
Na bezchmurnym niebie świecą wprawdzie gwiazdy, ale
nie widać będącego na nowiu księżycą. Czasem muśnie

¹² Ten, przed nami...

lekki podmuch wiatru, lecz wnet znów zapanuje dookoła głucha cisza.

Roman Zawada siedzi na ławce obok baraku i walcząc z ogarniającą go sennością przypomina sobie wydarzenia z ostatnich kilkunastu godzin, skutkiem których spędza obecnie noc pod gołym niebem. Od strony miasta dobiega od czasu do czasu echo kroków patroli, a z odległości kilkudziesięciu metrów z rzadka słychać odgłosy zajeżdżających pociągów i szumu towarzyszącego dużej liczbie ludzi. Chłopiec zastanawia się nad sytuacją, jaka wytworzyła się w jego otoczeniu dzisiaj, nie, już wczoraj po południu, 21 lipca:

O pół do czwartej spotkanie z „Kotwicą” na Planchach koło ul. Poselskiej. Poważny wyraz twarzy dziewczyny, dotychczas nie widywany u niej:

— Wczoraj zostali aresztowani „Kord” i „Temida”...

Po upływie sekundy pierwsze wrażenie przemija. Czy to możliwe, żeby tak prędko? I to oboje?

— U „Temidy” w melinie znaleźli dwie walizy bibuły. Panie „Wiktorze”, musicie razem z „Olgiem” natychmiast opuścić dom na dobrych parę tygodni...

— Oczywiście... Czy jutro w Krzeszowicach ostrzec także „Wallenroda”?

— Tak, bo oni znali tam parę melin. Jutro chcę się spotkać z panem koło pół do dwunastej. Gdzie?

— Najlepiej koło Barbakanu.

— Dobrze. Do jutra dowiem się, co robimy dalej.

Szybki powrót do domu, gorączkowa praca przy ukrywaniu części maszyny drukarskiej i obmyślanie dalszych perspektyw. Matka też nie może zostać w domu przez dłuższy czas, bo gestapo, jeżeli przyjdzie, wówczas będzie szukać nie tylko nas obu, ale przede wszystkim drukarni. Na szczęście „Olgiem” ma znajo-

mego, u którego może zamelinować się na dłuższy czas... Konieczność spędzenia nocy na dworcu; dziś jeszcze nie mogę iść do Pielińskiego, bo jego rodzina odjeżdża dopiero jutro i nie ma miejsca... A znów gdzie indziej nie można spać, bo rano trzeba by wyjść przed piątą, co wzbudziłoby podejrzenie stróża... (pociąg do Krzeszowic odchodzi 5⁴⁵. Pożegnanie z „Olgiem” i umówienie się z nim na jutro, nie, to już na dziś...

Roman kiwa się sennie na ławce. Jest tu znacznie chłodniej niż w budynku dworca, ale sen i tak powraca uparcie. Chwilami całe otoczenie wydaje się czymś nierealnym. Nie wolno jednakże pozwalać sobie na marzenia ani na jawie, ani we śnie. Po przyzwyczajeniu się do ciemności można wyraźnie dostrzec rozmaite cienie, towarzyszące nieodłącznie większym skupiskom ludzi. Spacerując dla odpędzenia snu po chodniku przed stacją, Zawada z łatwością odróżnia podróżnych czekających na ukończenie godziny policyjnej, od różnych niebieskich ptaków. Ba, są one nie tylko rodzaju męskiego.

Właśnie dwie prostytutki rozpoczynają cichą, lecz zawziętą kłótnię o jakiegoś „klienta”, gdy nagle milkną i chyłkiem wycofują się gdzieś dalej. Roman również usuwa się z brzegu siedzących na schodach stacji ludzi; patrol Schutzpolizei przechodzący środkiem placu skręcił w stronę dworca i swoim zwyczajem legitymuje kilku mężczyzn, którzy nawinęli się pod rękę. Mija kilka minut. Wreszcie odchodzą. Gdy kroki ich cichną w ul. Pawiej, Zawada znów wraca na ławkę na Plantach, w tłumie jest zbyt gorąco i duszno, a przede wszystkim — niebezpiecznie dla portfela z dokumentami.

Godziny wloką się strasznie powoli. Zmęczenie wzrasta, a wraz z nim uczucie zimna. Szmer tłumy ucichł.

Nawet prostytutki przestały się kręcić. Senność powraca ze zdwojoną siłą. Ale już niedługo trzeba z nią walczyć, bo acz z trudem, można rozróżnić zarysy przedmiotów o kilkanaście metrów przed sobą. Na wschodzie horyzont lekko pojaśniał. Świt się zbliża.

Po upływie kilku godzin Zawada wracał z Krzeszowic. Zawiadomił „Wallenroda” o wsypie w Krakowie, czym ten zaniepokoił się poważnie. Obaj byli jednakowego zdania, że szef nie wyda nikogo, choćby został poddany najwymyślniejszym torturom. Wyglądał bowiem na człowieka o silnym charakterze.

Zbliżający się z sąsiedniego wagonu śpiew położył kres tym rozmyślaniom. Niektórzy pasażerowie zbudzili się z drzemki. Razem z odgłosem „patriotycznej” pieśni wtargnęła do wagonu ich wykonawczyni, tęga baba o zuchwałej twarzy i przepitym głosem.

Nadejdzie wkrótce taki dzień,
Że padną groźne strzały...

Chłopiec słuchał niechętnie tych „artystycznych” produkcji. To samo zresztą mówili także „Kotwica” i „Ziemniak”, opowiadając o podobnych scenach widzianych w pociągach. Uważają, że nie trzeba zbyt szafować pojęciami i słowami takimi, jak Polska, Ojczyzna czy Wolność.

— Zna się, cholera, na wyciąganiu forsy — myślał Roman, widząc lekkie wzruszenie na twarzach pasażerów, połączone z sięganiem do kieszeni; inwalidzie wojennemu nie byłiby tacy skorzy pomagać..., a taka dziwka zahaczając o patriotyzm wydrwiwa w najlepsze forszę... Niech ją szlag trafi!

Roman po powrocie do Krakowa spotkał się z „Olgierdem”, któremu niespodziewanie udało się u swo-

jego „meliniarza” złapać bezpośredni kontakt „z lasem”, miał tam odjechać dziś wieczorem. Silnie uściskał rękę swego „sublokatora”, obiecując sobie spotkanie po wojnie, o ile obaj doczekają.

Pod Barbakanem spacerowała już czekając na Zawadę „Kotwica”, która przyszła dziś na spotkanie nieco wcześniej.

— W porządku, panie „Wiktorze” — uśmiechnęła się po przywitaniu — mam nawet melinę, gdzie będzie można zabrać od pana i schować maszynę, a pan wróci do poprzedniej „roboty” w „enie”. Na razie nie wpadł nikt więcej, ale musimy nadal zachować ostrożność. Dalszy kontakt dla pana i kolegów przez „Narciarza”, o ile wróci.

— A jeżeli nie wróci? Zdaje mi się, że został po drugiej stronie frontu.

— Wtedy może pan skontaktować się bezpośrednio z magistrem Michalskim w biurze „Narciarza”, który pana zna z „roboty”.

— W porządku. No, nareszcie!

— Zadowolony pan, bo znów w swoim żywiole? — uśmiechnęła się „Kotwica”. — Wiem, że lubi pan ostrą grę. W sprawie tej meliny, którą mam na drukarnię, spotkamy się jutro wieczorem w kościele na Poselskiej.

— Dobrze, o której?

— O szóstej. Cześć, „Wiktorze”!

Roman silnie uściskał rękę dziewczyny, dłużej może niż zwykle zatrzymując ją w swojej dłoni. Patrząc za odchodzącą, aż zgrabna sylwetka w granatowym kostiumie zniknęła w alei Plant na Basztowej.

Widział ją wtedy ostatni raz.

W Krakowie kipi jak w garnku. Od kilku już dni chodziły słuchy o odwrocie wojsk niemieckich spod Lublina, ale dopiero dziś rano wśród miejscowych Niemców wybuchnęła panika. Słowa Napoleona, że na wojnie sytuacja zmienia się co godzina, w XX wieku są tak samo aktualne, jak w chwili ich wypowiedzenia. Rano było jeszcze całkiem „normalnie”, a w tej chwili mam wrażenie, że jest popołudnie 24 sierpnia 1939, z wzrastającą gorączką wojenną, dziś — na szczęście nie dla nas, lecz dla wroga.

We wszystkich niemal firmach zauważono niemieckie przygotowania do ewakuacji z Krakowa. Na ulicach też jest na co patrzeć. Przewalają się duże ilości wozów taborowych i kolumny... obdartych żołnierzy, stanowiących rażąco kontrast z dotychczas widywanym „Herem”¹³. Znosi się na większy popłoch, choć bolszewicy są na razie jeszcze daleko. Przypominam sobie zauważone przed tygodniem w Organizacji przygotowania; jeżeli Rosjanie podejną pod Kraków, może coś się zacznie. Prawdopodobnie jednak zatrzymają się jeszcze jakiś czas na linii okopów na Sanie i Wiśle.

W każdym razie przyjemnie jest patrzeć na panikę wśród Herrenvolku. I mimo woli nasuwa się chęć zrobienia im jakiegoś kawału przy tej okazji. Psiakrew, co za fatalny zbieg okoliczności! „Władek” chory, „Jim” też, i do tego na wsi, a „Narciarza” nie ma. „Kanner” też gdzieś się zapodział. Pozostali „Drağ” i „Ziemniak”, ale akurat nie mamy dostępu do spluw, które „Narciarz” gdzieś zamelinował. No i bez zezwolenia „góry” szkoda gadać.

¹³ Żołnierz wojsk lądowych.

Leżałem na kanapie u Fredka Pielińskiego (nareszcie mogłem dziś rano „zająć kwaterę” u zacnego „meliniarza”; kochana rodzinka wyjechała wczoraj) pochłaniając *Zmartwychwstanie* Dostojewskiego, gdy dowiedziałem się, że dziś w południe nawalił cały Baudienst z Prokocimia (1/100, 2/100 — wszystkie baraki!). Szczęściarz Studziński na pewno już „w lesie”, tak jak „Olgierd” od wczoraj.

Idąc na spotkanie z „Kotwicą”, natknąłem się na Irenę, która wydała mi się dziś ładniejsza niż przed dwoma tygodniami. Nie zwracałem jednak na nią specjalnej uwagi, przejęty popłochem wśród Niemców i ucieczką Baudienstu. Szybko pożegnałem się z dziewczyną, zapamiętawszy zaproszenie na pojutrze do domu. Ma podobną sprawę ze swą siostrą, jak ja z „Narciszem”; była na wsi u krewnych pod Sandomierzem i została, zdaje się, po drugiej stronie.

Znając punktualność Kotwicy, poczułem zaniepokojenie, gdy po półgodzinnym czekaniu w kościele na ul. Poselskiej nie zjawiała się. Wczoraj mówiła, że ma jeszcze wpaść po coś do domu (w domu nie śpi od dwudziestego drugiego, bo „Temida” znała jej nazwisko i nieraz sama nocowała u niej), a tymczasem tam mogli już czekać na nią... Szkoda byłoby „Kotwicy”. Mimo że pracuje w biurze, cały pozostały wolny czas spożytkowuje dla Organizacji, zajmując się lekceważoną przeze mnie „robotą” równie sprawnie, co punktualnie.

Może jednak niepotrzebnie się niepokoję, może coś przeszkodziło jej w przyjeździe na spotkanie (zresztą dowiem się jutro od „Joachima”, tj. magistra Michalskiego). Wątpię bowiem, czy „Kotwica” byłaby na tyle nieostrożna, aby wchodzić do mieszkania, nie upewniwszy się naprzód, czy nie czeka tam gestapo.

25. Fragment czwartej strony „Na ucho” z 12 grudnia 1943 r.

ZIŁOTY PODZIAŁ

W związku z wizytą korespondenta
"Na ucho" w instytucie "Für die
deutsche Ostarbeit"

W instytucie na dziedzińcu,
Wśród kruszanków i podwoi
Utulony snem spiżowym
Kopernika posąg stoi.

Zkulą ziemią z cyrklem w dłoni,
Stoi sztywny i wyniosły.
I spogląda pbbtażliwie,
Na chodzące wkoło osły.

Panowie Ostarbeitery!
Ja mam pomysł, byczy pomysł:
W tym sporze o Kopernika
Zgodzimy się na kompromis

Rzućcie okiem na ten posąg.
Jas się jakoś podzielimy.
My weźmiemy astronoma
A was....kulę uruczymy.

Wprawdzie nasza kula mniejsza
Lecz my was nie oszukamy
Na żądanie bez zapłaty
Całą serię wysyłamy.

Od podzińku Wittem Stwoszem
Nie testujemy też dalece

HERALDYKA



Drzewo genealogiczne Franka

Na marginesie konferencji w
Teheranie.

Znany siłacz ciężkiej wagi
Kiepski malarz zaś z zawodu
Wciąż ciężary w górę dźwigał
Dla popisu, dla narodu.

By go lepiej naród widział
/Wy mu poklask szwaby dacie/
Wylazł na stół pewnie butnie
Stanął na dębowym blacie.

Psubratowi zaś psubraty
Podawali wciąż ciężary.
Chociaż mu trzędzczały gnaty,
Lecz ciężary brał na bary.

Wziął blok Polski, cetas Francji
Kilo Danii, kilo Belgii
Potem milion Europy
Sypiąc z pyska wciąż obelgi.

"Dawać dalej!" A psubraty
Już podają ołów, granit.
A stół trzeszczy, trzeszczą gnaty,
On egipskich chce piramid.

"Dawać, dawać" lecz już rolę
Grały nawet zwykłe kila
Na te tony, na miliony
Dali sto kila Churchilla...

Siłaczowi - psubratowi,
Brać grubasa się zachciało -
Stół dębowy nie wytrzymał
I wszystko się załamano!

Wtedy jeden psubrat Goebbels
Zaczął ryczeć jak ten wół,
Ze tu führer nic nie winien
Ze tu winien tylko s t ó ł...!

Słusznie ryczał jak ten wół,
Ten bubek partyjny,
Bo tu winien tylko stół -
S t ó ł k o n f e r e n c y j n y

26. Wiersz „Barda” pt. *Stół*, zamieszczony na drugiej stronie pisma „Na ucho” z dnia 12 grudnia 1943 r. (obok)

27. Wiersz „Szarzyńskiego” pt. *Rozmówka* zamieszczony na czwartej stronie pisma „Na ucho” z dnia 12 grudnia 1943 r.

ROZMÓWKA

Pytał raz Niemiec Polaka
Tak sobie, ostrożnie, pomалу
Z czegoś pan żyjesz u kata!
Polak powiedział: Z przyżyciała.
Zasepił się Niemiec okrutnie
- Do większych pan nie masz
pretensji?
A na to Polak mu utnię!
Coś nie coś dokupię z pensji.
-To także przecież za mało,
Z tym chyba wieść życie głodowe!
I za odpowiedź dał Polak sałkę:
-Mam kartki dodatkowe!
-Czymże pan palisz u licha,
Za co kupujesz ubranie?
Czym płacisz nadwyżkę licznika,
Za gaz, za buty, za pranie?
A Polak na to: Pod piecem
Nie palę, bielizny nie zmieniam
Gazu i światła nie świecę
A żyję?....z przyzwyczajenia...
Przy życiu także mię trzyma
Choć nie jem jak wy specjałów
Ze jeszcze nie jedno wytrzymam
A was - Szlag trafi pomalu.

Szarzyński



28. Partyzant z oddziału AK „Śmiały” z obwodu „Murawa”
(Myślenice)



Popłoch wśród Niemców rośnie. Coraz więcej Szwabów wyjeżdża z Krakowa i coraz więcej cofających się wojsk na ulicach. Obserwuję w wolnych chwilach długie kolumny wozów i samochodów. Nie mam wprawdzie doświadczenia sztabowca, ale uważam, że to, co wieje w dzikim tempie na zachód, to przeważnie niejednolite kolumny taborowe, a właściwa armia z pierwszej linii frontu jest jeszcze daleko. Zbliżanie się Rosjan będzie można poznać po zwarciu cofających się oddziałów Wehrmachtu z czołgami, artylerią itp., bo — o ile wiem — ustępują pobici, ale jeszcze nie rozbici. Na razie obserwowanie całego zamieszania sprawia dużą satysfakcję. Nareszcie GG zaczyna się chwiać, o czym marzyliśmy od pięciu lat.

Dworzec kolejowy przedstawia widok podobny do obozu cygańskiego. Setki cywilów niemieckich siedzi na walizkach na pl. Dworcowym, wędząc się na lipcowym słońcu. Na Plantach zaś obozują gromady zaniedbanych żołnierzy. Koledzy pracujący w niemieckich firmach mają pole do popisu, wykradając przeznaczone do ewakuacji maszyny i inne rzeczy. Wczoraj dostałem od kolegi „Łubińskiego” dokładną wiadomość o większej sumie pieniężnej, którą jutro mają przynieść dwaj cywile ni Niemcy z jego biura, ale — niestety — skończyło się na dobrych chęciach, choć właśnie dowiedziałem się od matki „Narciarza”, że oba nasze rewolwery się znalazły.

Magister Michalski, z którym porozumiałem się dziś (jest teraz szefem „N-u” na miejsce „Korda”), zabronił kategorycznie „grand” z bronią, dopóki nie przyjdzie rozkaz z „góry”, po którym jedziemy już na całego. Ryzyko strzelania przy takim skoku jest zawsze, a jeden przedwczesny strzał mógłby wywołać w obecnych wa-

runkach zbyt poważne następstwa. Ma rację. Psiakrew, rozkaz!

Wytworzona od wczoraj sytuacja nie przeszkadza, a nawet sprzyja zwykłej pracy „enu”. Dowiedziałem się, że od jutra wracam do mojej „roboty” z ulotkami, które w wyniku popłochu wśród Niemców trafią na podatny grunt. Choć zostało nas tylko trzech: „Ziemniak”, „Draż” i ja, zamiast sześciu z naszego patrolu, damy sobie radę. „Joachim” skontaktował mnie jeszcze z „Armandem”, niskim jegomościem, z którym będziemy pracować aż do odwołania. Cała rozmowa odbyła się w biurze magistrata, ale zaczyna mi się to nie podobać. Ten punkt zna za dużo naszych gości. Żeby tylko coś z tego nie wynikło! Może już niedługo tego wszystkiego...

Od „Armanda” dostałem dużo małych afiszy z poleceniem rozlepiania ich w biały dzień w pobliżu grup Wehrmachtu czy stojących kolumn samochodowych. Ryzykuję dużo (pominawszy już możliwość normalnego wpadnięcia wobec wielkiej liczby Niemców na ulicach), bo gdybym wpadł, to w domu mogą znaleźć drukarnię. Być może, nie znajdują, bo jest dobrze schowana i w najbliższych dniach prawdopodobnie zostanie zabrana przez „górze”. Głupio byłoby wpaść, gdy zbliża się koniec wojny.

Z Montelupich wywieziono część aresztowanych; tych, którzy byli zatrzymani nie za broń, zwolniono (zwolniono nawet za lewe kennkarty), a część jeszcze siedzi. Zdaje się, że Niemcy coraz poważniej liczą się z szybkim podejściem wojsk rosyjskich. Podobno bolszewicy znajdują się o wiele bliżej Warszawy niż Krakowa. Dziś czytałem z „Władkiem” najnowszy „Kurier” (z wczoraj), uważnie studiując instrukcję o karabinie maszynowym dreyse 1913. Na ostatniej stronie tej gazety znajdują

się słowa: „i oto ta kombinująca, strojąca się i szmuglująca »Warszawka« przemienia się w tę Warszawę z Września 1939 roku...”

Widocznie front tam rzeczywiście blisko. Jeżeli Rosjanie podejną bliżej, a Niemcy będą już w rozsypce, niewątpliwie coś się zacznie. Ciekawe, czy równocześnie i u nas (od nas front jest jeszcze kawał drogi), i na jakich warunkach Naczelne Dowództwo porozumiało się z Rosją? Chyba nie byłiby tacy naiwni w „górze”, aby zamykali oczy na rzeczywistość, gdy Rosjanie są już niemal w centrum Polski. No i czy w wypadku wypędzenia Niemców z Warszawy chcieliby bić się dalej przeciw bolszewikom? Dziwne, że nic o tym nie piszą.

Jakoś pesymistycznie wyglądają słowa w „Kurierze”: „w tę Warszawę z Września 1939”. Wrzesień 1939 był dla nas przegraną kampanią i niedobrze pisać tak teraz, w przededniu zwycięstwa nad Niemcami. Gdybym był przesądny, uważałbym te słowa za zły omen... Lepiej już byłoby napisać: „Warszawa z 1863 roku — nie, z 1830 roku?” Także nie; dwa powstania warszawskie nie udały się. Chyba nasze ma większe szanse niż tamte.

W Warszawie musi być teraz jeszcze większe zamieszanie niż w Krakowie. „Goście” chyba szaleją, bo bronii jest więcej niż tu. „Jęczmień” opowiadał kiedyś o różnych wyczynach w Warszawie, o których słyszał od warszawiaka współpracującego z nim w AK. Jeżeli by przyjąć nawet, że opowiadający trochę blagował, to i tak mają tam lepiej niż my. W każdym razie Niemców tam mniej. Słyszałem także, że zarejestrowanych konfidentów jest tam procentowo o wiele mniej niż w Krakowie (opowiadał kiedyś o tym pan „Iks”). Mają zatem nasi dużo lepsze warunki „roboty” niż w innych

miastach i korzystają z nich, ile wlezie. Weźmy choćby skok na ul. Senatorskiej¹⁴: sto milionów złotych dnia 12 sierpnia 1943, u nas zaś, jeśli gdzieś dorwie się choćby czterdzieści tysięcy, jak u Rosenkranza, to już się nazywa „porządna robota”, a tam się sypią miliony.

Żeby się tylko coś nie popsulo w ostatniej chwili. Powinno się udać, bo bądź co bądź powstanie przygotowywane przez cztery lata w całym kraju ma chyba szanse powodzenia. Może rzeczywiście już niedługo weźmiemy się do Szwabów i sowicie im zapłacimy za wszystkie „dobrodziejstwa”. Ba, nawet z bardzo wysokim procentem. A gdyby cały szum (tfu, żeby nie mówić w złą godzinę) uciszył się po kilku dniach i Niemcy zdołali się utrzymać na linii Wisły — to i tak, „co się odwlecze, to nie uciecze”.

Na razie muszę myśleć o rzeczach bliższych niż termin aż kilku dni czy tygodnia; jutro idziemy z „Ziemiakiem” na „robotę”. Jeżeli nie wpadniemy, wieczorem „wpadnę” do Irki. Co zaś będzie pojutrze — to za wielki odstęp czasu, jak na moje kalkulacje.

¹⁴ Autor ma tu na myśli tzw. akcję „Góral”, w toku której grupa „Motor — 30” z oddziałów dyspozycyjnych „Kedywu” zdobyła blisko 110 milionów złotych (39 worków). Cała akcja, przeprowadzona niezwykle sprawnie, trwała 2 minuty.

Rozdział XXIII

Lipcowe słońce silnie dogrzewało, rozjaśniając mury kamienic i zakurzone bruki uliczne. Z powodu odwrotu części wojsk niemieckich ruch panował znacznie większy niż zwykle o tej porze dnia i roku. Wśród zalegającego chodniki tłumu gęsto przemykały się obładowane postacie ciągle jeszcze butnych cywilów i żołnierzy niemieckich, zdążających w stronę dworca kolejowego, obserwowane przez większość ludzi ze źle ukrywanym zadowoleniem. Z głośnym hurkotem okutych kół przesunął się rząd wozów taborowych i zagrodziwszy na moment drogę „jedyńce” skrzył w pobliżu „Deutscher Hofu”¹ z ul. Stradom w ul. Gertrudy.

— Patrz — trącił Romana „Ziemniak” — aż miło spojrzeć, jak się wynoszą.

Przed „Deutscher Hof” stała ciężarówka, na którą kilku żołnierzy w złachmanionych mundurach ładowało jakieś rzeczy.

— Pewno osobiste ruchomości jego generalskiej mości — uśmiechnął się Zawada. — No, chodźmy!

Ruszyli przez Stradom na pl. Zamkowy, ściskając spoconymi rękami tkwiące w kieszeniach tubki kleju „kores” oraz ulotki z wykrzywioną fotografią Hitlera i tekstem „Allmächtige Vorsehung, rette uns!”²

¹ „Nowy Dwór” — niemiecki hotel w Krakowie.

² Wszechmocna Opatrzności ratuj nas!

Dochodzi pół do czwartej po południu. — Rozkaz musi być wykonany — myśli Roman — ale jak się zabrać do tego? Z każdym krokiem wzrasta lekki ucisk w gardle. „Jedna ulotka nalepiona w dzień jest więcej warta niż dziewięć nad ranem, bo wtedy policja specjalnie zrywa” — przypominają mi się wczorajsze słowa „Armanda”, polecające przeprowadzenie akcji.

— Rozkaz. Choć przy dzisiejszym tłumie, w biały dzień, nalepienie „Dolusia” — to pewna śmierć! Rąbmy, stary, może się uda — roześmiał się głośno „Wiktor”, zauważywszy, że i „Ziemniak” nieco nadrabia miną.

— Masz rację. Zaczynamy, tylko, psiakrew, żeby nie ten tłum. W maju to była zabawa wobec tego, co jest dziś!

W istocie, dookoła aż czarno, a ulotki winny być nalepiane na bardziej uczęszczanych ulicach. Nagle obaj powzięli jedną myśl i skierowali się pod zacienione arkady kościoła Św. Idziego.

Jeszcze tydzień temu „Kotwica” czekała w tym samym miejscu na mnie. Ładnie wyglądała wtedy, oświetlona słońcem wpadającym przez zakratowane okno w murze, a dziś... Gdzie ona może być? — myśli Roman. — Tam, gdzie i my za chwilę możemy się znaleźć, o ile nas przedtem nie kropną... „Armand” mówił, że została aresztowana w niedzielę 23 w samo południe, w mieszkaniu, czyli w kwadrans po spotkaniu ze mną. Szkoda myśleć o stratach. Naprzód marsz!

Gdy przeszli trzej Niemcy, chłopcy upewnili się, czy nie zbliżają się inni z ul. Podzamcze lub Grodzkiej, i cicho wchodzi na pierwsze piętro lokalu NSDAP w średniowiecznym domu przy kościele Św. Idziego. Na zakręcie schodów przez zakratowane okno ukazuje się Wawel. „Ziemniak” został na czujce (jedno kasznięcie:

sygnał „jeden Szwab”). Roman cicho idzie do góry. Drzwi wejściowe są uchylone, toteż bez trudu wślizguje się do przedpokoju, gdzie nie ma na razie nikogo. Na ścianie w sieni kamienicy przy Starowiślniej 57 znajduje się „obiecujący” napis: SS — Zahnpflege-Station. Fremden Eintritt strengstens verboten!”³ — Do licha, ciągle mam dziś do czynienia z SS-synami — uśmiecha się chłopiec. — Ciekawe, czy i na jutrzejszej „robocie” też będzie takie „urozmaicenie”, jak dziś? Lecz jest to uśmiech zadowolenia. Ostatnia bowiem z dwunastu ulotek przeznaczonych na dziś przez dowódcę, a ósma z rozlepianych samodzielnie w biały dzień w mieście wypełnionym Niemcami i szpiczlami zawisa na ścianie właśnie pod owym napisem. No, służba skończona. „Bagnet zdjąć i hełm na tornister” i znów można przez parę godzin odpocząć. „Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas” — zagwizdał chłopiec, idąc w stronę domu, w którym mieszkała Irena. Dochodziło pół do siódmej, gdy zadzwonił do drzwi.

— Aa, dzień dobry, już myślałam, że nie przyjdiesz. Spóźniłeś się o pół godziny. Czy to ładnie? — uśmiecha się dziewczyna.

Usiedli na kanapie i rozmawiają:

— Bardzo przepraszam za spóźnienie, ale... odprowadziłem mamę na stację, bo wyjechała na dwa dni do... (na razie mniejsza z tym dokąd. Grunt, że nawet się nie zająknąłem) — odpowiada Roman.

— A wiesz, że to samo z moją matką? Dziś w południe wyjechała po żywność na wieś i wróci także pojutrze. Jesteśmy w podobnych sytuacjach.

— Co z siostrą?

³ SS — Oddział dentystyczny. Obcym wstęp najsurowiej wzbroniony!

Uśmiech znika na chwilę z twarzy Ireny.

— Zdaje się, że została za frontem, bo była na wsi i do tej chwili nie wróciła...

Miło jest siedzieć na kanapie z ładną dziewczyną, odpoczywając fizycznie i wewnętrznie po spełnionym żołnierskim obowiązku. Nic to, że za kilkanaście godzin łatwo można znaleźć się tam, skąd się nie wraca. Ta ewentualność wcale nie odbiera chęci szukania ust dziewczyny. Wprost przeciwnie. Jest tym przyjemniej, że nie ma domowników, których obecność w pewnych chwilach jest uciążliwa. W trakcie swobodnego sam na sam czas mija szybko. Rzuciwszy okiem na zegarek, Zawada spostrzegł, że dochodzi pół do ósmej. Psiakrew, żeby to można zostać trochę dłużej.

Życzenie to spełniło się w nieoczekiwany sposób.

— Oj, już pół do ósmej! — zauważyła dziewczyna, poprawiając uczesanie — Roman, czy zdążysz do domu przed ósmą? To bardzo daleko...

— Hm, obawiam się — mruczy chłopiec, powziąwszy przed chwilą pewien zamiar. Oczywiście, niczego się nie obawia. Irena nie wie przecież nic o tym, że na melinę do Fredka Pielńskiego jest najwyżej kwadrans drogi.

— Boję się o ciebie. Tyle patroli chodzi od paru dni. Co dalej?

Zawada domyśla się niemal, co teraz usłyszy. Obserwuje uważnie swą rozmówczynię i... nie myli się.

— Słuchaj! Nie pomyślisz źle o mnie?

— Na pewno nie — uśmiechnął się Roman.

— Możesz przenocować na tej kanapie, bo ja śpię w drugim pokoju.

— Bardzo dziękuję i skorzystam. Wiesz, że to niezły pomysł.

— Czekaj, zaraz podam kolację.

Po kolacji rozmawiali jeszcze przez dłuższy czas, po czym życząc sobie dobrej nocy rozeszli się.

Za oknami zapadł już mrok. Minął kwadrans. Nastawiwszy uszu, Roman nadśluchuje przez pół zamknięte drzwi. Prawdopodobnie Irena prędko nie zaśnie. Rozważywszy dokładnie wszystkie okoliczności, chłopiec zakomenderował sam sobie: „naprzód!”

— Śpisz już? — zawołał głośno.

— Nie mogę zasnąć — brzmi odpowiedź, po której rozmowa zawiązuje się na nowo. W jej toku chłopiec nakłada spodnie, cal za calem zbliża się do drzwi i uchyła je.

— Wiesz co (chyba się nie obrazi?), lepiej się rozmawia z bliska niż z daleka...

— Może. Opowiedz mi coś ciekawego.

Jest to milcząca zgoda na „wkroczenie na terytorium sąsiedniego państwa”. Chłopiec usiadł na brzegu łóżka. W pokoju nie zostało opuszczone zaciemnienie, wskutek czego nie jest zupełnie ciemno. Widać otwarte oczy dziewczyny i zarys ramion na poduszce.

Rozmawiają dalej. Lecz coraz częściej spojrzenie Romana zwraca się w stronę ust dziewczyny. Potem pocałunek, jeden, drugi, parę mimowolnych ruchów przy zapięciu koszuli i cienka tkanina odsuwa się w bok, odsłaniając zgrabną pierś. Przywarł do niej ustami i nagle poczuł na plecach obejmujące go ramiona. Po chwili dziewczyna lekkim ruchem odsunęła się na posłaniu, robiąc mu miejsce obok siebie.

27 lipca 1944

W pewnych warunkach dzień lub dwa wydają się obejmować o wiele dłuższy okres czasu, tak jak ostat-

nio. Oczywiście, zależy to od ilości zdarzeń w danym okresie. Szkoda zresztą o tym myśleć! Nie lubię za wiele zastanawiać się nad wszystkim. Ilekroć bowiem myślę za dużo o „robocie”, zaraz przed oczyma staje wyspa lub inne „przyjemności” tego rodzaju. Gdybym zbyt głęboko zagłębiał się w to wszystko, prawdopodobnie doszedłbym do wniosku, że należy cisnąć ten cały kram albo się z niego wykręcić. Lecz wszelkimi siłami bronię się przed tym, bo przede wszystkim obowiązek.

Przed południem ubezpieczyłem „transport” amunicji wraz z dwoma „gośćmi” od „Łubińskiego”. O mały włos, a byłby szlag trafił nasze „śliwki”, bo natknęliśmy się na Schupo, ale na własne (a może i nasze) szczęście nie zainteresowali się głównymi „tragarzami”.

Po południu spotkałem się z „Ziemniakiem” i natychmiast zabraliśmy się do „pracy”, którą jak zwykle utrudniała nam obecność licznych patroli policyjnych i wojskowych. Coraz więcej ich łązi. Wydaje się, że nawet mysz nie prześliznie się przez nie — ale na murach stale pojawiają się oznaki działalności Polski Podziemnej. Pracujemy oczywiście nie sami, ale kolegów „po fachu” nie mamy chyba wielu, tylko dwa razy widziałem ulotki w miejscach, gdzie nie byliśmy z „Ziemniakiem”.

Rozlepiliśmy bez większego trudu pozostałe 12 sztuk, przeważnie w śródmieściu. Ulice: Koletek (koło Standortkommandantur ⁴), Stradom (koło dawnego DOK V), Grodzka, Rynek Główny, pl. Szczepański (koło NSDAP), Dunajewskiego (koło Luftgaukommando ⁵), Łobzowska — wcale nie najgorzej, bo w biały dzień.

Szkoda, że nasz patrol nie jest w tej chwili pełny.

⁴ Dowództwo garnizonu.

⁵ Dowództwo okręgu lotniczego.

Jak na złość, właśnie gdy zaczyna się robić „gorąco”, pozostali mi tylko „Ziemniak” i „Drağ”, którego nie mogę jeszcze puścić samopas. Żeby był jeszcze przynajmniej „Jim”! W czterech wystarczylibyśmy za sześciu, bo „Kanner” (jeszcze „Broniek” mówił przed trzynastu miesiącami, że z niego za wielki flegmatyk, i nie wciągnął go do plutonu egzekucyjno-dywerysyjnego) nawalił przed paroma dniami na wieś, aby przeczekać ten cały szum. Co za chwiej! Dziwne, bo przecież sam pamiętam go z lepszej strony. Widocznie ma już dość wszystkiego.

Po „robocie” spotkałem się z „Armandem” na rogu Św. Marka i Św. Krzyża („Ziemniaka” zostawiłem w pobliżu, na Plantach) i wręczyłem mu meldunki z dwudziestego szóstego i dzisiejszy. Przeczytał, pogratulował mi wymknięcia się esesmanom i wręczył nowy rzut ulotek, tym razem z głównym słowem „Kaputt”. W trakcie rozmowy zjawił się wysoki, barczysty jego-ność, którego „Armand” przedstawił jako „Lukra” i polecił odtąd pracować pod jego bezpośrednim zwierzchnictwem. Jemu też nakazał przekazywać meldunki.

Po odejściu „Armanda” poszliśmy po „Ziemniaka” i omówiwszy dalszą „robotę” i kontakt na dziś, rozstaliśmy się z „Lukrem”, ruszając od razu na dalszy „lot bojowy” z nowo otrzymanymi ulotkami. Byliśmy już wprawdzie trochę zmęczeni poprzednim „bombardowaniem”, ale wnet otrząsnęliśmy się z tego.

Z „Ziemniakiem” doskonale się pracuje. Nie jest on tchórzem, a odwaga jego nie ma nic wspólnego z chojractwem, które często prowadzi do groźnych następstw lekceważenia niebezpieczeństwa. Boję się współpracy z takimi ludźmi, bo zwykle źle się ona kończy. Gdyby takich, jak „Ziemniak”, „Jim” i „Broniek”, było więcej...

Na wczorajszej „robocie” numer 2 było nawet dość monotennie, jeżeli nie liczyć nawalenia w Rynku przed patrolem Schupo, który coś zauważył, ale był za daleko. Powtórzyłem „kawał” z zakradnięciem się do niemieckiego budynku, postawiwszy „Ziemniaka” na „świeczce”, przepraszam — na czujce. Przyklepiłem afisz przy windzie, za wewnętrznymi oszklonymi drzwiami niemieckiego Czerwonego Krzyża przy tzw. Seebenwirthgasse 2 (ul. Biskupia „Jasny Dom”). Dziwne, że portier nie widział, gdy prześlizgiwałem się przed jego okienkiem (warty w bramie nie było, nie wiadomo dlaczego). Potem oblepiliśmy ul. Asnyka, Basztową, Krowoderską, Długą i Krzywą. Cały rajd zakończyliśmy na placu przed dworcem. Nie było to zbyt łatwe przy takim ruchu.

Rozstaliśmy się, wyznaczając spotkanie na piątą rano. Musimy odwalać po dwa „loty” dziennie, aby pozbywać się wciąż dostarczanych nam „ładunków bombowych”. Znow „zbombardowaliśmy” śródmieście aż 30 „bombami”. Posostałe 20 ulotek przyklepiliśmy tak samo w śródmieściu (tamte z rana dotrwały gdzieś do południa) między trzecią a czwartą po południu. Jak widać, na brak wrażeń stanowczo nie możemy się uskarżać.

Nic dziwnego, że przy takim trybie życia noc u Irki wydaje mi się, że była gdzieś w zamierzchłej przeszłości.

Pochłonięty w stu procentach „lotami bojowymi” nie zwracam większej uwagi na sytuację wojenną, bo zresztą to i tak rzecz „góry”. Przypuszczam, że jeżeli Rosjanie mocniej przycisną na froncie, to powstanie wybuchnie. Chociaż, przynajmniej w Krakowie, na razie nie wygląda na to. Sporo Niemców uciekło w ciągu

kilku dni, pozostali także przygotowują się do wyjazdu. Gdyby nie konieczna ostrożność i „niewywoływanie wilka z lasu” możliwością przedwczesnej strzelaniny, można by urządzić niejeden niezły skok.

Jutro, oczywiście, znów idziemy z „Ziemniakiem” na codzienną „pule” *. Trzeba jednak, aby dołapał gdzieś „Draża”, którego, tak jak i „Ziemniaka”, wcale nie znam ani nie chcę znać z nazwiska. Od dwudziestego czwartego żyje się znacznie bardziej beztrosko niż poprzednio. Po prostu obydwaj myślimy najwyżej na kilka godzin naprzód, bo okazji do „Marsch nach Himmelkommando” ⁶ mamy około czterdziestu do pięćdziesięciu na dzień, nie mówiąc już o kieszeniach stale wypchnanych ulotkami i innymi niezbyt legalnymi rzeczami. Ryzyko byłoby duże nawet w normalnych warunkach w GG, tj. przed 24 VII 1944, a ostatnio wzrosło co najmniej potrójnie. Trochę denerwuje, że w „robocie” jest się w o wiele większym stopniu zależnym od wielu różnych okoliczności niż w zwykłym cywilnym życiu. Za to takie życie jest ciekawsze, no i więcej warte. Np. nie wiem, co będzie ze mną za parę godzin czy jutro, lecz nic się tym nie martwię. Szkoda zresztą za wiele myśleć, bo prochu już i tak nie wymyślimy...

30 lipca 1944

Z powodu wyjazdu do Krzeszowic dziś rano nie poszliśmy nigdzie. Idąc na stację około piątej rano, uważnie obserwowałem wszystkie bramy na Radziwiłłowskiej; „Armand” mówił, że uciekający nocą z dworca

* Patrol „enu”.

⁶ Marsz do komendy niebieskiej.

dezenterzy zostawiają tam karabiny. Niestety, nie udało mi się trafić na nic podobnego. Szkoda!

„Wallenrod” dopytywał się o „Korda”, „Temidę” i „Kotwicę”, ale na razie nawet „Joachim” nic o nich nie wie. Może dziś lub jutro spotkamy się na „Monte”... Jak dotąd żadne z nich nie wyspało nikogo; ani w Krzeszowicach, ani u mnie nie byli do tej pory i prawdopodobnie nic się nie dowiedzą od aresztowanych.

Po powrocie do miasta włóczyłem się trochę po ulicach. Koło południa zobaczyłem zabawną scenę. Granatowi policjanci rozdawali drukowane ulotki, nawołujące Polaków do czynnego udziału w budowie okopów: „Nie gdzieś w obcych krajach, lecz tu, na twojej ojczyściej ziemi, w obliczu starego miasta o stu wieżach z historyczną tradycją brońcie, Polacy, swoją kulturę przed bolszewizmem...” Można pęknać ze śmiechu nad tym wielkim niemieckim odkryciem, że „Knechtenvolk”⁷ ma nawet kulturę i historyczne tradycje...

Wczoraj o pół do piątej rano przystąpiliśmy do codziennej „pracy”. „Naloty” objęły: ul. Sebastiana, ławki na Plantach koło „Wehrkreiskommando” w „Deutscher Hof” (zwykle siadają na nich żołnierze), Sukiennice (znów dwa strzały ze strony patrolu; coś ich się za dużo kręci po Rynku), pl. Szczepański (na tym samym kiosku, gdzie nalepiłem 26 lutego „Anordnung” o ewakuacji; dziś stały się rzeczywistością), ulice: Dunajewskiego, Garbarską, Karmelicką, Kremerowską, Szlak, Kolberga, Żuławskiego i w końcu, już przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, sławetny Arbeitsamt na Lubelskiej.

Na propozycję „Ziemniaka” nalepiliśmy jedną sztu-

⁷ „Naród parobków”. Tym epitetem określali przedstawiciele „Herrenvolku” naród polski.

kę na wprost okna pewnej jego znajomej. Ciekawe, czy dowie się kiedyś, co ten jegomość wyprawiał z końcem lipca 1944 roku?

31 lipca 1944

Popłoch wśród Niemców jakby zmałał. Wyjeżdżają w dalszym ciągu, ale wszystko odbywa się już w pewnym porządku. Dziś wyszło rozporządzenie nakazujące wyjazd wszystkim HJ i Niemkom. Jeżeli sytuacja nadal będzie się rozwijała tak jak dotychczas, to powstanie powinno wybuchnąć za jakiś tydzień.

Wyjechała prawie cała cywilbanda (z wyjątkiem gestapo), a front cofa się jak dotąd w porządku. Główne siły wyborowego „Front-Heeru”⁸ wciąż jeszcze są poza Krakowem. Niewykluczone, że wkrótce mogą się zacząć walki na przedpolach naszego miasta, jeżeli dowództwo niemieckie zdąży tu zorganizować odcinek obronny. Możliwe też, że front zatrzyma się przed Krakowem i ruszy dopiero za jakiś czas.

Pozostali nieliczni cywilni Niemcy mają — nareszcie — bardzo rzadkie miny i mówią głośno, że na 10 sierpnia Rosjanie wejdą do Krakowa. Propaganda Goebbelsa prysła jak bańka. Na pożegnanie mogą nam jednakże zrobić jeszcze niejedną kawał. Pomijam już wysadzenie w powietrze mostów i innych obiektów, czyli normalnych „przyjemności” towarzyszących planowanemu odwrotowi, ale np. w lipcu nad Bugiem, Wisłą i Sanem zmuszali chłopów do kopania okopów, urządzając z Wehrmachtem policyjne obławy we wsiach. Może i tu zdarzyć się coś takiego, a wtedy trzeba będzie dać nura „do lasu”.

⁸ Wojska frontowe.

Nasza prasa szaleje, tylko po co? Na przykład to: „Z dnia na dzień rosną leśne oddziały Armii Krajowej. Polacy! Wstępujcie w jej szeregi...” A stałą odpowiedzią na nasze zamiary pójścia do oddziału było i jest: „siedzieć tu, jest dość roboty w mieście”. Po co teraz nawołują „do lasu”, kiedy od dwu tygodni zabroniono wciągać nowych?

Osobiście nie mam wrażenia, aby za kilka dni Niemcy nawalili z Krakowa, ale wielu ludzi już z góry się na to cieszy. Są jednak i tacy, którzy się boją i gorączkowo przygotowują „odwody”, gdyby przyszli Rosjanie. Nie są to tylko szumowiny współpracujące z gestapo i mające nieraz wielu ludzi na sumieniu (jeżeli je w ogóle posiadają) oraz mniejsze świństwa, o których do syta nasłuchałem się od gospodarzy w zeszłym roku; są to panowie z „elity” obszarników, którym dzielni kmiotkowie w razie przyjscia Rosjan słusznie przetrzepaliby skórę, dołapawszy ich w „rodzinnych gniazdkach”, jak to pompatycznie i archaicznie opisywały stare kroniki. Zarobili w ogromnej większości na to, żeby ich w końcu rozpędzić na cztery wiatry, a ziemię podzielić między karłowate gospodarstwa i wreszcie skończyć tę całą reformę rolną sprzed dwudziestu laty.

Dziś rozmawialiśmy dłuższą chwilę na ten temat z „Władkiem” i „Grudą”, niskim czarnym kolegą „Łubińskiego”. Zauważyli, że mówię jak Dzierżyński. Na ogół zgadzamy się doskonale. Podobne zdanie mamy na temat rekinów przemysłu i bankierów. (Czytaliśmy wszyscy niedawno kilka bardzo ciekawych książek Uptona Sinclaira⁹: *Król węgiel*, *Służba państwowa* i inne, co do których nie sprzeczałyśmy się ani trochę.)

⁹ Postępowy pisarz amerykański (ur. 1878) demaskujący w swych powieściach machinacje wielkokapitalistycznych kon-

Przyszedł do nas „gość” z ferajny „Władka” i po chwili wszyscy czterej krzyknęliśmy trzykrotnie „hurra!” na cześć warszawskich oddziałów Armii Krajowej, które od trzech dni mają ostre pogotowie i z bronią zbierają się już na punktach wypadowych. Brawo! Może wreszcie i u nas się ruszy. Najważniejszą jednak rzeczą (czytałem na głos przyniesiony przez pewnego jego mościa dzisiejszy „Dziennik Polski”) jest wizyta Mikołajczyka w Moskwie. Prowadzi on rokowania z rządem rosyjskim i powstałym przed kilkoma dniami w Chełmie Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego¹⁰.

Może nareszcie zdołają się dogadać! W takim razie w wypadku powstania mamy natychmiastową pomoc, i to ze strony regularnej Polskiej Armii! Nie mówiąc już o Rosjanach, którzy od półtora roku gnają Szwabów przez dwa tysiące kilometrów od Stalingradu. Chyba rzadko które powstanie miało tyle szans wygrania co nasze. Ciekawe tylko, jak rozwinie się sytuacja: czy najpierw wybuchnie w Warszawie, która jest bliższa frontu od nas, czy też równocześnie w całej Polsce, aby zaskoczenie było tym większe? No, ale to już sprawa „góry”. Naszą rzeczą jest słuchać rozkazów i bić Szwabów.

Na razie toczymy dalej z „Ziemniakiem” naszą „The N-Battle of Cracov”¹¹, jak żartobliwie określam ostat-

cernów. Poza wymienionymi do najbardziej znanych jego powieści należą *Grzędawisko* i *Nafta*.

¹⁰ Premier rządu emigracyjnego przybył do Moskwy 29 lipca 1944 roku. Rozmowy, jakie przeprowadził w trakcie swojej wizyty zarówno z rządem radzieckim, jak i z przedstawicielami KRN i PKWN, nie doprowadziły do porozumienia. Rezultatem była tragedia Powstania Warszawskiego.

¹¹ „Enową bitwę o Kraków”.

nie działania, które pod względem psychicznym przypominają chyba trochę starty na „loty bojowe”.

Dziś rano „zrobiliśmy” ul. Zieloną, Planty, ul. Gertrudy, Bernardyńską, później szkołę powszechną na Straszewskiego 38 (dawny numer 22, kwatery tam żołnierze), Uniwersytet (kwatery Wehrmachtu), Karmelicką (kioski), Kremerowską (zauważył nas stróż w jednej z kamienic, ale udawał, że nie widzi) i Szlak koło szkoły powszechnej zajętej przez WH ¹².

Na stojących przed szkołą autach nalepiliśmy ulotki na szybach wewnątrz (jest to nowa taktyka przyjęta od dwudziestego szóstego). Taką ulotkę na szybie z ulicy widać lepiej niż ze środka auta i szofer często może dowiedzieć się o niej dopiero, gdy ktoś mu zwróci uwagę. Oczywiście, najlepiej byłoby gdyby tym kimś był „kanarek” *. Zbliżyliśmy się do dużej ciężarówki. W kabynie kierowcy leżały na szerokim siedzeniu dwa rozrzucone koce. Nalepiałem właśnie ulotkę na szybie, gdy nagle spod koców rozległo się westchnienie i wyjrzała rozczochrana głowa jakiejś kobiety z bardzo zaspianą twarzą. Z pewnością jakaś „lepsza”. Nie zauważyła nas ani ulotki. Czmychnęliśmy pospiesznie.

Z dnia na dzień bijemy swe własne rekordy. Zaczęliśmy od dwunastu sztuk, dziś nalepiamy przeciętnie po trzydzieści do trzydziestu pięciu podczas jednego wypadu, który trwa około jednej do dwóch godzin. Jak długo jeszcze tego dobrego? Jeżeli to potrwa z tydzień lub dwa, to do powstania pójdziemy z nieźle nadwężonymi nerwami. Ale za to powstanie będzie wspinałym odpoczynkiem po tej „fatydze” i z nawiązką odbijemy sobie ponoszone od dawna trudy.

*Żandarm wojskowy

¹² Skrót od Wehrmachtu — Heere, czyli siły lądowe.

Dobrze, że „Armand” zabronił jak najsurowiej brać spluwy ze sobą. Może właśnie dlatego tyle razy „w porządku wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje, planowo oderwawszy się od nieprzyjaciela” — mówiąc stylem komunkatów OKdH.¹³ Za to wycofaliśmy się, jak dotąd bez strat własnych, po dokładnym wykonaniu zadania, czego oni o sobie na pewno nie mogą powiedzieć!

*

„Lukier”, „Ziemniak”, „Draż” i „Wiktor” stali na rogu ul. Marka i Floriańskiej, obserwując od niechcienia przechodniów czytających ulotkę nalepioną przed chwilą na rynnie przez „Lukra”.

— Grunt to obszerna marynarka — uśmiechnął się „Lukier”, nauczywszy już „Draża” swego sposobu rozlepiania ulotek na ruchliwych ulicach.

— Rzeczywiście, panie szefie, jakie to proste. To łatwiejsze, niż myślałem — entuzjasmował się „Draż”.

Dochodziło pół do piątej po południu. Ruch panował normalny, a popłoch wśród Niemców, w stosunku do obserwowanego przed kilku dniami, znacznie zmalał. Słusznie domyślili się, że dowództwu niemieckiemu udało się opanować sytuację i po utracie wschodniej Polski zorganizować obronę na linii Sanu i Wisły.

— Nieźle psujemy krew sukinsynom — mruknął z satysfakcją Roman, patrząc, jak nagle do rynny doszedł niemiecki policjant (dwóch esesmanów przeszło poprzędno, nic nie zauważywszy) i odpędziwszy czytających zdarł ulotkę scyzorykiem.

Czterej „enowcy” przeczekali chwilę i w miejsce

¹³ Skrót od Oberkommando des Heeres (Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych).

zdrapanej ulotki nalepili nową i odeszli wolnym krokiem w ul. Marka. Z daleka wyraźnie widać było szybko zbierających się przed rynną przechodniów — Polaków. Małe afisze otrzymane dziś od „Lukra” były odezwaniami Okręgowego Delegata Rządu¹⁴ wzywającego do zabezpieczania w miarę możliwości przez każdego Polaka inwentarza w przedsiębiorstwach w razie walk w mieście. Rozkaz przewidywał natychmiastowe rozlepianie tych ulotek w najbardziej uczęszczanych miejscach, afisze zaś „nur für Deutsche” odłożono do jutra.

Gdy szliśmy ul. Marka, „Ziemniak” zapytał, czy można by wciągnąć do Organizacji dwóch znajomych. „Lukier” i pozostali niemal jednocześnie roześmiali się ironicznie. Wnet zawtórował nawet „Ziemniak”, będąc niemal pewny takiej odpowiedzi.

— Człowieku — uśmiechnął się „Lukier” — ostatnia bitwa jawna Wojska Polskiego była, zdaje się, 5 października 1939 roku¹⁵, więc ci „bohaterzy” mieli prawie pięć lat czasu do namysłu i dopiero teraz się decydują? Na pewno bez takich damy sobie radę. Którego to dziś mamy, trzydziestego pierwszego czy pierwszego?

— Pierwszego sierpnia, panie szefie...

Trzej chłopcy rozstali się z „Lukrem”, umówiwszy się z nim na jutrzejsze spotkanie. Teraz naradzali się nad sposobem wykonania dzisiejszego rozkazu. Zawada polecił rozlepić afisze na klepsydrach przy kościołach, gdzie nie zwrócą tak szybko uwagi Niemców, jak na murach kamienic czy na rynnach. Pozostali kiwnęli

¹⁴ Delegaturze Rządu Emigracyjnego na Kraj podlegały w terenie delegatury okręgowe (na szczeblu województwa) i delegatury obwodowe (na szczeblu powiatu lub miasta). Na ich czele stali delegaci okręgowi i obwodowi.

¹⁵ Bitwa stoczona pod Kockiem przez F. Kleeberga.

z aprobatą głowami, uznając to za bardzo rozsądne, po czym zabrali się do realizowania rozkazu.

Rozlepiwszy kilkanaście sztuk na kościołach w śródmieściu (było to znacznie łatwiejsze od „dekorowania” aut niemieckich), zaobserwowali, że istotnie przechodzący Niemcy, zgodnie z przewidywaniami Zawady, nie przystawali przed polskimi klepsydrami. Przed kościołem na ul. Franciszkańskiej Roman, zauważywszy lekko znudzone miny podkomendnych, powziął zuchwały plan.

— Słuchajcie, wiara, tego kościoła oczywiście także nie pomijamy, pomimo pewnej trudności.

Koledzy zamilkli na moment. Lecz ryzyko ma to do siebie, że pociąga wielu ludzi.

— Panie „frajter”¹⁶, jak się do tego zabrać? — spytał „Drąg”. (Był pierwszy raz w takiej sytuacji w przeciwieństwie do „Ziemniaka”.)

— Nic trudnego, obserwujcie tylko dobrze tych dwóch „policmajstrów”.

Trzej chłopcy leniwie spacerują po chodniku naprzeciw ul. Brackiej. Ruch panuje tu dość duży, przejeżdżają tramwaje i samochody. W odległości 10 metrów od spacerujących stoją dwaj zieloni na warcie przed komendą Schupo przy ul. Franciszkańskiej. Pistolety maszynowe na pasach, w każdej sekundzie gotowe do strzału, a spod stalowych hełmów dwie pary wprawnych oczu podejrzliwie patrzą na przechodniów, widząc w każdym zaciekłego wroga III Rzeszy, w czym prawdę powiedziałwszy, wcale się nie mylą.

— Ostra gra... — mruczy „Ziemniak”.

— Stańcie bardziej z boku — komenderuje Roman,

¹⁶ Potocznie starszy strzelec.

przyciskając posmarowany klejem afisz do klepsydry i uważnie patrząc na obu wartowników policyjnych.

Wtem trzem „enowcom” robi się gorąco; policjant sięga po rozpylacz, kierując lufę w ich stronę... Nie, tylko go poprawił.

— Uf — myśli „Wiktor”, starannie wygładzając afisz — trudno opisać, co czujemy w tej chwili. — Niechby jeden niezręczny ruch...

Przejechała zapełniona „piątka”. Korzystając z zasłonięcia przez tramwaj komendy Schupo, chłopcy szybko odeszli w stronę ul. Grodzkiej. Gdy się obejrzel, z zadowoleniem zauważyli zwiększającą się grupę ludzi przed afiszem.

Kontyngent ulotek maleje. Po chwili rozstali się z „Drażem”, nalepiwszy przedostatnią sztukę na kościele Św. Mikołaja. Idą dalej przez Kopernika i Strzelecką.

— Co słyhać z tą znajomą, co to jej nalepiliśmy „Dolusia” przed oknami? — pyta Zawada.

— Wiesz, że o mało nie wybuchnąłem śmiechem spotkawszy się z nią wczoraj. Widziała tę ulotkę i z przejęciem opowiadała mi o niej. Ha, ha, ha!

Po paru minutach ostatnia odezwa znalazła się na klepsydrze kościoła przy ul. Rakowickiej. Z odległości kilkudziesięciu metrów dobrze widać czytających, których tak jak w poprzednich miejscach przybywa. Między nimi znalazł się wkrótce nawet jakiś granatowy policjant: czyta, czyta i odchodzi, nie zdzierając odezwy Delegata Rządu.

— Widocznie jakiś nasz...

— Albo się boi, żeby go zaraz nie kropnęli.

Chłopcy wracają ul. Lubicz do miasta. Napięcie nerwowe z wolna ustępuje. Lecz gdyby w tej chwili dostali

nowy rozkaz, wykonaliby go bez najmniejszego wahania.

— No, stary, jutro na rogu Jagiellońskiej i pl. Szczyńskiego.

— Jak zwykle, o pół do trzeciej? Czołem!

— Cześć!

Znów minął jeden z epizodów „The N-Battle of Cracov”.

Rozdział XXIV

— Dwuosobowy patrol Armii Krajowej, zwany w służbowej terminologii pułą, a składający się ze st. strzelca „Wiktora” i strzelca „Ziemniaka”, po południu 2 sierpnia 1944 wolno posuwał się ul. Szewską. Obydwaj żołnierze wypatrywali dogodnych punktów do zaczenia akcji, równocześnie uważając, czy nie natkną się na patrole wroga — monologował żartobliwie Zawada, gdy w pobliżu chwilowo nie było przechodniów.

— Fajnie! — mruknął z uznaniem kolega. Wiesz co, warto by kiedyś, po wojnie, napisać coś w rodzaju pamiętnika, o ile się doczekamy.

— Owszem, można by. Byle tylko doczekać już nie np. roku 1945, lecz dzisiejszego wieczora..., a nawet dwóch godzin na przyszłość. Wiesz, stary, przynajmniej przyjemnie spojrzeć, że się tyle sukinsynów powynosiło. Szkoda tylko tego, co zabrali na pamiątkę.

Istotnie, na ulicach widać było o wiele więcej Polaków niż przed dziesięcioma dniami. Ryzyko wpadnięcia zmalało jednak nieznacznie. Zawada oparł się o kiosk na ul. Dunajewskiego 58, przed Zakładem Rentgenologicznym.

— Ty, czy ten furman myśli tu nocować? Co on się tak gapi na nas, jak na malowane wrota?

Rzeczywiście jakiś woźnica siedział rozwalony na koźle i uparcie patrzył na obu chłopców.

— A patrz się do zasranej śmierci — roześmiał się Roman, przylepiając ulotkę na kiosku.

— Słowo daję, że nic nie widział!

— Chodźmy dalej.

Opatrzywszy ulotkami mury kamienic na ul. Asnyka, Garbarskiej i dwa auta WH na Karmelickiej (dziś w programie były niewielkie afisze do żołnierzy niemieckich), koledzy zatrzymali się na moment na pl. Inwalidów. Raz po raz przechodzą różni Niemcy, wśród których gęsto widnieją mundury SD¹.

Przed blokiem domów nr 2, 4, 6 i 8, z którego co chwilę wychodzą żołnierze (kwaterujący od paru dni w będącym tam jakimś landwirtschafcie²), „Wiktor” z „Ziemniakiem” spacerują dobrą chwilę. Wreszcie mały afisz znajduje się na ścianie domu nr 4 (wartownik stoi głębiej w bramie), a polski patrol — w odwrocie. Odwrót jest już konieczny; przechodzący gestapowcy dziwnie uporczywie patrzą na obu. Dobrze, że niczego z daleka nie zauważyli.

Chłopcy zawrócili w ul. Józefitów i Kazimierza Wielkiego i znaleźli się na rogu Pomorskiej, o kilka metrów od budynku gestapo, zajmującego całą parzystą stronę ulicy z zagrodzonym barierami chodnikiem.

— Mamy teraz bardzo blisko do gestapo.

¹ Skrót od Sicherheitsdienst — służba bezpieczeństwa. SD działająca najpierw tylko w szeregach SS z czasem nabrała cech instytucji państwowej. W okresie wojny SD wchodziła w skład Sipo, stanowiąc Wydział III każdego urzędu komendanta policji. Była „szczególną, najbardziej zaufaną i obdarzoną najwyższymi prerogatywami emanacją policji, powołaną do kontroli całokształtu życia społecznego zarówno własnego środowiska, jak i narodów okupowanych” (Cz. Madajczyk). Funkcjonariusze SD chodzili w mundurach SS.

² Patrz rozdz. VII, przyp. 11.

— Nie tyle teraz, ile zawsze, choć bylibyśmy nawet w Podgórzu — uśmiecha się Zawada.

— No, jak tu już przyszedliśmy, warto by zostawić im pamiątkę. Przyda się zresztą, bo niedaleko biwakuje już od przedwczoraj kolumna aut WH.

Na rogu nieparzystej strony ul. Pomorskiej znajduje się kiosk, doskonale widoczny z gestapo. Obserwując uważnie ten teren (trzeba uważać też na stojące w odległości kilkunastu metrów auta WH) i będąc częściowo zasłonięty przez „Ziemniaka”, Zawada smaruje afisz pod marynarką. Podchodzą do kiosku. Na razie nie widać w promieniu kilkudziesięciu kroków żadnego Niemca. I nagle staje się rzecz nieprzewidziana: z daleka nadchodzi znajomy Zawady, niestety nie zorganizowany. „Gościowi z roboty” wystarczyłoby jedno słowo, a nawet gest, aby nie zbliżał się, a tego cymbała nie można przecież odpędzić.

— Serwus, Roman! — przybyły wyciąga rękę do Zawady. — Co słyhać nowego? Cóżś tak zhardział, że mi nawet nie podajesz ręki?

Sytuację można by nazwać zabawną. Prawa dłoń Romana czyni pod marynarką trafiające w próżnię wysiłki, aby przylepić ulotkę na razie... do podszewki. Po chwili znajomy odchodzi.

— „Wiktor”, co z ulotką? — pyta „Ziemniak”.

— Przylepiłem do marynarki... Cholera, nie ma jej!

— Wypadła! Leży za tobą.

Istotnie, ulotka znajduje się na chodniku, na szczęście tekstem do ziemi. Przechodzący gestapowiec nie zainteresował się kawałkiem nie zadrukowanego papieru. Wreszcie można podnieść ulotkę i przylepić ją na kiosk.

Koledzy poszli dalej. Na rogu ul. Kolberga i Długiej

znajduje się kiosk. Z okna naprzeciw wygląda kilku HJ (dlaczego oni nie wyjechali, jak nakazywało rozporządzenie?). Licząc się z ich obecnością, obaj chłopcy ustalają punkt zborny na wypadek wiania. Jak się okazuje, było to istotnie potrzebne, gdyż jeden z HJ podniósł alarm na całą ulicę. W pobliżu nie było na szczęście żadnego Niemca, a idący ul. Długą patrol Schupo nie usłyszał krzyków.

Spotkawszy się na umówionym miejscu, koledzy znów zabrali się do „roboty”. Oblepili kiosk przy Arbeitsamcie, kilka punktów na ul. Prądnickiej i E. Plater, po czym znaleźli się na Dworcu Towarowym. Tu, korzystając z chwili nieuwagi posterunków, „ozdobili” magazyn na wprost stojących wagonów transportu wojskowego, potem nalepili dwie sztuki na ul. Prądnickiej i ruszyli w ul. Montelupich.

— Wiesz, stary — zwrócił się w pewnej chwili do „Ziemniaka” „Wiktor” — że od wczoraj w Warszawie nasi leją Niemców?

— Co, już jest powstanie?

— Tak. Czytałem dziś w „Dzienniku Polskim” na pierwszej stronie komunikat: „Warszawa walczy. Dziś o godzinie dziewiątej rano gen. »Bór« nadał przez radio meldunek do Londynu zawiadamiający o rozpoczęciu otwartej walki z Niemcami w Warszawie. Główne walki toczą się w Śródmieściu...”

W trakcie opowiadania zbliżają się do bramy więzienia na Montelupich. Wartownik spogląda podejrzliwie na przechodzących. Minąwszy go, skręcają na ul. Warszawską koło Flugschule — Richthoffen Kaserne³ i dalej rozmawiają o powstaniu.

³ Szkoła lotnicza — Koszary Richthoffena.

Rozdział XXV

„K. Z. Lager Krakau-Plaschow”¹, czyli wielka przestrzeń Krzemionek, w której znajdowały się kamieniołomy, mieszkania SS i baraki więźniów, była odgrodzona od świata zewnętrznego potrójnymi kolczastymi drutami oraz przewodami prądu o wysokim napięciu. Co 100 metrów w ogrodzeniu widniały wysokie wieże, na których siedzieli strażnicy z karabinami maszynowymi. Wewnątrz całego obszaru znajdowała się przestrzeń mieszkalna więźniów, zabudowana wielką liczbą zielonych drewnianych baraków. Ponadto znajdowały się tam kuchnie i duży plac apelowy. Przestrzeń mieszkalna otoczona była również ogrodzonym, kilkakrotnie większym od niej „pierścieniem roboczym”, w którym znajdowały się kamieniołomy, warsztaty i mieszkania esesmanów stanowiących załogę obozu.

Wepchnięty wraz z tłumem innych zatrzymanych Roman znalazł się w zatłoczonej ludźmi niewielkiej przestrzeni przytykającej z jednej strony do placu apelowego, a zawierającej wewnątrz ogrodzenia 5 baraków, stojących dość ciasno przy sobie. Tu właśnie spędzono aresztowanych wczoraj i dziś. Zawada rozglądał się od niechcenia po tłumie między barakami i nagle na sekundę oniemiał: z tłumu wyciągał rękę „Olgierd”!

¹ Obóz koncentracyjny Kraków-Płaszów.

— Cześć, Roman! Ty też tu? Kiedy cię capnęli?

— A to spotkanie! To ty nie „w lesie”?

— Jak widzisz, nie.

Z dalszego opowiadania „Olgierda” okazało się, że na drugi dzień po spotkaniu z Zawadą oddział leśny, do którego miał iść, cofnął się o kilkanaście kilometrów w teren i kontakt z nim uległ zerwaniu.

— No i siedziałem dalej w melinie, czekając na łączność, aż mnie wczoraj po południu z niej wyciągnięto...

Dopiero teraz Roman dowiedział się bliższych szczegółów o 6 sierpnia 1944 w Krakowie. Była to największa obława od początku wojny. Na Kaźmierzu, Dębniakach i w Podgórzu wyciągano wszystkich mężczyzn z domów, a na ulicach łapano nie tylko 12-letnich chłopców, ale nawet Ukraińców i... granatowych policjantów.

— A to się dranie boją!

— Jak wpadłeś, stary? — spytał z kolei „Olgierd”.

— Na zasadzkę Schupo na rogu Siemiradzkiego i Sobieskiego. Akurat pod moim przedwczorajszym napisem „KAPUTT”. Wczoraj nawet wymknąłem się z kotła (jak w komunikacie OKW), ale dzisiaj miałem spotkanie z nowym szefem „enu”, i to nie byle jakie, na które nie mogłem nie przyjść... Rozumiesz, chodziło o wywiezienie maszyny i przydział do linii w związku z ostrym pogotowiem.

— Niech szlag trafi!

— Właśnie. Po zatrzymaniu przez policję nie dało się w żaden sposób nawalić, bo naokoło na ulicy same Szwaby. Znalazłem się w komisariacie na Łobzowskiej, gdzie zgromadziło się już bardzo liczne towarzystwo. Mówię ci, stary, że takich zgaszonych min jeszcze nie widziałem... Nie straciłem fantazji i od razu schowałem

zegarek i 300 złotych do butów pod okiem dwóch pilnujących nas policjantów. Słowo daję, że nic nie widzieli!

— Całkiem jak stary kryminalista...

— Dziękuję za uznanie. Na razie szans ucieczki nie było, ale jak przystało na „starego kryminalistę” myślałem o tym od pierwszej chwili. Na razie „lipowałem” dookoła. W pewnym momencie wprowadzono jakiegoś jegomościa, u którego znaleziono maszynę. Prawdopodobnie był to ktoś z Kripo, bo miał „siódemkę” waltera, i to w futerale. Zabawne były miny reszty zatrzymanych, jak zobaczyli tę spluwę.

— Tak, na nas to nie robi takiego wrażenia.

— Potem załadowano nas na auto i ruszyliśmy przez aleje, most Dębnicki, Dębniki i Kalwaryjską w stronę tego „przybytku”. Po drodze postanowiłem zwać na dawnym międzygetciu, wiesz, tam gdzie na Limanowskiego szyny tramwajowe przytykają niemal do chodnika na przystanku „trójki”. Gdyby stał wtedy tramwaj na przystanku, byłoby wspaniale, bo są tam dwie bramy przechodnie pod numerami 50 i 52 na Rękawkę, a samochód musiałby na moment zwolnić. Wtedy jeden skok i gotowe, bo pilnowało nas tylko dwóch strażników. Psiakrew, akurat nie było tramwaju i koło tego przystanku przejechaliśmy z prędkością 70/80 km na godzinę. Po drodze wyrzuciłem jeszcze kartkę do matki i widziałem, jak podniosła ją jakaś kobieta. Może doręczy? Wiesz, szkoda, że na tym aucie nie było kogo z naszych, bo z dwoma strażnikami łatwo dalibyśmy sobie radę.

— Trudno. Nie wiesz, co z „Temidą” i „Kordem”?

— Kilka dni temu zostali wywiezieni z Krakowa razem z innymi z Montelupich.

Obydwaj chłopcy usiedli na rozprażonym od słońca piasku i poczęli zastanawiać się nad położeniem. Byli tu jednakże zbyt krótko, aby móc wyciągnąć jakieś konkretne wnioski. Na razie ograniczali się do obserwowania otoczenia i czekania na dogodny moment do ucieczki.

Od wczorajszego wieczora do Płaszowa przywożono coraz to nowe transporty aresztowanych, skutkiem czego tłok w barakach i na przestrzeni między nimi zwiększał się z godziny na godzinę. Już tej nocy, według słów „Olgierda”, część ludzi spała pod gołym niebem. Nie dano jeszcze niczego do jedzenia.

— Będzie fajnie wyglądać, jak nas tak potrzymają dłuższy czas — mruknął „Olgierd”.

— Stary, nie myśl o tym. Chodź, rozejrzemy się po barakach, może spotkamy jeszcze kogoś znajomego.

Zaczęli rozglądać się między zatrzymanymi. Część z nich spacerowała nerwowo pomiędzy barakami, zdając się oczekiwać na coś, większość jednak siedziała apatycznie w barakach lub na piasku pomiędzy nimi. Roman i „Olgierd” przeszli kilka kroków i niemal jednocześnie zauważyli... „Łubińskiego”.

— Serwus, „Władek”!

— Serwus, Roman. Co, to i ciebie też nakryli?

— Dopiero przed pół godziną...

— Cholera, to źle. Myślałem, że zwiąłeś. „Olgierd” też tu zamiast „w lesie”? A to pech!

— Słuchaj, „Władek”, jest tu jeszcze ktoś z naszych?

— Prawie cały mój pluton.

— No to cudownie. Możemy zmówić „wieczne odpoczywanie” za niejednego wartownika na przyszłość... Parę kamieni zawsze się znajdzie.

— Rzecz prosta. Dlatego jestem w dobrym humorze — uśmiechnął się „Łubiński” — tylko trochę się

zdegenerowałem, jak nas wyciągnęli z meliny, bo się zeszło u mnie sześciu „gości”. W pierwszej chwili myśleliśmy, że wsypa. Na ulicy postawiono nas pod murem i sukinsyny udawali, że nas chcą rozstrzelać, a potem powiedzieli, że to zrobią, ale dopiero za 2 dni w Płaszowie... Zwyczajne żarty niemieckie.

— Kto wie tych sukinsynów. No, stary, ale nie damy się przecież jak barany. Kto jak kto — ale my nie. Wobec tego, panie szefie, st. strzelec „Wiktor” melduje się posłusznie na rozkazy, wobec utraty kontaktu z własnym dowództwem — recytuje Roman.

— Spocznij! — zażartował „Łubiński”. — Wobec tego rozkazuję wam zająć miejsce na pryczy obok mnie w „koszarach”, czyli baraku 54, gdzie kwaterujemy od wczorajszego wieczora. „Olgierd” trzymajmy się kupy. Jakieś miejsce dla ciebie też się znajdzie.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę z „Władkiem” i „Grudą”, chłopiec rozglądał się dalej po obozie, gdzie znalazł jeszcze kilku nie zorganizowanych znajomych oraz... „Lukra”, który również od chwili aresztowania zastanawiał się nad możliwościami ucieczki. Niestety, na razie nie widzieli takiej możliwości.

Minęło południe. Słońce zniżało się już ku zachodowi. Roman wyciągnął się na piasku obok kolegów i zabawił ich opowiadaniem dowcipów, których zawsze miał duży zapas. Słuchacze jego swym zachowaniem i postawą odróżniali się mocno od swego otoczenia. Rozmawiający beztrudnie z niefrasobliwymi minami, rzucający pogardliwe spojrzenia na wartowników, wszyscy wyćwiczeni i zahartowani w różnych sytuacjach w „robocie”, nie czuli się ani trochę przygnębieni czy przestraszeni swym obecnym położeniem.

— Nie ma to jak nasi „goście” — myślał z satysfak-

cją Zawada, patrząc na przygnębienie i zdenerwowanie pozostałych aresztowanych. Jeszcze nikt ich nawet nie bije, a oni już są całkiem wykończeni.

Pośrodku baraków leżał na piasku jakiś człowiek. Był to niedoszły samobójca, próbujący zwiać „nach Himmelkommando”, który przed paroma godzinami rzucił się na druty elektryczne. Porażenie prądem stopniowo przechodziło i niebawem niedoszły samobójca przytomnie patrzył na otoczenie. Z zapadnięciem zmroku cały obóz rozblęsnął upiornym światłem dużych reflektorów. Roman wyciągnął się na twardych deskach obok „Władka”, nie czując żadnej niewygody; od szeregu miesięcy często sypiał na kocu na podłodze, aby przyzwyczać się do tego na wypadek aresztowania. Te ćwiczenia doskonale się teraz przydały. Starał się nie myśleć o jedzeniu i niebawem zasnął głęboko z uczuciem ulgi, że nie grozi mu już nocna „wizyta” gestapo ani aresztowanie na „robocie”.

Kopnięty przypadkowo w bok przez któregoś ze współtowarzyszy, zbudził się w nocy. Zegarek wskazywał za kwadrans drugą. Wyszedł przed barak, obserwował obóz i rzędy śpiących na polu mężczyzn. Szeregi baraków w świetle reflektorów, ludzie leżący na piasku, otaczające druty i monotonne kroki wartowników — wszystko to składało się na upiorny nocny widok obozu. Cicho jak makiem zasiał. Przemęczeni pracą dawniejsi więźniowie śpią krótkim snem przed porannym apelem. Po chwili podszedł do drutów, gdzie zauważył jakiegoś jegomościa z baraku 54, który rozmawiał ze stojącym po drugiej stronie pilnującym esesmanem. Słuchając rozmowy, dowiedział się, że prawdopodobnie zatrzymanii będą użyci do budowy okopów dla Wehrmachtu.

— Wspaniale — pomyślał Roman. — Podczas dro-

gi, czy przy pracy jest sto razy więcej szans na „zglajszachtowanie”² wartowników niż tutaj. No i może coś wreszcie dadzą żreć.

Udzielający tych objaśnień esesman opowiadał o swym udziale w walkach 1936 roku w Hiszpanii, a potem o inwazji we Francji w 1940 i o froncie wschodnim. Okazało się, że nie jest Niemcem, lecz holenderskim volksdeutschem. Istotnie, nie było widać po nim zwykłej niemieckiej buty i pogardy dla Polaków.

— Psiakrew, co za międzynarodowa szumowina...

Wartownik zorientowawszy się, że zatrzymani nie mieli nic w ustach od przeszło doby, zaproponował handel zamienny zegarków na papierosy.

— Trochę za mało daje — mruknął rozmawiający z nim jegomość — ale palacze na pewno na to pójdą.

Zawada wrócił do baraku, uprzytamniając sobie męki Tantalą, jakie ponosić muszą nałogowi palacze. Ponoć o wiele łatwiej jest znosić głód niż brak tytoniu.

*

Dochodziło południe 8 sierpnia 1944. Upał dziś o wiele większy niż poprzedniego dnia. Na bezchmurnym niebie śmigały wysoko jaskółki, a z dalekich kominów Płaszowa dymy unosiły się prosto w górę. Roman leżący na piasku obok „Łubińskiego” próbował rozruszać kolegów pikantnymi anegdotami, ale odnosiło to dziś mniejszy skutek. Trzydziestosześciodzinny post zaczynał niektórym ludziom dawać się już we znaki.

— Będzie pogoda... Pamiętasz, „Władek”, ten wiersz „Barda”? „a oni za drutem”...

— Wiesz, właśnie w tej chwili też przypomniałem sobie. Czekaaj, pójdę napić się wody.

² W tym wypadku: wykończenie, zabicie.

— Ani się waż — zatrzymał go Zawada. — Jeżeli cię mdli, to tylko połów się na wznak i odychaj głęboko nosem, to ci przejdzie, jakbyś już nie mógł obejść się bez wody, pij jej jak najmniej, bo wycieńcza, a przed pićm starannie wypłucz nią usta. W ten sposób ugasisz pragnienie. Patrz na mnie, jestem jak indyjski fakir: „nie jem, nie piję, a dobrze żyję”, i założę się, że wytrzymam najmniej tydzień bez jedzenia. A nawet dwa, jak niejaki Mahatma Gandhi ³...

— Podobasz mi się, stary — wtrącił milczący dotąd „Olgierd”. — Wyglądasz całkiem, jakbyś przed chwilą najadł się do syta i był gdzieś na melinie, a nie w pace. Jak dotąd, moralnie i fizycznie trzymasz się świetnie i dziwi mnie to, bo z twoimi nerwami nie myślałem, że tak się tym nie przejmiesz...

— Ba — uśmiechnął się Zawada — ja nawet w tej chwili zażywam pełnego odpoczynku, zarówno fizycznego, jak i wewnętrznego, po ostatnich dwóch tygodniach. Nawet wyspać się mogę porządnie i bez obawy, że wpadnie gestapo.

Zawada wcale nie przesadzał. Cała historia, jak dotychczas, nie zdołała ani na moment wytrącić go z równowagi. Rozkaz wykonał, nie został aresztowany pod zarzutem przynależności do Organizacji, przez co nie miał w perspektywie przesłuchania na ul. Pomorskiej, znajdował się w towarzystwie ludzi, z którymi można odważyć się na niejedno, jeżeli tylko nadarzy się odpowiednia chwila — sytuacja więc wcale nie przedstawia

³ Mahatma (czyli „wielki duchem”) Gandhi (1869—1948), wybitny przywódca polityczny i duchowy Hindusów w okresie walki o niepodległość przeciwko panowaniu brytyjskiemu. Zalecał stosowanie biernego oporu jako środka walki. Stosował również wielodniowe głodówki.

się tragicznie. Gorzej mogło być z poszukiwanymi przez policję.

Przypomniawszy sobie przebieg swej służby w podziemnej armii. Wszystko inne oprócz tego wydało mu się bardzo mało ważne, jak tylokrotnie przedtem. Zwłaszcza teraz, gdy kursują różne pogłoski na temat rozstrzelania zakładników i gdy jest to zupełnie możliwe wobec powstania w Warszawie, które może się rozszerzyć na resztę kraju.

— Mogę być dumny z siebie — myślał Zawada (teraz, może już przed wykończeniem nas, można się chyba pochwalić samemu przed sobą) — że zawsze wykonywałem swoje obowiązki i rozkazy, choć nieraz serce podchodziło mi do gardła. Co tam wobec tego znaczą wszystkie przyjemności z kobietami. Wszystko przemija. Ale zginę przynajmniej nie jak baran u rzeźnika, ale z satysfakcją, że pozostanie po nas i po mnie opinia solidnych dywersantów. Nie załamane się właściwie ani razu. Jeżeli tylko miałem okazję podjęcia się czegokolwiek i jakiegokolwiek pracy dla Organizacji, podejmowałem się i zwyciężałem, nie tylko Szwabów, ale i samego siebie. Starłem się być zawsze punktualny i sumienny i byłem.

Przygotowuję się na ostateczną ewentualność z myślą, że jednak byłem na coś potrzebny Polsce. W imię Jej popełniałem różne rzeczy, których nigdy nie dopuściłbym się w normalnych czasach, bo wtedy byłyby one oznaczone wszystkimi terminami kodeksu karnego — ale to była nasza wojna z Niemcami. Nie czuję z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Wszystko, co czyniłem, było z myślą o Ojczyźnie i przełożonych. A teraz odpoczywam po tej pracy. Czuję pełne zadowolenie, jakiego dotychczas jeszcze nie miałem. Może już

za chwilę będę miał okazję przekonać się, czy istotnie jest coś po śmierci, ale myślę, że śmierć jest tylko utratą świadomości, tak jak zwykły sen, a potem wszystko rozplywa się w czasie...

Huknęły dwa strzały. Rozdzierający krzyk rozległ się między barakami. Ktoś ciężko upadł na piasek. Esesman zabezpieczył karabin i przewiesił go ponownie przez ramię. Ciężko ranny w odległości kilku metrów od Zawady darł paznokciami piasek, nasiąkający szybko jego krwią. Dwu innych słaniało się na nogach.

— Widzisz pan, jak to strzelił... Zdawało mu się, że ten chciał się na niego rzucić przez druty, i dla zabawy wygarnął w tłum. Skurwysyńska bestia — usłyszał szept Roman.

Na dany przez esesmana rozkaz dwu ludzi zabrało umierającego i poniosło przez plac apelowy gdzieś w górę. Za nimi powlekli się obaj lżej ranni. Jedna kula wystrzelona w tłum dosięga zwykle więcej niż jednego człowieka.

Zawada usiadł ponownie pod ścianą baraku. Znow ogarnął go spokój, nie zakłócony nawet powyższym zdarzeniem. Istotnie, wartość życia poznaje się w chwili, gdy można je utracić. „Olgierd” wstrząśnięty otrząsnął się jednak szybko z wrażenia, jakie wywołała na nim ta scena (z czego pokpiwali nieco „Władek” i Roman, bardziej z tym oswojeni), i chciał coś powiedzieć do kolegów, gdy nagle niedaleko od nich wszczęło się poruszenie.

Okazało się, że znowu któryś z aresztowanych rzucił się na druty wysokiego napięcia. Inni oderwali go stamtąd z zachowaniem ostrożności i niedoszły samobójca leżał, jak jego poprzednicy, nieprzytomny na piasku. Wypadków takich było więcej. Na większości otoczenia,

wyczerpanego dwu- i półdobową głodówką (w nocy mało kto spał, nie przyzwyczajony do ciasnoty i „drewnia-nej pościeli”), a do tego nie mającego wiele wspólnego z codziennym ryzykiem, wszystko to czyniło rozpaczliwe wrażenie. W tłumie rozchodziły się najnieprawdopodobniejsze plotki, znajdujące wobec takich okoliczności wielu słuchaczy.

— Niemcy mówili, że nie dostaniemy jeść przez dwa tygodnie, tylko dopiero potem, jak nas połowa wyzdycha...

— Mają spisać wszystkich i po kolei rozstrzeliwać: najpierw lekarzy, adwokatów i w ogóle inteligencję...

— Podobno mają brać na chybił-trafił i bić każdego, czy nie wie o takich, co słuchają radia...

Przed uleganiem panice ostrzegał jeszcze w maju MBI, toteż koledzy nie przejmowali się ani trochę tymi sensacjami. Zawada starał się zachować dobry humor, rzucając co chwila różne pseudodowcipne uwagi, co oczywiście denerwowało nie zorganizowanych słuchaczy. Po którejś z rzędu cynicznej uwadze jeden z aresztowanych chciał uderzyć chłopca, ale pohamował się w porę. Roman zrozumiał, że nie należy przeciągać struny.

Słońce zniżyło się ku zachodowi. Z dolnej części obozu zaczęły nadchodzić na plac apelowy kolumny więźniów w pasiakach (przeważnie Żydów), popędzanych kijami i gumowymi „knyplami” kapo. Dozorcy ustawili więźniów w szeregi i zaczęło się widowisko dobijające do reszty ogromną część aresztowanych. Dla „Władka” i Romana zarówno opaski kapo, jak też i stosunki w niemieckich obozach koncentracyjnych nie były niczym nieznanym. Wielokrotnie od czterech lat czytali o tym w gazetkach, a Roman znał nawet osobiście robotnika, który aresztowany w łapance 3 maja 1940 roku po dwóch

latach został zwolniony z Oświęcimia. Później już w „robocie” kilkakrotnie stykali się z ludźmi z lagrów. Teraz stojąc przy drutach, obserwowali bez zdziwienia ponurą scenę, powtarzającą się przy każdym apelu. Uderzenia i kopniaki kapo sypały się gęsto. Co chwila któryś z Żydów walił się na rozgrzany piasek i powstawał pod gradem ciosów, chwiejąc się na nogach. Pomagający mu towarzysze niedoli zbierali wówczas za niego.

Z góry obozu nadszedł w pewnym momencie wysoki mężczyzna z dystynkcjami wyższej szarży SS. Towarzyszyły mu dwa biało-czarne, łaciate dogi. Na jego widok kapo zaprzestali bicia i stanęli na baczność.

— To obersturmbannführer⁴ Amon Göth, komendant obozu — szepnął ktoś koło chłopców.

Po chwili kolumna Żydów odeszła w górę obozu. Amon Göth pozostał jeszcze chwilę na placu, przyglądając się grupie, w której stał Zawada, po czym wraz z psami ruszył za kolumną. Znajdowali się w odległości najwyżej stu kroków od baraku 54, gdy nagle któryś z idących w kolumnie Żydów osunął się na piasek i pozostał kilka kroków w tyle. Widząc to, Göth podniósł rękę i ryknął na cały głos:

— Herr Rolf, zerreißen Sie diesen Hund! ⁵

Obydwa psy rzuciły się na krzyczącego przeraźliwie Żyda. Po kilku sekundach krzyk urwał się. Komendant obozu odwołał oba psy, a na piasku pozostały szczątki czegoś, co jeszcze przed chwilą było człowiekiem. Była to niemal codzienna rozrywka Amona Götha.

Wielu z aresztowanych odwróciło głowy. Minęła dłuższa chwila w milczeniu. Wartownicy bacznie obser-

⁴ Stopień w SS odpowiadający stopniowi Oberstleutnanta (podpułkownika) w Wehrmachcie.

⁵ Panie Rolf, niech pan rozszarpie tego psa.

wowali, jak zareagują zatrzymani na zabawę Herr obersturmbannführera.

Po kilku minutach komendant obozu odszedł w stronę swego mieszkania, a na plac apelowy spędzono kolumnę kobiet, także w pasiakach. Eskortowały je trzy Niemki w policyjnych mundurach i po ustawieniu ich w szeregi rozpoczęło się bicie. Jedna z Niemek była niemal dwumetrowego wzrostu o zbójczej twarzy z oznakami zwyrodnienia, płaskich piersiach i grubym, męskim głosem. Od strony Willi Amona Götha nadbiegł jeden z jego psów o zakrwawionej jeszcze paszczy i zaczął się łączyć do Niemki, która w przerwie między biciem jednej kobiety a drugiej patrzyła na niego niemal z czułością.

— Hm — pomyślał Zawada, przypominając sobie opowiadanie znajomego o dozorczyńcach w oddziałach kobiet w Oświęcimiu — gdyby ona była w SS, to akurat pasowałyby do niej te inicjały: sadystka, sodomistka, tj. razem SS.

Pozostałe Niemki również byłyby bardziej na miejscu w muzeum anatomii patologicznej. Wreszcie zmaltretowane kobiety popędzono w końcu gdzieś w górę i codzienna przyjemność trzech Niemek oprawczyń skończyła się.

Nagle za barakiem 55 wszczęło się jakieś poruszenie i wszystkich przeszył przeraźliwy krzyk. Koledzy nie potrzebowali pytać nawet o jego przyczynę. Starszy człowiek stał trzymany przez trzech współtowarzyszy i tocząc wytrzeszczonymi oczyma dookoła wyrzucał z siebie słowa na przemian groźne i wesołe.

— Dostał „świrka” — mruknął Roman do „Władka” — psiakrew!

Usiedli ciężko na piasku koło placu apelowego, lecz

już po chwili poderwali się z ziemi, bo przy drutach szybko utworzył się tłum: z góry obozu nadeszło kilkunastu Żydów, którzy zaczęli rzucać kawałki chleba, czemu pilnujący esesmani początkowo nie przeszkadzali. Po każdy kawałek chleba szybko wyciągały się setki drapieźnych rąk. Niebawem przy drutach zgromadzili się wszyscy mogący ustać na nogach. Nie, nie mogących ustać nie było: magiczny wyraz „chleb” poderwał na nogi nawet najbardziej osłabionych. Ilekroć jakiś kawałek padał w tłum, powstawało olbrzymie poruszenie. Pięści wznosiły się raz po raz w górę.

Romanowi udało się schwycić jedną kromkę. Szybko schował ją do kieszeni i wy dostał się z szalejącego tłumu, w którym widok jedzenia rozpętał najpierwotniejsze instynkty. Oddychał ciężko i zataczał się ze zmęczenia. Miał wielką ochotę natychmiast zjeść chleb, ale powziął postanowienie podzielenia się nim z „Łubińskim”. W tym czasie tłum począł się już rozchodzić, gdyż znudzeni esesmani odpędzili litościwych Żydów. Znalazł „Władka”, kiwnął doń głową i zaprowadził go do latryny, mieszczącej się w baraku 52, w celu ukrycia się przed zazdrosnym wzrokiem tych, którym nie udało się zdobyć chleba.

— Trzymaj, stary! Poczęstuj się.

— Dziękuję — odpowiedział „Łubiński” — sięgając po kromkę.

— Muszę jednak czymś ci się zrewanżować. — To rzekłszy, wyciągnął z kieszeni swoją kromkę. — Właśnie szedłem, żeby cię poczęstować.

— Całkiem jak w bajce dla grzecznych dzieci. Wypadałoby jeszcze pomyśleć o „Olgierdzie”. Psiakrew, dwa miesiące temu siedzieliśmy razem przy stole, przy trochę lepszym żarciu.

— O, właśnie tutaj idzie. Trzymaj, stary!

Z wolna zapadał wieczór. Koledzy wyciągnęli się na pryczach w zatłoczonym baraku i Roman zaczął opowiadać anegdoty, tym razem o charakterze politycznym. Co chwilę opowiadanie przerywały krzyki wariata.

— Zdaje się, że będzie tu więcej takich.

Z zapadnięciem zmroku na plac apelowy spędzono znów kolumnę więźniów i poprzednie sceny powtórzyły się.

— Wnet i was tak będą gonić — roześmiał się mówiąc po polsku jeden z wartowników — ale jeść dostaniecie dopiero za tydzień. Chleb, Fleisch, masło, ale za tydzień. Mahlzeit! ⁶

Przypomnienie jedzenia rozbudza głód, o czym oczywiście wiedział wartownik. Nie zwracając na to uwagi, koledzy rozmawiali dalej, a Roman zaprezentował swój najnowszy dowcip, wymyślony już w „czwartym wymiarze”, tj. w Płaszowie.

— Zważcie, panowie, czy to nie całkiem jak czwarty wymiar?

— Masz rację, stary. Powiedz ten nowy wic.

— A więc, panowie, posłuchajcie. Rzecz dzieje się, dajmy na to, w baraku 54 wczoraj albo przedwczoraj wieczorem. Trzynastoletni chłopiec siedzi obok starszego jegomościa i zwraca się do niego:

— Proszę pana, co to będzie, jak oni nas tu zacząną posądzać? Nie wiem, jak się wtedy wytłumaczę z tego...

— A o cóż by cię mieli posądzać?

— A, że jestem dowódcą okręgu Armii Krajowej!

— Ha, ha, ha, to ci się udało!

— Albo lepiej, panowie. Trzech jegomościów siedzi

⁶ ... mięso... smacznego!

sobie np. koło tamtego baraku. Jeden z nich mówi do pozostałych:

— No, panie generale, nareszcie możemy uzgodnić plany operacyjne na cały miesiąc, bez obawy, że zaraz wpadnie tu gestapo!

— Ha, ha, ha.

W nocy Żydzi próbowali przemyścić między baraki dwa niewielkie kotły z zupą, co im się udało i drobna część aresztowanych oszukała chwilowo żołądki osławioną śmierdzącą Lagersuppe.

Jak pobieżnie obliczono, w dniach 6, 7 i 8 sierpnia zostało aresztowanych około pięciu tysięcy mężczyzn, co jak na krakowskie stosunki było dużą liczbą. Z opowiadań nowo przybyłych okazało się, że w mieście rozlepiono afisze ostrzegające ludność przed wybuchem planowanego w „Krakau” powstania. Nie ulegało zatem wątpliwości, że zatrzymani mężczyźni odegrają rolę zakładników.

Roman stał dłuższą chwilę koło drutów, wpatrując się w zaciemnione miasto, zakryte w dużej mierze przez leżące w północnej części obozu wzgórze. Rozdawanie zupy skończyło się przed chwilą. Dochodziła pierwsza w nocy. Wrócił do baraku i zasnął głęboko, nie wiedząc jeszcze nic o wydarzeniach z ubiegłego dnia w mieście, przed uczestnictwem i konsekwencjami których uchroniło go aresztowanie.

W późne upalne popołudnie Romana zbudziło poruszenie w baraku. Przetarł oczy, zeskoczył z pryczy i zobaczył, że jeden z zatrzymanych pchnął się odłamkiem szkła. Drugi zaś skręcał się z bólu, spowodowanym nagłym atakiem ślepej kiszki.

— Ładne kwiatki, panowie!

Mijały godziny. W barakach było coraz ciszej. Wielu

aresztowanych nie podnosiło się nawet z podłogi, na której spali z powodu przepełnienia prycz, ogarnięci zupełną apatią i osłabieniem, szklanymi oczami wpatrywali się w sufit.

„Olgierd”, „Łubiński” i Roman usiedli na piasku koło baraku i rozmawiali, starając się nie myśleć o wzrastającym osłabieniu. Koło południa zaszedł znowu wypadek usiłowania samobójstwa przez skok na druty elektryczne, który udaremnił resztkami sił współtowarzysze.

Roman czuł lekkie osłabienie w plecach, ale — dziwna rzecz — nie czuł pustki w żołądku.

— Mówię wam, nie pijcie wody, o ile możecie wytrzymać, a przed piciem dobrze płuczcie usta. Żołądek ściągnie się niebawem i będzie nam dokuczało tylko osłabienie. Takie głupie uczucie dziwnej słabości w biodrach. Wiecie co, gdyby mi się w tej chwili oddała nawet najładniejsza kobieta, nie miałbym zbyt wielkiej ochoty skorzystania z tego.

— Ja to samo...

Minęło południe. Niebo zachmurzyło się, skutkiem czego upał znacznie zmalał i gdyby nie wzrastające osłabienie, sytuacja byłaby zupełnie znośna. Chłopcy obojętnie rozglądają się dookoła. Wzrok zatrzymuje się co chwilę na kopule dawnej bożnicy, w której mieszczą się obecnie warsztaty kowalskie. Cały obóz jest urządzone na terenie zniwelowanego cmentarza żydowskiego, po którym pozostały tylko marmurowe płyty z nagrobków, użyte przez Niemców do wyłożenia rowów i ścieków w lagrze. Gdzieś widać jeszcze wyraźnie złożone hebrajskie litery na czarnym marmurze. O kilkaset kroków poniżej „pierścienia mieszkalnego” znajdują się budynki zamieszkałe przez SS, tj. dawne domy mieszkal-

ne na Krzemionkach. Cała ul. Jerozolimska znalazła się wewnątrz obozu, a na jej początku, odległym o dobre pół kilometra od dawnej bożnicy, mieści się brama wjazdowa do lagru, wychodząca koło pieców wapiennika na ul. Wielicką.

Poniżej dolnych drutów, odgradzających „pierścień roboczy” od świata zewnętrznego, widać dalszy ciąg ul. Wielickiej, stację kolejową w Płaszowie, Prokocim i Bieżanów. Na dalekim zaś horyzoncie widnieje ciemne pasmo lasów Puszczy Niepołomickiej. Szosą wielicką, wiodącą dalej za Wieliczkę na wschód, przesuwiają się nadal auta i wozy wojskowe, ale jest ich już znacznie mniej niż kilka dni temu.

— Cholera — mruczy Roman — front się ustabilizował. A szkoda, bo myślałem, że wyjdziemy stąd wtedy, gdy w bramie obozu stanie ktoś z karabinem maszynowym na plecach i powie: „Nu, towarzyszy, Niemcy już poszli!”

— Niestety, zdaje się, że nie pójda stąd tak prędko... Jak uważasz, Roman, co z Warszawą?

— Uważam, że nie w porządku. Dlaczego powstanie nie zaczęło się jednocześnie w całej Polsce?

— Nie wiadomo, co „góra” miała na myśli. Szkoda, że w tej chwili siedzimy tu zamiast z karabinami na pozycjach.

Jakiś jegomość siedział opodal nich na piasku i rozmawiał z jednym z księży, których kilku też zostało zatrzymanych. Po chwili ksiądz przeżegnał swego rozmówcę.

— Jak trwoga, to do Boga!

Głód coraz bardziej dawał się we znaki. Trzydobowa głodówka odbierała ochotę nawet do rozmowy. Tylko Zawada niezmordowanie opowiadał dowcipy. Chłopcy

znaleźli jakieś łupiny z kartofli i wymywszy je pod wodociągiem żuli w ustach.

— Dajcie spokój, wiara, bo tylko rozdrażniacie żołądek.

Dochodziła trzecia po południu, gdy nagle nawet ludzie leżący dotąd jak martwi poderwali się na równe nogi. Między baraki wszedł kapo w towarzystwie dwóch esesmanów. Polecili oni sporządzić spisy według baraków w celu podzielenia chleba.

Rozdział XXVI

W pół godziny po rozdzieleniu chleba, w ilości ćwiartki przydziałowego bochenka (z trocinami) na osobę, w ul. Jerozolimskiej ukazał się samochód osobowy, który po chwili wjechał na plac apelowy i zatrzymał się o kilka kroków przed drutami odgraniczającymi plac od baraków, gdzie przebywali zatrzymani. Był to szary citroen nr Ost I — 1881. Wsiadło z niego dwu wyższych oficerów SD i trzydziestokilkoletni cywil o okrągłej, inteligentnej, nieniemieckiej twarzy i blond włosach, zaczesanych na bok. Przy drutach zgromadzili się niemal wszyscy zatrzymani. Przybyli gestapowcy usiedli przy stoliku na przyniesionych przez kapo krzesłach, a cywil wzięwszy do ręki mikrofon, zaczął odczytywać szereg nazwisk. Nagle przerwał i zawołał głośno po polsku:

— Uwaga! Niech wyjdą na plac wszyscy Niemcy, volksdeutsche i Ukraińcy!

Koledzy stojący tuż przy drutach z trudem powstrzymali się od śmiechu. Jak widać, od 1939 roku do dziś volksdeutsche nie mogli jeszcze nauczyć się swego „rodzimego” języka...

Gdy kilkunastu zatrzymanych wyszło przed druty, cywil rozpoczął dalsze odczytywanie nazwisk. Polskie nazwiska wymawiał bez najmniejszej trudności, skutkiem czego w pierwszej chwili przypuszczano, że jest

to zwykły tłumacz, wkrótce jednak okazało się, że jest to jeden z krakowskich dygnitarzy SD, niejaki Herr Doktor Heinrich von Lukau. Z jego doskonałej znajomości języka polskiego wnioskowaliśmy, że przed wojną musiał mieszkać w Poznańskim lub na Pomorzu.

— Psiakrew, to z tych najgorszych drani...

Po wyjściu volksdeutscheów Herr Doktor odczytał ponownie kilkadziesiąt dalszych nazwisk, po czym rozkazał wywołanym wyjść na plac apelowy i ustawić się czwórkami. Za chwilę cała kolumna, eskortowana przez kilku esesmanów, ruszyła w dół, w stronę ul. Jerozolimskiej, i zniknęła za wzgórzem zasłaniającym widok na początek i środek ulicy. Jak się okazało, wywołani byli pracownikami elektrowni, gazowni i tramwajów.

— Jak uważasz, Roman, chyba ich puszczą? — szepnęła „Olgierd”,

— Możliwe. Chociaż, cholera ich wie, czy przed bramą albo na początku Jerozolimskiej, której stąd nie widać, nie czeka na nich gestapo.

Rozpoczęło się trwające aż do zmroku odczytywanie dalszych nazwisk, tym razem z dodaniem miejsca pracy. Ludzie, chcąc lepiej słyszeć, pchali się coraz więcej do przodu i w pewnej chwili druty niebezpiecznie się napięły. Widząc to, Herr Doktor zwrócił się w stronę tłumu z „obietującym” uśmiechem:

— Panowie oficerowie, proszę polecić szeregowym, żeby za bardzo nie pchali się na druty, bo na wszelki wypadek mamy tu rewolwery, rozpylacze i granaty.

— Ten drań zna nawet nasz żargon — mruknął któryś z kolegów.

Po chwili „Olgierd”, „Łubiński” i „Wiktor” odsunęli się od drutów.

— Nie warto się tam pchać, stary, nas i tak nie za-

woła. Dokumenty mamy wprawdzie autentyczne, ale co nam teraz z nich.

„Łubiński” miał tylko starą legitymację szkolną. „Gruda” był w nieco lepszym położeniu, posiadając dokumenty kolejowe. „Olgierd” uciekł z pracy w maju, przypuszczał zatem logicznie, że w biurze, gdzie pracował, na pewno się o niego nie upomną. „Wiktor” zaś często żartował, że gdyby znalazł się na liście, miałby może napisane „bez zawodu”, gdyż urwał się z pracy w listopadzie zeszłego roku, zabrawszy sobie na pamiątkę nieważną już zresztą legitymację służbową. Nie było zatem powodów do zbytniego optymizmu na przyszłość.

*

Upłynęło kilka dni. Stosunki w obozie zaczęły się normalizować. Ustanowiono blokowych, wybranych spośród najstarszych zatrzymanych, którzy pilnowali porządku w barakach i wyznaczali ludzi do codziennego przynoszenia żywności z kuchni lagru oraz do sprzątnia baraków.

Jedzenie, jak na niemiecki areszt, było zupełnie możliwe, miało jednakże jedną wadę: małą ilość. Roman pocieszał kolegów z iście szubienicznym humorem, że po upływie pewnego czasu z łatwością przywykną do skąpych racji, żołądek bowiem jest dość elastyczny. Sam, mający doskonały apetyt, nie odczuwał specjalnie głodu, mimo że dzienna racja, na obiad i kolację, wynosiła ćwierć bochenka czarnego chleba z trocinami i miskę odwaru z kapusty, w której nie było ani jednego oka tłuszczu.

Od środy 9 sierpnia trwało zwalnianie z obozu. Codziennie niemal przyjeżdżał Herr Doktor i wywoływał po kilkadziesiąt nazwisk, po czym wywołani odchodzili

w dół obozu. Reszta zatrzymanych obawiała się mimo to, czy tamtych ludzi nie przenoszą na Montelupich. Przypuszczano, zapewne nie bez słuszności, że gdyby gestapo natknęło się na nazwisko kogoś poszukiwanego, wywołano by go pozornie w celu zwolnienia, a potem odprowadzono od razu na Pomorską lub na „Monte”.

Od 6 sierpnia minął już przeszło tydzień, a Sicherheitsdienst¹ nie posiada jeszcze spisów wszystkich zatrzymanych. Spisy takie znajdowały się, jak dotąd, tylko u blokowych. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wkrótce gestapo rozpocznie poszukiwania w obozie. Zawada nie obawiał się specjalnie ani o „Władka”, ani o siebie, ale obydwaj niepokoił się o „Olgierda”. Nie było bowiem wiadomo, czy po ucieczce z pracy, w okresie zamelinowania się u Romana, nie była po niego policja.

W barakach było teraz nieco więcej miejsca, gdyż zostało z nich wywołanych kilkunastu ludzi. W środę 9 sierpnia „Gruda” wmieszał się w grupę kolejarzy i wieczorem nie zjawił się w baraku. Zniknął również „Lukier” i dwaj nie zorganizowani znajomi Zawady.

W pierwszym i drugim dniu zwolnień (kilkakrotnie wywołano całe instytucje) Roman parokrotnie próbował wcisnąć się między ludzi z dokumentami tej samej gałęzi zatrudnienia, w której pracował, został jednakże wraz z kilkoma innymi ryzykantami zatrzymany przy wyjściu na plac apelowy przez współzatrzymanych, którym Niemcy polecili uważać, aby pomiędzy pracownikami wywołanych grupami instytucji nie prześliznęli się inni. W ten właśnie sposób wydostali się „Gruda” i „Lukier”.

— Psiakrew, draństwo, parobki niemieckie! — za-

¹ Patrz rozdz. XXIV, przyp. 1.

klął półgłosem Zawada po udaremnionej próbie wyjścia. Podobne wymysły padały też ze strony kilku innych nie przepuszczonych.

Irytujący był również drobny na pozór fakt, jaki zdarzył się przy pierwszym rozdaniu chleba: wyznaczeni blokowi nie mogli początkowo poradzić sobie z tłoczącymi się ludźmi, na co ktoś zaproponował, aby poprosić Niemców o zrobienie porządku.

Zawada opanował potrzebę uderzenia w twarz proponującego i z zadowoleniem zauważył podobną reakcję u pozostałych.

W obozie Roman czuł się całkiem nieźle. Bardzo szybko przyzwyczał się do warunków będących poniżej minimum normalnej egzystencji i jak zwykle nie myślał o przyszłości. Znakomicie pomogły mu w tym nabyte w Organizacji łatwe przechodzenie do porządku dziennego nad wielkimi nieraz tragediami oraz przyzwyczajenie się do życia chwilą bieżącą, bez dalekich planów i perspektyw. Cały obóz traktował jako urlop z pracy w Armii Krajowej, na bliżej nie określony czas lub do najbliższej „roboty”, w najgorszym zaś razie — jako obóz jeńców wojskowych. Zażartował nawet, że można by napisać dzieło o podobnym tytule, jak książka Erwina Ericha Dwingera²: *Die (Landes) Armee hinter dem Stahldrath*, tj. *Armia (Krajowa) za drutem kolczastym*, czytane kiedyś na początku wojny, a wkrótce potem skonfiskowane wraz z wieloma innymi książkami.

² Niemiecki pisarz faszystowski (ur. 1898). Twórczość jego cechował skrajny nacjonalizm, antykomunizm i militarizm. Rozpowszechniał m. in. hitlerowskie oszczerstwa o „zbrodniach” popełnianych na Niemcach w Polsce w okresie kampanii wrześniowej (*Der Tod in Polen*).

Zmęczenie spowodowane niedosypianiem i kilkunastoma „robotami” w okresie „The N-Battle of Cracov” między 26 lipca a 6 sierpnia minęło już po dwóch dniach Płaszowa. Po raz pierwszy od 1939 roku „Wiktor” czuł się bezpieczny, co naturalnie dobrze wpływało na nerwy nadszarpnięte nieco przeszło półtoraroczną służbą. Podobnie obóz działał na „Władka”.

Romanowi nigdy nie zależało na żadnych rozrywkach ani nawet na paleniu papierosów. Jediną przyjemnością, na jaką sobie zresztą bardzo rzadko pozwalał, były kobiety, nie stanowiące jednak wcale poważnego zainteresowania, jak u wielu jego rówieśników. Były to przelotne zbliżenia, nie wymagające „duchowych” przeżyć i nie pozostawiające trwalszych wspomnień. Zawada nie chodził też do kościoła i właściwie żył tylko sprawami związanymi z Organizacją, podobnie jak wielu innych nie mieszających nadprzyrodzonych sił do spraw II wojny światowej. Mimo pozorów zdemoralizowania miał silny pion wewnętrzny, który stanowiła chęć służenia Ojczyźnie i posłuszeństwo rozkazom wojskowym, według nabytego przed wielu laty przekonania, że jest to pierwszym obowiązkiem Polaka.

Roman siedzi w tej chwili oparty o ścianę baraku i leniwie wpatruje się w sunące po niebie białe chmurki. Kilka kroków dalej „Łubiński” i „Olgierd” rozmawiają o czymś z jednym z przygodnych znajomych. Zawada nie miesza się do rozmowy, nie myśląc właściwie o niczym. W ten sposób czas mu się wcale nie dłuży. Słońce grzeje dość mocno. Obłoki przesunęły się na drugą stronę baraku. Z odległości kilkunastu metrów słychać monotonny głos Herr Doktora odczytującego nazwiska. Roman patrzy teraz na szczyt wzgórza zasłaniającego widok na Kraków. Czas upływa, ale czas w areszcie, je-

żeli — o rozkoszy! — nie jest się zmuszonym do pracy, nie ma najmniejszego znaczenia.

W pewnej chwili Herr Doktor zażartował w sposób, od którego wrażliwsi słuchacze mieli — według słów Zawady zapożyczonych od swego zamordowanego w Oświęcimiu wuja — „pełne spodnie strachu”:

— Aa, widzę tu wielu panów z LHD. No, panowie, czy wy nie wiecie o tym, że LHD równa się AK?

Roman o mało nie roześmiał się na głos, obserwując twarz jednego z „nie zorganizowanych” znajomych, który pracował w Luftschutz-Hilfs-Dienst³ i w Płaszowie czuł się nienadzwyczajnie. Nic dziwnego: legitymacje LHD były bodajże „najmocniejsze” ze wszystkich i właściciele ich kpili sobie z dotychczasowych łapanek. 6 sierpnia 1944 nie wytrzymały i one.

W następnym momencie uśmiech znikł nagle z twarzy Zawady. Herr Doktor, „uhonorowawszy” LHD w podobny sposób wyraził się o jednej jeszcze instytucji. Było to biuro, gdzie pracował „Joachim”. Powyższy żart gestapowca dał dużo do myślenia „Wiktorowi”. Powziął bowiem silne podejrzenia, czy w ostatnim czasie coś się nie stało. Być może, że nieznamość miejsca ukrycia maszyny drukarskiej przez obecnego szefa Wydziału „N” będzie korzystna dla zamkniętego w obozie „Wiktora”.

*

Od dwóch dni szary citroen nr Ost I-1881 nie ukazywał się u wylotu ul. Jerozolimskiej i zwolnienia chwilowo ustały. Po początkowej apatii część więźniów uspo-

³ Pomocnicza Służba Przeciwlotnicza. Patrz rozdz. XV, przyp. 1.

koła się i mimo braku jakichkolwiek wiadomości ze świata zewnętrznego nastrój poprawił się u wielu osób. Wypadki samobójstw prawie już nie zdarzały się, choć panikarscy plotkarze wcale nie zniknęli.

Niektórym z zatrzymanych zaczął się dawać we znaki brak pracy i kilku z nich zgłosiło się ochotniczo u kapo, którzy zatrudnili ich przy uprzążaniu obozu. Po powrocie ochotników „Olgierd” i „Łubiński” wypytywali ich dokładnie o miejsce, w którym pracowali, okazało się jednak, że nie nadaje się ono do ucieczki. Miotły zaś to nie żelazne kilofy ani łopaty, którymi można „poczęstować” strażników. Ba, gdyby to miejsce leżało gdzieś za obozem. Psiakrew, godne zazdrości „pasiaki”, którzy codziennie wychodzą do pracy za obóz.

Na wypadek wywiezienia zatrzymanych z Płaszowa koledzy opracowali dokładny plan, na którym skorzystałaby także ewentualnie większość transportu. „Łubiński” porozumiał się z pozostałymi trzema ludźmi ze swego plutonu (reszta wydostała się w pierwszych dwu dniach zwolnień) i ustalono, że w czasie drogi zostanie dany znak, po którym postarają się wszyscy w jednym momencie zawładnąć pistoletami maszynowymi eskorty. W przewidywaniu tej ewentualności uzbrojono się w znalezione pod barakami kawałki żelaza, z łatwością mieszczące się w kieszeniach. Z tajemniczego uśmiechu „Władka”, gdy mówił, że z gołymi rękami źle jest rozbierać Niemców, Zawada domyślił się, że niektórzy ludzie „Łubińskiego” w dniu 6 sierpnia nie byli rewidowani, no i nie mają pustych kieszeni. Oczywiście, że nie pytał się wcale o to.

Czas mimo głodu upływał Romanowi w błogim nieróbstwie i zażywaniu odpoczynku, zarówno fizycznego, jak i wewnętrznego. Dla rozrywki strugał z drzewa

łyżki dla kolegów lub naprawiał swe zaniedbane od dawna ubranie wełnianą nicią, której kłębek znalazł na śmietniku. Przeważnie jednak siedział na piasku i patrzył niewidzącym wzrokiem na daleką Wisłę i Puszcę Niepołomicką.

Siedemnastego sierpnia po południu na plac apelowy zajechał czarny mercedes-benz, z którego wysiadło pięciu wyższych oficerów w mundurach SD, między którymi nie było jednak widać Herr Doktora. Po tłumie przeszedł szmer.

— Von Haman, specjalista od „leśnych” na Podhalu — mruknął cicho „Łubiński” — zdaje się, że zaczną się poszukiwania.

— Schilke — rozpoznał jeden z jego kolegów drugiego.

Przybyli rozkazali kapo, aby ustawili zatrzymanych w szeregach przed barakami, po czym polecono każdemu, aby trzymał kennkartę w ręce przed sobą. Rozpoczęło się oglądanie z bliska kennkart i porównywanie ich z oryginałami przez gestapowców. Niektórym od razu zabrano dokumenty. Co chwilę Schilke lub von Haman trącał kogoś w brzuch.

— Przyznać się — ryczał po polsku — my wiemy, że należysz do AK!

Ktoś z zapytanych odpowiedział, że istotnie należy, po czym wyciągnął zaświadczenie z Akcji Katolickiej. Prawdziwi „akiści” z trudem powstrzymywali śmiech. Ku zdziwieniu obecnych Schilke nie zareagował kopniakiem na to oświadczenie.

Przeglądając dokumenty (kilku ludzi bez kennkart od razu odstawiono na bok), gestapowcy rozkazali ustawić szeregi na placu apelowym. Powzięto przypuszczenie, że zapewne oznacza to wywiezienie z Kra-

kowa. Roman i reszta kolegów poczuli wzrastające podniecenie, jak poprzednio przed ostrą „robotą”.

Nad widniejącą na horyzoncie Puszczą Niepołomicką kładły się już cienie nadchodzącego wieczoru. Słońce powoli zachodziło. Żeby tam teraz być! Herr Doktor kpił kiedyś, że nas tu jest mało, bo nasi koledzy już dawno siedzą w lesie. I słowo daję, że miał drań rację.

Trzej gestapowcy usiedli przy stoliku koło wejścia do baraków, a pozostali dwaj, skopawszy dla zabawy jedną z więźniarek w pasiaku, stanęli obok i rozpoczęło się odbieranie kennkart zatrzymanym, którzy musieli pojedynczo przechodzić przed stolikiem. Jak się potem okazało, dokumenty zostały odebrane niemal wszystkim, z wyjątkiem kilkudziesięciu ludzi, głównie starszych wiekiem.

— „Ja tego nie przeżyję, jak twierdził bandyta prowadzony na szubienicę” — mruknął Roman do „Władka”, gdy znaleźli się z powrotem w baraku 54 po oddaniu kennkart — niewykluczone, że nas zechcą zakropić.

— Może tylko chcą sprawdzić nazwiska poszukiwanych i lewe kennkarty?

Po ukończeniu tej „pracy” gestapowcy odjechali, rozkazawszy jeszcze, aby ludzie z pozostawionymi kennkartami zgromadzili się w baraku 56 oraz aby do baraków 53, 54, 55 i 56 przeszli wszyscy z baraków 46 i 47, które stały za osobnym ogrodzeniem w górze placu apelowego. W ten sposób znów zrobiło się ciasno jak w pierwszych dniach po obławie. Ludzie, którym nie odebrano kennkart, zostali rano 18 sierpnia zwolnieni z obozu.

Dziewiętnastego w południe przyjechał Haman i szalał po wszystkich barakach, oglądając każdego więźnia

z osobna. Jak się okazało, szukał jakiegoś jegomościa, który 17 sierpnia oddał kennkartę, a 18 wyszedł z obozu, ponieważ posiadał ich dwie. Postąpienie wbrew instrukcjom „góry” Armii Krajowej, która mówi, że „nie wolno nosić jednocześnie przy sobie dwu dowodów na inne nazwisko”, tym razem wyszło na zdrowie nie przestrzegającemu tego zakazu. Ów jegomość był podobno wyższą szarżą z Dowództwa Okręgu.

*

Mniej więcej od 15 sierpnia zaczęła działać, ze zrozumiałych względów nieregularnie, „poczta” łącząca obóz z miastem, zorganizowana w pomysłowy sposób przez trzech księży, aresztowanych również w obławie. Jeden z nich znalazł swoich znajomych między „pasiakami”, którzy pracowali za obozem, koło kościoła w Borku Fałęckim. Z „pasiakami” można było komunikować się przez druty koło latryny, gdzie wartownicy chwilami nie uważali, i tamtędy podawano im grypsy. Ci zaś dostarczali je w przerwie w czasie pracy komuś z plebanii w Borku Fałęckim, gdzie miejscowy proboszcz zorganizował cały pluton gońców (złożonych z małych ministrantów, nie obawiających się ze względu na wiek legitymowania), którzy dostarczali grypsy adresatom w mieście.

Koło latryny zawiązało się poza tym w pierwszych dniach coś w rodzaju „tandety”, gdzie wymieniano pieniądze i zegarki na przynoszony ukradkiem przez „pasiaków” chleb z ich własnych, choć skąpych, lecz otrzymywanych punktualnie porcji. Dostarczanie bowiem chleba zatrzymanym odbywało się niezbyt regularnie, w zależności od fantazji Amona Götha i kapo.

Dwudziestego sierpnia, w niedzielę przed południem,

Roman otrzymał za pośrednictwem „poczty” kartkę od matki, z której dowiedział się, że może uda się sprawa z jego dawnym miejscem pracy. Była to znikoma nadzieja, ale zawsze lepsza niż czekanie na nie określony termin wywiezienia transportu i realizowania próby ucieczki.

Od pół godziny trwał alarm lotniczy. Chłopiec oparty o barak obserwował lecące wysoko bombowce rosyjskie, srebrzyście lśniące w słońcu. Dookoła raz po raz wykwiwały czarne obłoczki eksplodujących pocisków strzelającej bez przerwy niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Wszystkie jednak bez wyjątku chybiały celu. Za to dookoła co chwila cięły po ziemi i dachach baraków odłamki.

— Pewno lecą na Śląsk. Szczęśliwej drogi i powodzenia — mruknął Roman, patrząc na znikające za wzgórzem samoloty. Poprzedniej nocy widziano z obozu, jak jakiś bombowiec zapalił się w powietrzu i spadł gdzieś za Płaszowem. Według relacji jednego z „pasiaków”, był to amerykański liberator z ... polską załogą.

Na podłodze baraku 54 usiadło kilku ludzi, wpatrując się w coś z zaciekawieniem. Roman pochylił się nad nimi i zauważył przedwczorajszy „Goniec Krakowski”, w który zawinięte były papierosy, dostarczone przed chwilą komuś z „wolności”. Artykuł na czołowej stronie nosił tytuł wydrukowany wielkimi literami: *Straszna tragedia Warszawy*, poniżej zaś widniało mniejszymi: *Robota nieodpowiedzialnych awanturników politycznych*. Była to pierwsza wiadomość o powstaniu warszawskim w niemieckiej prasie w języku polskim.

Przebiegał oczami tendencyjne sprawozdania niemieckie z powstania, tłumionego od trzech tygodni przez SS, policję i Wehrmacht, po czym po raz pierw-

szy wyrazili głośno i otwarcie wraz z „Łubińskim” myśl powziętą już 2 sierpnia, a którą dotąd stale od-
pędzali:

— Powstanie wybuchło w nieodpowiednim momen-
cie.

Ze „szmatławca” dowiedzieli się jeszcze, że naczeln-
ny dowódca Armii Krajowej gen. „Bór” — to przedwo-
jenny pułkownik Tadeusz Komorowski.

*

Pierwsze brzaski pochmurnego sierpniowego świtu
zagładnęły do baraku, gdy Zawada zerwał się z desek.
Dochodziło dwadzieścia minut po czwartej. Zabijając po
dorożkarsku zgrabiałe ręce, zaczął spacerować przy dru-
tach koło latryny, gdzie poprzedniego wieczoru umówił
się z jedną z więźniarek, przez którą miał przesłać kart-
kę do domu. Nie chciał przeciążać „poczty”, mając przy-
padkowo okazję inną drogą.

Koło łaźni, leżącej po drugiej stronie drutów,
a mieszczącej się w małym domku z zachowaną jeszcze
tabliczką „ul. Jerozolimska 25”, zaczął się już codzien-
ny ruch. Ze wszystkich stron nadciągały ślaniające się
rozespiane postacie w pasiakach. Roman stłumił nieznoś-
ną pustkę w żołądku i oparł się o słup. Stojący opodal
SS krzyknął coś i poruszył grożąco karabinem. Osła-
bienie zwiększało się. Starając się nie stracić z oczu krę-
cących się kobiet, wszedł do latryny, gdzie przepłukał
usta zimną wodą z wodociągu. Zawrót głowy przechodził
z wolna, gdyby jeszcze i to nieznośne drżenie w kola-
nach!

Zawrót głowy znów daje znać o sobie. Esesman
krzyczy coś do kobiet obserwowanych przez Romana.
Niemal jednocześnie ukazuje się znajoma twarz. Nad-

chodząca więźniarka uważnie rozgląda się dookoła i zaczyna niby przypadkowo kręcić się koło drutów, odpędzana przez Niemca.

Roman zamachnął się. Nie, jeszcze nie czas, bo oto znów esesman odwraca głowę. Ponowna próba rzutu także nie daje wyników, dopiero można skorzystać z tego, że dwie inne więźniarki zagadują strażnika. Zawinięty w kartki Zawady i „Łubińskiego” kamyk upada tuż koło nóg kobiety. Lecz ta nie może jeszcze go podnieść, gdyż Niemiec znów rzuca na nią baczne spojrzenie. Nie chcąc przeciągać struny, więźniarka odchodzi do łaźni. Chłopiec zaciska zęby.

Psiakrew, żeby Szwab nie znalazł kartki...

Mija dłuższa chwila. Wreszcie więźniarka wychodzi z łaźni. Właśnie esesman odwrócił się i patrzy na Zawadę. W tej chwili kartka znika w kieszeni aresztanckiego kombinezonu. Roman patrzy długo, aż kobieta znika za barakami. Dopiero wówczas poczuł wzrastające wyczerpanie i ciężko usiadł na wilgotnym piasku. Wzrok jego pobiegł ku widniejącym w dali lasom. Pomyślał o tych, którzy wolni i uzbrojeni mogą otwarcie walczyć, którzy walczą i zwyciężają.

Był szary sierpniowy świt. Wilgotne łąki nadwiślańskie ukryły się w siwych oparach wstającej mgły.

Rozdział XXVII

Półciemne wnętrze baraku 54 w niczym nie przypominało godziny pierwszej po północy. W rogu przy nie osłoniętym niczym świetle wiszącej żarówki siedziała, żywo gestykulując, grupa osób. Gryzący dym papierosów z najgorszego gatunku tytoniu skręconego w gazety leniwie rozchodził się dokoła. W grupie karciarzy w kącie co chwila wybuchały kłótnie i pięści wznosiły się nad pokracznymi cieniami. Raz błysnął nawet nóż, ale właściciel jego wyrznięty w szczękę wyciągnął się jak długi na deskach podłogi.

— Widzicie go! — pokiwał ze zgorzaniem głową któryś z graczy o twarzy zoranej wszelkiego rodzaju namiętnościami. — On tu z nożem na porządnych ludzi...

Słyszac to ktoś drugi wykrzykiwał coś o jakichś pieniądzach i towarze z zeszłego roku, powiększając tym panującą kłótnię. Tej oraz poprzednich nocy barak 54 ludzaco przypominał klasyczną jaskinię zbójcką opisywaną przez autorów sensacyjnych powieści. Nie trzeba byłoby aż Sherlocka Holmesa, by rozpoznać od pierwszego rzutu oka złodziei i rozmaite szumowiny, które — jak to zwykle bywa — szybko porozumiały się ze sobą.

W obozie zdarzyło się już kilka kradzieży kieszonkowych, których sprawców, oczywiście, nie zdołano wy-

kryć. W jednym tylko wypadku znaleziono mimochodem pieniądze schowane pod okapem baraku.

Zawada uznał to za fachową robotę (schowanie „fajenty” blisko miejsca przestępstwa wskazywało na staro „klawisznika”), po czym sam ściągnął sąsiadowi łyżkę, gdyż własna zginęła mu poprzedniego dnia. Nowo nabytą zaś łyżkę wymienił w sąsiednim baraku, aby nie rozpoznał jej poprzedni posiadacz. Nie była to jednakże kradzież w pełnym słowa tego znaczeniu, albowiem łyżki, miski oraz liche bawełniane koce zastali w obozie; nie były one zatem niczyją prywatną własnością.

Roman leżał w półmroku na pryczy i obserwował grających w karty. Niebawem jednak wstał i począł spacerować po baraku, nie mogąc zasnąć. Ostrożnie omijał śpiących na podłodze. Klótnia przy kartach znów na moment przycichła.

— A to się dranie szarpia — usłyszał nad głową gniewny pomruk jednego ze znajomych, rezydującego na III piętrze pryczy, pod samym sufitem baraku.

— Nie śpisz?

— Nie — mruknął zapytany. — Chodź na górę, pogadamy.

Roman wgramolił się na górę i zaczęli rozmowę, patrząc od czasu do czasu na kolekcję kryminalistów, jak większość mieszkańców baraku określała grających. Znajomy był wyraźnie zdenerwowany zamknięciem w obozie, czemu Zawada wcale się nie dziwił. Dla kogoś prowadzącego zupełnie legalne życie i nie mającego nic wspólnego z ryzykiem podobne położenie musiało być bardzo ciężkie. Oprócz tego znajomy jako funkcjonariusz LHD nie obawiał się dotychczas żadnej obławy. Fakt aresztowania, perspektywa pobytu przez nieozna-

czony czas w Płaszowie oraz cyniczne żarty Herr Doktora również dodatnio nie wpływały na jego samopoczucie.

— Roman, powiedz mi, jak długo jeszcze tu będziemy!? — wybuchnął po chwili.

— Hm, mój stary, dokładnie aż do momentu, kiedy otworzą się przed nami bramy tego „przybytku”. Ani minutę krócej...

Celem rozweselenia kolegi zadeklamował mu szereg wierszy „Barda”, zapamiętanych z „Na ucho”. Poskutkowało to nawet nie najgorzej. Z kolei poczęli rozmawiać o swych planach na przyszłość. Kolega pragnął po wojnie służyć zawodowo w wojsku, Roman zaś — pracować w policji kryminalnej.

— A wiesz, stary, że nawet nadałbyś się do tego — zauważył kolega. — O ile cię pamiętam z budy, zawsze miałeś nosa do różnych zagadek. No i masz dobrą pamięć...

— Byłoby to rzeczywiście ciekawe, o ile nas przedtem szlag nie trafi.

Po czym korzystając z chwilowej ciszy, która nastąpiła po kłótni o przegrane 2000 zł, zasnęli głęboko.

*

Dwudziestego trzeciego sierpnia w południe zamiast Citroëna Herr Doktora na placu apelowym ukazał się czarny Mercedes von Hamana. Przybyli gestapowcy rozpoczęli odczytywanie długiej listy nazwisk i coraz to któryś z wyczytanych wychodził na plac, ale tym razem bez nadziei zwolnienia na twarzy. Po pół godzinie ponad trzystuosobowa kolumna ludzi, eskortowana przez czterech gestapowców z pistoletami maszynowymi wz. 38 w rękach, ruszyła w dół w ul. Jerozolimską.

Między pozostałymi w obozie przeszedł szmer.

— Zdaje się, że oni idą prosto na „Monte”...

— To chyba ci, co byli poszukiwani przez gestapo...

Minęło południe. O trzeciej ukazał się znów czarny mercedes, tym razem w towarzystwie szarego citroena, i przybyli ponownie von Haman i Schilke rozpoczęli oddawanie kennkart. „Łubiński” i Roman odetchnęli z ulgą, widząc biegnącego po kennkartę „Olgierda”. Jak widać, nazwisko jego nie zostało nigdzie w gestapo wymienione. Miał chłop szczęście!

Po odjeździe Hamana znów jak przed tygodniem rozpoczęło się codzienne zwalnianie kilkudziesięciu wyczytanych przez Herr Doktora ludzi. Zwolnienia po 23 sierpnia znacznie wzrosły.

Pewnego dnia Roman usłyszał swoje nazwisko. Nie dziwił się już niczemu, ale dopiero po upewnieniu się u sąsiadów wyszedł za druty. Wychodzący na plac apelowy bez wezwania trafiali na 36 godzin do stehbunkrów¹.

Formalności trwały dłuższą chwilę i wreszcie kolumna poszła pod eskortą w dół. Chłopiec westchnął, odwróciwszy na moment głowę: w barakach pozostali jeszcze „Łubiński”, „Olgierd” i zapewne wielu innych jeszcze kolegów „po fachu”.

W pierwszej chwili miał wątpliwości, czy istotnie zostanie zwolniony (samochody z Pomorskiej mogły czekać za niewidoczną z baraków bramą lagru), ale zbytnio się tym nie przejmował; w drodze zawsze łatwiej zwiać. Doszedł do bramy i przekonał się, że jednak zostaną zwolnieni: Niemcy powoli otwierali odrutowaną bramę obozu. Jeszcze dwa kroki..., jeszcze jeden... i chłopiec stanął już za bramą na chodniku ul. Wielickiej.

¹ Bunkier, w którym można było tylko stać.

Wokoło pełno kobiet uważnie patrzących na każdego wychodzącego z obozu. Kiedy uszedł parę kroków w stronę miasta, zobaczył nagle zapłakaną matkę „Łubińskiego”.

— Panie Romanie, na miłość boską, co z „Władkiem”? Mówiono mi, że przed trzema dniami widziano go pomiędzy tymi, których gestapo zabrało od razu stąd na „Monte”...

— Nie ma obawy, bo pół godziny temu rozmawiałem z nim. Aha, prawda, między tymi wywiezionymi był jeden bardzo podobny do niego, aż z „Olgierdem” zwróciliśmy sami na to uwagę.

Po chwili Roman wracał do miasta. Nie czuł żadnego specjalnego wrażenia towarzyszącego podobno po wyjściu z aresztu. Może przyczyną tego był niepełny miesięczny pobyt w Płaszowie, a może nastawienie „Wiktora” do lagru jako do pewnego rodzaju urlopu z „roboty” i nieprzejmowanie się zamknięciem.

Odkładając na później oczyszczenie się od wszy i pcheł, wskoczył do „szóstki”, postanawiając natychmiast po powrocie z obozu zameldować się u szefa Wydziału N.

29 sierpnia 1944

Złośliwy żart Herr Doktora, że oprócz LHD także instytucja, w której pracował „Joachim”, równa się AK, był niestety spowodowany tym, czego obawiałem się zaraz, gdy usłyszałem te słowa. Szef i większość urzędników, a nawet woźny zostali aresztowani i zabrani wprost z biura w dniu 8 sierpnia. „Jęczmień” natomiast nie został złapany w obławie 6 sierpnia, zdołał się wtedy ukryć u siebie na strychu i w poniedziałek

7 sierpnia w dwie godziny po moim wyjściu z domu przyszedł na Prądnik.

Wpadłem wykonując rozkaz szefa zameldowania się u niego. Prawdopodobnie to wpadnięcie uchroniło mnie i „Jęczmienia” od aresztowania przez gestapo razem z szefem. Wnioskuje to z następujących danych. „Jęczmieniowi” w poniedziałek przed wyjściem do mnie udało się zastać szefa w domu (ja nie znałem jego prywatnego adresu). Polecił mu on, aby dla uniknięcia ewentualnej utraty całego ładunku odezw przy przenoszeniu ich we wtorek 8 sierpnia rozdzielić je na dwie części i abym ja wziął jedną część i przyniósł ją inną drogą niż „Jęczmień” o jedenastej, tak jak nakazywał poprzedni rozkaz.

Ponieważ w chwili, gdy przyszedł on na Prądnik 7 sierpnia, ja siedziałem już w Płaszowie, „Jęczmień” sam wydrukował odezwy i zmęczony całonocną pracą zaledwie zdążył dostać się do miasta 8 sierpnia o jedenastej.

Wchodząc w ulicę, na której mieści się biuro, gdzie pracował szef, spostrzegł kręcących się gestapowców, którzy właśnie zaczęli obstawiać ulicę. W pierwszej chwili myślał, że to zwykła obława, gdy nagle zobaczył z daleka prowadzonych do samochodu „Joachima” i matkę „Narciarza” wraz z kilkoma innymi pracownikami. Zanim gestapowcy doszli do końca ulicy, zdążył się cofnąć.

Gdybym nie siedział w Płaszowie, poszedłbym wtedy do szefa, a ponieważ nie mam zwyczaju spóźniać się na spotkania, przyszedłbym tam punktualnie o jedenastej lub nawet nieco wcześniej. Dwie minuty zaś po jedenastej przyjechało gestapo i zostali aresztowani wszyscy z Wydziału, w którym pracował szef. Zamiast

„urlopu” w Płaszowie znalazłbym się na Pomorskiej bez najmniejszych widoków wyjścia stamtąd, bo po zrobieniu rewizji pod moim adresem podanym w kennkarcie znaleziono by drukarnię.

Szkoda „Joachima” i tylu innych. Szef był jednym z najsumienniejszych i najlepszych przełożonych, jakich miałem. Nie wiem, czy żyje jeszcze w tej chwili.

Po wyjściu z obozu wnet zorientowałem się w sytuacji, jaka wytworzyła się przez ten czas. Dowiedziałem się (o czym słyszeliśmy już w lagrze), że w południe 7 sierpnia ukazały się w mieście afisze zawiadamiające, iż „... ponieważ wiadomo, że w mieście »Kraukau« przygotowuje się powstanie, szef SS und Polizei polecił aresztować większą liczbę mężczyzn jako zakładników...” Ponadto rozlepiono również afisze nakazujące mężczyznom i niezamężnym kobietom urodzonym w latach 1896—1930 stawiać się codziennie do budowy okopów „w celu ochrony Europy przed zalewem bolszewickiego barbarzyństwa..., uchylający się zaś od tego zostaną ukarani wedle prawa”.

Od powrotu z Płaszowa siedzę bez przerwy w domu, bo przecież nie będę budował okopów dla wroga. Przez resztę dnia po wyjściu z lagru spacerowałem po mieście, zawiadamiając rodziny i znajomych osób siedzących jeszcze w obozie, a wieczorem wstąpiłem do pani Orlińskiej, gdzie zastałem już „Łubińskiego”. Został zwolniony w pół godziny po mnie. Może i „Olgierd” wyjdzie...

Na drugi dzień, znowu starannie unikając patroli (było ich trochę mniej), wróciłem do domu witany owaacyjnie przez gospodarza i sąsiadów. Zwolnienie z obozu zawdzięczam interwencji z mojego poprzedniego miejsca pracy, dokąd zwróciła się moja matka, gdy dowiedziała się, że jestem w Płaszowie. W tajemnicy przed

przełożonym Niemcem dopisano mnie na listę przygotowaną dla Herr Doktora i w ten sposób zostałem przez niego wywołany. Moje nazwisko wpisano już po podpisaniu listy przez Szwabę. Jestem pełen uznania dla polskich pracowników. Nawet nie trzeba ich było o to długo prosić. Porządni ludzie i nie chcieli nawet słyszeć o żadnym rewanzu.

W chwilę po moim powrocie do domu nadszedł „Jęczmień”, który już swobodnie może poruszać się po całym mieście, gdyż Niemcy zwalniają od budowy okopów inwalidów lub chorych na płuca, przybijając na ich kennkartach odpowiednie pieczętki. Oczywiście dla naszych „gości” otrzymanie takiego zwolnienia nie jest trudne. Nowy zwierzchnik „Jęczmienia” (miał on sakramenckie szczęście, bo wyszedł od „Joachima” 8 sierpnia za pięć jedenasta!) nawet ma taką pieczętkę i szybko „zwolnił” go od okopów.

Warto by było postarać się o nowe dokumenty, bo na razie jestem właściwie całkiem „goły” i nie mogę się ruszać z domu. Specjalnie nie przeszkadza mi to, bo w związku ze strasznym bałaganem, jaki zapanował w Krakowie od chwili rozpoczęcia się okopów, cała robota stoi. Nie wychodzą gazetki i nie wiadomo nawet, co w Warszawie.

Nowy przełożony „Jęczmienia” po naradzie z nim postanowił zrealizować rozkaz „Joachima” z 5 sierpnia, tj. przewieźć „bostonkę” do jednej z melin w mieście. Podobno „góra” zamierza użyć jej do dalszej „roboty”, a ode mnie jest za daleko do miasta. Jeżeli to dojdzie do skutku, będę znów mógł wziąć udział w „mokrej robocie” i z góry się na to cieszyć. Bez tego zaczyna się porządnie przykrzyć, a cały świat wygląda wcale niezachęcająco.

Obywatele Rzeczypospolitej!

Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz wtargnął w granice Państwa Polskiego i rozpoczął działania zaczepne, nie wypowiadając uprzednio wojny.

W tej chwili dziejowej zwracam się do wszystkich obywateli Państwa w głębokim przekonaniu, że cały naród w obronie swojej wolności, niepodległości, honoru skupi się dokoła Wodza Naczelnego i Sił Zbrojnych oraz da godną odpowiedź napastnikowi, jak to już nieraz się działo na przestrzeni historii stosunków polsko-niemieckich.

Cały naród w walce o swoją świętą i słuszną sprawę zjednoczony z armią pójdzie ramię przy ramieniu do boju i zupełnego zwycięstwa.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Minęło już pięć lat od chwili, gdy przeczytałem na afiszu w południe 1 września 1939 te słowa, ale pamiętam je tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Nie wiem tylko, czy ktokolwiek wówczas przypuszczał, że po pięciu latach słowa te jeszcze będą aktualne, choć zmienił się i Wódz Naczelny, i Prezydent, a tylko armia pozostała w walce wraz z narodem. Walka nie zakończyła się jeszcze, choć chwila klęski III Rzeszy jest już kwestią najwyżej roku, jeżeli nie kilku miesięcy. Czekałimy na ten moment tak długo, że dziś myślę o nim bez specjalnych wrażeń: jest to coś, co na pewno będzie, ale trudno myśleć o tym naprzód.

Myślę raczej o najbliższej przyszłości: o „robocie”, która wkrótce powinna znowu ruszyć z miejsca. Wczoraj po południu „bostonka” została zabrana ode mnie przez przybyłego autem ciężarowym „Jęczmienia”. Wspólnymi siłami załadowaliśmy na nie drukarnię. Cała historia z autem została zainscenizowana w pomysłowy sposób. Ponieważ właściciel auta (jak mówił „Jęcz-

mień”) jest „nasz”, a szofer i jego pomocnik — nie wiadomo, zrobiono to w ten sposób, że „Jęczmień” zaczął najpierw targować się z szoferem. Na ten moment nadszedł umówiony uprzednio właściciel auta, który polecił szoferowi przyjąć ofertę przewiezienia „kilku worków”. Podczas ładowania na auto części „bostonki” szofer mrugnął do mnie i spytał, czy tam w tych workach są rozpylacze, czy tylko zwykłe spluwy? Dopiero dotknąwszy worka, przekonał się, że to całkiem „niewinne” kawałki żelaza...

Czekając na auto, spacerowałem przed domem i obserwowałem widoczną dobrze główną szosę. Nagle zauważyłem na niej „budę” z ul. Franciszkańskiej (jak zwykle z karabinem maszynowym) i choć dookoła było niemal pusto, obława trwała w najlepsze. O ile wiem, na ulicach nadal Niemcy legitymują mężczyzn niewiele mniej niż szóstego. Jeżeli ktoś nie ma zwolnienia z okopów, zostaje natychmiast zatrzymany i zamknięty już nie w Płaszowie, lecz na „Monte”.

Siedzę więc nadal w domu i klnę ten przymusowy areszt. Oczywiście, na „robotę” z maszynami mógłbym iść, bo wtedy nie trzeba brać ze sobą dokumentów. Na razie, niestety, jeszcze nie zanoszą na to, ale może wkrótce coś się ruszy. Może już niedługo będę przebywał w „areszcie domowym”. Jeżeli pewna rzecz dojdzie do skutku, będę miał dość „mocne” dokumenty i zwolnienie z okopów, ale nie na kennkarcie (jakoś nie mam zaufania do tych zwolnień, bo oprócz pieczętki zwierzchnika „Jęczmienia” może być ich więcej i Niemcy mogą w końcu wszystkiego się domyślić), tylko osobny tzw. Freistellungschein², wydany przez szefa SS. Co zaś naj-

² Dowód zwolnienia.

ważniejsze — że zarówno legitymacja z Ernährung und Landwirtschaft (znów jadę na tym samym koniku!) i Freistellungschein będą całkiem niemal kryte.

8 września 1944

Sprawa moich dokumentów ruszyła wczoraj z miejsca. Jeżeli dobrze pójdzie, za 4—5 dni będę mógł już swobodnie chodzić po mieście, nie musząc kopać okopów. Trzeba jeszcze poczekać tylko na pewnego jego mościa, który wyjechał służbowo na kilka dni. Będę oficjalnie zatwierdzony z „góry” w sekcji „Władka”, a wtedy jedziemy na całego!

Podziękowałem „Jęczmieniowi” za jego propozycję zrobienia mi pieczątki na kennkarcie. Według naszej orientacji takich zwolnień jest coraz więcej. Jak wszystko w GG, tak i to ma już swoją cenę w „handlu”; kosztuje mianowicie około dwa tysiące wypłacone komuś mającemu stosunki z Polizeidirektion³ na ul. Kapucyńskiej. Wtedy dostaje się zwolnienie na stałe. Czasowe zaś, na miesiąc lub dwa, kosztują naturalnie znacznie taniej.

Dni są równie pogodne jak we wrześniu 1939 roku. Od początku sierpnia deszcz padał zaledwie parę razy, a poza tym stale niemal tropikalne upały. Dobrze, że w domu przynajmniej jest chłodno. Sprawy „roboty” na razie wciąż stoją. Dziś odwiedził mnie „Łubiński”, który tak samo jak i ja klnie na przymusową beczynność. „Władek” jednak jest w nieco lepszym położeniu ode mnie, bo jego „góra” nie wpadła tak jak moja (przez aresztowanie w Płaszowie zerwał mu się tylko kontakt, ale właśnie stara się go nawiązać i jest niemal pewny, że się to uda), a oprócz tego może już chodzić

³ Dyrekcja policji.

po mieście, wykombinowawszy zwolnienie od okopów na kennkarcie.

Zastanawialiśmy się obaj, co robić dalej. Jeżeliby nie udało się nawiązać łączności z „górami” „Władka”, pozostawałby „las”, ale (jak słyszał „Łubiński” od znajomego jegomościa) oddziały AK w terenie, nie wiadomo dlaczego, są w większej części demobilizowane, a ludzie zaopatrują się w lewe dokumenty i melinują w miastach. Ciekawe! Zresztą do „lasu” nie przyjęliby nas bez rozkazu „góry”, której dopiero „Władek” poszukuje.

Ba, gdyby Wydział N, do którego zostałem przydzielony w sierpniu 1943 roku, nie został rozbity, dawno już nie traciłbym czasu. Pozostał wprawdzie „Jęczmień” i jego przełożony, ale mają już drugiego zawodowego zecera do pomocy. Przez „Jęczmienia” dowiedziałem się od jego zwierzchnika, że więcej „roboty” na razie nie ma i wraz z pozostałymi ludźmi z patrolu propagandy mogę wejść w skład innej jednostki, jeżeli mam inny kontakt. Jestem z tego zadowolony, bo z „Władkiem” było i będzie na pewno coś lepszego niż gazetki. Nie pozostaje zatem nic innego, jak czekać aż „Władkowi” uda się nawiązać łączność z „górami”. Tylko, że to ciągle wyczekiwanie, nieodłączne w organizacji, gniewa i drażni zarazem.

Nie wiemy w ogóle, co się dzieje na frontach. Nie mając jeszcze dokumentów, całymi dniami siedzę samotnie w domu (matka wraca z pracy dopiero wieczorem) i rozczytuję się w przygodach inspektora Bernarda Żbika, które to książki pożyczam od sąsiada. Dziś jednak znalazłem ciekawszą lekturę. Przewracając książki, leżące w dużej ilości na strychu od czasu pozbawienia nas mieszkania w mieście w roku 1941, natknąłem się na poźółkły egzemplarz I tomu *Kapitału* Karola Marksa,

który został wydany w roku 1900. Mimo zniszczenia jest jeszcze dobrze czytelny i wertuję go teraz na wszystkie strony.

Dziś odwiedził mnie „Jęczmień”, który obecnie przygotowuje się do wydania nowej gazetki pt. „Codzienne Wiadomości Krakowskie” (oczywiście będzie ona miała znak prasy wojskowej). Zainstalował już razem ze swoim pomocnikiem „bostonkę” na melinie w śródmieściu, a z „góry” dostali aparat radiowy.

Opowiadał, że wczoraj słuchał komunikatów z Londynu, a nawet udało im się, wprawdzie tylko przez chwilę, usłyszeć radiostację Armii Krajowej z Warszawy⁴. Mimo optymizmu, jakim nacechowany był ten ostatni komunikat, można poznać, że sprawy nie stoją dobrze. Duża część miasta leży w gruzach pod nieustannym ostrzałem artyleryjskim i bombardowaniem z powietrza. Niemcy masakrują, jak to jest ich zwyczajem, przede wszystkim ludność cywilną, której zginęło już kilkanaście tysięcy, a ponadto Szwabom udało się odeprzeć kilka ataków rosyjskich i polskich gen. Berlinga na wschód od Pragi i nad środkową Wisłą, skutkiem czego Rosjanie nadal nie posuwają się naprzód⁵. Za to na froncie zachodnim działania rozwijają się pomyślnie. Na terenie Belgii i wschodniej Francji trwają zacięte walki, w których Alianci wypierają Niemców i zbliżają

⁴ Radiostacja powstańcza — „Błyskawica” działająca do samego końca Powstania.

⁵ Po kilkutygodniowej przerwie rozpoczęło się w dniu 10 września natarcie wojsk radzieckich na Pragę. Uczestniczyła w nim także I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. W nocy z 15 na 16 września inne jednostki I Armii WP podjęły pierwszą próbę desantu na Czerniaków. Ani ta, ani późniejsze akcje desantowe wojsk polskich, niezwykle krwawe, nie zdołały zapobiec katastrofie Powstania.

się coraz bardziej do Linii Zygfryda. Jak zawsze, wielką odwagą i walecznością odznaczają się wojska polskie, a zwłaszcza I Dywizja Pancerna gen. Maczka, która wyładowała pod Caen w czerwcu i bierze nieprzerwany udział w walkach⁶.

W Rumunii jeszcze 23 sierpnia wybuchła rewolucja⁷, a wojska rosyjskie zajęły już większą część Niziny Nadunajskiej i zbliżają się do Jugosławii, która w dużej mierze jest opanowana przez wojska partyzanckie gen. Broz-Tity.

Gdyby nie ciężkie położenie Warszawy, sytuacja wojskowa byłaby dla nas bardzo pomyślna. („Ludność Warszawy ze zrozumiałym rozgoryczeniem przyjęła fakt, że Paryż został oswobodzony od Niemców w ciągu 4 dni walk i otrzymał natychmiastowe dostawy żywności”).

Nareszcie widać, jak stale zmniejsza się obszar „Festung Europa”⁸. Jeżeli tak dalej pójdzie, to najpóźniej za rok powinno już być po wojnie. Czy się tego doczekamy?...

Roman skręcił w boczną ulicę przed nadchodzącym patrolem policyjnym i nadłożywszy drogi zadzwonił do mieszkania „Łubińskiego”.

— Serwus, „Wiktor”! Jak widzę, zwolniono cię już z domowego aresztu?

⁶ Dywizja przerzucana była na teren Francji w rejonie Caen w dniach od 29 lipca do 4 sierpnia 1944 roku. W kilka dni później wzięła udział w bitwie pod Falaise, w której przypało jej ważne zadanie zamknięcia odwrotu wycofującym się jednostkom pancernym nieprzyjaciela.

⁷ Kierowała nią Komunistyczna Partia Rumunii. Obalono rząd faszystowskiego dyktatora, marszałka Antonescu, i ogłoszono wiadomość o wycofaniu się Rumunii z wojny.

⁸ Twierdza Europy.

— Jak widzisz, stary. Mam już dokumenty.

— W porządku. Właśnie dziś wieczorem miałem się wybrać do ciebie, bo od wczoraj mam już kontakt z „górami”.

— Brawo! Gratuluję tobie i sobie!

W miarę trwania rozmowy Roman czuł wzrastające zadowolenie. Po przeszło miesięcznej beczynności, spowodowanej pozrywaniem kontaktów na skutek wypadków sierpniowych, Dowództwo opanowało już sytuację w Krakowie. Rozpoczynała się reorganizacja jednostek liniowych i służb i pojawiała się coraz częściej podziemna prasa. „Łubiński” polecił „Wiktorowi” zebrać wszystkich szeregowych z byłego patrolu propagandy Wydziału N. Powyższy rozkaz nowej „góry” nie mógł być jednak w całości wykonany, gdyż kontakt z „Ziemniakiem” i „Drażem” uległ zerwaniu skutkiem aresztowania Zawady. Pozostali jedynie „Jim” i „Kanner”, których może uda się znaleźć.

Po zastanowieniu się nad możliwościami zorganizowania nowej sekcji pod dowództwem „Łubińskiego” i ustaleniu jej składu obaj naradzający przeszli do rzeczy najważniejszej dla żołnierza.

— Jaki jest stan broni u was?

— Zły — odpowiedział „Wiktor” — ostatnio mieliśmy wprowadzić na pięciu trzy maszyny, ale do dwóch z nich mamy tylko po trzy naboje, a moja „siódemka” mausera wpadła 8 sierpnia, wtedy jak była wsypa mojej „góry”. Poza tym jest jeszcze gorzej, bo te dwie pozostałe maszyny to hiszpańskie astra, krótkie „dziewiątki”, a wiesz, że do nich cholernie trudno o amunicję.

— Rzeczywiście nienadzwyczajnie — mruknął „Łubiński” i bystro spojrzął na Zawadę, który nawzajem

mu się przyglądał. Nim „Władek” otworzył usta, chłopiec był niemal pewny tego, co usłyszy.

— Z całą przyjemnością zakomunikuję ci, stary, najciekawszą część rozkazu reorganizacyjnego naszej akcji, jaki dostałem wczoraj. Jest to polecenie uzupełnienia broni palnej dla nas wszystkich. Może się to odbyć przez kupno lub... jak myślisz?

Roman miał ochotę uściskać przyjaciela, usłyszawszy te słowa. W oczach „Łubińskiego” zjawiał się ów dawno nie dostrzegany wyraz, nieodłączny u niego w czasie przygotowywania akcji bojowej. Hurra! Pogratulowawszy sobie nawzajem rozkazu, szybko przechodzą do narady nad jego wykonaniem. Bardzo korzystny jest fakt, że od sierpnia ze względu na przybliżenie się frontu w Krakowie nawet na głównych ulicach nie świecą się lampy. W dodatku wieczory już na długo przed godziną policyjną są niemal atramentowo czarne, a pełnia księżycyca będzie dopiero za dwa tygodnie.

Trzykrotny dzwonek do drzwi przerywa na chwilę rozmowę. Do pokoju wchodzi jeden z dawnych podkomendnych „Władka”, znany Romanowi z widzenia.

— Właśnie miałem się z tobą skontaktować — zwraca się do niego „Łubiński” — nareszcie skończył się nasz przymusowy „urlop”.

Narada już w trójkę toczy się dalej. Przybyły zaciera z zadowoleniem ręce, otrzymawszy polecenie wydobycia dwóch ukrytych rewolwerów. Na starych żołnierzy (choć młodych jeszcze wiekiem) bardzo przyjemnie działają dwa krótkie słowa:

— Będzie „robota”!!!

Rozdział XXVIII

Zapadł już głęboki zmrok, gdy trzech młodzieńcy, bacznie rozglądając się na wszystkie strony, ruszyli wolnym krokiem przez most Piłsudskiego w stronę Podgórza. Ruch w tej okolicy był nieco mniejszy niż na Kaźmierzu, gdyż po mieście nie rozeszła się jeszcze fala ludzi powracających „z okopów”.

Był ciepły, pogodny wieczór wrześnieowy. Słońce zaszło już przed dwoma godzinami i z każdą chwilą gęstniała ciemność, nie rozjaśniana nigdzie ani światłem księżyca, ani lampami ulicznymi. Tylko na ciemnognatowym tle nieba gęsto i wyraźnie odbijały gwiazdy z charakterystycznym kształtem Wielkiej Niedźwiedzicy u dołu horyzontu. Gdyby nie położenie, w jakim się znajdowali, wymagające stałej obserwacji terenu dookoła, można by, zamiast ścisnąć spotniałymi dłońmi kolby rewolwerów, obserwować mrugające gwiazdy, równie obojętnie patrzące przed wiekami na najazd Attyli na Europę, jak i dziś na II wojnę światową.

Skręcili w plac Serkowskiego. Na ogół dość pusto i może właśnie dlatego napięcie nerwów poczyna powoli maleć. Idący z prawej strony młodzieniec westchnął zaledwie dosłyszalnie.

— Nie wiadomo, czy coś z tego będzie.

— No i cóż — mruknął środkowy — jutro nie mam

czasu, ale za to pojutrze możemy znów się przejść wieczorem.

Szatyn wpatruje się w ciemność, usiłując wyczuć nadchodzących. Ukradkiem spojrzął za siebie. Wobec chodzących od lipca również wojskowych patroli trzeba dziś uważać więcej niż przed rokiem. Na głowie spoczywa jedna trzecia część odpowiedzialności za kolegów.

Przyspieszyli nieco kroku. Mijają chwile. Jakiś przechodzień obojętnie przesuwają się obok trójki chłopców, nie przypuszczając oczywiście, że cicha obecnie ulica może za chwilę rozbrzmieć ostrymi trzaskami strzałów. Z pobliskiej ul. Kalwaryjskiej dobiega wyraźnie turkot jadącego tramwaju.

— Psiakrew, pusto jak u mnie w kieszeni — myśli szatyn, czując tak jak i koledzy lekki zawód.

Nagle zmysły wszystkich trzech zaostrzają się. Z odległości kilkunastu metrów przed sobą dosłyszeli charakterystyczny stukot butów po bruku. — Wiwat! — pojedynczy!

Przyspieszyli kroku. Oswojone z ciemnością oczy bystro patrzą przed siebie. Nie ulega wątpliwości, to jakiś policaj niemiecki. Zdaje się, że coś z tego będzie. Poprzednie zniechęcenie pierzcha bez śladu. Rozgrzane dłonie błędzą po kieszeniach i uspokajają się, czując chłodną stal i chropowaty bakelit.

Policjant, nie przeczuwający zamiarów trzech przechodniów, skręca w stronę Borku Fałęckiego. Idą za nim, starając się nie zwrócić jego uwagi. Przejeżdża tramwaj. Podniecenie zaczyna wzrastać.

— Gdyby tak teraz jakiś patrol...

— No, niewielka tragedia. Tylko że trzeba by całą historię znów zaczynać od początku...

Znów przejeżdża tramwaj, rzucając skąpe światło zza niebiesko zamalowanych szyb.

— Żeby się tylko drań nie obejrzał.

Nie obejrzał się, natomiast na przeciwległym chodniku można dostrzec dwóch przechodniów w mundurach.

— E, to tylko żołnierze. Słuchajcie, wiara, gdzie się do niego dorwiemy? — spytał któryś z kolegów.

— Zaraz, zaraz, zobaczymy najpierw, gdzie on idzie. Najlepiej byłoby, żeby skręcił gdzieś na Krzemionki albo na Dębniki, tylko że tam znów te koszary na Czackiego.

Odległość między policjantem a młodzieńcami na przemian zwiększała się i zmniejszała. Zbliżyli się do końca Kalwaryjskiej. Przejechały dwa auta z przyćmionymi reflektorami. Zamiotło kurzem z ulicy. Dookoła zaczyna się zaledwie dostrzegalny ruch.

— Oho, wracają „z okopów”. Byle tylko nie za dużo.

Trzeci kolega, niski blondyn, jest lekko podniecony. Szatyn pomimo ciemności spostrzega, jak silnie zaciska zęby. Sam również odczuwa ów nastrój towarzyszący akcji. Najspokojniejszy z całej trójki jest najwyższy młodzieniec, mimo że lekko drżą mu dłonie. Ale to nawet w najspokojniejszych chwilach. Do licha, grunt to opanowanie. I największa sztuka, aby opanować się samemu, nie używając wody przed „robotą”. Co do tego wszyscy trzej mamy jednakowe zdanie.

W miejscu połączenia się ul. Konopnickiej z Kalwaryjską stoi kilka ciemnych i milczących karuzeli. W lecie zostały one przeniesione tu z rogu ul. Długosza i Krasickiego, a przed z górą rokiem były tam niemyymi świadkami dwóch epizodów walki Polski Podziemnej.

Z drugiej strony autostrady (ul. Konopnickiej) znajduje się parkan dawnego zakładu kąpielowego, za którym szumi cicho kilka drzew. Po przeciwnej stronie ul. Kalwaryjskiej jest droga — będąca dalszym, nie wykończonym jeszcze ciągiem autostrady — wiodąca na Krzemionki, a na wprost, w kierunku, w którym zdążają szyny tramwajowe wiodące szosą zakopiańską, znajduje się odgałęzienie bocznej ul. Rydlówki, prowadzącej do Szkoły Rzemiosł w al. Skrzyneckiego.

— Dokąd on pójdzie? — zastanawiają się chłopcy. — Aha, pewno idzie do tej szkoły, gdzie poprzednio kwaterował Wehrmacht, a teraz 93 Feldpolizei-Batalion¹.

Szybko porozumieli się ze sobą szeptem. W promieniu kilkudziesięciu metrów nie słychać żadnych przechodniów. Znowu przez ul. Kalwaryjską przejechały trzy auta. Ręce mocniej ściskają broń.

— W razie odwrotu ty z twoją „czternastką” idź ostatni. Odwrót — na łąkę, a potem przez mostek na Wildze. W razie rozdzielenia się spotkanie tam, gdzie ostatnim razem. Naprzód!

Policjant ogłądnał się odruchowo w tył, posłyszawszy kroki nadchodzących. Zanim zdążył uczynić jakikolwiek ruch ręką, z trzech stron zamajaczyły w ciemności lufy pistoletów.

— Hände hoch! Eine Bewegung, werden Sie tot² (Gdzież to tak samo było?... Aha, w pamiętnikach Bronka!) — rzucił półgłosem szatyn.

Zaskoczony Niemiec uniósł ręce w górę.

— Ostrożnie. Odprowadzić na bok i dopiero.

Z daleka słychać czyjeś kroki. Mogą to być zwykli

¹ 93 Batalion Policji Polowej.

² Ręce do góry! Jeden ruch, a nie będziesz żył!

przechodnie, ale równie dobrze mogą być żołnierze lub policja. Niemiec trzyma wciąż ręce w górze.

— Jazda!

Jeden szybki ruch i czerniejący przy lewym boku policjanta futerał jest rozpięty (nawet nie trzeba było użyć przygotowanej wcześniej żyletki). Hurra, parabelum nasze! Teraz magazynek, lecz nagle...

— Uwaga! Kończyć szybciej.

Na autostradzie błysnęło szybko zbliżające się zielone światło samochodu.

— Cholera, Wehrmachtstreifa!³

W tej chwili sterroryzowany Niemiec, rozzuchwalony bliskością ewentualnej pomocy, szybko opuścił ręce i sprężył się jak pantera do skoku, wyraźnie widoczny w zielonym, rosnącym blasku. Palec wskazujący wyznaczonego uprzednio i czuwającego nad całością polskiego żołnierza spokojnie nacisnął trzymany na drugim opozrze spust.

Huknął strzał odbity wielokrotnym echem. Policjant niemiecki zachwiał się. Zielone światło znajduje się już w odległości dwudziestu kilku metrów, gdy koledzy paroma skokami usunęli się z pola widzenia nadjeżdżających.

Trafiony w nogę z „siódemki” Niemiec ciężko usiadł na bruku. Samochód zatrzymał się ze zgrzytem hamulców i mrok zaczął rozbłyskiwać czerwonopomarańczowymi ognikami. Ostry trzask strzałów zlewa się z chrzęstem padających na kamienie łusek. W uszach świszcz wiatr. Nogi same niosą, instynktownie wymijając za ledwie widoczne bruzdy i kamienie. Świszczą także kule patrolu wojskowego, kierujące się jednak bardziej

³ Patrol wojskowy.

w bok. Z gotową do strzału bronią chłopcy biegną w stronę Ludwinowa. Wreszcie zatrzymują się za Wilgą, pozostawiając daleko za sobą ul. Konopnickiej. Odpocząwszy krótką chwilę, wolnym już krokiem idą w stronę miasta.

Nawet świst kul jest miłą dla ucha muzyką, gdy się go słyszy wraz z kolegami i gdy zadanie zostało wykonane. Chłopcy ściskają sobie silnie dłonie. Szatyn mocno zacisnął rękę na kolbie nowo zdobytego dla Organizacji parabellum.

16 września 1944

W ten sposób nasz stan posiadanej broni powiększył się o dawne moje marzenie — parabellum. Na drugi dzień po „robocie” dowiedziałem się od „Władka”, że pistolet pozostanie moją własnością, z czego bardzo się ucieszyłem. Na razie dałem go „Władkowi” do przechowania w magazynie razem z innymi maszynami, bo u siebie nie chcę go trzymać z dwóch względów: Po pierwsze, od sierpnia we wszystkich domach naokoło i w moim, u gospodarza, kwaterują żołnierze niemieccy, w związku z czym część Polaków nawet usunięto z mieszkań (jak zapewniają żołnierze, tylko na dwa tygodnie). Liczba kwaterujących stale wzrasta, tak że może i moje mieszkanie to spotkać. Po drugie, ode mnie do tramwaju jest około 3 kilometrów, do śródmieścia zaś prawie 5. Wobec wielkiej liczby patroli, jaka chodzi obecnie, przebywanie tego dystansu z bronią na ewentualną „robotę” (myślę, że jeszcze nieraz „przespacerujemy się” wieczorem) byłoby zupełnie niepotrzebnym ryzykiem.

Chyba pierwszy raz od roku nie obawiam się nie-

spodziewanej rewizji w mieszkaniu. Poza tym jest o wiele lepiej (wolałbym, aby było po dawnemu „gorzej”), że obecnie nie jestem już zagrożony żadną wyspą. Z ludzi narażonych na wpadnięcie pozostali już tylko „Jęczmień” i „Władek”, których znam i którzy znają mój adres i nazwisko. Pozostali dwaj znający mnie, tj. „Jim” i „Kanner”, nie obawiają się aresztowania, nie mając obecnie nawet niczego niebezpiecznego w domu i nie narażając się przy akcjach, które ongiś przeprowadziliśmy w Wydziale N. (Od „Kannera” zabrałem obydwie astry, „Łubiński” wzbogacił nimi nasz magazyn, ma nawet nadzieję, że uda mu się do nich wykombinować amunicję.)

Czujemy wszyscy przyływ optymizmu: sytuacja wojenna w Polsce w ostatnich dniach poprawiła się. Kilka dni temu lokalne uderzenie nad środkową Wisłą doprowadziło do tego, że — jak donosiła prasa podziemna — „wojska sowieckie przy pomocy wojsk polskich, sformowanych na Wschodzie, zaciętym szturmem w dniach 13 i 14 września 1944 zajęły Pragę wraz z całą niemal prawobrzeżną częścią Warszawy. W rejonie Czerniakowa i Śródmieścia utworzone zostały przyczółki na lewym brzegu Wisły przez żołnierzy z Dywizji im. Tadeusza Kościuszki⁴. Także pod Warką ponowiono dalsze ataki na pozycje niemieckie”.

Powstanie warszawskie trzyma się nadal, wbrew temu, co już dwukrotnie ogłaszała propaganda niemiecka, a mianowicie, że zostało ono całkowicie stłumione z końcem sierpnia. Ostatnio walczący dostali nowe zrzućy ze startujących z baz włoskich samolotów polskich i angielskich, a także od Rosjan i wojsk polskich gen. Ber-

⁴ W forsowaniu Wisły brały udział jednostki III Dywizji im. Romualda Traugutta. Patrz rozdz. XXVII, przyp. 5.

linga. Walczą nadal, odpierając zwycięsko nieustanne ataki niemieckie. Głównym terenem walk są: Śródmieście i Żolibórz, gdyż Stare Miasto zostało zdobyte przez Niemców 2 września. Do Śródmieścia przedostało się około dwadzieścia procent naszych żołnierzy. Byle tylko wytrzymali do czasu, aż Rosjanie otoczą całą Warszawę! Niemcy skoncentrowali tam bardzo duże siły i walki są bardzo ciężkie.

Złość nas bierze, gdy uprzytamniamy sobie, że walki AK trwają tylko w Warszawie, jeżeli nie liczyć zwykłej działalności oddziałów leśnych. (Dlaczego jednak niektóre z nich są ostatnio likwidowane przez „góre”?) Różne nasze „wyczyny”, choć dokonywane dziś w trudniejszych warunkach niż przed sierpniem, znacznie jakby zmalały wobec wielkich walk w Warszawie.

Do licha, gdybyśmy z „Władkiem” choć przez sekundę przypuszczali, że zamiast na pozycjach znajdziemy się „za drutami”, prawdopodobnie już z końcem lipca nawalilibyśmy do Warszawy.

No, ale jednak co się odwlecze, to nie uciecze. Niech no tylko Rosjanie ruszą naprzód na całym froncie, niechybnie wtedy weźmiemy się do Szwabów. Polecenie zdobywania broni, a ostatnio nowy rozkaz „góry” o dalszym powiększaniu liczby przygotowywanych w lipcu tzw. koktajli Mołotowa (nazwa wzięta stąd, że od dawna używają ich sowieccy partyzanci na Wschodzie) pozwala wnioskować, że może to już niedługo...

Razem z „Łubińskim” wnet zabierzemy się do wykonania tego rozkazu. Przepis na „koktajl” Mołotowa (nauczyliśmy się go jeszcze na wiosnę ze skryptu nauki dywersji) jest bardzo prosty. Jest to butelka z benzyną o domieszce 10-procentowego kwasu siarkowego, możliwie czystego, dobrze zalakowana i oklejona z ze-

wnątrz papierem, pod którym znajduje się chloran potasu zmieszany z mialkim cukrem albo dekstryną. W chwili rozbicia butelki kwas siarkowy, działając na chloran potasu i substancję organiczną zawierającą węgiel, powoduje zapalenie się benzyny. Takie butelki doskonale zdają egzamin przy zwalczaniu niemieckich czołgów w Warszawie.

26 września 1944

Dwa dni temu po południu siedziałem w domu próbując zrozumieć szereg spraw poruszonych w wertowanym właśnie *Kapitale* (w czym dużo pomaga mi znajomość geografii gospodarczej, nabyta przed czterema laty w Fachschule), gdy nagle zabrzmiał dzwonek i zjawił się ociekający deszczem „Łubiński”. Otrzymałem polecenie przyprowadzenia na jedną z nowo zyskanych przez „Władka” melin, na dziś po południu, „Jima” i „Kannera”.

Po odejściu przełożonego zabrałem się do czytania prasy, którą mi zostawił z poleceniem oddania jej na odprawie. Między innymi gazetkami zauważyłem „Codzienne Wiadomości Krakowskie”⁵ z... jutrzejszą datą. Czyżby „Władek” poza tym zajmował się również pomaganiem „Jęczmieniowi”? O ile wiem, nie znają się ze sobą.

W gazetkach nie było specjalnie nic nowego. W ostatnich dniach wzmożyły się walki pod Arnheim (znów odznaczyły się tam nasze oddziały)⁶, a wojna za-

⁵ Dziennik wydawany przez AK w Krakowie w latach 1943—1944. W *Centralnym katalogu polskiej prasy konspiracyjnej 1939—1945* (opr. L. Dobroszycki), Warszawa 1962, figuruje tytuł „Krakowskie Wiadomości Codzienne”.

⁶ Wielka operacja desantowa przeprowadzona w dniach od

czyna się już toczyć na terytorium III Rzeszy, w jej północno-zachodniej części. „Nareszcie Niemcy poczynają na własnej skórze odczuwać wojnę u siebie w kraju, gdyż dotychczas byli tylko atakowani z powietrza. Na zajętych częściach terytorium niemieckiego zaprowadzono surowe przepisy okupacyjne, które — choć bez porównania łagodniejsze niż w GG lub Francji — dotkliwie uprzytamniają Niemcom, że wojnę przegrali. Ludność chętnie wydaje w ręce Military Police ⁷ hitlerowców i członków SS, którym nie udało się uciec przed Aliantami...” Nareszcie! Nareszcie Szwaby zaczynają porządnie dostawać w skórę, a powolni Anglicy i Amerykanie ruszyli się. Ale mógłbym się założyć, że Rosjanie prędzej dojdą do Berlina niż oni.

Wczoraj zawiadomiłem „Jima” i „Kannera” (z początkiem września wrócił on z „wakacji” do Krakowa), który przyszedł dziś przed umówioną godziną. Spacerowaliśmy w pobliżu meliny, wspominając niedawne, a tak już odległe czasy „enu”. Brakło między nami „Ziemniaka” i „Drağa” (czy zobaczymy ich kiedy bodaj przypadkiem?), a dawny nasz dowódca, odcięty linią frontu, nic nie wie o swej matce ani o „Joachimie”.

„Łubiński” przyszedł wraz z „Grudą”, który jest teraz naszym dowódcą drużyny. Spóźnili się trochę, omijając krążące gęsto patrole. „Władek” niósł trzy maszy-

17 do 26 września 1944 roku, której celem było uchwycenie przepraw na Mozie i obu korytach Renu (w pobliżu granicy niemiecko-holenderskiej), uczestniczyła w niej również polska Samodzielna Brygada Spadochronowa (gen. S. Sosabowski). Operacja ta, która przyniosła jedynie ograniczone rezultaty, była bardzo krwawa. Duże straty ponieśli Polacy.

⁷ Amerykańska żandarmeria wojskowa.

ny różnych systemów i nowo wykombinowanego dziś za śmiesznie niską cenę amerykańskiego colta (bębenkowiec o kalibrze 320 setnych cala, tj. 8,33 mm). Kupił go od znajomego 13-letniego smyka, który z kolei świsnął ten rewolwer jakiemuś Ukraincowi w tramwaju. Zaiste, bardzo obiecujący młodzieniec.

Nasza nowa melina — to zajęte przez pewnego jegomościa mieszkanie, opuszczone przez Niemców w czasie lipcowego popłochu, a mieszczące się w „niemieckiej dzielnicy”, gdzie od tego czasu opustoszało dość dużo mieszkań. Po wejściu do meliny mieliśmy chwilę czasu, gdyż „Gruda” i „Łubiński” rozmawiali z kimś w drugim pokoju. Korzystając z tego, pokazałem kolegom zabawę w Sherlocka Holmesa. Obserwując uważnie podłogę i meble pokryte gdzieniegdzie warstwą kurzu, niedopałki papierosów i inne szczegóły, starałem się odtworzyć na ich podstawie dane o właścicielu mieszkania, co mi się nawet udało. Znający bliżej meliniarza „Władek” potwierdził moje przypuszczenia. „Jim” żartował, mówiąc, że może kiedyś zobaczy mnie w charakterze co najmniej inspektora powojennej policji.

„Łubiński” przedstawił nam dwu nowo przybyłych: „Sępa” i „Bociana”, po czym pod baczным okiem dowódcy drużyny przystąpiliśmy do nauki o broni.

O włos nie zdarzyła się rzecz mogąca mieć dla nas fatalne następstwa. Jak już wspomniałem, melina mieści się w „niemieckiej” kamienicy. Idąc po schodach, zauważyliśmy czterech esesmanów wchodzących do mieszkania piętro wyżej. Nadało to całej odprawie pikantnego posmaku: my o parę metrów pod tymi, którzy dużo by dali, aby nas dostać w swe ręce. Ba, ilu mieli już w swoich rękach w Płaszowie i nie orientowali się, kogo mają!

W pewnej chwili „Łubiński” począł uważnie oglądać colta, którego miał dopiero od godziny. Będąc przyzwyczajony do zabezpieczania broni opuszczonym kurkiem (tak jak przy swoim visie wz. 35), od niechcenia naciśnął lekko spust bębenkowca. Oczywiście spowodowało to cofnięcie się kurka do punktu zwrotnego.

Czując, jak włosy stają mi dęba, wyrwałem mu rewolwer z ręki. Czasem przyzwyczajenie do jednej broni może przy manipulowaniu bronią innego systemu spowodować mimowolny strzał. A przecież w mieszkaniu nad nami było czterech Niemców. Wprawdzie my także nie byliśmy z pustymi rękami, ale w pobliżu wszędzie same Szwaby. „Władek” zaklął głośno, po czym nawymyślał sobie od oferm rekruckich i tym podobnych.

Dokończywszy wykładu o broni, zastanawialiśmy się nad możliwościami skompletowania ze dwóch, trzech karabinów. Mając do dyspozycji już sześć rewolwerów, można byłoby zorganizować zasadzkę nawet na trzyosobowy patrol Schupo. Jest to o tyle możliwe, że rozbrojenie tamtego Szwaba, a nawet „wykończenie” z początkiem września konfidenta W. wraz z żoną na Dębniakach przez któryś z oddziałów nie pociągnęło za sobą represji w rodzaju rozstrzelania Polaków. Widocznie Niemcy mają większe zmartwienia.

„Gruda” zasadniczo zgadza się na ten plan, ale jest to jeszcze kwestia dalszej przyszłości, bo nie wiadomo, czy „góra” to zaaprobuje. Na razie ważne, że jest już broń krótka dla wszystkich, choć do colta mamy tylko sześć naboji, a Niemcy takich nie wyrabiają.

Ustaliliśmy jeszcze kontakty (pozostałem nadal tak jak dotąd z „Jimem” i „Kannerem”, „Władek” zaś wziął na siebie „Sępa”, „Bociana” i łączność z dowódcą drużyny), rozeszliśmy się, zachowując zwykłą ostrożność.

Na twarzach obu moich ludzi widziałem nie ukrywane zadowolenie, że po przerwie znów jesteśmy razem w „robocie”.

30 września 1944

Wczoraj poszedłem na spotkanie z „Jęczmieniem”, na którym miałem załatwić z nim sprawę zakupu dla nas dwóch sztuk parabellum, ale czekałem na próżno. „Jęczmień”, zwykle nie zawałający spotkań, tym razem nie przyszedł. Prawdopodobnie coś przeszkodziło mu w składaniu i nie zdążył na czas ukończyć pracy.

Mogę nareszcie choć częściowo zrewanżować się Lolkowi Burkowskiemu za gościnę udzieloną mi w styczniu, w okresie wsypy „Wulkana”. Ponieważ „Władek” zaproponował mi kiedyś, że może zrobić mi nawet parę zwolnień „z okopów”, skorzystałem z jego uprzejmości i wręczyłem mu kennkartę Lolka. Chorobowe zwolnienie „z okopów” można dostać coraz łatwiej. Mimo to uzyskanie go przez przeciętnego obywatela, nie mającego stosunków z „robotą”, jest rzeczą dość trudną.

Wczoraj spotkałem przypadkowo pewną panią, krewną mojej dawnej sympatii — Krystyny. Mimo że od marca 1943 roku upłynęło sporo czasu — przynajmniej według mojej rachuby co najmniej 10 lat — miło wspominam niekiedy tę znajomość. Owa pani po chwili rozmowy spytała mnie, czy nie mam jakiego znajomego policjanta (tego by jeszcze brakowało), bo gdy się ma takie znajomości, można dostać zwolnienie „z okopów”. Chętnie zapłaciłaby dobrze za to, bo Krysi okopy dały się już we znaki.

Gdybym chciał, byłaby okazja do ponownego zbliżenia się z dziewczyną, bo otrzymanie za darmo i szyb-

ko zwolnienia na pewno wywarłoby na niej odpowiednie wrażenie. A potem nie byłoby już wcale trudno o resztę... Lecz, oczywiście, bez namysłu udałem greka. Za bardzo przywiązałem się do ryzyka, nadwerężonych nerwów, bezsennych nocy i widoków doczekania najwyższej przyszłego tygodnia w najbliższych perspektywach, czyli mówiąc innymi słowy do Organizacji, aby narażać siebie i kolegów na niepotrzebne ryzyko pomagania komuś, kogo nie jestem w stu procentach pewny. (Ta jej znajomość z kapusiem mogła nie być wcale przypadkowa ani ostatnia.) Poza tym pomogę zawsze chętnie, ale ludziom, o których wiem, że nie zdradzą, no i takim, którzy nam też pomagają. Jak miała dawniej takie znajomości, niech sobie teraz trochę pokopie! Na pewno jej to nie zaszkodzi.

Zwolnienie „z okopów” dostanie za to córka znajomych państwa, u których w styczniu przez dłuższy czas melinował się „Broniek”, a której w czasie nalotu angielskiego w lecie udało się uciec z robót w Niemczech i obecnie nie ma żadnych widoków na uzyskanie zwolnienia „z okopów”.

1 października 1944

„Jęczmień” już nie żyje. Zginął od kul patrolu policyjnego, który chciał go zrewidować w południe 29 września, gdy miał przy sobie gazetki. Padł jak na froncie, podobnie jak „Wilhelm” i „Stempel” w zeszłym roku.

Gdy czekałem na niego wtedy po południu, nie przyszło mi na myśl, że więcej się już z nim nie zobaczę. Prędzej spodziewałbym się aresztowania, ale myślałem, że może po „Joachimie” jakoś się to na dłuższy

czas zatrzyma. Szkoda tego człowieka, jak tyłu, tyłu innych.

Od dawna już, gdy ktoś wpadł, nasuwało mi się potem proste, choć natrętne pytanie: dlaczego on zginął i czy jego śmierć przyniosła chociaż najmniejszą szkodę wrogowi, a przysporzyła korzyści dla Sprawy?

I dziś, podobnie jak kilkakrotnie już razy dotąd, dochodzę do tego samego wniosku, że przynajmniej od czasów bitwy pod Stalingradem zupełnie nie oplaca się narażać ani jednego człowieka za prasę. Co innego było w latach 1940—1941, aż do czasu większych niepowodzeń niemieckich, bo wtedy byli jeszcze ludzie, którzy oczarowani początkowymi sukcesami Osi mogli uwierzyć w jej zwycięstwo. I wyprowadzenie ich z tego błędu było wówczas jednym z najważniejszych zadań walki podziemnej, gdyż nie istniała jeszcze dywersja leśna w takich rozmiarach, jak teraz.

Ale już od dawna prasa nie odgrywa tak ważnej roli i gdyby to ode mnie zależało, ograniczyłbym ją przynajmniej z codziennej na tygodniową. Ryzykowanie ludzi dopuszczalne jest, moim zdaniem, tylko w wypadku wyroków lub innych „wyczynów” z bronią w ręce, w ostateczności — w podrzucaniu ulotek żołnierzom niemieckim, ale nigdy dla jednego kawałka bibuły, który i tak nikogo nie musi przekonywać, że Niemcy wojnę przegrają. Zresztą kogo i po co przekonywać, jeżeli nawet duża część Niemców od dawna boi się tego? A od czasu lipcowego popłochu liczba ich znacznie wzrosła...

Przebiegam w pamięci wszystkie momenty współpracy z „Jęczmieniem”. Choć trwała ona krótko, czas przy „robocie” mierzy się kilkakrotnie dłuższą miarą niż w normalnym życiu. A „robotą” bardzo przywiązuje ludzi do siebie... Szkoda „Jęczmienia”...

Powstanie Warszawskie znajduje się w coraz cięższych warunkach. W drugiej połowie września, po zdobyciu przez wojska polskie gen. Berlinga Pragi, powstańcy otrzymują co prawda częściej niż dotąd zrzuty (kilkakrotnie były również zrzuty z Londynu; prawdopodobnie ten liberator, który spalił się w nocy w sierpniu za Krakowem, leciał do Warszawy). Te samoloty startowały z baz we Włoszech.

Jednocześnie Niemcy rozwijają gwałtowne ataki na północ i południe od Warszawy, skutkiem czego wojska rosyjskie i polskie nie mogą posuwać się naprzód. Na pozostałych odcinkach frontu wschodniego, tj. pod Baranowem i w Prusach Wschodnich, na razie bez zmian.

Na Bałkanach niedawno temu został zajęty przez Rosjan Belgrad oraz Rumunia i Bułgaria, a wraz z nimi i reszta Jugosławii, od 1941 roku zresztą stale opanowywana przez komunistyczną partyzantkę Tity. Niestety, działania te nie wpływają jakoś na sytuację na froncie pod Warszawą i powstanie walczy w coraz trudniejszych warunkach.

5 października 1944

Powstanie Warszawskie przegrało...

Drugiego października po zwykłej południowej audycji przez „kubły” po polsku nadano specjalny komunikat o opanowaniu przez Niemców terenów objętych powstaniem na Żoliborzu, gdzie nastąpiła kapitulacja. „Z Żoliborza wydostanie się około 25 000 cywilnej ludności i 2500 powstańców. Jest to stłumienie przedostatniego punktu oporu w Warszawie, a upadek powstania w Śródmieściu jest już tylko kwestią najbliższych godzin” — brzmiały chrapliwe słowa.

Początkowo sądziłem, że Śródmieście utrzyma się jeszcze przez dłuższy czas, ale były to zbyt optymistyczne przypuszczenia. Wczoraj nastąpiło składanie broni przez AK również i w tym punkcie...

Niemcy wyrażają się z uznaniem o dzielności powstańców i obiecują traktować ich jako jeńców wojennych, ale zbyt już dobrze ich znamy, aby choć przez sekundę uwierzyć w to nowe kłamstwo, obliczone już nie wiadomo na jakich kretynów...

Kiedyś, jeszcze z początkiem września, „Władek” opowiadał, że pan „Iks” mówił mu (słyszał od jakiegoś gestapowca), iż od początku sierpnia do Oświęcimia zwożą schwytanych w Warszawie cywilnych mieszkańców, przeważnie kobiety i dzieci. Mężczyzn zaś, którzy wpadają im w ręce w trakcie zajmowania ulic, rozstrzeliwują na miejscu, to samo czynią też często z kobietami. Jest jeszcze zbyt wcześnie, aby wiedzieć coś na pewno i od naocznych świadków o przebiegu walk. Jak dotychczas, nigdzie w całym GG nie widać podobno nikogo zabranego z Warszawy, komu udało się wymknąć z rąk Niemców w ciągu sierpnia i września. Raz tylko, jakiś miesiąc temu, przywieźli do Krakowa ewakuowane z Warszawy w pierwszych dniach powstania rodziny granatowych policjantów, ale ci oczywiście niczego nie chcieli mówić, w strachu o własną skórę.

Urywki rozmów, jakie rozmaici ludzie przeprowadzali z żołnierzami niemieckimi, którzy walczyli w Warszawie, a potem zostali wycofani i zastąpieni przez SS i zdrajców rosyjskich, „kałmuków”⁸, dają niejasne po-

⁸ W tłumieniu Powstania Warszawskiego brała m. in. udział tzw. Brygada Kamińskiego. Dowodził nią gen. SS Kamiński. Brygada ta wslawiła się niezwykłym, nawet jak na okupanta, bestialstwem, zwłaszcza wobec mieszkańców Woli. „Kałmucy”

jęcie o tym, co się tam działo i jeszcze dzieje. Zresztą żołnierze również mają wielki respekt przed gestapo i boją się rozmawiać o tym z Polakami. Wnosząc z tego, a przy tym znając Niemców, do czego są zdolni, Warszawa zupełnie przypomina w tej chwili Mauthausen, Dachau czy też inny obóz koncentracyjny, gdzie chodzi tylko o to, aby jak najprędzej wymordować jak największą liczbę ludzi.

10 października 1944

Gdy kiedyś, po wojnie, ukążą się książki o czasach, które teraz przeżywamy, na pewno i słusznie, będzie w nich sławiona działalność i bohaterstwo nie tylko powstańców, lecz również zwyczajnej cywilnej ludności Warszawy. Ale samym bohaterstwem nie wygrywa się bitew z doskonale uzbrojonym i zaopatrzonym przeciwnikiem.

Upadek Powstania Warszawskiego jest wielką stratą dla całej „roboty” w Polsce, i to stratą nie tylko z wojskowego i gospodarczego punktu widzenia (wobec dużych zasobów skupionych na obszarze Warszawy), choć „robotą” idzie nadal. Warszawa w czasie okupacji stała się w dużym stopniu symbolem walki Podziemia z okupantem. O ile wiem, różne „wyczyny” naszych „gości”, które były opisywane za granicą, miały miejsce przeważnie w Warszawie, gdzie Niemcy w przeciwieństwie do innych miast byli w mniejszości i nie odczuwali zbyt wielkiej przewagi. W ten sposób jest to także utrata w dużej mierze prestiżu Armii Krajowej za granicą.

to epitet nadany jej przez Polaków ze względu na znaczną liczbę służących w niej Ażjatów.

No, ale ja jestem żołnierzem i nie zajmuję się polityką.

Dziś 10 października mija równe 150 lat od bitwy pod Maciejowicami. Miałem kiedyś książkę Przyborowskiego o tej bitwie, z której przypominają mi się różne wyjątki:

„I Naczelnik w sukmanie położył się na mogile konającej Rzeczypospolitej szlacheckiej, i chciał ją z ludem jako Ojczyznę podźwignąć, ale nie zdzierzył wrażej przemocy...”

„Na maciejowskim poboju dziś jeszcze, po stu przeszło latach tego krwawego boju, lud pokazuje to miejsce, gdzie »Naczelnik się obalił« i gdzie razem z nim obaliła się Rzeczpospolita”.

Przypominam sobie te słowa dziś, gdy Warszawa „obaliła się”, lecz Rzeczpospolita trwa nadal w walce. Choć stolica została pokonana, dla reszty kraju nie oznacza to jeszcze rezygnacji z walki. Znowu cisną się skojarzenia i przypomnienia, niedawne, bo z końca tegorocznego lipca:

„I ta strojąca się, kombinująca i szmuglująca »Warszawka« przemienia się w tę Warszawę z września 1939 roku”.

Źle brzmiały te słowa i, niestety, sprawdziły się.

Wrzesień 1939 — wrzesień 1944... Październik 1794 — październik 1944. 150-letnia rocznica końca Rzeczypospolitej szlacheckiej, a dziś: radykalny rząd, Wojsko Polskie z imieniem Naczelnika Kościuszki rosnące w siły po drugiej stronie Wisły.

Wolno przesącza się do naszych umysłów zrozumienie, że na naszych oczach tworzy się historia i że choć nasza armia podziemna przegrywa, to jednak naród polski wygrywa. Lecz na razie nie wypowiadamy tego głośno, bo sami jeszcze nie rozumiemy tych myśli. Wier-

ni żołnierskiej przysiędze trwamy uzbrojeni i czekamy na upragnioną od lat chwilę rozprawy z odwiecznym naszym wrogiem.

15 października 1944

W sobotę wieczorem rozstałem się z „Władkiem”, odebrawszy od niego kennkartę ze zwolnieniem od okopów córki znajomych. Przeszła ona w czasie wojny dość dużo, wywieziona przed półtora rokiem na roboty do Niemiec, gdzieś za Hanower. W maju tego roku udało się jej zbiec stamtąd podczas nalotu, w którym uległa zniszczeniu fabryka, gdzie pracowała. Dziwnym trafem udało się jej wrócić z kennkartą, na której od wczoraj widnieje „urzędowa” pieczętka z napisem: „Zur Schanzarbeit untauglich...”⁹

Odbierając kennkartę od „Władka”, rozmawiałem z nim dłuższą chwilę. Opowiedziałem mu kilka wiców, a także autentyczny wypadek, który można by nazwać zabawnym, gdyby nie to, że był on bardzo denerwujący:

Wczoraj dostałem kartkę z oddziału od „Bronka”. Kartkę tę przyniósł jakiś idiota — przepraszam, jeden z jego kolegów — który nie zastawszy mnie w domu, zamiast zostawić ją po prostu w kopercie u gospodarza lub sąsiada, w najlepsze zatknął ją za drzwi mojego mieszkania. Pomijam już możliwość „wizyty” gestapo, z którą należy się zawsze liczyć, ale kartkę mogło wyciągnąć któreś z dzieci bawiących się przed domem i w sieni. Kartka zaś pełna była takich słów, jak partyzantka, potyczka, melina itp. Kretyn mógł mnie łatwo wkopać.

⁹ Niezdolna do pracy przy kopaniu okopów.

Cała tragikomedia jednakże polegała na czym innym: jakieś dwa tygodnie temu do matki „Bronka” przyszła narzeczona dowódcy oddziału i zawiadomiła ją, że Jerzy zginął w bitwie z SS i policją pod Brzeskiem w końcu września. Łatwo się domyśleć, że jego matka była zupełnie złamana tą wiadomością. Tymczasem „nieboszczyk” 10 października napisał list.

Po rozmowie z „Władkiem” straciłem humor; jestem po prostu przerażony nie tylko obawą o niego, ale także tym, co usłyszałem. Wszystko razem brzmi bardzo ponuro. Razem z kennkartą znajomej „Wladek” dał mi najnowszy, dzisiejszy, numer „Codziennych Wiadomości Krakowskich”. Przy wyciąganiu gazetki z kieszeni zauważyłem, że ma ich tam kilkanaście sztuk.

— Cóż to, stary, znów roznosisz bibułę?

— Jak widzisz. Pobiłem rekord, bo dostaję ją codziennie jako pierwszy prosto z drukarni. Inni koledzy dostają pół godziny albo nawet o godzinę później ode mnie, bo mam wstęp na jedną melinę, gdzie oni nie wchodzi.

Wzruszyłem lekko ramionami, nie podoba mi się ta cała sprawa. Żeby to choć był tygodnik, ale to dziennik! Przez codzienne odwiedzanie meliny, gdzie jest drukarnia, można prędko zwrócić czyjąś uwagę.

— Nie bój się, ta melina jest w takim domu, gdzie przechodzi dziennie po kilkadziesiąt ludzi i nikt na mnie nie zwraca uwagi.

*

Osiemnastego października 1944 roku późnym popołudniem Roman Zawada szedł ul. Karmelicką w stronę śródmieścia. Dzień był pogodny, choć nieco chłodny i Roman odczuwał tym wyraźniej lekkie dreszcze, wy-

stępujące przy rozpoczynającej się gorączce. Chłopiec zaziębił się wskutek przemoczenia podniszczonych butów w czasie onegdajszego deszczu. Nie zważając jednak na zaziębienie, szedł zwrócić kennkartę ze zwolnieniem „z okopów” dla jednego ze znajomych.

Dochodził już do ul. Batorego, gdy od strony ul. Podwale nadjechała naładowana żołnierzami „ósemka”, która zatrzymała się na przystanku. Chłopiec, idący przeciwną stroną ulicy, od niechcienia spojrzął na tramwaj i zamierzał właśnie rozejrzeć się, czy nie zbliża się jakiś patrol, gdy uwagę jego mimo woli zwróciły dwa zbliżające się samochody ciężarowe z napisem „Pol” przy numerach. Jechały one od śródmieścia w stronę pl. Inwalidów i na moment musiały się zatrzymać, ponieważ na przystanku stała „ósemka”. Obydwa wypchane były policjantami i gestapowcami otaczającymi wiezionych na platformach ludzi.

Roman spojrzął na nich i nagle zbladł. Nie, to niemożliwe! Chyba jakieś podobieństwo? Posunął się kilka kroków na jezdnię. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ciężarówkę. Widział dokładniej niż przed sekundą, nie mylił się. Na samochodzie między gestapowcami stali „Łubiński” i „Gruda”! Wytrzeszczył oczy. Pomyłka była niemożliwa. Może to znowu jakaś obława?

„Ósemka” ruszyła z przystanku. W ślad za nią odjechały oba policyjne samochody, a Roman stał wciąż jeszcze przy chodniku, patrząc za oddalającymi się autami. Westchnął ciężko. Mimo z wolna zapadającego mroku dojrzał wyraźnie, że samochody wyprzedziły tramwaj i skręciły z pl. Inwalidów na ul. Pomorską.

Szedł dalej przed siebie, czując nagle, jak gdyby przygniótł go jakiś wielki ciężar. Stan moralny st. strzelca „Wiktora” w ciągu następnych godzin i dni łat-

wo zrozumie każdy, kto w obliczu pogarszającej się sytuacji ogólnej przeżył nieoczekiwane rozbitcie własnego oddziału, w którym walka podtrzymywała go moralnie w najcięższych chwilach. Dzień 18 października 1944 roku pośrednio zadecydował o dalszych kolejach życia Romana Zawady.

Rozdział XXIX

Monotonnie zacina w szyby zimny jesienny deszcz. Zapadła już długa październikowa noc i tylko kroki patroli wojskowych i policyjnych przerywają ciszę uspiętego miasta.

Ile godzin minęło od chwili, gdy ujrzałem „Łubińskiego” i „Grudę” w rękach gestapo? Czy to było 5, czy 10 — nie zdaję sobie już dokładnie sprawy.

Dzisiejsza bezsenna noc z 18 na 19 października zdaje się nie mieć końca. Leżę na wznak na łóżku w zimnym pokoju przygodnego schronienia u krewnych. Jestem pewien, że aresztowani nie zdradzą mojego nazwiska, ale nie wolno być lekkomyślnym.

Zwiększa się gorączka. Po chwilowej poprawie rano wybuchła ze zdwojoną siłą. W głowie huczy, czuję raz po raz wzmagające się dreszcze i ogromne gorąco na przemian. Przymykam oczy, usiłuję bodaj na chwilę zapaść w ciężki, gorączkowy sen.

Sen przychodzi, lecz nie przynosi odpoczynku. Rozmaite obrazy i skojarzenia myślowe zdarzeń przeżywanym w ostatnich latach zmieniają się jak obrazy w kinie.

Grudzień 1942. Przyprószona śniegiem ul. Miodowa, skupieni młodzieńcy i powtarzane dobitnie słowa: „... że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o wyzwolenie Jej z niewoli walczył będę...”

Wiosna 1943. Wysoki młodzieniec z ogniem w oczach, którego nie przyćmiewa nawet szkło okularów, ścisnąwszy browning pewną, nie drżącą jeszcze wówczas ręką, śmiało idzie naprzód.

... Panowie, organizujemy pluton egzekucyjno-dywerysyjny.

... Krwawy OKTOBER 1943... Panowie, mimo masakry będziemy walczyli dalej...

„Pożyczka” z kasy „Treuhand-Stelle”¹.

Zima 1943. Ten Migala jest konfidentem. Wyrok 2 stycznia chyba celu.

Zima 1944 i wiosna 1944. Nadzieje wolności, a przede wszystkim walki o nią. Lato 1944... zamiast walki — za druty. Jeden zawszony dziurawy koc. Stary, najczęściej się chlebem.

Wrzesień. Zwolnienia „z okopów” i rozbrojenie Niemca.

Październik. Przełom w celu walki.

Gorączka zwiększa się coraz bardziej. Na chwilę wracam do rzeczywistości, lecz znów zapadam w półsen.

Las pod Myślenicami. Słońce przebija gdzieniegdzie przez listowie drzew, wilgotna nocna rosa drży na poszyciu; ptaki śpiewają, jest spokojnie i zacisznie.

Są też koledzy. Siedzą tam dalej. Nagle wszystko ciemnieje. Znika słoneczna pogoda, nastaje noc, i to rozjaśniona odbłaskiem łuny. Pacyfikacja w pobliżu. Ściskamy broń w rękach. Zaraz podejdą tu bliżej, a wtedy damy salwę.

„Oddział na postoju ubezpiecza się przez czujki i czatę główną. Straż na każdej czujce pełni po dwóch żołnierzy”.

¹ Placówka powiernicza.

Cóż to? Gdzież podział się las? Siedzę w ławce szkolnej, za mną „Wulkan” i „Słowik”, z boku „Skobel” z „Kannerem”, a przy tablicy „Broniek”.

— Szeregowy „Wiktor”, z czego składa się karabin?

Szkoła znika. Widzę teraz pl. Serkowskiego. Skąd się tu wzięli „Wilhelm” ze „Stemplem”? Idą uśmiechnięci, a w pobliżu „Chętny” pokazuje coś drugiemu je-gomościowi. Padł strzał. Zrywam się z łózka. Nic. Tylko niesamowita cisza, nie zmacona żadnym szmerem dzwoni w uszach. Oni już dawno nie żyją.

Cisną się wspomnienia. Chwilami wszystko miesza się z sobą, a zdarzenia przeszłe i marzenia splątają się w jakiś jeden potworny chaos. Głowa pęka z bólu, a sen miast pokrzepić, męczy coraz bardziej. Jęki umierających na twardych deskach wagonu kłują po prostu w uszy. Pociąg sunie wolno na południe. Rozklekotane łożyska wagonu raz po raz wytwarzają udzielające się całemu otoczeniu febryczne drgania. Morze płomieni dogasa z wolna nad ruinami. Lecz skąd się to wzięło?

Jestem znów z kolegami. Więc oni żyją, nie zginęli! Choć naokoło same rozwalone domy, my się nie poddajemy zwątpieniu. Mamy broń i biało-czerwone opaski na rękach. Jest „Wulkan”, „Słowik”, „Skobel”, „Kanner”, „Wilhelm”, „Stempel”, „Bard”, „Karol”, „Temida”, „Chętny”, „Joachim”, „Jęczmień”, „Jim”, ja i „Broniek”, stary przyjaciel. Nagle ukazują się między gruzami szeregi znieawidzonych mundurów. Idzie Wehrmacht, SS i policja: Sipo, Schupo, Kripo i — przekłęci cywile z gestapo.

Nic to! Broń sama podnosi się do ramienia. Spust na pierwszy opór. Już!

— Ognia — rozlega się spokojnie komenda. Broń rozplywa się w rękach. Jakby jakieś niewidzialne dłonie

wyrwały ją z naszych żołnierskich rąk. Sięgam po rewolwer. Uprzypomnam sobie, że wpadł wraz z „Łubińskim” w naszym sekcyjnym magazynie. Niemcy zbliżają się. Coś ściska gardło.

Znów budzę się i wracam na chwilę do rzeczywistości. Za oknem już dnieje.

*

W czasie przewlekłego zapalenia płuc, przebytego pod koniec niemieckiej okupacji, a spowodowanego głównie wycieńczeniem organizmu, męczącą równie moralnie, jak i fizycznie pracą konspiracyjną, przeżywałem w powracających często snach dwa lata spędzone w walce. Głęboko przeżywałem służbę w podziemnej armii. Idea walki z okupantem była moją przewodnią myślą i gorącym pragnieniem od początku wojny. Od chwili, gdy było to dla mnie możliwe, żyłem tylko nią, podporządkowując jej wszystkie myśli i sprawy, a przeżyte w niej zdarzenia tkwić będą zawsze w mojej pamięci, powracając często we wspomnieniach.



	Po str.
1. Stanisław Strzelichowski (zdjęcie z 1947 r.)	4
2. Eugenia Strzelichowska-Dubalska, matka autora	16
3. Tekst przysięgi żołnierzy AK	16
4. Fotokopie znaczków pocztowych wydanych w Wielkiej Brytanii przez polski rząd emigracyjny	32
5. Fragment koperty ze znaczkiem wydanym nielegalnie w Krakowie w 1943 r. wraz ze stemplem używanym w korespondencji międzyoddziałowej AK	32
6. Strona tytułowa konspiracyjnego „Dziennika Polskiego”	32
7. Strona tytułowa „Biuletynu Informacyjnego Małopolskiego” (Bim), drukowanego w Krakowie	32
8. Fragment strony tytułowej „Małopolskiego Biuletynu Informacyjnego”	32
9. Strona tytułowa dywersyjnego pisma „Der Soldat” kolportowanego wśród żołnierzy niemieckich w ramach akcji „enowej”	32
10. Fotokopia szyfru konspiracyjnego	184
11. Instrukcja dla uczestników pracy konspiracyjnej	184
12. Pieczętki wykonane przez „Wiktora”	184
13. Strona tytułowa tygodnika „Przegląd Polski”	200
14. Obwieszczenie gestapo o wykonaniu kary śmierci na Polakach	200
15. Winieta „Placówki”, pisma z cyklu z „książką i szabelką”	200
16. Ostrzeżenie Kierownictwa Walki Podziemnej skierowane do pracodawców	200
17. Fragment drugiej strony nielegalnego wydania nadzwyczajnego „Gońca Krakowskiego” z 4 lipca 1943 r.	232
18. Fragment strony tytułowej 4-stronicowego „lewego” „Gońca Krakowskiego”	232

19. Fragment trzeciej strony „Gońca Krakowskiego” z 1 grudnia 1943 r.	232
20. Czwarta strona „Gońca Krakowskiego” z 1 grudnia 1943 r.	232
21. Strona tytułowa dwutygodnika „Watra”	288
22. Jedna z ulotek „enowych”	288
23. „Enowa” ulotka o ewakuacji Niemców z Polski	304
24. Strona tytułowa satyrycznego pisma „Na ucho”	304
25. Fragment czwartej strony „Na ucho” z 12 grudnia 1943 r.	392
26. Wiersz „Barda” pt. <i>Stół</i> zamieszczony na drugiej stronie pisma „Na ucho” z dnia 12 grudnia 1943 r.	392
27. Wiersz „Szarzyńskiego” pt. <i>Rozmówka</i> zamieszczony na czwartej stronie pisma „Na ucho” z 12 grudnia 1943 r.	329
28. Partyzant z oddziału AK „Śmiały” z obwodu „Murowa” (Myślenice)	392

Ilustracje: 1, 2, 12, 15, 21, 24, 25, 27 ze zbiorów E. Strzelichowskiej-Dubalskiej; 3—11, 13, 14, 16—20, 23, 26 — W. Moskalika; 22, 28 — K. Sobolewskiego.

Tekst przygotowała

EUGENIA STRZELICHOWSKA-DUBALSKA

Komentarz historyczny opracował

ADAM BASAK

Okładkę i obwolutę projektowała

EULALIA ŻŁOTNICKA

Redaktor MARIA BARTNIK

Printed in Poland

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1972.
Nakład 6750+250 egz. Objętość ark. wyd. 22,10; ark. druk. 31,25
+ 15 wkl.; ark. form. A1 25,29. Pap. druk. sat. kl. III, 70 g, 82×104
z fabr. pap. w Kostrzynie. Oddano do składania w październiku
1971. Podpisano do druku w lipcu 1972. Druk ukończono w sierpniu
1972. Zam. 757/71. 0-15-56. Cena zł 40,—
Drukarnia Narodowa w Krakowie, ul. Manifestu Lipcowego 19.



PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



64597